ROK XXII.
Ogólnego zbioru Tom LXXXVIII.

ATENEUM

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE.

TOM IV.— ZESZYT I.

Październik.

WARSZAWA.

1897.

Druk Jana Cotty.

SPIS RZECZY.

Zeszyt zawiera arkuszy **12.**

Druk ukończono d. 19 października 1897 r.

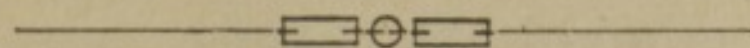
ATENEUM

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE.

1897.

TOM IV.

OGÓLNEGO ZBIORU TOM LXXXVIII.



WARSZAWA.
DRUK JANA COTTY,
ulica Kapucyńska № 7.

1897.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 11 Декабря 1897 г.

SPIS RZECZY.

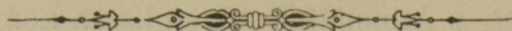
Str.

1. Rzeczy społeczne i spółczesne.

2. Socyologia.

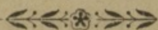
3. Literatura.

4. Beletrystyka.



Percy B. Shelley.

EPIPSYCHIDION.



„Epipsychidion", Shelley'a, to najwznioślejszy utwór najidealniejszego i najmniéj zmysłowego z poetów, a natchniony najczystszą z jego miłości, uczuciem dla pięknéj i nieszczęśliwéj Emilii Viviani! — W istocie losy jéj nieprawdopodobnie romantyczne, mogły zainteresować poetę. Młoda, urocza córka magnata włoskiego, została przez niego umieszczona—właściwie uwięziona—w klasztorze św. Anny w Pizie, dopóki ojciec nie wynajdzie odpowiedniego dla niéj małżonka. — Pędziła tam życie nad wyraz smutne. Śliczna, niezwykle inteligentna i poetyczna, była pozbawiona nie tylko wszelkiego towarzystwa, ale nawet książek, i zmuszona do znoszenia mnóstwa niewygód i przykrości. Dopiéro we cztery lata po przybyciu do klasztoru, poznała Shelley'a, z którego żoną zaprzyjaźniła się serdecznie. Oboje starali się o ile możności rozerwać biedną samotnicę i ulżyć w jéj smutném położeniu; na czas jakiś udało im się nawet zabrać ją do siebie. Wynikiem téj znajomości było gorące uwielbienie Shelley'a dla Emilii, które, w przeciwieństwie do zwykłego losu podobnych stosunków, zostawiło po sobie szczerą obustronną sympatyę i przyjaźń trwającą nawet wtedy, gdy Emilię ojciec wydał za jakiegoś majętnego obywatela w Maremmach. Po zamążpójściu życie jéj było również nie wesołe,

wkrótce dostała suchot i umarła w czas jakiś po tragicznym zgonie poety.

Została ona unieśmiertelnioną w cudownym utworze, który, jak sam jego tytuł wskazuje, ma być „poematem o duszy" i jest cały hymnem nieziemskiéj miłości.

Shelley, który miał umysł niezwykle skłonny do abstrakcyi i którego fantazya tworzyła zawsze obrazy nieuchwytne i trudne do zrozumienia dla przeciętnéj inteligencyi, nie umiejąc się nawet na prośby przyjaciół i bardzo kochanéj żony nałamać do wymagań smaku realniejszego, Shelley sam czuł dobrze, że poemat taki jak „Epipsychidion", nie może być popularny. Pisał też wysyłając go z Włoch do swego wydawcy, Olliera .... „Życzę sobie, aby był wydrukowany co najwyżéj w stu egzemplarzach. Ci, którzy są w stanie odczuć i osądzić utwór tak zupełnie oderwanéj natury, nawet tak liczni nie będą z pewnością,—przynajmniéj między osobami, którym wogóle przyjdzie ochota do poznania utworu noszącego dziwaczny tytuł, a wydanego bezimiennie; nie byłoby mi zaś miło bynajmniéj, żeby go czytała publiczność pospolita. Jeśli pan ma coś przeciw wydawaniu tak niewielu egzemplarzy, ze względów praktycznych, to proszę, zechciéj Pan tylko rozdać odbitki poematu tym, którym to może sprawić jakąkolwiek przyjemność ...."

W kilka miesięcy późniéj poeta tak się odzywa w liście do jednego z przyjaciół:

„Epipsychidion", to tajemnica. Co się tyczy „krwi i kości", wiész zapewne, że tego rodzaju nie ma u mnie na składzie: oczekiwać odemnie czegoś ziemskiego i realnego, to tak jakbyś szedł po polędwicę do handlarza win. Prosiłem Ollier'a, aby to puścił w kurs tylko dla „wybranych"......
i ci „wybrani", przypuszczał, nie zrozumieją, dlatego też dodaje, że ma zamiar napisać objaśnienie do poematu.

Nasi czytelnicy może zechcą policzyć się do „wybranych" i nie pozostaną obojętnymi na wzniosłość polotu ducha i na niezwykłą czystość uczucia jakim równych trudno rzeczywiście spotkać u największych nawet poetów. — Sienkiewicz przyrównał kiedyś poetę (wogóle) do kwiatu, który, dlatego, że piękniejszy i wonniejszy od innych, nie jest mimo to ochroniony od burz i łamiących wichrów, lecz przeciwnie, mogą mu one témbardziéj zaszkodzić. — Shelley wyjątkowo zdaje się przypominać te kwiaty, co rosną na górskich wyżynach i pod których stopami przepływają burze ziemskich namiętności. Dlatego też z taką łatwością wzbija się on na szczyty niedościgłéj abstrakcyi,

na które nie każdy za nim podążyć zdoła. Ale, że użyję tu słów Konopnickiéj (wyrzeczonych o „Odzie do młodości":)

„Kto go doścignie, będzie wielkim, ale któż byłby tak małym, aby go wcale nie naśladować?"

EPIPSYCHIDION.

Wiersze poświęcone szlachetnéj i nieszczęśliwéj pani E.(milii) V.(iviani) uwięzionéj w klasztorze..... (Św. Anny w Pizie).

> L'anima amante si slancia fuori del creato, e si crea nell' infinito un mondo tutto per essa, diverso assai da questo oscuro e pauroso baratro [1].
>
> Własne jéj słowa.

O! Pieśni moja! Drżę o twoje losy,
Bo wpośród ludzi niewielu się spotka
Zdolnych zrozumiéć myśli twojéj głosy.
Jeśli przypadkiem dolą twą się stanie
W tłum zawędrować, co cię nie zrozumié,
O, ty ostatnie moje ukochanie!
Pociesz się sama, i rzeknij w tym tłumie,
Że oni głupcy, tyś piękna i słodka!

Przedmowa poety [2].

Autor niniejszych wierszy umarł we Florencyi wśród przygotowań do wyjazdu na jedną z najdzikszych wysp między Sporadami, którą kupił i gdzie urządził do mieszkania ruiny starego budynku; miał on nadzieję urzeczywistnić tam marzenie o sposobie życia zastosowanym

---

[1]) Dusza kochająca wydziera się z ciała i tworzy sobie w przestrzeni nieskończonéj świat osobny, zupełnie odmienny od ciemnéj i strasznéj przepaści, w któréj mieszka.

[2]) Co się tyczy téj przedmowy, Shelley pisał w liście do wydawcy: „Nie chciałbym, aby ten poemat uważano za mój własny; zresztą jestto rzeczywiście utwór cząstki méj istoty, która już umarła i w tém znaczeniu przedmowa nie jest tylko wymysłem wyobraźni."

raczéj do tego lepszego świata, w którym teraz przemieszkuje, niż do naszych ziemskich warunków. Życie jego było szczególne, nie tyle z powodu przygód romantycznych, jakie go spotykały, ile dzięki pewnemu idealnemu tchnieniu, którem wskutek jego charakteru i uczuć owiane są jego losy. Poemat obecny, podobnie jak „Vita Nova" Dante'go, będzie zrozumiany przez pewną kategoryę czytelników bez objaśnienia okoliczności odnośnych; dla innych zaś pozostanie nazawsze niezrozumiałym z powodu, że brak im zmysłu do pojmowania tych idei, około których się obraca. Coprawda [1]) „*gran vergogna sarebbe a colui, che rimasse cosa sotto veste di figura o di colore rettorico, e domandato non sapesse denudare le sue parole da cotal veste in guisa che avessero verace intendimento.*

Poemat niniejszy zdawał się być zamierzonym jako dedykacya do dłuższego. Strofa pomieszczona u wstępu jest prawie dosłownem tłomaczeniem sławnego wiersza Dantego:

Voi, che intendendo il terzo ciel movete... etc. Zuchwałe zastosowanie ostatnich wierszy do swego własnego utworu wywoła uśmiéch kosztem mego biednego przyjaciela; niech to będzie uśmiéch politowania, a nie wzgardy!]

EPIPSYCHIDION.

O, słodki duchu! Siostro téj sieroty,
Co nosi imię niegdyś drogie Tobie [2])
W świątyni serca mego, jak na grobie,
Wieńca pamiątek składam zwiędłe sploty.

Biedna ptaszyno! Przez więzienia ściany
Próżno się skarży wciąż Twój głosik szklany
Zawodząc tęsknéj prośby skargę rzewną.
Serca oprawców Twych zmiękczyłby pewno,
Lecz go nie słyszą. O, mój uwielbiany
Słowiczku! Pieśń ta, jako róża blada
Będzie dla Ciebie; i choć już opada,

---

[1]) Wielki to wstyd dlatego, kto rymuje pod osłoną figur i ubarwień retorycznych, a gdy go o to proszą, nie umié słów swoich obnażyć z téj szaty, aby się stały zrozumiałemi.

[2]) Prawdopodobnie Marya Shelley, żona (druga) poety, która straciła matkę wkrótce po swém urodzeniu, a którą bohatérka poematu często nazywała siostrą.

Z bledziuchnéj główki jéj płatek za płatkiem,
Lecz pachnie słodko — (bo kwiat zanim skona,
Śle duszę z woni czarownéj ostatkiem) —
I żadnym cierniem nie zrani Ci łona.

Próżno wzlatujesz, duszyczko skrzydlata,
Twych myśli rajskie piórka wnet opadną,
Gdy pokaleczy je więzienna krata,
I zakrwawiona osuniesz się na dno,
A na twéj piersi skrzepną krwi jagody.
Cóż z łez mych? Ulgi Tobie nie przynoszą,
Och! krew serdeczną oddałbym z rozkoszą,
By ci okupić chwileczkę swobody!

Aniele z nieba, zbyt piękny dla świata!
Niewieścich kształtów Twych cielesna szata
Przesłania światłość ducha, co w niéj gości.
W tym świecie przekleństw pełnym i podłości
Tyś jest promyczkiem, wszechmiłości bożéj,
Tyś gloryą światła wśród ciemnych przestworzy,
Wśród chmur posępnych twarzyczką miesiąca,
I gwiazdą w burzy. Jako w blasku słońca,
Tak w czystém świetle twojego wejrzenia
Ziemskich się kształtów postać rozpromienia
I nawet przędza słów mych, biedna, niska
Ogniem błyskawic przed tobą wytryska!
Błagam Cię, z pieśni mojéj zetrzyj zmazę
Ziemskiego pyłu i przez chwilę jedną
Spuść na nią rosę łez, od których zbledną
Twe oczy. Gdy zaś ból zmienisz w ekstazę,
Wtenczas uśmiechnij się o Pani biała,
I spojrzyj na nią aby nie skonała.

Nie spodziewałem się, idąc przez życie,
Że spotkam marzeń młodzieńczych odbicie,
Gdy na skalistéj drodze czystą lilią
Wykwitłaś nagle przedemną. — Emilio,
Kocham Cię! choć świat nie znajdzie nazwania,
Co miłość taką przed wstydem osłania.
Och! Czemuż wyrok losu nas nie stworzył
Dziećmi u jednéj matki? i dlaczego

Nazwisko, które-m u stóp innéj złożył,
Nie zadzierzgnęło węzła siostrzanego
Pomiędzy Wami? Lecz cóż mi po słowie
Marném, gdy żadne imię nie wypowié,
Jak bardzo jam Twój. Przez Boga na niebie! [1])
Nie jestem twoim, jestem cząstką Ciebie!
Tyś moje światło! Z duszą uskrzydloną
Wzlatam ku tobie, lecz skrzydła mi płoną
I opadają, jak martwe narzędzie.
Myśl ma do Ciebie, jak pienie łabędzie
Ostatnim lotem wzbija się i kona
W pieśni bezsilnéj. O Ty, niesplamiona! —
Ty, mój anielski duchu przebaczenia
Podobny światła mistycznéj krynicy,
Która blask szczęścia roznieca w ciemnicy,
I rozdźwięk w cudną harmonię przemienia! —
Uśmiechu wpośród chmur! — Łagodny dźwięku
Wśród dzikich głosów i rozpaczy jęku! —
Gwiazdo w zamęcie nieruchomie tkwiąca!..
Miłość na duszy twojéj, jak na lutni,
Pieśń ukojenia śpiéwa tym, co smutni. —
Słówko twe każde nakształt szczęścia gońca,
Co jak pisklątko, nie wzbija się lotem,
Ale słodziuchnym upaja szczebiotem.
Ukryty skarbie pociechy! Ach, w tobie
Wszelki ból ludzki przepada, jak w grobie
I w smętne fiołków zamienia się kwiecie.
Napróżno szukam w wyobraźni świecie
Porównań godnych ciebie, wszystkie gasną,
Nic nie znajduję, tylko niemoc własną!

Smutny, błąkałem się przez ciemne życie,
Gdy mię spotkała, jak promień o świcie
I na przepaści zwątpień stromym brzegu
Złote nadziei ukazała wrota,

---

[1]) Przekład dowolny. Shelley, który był zaciekłym ateistą, nigdy prawie w swych poezyach nie wspomina imienia Boga. W oryginale jest daleko prostsze zaklęcie „ah me“, nie dające się na polskie przetłómaczyć.

Przyp. tłóm.

Śmielsza i lżejsza niż górska kozica,
Mieszkanka szczytów, gdy zawiśnie w biegu
Ponad otchłanią. — Boska jéj istota
Przeświecać zdaje się przez śnieżne lica,
Jak w mgieł wiosennych przejrzystéj zasłonie
Roztopion w blade tęcze, księżyc płonie.
Usta jéj, — niby hyacynt różowy,
Co się kroplami perli słodkiéj rosy —
Zlekka dźwięcznemi rozchylone słowy,
Co są jak pieśni zaświatowéj głosy
Przez sen słyszanéj w gwieździstéj krainie,
Gdy już szał zmysłów w upojeniu ginie.
Z cudnych jéj oczu tryska zdrój świetlany,
Co błyskawicą myśli rozniecany
Z niedosięgnionéj głębiny jéj ducha
Snopem promieni nazewnątrz wybucha,
I w świat wystygły, spojrzeniem anioła,
Ciepło i światło rozlewa dokoła.
Postać jéj nakształt lekkiego utkania,
W ruchu i światła, marzeń i kochania,
W którém wstydliwie nawpół się przesłania
Różana krasa, i w białości tonie,
Twarz ozdabiając, paluszki i dłonie.
(Tak mleczna bladość poranku, co świta
Purpurą jutrzni różowo zakwita).
Drżysz, że rozpłynie się w tém pięknie świata,
Które go zewsząd przenika, oplata...
Ledwo widzialna, tak bardzo urocza.
Wkoło subtelne ulatują wonie
Z luźnych kędziorków pieszczących jéj skronie,
I z ciężkich splotów bujnego warkocza,
Z fałdów jéj jasnéj sukienki. Ach! dusza
Nieznanym dreszczem przy niéj się porusza,
Jak pączek ścięty mrozem, gdy mu w łono
Padłszy, wiosennéj rosy krople toną.
Oto stanęła! Jak gdyby zaklęta
W cielesne kształty piękność niepojęta; —
Promienna, jakby sen o szczęściu złoty, —
Jak żywe źródło nieziemskiéj tęsknoty, —
I jako światło księżycowe białe,
Co koi życia fale rozszalałe, —

Jak wiosennego poranka wcielenie,
Który zapędza mroźne zimy tchnienie
Śmiechem i łzami aż w upalne ciemnie
Letniego grobu...
Ach! Szaleniec ze mnie!
Dokąd się wdarłem? Jestem na tym szczycie,
Zkąd zejść nie można, chyba tracąc życie.
Blask nieśmiertelnych prawd na własne oczy
Widzę, i czuję bodaj jedną chwilę,
Że i najlichszy ten robaczek w pyle
Przez cześć i miłość z Bogiem się jednoczy! —
Małżonko! Siostro! Aniele skrzydlaty,
Co mię prowadzisz przez zwątpienia światy!
O Ty! zawcześnie uczczona przezemnie,
A ukochana zbyt późno daremnie!
Ducha mojego było przeznaczeniem
Między obszary gdzieś nieśmiertelnemi
Napotkać ciebie, albo tu na ziemi
Snuć się za tobą twéj istoty cieniem.
Ja ciebie kocham! i czuję ze drżeniem,
Jak w głębi serca wzruszeń czystych zdroje
Wzbierają tajnie, by na słowo twoje
Wytrysnąć łzami. — Myśmy utworzeni
Jak dźwięki, które wibrują w przestrzeni
I choć odmienne, zlewają się razem,
By stać się jednéj harmonii wyrazem.

Tyś mię uczyła stanąć, jak na skale
Latarnia morska, świecąca na fale,
By wzniosłe dusze chronić od rozbicia.
Nie mogę pojąć téj mądrości życia,
Co nakazuje wybrać z pośród tłumu,
Albo kochankę, albo przyjaciela,
Którym się z głębi swéj duszy udziela
Skarbów uczucia, zdobyczy rozumu,
I resztę ludzi puściwszy z zasady
W chłodną niepamięć, iść płytkiemi ślady
Nierozerwalnym spojony łańcuchem
Z sercem częstokroć pustém, albo suchem.

Wieczna miłości prawdziwéj istota
Tém się odróżnia od gliny i złota,
Że choć ją dzielić, nic z niéj nie ubywa.
Miłość jest jako ta świadomość żywa,
Która tém więcéj światła wciąż zdobywa,
Im więcéj prawdy w jéj głębie upadło. —
Jak wyobraźni cudowne zwierciadło,
Które z państw ducha i z nieba i z ziemi
Promienie zbiera swojemi pryzmaty,
Ażeby potém blaski tęczowemi
Zalewać szersze przestrzenie i światy,
I śląc jak słońce swoje strzały jasne,
Zgładzić robaka ciemnoty. O! ciasne
Serce, co kocha istotę jedyną,
Umysł, co jedno tylko zdolny tworzyć!
We własnych dziełach nie dano im ożyć
I w żywym grobie na wieki zaginą!

Duch tém odmienny jest od swéj postaci,
Dobre od złego, wszystko, co szlachetne,
Wzniosłe, od tego, co kruche i szpetne,
Że nigdy nawet cząstki nie utraci
Z istoty swojéj. — Ból może potrosze
Zmniejszać się, znikać, aż z niego zostaną
Tylko popioły. Lecz ducha rozkosze,
Jak feniks, wiecznie nowe zmartwychwstaną,
I choć na milion drobnych cząstek pękną
W każdéj odrodzi się całości piękno.
Z téj prawdy w ciągu wieków objawianéj
Mędrcy nadziei czerpią talizmany,
Ona to bladém światłem opromienia
Tę drogę życia pustą i jałową,
Kędy wędrowiec z pochyloną głową
Idąc, siew rzuca przyszłego istnienia.

Duch mój błąkając się kędyś wśród cieni
Pól elizejskich, spotykał w przestrzeni
Swoich wędrówek niebiańską Istotę.
Młodzieńczych moich snów rojenia złote
Opromieniała jéj postać urocza;
Wśród łąk mistycznych cudnego przezrocza,

I hen daleko ponad śnieżne szczyty
Rubinowemi zapłonione świty
Zórz zaświatowych, zjawiała się w bieli
Na złotych blasków ruchoméj podścieli
Stąpając lekko. Na samotnéj skale
Nad oceanem tajemnic wszechbytu
Stawała w glory i promiennego świtu
Tak, żem olśniony nie widział jéj wcale.
Kiedy błądziłem po samotnym lesie,
Słyszałem, jak się ku mnie głos jéj niesie
Z fontanny jękiem i liści pogwarem.
Kwiaty szeptały drżeniem cichych woni
Rozkochanemu powietrzu wciąż o niéj.
Letnie powiewy i chmurki w przelocie
Jéj postać niosły z sobą. I w świegocie
Ptaszków i w świetle i w ciszy i w ruchu
I w roztęsknionym własnym moim duchu,
W przyrodzie, w sztuce, w świata pięknie całem
Zawsze i wszędzie ją tylko widziałem.
W głębiach téj szczytnéj myśli poświęcenia,
Co nędze życia w blask męczeństwa zmienia,
Duch jéj był nakształt prawdy objawienia.

Z młodzieńczych dumań mych głębi ponuréj
Rwałem się wtedy ognistemi pióry,
By lecieć do niéj, méj gwiazdy północnej.
A byłem przy niéj jako motyl nocny,
Co w wieczornego zmierzchu świetle szarem
Goni za łuny zachodniéj pożarem,
Wątłych skrzydełek przeceniając siłę,
I chce tam znaleść płomienną mogiłę,
Jakby te blaski, które płyną od niej
Były światłością mdłą ziemskich pochodni...
Wtenczas modliłem się do niéj. Daremno!
W obłoku światła, przepasanym w tęcze,
Gdzieś przepływała daleko na niebie,
I już się miałem rzucać w otchłań ciemną,
Aby dosięgnąć ją, kiedy nademną
Ozwał się jakiś głos: Biedny szaleńcze,
Ta, któréj szukasz, jest tu, obok ciebie.

Gdzie? zapytałem, lecz ciemne otchłanie
Własne mi tylko odniosły wołanie.
Wiatrów powietrznych pytałem się o nią
I wciąż wzywałem rozpaczliwym głosem,
Aby, jak bóstwo, z wyciągniętą dłonią
Nad myśli moich stanęła chaosem,
Uczynić światło. Próżno! Więc uciekłem,
I z wrącém w duszy méj rozpaczy piekłem
Wpadłem w ten ciemny bór pełen manowców,
Co życiem zowią. Tam w tłumie wędrowców
Patrzyłem tęskny, czy podobną do niej
Zdołam napotkać. Ujrzałem: w ustroni,
W błękitnym zmierzchu stała postać cudna,
Kształtem zdawała się być jedną z bogiń,
Głos jéj podobny był słodkiéj truciźnie,
Co skrytym jadem do serca się wśliźnie;
Uśmiech upajał, jak woń kwiatów złudna,
A z pod jéj powiek dziwny tryskał ogień.
Za jéj dotknieniem, przy dźwięku jéj mowy,
Stanąłem nagle zmieszany i drżący;
Na widok białéj piersi falującej
Płomień ogarnął mnie od stóp do głowy,
Uczuć młodzieńczych pączek nierozwity
Wnet niszczącemi przepalił zachwyty
I jak siwizną ponad młodém czołem
Świeże listeczki przysypał popiołem.

. . . .

Próżno wśród ziemskich istot się starałem
Spotkać z tym myśli mojéj ideałem.
Piękność? — przeminąć może z każdą chwilą.
Widziałem mądrość — słowa często mylą,
Spotkałem wierność—och, czemuż nie do mnie
Była zwróconą! Więc się nieprzytomnie
Me biedne myśli w głąb własną rzuciły.
Jak ranny jeleń, gdy mu zbraknie siły,
Aby uciekać, tak i ja stanąłem
Blady, zdyszany, z pochyloném czołem,
I nawet chłodnéj promienie jutrzenki
Drżały litością dla téj srogiéj męki.

Wtém na méj drodze stanęła dziewica
Taka podobna do mego marzenia,
Jak w letni wieczór, gdy się rozpromienia
Na bladém niebie jasna twarz księżyca
Podobna słońcu. — Jak srebrzysta Dyana,
Perła szafirów, chłodna, nieskalana,
U szczytu niebios królująca dumnie,
W słodkim się blasku ześlizneła ku mnie;
I jako Dyana ponad Endymionem
Cicho stanęła z czołem pochylonem.
A ja u stóp jéj, pogrążony we śnie
Drżałem ze szczęścia, lub łkałem boleśnie,
Czując, czy wzrok jéj smutny, czy pogodny;
I jak odbija się na fali wodnej
Obraz księżyca drżący, migotliwy,
Odzwierciedlała się jéj dusza we mnie.
Och! Czemuż wtenczas umarły lub żywy
Nie byłem, tylko uśpiony tajemnie!
I usłyszałem, jak na jéj wezwanie
Życie ze Śmiercią, jak siostry bliźniacze
Przylatywały nad moje posłanie
Szepcząc: on nie nasz, niech tutaj zostanie!
Płakałem; i choć to sen, znowu płaczę!

Ach! Jakie wtenczas snów ponurych ciemnie,
Jakie się burze rozszalały we mnie
I bladą moją przesłaniały Dyanę!
Jak potém uczuć fale rozhukane
Mrozem rozpaczy méj stanęły ścięte,
A spodem prądy szalone, zamknięte
Wyjąc, wstrząsały skorupę lodową,
Tego nie powiem. Chyba każde słowo
Jękiem skazańców piekielnych się stanie,
A każdy wyraz przemieni się w łkanie!

Wreszcie, uśpiony gdzieś w puszczy gęstwinie
Uczułem, że jéj postać do mnie płynie
I poprzez suche gałęzie i ciernie,
Jak złota zorza prześwieca niezmiernie,
Budząc do życia zimową przyrodę.
Z pod stóp jéj kwiatki wytryskały młode,

Jak pierwsze myśli miłości nieśmiałéj;
Fale powietrzne dokoła niéj drżały,
Jak struny harfy zlekka rozdzwonionéj,
A kędy przeszła, tam topniały szrony
I cichnął nagle wicher rozszalały.
Wreszcie, jak promień słońca przemieniony
Ze światła w miłość, weszła w tę jaskinię,
Gdzie spałem, by mię powołać do życia:
Zbudziła iskrę ducha w martwéj glinie,
Jak błyska płomień wśród dymu spowicia..
I rozświetlony w blasku jéj urody
Stanąłem przed nią, i podniosłem oczy
I wzrok na sobie spotkawszy przezroczy,
Próżno szukaną poprzez wiek mój młody
Postać mych marzeń poznałem w téj chwili.
To była ona! To postać Emilii!

. . . .

Bliźniacze światła, które panujecie
Nad mojém sercem, jak na małym świecie.
Dla was on w bujne ustraja się kwiecie,
Lub we mgłach tęsknot kryje się i jęczy,
Lub przez łzy śmieje się uśmiechem tęczy.
Bądźcie dla niego, jak te dwa ogniska,
Z których wciąż jedno lub drugie rozbłyska
Na niebie, blaski zsyłając na ziemię,
Strojąc ją w perły, jeśli cicho drzemie,
Lub w płaszcz ze złota, róży i szkarłatów,
I wciąż kierując ją wśród roju światów.
Tak wpośród prądów gwałtownych uniesień
Przez skwarne lato i przez chłodną jesień
Wiedźcie mą duszę pod lodowe wrota
Śnieżnego grobu. Tam niech śpi ukryta,
A gdy powróci znowu wiosna złota,
Jeszcze cudniejszém kwieciem niech rozkwita.—
I ty, kometo świetna i wspaniała,
Coś na mym widnokręgu zajaśniała,
I przyciągnąwszy biedne serce moje,
Znów odleciałaś pomiędzy gwiazd roje,
Ono zaś odepchnięte w pustce głuchej
Z żalu się w drobne rozprysło okruchy,

O! błagam ciebie, wróć do sfery mojej!
Słońce cię w cudne brylanty ustroi,
A rozkochane lice księżyc złoty,
Zanurzy w jasne twych warkoczów sploty;
Gwiazda wieczorna wraz z rumianą zorzą
Będą cię czciły i w ofierze złożą
Promienne blaski...

O, ty moje bóstwo!
Nie patrz z pogardą na słów mych ubóstwo,
Przyjmij te kwiaty myśli! Każde słowo
Pod Twojém okiem rozkwitnie na nowo,
Jak czarodziejska paproć w noc czerwcową!

Oto dzień nadszedł, gdy ulecisz ze mną!
Będziesz mi siostrą, póki jeszcze muszę
Dźwigać do czasu tę powłokę ziemną,
Lecz tyś wybrana już przez moją duszę
Oblubienica; nadeszła ta chwila,
W której nareszcie Twoje pęta skruszę.
Oto wieczorna gwiazda się wychyla
Z rąbków błękitu; blade jéj promienie,
Szukając próżno bledszéj od nich twarzy,
Dziś puste tylko oświecą więzienie.
Przez gęste mury, mimo pewnéj straży,
Miłość swobodną drogę ci otwiera,
Jak błyskawica, co chmury rozdziera,
Tak nieuchwytna, jako wolne tchnienie
Powietrza, które wypełnia przestrzenie;
I zbliża się, nakształt śmierci anioła,
Przed którym nic się obronić nie zdoła,
Mniéj groźna odeń, lecz bardziéj wspaniała:
Nietylko duszę oswobadza z ciała,
Ale wywyższa ją ponad cierpienie,
Znikomych bólów rozpraszając cienie,
Dźwigając serce z ponuréj otchłani
Zwątpień i czarnych snów...

O, moja pani!
Okręt się teraz kołysze w przystani,
A wiatr pagórkom zlekka pieści skronie;
Jest ścieżka w morza lazurowém łonie,

Któréj nie pruły jeszcze nigdy łodzie; —
Ptastwo się morskie trzepocze na wodzie,
Nim na wysp brzegi chmarami opadnie.
Morze pogodne uśmiécha się zdradnie,
Blaskiem opali kryjąc przepaść ciemną, —
Powiédz mi siostro, czy chcesz płynąć ze mną?
Łódź nasza chyżo za wiatrem pogoni,
Jak śnieżna mewa po błękitnéj toni;
Siądziemy razem między jéj skrzydłami!
Dzień zgaśnie, mrok się roztoczy nad nami,
I znów się niebo świtaniem zabieli,
I zorza wejdzie, gdy będziem płynęli...
...Jest wyspa hen pod niebiosy jońskiemi
Cudna, jak raju zakątek na ziemi.
Nieznana światu, bo nie ma przystani,
Pustynią byłaby, lecz żyje na niéj
Naród pasterski niewinny, a śmiały,
O prostéj duszy, czystéj jak kryształy,
Jasnéj, jak greckie powietrzne przestworza.
Błękitne fale Egejskiego morza
Opierścieniły ten kącik wybrany,
A szmery, blaski i śnieżyste piany
Całują piasek wilgotny wybrzeża.
Nad wyspą lekki powiew się rozszerza,
Do snu kołysząc ją w ciche wieczory.
Tam w gąszczu leśne przemieszkują twory,
Tam zdrój dyamentów tryska wśród zieleni
I w tysiąc kropel tęczowych się mieni,
Tam lekkie stopy płochliwych jeleni
Krętéj ścieżynki wydeptały ślady,
Wiodąc w jaskinie, kędy bluszcz zielony
Na dół się zwiesza bujnemi festony,
A na mchu ciemnym przejrzyste kaskady
Wtórują szmerem spadającéj fali,
Gdy słowik rzewną piosenką się żali.
Ach! Tam powietrze przesycone wonią,
Którą w upale południowym ronią
Kwiaty pomarańcz. Tam z miękkiéj kolebki
Mchów aksamitnych, wyglądają łebki
Fiołków i żółte narcyzów korony.
Tam to wędrowiec staje odurzony

I z woni upajających zmieszania
Przytomność traci i prawie się słania.
Tam w każdéj barwie, dźwięku i promieniu
Zda się, że dusza rozpoznaje echa
Pieśni słyszanéj kiedyś w przedistnieniu...
Wysepka w blasku słońca się uśmiecha
Tak zawieszona w przejrzystym lazurze
Cudnego nieba, powietrza i wody,
Nakształt oazy szczęścia wiecznie młodéj.
Czasem ponad nią przelatuje w górze
Anioł zniszczenia, klęski wlokąc brzemię,
Ale nie zstąpi nigdy na tę ziemię
Zawsze szczęśliwą. I skrzydlate burze
Pędząc na wichrach, wśród piorunów zgrzytu,
Pozostawiają szczelinę błękitu
I pasmo ciszy ponad tą krainą,
Lub się w perłowych łez strugę rozpłyną,
Która pagórków złotą zieleń rosi.
Dokoła wyspy z morza się podnosi
Lekkich oparów różana i blada
Zasłona, tworząc przejrzyste spowicie,
Które od słońca promieni opada.
Wtenczas, podobna nagiéj Afrodycie,
Wyspa powstając z ozłoconéj toni
Cała się wstydem i miłością płoni.
Ale, jak lampa ukryta w podziemie.
W łonie téj ślicznéj wyspy dusza drzemie,
Wiecznego piękna nieśmiertelny atom,
Co niewidzialny objawia się światom,
I w ciemnym lesie i na modréj fali,
I w skał martwocie skrę życia rozpali.

Wpośród téj cudnéj przyrody się chowa
Opustoszała, lecz piękna budowa,
Co w górę smukłą wieżycę swą wzbija.
Żaden z mieszkańców wyspy nie wié, czyja
Ręka ją wzniosła; lecz niesie podanie,
Że przed wiekami był na oceanie

Wielki i mądry król, którego żona
Upodobała ten śliczny zakątek.
Dziś z jéj pałacu został tylko szczątek,
Ale potężny: ze skalnego łona
Wyrasta w górę lekki i wspaniały,
A wieża szczytem swéj kamiennéj strzały
Sięga wysoko nad zieloną puszczę.
Tam zamiast ozdób sztucznych, wiotkie bluszcze
Z dzikiego wina gałęźmi splątane
Ruchomym wzorem urzeźbiły ścianę.
Kwiat pnącéj róży i łzawych powoi
Zamiast klejnotów białe gzymsy stroi,
A gdy opadnie, w oknie opuszczonem
Martwe szypułki okryją się szronem,
I tworzą kratę srebrzystą, zza któréj
Na tych posadzek paryjskie marmury
Zimowe słońce, lub blade promienie
Księżyca, kładą przeróżne desenie...
Rzuć okiem na dół, stojąc na terasach,
Wszędy, gdzie sięga wzrok, ocean z ziemią
W swoich objęciach leżąc, słodko drzemią
I śnią o chmurach, kwiatach, drzewach, lasach,
A my, w uśmiechu ich widząc to wszystko,
Rzeczywistością mienimy... zjawisko.

W śliczném ustroniu tém kilka pokoi
Poświęcić pragnąłbym dla pani mojéj,
Tam złote światła porannego zdroje
Potoki słońca leją w okna twoje,
Powiew z nad morza faluje tam chłodno,
Jakby cień fali ponad falą wodną.
O czém zamarzysz, to wszystko tam będzie:
Książki i nuty, muzyczne narzędzie,
I zaklęć naszych cudownym wyrazem
Przeszłość i przyszłość wywołane razem
Staną przed nami. Tak niechaj dni życia,
Wpośród rozkoszy duchowych użycia
Płyną nam cicho w upojeniu takiem,
Co zaświatowych jest uciech przedsmakiem.
Czegóż nam trzeba? Zbytkami psuć szkoda,
Co ustroiła tu sama przyroda,

I w puste leśne rzuciła obszary
Ruchliwéj dziatwy swéj życie i gwary:
Synogarlica w altanie bluszczowéj
Grucha miłośnie. Wieczorami sowy
Latając ciężko w koło staréj wieży
Łopocą skrzydłem; stada nietoperzy
Wypełzłszy z kątów, kiedy gwiazdy wschodzą,
Dziwaczne tańce o zmroku zawodzą.
Nocą zaś w blasków księżyca powodzi
Rogaty jeleń wspaniale przechodzi
Patrząc, czy w drogę nie wbiegnie mu łania
Wysmukła, z liści uciekłszy posłania.
Gdy lata przędzą coraz nowych pasem
Jesienną drógę życia nam usieją,
Staniem się wyspy téj duszą, nadzieją
Nieśmiertelnego istnienia. Tymczasem
Pójdziemy razem pod niebios błękity,
Na jasne łąki, na omszałe szczyty;
Aż hen wysoko, gdzie niebo się skłania,
Ziemi wietrzyków śląc pocałowania;
Będziem błądzili przez wybrzeża piaski,
Co drżą i mienią się wciąż błyskotliwie,
Gdy je ruchoma fala pieści tkliwie.
A wszystkie drżenia te, barwy i blaski,
Wszystko to nasze i do nas się wdzięczy,
Igrając w słońcu kolorami tęczy.
Nam zaś, w błękitach czystych zachwycenia
Zda się, że dusza się w nas rozprzestrzenia
I całe piękne wszechświata ogarnie,
Sama w piękności tonąc oceanie...
I żyć i kochać jedném nam się stanie.
...Kiedy południe rozpali się skwarnie,
Pójdziemy razem gdzieś w jaskini głębie,
Gdzie szron srebrzysty, jak piórka gołębie
Na mokrych ścianach kiściami osiada,
Jak gdyby światłość księżycowa blada
Przez noc zazdrośnie ukryta przed słońcem.
Tam dzionek nie śmié zajrzéć światłem drżącem,
I tam w półmroku śliczna moja zaśnie
Snem, co jest rosą miłości omdlałéj,
Pod którym ogień pocałunków gaśnie.

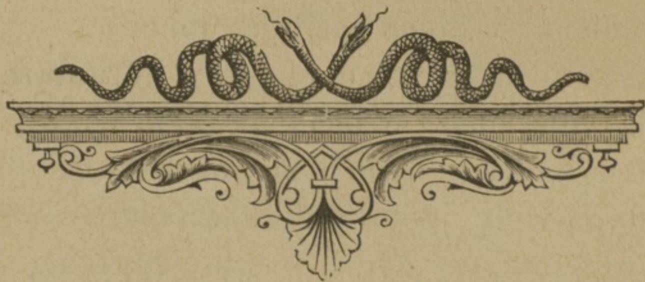
Tam głosy naszé dwa będą szeptały
Aż póki cicha miłość rozmarzona
Dla słów zbyt słodka, na ustach nam skona,
I w blasku spojrzeń znowu się odsłoni.
Z sercem przy sercu, ze skronią przy skroni,
Z bijącém łonem usiądziemy razem,
A usta, zamiast drżéć próżnemi słowy,
Innéj, goręts zéj użyją wymowy,
Co je zespoli milczącym wyrazem!
Z dwojga serc naszych,—jak górskie strumienie,
Gdy je wiosenne ogrzeją promienie,
Tryskają nagle z lodów rozpętane —
Wybuchną świéże zdroje pięknéj myśli,
W ogniu miłości ze sobą zmieszane.
I uczujemy, żeśmy tak rozbłyśli,
Jak meteory dwa, co lecąc płoną,
I rozświetlone nad ciemnym bezmiarem
Jeden drugiemu ognisk swoich żarem
Płomienne wzajem zasilając łono,
Wciąż niezniszczalne, ciągle w górę dążą.
Tak jedną duszę w nas dwa ciała wiążą,
Jedną nadzieję dwie wole, o, nie! nie!
Jedyną wolę, jedno przeznaczenie,
Czy śmierć, czy życie, piekło i zagłada,
Czy nieśmiertelność....
....Ach! biada mi, biada!
Naprożno myśl się skrzydlata wyrywa,
Na niedościgłą miłości wyżynę
Własne jéj słowa ciążą jak ogniwa,
I drżę, upadam, omdlewam i ginę!
. . . .
. . . .

Idź słaba pieśni, do stóp twéj władczyni,
Powiédz, żeś gońcem od jéj niewolnika
I niechaj z tobą, co zechce, uczyni.
Potém wywołaj z zapomnień jaskini
Grono sióstr twoich, i głosem słowika
Zanućcie: „praca miłości jest słodka,
Lecz jéj na ziemi nagroda nie spotka;
Téj szukać trzeba wyżéj, w świecie ducha."



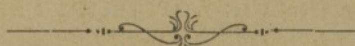
... Gdy tam odejdę, zostańcie na ziemi
I błądząc między sercami ludzkiemi
Jeśli znajdziecie takie, co was słucha,
To była dusza niegdyś mi życzliwa.
Te niechaj z wami wspólny lot porywa
I pyły ziemi strząsnąwszy ostatnie,
Niech razem dążą jako duchy bratnie
I niechaj do mnie przylatują w gości
Na wieczne szczęście, w krainę Miłości.

Alina Świderska.



ARTYZM KOCHANOWSKIEGO

jego czynniki i znamiona.



Wraz ze wszystkiemi zjawiskami życia duchowego dzielić musi objaw, ujęty w miano „artyzmu“, znamię nieokreśloności i niejasności, właściwéj zarówno samemu pojęciu, jak i jego wyrazowéj formie.

Wtargnięcie do wszystkich języków europejskich rosnącego ciągle zastępu wyrazów, o pokroju kosmopolitycznym, z końcówką „izm“, świadczy z jednéj strony o doniosłości, jaką w naszém stuleciu przybrały pojawy życia duchowego — zarówno jako przedmiot badań, oraz w charakterze czynników życia; z drugiéj strony—daje wymowne świadectwo naszéj niemocy, odnośnie do ujęcia i określenia tych zjawisk. Bogactwo rozwijających się coraz nowych kierunków działalności duchowéj, wytwarzanie się coraz więcéj skomplikowanych stanów duchowych — odbija tém jaskrawiéj od ubóstwa i mglistości form pojęciowych i wyrazowych.

Przyczyna téj nieujętości i niejasności tkwi w owém tajemniczém *X*, odgrywającém we wszelkich objawach życia duchowego, a więc i w artyzmie, rolę pierwszorzędnego czynnika. Podobnie jak ludzka mowa — poniekąd także objaw artyzmu pierwotnego — okazuje się tak nieudolną, gdy chodzi o ujęcie stanów uczuciowych i kierunków myślowych duszy; tak i wszelkie środki materyalne,

jakiemi posługuje się artysta, pozwalają mu na częściowe zaledwie odbicie tego, co się mieści w głębiach jego ducha. Rozwój sztuki przedstawia nam ciąg nieustannych mocowań się artysty z materyałem formalnym, stopniowych, powolnych naginań i urabiań tegoż materyału. Jak warstwy skorupy ziemskiéj w swych załamaniach, przesunięciach i przekształceniach cząstkowych, przechowały dzieje powolnych, lecz potężnych procesów fizycznych, a niekiedy i wielkich kataklizmów w odległych epokach; tak dzieła sztuki utrwalają, w zmianach i przekształceniach środków formalnych, przebieg procesów duchowych u społeczeństw całych i przedstawiających je artystów. Świat otaczający artystę ulega przekształceniu raz, gdy dostaje się do jego duszy, a powtórnie przy odtwarzaniu tego załamanego już obrazu za pomocą środków materyalnych.

Z tego, jak artysta widzi i odczuwa swe otoczenie, na co zwraca uwagę, ku czemu dąży i jakiemi środkami odtwarza świat odbity w duszy, lub stany duszy wywoływane przez zmiany w otoczeniu, wnosimy o rodzaju i stopniu jego artyzmu. Jak filozofia i nauka, tak również sztuka, innemi tylko drogami i środkami, dąży ostatecznie do ujęcia, poznania i odtworzenia duszy. Przez artyzm więc rozumiemy ogół czynników duchowych, biorących udział w wytworzeniu dzieła sztuki. Wartość danego dzieła zależy w znacznéj części od natury tych czynników i zachodzących między niemi stosunków.

Tajemniczość i nieujętość, cechujące proces tworzenia artystycznego, sprowadzają jako nieuniknione następstwo, niemożliwość wykrycia stałych, ogólnych zasad, któreby można stosować przy ocenie dzieł sztuki. Miarą wartości może tu być jedynie stosunek danego dzieła do dusz ludzkich, do pewnych niezmiennych właściwości i wymagań naszéj organizacyi psychicznéj. Im dłużéj trwa wpływ pewnego dzieła, im szersze koła ludzkie znajdują w danym utworze zaspakajanie wyższych, trwałych pragnień i wymagań, tém większą niewątpliwie jest jego wartość artystyczna.

Stąd możnaby przyjąć za jedyną ogólną podstawę oceny krytycznéj stosunek danego dzieła do całéj grupy pokrewnych mu formą i treścią, wybitnych dzieł poprzednich wieków, a obok tego stopień odpowiedniości wyższym potrzebom duchowym danéj epoki i następnych.

Jeżeli poddamy téj próbie zabytki poezyi polskiéj wieku XVI, to niemal jedyne twory śpiewaka czarnoleskiego wyjdą z niéj zwycięsko.

I.

Pomimo nieodzownéj tajemniczości pokrywającéj zawsze genezę artyzmu, możemy o jego istocie i rozwoju co do Kochanowskiego, wnosić zarówno z materyału spożytkowanego w utworach, jak i z obrobienia formalnego tegoż materyału. Poeta bądź posługuje się owym artyzmem dla tém silniejszego oddziaływania na otoczenie, wyniesienia i uświetnienia swéj osobistości, bądź téż chłonie w siebie to, co go interesuje czy drażni i, odpowiednio do swych właściwości indywidualnych, przetwarza na aliaż, z którego odlewa swe dzieła.

Rozwój artyzmu ściśle się wiąże z rozwojem charakteru, uczuć i pojęć artysty. Pogląd na świat i życie, stosunek do otoczenia wytworzony przez sposób postępowania, stopień i rodzaj uczuciowości, wywierają wpływ przeważny na treść . i formę utworów, Sztuka w daleko wyższym stopniu, niż nauka, podnieca indywidualizm w jednostkach, które znajdują w niéj zarówno cel obiecujący zadowolenie pragnień najwyższych, jak i potężny czynnik zaspokojenia osobistych ambicyi.

W inném miejscu zwróciłem uwagę na rolę, jaką odegrał indywidualizm w rozwoju artyzmu u Kochanowskiego, uwydatniłem związek zachodzący między zmianami w stosunku poety do otoczenia a treścią i formą utworów [1]). Tu chciałbym w rozwoju uczuciowości śpiewaka „Sobótki“ i „Trenów“ odnaléść główne czynniki i cechy jego artyzmu i uwydatnić związek, zachodzący między stopniowém pogłębianiem się i wyodrębnianiem uczuć, a pięknością treści, doskonaleniem się stylu, układem wiersza i zwrotek.

Proces ten u Kochanowskiego, w porównaniu z przedwczesną dojrzałością i chorobliwą wrażliwością, cechującą zarówno Janickiego, jak wielu nowszych poetów, przedstawia stosunkowo późne pojawienie się głębszych i gorętszych tonów serca, przy umiarkowanéj wrażliwości. W zdrowym młodzieńczym organizmie wychowańca puszcz sandomierskich, oddziaływanie różnorodnych objawów bujnego życia ówczesnego (humanizm, reformacya, życie polityczne i towarzyskie) i bogatych w obrazy i myśli literatur (biblia, literatura grecka, łacińska, włoska, a wreszcie współczesna łacińska w Polsce i początki polskiéj), wywoływało podniecenie poczucia in-

---

[1]) „Indywidualizm jako czynnik w rozwoju artyzmu polskiego.“ .

dywidualnego, wyrażające się w zapale do życia i używania, ambitnych rojeniach i bezwiednym artyzmie.

Artyzm ten uwydatniał się zapewne u młodego poety — podobnie jak u Janickiego — w dbałości o wygląd zewnętrzny, a jednocześnie w zaszczepionėm już zapewne w szkole staraniu o ład i harmonię formalną przynajmniėj, w nagromadzonych zasobach duchowych, a przedewszystkiėm o ujęcie w ramy regularnėj kompozycyi pochodu wysnuwanych dla otoczenia myśli, a w odpowiednie rytmiczne formy tętna wypowiadanych uczuć. Jak udatny ubiór przy kształtnych rysach i figurze nadaje człowiekowi swobodę i pewność siebie w towarzystwie, tak artyzm jako przystrój duszy, potęgujący wartość i piękność jėj zasobów, wywołuje podniecenie poczucia indywidualnego.

Świadomość swėj wyższości nad otoczeniem rodzi w Kochanowskim zadowolenie z życia i siebie, podnieca upodobanie do stosunków towarzyskich, popęd do szukania uciech, pogoni za sławą i hołdami. Prócz Boga i mistrzów starożytnych, nie uznaje on nad sobą żadnėj powagi, stąd skłonność do wolnomyślności w kwestyach kościelnych i politycznych.

Poczucie indywidualne, uczucie własnych sił i duchowėj wyższości, góruje początkowo nad wszystkiemi innemi. Zarówno poezya, jak miłość i stosunki towarzyskie, stanowią dla poety poniekąd tylko środki zadowolenia tego młodzieńczego popędu. Jedno tylko uczucie religijne wyodrębnia się dość wcześnie i będzie hamować zapędy indywidualizmu. Uczucie to w znanym hymnie („Czego chcesz od nas Panie“) przedstawi się w formie podziwu i uwielbienia dla wszechmocy i hojności Bożėj, odbijającėj się w wielkości i porządku świata, tudzież w obfitości udzielonych człowiekowi darów. Wdzięczny szczerze Bogu za uprzyjemnienie życia ziemskiego, poeta nie tęskni przecie za niebem, a skwapliwie goni za powabami doczesnemi, które chętnie opiewa w pieśniach, elegiach, fraszkach.

W większych utworach pierwszėj epoki swėj twórczości, poeta bierze przypadkowo nasuwające mu się różnorodnėj treści tematy, by w ich rozwinięciu uwydatnić swą wirtuozyę. Po mitologicznych „Fenomenach“ idzie biblijna „Zuzanna“, po niėj dworsko-renesansowe „Szachy“, humanistyczno-polityczny „Satyr“ i kościelno-polityczna „Zgoda“.

Artyzm poety przedstawia się nam tu głównie ze strony formalnėj. Panuje on nad materyałem, jakiego dostarcza mu przeważnie lektura i samo życie ówczesne, ruch religijno-polityczny, a w małėj części obserwacya; owładnął przytėm zasobem form

i zwrotów językowych, wyrobionych przez życie towarzyskie na dworach, dysputy religijne i rozprawy polityczne, posiada wreszcie poczucie ekspresyjnéj wartości form wyrazowych, i zdolność prostego a trafnego skombinowania szczegółów w całość kompozycyi. Będąc synem epoki, w któréj wymowa stanowiąc jedyną uprawianą i cenioną przez społeczeństwo polskie sztukę, odgrywa rolę potężnego czynnika w walkach religijnych i politycznych, sprawach sądowych i nauczaniu szkolném, przedstawia się nam Kochanowski w pierwszéj zwłaszcza epoce swéj twórczości, jako poeta-mówca, jasny, rozumny, chłodny, żywy, wytworny.

Takim się okazuje w swym oryginalnym wstępie, dodanym do przekładu „Fenomenów“ Arata, takim jest w „Zuzannie“, „Szachach“, w wierszu „Na śmierć Jana Tarnowskiego“, w „Satyrze“ i „Zgodzie.“

Ujęcie przedmiotu uwydatnia się w trafnym wyborze momentu, od jakiego rozpoczyna poeta swe opowiadanie, czy téż w zręczném postawieniu kwestyi, jaką zamierza rozwinąć. Jestto artyzm architektoniczny, że tak powiem, połączony z trzeźwością i logicznością umysłu. W związku z tém zostaje ta miara, cechująca zarówno budowę utworów, jak i sądy, wyraz uczuć i styl poety. Rozprawia on lub opowiada, ale nie gawędzi nigdy i nie wybucha, utrzymując wobec czytelników, mimo pozorów przyjacielskiéj poufności, wyższość swego stanowiska, opartą na pewności siebie i zręczności w rozporządzaniu zasobami duchowemi.

Mimo niewyrobienia stylowego i językowego, „Zuzanna“ pomijana wzgardliwie przez dzisiejszych czytelników i krytyków Kochanowskiego, przedstawia zalety układu i wysłowienia, które już przed r. 1562, jak świadczy „Zwierzyniec“ Reja i nieco późniejszy „Proteusz“, uczyniły młodego poetę „kochaniem“ ówczesnéj inteligencyi.

Wypowiedziawszy we wstępie myśl, któréj potwierdzenie i dosadną ilustracyę stanowić będzie przygoda bohatérki biblijnéj, ujmuje sobie poeta czytelnika prostym a zręcznym zwrotem:

Kto nie ma nic pilniejszego, niech posłucha mało,
A ja powiem dostatecznie jako to się stało.

Treściwą i jasną, w chłodnym tonie trzymaną opowieść, ożywia wtrąconemi tu i owdzie uwagami, zbliżającemi stan duszy przedstawianych postaci ze znanemi słuchaczom z własnego doświadczenia pojawami. Tak np. przedstawiając niepohamowaną pożądliwość starców, dodaje:

A komu kiedy zdradliwa miłość przepuściła.

a nieco dalej znowu:

Ale ogień co go dusisz, to się bardziéj żarzy.

Żywo ale z mniéj właściwym tu humorem opowiada skradanie się i spotkanie kryjących się przed sobą współzawodników.

I rzekł jeden: zda mi się południe już nadchodzi,
A nam téż ku obiadu pokwapić się godzi.
To wyrzekszy rozeszli się, mając oko na się:
I ty pojrzysz, alić oni u Joachima zasię.
Czego ty chcesz? A ty czego? społem się pytają.

Odmalowanie stanu duszy niewinnie oskarżonéj Zuzanny, było zadaniem przechodzącém zakres uzdolnienia poety. Żywszego współczucia trudno od niego wymagać, to téż zastąpi je rozumowaniem o cnocie i tryumfie prawdy nad fałszem, jakie włoży w usta uskarżającéj się na swój los bohatérki. Jednym tylko trafnie odczutym i wyrażonym błyskiem uczucia rozjaśnia poeta blado zarysowaną postać, kładąc w usta zdecydowanéj na śmierć Zuzanny, wykrzyk:

Z tą nadzieją na plac pójdę i nadstawię szyję,
Duszo moja nie lękaj się: Bóg na niebie żyje.

Wiersz 14-zgłoskowy, złożony z 7 trochejów, o rytmie krakowiaka, odtwarzającym wiernie tętno młodzieńczéj werwy poety, niezbyt szczęśliwie wybranym został na szatę dla téj poważnéj biblijnéj powieści. Użycie dwuwierszy odpowiednich dla wyrażania oderwanych zdań moralnych, ale rwących opowiadanie czy opis na cząstki nużące monotonnością budowy, świadczy także, iż stosunek poety do przedmiotu był chłodnym, że w wyborze swoim kierował się nie wewnętrznym popędem, ale względami na modne wówczas interesowanie się Biblią, a zapewne główną rolę tu odegrała chęć dogodzenia upodobaniom ks. Radziwiłłowej (z domu Szydłowieckiej), żony głośnego Mikołaja, gorącego propagatora kalwinizmu.

Za to w „Szachach“ (z r. 1557?) znalazł młody poeta przedmiot harmonizujący wybornie z rytmem i tonem jego serca i temperamentu. Wiérsz 11-zgłoskowy z urozmaiconą budową metryczną, nadaje się wybornie do uwydatnienia ujętéj w karby wymagań towarzyskich werwy i swobody, z jaką Kochanowski opowiada interesujący go epizod życia dworskiego. Jeżeli zechcemy szukać w téj noweli wyrazu uczuć poety, to znajdziemy chyba odbicie młodzień-

czego upodobania, w ruchliwém życiu towarzyskiém, grze w szachy i stosunkowo wysokiéj ogładzie, jakiéj sam dawał zapewne przykład. Świadomość téj wyższości odbija się w sposobie opowiadania, w swobodnym, ironicznym nieco stosunku do przedmiotu. Poeta chętnie się popisuje ze swoim stoicyzmem, jako modnym przystrojem, głosząc przez usta Fiedora:

Jeden jest fortel na szczęście wszelakie,
Lub źle lub dobrze, serce mieć jednakie.
Kogo fortuna srogim nie pobiła,
Tego łaskawem okiem nie zmamiła.

Zresztą znać zarówno w stanowisku, jakie zajmuje poeta względem przedmiotu, jak w prostocie, swobodzie i wdzięku poniekąd opowieści, wpływ Ariosta, którego „Orlando" żywiéj przemówił do wyobraźni młodego śpiewaka, niż epopee starożytne.

Urobiony już pod wpływem ogłady obyczajowéj, język towarzyski dostarczył poecie form i zwrotów harmonizujących z wymaganiami dworności, jaką z własnéj duszy przenosi do swéj opowieści. Podobnie jak w „Zuzannie“ i tu opowiadanie swe ożywia wtrąconemi *a parte* uwagami. Tak np. wysunąwszy w opisie gry Popa (nazwa figury w szachach) dodaje: „A kogoby tak zły człowiek nie zdradził“, w inném znów ustępie, malując bój obu wojsk szachowych, powiada:

Nie miło stronie, ale dzień targowy,
Patrz każdy swego, a umykaj głowy.

W wierszu na zgon Jana Tarnowskiego († 1561) po raz pierwszy występuje poeta w poważnéj roli głosiciela cnót i zasług wielkiego męża. Dla utworu swego wybrał formę „pocieszenia“ (*consolatio*), pozwalającą mu przybrać względem młodego Tarnowskiego (któremu niedawno poświęcił „Szachy“), poufno mentorskie stanowisko, świadczące zresztą, że Kochanowskiego z domem Tarnowskich musiał łączyć bliski stosunek [1]). Jak w dedykacyi „Szachów“, tak i w tym utworze poeta przemawia do Krzysztofa Tarnowskiego, jakby do równego sobie kolegi („Mój hrabia“, „Jeśli cię dobrze znam“). Że z pewnym przymusem przybierał poeta na siebie rolę niezbyt zgodną z nastrojem młodéj duszy, świadczy wprowadzenie do utworu obszernego epizodu o Orfeuszu i Eurydyce, mającego służyć za ozdobę, przyczepioną czysto mechanicznie do

---

[1]) Żona Mikołaja Radziwiłła (z domu Szydłowiecka), któréj dedykowana jest „Zuzanna“, była rodzoną siostrą matki Krzysztofa Tarnowskiego.

uwag o nieodzowności śmierci. Po dwa razy powtarza charakterystykę zasług hetmana, raz obszerniéj przed epizodem o Orfeuszu, drugi raz krócéj po tym epizodzie, to samo jednak, innemi tylko słowy. Kończy nauką, zwróconą do syna, a włożoną jakoby w usta zmarłego. Wiersz 13-zgłoskowy i czterowierszowa zwrotka odpowiadają powadze treści i tonu, w jakim umiał utrzymać się autor, który okazał się tu rozumnym sędzią i wymownym moralistą, ale natchnionym przez żywsze uczucie poetą, chyba jedynie w porównaniu zgonu, obciążonego zasługami starca do położenia się „kłosa dojrzałego“.

II.

Uznanie, pozyskane przez powyższe utwory, umocniło w poecie świadomość własnych sił i pobudziło ambicyę do wystąpienia w nowéj roli: mentora społeczeństwa. Zrzuciwszy płaszcz mędrca, w którym godził Krysztofa Tarnowskiego z poniesioną stratą, przywdzieje zgodny ze smakiem epoki przystrój pół-boga, leśnego męża, Satyra, pozwalający mu przybierać na przemiany, zarówno ton chłoszczącéj satyry, jak chłodnego pouczania lub niby przyjacielskiéj rozmowy ze słuchaczami. Nowością i powabem głównym utworu będzie właśnie ta nieznana w dotychczasowéj poezyi rozmaitość tonów w uczuciach przemawiającego poety i jego stosunek do słuchaczów i przedmiotu. Artyzmem wysłowienia dodaje świeżości, piękności i siły przekonywającéj, pojęciom i obserwacyom, będącym wtedy w obiegu śród kół inteligencyi, powtarzanym wielokrotnie w rozprawach i pismach ówczesnych. Po raz pierwszy téż w „Satyrze“ występuje trafność ujęcia i wyboru szczegółów życia ówczesnego, najlepiéj się nadających do uwydatnienia myśli przewodniéj utworu. Czy to maluje gorączkowo się rozwijającą gospodarkę i przemysł szlachecki, czy rosnący wraz z dochodami zbytek w jego prostaczych formach, czy łączący się z tém upadek ducha rycerskiego, czy wreszcie wskazuje objawy anarchii politycznéj i religijnéj, zawsze umie poeta wybrać fakty czy pojawy, streszczające w sobie dany stosunek czy położenie. Jak w wierszu na śmierć Tarnowskiego kładzie w usta zmarłego przestrogi dla syna, tak tu znów powtarza podobną co do treści, szerzéj tylko rozwiniętą naukę życia dla całego społeczeństwa szlacheckiego, wkładając ją w usta Chirona, przemawiającego do Achilesa. Myśl główna obu przemówień zasadza się na przypomnieniu, iż dusza ludzka, mając z nieba

początek, ku doskonałości zmierzać winna, a doskonałość tę osiągnąć można jedynie przez owładnięcie popędami cielesnemi.

....w człowieku są mocarki dziwne,
Nietylko sobie różne, ale i przeciwne.
Jest bystra popędliwość, jest żądza niesyta,
Bojaźń mdła, żałość smutna, radość niepokryta,
Nad któremi jest rozum jako hetman...

Poeta, idąc za mędrcami starożytnymi, każe w téj treściwéj charakterystyce duszy ludzkiéj stać rozumowi na straży popędów i afektów, choć własne doświadczenie mogło go codziennie przekonywać o małéj skuteczności podobnego nadzoru.

Monolog „Satyra" ożywiają wielce, często powtarzające się zwroty do słuchaczów, nadające mu charakter dyalogu.

Prawdę mówię czyli nie? uznajcie to sami.
Ale się tam ozywa jeden między wami,
Mieniąc, iż gospodarstwo Polskę wzbogaciło,
A jako żywo złota więcéj w niéj nie było.
Prawda, że złota wasi przodkowie nie mieli,
A małobym tak nie rzekł, że go ani chcieli.
. . . .
Mniemacie wy podobno, że to wam bajano,
Kiedy w objazd Kijowa siedm mil powiadano.
. . . .
O Prusiech wam nic nie chcę powiadać, bo sami
Na każdy rok pływając do Gdańska z traftami,
Widzicie gęste miasta i zamki budowne.
. . . .
Oho znać papieżnika. Po czémże? po mowie.
Mniemałem, by po rogach, co to mam na głowie.
Bracie, nie chcę się z tobą w rzecz wdawać o wierze,
Bo ja sam na się wyznam, żem prostak w téj mierze.
Lecz jeśli ty inaczéj o sobie rozumiesz,
Jedź do Trydentu, a tam okażesz, co umiesz.
. . . .
Ja mówię, co rozumiem, kto ma co lepszego,
Niechaj powiada, będę rad słuchał każdego.

Do czasów Krasickiego żaden poeta nie będzie umiał tak pociągnąć czytelnika ku sobie, ująć prostotą, swobodą, imponując mu jednocześnie powabem wysłowienia, powagą i siłą rozumowania, trafnością rysów satyrycznych, subtelnością odcieni uczuciowych, rzadkich w duszach ludzkich, a nieznanych ówczesnéj poezyi.

Ożywienie, cechujące utwór, ma swe źródło nie tyle w przekonaniu poety o prawdzie i zbawienności przestróg, jakie udziela społeczeństwu i płynącym stąd zapale reformatorskim, ile w zadowole-

niu miłości własnéj z odgrywanéj roli mentora ogółu szlacheckiego, w poczuciu własnéj wyższości duchowéj, opartéj na sile artyzmu, pozwalającego młodemu, skromnemu ziemianinowi pociągać za sobą masy i obdzielać je chlebem duchowym. Stąd mimo swobodnego tonu poufnéj rozmowy z czytelnikami, mimo ironicznego piętnowania swego zasobu umysłowego mianem prostactwa („Bo ja sam na się wyznam, żem prostak w téj mierze" — „Ja głupi tak rozumiem") czuć w każdém zdaniu świadomość i poczucie wyższości nad otoczeniem, któremu poeta przy końcu przemowy grozi, pół żartem niby, chłostą, jako jedynym środkiem skutecznym poprawy dla zatwardziałych w złych nałogach.

Przybrawszy na się poważną, klasyczną szatę bogini Zgody, przemawia Kochanowski w téj saméj formie i tymże tonem, argumentując trafnie i dosadnie, w kwestyi rozstroju religijnego i łączącéj się z nim anarchii politycznéj i obyczajowéj. Kończy swój utwór jędrnym i zręcznym, choć nie tak szorstkim, jak w „Satyrze", żwrotem do słuchaczów:

....a wszystkie swe sprawy
Do pożytku spólnego obróćcie naprawy.
To czyńcie, a nie będziem wszyscy żałowali
I ja, że radzę, i wy, żeście mię słuchali.

Choć główne cechy artyzmu poety mają swą podstawę w jego duchowych właściwościach, to jednak można dopatrzéć się w cechach formy, jak tonie i samym stosunku do słuchaczów pokrewieństwa dość widocznego, od „Zuzanny" począwszy—z opowiadaniami, czy rozumowaniami Ariosta.

Umysłowi poety brak lotności, wynalazczości i wyobraźni, stąd zawsze, jak dotąd, opiéra się on na gotowych już obcych pomysłach, czy planach i przedstawia się nam jako wymowny tłómacz dążeń i pojęć swego otoczenia, zręczny obserwator życia klas wyższych i wytworny dworak-humanista. Rozbudzona przez życie dworskie i kulturę umysłową ambicya, popycha go ku wyższym zadaniom artystycznym, ku epopei rycerskiéj, zespolonéj z apoteozą Jagiellonów.

Widocznie jednak zarówno trudności, jakie przedstawiało ujęcie bogatego materyału historycznego w ramy kompozycyi, jak i nastrojenie duszy do tonu odpowiedniego podniosłemu przedmiotowi, przechodziło możność poety. Pozostały fragment poematu o bitwie warneńskiéj, nie budzi w nas żalu za nie napisanym dalszym ciągiem. Znał tę nieudolność swą sam poeta, gdy skarżył się w „Omenie", że „siły" nie odpowiadają jego chęciom, że choć wi-

dział tyle świéżych jeszcze śladów zwycięzkich bojów, które budzą w nim dumę patryotyczną, to jednak czuje, że nie może „mężom i bojom zdołać”.

III.

W „Satyrze” i „Zgodzie” artyzm poety w pierwszéj fazie jego rozwoju dosięgnął najwyższego szczebla. Że zyskanie powodzenia musiało upoić Kochanowskiego i obudzić w nim ambitne rojenia, że zwykłą koleją rzeczy rojenia te nie ziszczały się, a nawykły do oklasków i kadzideł artysta poczuł się tém więcéj osamotnionym, im na wyższe wspiął się stanowisko, tém przykrzéj zawiedzionym, im pewniejszym się czuł swych uzdolnień artystycznych i więcéj znalazł uznania—o tém nie można wątpić.

Czy nowe jakieś świadectwa odsłonią kiedyś tajemnicą pokryte szczegóły życia poety w epoce dworskiéj, czy dowiemy się, jakie wypadki i jacy ludzie wpłynęli na jego losy, wywołali w jego duszy bolesne, lecz podnoszące ją przekształcenia, przez zawody ambicyi, przyjaźń, miłości — czy też, co prawdopodobniejsze, pozostaniemy nazawsze skazani na dzisiejszą zagadkowość, — nie przeszkadza to nam przyjąć—na podstawie wyznań zawartych w utworach — faktu doniosłego przesilenia w pojęciach, uczuciach i twórczości Kochanowskiego, przesilenia dokonanego pod wpływem wypadków małoznaczących, i stąd niezanotowanych przez żadne świadectwa, lecz doniosłych przez wpływ, jaki wywarły na wewnętrzne życie śpiewaka czarnolaskiego.

Z dość znaczném prawdopodobieństwem możnaby przyjąć rok 1567-my, a więc 37 w życiu poety, za moment duchowego przełomu, przekształcającego wykwintnego i wymownego dworaka i humanistę w poważnego śpiewaka uczuć religijnych, narodowych, głoszącego ideał cichego życia na wiejskim zagonie, szukającego szczęścia w mierności, cnocie i pożytecznéj dla ogółu pracy. „Sobótkę” i „Muzę” możnaby uważać za dzieła, otwierające nowy okres twórczości poety. W elegii łacińskiéj, pisanéj r. 1568 w odpowiedzi na listy Myszkowskiego, zachęcające do szukania karyery w stanie duchownym, powiada, że pragnie „w cichém życiu zgłębiać tajemnice przyrody.”

Wzgardziwszy oklaskami dworskiego towarzystwa, którego obłudę poznał przez bolesne doświadczenia, zstępuje z piedestału, z jakiego dotąd przemawiał do słuchaczów i znalazłszy się w cichym

Czarnolesie, miesza się do koła obchodzącéj Sobótkę młodzieży, by razem z nią opiewać wesołość, miłość, przyrodę i zalety życia wiejskiego. Nastrój uczuciowy i stosunek do otoczenia zmienia się od razu. Jeżeli przedtém zespalał się niekiedy poeta ze swém otoczeniem, to tylko pod wpływem wesołości hulaszczéj w jakiéjś fraszce, czy piosence biesiadniczéj, w „Sobótce" po raz pierwszy obok wesołości dzieli z gronem dziewcząt (nie zaś z kółkiem wesołych towarzyszów) inne poważniejsze uczucia. „Sobótka paniom służy" — powiada sam poeta o tym utworze. Po raz pierwszy pod wpływem otoczenia zapomni on o sobie, o swoich ambicyach, zawodach, sławie, a przejmie się uczuciami weselących się dziewcząt, pięknością przyrody i życia wiejskiego, stanie się tych uczuć wiernym, prostym a wymownym tłómaczem. Wiersz ośmiozgłoskowy z urozmaiconą budową metryczną — ale nieporządnie przeprowadzoną — nadawał się wybornie do odmalowania uczuć grona dziewczęcego i rytmu ruchów wykonywanych przez kręcące się i skaczące koło. Że wesołość swą poeta przejął raczéj z otoczenia, niż dobył z głębi duszy, możnaby wnosić z zakończenia pieśni IX-éj:

Jednak ja mam, co mię boli,
Aby dziś nie ludziom kwoli,
Co śpiewam, płakaćbych miała:
Acz me pieśni płacz bez mała.

Przyobleczenie tych nowych uczuć i obrazów w szaty językowe, przychodzi poecie z pewną trudnością i stąd to wynikają po części wady budowy wiersza. W miarę tego, jak serce poety bierze silniejszy udział w wypowiadanych uczuciach, żywiéj się interesuje przedmiotem pieśni, rośnie ich bogactwo treściowe i piękność formalna (pieśń VI, XI i XII).

Jak na dworze — w ostatnich czasach pobytu — tak i na wsi cierpi poeta przez swe osamotnienie, nieodzowny wynik wyższości duchowéj, stawiającéj go ponad otoczeniem, z którém nie może się dzielić tém, co uważa za najlepszą cząstkę swéj duszy. Takie położenie rodzi w sercu poety nastrój melancholijno-ironiczny. „Sobie śpiewam a Muzom" oświadcza poeta, wyrażając przez to zarówno skargę na swe osamotnienie duchowe, jak i postanowienie utrzymania się mimo to na zajętém stanowisku:

Ja jeden niech wam służę a za cześć poczytam
Sobie że się dróg inszych niż pospólstwo chwytam.

Niech więc sobie ludzie cisną się za złotem, biją czołem przed bogactwem, poeta zdala od świata w swéj cichéj siedzibie wiejskiéj

nie przestanie tworzyć z nadzieją, że przyszłe pokolenia zrozumieją go, ocenią i odpłacą czcią i wdzięcznością. Podobną skargę na osamotnienie śród tłumu oddanego sprawom życia powszedniego spotykamy u Mickiewicza zarówno w I jak i III części „Dziadów.“

Jakkolwiek nie znamy daty napisania „Muzy”, jednak z prośby poety zwróconéj do Bogiń, by szczęściły „prace me zaczęte“ możnaby się domyślać, iż utwór ten powstał po opuszczeniu dworu (około r. 1567), kiedy w ciszy wiejskiego ustronia zabrał się Kochanowski do pracy nad szerszego zakroju dziełami (przekład Iliady, „Odprawa“, „Psałterz“). Nowością jaką „Muza“ wniosła do poezyi polskiéj, jest ironia, smutna, spokojna bo połączona z rezygnacyą i złagodzona zarówno nadzieją sławy pośmiertnéj jak i przez uczucie szczęścia zdobywane podniesieniem ducha w chwili tworzenia. Forma, w jakiéj poeta wyraził nastrój duszy, została szczęśliwie dobraną. Wiersz 13-zgłoskowy ze średniówką po 7 zgłosce, nadaje się do wyrażenia takiéj spokojnéj, rezygnacyą nacechowanéj skargi. Styl jest w zupełnéj zgodzie ze stanem uczuciowym. Poeta nie potrzebuje tu, jak wieszcz XIX stulecia, walczyć z ciężkiém zadaniem ujęcia w słowa wrzącego w sercu wulkanu, nie kocha on i nie cierpi za miliony, stąd swoje osobiste, szczere ale nie głębokie jeszcze cierpienie, wyśpiewa poważnie i z prostotą w pieśni opartéj na średnich jedynie tonach skali uczuciowéj. Tém umiarkowaniem i spokojem w skardze ujmuje nas jednak więcéj i do sympatyi pobudza, niż wielu współczesnych poetów, usiłujących gwałtownemi protestami przeciw zmateryalizowaniu i skarłowaceniu ludzkości, żółciową ironią i szyderstwem, pomścić się za zawody własnéj ambicyi, za obojętność ogółu. Nowością, doniosłą wielce, jest wysokie pojęcie o stanowisku i zadaniu poety, podnioślejsze od humanistycznego ideału (szafarza sławy), wyrażone zarówno w skardze na to, że ludzie nie chcą w jego pieśniach szukać pociechy dla swych serc jak i wynurzeniu wdzięczności Myszkowskiemu, iż przyszedł mu z pomocą w celu by „tém głośniéj śpiewał a nie podlegał nikomu.“ To samo innemi tylko słowy wypowiada Syrokomla w swym „Liriku wioskowym.”

IV.

Dojrzewanie moralne pod wpływem zawodów, cierpień i skupienia duchowego w odosobnieniu się czasowem od świata, odbije się i na stosunku poety do społeczeństwa i jego uczuciach narodowych. W rok lub dwa po „Muzie“ pojawi się „Proporzec“, napisa-

ny niewątpliwie r. 1569 w Lublinie, podczas kilku tygodni dzielących akt hołdu pruskiego (19 lipca) od daty podpisania aktu Unii (11 sierpnia).

Pięć lat zaledwie upłynęło od ogłoszenia „Satyra“ i „Zgody”, ale przez ten czas zaszły w duszy poety doniosłe przekształcenia, co pozwolą i zrozumiéć lepiéj i głębiêj odczuć znaczenie faktów, których będzie świadkiem i śpiewakiem.

Po raz pierwszy w poezyi naszéj podniosłe uczucia narodowe i ogólno-dziejowe idee znalazły swój wyraz w kompozycyi, stylu i języku „Proporca.” Po raz pierwszy poeta tu zstępuje z piedestału, na którym zwykł był siebie stawiać, by schylić czoło przed obchodami narodowemi i wspomnieniami wielkiéj przeszłości. To zespolenie się uczuciowe z życiem obecném społeczeństwa i jego dziejami pozwala mu wniknąć głęboko w naturę węzłów spajających narody i dostrzedz przytem cały łańcuch zdarzeń wiążących akt, którego jest świadkiem, z odległą przeszłością. Poważna, obywatelska myśl pobudziła poetę do utworzenia „Proporca.“ Chciał on społeczeństwu interesującemu się formalną i materyalną stroną aktu hołdu, złożonego w Lublinie Zygmuntowi Augustowi przez ks. pruskiego Albrechta, przedstawić, obok obrazu samego aktu, szereg wypadków wybitnych, charakteryzujących dziejowy przebieg stosunków polsko-krzyżackich, przyczém dla nadania większego blasku przeszłości narodowéj wiąże ją z losami i początkami całego plemienia słowiańskiego. Ażeby formalnie połączyć ten zarys dziejowy ze sceną hołdu, posługuje się poeta zapożyczonym z Iliady pomysłem (tarcza Achillesa) i umieszcza jakoby na proporcu, udzielonym ks. pruskiemu przez króla, szereg obrazów przedstawiających stosunki polsko-krzyżackie i słowiańskie początki Polski. Oczekując wraz z całém społeczeństwem na mający się wkrótce dokonać akt Unii, rozwija poeta swe głębokie i podniosłe pojęcia o środkach i warunkach trwałego zespolenia narodów. Wspólne niebezpieczeństwo od Niemców skłoniło dwa sąsiadujące ludy do zjednoczenia się. Akt hołdu ks. pruskiego był wymownym dowodem rezultatów osiągniętych przez ten związek. Gdy jednak dotąd potrzeba wspólnéj obrony i układy polityczne podtrzymywały Unią, teraz należy ją oprzéć na węzłach duchowych których oddziaływanie zaczyna się uwidoczniać w połowie XVI wieku. „Ty nas sercem zepnij i myślami” przemawia do króla poeta. Włożony do skrzyni pisany dokument łatwo ulegnie zniszczeniu, lecz jeśli unią „w pewny zamek do serca podany”, to „nieogarnione lata przetrwa niestargana”, przekazywana jako spuścizna „synom od ojców.” Pod

względem artystycznym „Proporzec“ sprawdza sąd, jaki sam poeta wydał o swéj słabéj zdolności w zakresie epiki. To co żywo odczuł jako świadek naoczny, scenę hołdu mianowicie, ujął i odrysował — nie odmalował—udatnie, jasno, prosto; dostojnie, wymownie i podniośle wypowiedział swe poglądy na znaczenie Unii, ale gdy przychodzi mu odtworzyć obrazy fikcyjnego proporca, wygłasza ich treść z oschłością przewodnika oprowadzającego turystów po galeryi obrazów. Wtedy jedynie, gdy poeta kréśli obrazy oparte na znanych mu rzeźbach czy rysunkach, opisy jego nabierają plastyki, jak w przedstawieniu uosobionéj Wisły, obrazie życia Sarmatów.

Żywy udział w ruchu politycznym epoki elekcyjnéj (1572 — 75) wpłynie wielce na „uspołecznienie”, mówiąc językiem dzisiejszym, goniącego dotąd za indywidualnemi głównie celami, poety. Doznając zawodów w swych ambitnych rojeniach, przekonywa się stopniowo przez obserwacyą życia, jaka solidarność wiąże losy jednostki z położeniem ogółu, jak więc koniecznėm dla szczęścia ogólnego jest umiarkowanie wymagań indywidualnych i jak człowiek przez owładnięcie swych popędów zyskuje jednocześnie niezależność względną od otoczenia i harmonijny z tém otoczeniem stosunek—dwa główne warunki szczęścia możliwego na ziemi. Wyrazem tego dojrzewania moralnego będą liczne pieśni opiewające nowy ideał moralny i wiążące się z nim uczucia narodowe. Miłość dla tego ideału i silne przeświadczenie o jego doniosłości uzdolnią poetę do tak prostego a dosadnego, żywego i poważnego na przemiany, wypowiadania z przysłowiową treściwością drogich mu przekonań.

Stosownie do przemagającego w duszy nastroju, stara się to o treściwą dosadność i prostotę w wyrażeniu swych zasad:

To pan zdaniem moim
Kto przestał na swoim.
. . . .
Siła posiadł włości
Kto ujął chciwości —

to znowu oddziaływa na czytelnika przez osnucie zasady moralnéj na podkładzie uczuciowym:

Serca nie zleczą żadne złotogłowy,
Żaden skarb troski nie wybije z głowy.

Zmienność w przyrodzie wywoływana przez następstwo pór roku, dostarcza poecie rysów uwydatniających zwykłą niestałość w warunkach bytu ludzkiego.

Nic wiecznego na świecie
Radość się z troską plecie.

Wobec zmienności i niepewności warunków zewnętrznych, człowiek winien szukać oparcia w sobie, w niezłomności wiary w opatrzność i wszechmocność Boga i stoickiéj obojętności na dary czy zawody fortuny.

Ukochawszy ludzi i pragnąc ich szczęścia, poeta chce teraz szczepić we wszystkich duszach zasady których prawdę i doniosłość stwierdził w swém życiu i przelać w serca ludzkie uczucia, jakie go ożywiają.

Jak wieszcz naszego wieku chciałby łańcuchem bratnim opasać „ziemskie kolisko", tak śpiewak czarnoleski zwołuje do bratniego szeregu tych „coby wzgardziwszy te doczesne rzeczy" chcieli wraz z nim „dobrą tylko sławę mieć na pieczy" i wytknąwszy sobie cel godny człowieka, pomagać „ku pożytku spólnego dobra."

Kiedy w „Satyrze" i „Zgodzie" poeta przemawiając do czytelników w 2-éj osobie liczby mnogiéj, wyłącza siebie, stojąc na stanowisku mentora, teraz w pieśniach albo po bratersku przemawia w 2-éj osobie liczby pojedynczéj:

A ty coć Bóg dał siłę i serce po temu
Uderz się z poganinem. ..

albo najczęściéj przemawia w 1-éj osobie liczby mnogiéj, włączając siebie do szeregu czy tłumu:

Przeto chciejmy wziąć przed się myśli godne siebie
. . . .
Służmy poczciwéj sławie...

Wraz z doniosłością i podniosłością wypowiadanych myśli, wzrasta powaga i spokój formy. Gdy uczucie poety żywiéj jest podniecone, wtedy zamiast 13-zgłoskowego wiersza, tak dobrze się nadającego do odbicia poważnych postanowień, podjęcia udziału w pracy nad szczęściem ogółu, używa poeta 11-zgłoskowego, lepiéj uwydatniającego tętno drgającego oburzeniem i cierpieniem serca.

Wieczna sromota i nienagrodzona
Szkoda Polaku; ziemia spustoszona
Podolska leży a pohaniec sprosny,
Nad Niestrem siedząc, dzieli łup żałosny.

To przenoszenie drugiéj części zdania do następnego wiersza, rozdzielanie rzeczownika z przymiotnikiem określającym go, tu stanowi zaletę pieśni, uwydatniając silne wzruszenie uczuć, wstrzymu-

jące niejako oddech i niedozwalające płynąć bez przerwy słowom poety oznajmującego narodowi bolesną i sromotną wiadomość.

Po wybuchu pierwszego wzruszenia, uczucie śpiewaka przybiéra ton skargi na bezsilność społeczeństwa, wobec słabego stosunkowo wroga:

Zbójce, niestety, zbójce nas wojują,
Którzy ani miast, ani wsi budują,
Pod kotarzami tylko w polach siedzą
A nas nierządne, ach nierządne! jedzą.
Jakiego serca Turkowi dodamy,
Jeśli tak lekkim ludziom nie zdołamy?
Zetrzyj sen z oczu a czuj wczas o sobie
Cny Lechu: kto wié jemu czyli tobie
Szczęście chce służyć....

Po téj energicznèj pobudce odzywa się w duszy poety ton ironii sarkastycznéj.

Wsiadamy! Czy nas półmiski trzymają,
Biedne półmiski, czego te czekają.

Ironia ta wynikająca z przeświadczenia o bezowocności gorących wezwań poety, występuje z największą siłą w zakończeniu:

Cieszy mię ten rym: Polak mądr po szkodzie
Lecz jeśli prawda i z tego nas zbodzie,
Nową przypowieść Polak sobie kupi,
Że i przed szkodą i po szkodzie głupi.

Działalność Batorego budzi w poecie otuchę i zapał gorący dla tego niepospolitego króla. Od chłodnéj dedykacyi „Satyra“ Zygmuntowi Augustowi, wymownie odbija cześć i miłość, jaką tchnie „Dryas zamechska“ lub pieśń „Na zdobycie „Połocka“. Kiedy w odzie na pochwałę królów polskich, poeta jest tylko chłodnym naśladowcą Ariosta (pochwała książąt z domu esteńskiego w Orlandzie), usiłującym wmówić w czytelników, iż zapał dla wielkiego przedmiotu unosi go aż pod niebiosa, to gdy woła do Batorego

Bóg pomóż królu jedyny,
Szerokiéj polskiéj krainy,—

lub ustami Dryady przemawia:

Mnie jednéj twoją dzielność i twe słysząc sprawy
Serce niemylnie tuszy: że cię z Bolesławy
Równo Polska kłaść będzie...

słowa jego są wierném odbiciem uczuć serca przepełnionego wdzięcznością i nadzieją.

V.

To bogactwo dobywających się z duszy poety tonów uczuciowych, wiąże się z rozwojem umysłowym i moralném dojrzewaniem pod wpływem doświadczenia i obserwacyi życiowéj. Świadomość wzmagających się zasobów i uzdolnień, własny postęp moralny, pobudzi poetę do podjęcia najtrudniejszego pod względem artystycznym zadania—utworzenia dramatu.

Że „Odprawa posłów" nie była pisana na obchód weselny Zamoyskiego, a tylko z okazyi tego wesela ukazała się światu, jest rzeczą niewątpliwą. Pobudką istotną był niepokój patryotyczny wywołany przez zetknięcie się bliższe z tajemnicami życia politycznego w epoce elekcyjnéj. Już „Wróżki", pisane przed śmiercią Zygmunta Augusta, wypowiadają obawy o blizką przyszłość kraju, wobec występujących na sejmach objawów prywaty i zepsucia moralnego, które tém groźniéj wzrosnąć muszą po bezpotomnym zgonie ostatniego z Jagiellonów.

Doświadczenie i obserwacye, zebrane w okresie dwu elekcyi, umocni jeszcze w duszy poety te przewidywania i skłoni go do przyobleczenia ich w niezwykłą — w polskiéj literaturze mianowicie—lecz dodającą im powagi i siły formę dramatu starożytnego.

Poetyka humanistyczna sformułowana przez Scaligera różniła się od starożytnéj tém, że dramatowi stawiała za cel nie tylko budzenie trwogi i litości, ale téż i pouczanie. Stąd teatr w szkołach dawniejszych stanowi dość poważny środek edukacyjny.

Forma „Odprawy" świadczy, iż poeta świadomie i ze znajomością rzeczy trzyma się wzorów greckich. Wziąwszy osnowę dramatu i jego osoby z Iliady, zachowuje ściśle jedność miejsca, czasu i akcyi, wprowadza chóry, używa białego wiersza. Wszystkie te środki mają tylko spotęgować wpływ nauczający utworu, podobnie jak włożenie maski Satyra lub przybranie postaci bogini Zgody, miało w oczach czytelników dodać powagi radom i upominaniom poety. W „Odprawie" cały szereg postaci starożytnych, unieśmiertelnionych w Iliadzie, przemawiać będzie zarówno upomnieniami i groźbami wprost zwróconemi do słuchaczów polskich, jak i akcyą odbijającą wiernie cechy życia politycznego polskiego.

W dramacie Kochanowskiego nie ma bohatera, nie ma postaci, któraby budziła grozę czy współczucie a jednak mimo to czytelnik doznaje tych uczuć, bo dzielić je musi wraz z poetą, ukazującym nam po za jednostkami i ich sprawami społeczeństwo, w którego

łonie rozgrywa się walka między pierwiastkami rozkładowemi a dążeniami dośrodkowemi. Prawdziwym bohaterem, którego losy mają nas trwożyć, wzruszać i pouczać, jest Troja ale... nie homeryczna, zapomniana, tylko nadwiślańska.

Poeta wprowadziwszy na chwilę Antenora, Parysa, Helenę czy Kasandrę, nie troszczy się o ich dalsze losy, nie stara się o pozyskanie dla nich żywszego i trwalszego zainteresowania czytelników czy widzów. Osoby te są niejako upostaciowaniem czynników życia wewnętrznego i stosunków politycznych Troi, Podobny stosunek spotykamy u Szekspira w „Juliuszu Cezarze.“ Nieskrępowany wzorami i regułami, poeta angielski wprowadza do utworu życie Rzymu z całą jego rozmaitością i bogactwem, kiedy Kochanowski trzyma się lękliwie przepisów i wzorów i daje nam w ciasnych ramach, zapożyczonych od tragedyi greckiéj, jakby fragmenty tylko wielkiéj całości, którą nosi w duszy, nie mogąc jéj ująć w szeroko rozwiniętą kompozycyą.

A jednak te fragmenty świadczą, iż poeta jako artysta blizkim był bardzo mistrzostwa, jakiego wymagało tak wielkie zadanie. Zarówno cechy i czynniki życia zbiorowego jak i indywidualne właściwości trafnie obserwuje i rysuje, stany uczuciowe wymownie odtwarza, a nadewszystko całość przenika poważnym i podniosłym nastrojem, wypływającym z żywéj troski o losy społeczeństwa i gorącego pragnienia poprawy jego stosunków.

O ile dla społeczeństwa poeta żywi gorące współczucie, zna nędze i kolce życia ludzkiego, stąd ma dla ludzi uczucia braterskie niemal, o tyle wobec tych, którzy stoją na czele rządu, którzy są przedstawicielami ogółu, kierownikami jego losów, wobec zaniedbujących obowiązki, młodzieży bogatéj a zepsutéj, występuje jako surowy mentor i sędzia nieubłagany.

Zawiązanie akcyi dramatu wyborne. Antenor, jeden z tych na których prawości, rozumie i energii wspiera się byt społeczeństw, wypowiada swój protest przeciw bezprawiom Aleksandra (Parysa) gwałcącego prawa gościnności przez uprowadzenie żony władzcy greckiego, w którego domu znalazł życzliwe przyjęcie. Skupia on koło siebie za pomocą darów, pochlebstw i „praktyk“ wogóle, liczne stronnictwo potrzebne mu dla poparcia własnéj sprawy na sejmie, mającym radzić nad odpowiedzią posłom greckim domagającym się, w imię sprawiedliwości, wydania porwanéj Heleny.

Jeden ze służalców Aleksandra próbował i Antenora ująć podarkiem czy obietnicą.

A mnie i dom mój i co mam z swych przodków
Nie jest przedajno. A miałbych swą wiarę
Na targ wynosić: uchowa mię tego
Bóg mój; nie ufa swéj sprawiedliwości
Kto złotu mówić od siebie rzecz każe.
Lecz i to człowiek małego baczenia,
Który na zgubę Rzeczypospolitéj
Podarki bierze; jakoby sam tylko
Wcale miał zostać kiedy wszytko zginie.

Słowa te miały odbić się echem wyrzutu sumienia w niejednéj duszy licznych uczestników intryg i zabiegów politycznych świeżych bezkrólewi.

Następujący potém dyalog między Antenorem a Aleksandrem, charakteryzuje dosadnie tych dwu ludzi występujących do walki, od któréj wyniku zależéć będą losy społeczeństwa. Poeta z niepospolitym artyzmem uwydatnił tu stopniowe przechodzenie od chłodnéj, ironicznéj uprzejmości do roznamiętnienia objawiającego się u Aleksandra obelżywemi podejrzeniami i zarzutami, czynionemi przeciwnikowi, u Antenora zaś przejściem od trzymanego na wodzy oburzenia do ironicznego wybuchu i gniewnego lecz poważnego przerwania przechodzącéj granice przyzwoitości rozprawy.

Gdyby poeta, nie krępując się formami i zasadami tragedyi greckiéj, chciał rozwinąć w szeregu scen działalność Antenora i Aleksandra w sprawie pozyskania stronników śród zasiadających na sejmie obywateli, otrzymalibyśmy szekspirowskie obrazy życia politycznego polskiego w wieku XVI. Że poeta miał w duszy bogaty materyał i że może umiałby w razie potrzeby go obrobić artystycznie, świadczy o tém obraz sejmu.

Zamiast tego jednak ukazuje nam poeta Helenę, pośrednią przyczynę grożącéj Troi katastrofy. Jakże marném jestto szczęście, dla którego Aleksander tyle ofiar składa. Ta upragniona Helena złorzeczy „bezecnemu“ uwodzicielowi i w najsmutniejszych pogrąża się obawach i przewidywaniach.

W pięknym, o lirycznym nastroju, dyalogu, Helena skarży się przed swą ochmistrzynią na przewagę cierpienia nad radością w życiu, na nierówność w rozdziale dóbr między ludźmi.

Zarówno bliższe zetknięcie się z życiem politycznêm i upadkiem moralnym współziomków, jak obrachunek smutków i radości własnego życia, doprowadziły poetę do pesymistycznych wniosków o nieuchronnéj przewadze złego w świecie. Siła i szczerość nastroju duszy wywołanego przez taki pogląd nadaje skardze Heleny mu-

zykalną piękność i wdzięk melancholijny. Poeta chce walczyć ze złem całą siłą swych uczuć, swego artyzmu a jednocześnie dochodzi do przeświadczenia, że „więcéj ci złego na tym świecie niż dobrego,“ że fortuna musi być skąpą w szafunku dobra, człowiek winien się godzić z cierpieniem jako koniecznością życia. Przekłada sobie jednak poeta, że „bardziéj do serca to co boli człowiek przypuszcza, niżli co k'myśli się dzieje i stądże się zda, że tego jest więcéj co trapi, niżli co człowieka cieszy.“

Mimo chwilowych wątpliwości, Kochanowski w głębi duszy żywi silne przywiązanie do ideału moralnego, na którym chciałby oprzéć życie jednostkowe i zbiorowe. W drugim chórze ukaże się nam natchnionym głosicielem tego ideału, przemawiającym do tych „co pospolitą rzeczą władają“ z namaszczeniem i siłą Skargi pouczającego w kazaniach sejmowych „obmyślaczów dobra pospolitego.“ Majestatyczna prostota tego chóru jest wierném odbiciem nastroju duszy Kochanowskiego, który zajął tu najpodnioślejsze stanówisko, o jakie pokusić się może poeta, stał się kapłanem głoszącym doniosłe prawdy, domagającym się w imieniu mas narodu sprawiedliwości od tych co trzymają w swych rękach ster rządów i wskazującym jako wzór do naśladowania sprawiedliwość najwyższą.

Opowiadanie o przebiegu obrad sejmowych możnaby z łatwością przerobić na scenę, któréj by się i Szekspir nie powstydził, tyle w niéj prawdy, werwy i trafnego pojęcia psychologii zgromadzeń publicznych. Barwniejszym i krzykliwszym jest wprawdzie sejmik w zaścianku dobrzyńskim, ale trzeba pamiętać, że Kochanowski odtwarza nam obrady sejmu, a Mickiewicz maluje nawet nie sejmik powiatowy ale zebranie szlachty zaściankowéj, przytém twórca „Odprawy“ krępowany jest wymaganiami uroczystego nastroju, koniecznego w tragedyi.

Ta tragi-komedya obłudy, rozgrywająca się od kilku tysięcy lat we wszystkich zgromadzeniach publicznych, świéżo obserwowana przez poetę na licznych zjazdach okresu elekcyjnego, została tu pochwycona i odtworzona z wielką trafnością i miarą. Ten Pryam upewniający, że u niego „pospolitéj rzeczy powinowactwo większe“ niż węzły rodzinne, a mimo to osłaniający przed sejmem zarówno czyn syna („Syn mój w Grecyi żony dostał, niewiem jako“) jak i następstwa jakie stąd mogą wyniknąć, budzi jeszcze w nas pewną pobłażliwość. Słabemu ojcu możemy wybaczyć takie wahanie się między obowiązkami monarchy a względami na syna. Za to obłuda Aleksandra jest bezczelną. Dla przekonania łatwowiernych a pobożnych o słuszności swego czynu powołuje się na wolę Bogów

(„Wenus mi ją sama zaleciła i za żonę dała“), by ująć mniéj naiwnych osłania swe bezprawie pozorami odwetu narodowego za porwaną kiedyś przez Greków Medeę, („onym się zyść miało Medeą z domu wykraść od przyjaciół naszych; A mnie zaś, ich fortelu takimże fortelem oddać się nie godziło?”). Porwanie Heleny to tylko słaba odpłata za niezliczone krzywdy przez Greków wyrządzone. Niech więc oni zwrócą Medeę, jeśli chcą odzyskać Helenę.

Ten płytki patryotyzm a właściwie szowinizm narodowy, na którym stara się wesprzéć swe usprawiedliwienie Aleksander, stanie się potężnym i decydującym czynnikiem, za sprawą zręcznego i wymownego gardłacza sejmowego Iketaona. Jak szekspirowski Antoniusz, potrafi on poruszyć najdrażliwsze struny uczuciowe w naiwnych słuchaczach i pociągnąć ich za sobą. Od razu wstrząsa i odurza on sejmujących fanfarą próżności narodowéj i grozą urojonego niebezpieczeństwa:

Owa jako nam kolwiek Grekowie zagrają
Tak my już skakać musim...
. . . . . . Teraz nam Helenę
Wydać każą, po chwili naszych się żon będą
I dzieci upominać.

Krzykliwa namiętność oszołomia tak słuchaczy, że nie zdając sobie sprawy z nielogiczności i bezzasadności rozumowań mówcy, w podnieceniu patryotyczném, nie pozwalają dojść do głosu przedstawicielom przeciwnego obozu i uchwalają przeważającą większością odmowną odpowiédź posłom greckim.

Mowa Antenora poważna, logiczna ale chłodna, przy końcu staje się rozwlekłą i nudną w zwrocie do króla, nic więc dziwnego, że przebrzmiała w sejmie bez skutku, zwłaszcza że mówca przemawiał do rozumu nie zaś do uczuć słuchaczów.

Mimo to scena sejmu stanowi najświetniejszy ustęp całego dramatu. Jeżeli się zgodzimy, że jedynym, istotnym bohatérem utworu jest społeczeństwo trojańsko-polskie, to w scenie téj mamy odtworzony doniosły moment jego życia, patrzymy na spełnienie czynu, który pociągnie za sobą zgubę bohatéra.

Jaskrawą charakterystykę stanu moralnego społeczeństwa trojańskiego, wygłasza jeden z posłów greckich Ulisses, którego opinia jest jakby echem sądów i relacyi, jakie niejednokrotnie przesyłali rządom swym posłowie i agenci obcych państw, uwijający się po Rzpltéj w czasie bezkrólewia. Tém tylko od nich się różni, że chłodną przedmiotowość, złośliwość czy ironią, zastępuje tu gorące obu-

rzenie i ubolewanie, mniéj może właściwe jako wyraz uczuć cudzoziemca, posła, obrażonego odrzuceniem słusznych żądań. Jeśli jednak zechcemy, jak to zapewne rozumieli współcześni, co stwierdza poniekąd Opaliński, odnieść tę przemowę do Polski, to postawić ją musimy, wraz z drugim chórem, obok proroczych upomnień i ostrzeżeń Skargi. Gorącością oburzenia i siłą słowa, boleścią patryotyczną, poeta zbliża się do wielkiego kaznodziei. Z załamanemi rękami patrzy on na to „nierządne królestwo i zginienia bliskie, gdzie ani prawa ważą ani sprawiedliwość ma miejsce, ale wszytko złotem kupić trzeba.” Po następném pokoleniu niczego się spodziewać nie można prócz zguby, jaką ten „wrzód szkodliwy“ zapowiada Rzeczypospolitéj. Zgodnie z innemi świadectwami przedstawia poeta obyczaje pokolenia, zrodzonego koło połowy XVI w. i wychowanego wśród przełomu doniosłego w pojęciach i stosunkach politycznych, religijnych, i ekonomicznych, w ciemnych bardzo barwach.

. . . . ci cnocie i wstydowi cenę
Ustawili i przed tymi trudno człowiekiem być
Dobrym, ci domy niszczą, ci państwo ubożą
A rzekę że i gubią . . .
A przykładem zaś swoim jako wielką liczbę
Drugich przy sobie psują?

Skarga jaką do Bogów zanosi Menelaus, następujący po niéj chór („O białoskrzydła morska pławaczko“), i przepowiednia Kassandry przenoszą nas znów na grunt grecko-trojański. W tych ustępach okazał poeta niepospolitą zdolność odtwarzania form i ducha poezyi starożytnéj. Ten artyzm naśladowczy może nas zająć, ująć pięknością formy, obudzić podziw, ale do duszy nie przemawia. Monolog Kassandry na scenie przy odpowiedniéj deklamacyi i grze, mógłby silne wywrzéć wrażenie, ale wtedy większa część zasługi należałaby się artystce za odtworzenie stanu podniecenia i podniesienia duchowego, w jakim ukazuje się nam ta córa Pryama. W czytaniu jednak nie budzą przepowiednie Kasandry uczucia naszego. Prócz szczeréj zapewne skargi poety na brak „wagi w słowiech“, któremi wieszczego ducha swego chciałby wyrazić, na obojętność z jaką ludzie przyjmują jego przestrogi, nie spotykamy tu ni jednego obrazu czy myśli, któreby znalazły oddźwięk w naszéj duszy. Zstąpienie natchnienia na Kassandrę skréślone dość ciężko. Dopóki poeta mógł współczesne stosunki własnéj ojczyzny przenosić na widownią trojańską, dopóty nie krępując się względami na

wymagania prawdy dziejowéj kréślił nam trafne, głęboko ujęte i żywo odtwarzane zarysy polskich stosunków, z chwilą jednak gdy wypadło mu przedstawić katastrofę dziejowego dramatu, sprowadzoną przez błędy i zaślepienie społeczeństwa, spostrzegł że nie podoła zadaniu, że w ramach dziejowego zaniku maleńkiego państewka rozpostartego na kilku wzgórzach i małym skrawku wybrzeża morskiego, nie podobna pomieścić katastrofy obalającéj dziejową budowę wielkiego społeczeństwa. Przytém nie umiałby zapewne sformułować poeta swoich obaw i przewidywań z tą wyrazistością i proroczém jasnowidzeniem, jakie spotykamy u Skargi. Być może, iż tę niemoc swą miał na myśli, skarżąc się na Apollina „który wieszczego ducha dawszy, nie dałeś wagi w słowiech.” Z tego powodu ograniczył się poeta na obrazach i faktach mających związek tylko z Troją homeryczną, choć w rozmowie Antenora z Pryamem, w obrazie przygotowań do wojny z Grecyą, używa wyłącznie prawie rysów i wyrażeń wziętych ze stosunków współczesnych polskich i kończy wreszcie utwór pobudką wojenną włożoną w usta Antenora:

Ba, radźmy téż o wojnie, nie wszytko się brońmy;
Radżmy jak kogo bić lepiéj niż go czekać.

Słowa te odniesione do Troi i do sytuacyi w jakiéj je wygłasza Antenor są niewłaściwe, stają się zrozumialemi dopiéro gdy je uważać będziemy za nawoływanie społeczeństwa polskiego do popierania planów Batorego. Artyzm musiał tu ustąpić patryotyzmowi.

VI.

Jak w „Odprawie“ pociąga nas i wzrusza najwięcéj nie to, co widzimy na scenie, ale to, co poeta dość przejrzyście ukrył w postaciach i wypadkach świata greko-trojańskiego, by odtworzyć poniekąd dramat życia dziejowego, własnego społeczeństwa, tak znowu w „Psałterzu“ czarować nas będą nie tyle tony harfy Dawidowéj, ile śpiéw serca poety, którego melodya oplatać będzie i przekształcać podniosłą lecz monotonną psalmodyą kapłana-poety, jak tęskna modlitwa Gounoda unosząca się nad falami preludyi Bacha.

Przekład Kochanowskiego, mówiąc językiem muzycznym, jest swobodną transkrypcyą pieśni psalmisty, opartą po części na przeróbce humanistycznéj, łacińskiéj, „Psałterza“ dokonanéj przez Buchanana.

W transkrypcyi téj ulegnie zmianie zarówno ton jak tempo, rytm i koloryt pierwowzoru, stąd nie tylko jako wyraz artyzmu formalnego, występującego tu w niezwykłym blasku, ale także jako odtworzenie różnych odcieni uczuciowych duszy ludzkiéj „Psałterz“ Kochanowskiego jest niewątpliwie najpiękniejszém dziełem poety.

Zawiedziony w miłości, przyjaźni, ambicyi, odsunięty od świata, nie tylko przez osiedlenie się w Czarnolesie, ale więcéj jeszcze przez duchowe wyniesienie ponad poziom otoczenia, szuka poeta pociechy i pokrzepienia w poezyi i uczuciu religijném. Gdy ludzie nie chcą cieszyć serc jego pieśniami, gdy jeden Myszkowski tylko „wzgardzone muzy“ ocenił życzliwie, lecz sam się przeniósł w dalekie okolice, otrzymawszy biskupstwo płockie, poeta przed Bogiem jedynie otworzyć może swe smutne serce. W szczerości i gorącości jego uczuć religijnych możnaby upatrywać wpływy dziedzictwa duchowego po matce, która z krwią Odrowążów przechować musiała i tradycyjną religijność starego rodu.

Że przytém poeta chciał rozwinąć i uwydatnić zasoby swego artyzmu, że świadomie i z niezwykłą starannością dobierał form wiersza i zwrotek dla uwydatnienia różnych stopni i odcieni swych uczuć, o tém świadczy zarówno bogactwo udoskonaleń nieznanych dotąd w poezyi polskiéj jak i podniesienie téj zasługi przez samego poetę w dedykacyi „Psałterza“ Myszkowskiemu. Praca nad „Psałterzem“ trwała prawdopodobnie około lat 9, jeżeli zestawimy datę listu do Fogelwedra (1571 r. 6 października) donoszącego o rozpoczęciu roboty z datą ogłoszenia drukiem (1579 r.). Rzecz naturalna, iż nastrój duszy poety ulegał w tym czasie wielu zmianom, pod wpływem zmian w losach i warunkach bytu. Zarówno żywy udział w życiu polityczném epoki elekcyjnéj, jak ożenienie, życie rodzinne, rosnąca świadomość własnych uzdolnień, uleczą poetę powoli ze smutku, jaki owładnął jego sercem w epoce utworzenia „Muzy“ i pracy nad pierwszą księgą „Psałterza“ [1]).

Bom od wszystkiego świata opuszczony
Pełne mam serce nieznośnéj żałości (Psalm XXV).

Osobista skarga poety nie tylko przekształca w psalmie XXXV ton i formę oryginału, ale wprowadza nieznane psalmiście obrazy i wyrażenia:

---

[1]) Z konieczności muszę powtórzyć tu niektóre przykłady i rysy pomieszczone już w dawniejszéj méj pracy „Kochanowski w świetle własnych utworów.“

Wiodą to na mnie o czem me poczciwe
Serce nie myśli
. . . .
Głodni pochlebce czci mi uwłaczali,
Mną sobie gęby dworni wymywali
Darmozjadowie.

Z jakąż siłą wiary, cierpienia, woła następnie poeta:

Panie kto Tobie rówien? Ty ubogich
Trapić możniejszym nie dasz; Ty z rąk srogich
Nędzne wyrywasz.
Widzisz o Panie, jawną krzywdę moją,
. . . .
Osądź mię według swéj sprawiedliwości
A nie daj Panie przeklętéj zazdrości
Pociechy ze mnie.

Każda zwrotka w tym wspaniałym wybuchu uczuć przedstawia nam rosnące gwałtownie *crescendo* oburzenia czy protestu, przerwane jakby potężnym akordem w innéj tonacyi, półwierszem nierymującym się wcale. Psalm ten czeka na muzyka, któryby zrozumiał poetę i odtworzył tonami całą gamę uczuć od prośby pokornéj do wybuchu gniewu i nienawiści.

Czy istotnie ludzie tak dokuczyli poecie czy też może odczuwał on zbyt silnie zwykłe zawody i niepowodzenia życia, trudno odgadnąć, nie znając bliżéj tajemnicą okrytych stosunków.

Jak żywo odczuwał poeta drobniejsze przeciwności życiowe, o tém świadczy niepospolitéj piękności „Modlitwa o deszcz“ pochodząca zapewne z téj epoki co i przekład „Psałterza.“

Wszego dobrego dawco i Szafarzu wieczny,
Tobie ziemia spalona przez ogień słoneczny,
Modli się dżdża i smętne zioła pochylone,
I nadzieja oraczów, zboża upragnione.

Obraz ten nie dorównywa wprawdzie tragicznemu odtworzeniu przez Ujejskiego rozpaczy Agary błagającéj litości nad konającym z pragnienia synem, ale za to tchnie wzruszającą szczerością i ciepłem uczucia wiążącego poetę zarówno z Bogiem „dawcą wszego dobrego“ jak i z cierpiącą, smętną przyrodą.

Zawody doznane w stosunkach z ludźmi, osamotnienie do którego i sam poeta może własnemi błędami, zwłaszcza zbytnią drażliwością i pewnością siebie mógł się też przyczynić, wywołały doniosłe dla charakteru i twórczości poety przesilenie moralne, którego

odbicie spotykamy w „Psałterzu“ i „Fraszkach“ (wiersze „do Jana”). Czując się „od całego świata opuszczonym“, a jako poeta nieuznanym („wzgardzone Musae moje“), serce swe przepełnił żalem do ludzi („pełne mam serce nieznośnéj żałości”). Cierpienie pobudziło refleksyą, skłoniło do ścisłego obrachunku sumienia, który wypadł korzystnie dla poety. Któż jednak mógł tu być sędzią, kto mógł uznać jego niewinność? Ten jedyny tylko, który czyta w tajnikach serc ludzkich.

Takiemu nastrojowi duszy zawdzięcza niezwykłą piękność formy i siłę wysłowienia psalm VII. Zacząwszy od westchnienia błagalnego ku Bogu („W tobie ja samym Panie człowiek smutny, Nadzieję kładę, ty racz o mię radzić“), dochodzi w szybkiém *crescendo* uczuciowém do pełnego siły protestu przeciw zarzutom i sądom nieprzyjaciół. Jeżelim winien, jeżelim dał „z siebie przyczynę“, jeślim „przyjaźni nie szczerze zachował,“

Niech nieprzyjaciel górę ma nademną
Niech mię w proch zetrze i moją cześć ze mną.

Uczucie religijne powstrzymuje poetę od wybuchów niechęci ku ludziom i daje mu siłę do znoszenia cierpień moralnych.

Jeśli mię mój Boże
Ty sam nie wyrwiesz, nikt mię nie wspomoże
. . . .
Ty bądź mym stróżem, niech się zły nie śmieje
Żem ja położył w Tobie swe nadzieje. (Ps. XXV).

Miłość ku Bogu jest źródłem natchnień tłumacza:

Serce mi każe śpiewać Panu memu
A język sercu posłuszny pełnemu,
Odbiera słowa i nowy rym dzieje (Ps. XLV).

Śpiéwa poeta za psalmistą.

W drugiéj połowie „Psałterza“ przebija się stopniowe uspokojenie i pogodzenie z warunkami życia. Wpłynąć mogło na to szczęśliwe życie rodzinne w pierwszych latach po zaślubieniu Doroty Podlodowskiéj a więcéj może jeszcze rosnąca w duszy poety ufność w Bogu, tak wymownie wypowiadana w wielu psalmach, wreszcie dojrzewająca w duszy filozofia życia, zakładająca szczęście na umiarkowaniu żądz i spokoju wobec zmian losowych. Jak w pierwszéj połowie „Psałterza“ najżywiéj i najwymowniéj wypowiadał Koch. swe skargi i cierpienia, tak znowu w drugiéj najpiękniejszemi są psalmy wyrażające ufność w Bogu lub wysławiające jego potęgę.

Z jakiém życiem, zapałem i zacięciem wesołym śpiewa poeta:

Bogu ufa dusza moja,
To mój zamek, to ma zbroja,
W nadzieję jego zasłony
Nie boję się z żadnéj strony (Ps. LXII).

Z jaką siłą wiary i powagą kaznodziei ukazuje ludziom ideał sprawiedliwości:

Królowie sądzą poddane,
A króle koronowane
Sędzia wiekuisty sądzi (Ps. LXXXII).

Wspaniały chór „Odprawy“ („Wy, którzy pospolitą rzeczą władacie“) jest właściwie tylko parafrazą powyższego psalmu. Nic dziwnego, że najpopularniejszym z psalmów drugiéj seryi stał się ten, w którym poeta uczucie ufności w Bogu i spokoju, jaki stąd spływa na duszę ludzką, wyraził z tą nieporównaną prostotą i szczerością nadającemi pieśni „Kto się w opiekę" od trzech wieków znaczenie ulubionéj, narodowéj niemal modlitwy.

Ciekawym wyrazem téj radosnéj ufności w opiekę Boga, stwierdzonéj własném doświadczeniem, jest psalm LXXII:

Niech co chce będzie, żyw Pan ludu swemu
I zna kto szczerym sercem służy jemu.
Jaciem poprawdzie o włos nieszwankował:
Mój nierozumny rozum to sprawował.
Bo kogo — prze Bóg żywy — nie pobudzi
I ten wczas i ten dostatek złych ludzi.

Cały ten psalm, pełen życia i uczucia, jest jakby spowiedzią osobistą poety, osnutą na kanwie myśli psalmisty.

Uczucia narodowe znalazły téż swój wyraz w przekładzie psalmu LXXIX-go.

Pohańcy, o Boże żywy,
Wojują twój kraj właściwy.

Mamy tu jakby uzupełnienie znanéj pieśni o napadzie tatarskim („Wieczna sromota i nienagrodzona Polaku szkoda“).

W psalmie CXXVIII-ym opiewa nam poeta ideał szczęścia osobistego, opartego na ogólném.

W rzeczypospolitéj zgodę
I całą ujrzy swobodę,
Ujrzy synów swoich plemie
I spokojną zewsząd ziemię.

Psalm CIV „Dusza śpiewaj Panu pieśń“ jest niewątpliwie najwspanialszém zobrazowaniem stosunku Boga do świata, jakie posiadamy w poezyi naszéj.

Wprawdzie poeta hebrajski daje Kochanowskiemu gotowe już obrazy i myśli, ale w porównaniu do przekładu, pierwotwór jest poważném *recitatiwem*, urywaném, monotonném, kiedy u poety polskiego rozbrzmiewa podniosła, szeroka melodya, wzbijająca się chwilami do potęgi i szczytności hymnu archaniołów, to znowu przechodząca w łagodne „pastorale“ lub uczuciową modlitwę.

Porównania z zakresu form muzycznych wzięte, mimowolnie nasuwają się przy rozpatrywaniu „Psałterza“. Wiecznotrwała piękność tego przekładu i znaczenie doniosłe w rozwoju poezyi polskiéj, polega przedewszystkiém na umuzykalnieniu języka, przez upodatnienie go do odbicia bogatéj gamy tonów uczuciowych, wymagających odrębnych form wiersza, zwrotki i stylu.

Nic dziwnego, że zaraz po ogłoszeniu „Psałterza“ znalazł się w Gomółce znakomity komentator muzyczny, który w swych „Melodyach na Psałterz“ starał się ująć w ówczesne formy muzyczne, unoszące się nad słowami poety rytmy i tony fal uczuciowych [1]).

Trzycieski wysławia muzykalność wrodzoną Reja, ale utwory poety nie noszą na sobie piętna ni rytmicznych, ni melodyjnych popędów. Uczuciowość Reja tak mało przedstawia odcieni, zamkniętych w tak ciasnéj skali, zarówno pod względem siły natężenia, jak stopnia wzniesienia czy pogłębienia, że nie mogła wycisnąć wydatniejszego piętna na formie i stylu utworów. Ze słów Trzycieskiego można się domyślać, że muzykalność twórcy „Wizerunku“ polegała na słuchu i pamięci wybornéj, skutkiem czego łatwo chwytał i zatrzymywał raz słyszane melodye. Kochanowskiego muzykalność miała swą podstawę w duszy, w bogatym rozwoju uczuć, które, nie znajdując dla siebie bezpośredniego wyrazu w formach muzycznych niedostępnych dla poety, nadały pochodowi myśli, układowi wierszy i formie strofek, wznoszenia się i spadki, falowania i zatrzymywania właściwe melodyom, odbijającym głębsze stany uczuciowe, lub grę ścierających się fal uczuciowych. W pieśniach „Sobótki,“ przeważa nad melodyą ruch rytmiczny jednostajny, jakby echo tańca w podskokach wykonywanego przez koło dziewcząt.

Do wielu pieśni Kochanowskiego ułożono muzykę lub przysto-

---

1) Prawie współczesne pojawienie się melodyi Gomółki, pozwala się domyślać wcześniejszego udzielania mu przez poetę w rękopisie jeszcze przekładanych częściowo psalmów.

sowano jakąś dawniejszą melodyą. Nietylko „Czego chcesz po nas Panie”, ale i „Pieśń o potopie” były śpiewane, a melodya téj ostatniéj tak powszechnie znana, że Klonowicz każe swego „Flisa” śpiewać na nutę: „Przeciwne chmury”. Pisząc pieśń: „Bodajci złe dni nie chcesz mię miłować”, z powtarzającym się po każdéj zwrotce przyśpiewem:

Biadaż mnie na cię, to mnie głowę psujesz
Inaczéj niewiem, jeno mię czarujesz.

musiał poeta miéć na myśli jakąś znaną melodyę, do któréj przystosował formę pieśni.

Podobnież w przekładzie psalmu LXVIII, to stale powtarzające się przenoszenie połowy drugiéj zdania do następnego wiersza, jest jakby echem form śpiewu kościelnego:

....sierotom tęskliwym
Ten jest ojcem, ten smutne opatruje wdowy,
Ten niepłodnym potomstwo daje, ten okowy
Ciężkie z więźniów zdejmuje...

O ile jednak poeta w pierwszéj epoce swéj twórczości przystowywał formę swych pieśni do znanych mu rytmów, czy melodyi, o tyle w epoce pracy nad „Psałterzem”, pod wpływem nowych stopni i odcieni uczuciowych, dla których znane mu ówczesne melodye nie dostarczały odpowiedniéj formy, zostawał on często pod wpływem téj nieujętéj, idealnéj muzyki własnego serca, oczekującéj dotąd na genialnego artystę, zdolnego odgadnąć ją ze stylu i toku wiersza w „Psałterzu” i ująć w formy melodyjne. Ta muzykalna piękność występuje w „Psałterzu” tam tylko, gdzie wchodzi w grę uczucie poety. Gdzie zaś wyraża pojęcia czy obrazy obojętne mu, staje się chłodnym, bladym, rozwlekłym. Metryczna budowa wiersza jest zwykle nieregularną, niestaranną. O ile względy muzykalne zniewalają go do obmyślania urozmaiconéj budowy zwrotek w połowie niemal pieśni składających „Psałterz“, o ile z tych powodów wprowadza w czterech psalmach rymy przekładane, nieznane dotąd w poezyi polskiéj, o tyle nie troszczy się o systematyczne przeprowadzenie jednéj kombinacyi w układzie miar wierszowych danego utworu.

Wobec bogactwa czynników artystycznych, jakie Kochanowski wprowadza do poezyi polskiéj, można mu to zaniedbanie wybaczyć.

VII.

Najwyższego stopnia w rozwoju uczuciowości dosięgnie dusza poety pod wpływem najsilniéj odczutéj ze strat, jakie poniósł on w swém życiu — niespodzianéj śmierci trzydziestomiesięcznéj zaledwie córki.

Cały dorobek duchowy poety, cała jego filozofia szczęścia, opartego na umiarkowaniu i spokoju duszy, religia indywidualna ugruntowana na przeświadczeniu, iż Bóg sprawiedliwy stosuje już w życiu ziemskiém stopień kar do wysokości wykroczeń, runęły w zetknięciu z powiewem nieskończoności, który, gasząc ten drobny płomyk obiecujący stać się słońcem starości nieszczęśliwego ojca, wypełnił mu duszę mgłą smutku i zwątpienia. Śmierć Urszulki wstrząsnęła ustaloną w duszy poety z niemałym trudem równowagę moralną, odsłoniła przed nim ciemne głębie nieskończoności, w które nigdy się nie zapuszczał, poprzestając na swéj prostéj, w ciasnych granicach zamkniętéj filozofii i religii zarazem.

Po raz pierwszy w życiu odczuje poeta z całą siłą marność człowieka, ograniczoność jego umysłu, niemoc wobec tajemniczéj potęgi, obalającéj w jednym momencie owoce długoletnich przygotowań i plany na daleką przyszłość.

Pomimo doznanych w życiu zawodów, pomimo swéj szczeréj religijności, poeta nie tracił nadziei osiągnięcia szczęścia w tém życiu; choć chętnie zwracał się do Boga, jako dobrego ojca i sprawiedliwego sędziego z prośbami lub skargami, nie tęsknił przecie za niebem, nie pociągały go ku sobie przestwory nieskończoności, jak Sarbiewskiego, nie zbrzydła mu ziemia. Sądził on, że już skończył się dla niego okres zawodów i cierpień, że doszedł do tego stopnia doskonałości moralnéj i równowagi duchowéj, na którym człowiekowi należy się zbiérać owoce dojrzałości i używać spokojnego szczęścia w życiu doczesném.

Ta upragniona i zasłużona, w przekonaniu poety, nagroda zawodów, trudów i wysiłków moralnych, zapada się nagle pod jego stopami; wraz z trumienką Urszulki grzebie on wszystkie swe nadzieje. Nic dziwnego, że wstrząśnięta takim ciosem dusza poety wydobędzie z siebie tak silne, podniosłe, gorące i głębokie tony uczuciowe, do jakich dotąd nigdy zdolną nie była, jakich nie spotkamy w poezyi naszéj do czasów, gdy wielkie, ogólne boleści znajdą oddźwięk w wielkiém sercu wieszcza narodowych cierpień i pragnień.

Wypowiadając w „Trenach" różne momenty duchowego przesilenia, wywołanego przez to wstrząśnienie moralne, poeta bezwiednie stworzył wspaniały poemat psychologiczny, z którym do pojawienia się „Dziadów" nic nie możemy porównać.

Choć utwór swój Kochanowski nazwał żalami na zgon córki, całe współczucie i zainteresowanie czytelnika dzisiejszego zwraca się ku duszy samego ojca i zachodzącemu w niéj procesowi. Wdzięczna postać dwuletniéj dzieciny wprowadza do utworu niezwykły kontrast zespolenia uczuciowego dwu dusz, z których jedna dopiéro budzić się do życia zaczęła, kiedy druga dochodzi do kresu swego rozwoju. Patrząc z rozkoszą na wywołane przez pieczołowitość ojcowską wczesne tak objawy rozwijania się władz duchowych w Urszulce, tém śmielsze i świetniejsze snuł Kochanowski dla córki i swego przyszłego szczęścia nadzieje.

Sam poeta zaznacza to niejednokrotnie, że rozpacz po stracie dziecka potęguje w nim jeszcze ruina dotychczasowych zdobytych z trudem przekonań.

Nieszczęśliwy ja człowiek, którym lata swoje
Na tym strawił, żebych był ujrzał progi twoje (mądrości),
Terazem nagle z stopniów ostatnich zrzucony
I między insze, jeden z wiela policzony.

Co znaczy mądrość cała ludzka, tyle obiecująca, tak śmiało rozwiązująca wszystkie kwestye wobec nieskończoności sfer zaświatowych:

Wspinamy się do nieba, Boże tajemnice
Upatrując, ale wzrok śmiertelnéj zrzenice
Tępy na to: sny lekkie, sny płoche nas bawią,
Które się nam podobno nigdy nie wyjawią.

Doszedłszy do tak pesymistycznego zapatrywania się na owoce mądrości ludzkiéj, widzi poeta, że wraz z „pociechą" (córką) traci i „baczenie swoje", t. j. świadomość siebie i swego stanowiska na świecie.

Jak nieszczęśliwy kochanek Maryli, pod wpływem boleści serca zranionego, obojętnieje na swe ideały filareckie i z ironią powtarza początek „Ody do młodości", jako wyraz przekonań i dążeń straconych już dla niego; podobnie i nieszczęśliwy ojciec Urszulki swe niedawne tak doniosłe i drogie mu pojęcia uważa po doznanym ciosie za urojenie, za „sny lekkie i płoche".

Nieskończoność dla tych, których praca myśli goniącéj za absolutem, lot wyobraźni szukającéj ideału, lub porywy serca tęskniącego za najwyższém dobrem i sprawiedliwością, oswoją z bez-

miarami, przestaje być straszną, przeciwnie pociąga i upaja, wywołuje tęsknotę za sobą, pragnienie wyzwolenia się z ciasnéj widowni życia ziemskiego. Sarbiewski już wymownie maluje to uczucie i śmiało wzbija się w przestwory nadziemskie.

Kochanowski nie posiadając lotnéj wyobraźni, ni zapalnego serca, poprzestawał na świecie, jaki zbudował pracą własnéj myśli z kombinacyi pojęć i obrazów biblijnych i stoickich, nie zaglądając nigdy po za kulisy z obłoków otaczających tron najwyższego władzcy téj ziemi, przed którym przywykł kornie uniżać swą głowę. Nie były mu obce wprawdzie pojęcia Platona, ale nie czuł się zdolnym do abstrakcyjnéj pracy myśli:

....Cóż gdzie nasze oczy
Dosiąc nie mogą? gdzie myśl, która niebem toczy,
Gdzie sama piękność świeci i kształty wszechrzeczy,
Nie może tego pojąć mdły rozum człowieczy.

Niespodziewana śmierć dziecka ukazała mu po za temi różowemi obłokami poraz pierwszy ciemną głębię, w któréj zrozpaczony ojciec nie mógł dojrzéć sprawiedliwego Ojca i Sędziego, jakiego tam sobie wystawiał.

Nieznajomy wróg jakiś miesza ludzkie rzeczy,
Nie mając ani dobrych, ani złych na pieczy,
Kędy jego duch wionie żaden nie ulęże
Prawli, krzywli, każdego bez braku dosięże.

Przypuszczenie takie sprzeczne z dotychczasowemi pojęciami poety, drażniące tylko, lecz nie zdolne uspokoić bólu serca, ustąpi naturalnie miejsca innemu, które na dłużéj, trwale może, zawładnie duszą cierpiącego — pojęciu o bezsilności rozumu ludzkiego, co do rozwiązania kwestyi stosunku człowieka do potęg zaświatowych.

Świadomość téj bezsilności wytworzy w sercu poety nowe uczucie, nieznane mu dotąd: pokorę, pod któréj wpływem zrzeka się on wobec Boga swych indywidualnych dążeń i wymagań.

Wynurzenia pokorne znajdujemy już i w „Psałterzu“, choć tam możnaby je uważać tylko za wyraz przejęcia się tłómacza uczuciami oryginału, dopiéro więc w „Trenach“ spotkamy otwarte, szczere i gorące wyznanie téj pokory, nadające poraz pierwszy cechę chrześciańską religijności Kochanowskiego:

My nieposłuszne, Panie, dzieci twoje,
W szczęśliwe czasy swoje
Rzadko cię wspominamy.
. . . .

Niechaj na cię pomniemy.
Przynajmniéj w kaźni, gdy w łasce nie chcemy.

. . . .

Pierwéj świat zaginie,
Niż ty wzgardzisz pokornym,
Chociaż był długo przeciw Tobie spornym.

Ten akt pokory w połączeniu z doznaném cierpieniem wyzwoliły serce poety z resztek krępującego je pancerza indywidualizmu. Poraz pierwszy otworzy on głębie uczucia przed ludźmi i dobędzie z serca tony rozrzewniające swą szczerością i prostotą. Poraz pierwszy przemawiać będzie do czytelnika nie dworny mówca i mentor, nie natchniony kaznodzieja i polityk, lub osamotniony na swym piedestale śpiewak, lecz cierpiący człowiek, nieszczęśliwy ojciec, chcący się podzielić z braćmi ludźmi swą boleścią, szukający ulgi w ich współczuciu, jako „jeden z wiela“ nieszczęśliwych.

Jak Werther wołający: „Serce takie ja mam tylko sam”, tak i Kochanowski upewnia nas z całą siłą przeświadczenia:

Żaden ojciec podobno bardziéj nie miłował
Dziecięcia, żaden bardziéj nad mię nie żałował.

Podniecenie uczucia uzdalnia poetę do skreślenia tchnącego prawdą i wdziękiem wizerunku Urszulki, jedynego, na jaki się zdobył poeta w swych utworach, bo wymowny i udatny portret Doroty w „Sobótce” jest zręcznie przerobiony z charakterystyki Alcyny, wziętéj z „Orlanda”.

Gdy ten nastrój serdeczny osłabnie wraz z siłą cierpienia, znowu odezwie się w Kochanowskim dbały „o cześć ze swego płaczu” poeta, który zapragnie ująć w pewien ład częściowe wylewy uczuć i wynurzenia związanych z nimi myśli.

Dorobi więc obmyślane więcéj niż odczute, dwa pierwsze treny, w ostatnim zaś do opisu prawdziwego, stąd tak ujmująco przedstawionego snu, wprowadzi włożoną w usta zmarłéj matki przemowę (*consolatio*), będącą tylko szerszém rozwinięciem z odpowiedniemi do sytuacyi zmianami, nauki, jaką wygłaszał synowi z po za grobu hetman Tarnowski (w wierszu „O śmierci Jana Tarnowskiego”).

W nieśmiertelnych lamentacyach i medytacyach swych „Trenów” posługuje się poeta najczęściéj wierszem 13-zgłoskowym, nadającym się do uwydatnienia to głębokich westchnień przytłoczonéj smutkiem piersi, to znowu wzlotów duszy wyrywającéj się w swéj tęsknocie za zmarłą dzieciną. Gdy na widok pozostałych po niéj

pamiątek żal ściska pierś poety, tamując mu głos, znajduje on w kombinacyi 11-zgłoskowego wiersza z 7-zgłoskowym (w trenie VII) formę dwuwiersza, uwydatniającego wymownie to wydobywanie się słów skargi, przerywanéj kurczem ściskającéj się od bólu krtani:

Nieszczęsne ochędóstwo, żałosne ubiory
Mojéj najmilszéj córy.
. . . .
Giezłeczko tylko dała a lichą tkaneczkę;
Ociec ziemi bryłeczkę
W główki włożył; niestetyż! i posag i ona
W jednéj skrzynce zamkniona.

W saméj dykcyi tego trenu czujemy drżenie głosu ojcowskiego, tłumionego przez cisnące się łzy.

W trenie XVIII forma zwrotki (1 i 4 wiersz 11-zgłoskowy, 2 i 3 wiersz 7-zgłoskowe) odtwarza to błagalne wznoszenie się duszy z gorącą modlitwą ku Bogu:

Miéj nas na wodzy, niech nas nie rozpycha
Doczesna rozkosz licha;
Niechaj na Cię pomniemy
Przynajmniéj w kaźni, gdy w łasce nie chcemy.

Po raz pierwszy wprowadza téż Kochanowski do poezyi, jako wyraz tkliwości ojcowskiéj, zdrobniałe formy języka dziecięcego: Orszuleczka, szczebiotka, ręczynki, stopeczki, giezłeczko, zmazeczka, letniczek, bryłeczka i t. d.

Choć odzyska z czasem nieszczęśliwy ojciec równowagę duchową, zawsze jednak przebyte wstrząśnienie zostawi trwałe ślady w nastroju uczuciowym i pojęciach. We „Wtargnieniu Radziwiłła" czyli „Jeździe do Moskwy", czuć w traktowaniu przedmiotu powagę i spokój człowieka, dochodzącego do kresu żywota i stąd niezdolnego już zapalać się dla spraw ludzkich. Nie tak dawno jeszcze przejmował się żywo zwycięstwami Batorego, teraz z ojcowską niemal powagą i życzliwością przemawia do Radziwiłła, a jego pochód opowiada z kronikarską drobiazgowością, widocznie na podstawie udzielonego sobie dyaryusza, który przerabia wierszem.

W liście do Zamojskiego, ogłoszonym przy wydaniu trzech pieśni w r. 1580, sam poeta wyznaje, iż pod wpływem przebytych cierpień stracił chęć i zdolność do tworzenia.

O tém śpiewać potrafi jedynie co go nie przestało obchodzić żywo. Stanie więc w obronie Zamojskiego, złoży wdzięczny hołd dobroci swéj towarzyszki życia, umiejącéj „słodkiemi słowy" wypę-

dzać troski z głowy smutnego męża, najchętniéj jednak wypowiadać będzie uczucie wywołane myślami o bliskiéj śmierci, która wydaje mu się teraz upragnionym portem dla rozbitków życia. Z serca swego dobędzie znękany poeta ton spokojnéj melancholii, miarkowanéj przez silną religijność.

Pewienem tego, a nic się nie mylę,
Że bądź za długą, bądź za krótką chwilę,
Albo w okręcie całym doniesiony,
Albo na desce biednéj przypławiony
Będę jednak u brzegu,
Gdzie daléj niemasz biegu;
Lecz odpoczynek i sen nieprzespany
Tak panom, jako chudym zgotowany.

Wobec śmierci i cierpienia poeta czuje się tylko „jednym z wielu“, rozumié nędze życia wspólne wszystkim:

....snać najmędrszemu
Trudno pogodzić temu,
Aby przynajmniéj więznąć, albo zbłądzić
Nie miał, chyba gdy kogo Pan chce rządzić.

Spokój rezygnacyi, wspartéj na ufności w Bogu i poddaniu się niepojętym wyrokom najwyższéj sprawiedliwości — oto ostatni moment w rozwoju duchowym poety i ewolucyi uczuć, stanowiących czynniki jego artyzmu.

VIII.

W téj gamie tonów i półtonów uczuciowych, jakie z duszy poety przeszły do jego utworów, pominęliśmy dwa, tak doniosłe w życiu i sztuce: miłość i radość. Nie spotkaliśmy ich w najważniejszych utworach Kochanowskiego, widocznie więc nie odgrywały one wybitniejszéj roli w życiu duchowém. Wprawdzie we „Fraszkach“ i „Pieśniach“ znajdziemy nieraz miłość i wesołość, ale uczucia te nie wzniosą się nigdy ponad zmysłowe podniecenie, nie wypełnią sobą duszy poety.

Miłość występuje tu jako zmysłowy popęd, podniecający do przypodobania się z pomocą wydwornych pochwał i obietnic unieśmiertelnienia wybranéj za pomocą poezyi.

Ja na farbach malarskich nic się nie rozumiem,
Także wiele z marmorem postępować umiem.
Ale wierszem ozdobnym i rymy gładkiemi,
Mam nadzieję, że z mistrzmi porównam dobremi,

Temi ja przeciw długim latom się zastawię,
A za chęcią cnych Bogiń imię twe wybawię
Z niepamięci nieszczęsnéj; że o twéj urodzie
Będzie późny wiek wiedział i po naszym schodzie.

Hannie obiecuje w tym wierszu uwiecznienie jéj urody, ale wizerunku jéj nigdzie nie daje; za to kréśli zręcznie, przy pomocy wzoru, wizerunek Doroty. Z wdziękiem i dwornością włoską przemawia w wierszu do Reginy („Królewno moja"), udatnie, ale chłodno obiecuje „Pani" unieśmiertelnić jéj wdzięki w jednym z sonetów, jednak nigdzie ani ognia namiętności, ani uczucia żywszego nie możemy się doszukać. Podnioślejsze pojęcie o stosunku kobiéty do mężczyzny wytworzy się w duszy poety dopiéro w ostatnich latach życia, gdy nazwie dobrą żonę „koroną" głowy męża i ukaże w niéj anioła pocieszyciela dla znękanego trudami i troskami towarzysza.

Wesołość, cechująca młodsze lata poety, nie wzniosła się nad poziom żartu, często swawolnego, niekiedy rubasznego lub wymuszonego, rzadko oryginalnego. Niewątpliwie przeważna część pomysłów w żartobliwych fraszkach została zapożyczona bądź z obcych literatur, bądź z krążących między ówczesnymi ludźmi facecyi. Zasługą poety jest nadanie formy, niekiedy istotnie udatnéj, lekkiéj jak myśl wesoła, kryjąca się w wierszu, krótkiéj i żywéj jak wybuch śmiechu, który jéj musi towarzyszyć.

Najświetniejszym błyskiem artyzmu, do jakiego się wzniósł poeta podniecony przez wesołość, jest owe nieśmiertelne: „Nie każdy weźmie po Bekwarku lutni", którém ukoronował swawolną powiastkę „O gospodyni".

Że wesołość swą mógłby poeta uszlachetnić i podnieść na wyżyny humoru, o tém świadczy obraz sejmu w „Odprawie", a po części i „*Carmen macaronicum*".

Skala uczuć rozwiniętych w duszy poety i związanych z niemi odcieni artyzmu jest niezwykle bogata. Technika tylko jest mało udoskonalona, stąd nie umié on wyzyskać należycie swych bogactw umysłowych. Nie ma pojęcia o stopniowaniu czy to w układzie szczegółów, czy w wyrazie uczuć, nie umié utrzymać się w tonie i obniża często nastrój opowieści czy pieśni, wstawia, idąc za modą, niepotrzebnie i niezawsze trafnie postaci i szczegóły z życia świata starożytnego do swych poematów i pieśni. Słabo rozwinięta wyobraźnia i brak zdolności spostrzegawczych nie pozwalają mu malować ludzi, przyrody, miejsc i przedmiotów. Opowiada za to wypad-

ki i wyraża uczucia żywo i wymownie. Brak plastyki i barwności zastępuje jasność, prostota, wytworność i muzykalność stylu.

W kompozycyi większych utworów opiéra się zwykle na gotowym już pomyśle cudzym, czy téż opowieści („Szachy“, „Satyr“, „Proporzec“, „Jezda“), tam zaś, gdzie rozwija swój pomysł („Sobótka“, „Treny“), nie umié w wynurzeniach uczuciowych zachować stopniowania i logicznego powiązania, wstęp i zakończenie mają tu służyć za ramy ujmujące w całość szereg pieśni, zostających, jak w „Sobótce“, w luźnym bardzo związku z głównym faktem. Trafnie, zręcznie i efektownie zaczyna poeta swe opowieści, czy liryczne utwory, zaciekawiając i zachęcając na wstępie czytelnika, nie umié jednak nietylko spotęgować tego zainteresowania, ale nawet utrzymać go w tym stopniu przez cały utwór. Zakończenia zwykle są słabe, blade, poeta nie stara się z opowieści swéj wydobyć jakiéjś donioślejszéj idei i użyć jéj za kres, do którego przez swe opowiadanie doprowadza czytelnika, nie potrafi téż przez stopniowe podnoszenie uczuć wznieść za sobą w krainę ideału. Zakończenie zwykle osłabia wrażenie, jaki na czytelniku wywarł świetny początek i piękne ustępy, zdobiące środek utworu.

Słowa Antenora, kończące „Odprawę“, są tylko okolicznościową przyczepką, w związku z ówczesnymi stosunkami politycznemi; zacierają one wrażenie, wywołane przez cały bieg akcyi i przez proroctwo Kassandry. Końcowy ustęp „Proporca“ poświęcony uwagom o unii krajów, nie połączony z osnową utworu, choć powiązanie nie przedstawiało trudności. Gdyby poeta zamknął utwór na słowach: „Nieogarnione lata przetrwa niestargana“, zostawiałby czytelnika pod wrażeniem wielkiéj idei, wypowiedzianéj z siłą i plastyką niezwykłą. Końcowy zwrot do króla osłabia podniosłość nastroju w utworze i w duszy czytelnika.

Rozwój umysłowy u Kochanowskiego pozostał w stosunku do uzdolnień artystycznych na niższym stopniu. Myśl u niego nie sięga tak głęboko i wysoko jak uczucie, a nadewszystko nie umié poeta donioślejszéj myśli rozwinąć szerzéj i wcielić w formy odpowiednie. Stąd w języku poety silniéj się odbiło umuzykalnienie, upodatnienie do wyrażania odcieni uczuciowych, niż uduchowienie przez nagięcie do wypowiadania subtelności pojęciowych. Bogactwo języka Kochanowskiego polega głównie na obfitości trafnie dobranych form przymiotnikowych, którym często on pierwszy zapewne podsuwa znaczenie przenośne, jak np. w licznéj grupie ulubionych mu przymiotników, utworzonych przez dodane na początku *nie*, a służących do określenia stosunków życia duchowego i sfer za-

światowych. Rzeczowników, wyrażających pojęcia oderwane, używa poeta stosunkowo mało. Ni władz duszy, ni stanów uczuciowych, ni stosunków duchowéj natury, nie potrafi on pojąć jasno i nazwać, choć je czuje i określa z pomocą przymiotników i czasowników.

Mimo tych wszystkich braków, bogactwem czynników duchowych, występujących w różnych stopniach rozwoju artyzmu, różnorodnością przedmiotów pociągających duszę poety, mnogością form, w jakich odtwarza treść téj duszy, szeroką skalą stanów duchowych i tonów uczuciowych, górować będzie Kochanowski nad całym zastępem współczesnych i następców, aż do wystąpienia Mickiewicza.

Nie wynika stąd, by ze śmiercią Kochanowskiego zatrzymał się rozwój artyzmu polskiego, by poezya nie doskonaliła się pod względem formalnym i nie rozwijała przez coraz szersze ogarnianie objawów życia narodowego i zagłębianie się w tajnikach serca ludzkiego.

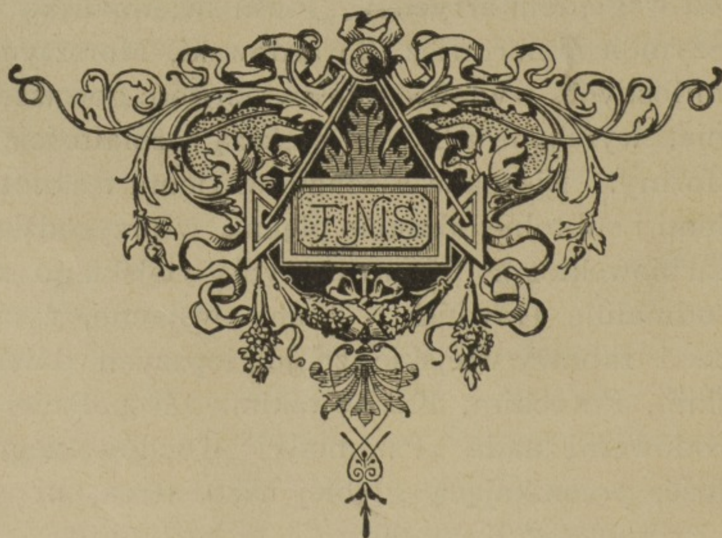
Czynniki, jakie spotkaliśmy w duszy Kochanowskiego, osiągną pojedyńczo wzięte, niekiedy wyższy stopień siły u jego następców, niektóre z tonów uczuciowych zabrzmią z większą pełnością i potęgą, stosunek poetów do społeczeństwa stanie się poufniejszym, serdeczniejszym. Szymonowicz w „Kołaczach“, jako malarz dusz dziewczęcych i odbitego w nich życia szlacheckiego, zostawi za sobą daleko pod względem artyzmu „Pieśń świętojańską o sobótce“, Szarzyński, Szymon Zimorowicz, Twardowski, Morsztyn, jako śpiewacy uczuć miłosnych, wydobędą ze swych serc gorętsze tony i bogatsze odcienia, wyrażone z daleko większą rozmaitością, żywością i udatnością formy. Nieznaną Kochanowskiemu tęsknotę za sferami zaziemskiemi i subtelne odczucie piękna w przyrodzie spotkamy w lirykach Sarbiewskiego. Kontrast życia wiejskiego z dworskim wymowniéj odmaluje Gawiński. Sceny wojenne, życie towarzyskie, przyroda i zabawy wiejskie znajdą lepszych daleko malarzy w Twardowskim, Potockim, Kochowskim. Zespolenie uczuć religijnych z narodowemi nada „Psalmodyi“ Kochowskiego wzruszającą podniosłość, przenikającą głębiéj nasze serca, niż chóry „Odprawy“ lub „Proroctwo“ Kassandry.

Mimo to artyzm tych poetów nie pociąga nas tak ku sobie jak u Kochanowskiego. Najczęściéj w wyrazie uczuć, czy opowiadaniach, opisach, brak im téj miary, téj harmonii formy z treścią, cechującéj utwory śpiewaka czarnoleskiego.

W ich pieśniach razi nas często to przeciągnięcie, to niedociągnięcie tonu. W opowiadaniach zapał i podniosłość epicka przechodzą odrazu, jak u Potockiego, w ton gawędy żartobliwéj, suche recytowanie szczegółów lub napuszoną deklamacyjność panegiryczną. W żartobliwych nawet wierszykach brak najczęściéj tego wdzięku, na mierze i zwięzłości opartego, jaki cechuje wesołe fraszki mistrza Jana.

Poeci wieku XVIII jakże ubogo się przedstawiają w porównaniu z Kochanowskim pod względem bogactwa form artyzmu i szerokości skali uczuciowéj? Jakże monotonnym—w muzycznem znaczeniu wyrazu — jest Krasicki czy Naruszewicz, Kniaźnin czy Karpiński. Jeden Trembecki tylko zasobami swego artyzmu, zmarnowanego przez brak gruntu moralnego i związku bliższego z życiem ogółu, wyróżnia się wybitniéj śród grona poetów epoki stanisławowskiéj. Dopiéro jednakże słoneczny blask gieniuszu Mickiewicza zdoła przyćmić czyste i żywo drgające światło téj gwiazdy porannéj, jaką jaśnieć będzie na długie wieki, na horyzoncie naszéj poezyi, młody, a jednak tak bogaty i dojrzały zarazem artyzm Kochanowskiego.

Bronisław Chlebowski.



SONATA CIERPIENIA.

Leżał na ziemi wśród traw, z rękoma pod głową, wpatrując się w bezdeń nieba.

Dzień gasł i szarzał. Upał wraz ze słońcem uleciał gdzieś na zachód, pozostawiając za sobą łagodne oddechy, chłodzące i rzeźwiące rozpaloną ziemię. Cicho było i spokojnie, tak martwo spokojnie, jak to bywa nieraz w wieczór lipcowy, po dniu upalnym i znojnym, kiedy ani wiatr nie zaszeleści liściem, ani głos żaden nie zamąci ciszy. Drzewa spały, jakby zamarłe w swoim bezruchu, niby już stojące gdzieś na innym świecie, na którym życia nie ma. Gdzieniegdzie wśród traw strzelała w górę wyniosła dziewanna, zawsze ruchliwa i wiotka,—teraz spokojna i sztywna. Niżéj, przy saméj ziemi, słały się rumianki białe i żółte jaskry, niby drzemiąc na swoich łodyżkach i tonąc w spoczynku. Same tylko gwiazdy migotały gdzieś w dali, chwiejąc się trochę. Cisza przepoiła ziemię i, kojąc ją do snu, odjęła jéj ruch i życie. Czasem tylko smutna czajka zapiszczała żałośnie.

Orliczowi, leżącemu w trawach, wygodnie było jakoś, cicho i spokojnie. Wstrzymywał oddech niemal, żeby najmniejszym szmerem nie przerwać téj ciszy, nie zamącić bezruchu, w jakim wszystko tonęło. Rozkoszował się tą ciszą i wsłuchiwał w nią, a w niebo patrzał i gwiazd na niém szukał. Czuł się dziwnie tym gwiazdom bliski i zespolony z niemi. Po raz pierwszy w życiu nie wyodrębniał się od otaczającéj go przyrody, tylko był nią samą. Drzémały drzewa, po-

snęły kwiaty, powietrze nawet jakby stało w nieruchomości i martwocie,—on też wegetował tylko, nie myślał, nie działał, istniał jedynie. Spowinęła go i ukołysała natura cała, a on czuł swą do niéj przynależność, jakby ją czuły drzewa i trawy, gwiazdy i niebo.

Roztaczał się przed nim wielki kawał świata, ale on w nim nie widział obrazu, bo sam należał do niego i był jego cząstką nierozdzielną. Zdawało mu się, że ktoś z poza gwiazd, z wysoka spogląda na ziemię, rozpatrując krajobraz, on zaś gra w nim tylko taką samą rolę, jak ten kamień, co go ma pod głową, jak te dziewanny nieruchome, jak ta czajka, co gdzieś krąży nad wodą. Nie było niczego przed nim, nie było niczego za nim, nie było żadnego środka, wszystko się zléwało w jakąś jedność współistniejącą, a on był w niéj małą cząsteczką, małą plamką, dopelniającą ogólnéj harmonii.

I była chwila, że nie mógł „ja" powiedziéć, bo albo go wcale nie było, alboby je musiał na całe tło rozciągnąć. Rozpłynęło mu się po całym wszechświecie i cały wszechświat współsenny, drzémiący, cichy i nieruchomy szeptał z nim razem: „my gwiazdy i drzewa! my rośliny i wody! my dziewanny i dusze!"

I tak czas mu ubiegał w tém drzémaniu z naturą i w tym szepcie z nią wspólnym, który olbrzymiał coraz więcéj, rozszerzał się i wznosił, nabierał mocy i siły, aż przeszedł w potężny hymn jakiś, śpiéwany przez wszechświat...

Ocknął się wreszcie z wrażeniem człowieka, co się ze snu budzi i sen swój przypomniéć się stara.

Zaczął pracować umysłem nad rozpoznaniem, co to było i gdzie on był wtedy? W chwili tego współbytowania z przyrodą był jakby w półśnie, bez czucia i myśli i bez żadnych wrażeń. Ogarnął go jakiś spokój bezmierny, jakieś znieczulenie i znieruchomienie. Nie było mu ani źle, ani dobrze, ani przyjemnie, ani nieprzyjemnie — bo nic nie czuł.

I nawet w całym ogromie wszechświata siebie odnaléźć nie mógł. Była natura cała—i on był w niéj także, ale jego oddzielnie, w przeciwstawieniu do niéj, nie było zupełnie.

Dotychczas wszechświat od zenitu aż do nadiru toczył się przed nim, wirował, istniał i żył, ale zawsze tak, że on nań patrzał tylko i widział go, ale z nim się nie toczył i nie wirował. On był zawsze pośrodku, a wszystko istniało dokoła niego. On — był on, a świat był sobie oddzielnie, jak obraz wielki, który oglądać można. Czuł się nie w nim, lecz przed nim.

A teraz z tych dwóch rzeczy, które istniały dla niego przedtém, pozostała jedna tylko: pozostał świat, obraz. On zaś, jego „ja" weszło

w ten obraz i rozpłynęło się w nim zupełnie. Po raz pierwszy poczuł się w saméj miazdze natury, w jéj wnętrzu samém i zrozumiał, że on i ona—to jedno tylko.

A drzewa ciągle spały, rozsiewając dokoła martwotę jakąś, obezwładniającą.

Nawet brzozy, takie wiotkie zawsze, ruchliwe i rozkołysane, opuściły teraz gałęzie ku ziemi w niemocy jakiéjś i uspokojeniu.

Żaden głos, żaden ruch, żadna oznaka życia nie mąciła tego skamienienia. Wszystko ogarnęła jakaś wielka bezwładność i wszystko zdawało się szeptać tylko w uśpieniu: śpimy, wypoczywamy, — nie ruszajcie nas!

Ale Orlicz już nie drzémał teraz. Myśl jego pracowała uparcie, uświadamiając sobie przebyte wrażenia.

Zdało mu się, że nagle został zepchnięty z jakiéjś wyżyny na samo dno wgłębienia, które miał przedtém pod sobą i że on z tego wgłębienia wydostać się już nie zdoła.

I było mu teraz zupełnie inaczéj. Tam, w górze siedział niby na tronie, czuł się panem wszystkiego, spoglądał z wysoka i miał swoje prawa, swego Boga i duszę, swoje przyczyny i cele. Był czémś zupełnie odrębném, wyniesioném nad wszystko, stworzoném inaczéj i rządzoném odmiennie, niż cała ta natura, istniejąca dla niego, jak masa szara, nad którąby panować można.

Tymczasem coś go zepchnęło z wyżyny i zmieszało z tą masą. Był teraz prochem, jak wszystko. Poczuł w kościach swoich te same drobiny, co skały złożyły, w żyłach ciecz taką samą, jaka płynie w milionach innych stworzeń, poczuł się duszą bratem dusz tych brzóz płaczliwych, co mu się smętnie zwieszone rysowały w dali na tle szafiru nieba.

Nad poczęciem jego, życiem i zniknieniem pracować miały też same siły i też same prawa, co z prochów chaosu lepiły roślinę, tworzyły wodę, opoki i gwiazdy, kazały im istniéć i rządziły niemi. Był drobiną pleśni, pokrywającéj ziemię, był wytworem fermentu, jaki na niéj sprawiały żywioły walczące. Zapłodniły go w prochu ruch, ciepło i światło, powołały z nicości i dały istnienie, jak tęczy kolorom, co są tylko grą świateł, ich drgania igraszką. Słońce zajdzie za chmurę—tęcza zniknie w przestrzeni; żywioły się rozstrzelą — i on zniknie, jak mara, ich tylko skupieniem przy życiu trzymana.

A z prochów, w które się rozsypie, ułoży się może dziewanna wysoka, co tak pnie się w górę, jakby do gwiazd dojść chciała. Albo może lotną falą gazów uleci gdzieś w górę, gdzieś w nadobłoczne krainy, żeby się błąkać tam wiecznie, to rozpraszać, to skupiać i tak

lecićć i lecićć na skrzydłach powiewów, ciągle w pustki i próżnie a spokoju nie zaznać...

Tymczasem noc już zapadła zupełna.

Skrawek nieba na zachodzie ciemniał coraz bardziéj, osuwał się na dół i gasnął, aż wreszcie przeszedł w granat ciemny i zlał się z ogólnym kolorytem nieba. Wtedy z ziemi zaczęły się unosić w górę jakieś białawe opary i przesłoniły sobą krawędzie horyzontu. Niebo na skrajach przybladło znów nieco i wyblakłym pasem ochwyciło dokoła ziemię.

Dalsze pola i lasy zamgliły się w oparach i znikały powoli, zapadając gdzieś w ciemność. W powietrzu czuć było chłód i wilgoć. Świat zdawał się otulać we mgły i tumany i chować pod niemi, żeby drzémać spokojnie. Cicho było ciągle, tylko powiéw lekki rozwłóczył zimno po ziemi.

Orlicz nie czuł go jednak. Leżał jak przedtém, zasłuchany w ciszę, z oczami błądzącemi po gwiazdach, spokojny i rozmarzony. Myśli mu się teraz wlokły powoli, leniwie i bez żadnego wysiłku, zwolna podążając za wrażeniami, jakie go opanowywały. Więcéj odczuwał, niż myślał, i bez słów nawet rozumiejąc swoje uczucia.

Ogarnęła go apatya jakaś, ani przyjemna, ani przykra i przy zupełnéj samowiedzy swego stanu poddawał się biernie napływającym wrażeniom.

„Więc prochem tylko jestem?" szeptał sobie z cicha — i dziwnie obojętnie zgadzał się na to zupełnie.

„Więc jestem, niby roślina, zlepek drobin, nic więcéj" — powtarzał znowu sobie, rozchylając zlekka kępy traw pod ręką.

Dziwnie inaczéj patrzał teraz na nie. Zdawało mu się, że te zdźbła trawy czują dotknięcie jego ręki i cieszą się z tego, że się stał ich bratem. Więc gładził je dłonią, rozgarniał, nachylał, lubując się ich miękkością i całując je wzrokiem.

A trawy mu odpowiadały. Lekki wiaterek, rozwłóczący po ziemi tumany, rozkołysał je teraz i rozfalował. Chwiały się zlekka, chybotały i gięły, nachylając się ku niemu, jakby w pozdrowieniu bratniém.

„Ty do nas należysz — szeptały mu z cicha, — jesteś bratem naszym i masz duszę nam krewną. Ty słońca pragniesz,—my się pniemy do niego; ty się zimna boisz, — my od niego giniemy; ty pragniesz i łakniesz i tchu ci potrzeba, — my się rosą poimy i ziemią karmimy, a z słońca promieni na skrzydłach powiewów czerpiemy dech i życie. Jedna nas matka zrodziła."

— „A że wami jestem, więc jak i wy zniknę kiedyś, więdnąc i żółknąc i rozsypując się w prochu?”

„Znikniesz — mówiły trawy, bo i my znikamy.”

A zeschnięte źdźbła, co się pod niemi z lat poprzednich kryły, powtórzyły głucho:

„Znikniesz, jak myśmy zniknęły.”

Orlicz godził się i na to. Owładnięty niemocą jakąś i rozleniwieniem opuścił bezwładnie duszy ramiona i dał się unosić wrażeniom. Odczuwał wszystkie i nawet rozumiał, tylko nie miał ni woli ni mocy borykać się z niemi i otrząsać z ich wpływu. Coś się w nim burzyło, druzgotało, waliło, on czuł to i wiedział, a przecież nie byłby w stanie wyprężyć ani jednéj struny ducha, ażeby się bronić i wyrwać z bezwładu. Myśli mu płynęły, jak przytłumionéj muzyki melodya, w monotonném tempie, ze ściszoném brzmieniem.

Zdawało mu się chwilami, że mu się te myśli oderwały od niego, a toczyły gdzieś w górze, na gwiazdach, tam grając i szybując w przestrzeniach, a on się patrzy tylko na nie, wsłuchuje w ich szmery, rozumié je i czuje, ale sam nie pracuje nad niemi i nie jest ich panem. To gwiazdy myślały, to gwiazdy sunęły w szafirze, to one staczały walki i boje, one się układały w nowe wzory i skupienia, a on patrzał w nie tylko.

I z tych niezgłębionych oddaleń spływały na niego falą odbicia jakichś nowych prawd i uczuć, jakieś echa nowych celów i pragnień, jakieś przeczucia nowych walk, pojęć i wierzeń...

On leżał ciągle, zapatrzony i zasłuchany, niby w półśnie jakimś, w bierności zupełnéj i zdawał się mówić tym gwiazdom:

— „Oto poddaję się wam w niemocy, czyńcie ze mną, co chcecie, układajcie mi myśli, twórzcie mi duszę nową, bom ja sam słaby i rady sobie nie dam...”

I tak szła ta rozmowa poprzez nieskończone przestworza, gwiazdy toczyły się z wolna, migotały lub gasły, zapadając pod widnokręgiem, a Orliczowi zdawało się ciągle, że to myśli jego, porozpinane na tych światłach nieba, snują kanwę jakąś, to się splatając, to rozplątując znowu.

Noc wreszcie blednąć poczęła. Łagodne kołysanie powietrza przeszło teraz w silniejsze podmuchy wiatru i zasnuło całą ziemię gazą mgieł i oparów. Z nad łąk i stawów zaczęły się nasuwać na pola jakieś małe potargane kosmyki białych obłoków i rozwłócząc się tuż przy saméj ziemi, pokryły ją bielą, niby oblubienicę do ślubu.

Potém tumany uniosły się zlekka do góry, zaczęły rzednąć i płowieć, rozwieszać się w powietrzu i szarzeć, aż w końcu przesłoniły sobą i gwiazdy i niebo.

Jednocześnie bladawe jakieś mleczne światło zdawało się przenikać powietrze. Nie płynęło ani od zorzy zachodu, ani od brzasku wschodu, ani od gwiazd i nieba, tylko przeciskało się zewsząd, jakby rodząc się samo i nasycając sobą każdą kropelkę wilgoci, zawisłą nad ziemią.

Znikły pola i lasy, znikło niebo i ziemia, a została jedynie jakaś zamglona przestrzeń, któréj wzrok przejrzéć nie mógł. Zdawała się nieskończoną i głęboką, jak błękit, a przecież wisiała na oczach i, zda się, można ją było rękami wyczuwać. Skończoność i nieskończoność, blizkość i dalekość, próżnia i nasycenie zlały się w jakąś jedność mistyczną;—i było w niéj jasno, ale nie widno,—szaro, ale bezbarwnie,—dźwięcznie, lecz głucho. I czas nawet, zdawało się, ustał w swoim wiecznym biegu i przeszedł w jakieś trwanie, zawisłe na kroplach tumanów.

Wreszcie wiatr zaczął przewiewać nisko, nad samą ziemią i odparł ku górze siniejące mgły.

Ukazały się najpiérw niskie ściernie i trawy, potém osty i głogi, bliższe płoty i kopce, — aż w końcu i drzewa przeglądać zaczęły poprzez osłony bieli. Świt zdawał się jeszcze dalekim, tylko mdłe światło brzasku i mgły rozpraszało mrok nocy.

Jednocześnie i szmery jakieś zaczęły mącić ciszę.

To wiatr z lekka zaszeleścił liściem na drzewie, to zaszemrały trawy, muśnięte powiewem, to ptak jakiś zrzadka zatrzepotał skrzydłami, budząc się na chwilę i zasypiając znowu. Nie był to jeszcze nieustanny gwar poranku, zgiełkliwe budzenie się natury do życia; było to tylko niby przeczucie ocknienia, niby strojenie instrumentów przyrody przed wielkim hymnem na powitanie słońca.

Tylko trawy rozgwarzyły się zupełnie. Wysokie a mdłe, obciążone kroplami rosy, kołysane wiatrem, zaczęły się kłaniać na wszystkie strony, to kładąc się nizko, tuż na samą ziemię, to wyprostowując znowu, żeby z następnym podmuchem przypaść raz jeszcze do ziemi.

Wyginały się, jak fale, garbiły, piętrzyły, dając się szarpać i czochrać, to muskać i gładzić, posłuszne każdemu skinieniu i ślepo uległe.

A gdy się tak kładły pokotem, rozwiewały lub gięły w pokorze, zdawały się szemrzéć szumem, jaki wiatr z nich dobywał:

„Jesteśmy uległe i słabe, lada podmuchom posłuszne, ale dobrze nam jest tak być, bo nie myślimy o sobie.”

A że miękkie były, puszyste i pod nogi się słały, więc szeptały jeszcze:

„Pójdź tu, na łono nasze: spoczniesz cicho, bez marzeń, a my cię kołysać będziemy, z czoła twojego zwiejemy smutki i troski, odgonimy niepokój, a wszczepimy spokój i będzie ci dobrze, zacisznie i błogo.”

Szeptały ciągle i ciągle, gaworzyły, szemrały, układały się miękko, prosiły potulnie, aż uległ im Orlicz i zanurzył się w nie twarzą.

Rozłożył ręce szeroko, jakby chcąc ramionami objąć glob ziemi cały i zdało mu się, że tym ruchem wszystką naturę do piersi przyciska. Oto był z nią pierś w pierś teraz, poznawał w niéj matkę i powitać ją pragnął. Ona, w tych trawach, przyjęła go na łono swoje, tuliła, pieściła, szumem falowań kołysanki mu śpiéwała, a on, przylgniętemi do niéj wargami, powtarzał oszołomiony:

— „Oto jestem, twój syn zabłąkany,—przyjm-że mnie teraz.”

I nagle doznał dziwnego wrażenia.

Poczuł, że mu się w tym uścisku przerodziła dusza i że już nie powstanie takim, jakim był przed chwilą. Nowa jakaś fala wdarła mu się aż do głębin ducha, zmyła wszystko, czém żył i istniał dotychczas, a wydobyła na jaw jakieś nowe źródła, jakieś nowe pokłady, z których czerpać miał teraz.

Rozumiał, że wstanie innym już zupełnie i z duszą nową i na życie nowe.

Ani go chciał, ani pragnął, ani go znał jeszcze, a widział, że już iść niém musi, bo mu w tamtém zaciasno teraz było i pomieścić-by się w niém nie mógł. Nowa droga stała mu otworem, a on nie wiedział, czy cieszyć się z niéj, czy smucić, czy witać ją, czy przeklinać, bo jéj końca nie widział. Więc bojaźń jakaś zdjęła go wielka przed tą zagadką przyszłości i żałować zaczął swoich dni ubiegłych i tych urojeń, jakie mu świeciły wtedy.

Bo czuł to teraz, że mu było dobrze z niemi. Były dla niego niby dobre piastunki. Wypiastowały mu duszę i strzegły jéj przed rozpaczą, koiły jak balsam, gdy uczuwał cierpienie, osłaniały i tuliły, gdy pod ich skrzydła uciekał.

A oto teraz opuszczały go wszystkie i miał pozostać sam.

Czuł, że to niewinność jego ulatywała mu z duszy, że to ulatywały jego lata młode, lata anielskie spokoju, ufności i gołębiéj prostoty, a czekało go coś nieznanego, ciemnego, gdzie się zbłąkać mógł łatwo.

I wielkie łzy żalu napełniły mu oczy. Duszę miał łkań pełną i wydobywały się z niego coraz gwałtowniéj i silniéj. Płacz nim wstrząsał i targał, łzy go dusiły i piekły, a on, zanurzony w trawach,

raz jeszcze dał się unieść bezwiednemu wrażeniu, oddając mu się cały.

Bo nawet nie wiedział, czego tak płakał w téj chwili. Za mało znał to, co go czekać mogło, żeby całą siłą duszy żałować przeszłości; za mało téż wnikał w tę przeszłość, ażeby się aż lękać, że ją utracił. Ot łzy same napływały z jakichś głębi nieznanych, a on płakał jak dziecko, niby w przeczuciu dziwném przyszłych walk i zawodów, przyszłych zwątpień i niewiar i tych wszystkich cichych smutków i wielkich rozpaczy, co nim wstrząsać miały.

Łzy mu padały na trawy, mieszały się z rosą i wsiąkały w proch ziemi. — I tak życia zaranie i poranku brzask pierwszy to rosą, to łzami witały dzień nowy.

Jakoż i słońce niezadługo wejść miało.

. . . .

W taki sposób Paweł Orlicz rozpoczął życie nowe. Natura była to bujna, hojnie wyposażona, rozległa, chciwa wiedzy i wrażeń, tylko nadmiernie pubudliwa i czuła. Dzielność i porywczość mężczyzny łączyły się w nim z tkliwością kobiety i czułością dziecka. Zapalał się łatwo i szybko, z niepohamowaną gwałtownością przerzucając się od jednych skrajności do drugich i kipiąc zapałem, równie jednak szybko i łatwo cofał się i ostygał, zrażając się lada drobnostką. Umysł miał szeroki i jasny, podatny i do głębokich dociekań i do poetycznych marzeń. W nim się one mieszały i zespalały razem, tak, że filozofował marząc i marzył filozofując. Umiał myślą ogarniać rozległe widnokręgi: wyrabiała to w nim chorobliwa niemal wrażliwość, która byle błahostkę musiała powiększać zaraz, uogólniać i tworzyć z niéj jakieś zasady i prawa, przenikające w jego mniemaniu świat cały. Stąd płynęła u niego i niezwykła siła uczuć i zarazem ich chwiejność. Pogoda lub niepogoda, światło lub ciemność, dysonans lub harmonia, grały mu na nerwach, jak chciały, i równie łatwo potrafił śmiać się, jak płakać, nie za siebie jednak tylko, nie za ludzi nawet wszystkich, lecz za świat cały.

Od dziecka też wyrabiała się w nim ta nadmierna wrażliwość i czułość. Wychowany przez matkę wdowę, ubóstwiającą i pieszczącą swego jedynaka, a pozbawiony silnéj, energicznéj i surowszéj opieki ojca, musiał wyrosnąć takim, jakim był. Przyzwyczaił się do wyrafinowanéj miękkości uczuć, do delikatności form życia i do silnie rozwiniętéj czułości na wszelkie objawy uczuć w innych. Wszystkie te nabytki dzieciństwa z wiekiem potęgowały się tylko, rosły, rozwijały

i zrobiły go w końcu jednym zwitkiem nerwów, wrażliwym na lada ich tknięcie.

Od dziecka też kochał dwie rzeczy przedewszystkiem: poezyę i muzykę. Dla muzyki zachwyt swój, odpowiednio do wieku, wyrażał to jakimś fantastycznym, dla niego tylko istniejącym tańcem, to śpiewem, to łzami, póki z laty nie zaczął pod nią podkładać swoich myśli. Wrażliwość na poezyę i piękno słowa rozwinęła się w nim późniéj trochę i odczuwał ją dla jéj dźwięczności jedynie.

W ten sposób te dwie dziedziny piękna zaczęły mu się zléwać w jakąś jedną harmonijną całość i nie odróżniał już jednéj od drugiéj.

Kochał muzykę, o ile była poezyą, a poezyę, o ile zespalała się z muzyką. Słowa mu śpiewały i grały, muzyka mówiła i opowiadała. Dla niego każdy wyraz posiadał swoją właściwą mu harmonię i ton, a ich połączenia dawały jakieś symfonie i melodye zdań. Miewał czasem chwile, że mu myśli śpiewały i grały, płynąc w nim, jak muzyka, a on ją czuł, słyszał i rozumiał zarazem.

Grą jednak nie mógł wyrzucić z siebie tych rozśpiewanych myśli i myślących tonów, jakie mu przepełniały duszę, bo żaden instrument nie mógł mu ich wyrazić. To wiolonczella płacząca, to flet śpiewny a prosty, to *con sordino* skrzypiec skarżące się i łzawe, to cytra brzękliwa, to trąb potęga szeroka uwodziły go na chwilę i oddawał się im z zapałem. Wszystko to jednak rzucał po kolei, zniechęcony, rozdrażniony, nie mogąc w żaden z tych instrumentów wlać grania swéj duszy.

Ale że mu i słowa także grać umiały, więc pisał wtedy. Tworzyły się z tego jakieś fantastyczne poematy, gdzie rymy i rytmy były oddzielnemi tonami, wiersze taktami, a strofy częściami melodyi. Pisał szybko i dużo, choć z męką wielką, zapełniając całe stronice i nie poprawiając wcale. Myśli mu biegły i biegły, a on pisał i pisał, męcząc się jedynie nad wydobywaniem ich z siebie.

Na drugi dzień darł wszystko i palił. Posiadał w duszy jakiś ideał, jakiś pierwowzór tego, co wyrzucał z siebie i według niego to właśnie sądził to, co stworzył. Zawsze i myśl była mniéj jasna, niż w chwili, gdy pisał, i harmonia nie ta, i nie ta siła, jaka w nim kipiała.

Więc czekał ciągle, aż przyjdzie chwila taka, że stworzy pieśń, którąby jego przedewszystkiém zadowolić mogła. Bo zanadto kochał tę pieśń wymarzoną w duszy, żeby mógł w niéj dopuścić choćby jedną skazę.

A nie pisać nie mógł. Czuł nieraz jakieś opętanie, jakieś owładnięcie nim zupełnie jednéj myśli albo melodyi i musiał się choć sta-

rać o wydzielenie jéj z siebie. Był jak człowiek, który na barkach wielki ciężar niesie i nie może nie myśléć o uwolnieniu się od niego. On także niósł wtedy wielki ciężar w sobie, tém cięższy tylko, że wciąż rósł i olbrzymiał i ogromem swoim rozsadzać go się zdawał.

Siadał więc i pisał, — bo to robić musiał, jak musiał wydychać powietrze, które mu pierś rozpierało. I pisał sobie tylko samemu, tak jak myślał sobie.

Ale i pisanie nie przynosiło mu ulgi, nie uwalniało od tego nadmiaru uczuć i myśli, jakie mu się tłoczyły do rozpalonéj głowy. Te pozaczynane, a nigdy niekończone poematy, te ulotne urywki, sonety i strofy, darte i palone zawsze w zniechęceniu, nie mogły dać zupełnego ujścia temu, co czuł w sobie. Ogień niszczył zapisane i przedarte karty, a myśl z nich ulatywała i wracała do niego, dopominając się o nowe wyłonienie jéj z duszy, coraz bardziéj ciążąc i niepokojąc sobą. Dziesiątki razy rodził je i wyrywał z siebie, a one nigdy nie syte, nigdy nie zadowolone, wracały wciąż i wciąż, z wyrzutem i prośbą. Był więc ciągle w oczekiwaniu jakiémś, jak człowiek, którego czeka jakaś wielka i wzniosła praca, a on do jéj spełnienia nie czuje w sobie siły.

Ta myśl, że on powinien i musi choć kiedyś przebyć te chwile porodu duszy, pętała go i oplątywała coraz więcéj. W chwilach podnieceń i wiary w siebie pieścił się nią i pocieszał, jak nadzieją wytchnienia po spełnioném zadaniu życia,—w czasach zniechęceń i przygnębień ducha bał się jéj i lękał, jakby katastrofy jakiéjś.

A jeszcze więcéj lękał się tego, żeby taka chwila zupełnie nadejść nie miała. Był niby matka, która się rozwiązania boi, a przecież o tém tylko myśli, czy dziecię jéj piękném będzie i czeka go z rozkoszą, zawczasu się pieszcząc przyczyną swych bólów. Więc się bał i lękał i pragnął zarazem, czekając z trwogą, jak mu ta przyszłość jego ducha rozwiąże.

Nie były to jeszcze cierpienia wielkie, ukłócia bolesne. Raniły go lekko i nieznacznie, od czasu tylko do czasu sącząc weń małą kropelkę bólu, która mu osiadała gdzieś aż na dnie serca.

Nie długo łudził się Orlicz myślą, że tylko z tego źródła gorycz będzie mu zatruwała duszę.

Młody, wrażliwy, zapalający się łatwo, zniechęcający jeszcze prędzéj, rzucił się w życie, poddając się wszystkiemu, co ono przynieść i wywołać może. Nie oszczędziło mu téż ono żadnego wrażenia, żadnego procesu umysłu, jaki jest właściwy takiemu wiekowi i takiemu usposobieniu.

Przedewszystkiém stracił wiarę.

Rzucił ją nagle, odrazu, przerzucając się krańcowo od bezwzględnéj wiary do bezwzględnéj niewiary. Uległ pierwszemu popędowi silniejszego wrażenia, nie mogąc się oprzéć jego parciu. Tam, w tych trawach, czuł tylko, że już jéj miéć nie może — późniéj i zrozumiał. Runęło mu odrazu wszystko i gruzy posypały mu się na głowę.

Po raz pierwszy wtedy przed Orliczem otworzyła się przepaść, któréj nie widział dna. Jéj to się właśnie przeląkł wtedy i dlatego płakał.

Wrażenie to jednak zatarło mu się trochę i przesłoniło mgłą.

Wiary już nie miał, ale i od beznadziejności wszelkiéj był jeszcze daleki. Życie roztaczało się przed nim, jak rozległe morze, nie tracił więc nadziei, że z głębin jego coś jeszcze wydobyć zdoła. I choć na razie nic nie miał do podstawienia w zamian, ufnie patrzył w przyszłość, pewny, że to coś, co w nim umiało burzyć, potrafi przecież i budować także. Więc czekał tylko, szukał i badał, rozglądając się po świecie, czy nie ma tam jakiéj prawdy, któréjby już nic zupełnie zarzucić nie mógł, a w którąby uwierzył.

Tymczasem obywał się. Czuł, że mu zabrakło jakiéjś wielkiéj podstawy, bez któréj życie zmieniało swoją treść i cel, ale sądził chwilami, że i tak od biédy żyć można. Dla niego treść zmieniła się tylko, nie zgasła, a na miejsce tamtego celu, mógł przecież znaléźć inny, może nie tak doniosły i wielki, ale zawsze cel, któryby go pchał przez życie. Nie miał go jeszcze, nie zdążył go stworzyć sobie, ale nie wątpił, że go w końcu znajdzie.

Wreszcie — w owéj epoce — życie, choć i bez téj podstawy, nie wydawało mu się tak bardzo złém i niedorzecznem, żeby aż było ciężkiém i beznadziejném. Więc nie czuł nawet zbyt wielkiéj potrzeby ulżenia go sobie jakąś wiarą.

Dla Orlicza wtedy pytanie „kto ja jestem" zamieniło się na inne, mniéj rozległe i ważne, ale za to niecierpliwsze i więcéj wymagające: „po co ja jestem?" Rozumiał, że życie nie może się składać z szeregu tylko niezwiązanych niczem chwil, że musi miéć ciąg jakiś, jakiś cement, któryby je spajał i coś z nich budował. Widział, że inni ludzie już mają cement taki, że mają swoje ideały, którym poświęcają wszystkie godziny życia i do nich dążą. Chciał więc i on miéć przed sobą cel taki, ale czuł, że musiałby on być już tak wielkim, żeby mu nie tylko czas swój, ale i siebie samego mógł złożyć w ofierze.

I kilka razy Orliczowi już się zdawało, że znalazł to, czego szukał. Porywała go jakaś idea, unosiła sobą, czas jakiś dążył do niéj i każdą rzucał zniechęcony. To go zrażała drobna na niéj skaza, to ci, którzy z nim wspólnie pracowali dla niéj, to znowu potrzeba nagię-

cia się do niéj i przerobienia siebie. Zniechęcał się szybko i łatwo z tą samą porywczością, z jaką się rzucał do pracy. Nie miał cierpliwości i wytrwania rozbierać z nich każdą, wchodzić w jéj treść najgłębszą, dopatrzéć się poza jéj nazwą ludzi i ich potrzeb, które ją wywołały.

Wrażliwy na wielkie słowa, pociągany tylko ich czarem i oszałamiającém brzmieniem, gonił za wytworami własnéj fantazyi, odrywając się od rzeczywistości. Życie, świat, ludzie, niby wielkie mrowisko, pozostawali gdzieś w dole, a ponad tém wszystkiém jak opar unosił się jakiś odrębny świat idei, świat wielkich dążeń i celów, który żył sobie oddzielnie, mając swoje prawa, a z tamtym światem tyle miał wspólnego, że był dla niego, a nie z niego przecież. Mrowisko miało słuchać, a te górne wyżyny oparu myślały za niego, stanowiły o niém, zbawiały je lub potępiały.

I Orlicz bujał w tych zamglonych sferach, gdzie wielkie słowa i hasła oderwały się już od swéj treści i były niby cienie, co walki staczają. Obalał je łatwo i lekko, dziwiąc się ich niemocy, z coraz bardziéj rosnącym niepokojem w duszy, czy znajdzie coś przecie, o coby się oprzéć zdołał.

A myśli mu ciągle śpiewały i grały.

Coraz więcéj usuwał się od świata i zagłębiał w siebie, słuchając tych myśli, jakie mu duszą płynęły. A one mu się składały w symfonie jakieś śpiewne, to płynąc wolno i cicho, jak spokojne *largo*, to śpiesząc i nagląc, jak prędkie *allegro*, to znów lekko igrając, jak niestałe *scherzo*. I różnie mu grały: to ciszéj, to głośniéj, to rzewnie i tkliwie, to huczno, ze zgiełkiem; i były, jak *piana*, co śpieszą i koją, to znowu jak *forta*, co grzmią i zsyłają pioruny.

Wsłuchiwał się wówczas sam w siebie, śledząc te myśli i tony, co w nim biegły razem, i duszą całą zespalał się z niemi.

A one go wiodły gdzieś w nieznane krainy, gdzie kwiaty śpiewały, siejąc łzy i zapachy, gdzie barwy dźwięczały, a dźwięki jaśniały, gdzie cisza nawet miała swoje tony i grała jak morze, co gdzieś szemrze w dali. One w nim płakały, jęcząc skargą i bólem, to znowu koiły, pieszcząc go i tuląc, to gaworzyły jak dziecię, zawodząc wciąż zcicha, to grzmiały jak gromy, podniecając do walki.

I sam nie wiedział, czy to myśli w nim grały, czy tony myślały. On tylko biegł i biegł razem z niemi, płynąc, jak one, i szemrząc, jak one. Miał nieraz wrażenie, że go skrzydła jakieś niosą gdzieś po falach przestrzeni, a on się w nich chwieje, to wznosi, to spada, kołysząc się ciągle gdzieś w podgwiezdnych sferach.

I Orlicz pisał znowu. Rodziły mu się pod ręką dziwne i powikłane poematy, gdzie panował chaos i pomieszanie tylko. Był w nich i zapał i rozpacz, i wiara i zwątpienie, były jakieś targania się i szamotania, były wszystkie uczucia, jakiemi żyje kiedykolwiek człowiek. Sprawiały wrażenie jakiéjś burzy żywiołów, jakiéjś walki zaciekłéj, zamętu i zgiełku, gdzie wszystko się plącze, wiruje i miesza z piekielnym chichotem i dziecka kwileniem.

Orlicz je niszczył i palił, a myśli swoje znowu wchłaniał w siebie. Były w nim, niby ptaki, rwące się do lotu i każdy w inną stronę, a on ich nie umiał sprzęgnąć i w jakąś jedność zespolić. Chwiały się wszystkie oddzielnie, niby kropelki rosy, odbijając kolory i świécąc, jak skierki, a on czuł, że mu brak czegoś, coby z nich jedną tęczę ułożyć mogło.

Więc z coraz większém pragnieniem oglądał się w koło, szukając dogmatów jakichś, któreby mu żyć kazały, zsyłały rozkazy i przedewszystkiém w ciąg jakiś jeden ułożyły zwichrzone myśli.

Zrażony do żywych idei i życia, rzucił się do nauki i książek w nadziei, że choć z tego źródła może wyłoni mu się jakieś światło, za którém mógłby podążyć. Usunął się od świata, zagłębił w dociekaniach i zgłębianiu wiedzy i znowu szukał i czekał. Czuł tylko, że mu wszelkie wierzenie przychodziło teraz trudniéj, bo coraz mniéj znajdował w sobie tych prostych strun duszy, któremi się ufa i wierzy w cośkolwiek.

Pracował przecież wytrwale, starając się pokonywać siebie.

Ludzie żywi i świat przesłaniali mu się mgłą jakąś, oddalali, zacierali, a on patrzył na nich niby z oddalenia wielkiego, nie dostrzegając szczegółów i uogólniając wszystko. Nie widział już jednostek, tylko grupy jakieś, kasty i stany i na nie rozpadł mu się świat cały. On z nich wyciągał esencye ich dążeń, potrzeb i myśli i każdy wyciąg taki nazywał odpowiedniém imieniem. Wkrótce rzeczywistość zamgliła mu się już zupełnie, a on miał tylko abstrakcye same, któremi szermował, ciągle w mniemaniu, że myśli o świecie. Dodawał je lub odejmował, mnożył lub dzielił, dziwiąc się, że się do wszystkiego ułożyć potrafią i że dają się wyciągać, jak guma, lub ściskać, jak puch.

Tworzył z nich najrozmaitsze kombinacye, układał je, jak chciał, — a każda była dobrą, każda dawała jakieś rozwiązanie. Za dużo jednak było tych kombinacyi przeróżnych, żeby Orlicz nie miał spostrzedz, że wszystkie muszą być czcze i bezcelowe i nie zdadzą się na nic. Więc porzucił i to.

Nauka rozczarowała go również. Widział w niéj dążności wprost przeciwne swoim i podcięło mu to skrzydła odrazu.

On dążył do skupiania i łączenia wszystkiego, — ona do podziałów i rozdrabniania ciągłego; on chciał syntezy—ona analizy; on chciał iść z góry — ona szła z dołu. Pragnął jedności i zharmonizowania z sobą rozproszonych szczegółów, a ona jeszcze bardziéj drobiła mu to wszystko, dzieląc się sama na tysiące gałęzi z jedyną dążnością wyodrębniania się z nich każdéj i dzielenia jeszcze.

I zrozumiał, że jest to jéj dążenie stałe i już niezmienne.

Od Pięcioksięgu Mojżesza, który jeden starał się zawrzéć w sobie wszystkie umiejętności świata, nauka rozpadała się ciągle, dzieliła, drobiła, specyalizowała, aż z jednéj ogólnéj prawiedzy utworzyło się ich tysiące. Karmiły go one mnóstwem faktów tylko, nie tłómacząc ich istoty i treści. Były niby jedno olbrzymie dowodzenie, w którém rzecz najważniejsza, bo wniosek, nigdy niedopowiadany, pozostawał w ukryciu.

Wtedy Orlicz pojął, że życie nie da mu już nic. Leżało przed nim, jak wyciśnięta cytryna, a on z przerażeniem widział, że ani on jéj, ani ona jemu soków już swoich udzielić nie może.

Pytanie: „po co ja jestem?" wymazywało się już samo przez się. Chciał dążyć do czegoś, chciał działać, chciał tworzyć, chciał wejść w grę świata, — a oto zobaczył, że był już wykluczony z niego i nie mógł nic. Świat biegł sobie gdzieś w dali, a on, odpryśnięty od niego, pozostał sam i nie miał o co rąk swoich zaczepić.

I znowu Orliczowi zaczęło się cisnąć pytanie: „czém więc ja jestem?" Ten wielki jakiś cel, który go miał wieść przez życie, rozpłynął mu się we mgle i okazał marą. Myślał, że nim zapełni tę przepaść, jaką ujrzał wtedy przed sobą, a ona tymczasem znów mu stanęła otworem i przeraziła próżnią...

Po długiéj wędrówce powrócił nad samą jéj krawędź, powrócił tam, skąd wyszedł, tylko już odarty ze złudzeń, zwątpiały w swe siły, goryczy pełen i zniechęcenia.

Wtedy Orlicz, nie odciągany już niczém nazewnątrz, skupił się tylko w sobie, słuchając szeptów swojéj własnéj duszy i poznając jéj potrzeby, trwogi i pragnienia. Rozejrzał się raz jeszcze wkoło i widział, że został się sam, bez podpory żadnéj, ani pomocy, oddany na pastwę własnéj bezsilności. Przed sobą miał ciemność tylko wielką, któréj się bał, bo zrozumiéć jéj nie mógł, a w sobie przeświadczenie o swojéj niemocy i pragnienie światła. Wówczas zrozumiał, co to jest wiara i do czego ona jest niezbędną.

Zaczął też jéj znowu pragnąć gorąco.

Nie była mu już potrzebna, jako sternik życia i motor czynów, ale jako nadzieja, że jest coś więcéj, czegoby po za życiem spodziéwać się można. Jeżeli nie tu, to choć już gdzieś tam niech będzie coś, czegoby czekać było wolno.

I Orlicz czuł, że potrzebuje koniecznie ratunku, nie wiedział jednak, skądby on mógł przyjść.

Od świata nie spodziéwał się niczego, bo był po za nim, a w sobie miał rozterkę tylko, jedno wielkie pragnienie jakiéjśkolwiek wiary i jedno wielkie zwątpienie o sobie i wszystkiém.

Czuł się jak roślina, wyrwana z korzeniem, którą wiatry miotają, dokąd chcą i nie dają się nigdzie zaczepić. Życie wydało mu się ustawiczną wędrówką do jakiéjś krainy, która nie istnieje, albo wielkiém spróchniałém drzewem, w którém pod liśćmi i korą nie ma wcale miazgi, tylko czarna pustka. A bał się téj pustki: i nie dlatego, żeby rzeczywiście pustą być miała, ale że on w niéj nic dojrzéć nie mógł.

W końcu myśl o tém stała mu się męką. Coraz częściéj miéwał takie chwile, że widział wkoło siebie czarność tylko, w którą nie było po co rąk wyciągać ani w zwątpieniu, ani w błaganiu. Choć się wzdrygał przed tą czarnością, byłby się chętnie zgodził i na nią, gdyby tylko miał tę pewność, że w niéj rzeczywiście nic nie ma. Zapełniłby ją jedną wielką, wszystko obejmującą pustką i jeżeli już nie szczęśliwym, byłby przynajmniéj spokojnym.

A właśnie ani téj pewności, ani tego spokoju nie miał, bo nie mógł się obronić myśli, że tam w téj czarności może być coś, co jest tą miazgą drzewa życia, co jest wytłómaczeniem, źródłem i ujściem wszystkiego,—a czego on dostrzedz tylko nie może. Więc szarpał się jeszcze i czekał, choć nie miał nadziei.

Majaczyło mu nieraz, że im większe obszary rozterka ta obejmować w nim będzie, im bardziéj ta ustawiczna walka obezwładni mu umysł i przytłumi swoją beznadziejnością, tém możliwość ratunku będzie bliższa, bo niezbędniejsza.

Odczuwał bowiem chwilami, że dochodzi do jakiéjś granicy rozkładu ducha, po za którą przejść już niepodobna wprost dlatego, że i wszelkie rozsprzężenie kres swój miéć musi. Mogło więc nadejść takie przesilenie, kiedy samą siłą ścierających się żywiołów zapanowałaby między niemi harmonia jakaś, choćby wskutek zupełnego wyczerpania. A wyczerpany był bardzo i spoczynku nie pragnął już, ale potrzebował.

Doświadczał nieraz dziwnego wrażenia. Oto zdawało mu się, że on w całéj téj pogoni za tą niezbitą prawdą obrał mylną drogę i zamiast się zbliżać do niéj, oddalał się od niéj ciągle, idąc precz w jedną

stronę, nie zmieniając kierunku. Dostał się na jakąś wyżynę z błędnemi ścieżkami, z któréj wyjścia odnaléść nie mógł, a tęsknił za ziemią, którą opuścił niebacznie. Próżno z coraz większą rozpaczą rozglądał się wkoło, szukając dróżek i ścieżyn, którędyby na dół zejść można, próżno pragnął spoczynku i ręce wyciągał ku ziemi. Wszędzie była stroma tylko krawędź, a ziemia gdzieś w głębi, jak spokojna przystań, nęciła go ku sobie, obiecując wytchnienie.

I coraz częściéj przychodziło mu na myśl,—czyby już nie lepiéj było, zamiast tak wciąż błądzić po ścieżkach, zrobić skok szalony, rzucić się odrazu na dół, choćby z narażeniem życia, byle tylko raz wreszcie dosięgnąć téj upragnionéj ziemi i choćby skonać zaraz, byle nie w tém straszliwém błądzeniu.

W majaczeniach swoich Orlicz przeczuwał już, że tylko skok taki wywieść go z chaosu potrafi. Czekał jednak jeszcze, póki mu się głowa do ostatka tą przepaścią nie upoi, żeby nie czuć bojaźni przy tym szalonym skoku przez rozum do nieznanych głębin.

Jakoż nie czekał na to długo.

W życiu Orlicza w tym czasie zaszedł wypadek, którego wrażenie pozostało mu na całe życie, bo było mu ciężkiém i ogromnie smutném: umarła mu matka. A kochał ją tak, jak się tylko matki kochać może, te dobre matki, które w swoich synach i córkach widzą świat cały i do późnéj starości za małe dzieci je uważają. Ona go też uważała za dziecko tylko małe, nie szczędziła mu pieszczot, lubiła przegarniać mu włosy nad czołem i w głowę całować.

On się poddawał wszystkiemu,—bo kochał jéj ręce drobne i białe i lubił, kiedy mu na głowie spoczęły, — bo potrzebował nieraz czuć się kochanym i drogim komuś, — bo jednego go tylko miała, a on ją jedną na świecie.

Umiérała spokojna o siebie, z jedną tylko troską o niego, że tak sam zostanie, bez jéj opieki i oka. Miała go znów odzyskać gdzieś na tamtych światach,—bała się jednak myśléć o tém, żeby zbytniém pragnieniem tego spotkania nie skrócić mu życia.

Wobec jéj zwłok Orlicz po raz pierwszy uczuł już nie pragnienie, ale gwałtowną potrzebę wierzenia w coś, coby mu zapewniało byt dalszy, pozagrobowy i obcowanie dusz na tych innych światach. Dotychczas wzdrygał się tylko wobec tych ciemności, w jakie zapadała mu wyobraźnia, gdy myślał o tém i dlatego pragnął światła; teraz widział, że musi odnaléść to światło, że musi je miéć za jakąkolwiek cenę, — bo stało mu się potrzebą.

Czekał przedtém na to zupełne upicie się głowy przed widzianą

przepaścią—i oto teraz upoił się. Zaczął tylko myśléć o śmierci duszy—i stanął nagle nad samą krawędzią.

Jedna tylko myśl oszołomiła go odrazu: wyobraźnią swoją chciał podążyć za duchem téj zmarłéj i zadał sobie pytanie, gdzie go szukać teraz?

A jeżeli nigdzie?

Świat taki wielki, ogromny, tyle w nim gwiazd i planet, i słońc, i przestrzeni,—a oto nie ma w nim miejsca dla téj jednéj malutkiéj duszy, tak drogiéj jemu, tém droższéj, że zgasłéj i on napróżno przebiega myślą tę nieskończone zaświaty, napróżno tęskném okiem szuka téj swojéj duszyczki, bo nie znajdzie jéj nigdzie i nigdy...

Bo i nigdy także.

Światy się będą rodziły i gasły i przeradzały znowu, miliony wieków, jak tony jednéj nieskończonéj gamy, zwolna i miarowo następować będą po sobie, a on, choćby i szukał jéj tak gdzieś aż do bezkońców świata i czasu, nie znajdzie jéj nigdy...

I Orlicz teraz zrozumiał dopiéro, co to jest n i g d y i czém grozi nicość.

Nieraz już przecie zastanawiał się nad tém, nie po raz pierwszy wyobraźnia jego starała się sięgnąć po za kresy bytu, a przecie teraz dopiéro wzrok jego dotarł aż do głębi samych, aż tak gdzieś głęboko, iż zrozumiał i pojął, że końca nie mają. Dotychczas myśl jego, trafiwszy na głębię, ześlizgiwała się po niéj w zwątpieniu o swych siłach. Widział ciemność tylko wielką i cofał się przed nią, nie mając odwagi, ni mocy zejść tam aż do niéj.

A teraz zeszedł za tą duszą jedną, rozglądał się wkoło, szukał z utęsknieniem—i nie mógł jéj znaléść.

Próżnia, jak morze, płynęła wciąż przed nim, a on nią leciał i leciał, zapadał i tonął, wciąż daléj i daléj, w nieustannéj pogoni, — i końca nie widział. Otchłań ciągnęła go w siebie, wchłaniała, wsysała, aż mu tchu brakować zaczęło,—a nigdzie nie znalazł oparcia, nigdzie granicy, gdzieby przystanąć można...

Wtedy Orlicz pojął, że stanął u kresu i że, jeżeli nie ma oszaléć, musi w cośkolwiek uwierzyć.

Pozostawał mu tylko ów skok, przeczuwany oddawna...

Przyszedł mu łatwo i bez żadnéj walki, bo już zmęczony był bardzo i w rozprzężeniu zupełném. Rzucił się tylko na kolana u zwłok zmarłéj i wyszeptał zcicha:

— Musisz być, Boże, boś nam jest potrzebny.

. . . .

Nie była to jednak owa wiara, która przenika duszę nawskroś, a przez to koi i uszczęśliwia. Zrodzona z niemocy w cierpieniu i wyczerpaniu, płynąca z potrzeby, a nie z przekonania, nie mogła całkowicie zapanować nad nim. Czuł w sobie jakieś rozdwojenie, jakieś dwa źródła światła, wykluczające się wzajem, a on jeszcze nie umiał kierować niemi, nie wiedział, co każde z nich oświetlać powinno. Pełno w nim jeszcze było zwątpień i wahań, pełno pytań i zastrzeżeń, dużo myśli urwanych i niedokończonych dociekań. Rozumiał jednak, że jeżeli już istnieje ta Przedwieczna Istota, która rządzi i kieruje światem, to musi Ona być i dobra i wyrozumiała, i przebaczająca, a zarazem tak wielka wszechpotęgą swoją, że już Jéj niczém urazić nie można.

Żył więc w takiéj półwierze i w ciągłém rozdwojeniu, a tyle przynajmniéj zyskał na tém, że w chwilach lęku i niemocy miał się na czém oprzéć.

Doznał przytém niezmiernéj jakiéjś ulgi. Ten miażdżący ciężar rozpaczy i przygnębienia, który go ugniatał, usunął mu się teraz z duszy i pozwalał choćby cierpiéć swobodnie. Przedtém nie miał nawet do kogo rąk wyciągnąć w bólu, skarżyć się lub błagać, modlić się lub pytać; — teraz czuł jeszcze kogoś nad sobą i głos nie ginął mu, jak przedtém, w straszliwéj próżni. Doznał więc takiéj ulgi, jakiéj doznaje człowiek w bezgranicznéj rozpaczy, kiedy zapłakać może. On się we łzach duszy rozpłynął cały i teraz dopiéro ból, co się w nim latami walki gromadził, zaczął mu przepełniać serce.

I Orlicz pytał wtedy: „czémże więc jest życie, jeśli nie cierpieniem?"

Oto żył już lat sporo i prócz rozczarowań nie doświadczył niczego. Chciał działać —i nie wiedział jak; chciał wierzyć — i nie wiedział w co; rzucał się w poszukiwaniach — i nie znalazł nic. Wszystko mu się rozpryskiwało w rękach, wszystko niosło tylko zawód, aż został wreszcie jak samotne na bezdrożu drzewo, z którego wichry wszystkie liście zwiały.

Prawda, iż rzucił się w końcu w jakąś półwiarę, — ale więcéj w niéj było rozpaczy i wycieńczenia, niż ukojenia i otuchy. Nie spływała na niego, tylko on ją wydobywał z siebie, moc więc jéj tylko od niego samego zależała. U ludzi, których wiara przenika duszę tak, jak dusza przenika ich ciała, siła wierzenia słabnie przy każdém zwątpieniu, przy każdém zachwianiu się ich dogmatów,—u Orlicza zaś natężenie jéj szło odwrotną drogą. Im bardziéj wątpił o wszystkiém, im bardziéj lękał się i bał, tém większą wzbudzał w sobie wiarę i z tym większym uporem powtarzał sobie: „tak być musi." A że chwile tego

lęku i bezgranicznego znużenia przychodziły mu w cierpieniu wielkiém, więc tylko w ogromném cierpieniu mógł czerpać ziarna otuchy z siebie.

Orliczowi téż dusza, niby wilgocią, nasiąkła bólem i na ból tylko zrobił się wrażliwym. Uogólniając, jak zawsze, każde uczucie swoje i każde wrażenie, uogólniał teraz swoje cierpienie i rozłożył na wszechświat cały.

Z jakąś chciwością nienasyconą i gorączką palącą zaczął się wszędzie doszukiwać i dopatrywać cierpień i bólów — i znajdował je wszędzie. Kryły się one i pod maską śmiéchów i zadowolonych twarzy, kryły się po głębinach serc ludzkich i kryjówkach mózgów, tkwiły niby kolce cierni i w duszach i w ciałach, a siały się same, niby ziarna kąkolu, zachwaszczając wszystko i przytłumiając sobą. Były jak gorycz, co wszelkie istnienie zatruwa sobą i niczém się wytępić nie da.

A Orlicz je wydobywał z tych mamiących obsłonek, wyłuskiwał niby ziarna z łupiny, śledził i badał — i widział je wszędzie. Przebolały i przeczulony wchłaniał w siebie to tylko, co dźwiękiem swoim drganiom strun jego własnéj duszy odpowiadać mogło,—i tém się karmił jedynie.

Nie zadawalał się nawet znajdowaniem cierpień i bólów, rozsianych po świecie: on je odszukiwał jeszcze, wyśledzał i tropił, z uprzedzeniem już z góry dopatrując się ich we wszystkiém. Zrodziła się w nim i wzrastała z coraz większą szybkością jakaś zaciętość chorobliwa i żądza gorączkowa doszukiwania się wszędzie niedoli i nędz rozmaitych i nie miał spokoju, póki ich nie odnalazł. Napełniały go one jakąś piekielną rozkoszą i upojeniem. Przeczuwał z nich każdą, przetrawiał i odbolał sercem, a jednocześnie upajał się sobą, że mu się tak dusza we łzach i bólach całego świata nurza i że je wszystkie w piersi swojéj zawarł. Miotał nim ból wszechświata.

I po raz drugi zdawało się Orliczowi, że się zléwa z wszechświatem, z naturą całą — i stanowi z nią jedność. Tylko że tam w tych trawach, w ową noc letnią, drzémał, jak i wszystko, a teraz—cierpiał, jak wszystko.

Dopatrzył się bólu nawet w kamienia martwocie, nawet w wodach, co stoją i wiecznie stać muszą, nawet w rzekach, co płyną i wytchnienia nie mają, nawet w kwiecie maleńkim, że go robak toczy, nawet w robaku samym, że szkodą żyć musi. Cierpiało wszystko i on cierpiał za wszystko.

I teraz jedność była, ale już nie ta, co wtedy. Wówczas on się rozpłynął we wszechświecie całym,—teraz wszechświat cały w nim się mieścić zdawał. Cierpieniem było wszystko, rozczarowaniem i nędzą,

a on te nędze, cierpienia i bóle wchłonął w siebie, zrozumiał i odczuł, więc zawarł wszystko w sobie. Zdawało mu się, że stoi gdzieś w środku wszelkiego istnienia i jest dla niego jakiémś wspólném zlewiskiem. Wszystko szło ku niemu, toczyło się, dążyło, jak do ujścia swego, a on to wszystko przyjmował w siebie, wciągał i wdychał i był niby sercem i płucami wszechświata.

I płynęły do niego strumienie i rzeki i morza całe.

Krew się w nich mieszała ze łzami i potem, a każda ich kropla miała historyę swoją i była jak perła, co z wrzodu powstała.

Krew z ran się sączyła ludzi milionów, którzy za masy walczyli i ginęli za masy. Płynęła żywa jeszcze i gorączką spalona, a każdą drobiną swoją zdawała się pytać:

— Za coście mnie przelali?

Orlicz przyjmował ją w siebie, mieszał z własną krwią swoją i, słuchając jéj szeptów, pytał napróżno:

— Czemu przeléwać ją trzeba?

Pot dymił jak ukrop, bo gorący był jeszcze i płynął falą szeroką. Powstał ze znojów wielkich i trudów wszelakich, a wyciśnięty był męką i mozołem wiecznym. Płynął ciągle i ciągle, nieprzebraném korytem, coraz bardziéj się wznosząc, a bez chwili wytchnienia.

I pytał wciąż szeptem:

— Gdzież są dzieła moje?

Orlicz przyjmował go w siebie, mieszał z potem własnym i słuchając szeptów jego, pytał napróżno:

— Czemuż wyciskać go trzeba?

To znowu łzy płynęły. Tych niewiele było, ale szła od nich gorycz i żar jakiś palący. Wylały je niedole wszelakie, ciche smutki i skargi, krzywdy i boleści. Toczyły się kroplami, niby różne kamyki, tylko ciężkie bardzo i gorące bardzo. A były tak małe, jak łzy dziecka, gdy kwili, to znowu tak wielkie, jak łzy starca, gdy płacze.

Płynęły powoli i zawodziły zcicha:

— Czegośmy płakały?

A Orlicz i te także zwolna wsączał w siebie, mieszał ze łzami swojemi i, słuchając ich żalów, pytał znowu napróżno:

— Czemuż płynąć muszą?

Górą jeszcze nad tém, niby wiatru powiewy, leciały skargi i jęki, westchnienia i zgrzyty, krzyki przekleństwa i rozpaczy. Wydzierały się z milionów piersi, wyrwane z nich cierpieniem, a choć cicho jęczały, nic oprócz siebie nie dawały słyszéć. Zdawało się, że to wiatry płaczą. Były niby łkanie świata, który gdzieś w dole pod niemi szamotał się i szarpał, i wił wśród boleści.

Orlicz te rozełkane wichry wciągał w siebie jak oddech, a one mu jeszcze w piersiach szemrały wciąż bólem i tłukły się, jak ptaki, strwożone ciemnością.

Zbiérał obfite żniwo. Rozsiał smutki swoje, rozłożył na barki świata, wyrywając je z siebie, rozpostarł na wszelkie istnienie na ziemi, a oto one znowu powracały do niego, tylko większe jeszcze i bardziéj bolesne, bo nabrzmiałe tém wszystkiém, co spotkały po drodze. Skupiał je w siebie, gromadził i wciskał, a one mu się wszystkie, jak warstwy naboju układały w piersi i czekały wybuchu.

I zdało się Orliczowi, że znalazł wreszcie to, czego szukał tak dawno.

Owa miazga istnienia, ów pień wspólny dla wszystkich objawów życia, owo podścielisko i przeznaczenie wszystkiego, co tylko istnieje— to było cierpienie.

Dokoła niego, niby nitka na kłębku, wiło się życie i jego zadania i nic w nich nie było na dnie, tylko ono samo. Dla niego żyło wszystko, dla niego pracowało; ono było wytłómaczeniem, ono źródłem i ujściem wszelkiego istnienia.

Rodziło się z poczęciem, zespalając się z życiem, towarzyszyło mu jak cień i zawsze i wszędzie, a konało ze śmiercią.

Ani chwili wytchnienia, ani chwili wyzwolenia, ani chwili spoczynku—tylko jedno cierpienie, ono zawsze i wszędzie...

. . . .

Myśli mu i teraz grały. Nie tłoczyły się już jednak bezładnie i chaotycznie jak przedtém do rozpalonéj głowy, tylko się układały w kompozycye całe, niby symfonie lub sonaty wielkie, w które on duszę swoją całą wléwał. Coraz częściéj miał chwile i zasłuchania jakiegoś, zatapiania się w tych pieśniach swoich myśli.

I dziwną różnicę widział w nich teraz. Przedtém rozpraszały mu się one, rwały i dzieliły na jakieś ułamki i drobiazgi, nie zespolone w żadną ciągłość jedną, — teraz ich melodya płynęła nieprzerwanie, wywiązywała się jedna z drugiéj, biegła jedném wspólném łożyskiem, skupiając do siebie rozstrzelone pierwéj tony.

I w duszy jego składała się z nich jedna wielka sonata — sonata cierpienia.

Niby w orkiestrze jakiéj, w duszy mu grały wszystkie instrumenty, z których ton dobyć można. Napinał ich struny, wyprężał je i skręcał, a one za lada ich tknięciem odzywały się same, śpiéwały i grały w takt harmonii niebiańskiéj, któréj wzór czerpał skądś zgóry, na skrzydłach natchnienia.

I były tam wszystkie tony. Biegły prędko, z wściekłością, jakby zawzięte na siebie, to znagła strzelając, jak pioruny wśród burzy, to warcząc tylko głucho, jak odgłosy gromu, gdy zdaleka dolata.

To znowu rozléwały się zwolna, jakby leniwie, niechętnie, niby w siebie wsłuchane i dla siebie płynące. Zdawały się upojone zachwytem nad tą muzyką własną, albo zbolałe i smutne, ledwo się skarżyć mogące. I raz dźwięczały tak cicho, że niemal milknęły, jak szelest skrzydeł komara, zlekka wiatrem niesiony, to znowu huczały, jakby łoskot grzmotu, gdy się w chmurach przewala.

I iść się zdawały czasem z oddaleń tak wielkich, jak niebios muzyka, co ją słyszy poeta, a czasem znienacka skakały do uszu, rozdzierając je zgrzytem lub pieszcząc, jak dłonią. A wtedy raz duszę nękały przeczuciem piekła katuszy, to ją miękko spowijały w cudne harmonii osłony i tak nieść się ją zdały z melodyi powiewem gdzieś w raju krainy.

Tak w nim płynęła melodya nieprzerwanym strumieniem, a on ją dobywał wciąż z ducha swojego i z tego morza łez wszystkich, zgryzot, cierpień i bólów, co je z całego świata zgromadził przedtém w siebie. Dźwięczała w niéj historya wszelkiego bytu na ziemi, cała epopea skarg, jęków i rozpaczy, jakiemi od poczęcia wszechświata był on udręczonym. Więc się w niéj plątały wszystkie istnienia tony. I skoczne, taneczne, a smętkiem podszyte, jak radości i uciechy, co szybko przechodzą, a złe nasiona mają, — to smutne i rzewne, jak niedole i trudy, co ludzi zjadają,—to wielkie, szerokie, w niebiosa bijące, jak ogromne nieszczęścia, co dusze druzgocą. Ufność i zwątpienie, rozczarowania i nadzieje, podniety i przygnębienia zmieniały się kolejno jak gra świateł w zorzach polarnych i tworzył się z nich jakiś korowód jeden to ducha stanów, to wydarzeń życia, co wiecznie pędzą człowieka ku jakiéjś mecie nieznanéj i nigdy mu „dosyć" powiedziéć nie dadzą.

A poprzez to wszystko, niby wstęga przez otwory koronki przeciągnięta, wiła się jedna nuta, jakaś wysoka, napięta, która ciągle dźwięczała, mącąc wszystkie melodye. Była monotonna, bo jedna, i płaczliwa, bo cicha, a dręczyła ucho swoim jękiem miarowym. Zdawała się skarżyć ciągle, zawodzić i piszczéć, jak arfa eolska, co wciąż skrzypi na wietrze, i wracała uparcie, narzucając się raz po raz, jak zgrzyt zawias zardzewiałych lub przeciągłe jęczenie, dochodzące zdaleka. Szła melodya za melodyą, przechodziły całe ustępy sonaty, a ta nuta płakała i płakała, jęczała, zgrzytała, zawsze jedna i jedna, dręcząca, nużąca, zawsze jękliwa i smutna.

I Orlicz rozumiał tę nutę wciąż jedną, co mu się w myślach wiła, jak nić czarna w wzorzystéj tkaninie. Ten jęk jéj przewlekły to był ton bólów wszystkich, to były łzy i smutki, jedną nutą drgające.

Toczyło się życie w sonatę zaklęte, przewijały się chwile to wielkie, to małe, z których się istnienie niby mozajka z kamyków układa, padały krzyki ogromne, z płuc olbrzymów wyrwane, to westchnienia maleńkie, cichym szeptem jąkane, — a poprzez to wszystko, jak nić przez korale, snuły się łzy i nędze, znikomość i marność. To niedola świata, niby nitka paciorek, nizała na siebie wszystkie chwile istnienia i była osnową, na któréj się snuły. To ona, to ta niedola, ta nędza, ta znikomość i marność mąciła harmonię wszelakiego bytu; to ona, ta niedola i marność była osnową i zmorą, podkładem wszystkiego i udręczeniem wieczném. Dlatego też jękliwą była i upartą, dlatego też męczyła i łzy wyciskała, a była smutną, tak smutną ogromnie, jak dusza tułacza, co się kołata po świecie.

Miał więc teraz Orlicz to, czego tak pragnął oddawna. Dusza mu się rozśpiewała jedną pieśnią olbrzymią i brzmiała szeroko, cały świat obejmując. Rozstrzelone dawniéj tony zléwały się teraz w jedną potężną harmonię, w jedną sonatę ogromną, a którą on w myślach ochrzcił Sonatą Cierpienia.

I już nie było w niéj rozdźwięków żadnych. Układała się sama w jeden ciąg nieprzerwany, wiązała się i snuła z wszystkich nici ducha w jeden wzór harmonijny. Była tą pieśnią wielką, o któréj on marzył zawsze i któréj czekał z utęsknieniem i obawą, jako pienia, co jego ducha w sobie zawrze i będzie mu jedynym wynikiem życia. I oto nadeszła ta chwila. Pienie przepełniało go po brzegi i trzeba je tylko było wyrzucić z siebie.

I czuł, że choćby płuca miał zerwać w tém pieniu, śpiewać już musi. Sonata Cierpienia splątała mu umysł, pożerała wszystkie jego myśli i była niby wrzód ogromny, co mu na duszy nabiérał.

Kiedy w chwilach niemocy i zmniejszonego napięcia energii natchnienia przychodziła mu myśl do głowy, że mu zbraknie siły w momencie tworzenia i poroni swe dzieło, czuł, żeby się to sprzęgło z jakąś potworną katastrofą i dla niego samego. Bo już nie chciał, nie pragnął tworzyć, ale musiał. Jeżeli Sonata miała być dziełem wielkiém i jednym z pomników myśli człowieka, — nie poczuwał się do żadnéj zasługi, że ją tworzył. Musiał ją wylać z siebie nie dla stworzenia dzieła, tylko dla uwolnienia siebie od tego opętania, jakie go dręczyło.

Nie było mu bodźcem pragnienie sławy lub kochanie sonaty jako dziecka swego: widział, że tyle męki, jaką mu nieraz sprawiała, nie

opłaci żadna sława, żadne hołdy uznania, a sonaty, choć to było jego serce własne, jego mózg i dusza, nienawidził nieraz, jako zmory straszliwéj, jako upiora, co mu wszystką krew z niego wypijała.

Dlatego też bał się i lękał, czy ją tak potrafi odrazu wyrwać z siebie, żeby mu nie wróciła znowu, jako wyrzut sumienia lub nowe opętanie rodzenia jéj raz drugi. Bo wtedy mogłoby mu i sił zabraknąć i wiary, że wreszcie znajdzie spokój.

Więc czuł, że się zbliża do katastrofy wielkiéj. Mogła go porwać w zamęcie, jak huragan źdźbło słomy, miotać nim i targać, i rzucić wreszcie z połamaną duszą, odartego z ostatnich zapałów, jakie w nim jeszcze tlały.

O życie nie szło mu wcale. Gdyby mógł za cenę jego zdobyć wielkość swego dzieła rzuciłby je bez wahania, nie żałując ofiary. Bo miał nieraz dziwne pragnienie. Zdawało mu się chwilami, że on tę Sonatę Cierpienia wygrywa na skrzypcach jakichś, trącając zlekka struny. One dźwięczą cicho, a melodya płynie. Płynie i płynie, rozléwa mu się po duszy, aż gdzieś ginie na gwiazdach, w nieskończoność rozbrzmiéwa. Wszystko słucha w zdumieniu i tonie w zachwycie, a on na skrzypkach swoich dobywa takie tony, jakich nieba dotąd nie stworzyły wzoru. Nietylko już skrzypce grają. Od zenitów do zenitów jego dłoń twórcza poprzeciągała olbrzymie struny i cały ogrom wszechświata, pijany melodyą jego cudnéj pieśni, gra z nim razem, śpiéwa, kołysze się, chwieje i omdlewa w rozkoszy...

A wtedy z niego wyrywa się jedno nieprzeparte pragnienie. Oto chce, żeby mu się dusza zerwała w ostatniém struny drgnięciu i z dźwiękiem ostatnim rozlała w przestrzeniach, ginąc tak pięknie i cicho, jak melodyi skonanie.

Czekał więc tylko chwili, kiedy mu ta sonata sama z piersi wybuchnie. Nie była sztuką żadną lub grą słów wielkich i silnych, lecz miała w sobie coś z mocy żywiołu, który sam się wydzierał z ukrycia w przestworza. Nie Orlicz był jego panem, lecz żywioł nim władał. Więc mu służył w pokorze.

I tak dni mu schodziły w jakiémś nieokreśloném uczuciu to nadziei, to zwątpień. Tylko konieczność tworzenia tłoczyła go coraz mocniéj, tak że go dusiła niemal.

. . . .

Aż wreszcie zaczął pisać. Owładnęła nim gorączka jakaś i dziwny stan ducha, w którym świadomość uśpienia i halucynacyi łączyła się z jaskrawą wrażliwością na urojenia wyobraźni. Czuł, że pisze ni-

by we śnie jakimś, oderwany od rzeczywistości, a zatopiony cały w tym idealnym świecie iluzyi i marzeń, które wysnuwał z siebie. Oplatał się niemi, niby owad swą przędzą, i tak szybował w tym ułud obszarze, gdzie już świat żywy zniknął mu z przed oczu, a powstał nowy, jego wyobraźnią stworzony. Był mu rzeczywistszym jeszcze niźli rzeczywistość sama. Czuł go i widział, i dotykał niemal, a czego w nim brakło, to z siebie dotwarzał.

I pisał ciągle, gorączką spalony, w obawie wielkiéj i w ekstazie upojeń. Bóg wié, ile wrażeń, ile uczuć przechodził w tych chwilach pisania. I radość i smutek, i rozkosz i boleść, i łzy i uśmiéchy targały mu duszę i miéwał nieraz chwile, że nienawidził dzieła swego, to znowu je kochał i życie-by oddał za nie. Rzucał słowa i myśli, niby serca kawały, a każde słowo takie było cząstką własnéj duszy jego, i chociaż oderwaną już od niéj, a przecież żyjącą z nim wspólnie. Miał nieraz wrażenie, że ten poemat cały — to jego dusza druga. Oddawał jéj wszystko, co tylko miał w sobie. Odzierał się z uczuć, ogałacał z myśli, wysilał z sił swoich i porywów zapału, a jéj dawał wszystko, jéj, téj duszy drugiéj, żeby piękną była, a silną i wielką.

Całe życie jego złożyło mu się na tę jedną chwilę. Co lata długie gromadził i zbiérał, co mu się kropla po kropli wsączało powoli — teraz oddawał z siebie, wyrzucał w wybuchu.

I tak powstała „Sonata cierpienia".

Wsłuchany w siebie, wsłuchany w te śpiewy duszy, co mu się w melodye różne składały, bezwiednie pisał w takt muzyki jakiéjś, zachowując jéj rytmy i tempa wciąż zmienne.

. . . .

Więc w prędkiém *allegro* ścigała się żywo mozolność prac ludzi z ich pragnień mijaniem. Tłoczyły się tony, goniły, spychały, jedne w drugie zachodząc, jedne drugie spędzając, coraz prędzéj i prędzéj, coraz śmieléj i nagléj. Latały passaże, kłóciły się tryle, a muzyka biegła w rosnącém wciąż tempie. Pędziły więc tony niby zawzięte na siebie, to się goniąc zaciekle, to krzyżując po drodze, a żaden z nich nie mógł pełnią dźwięków rozebrzmiéć. Ginęły w tym pędzie przez nadbiegłe zduszone, zanim echo ich mogło po przestrzeni się rozbiedz.

I tak biegła muzyka.

Z urywanych wciąż tonów, zewsząd w jedno zganianych, złożyła się w końcu wielka dźwięków kaskada, z wielu tonów powstała, a jednym szmerem hucząca.

I była to wieczna wszystkich ludzi praca nad gmachem ich szczęścia. Już od poczęcia swego na pragnienia skazani, chcieli choćby przez mozoły i trudy pragnienia te spełnić. Więc pracowali uparcie od zarania lat swoich, żyjąc tylko przyszłością, kiedy rozkoszy zaznają. Nadchodziły jednak ciągle pokolenia wciąż nowe, niosąc swoje potrzeby, swoje pragnienia i cele, i gmach, choć nieskończony, już był dla nich za starym. Więc przerabiano, burzono, przestawiano, wznoszono, zawsze z planem odmiennym, bo starzały się dawne, a budynek stał pusty i zaledwie zaczęty, bo go nikt wznieść nie zdążył przed końcem dni swoich.

I tak w trudach, mozołach i przyszłości czekaniu schodziły dni ludziom bez pożytku żadnego. Nadchodziły, jak fale, pragnienia wciąż nowe, jedne drugie spychały, jedne drugie zwalczały i nim ziścić się mogły, bywały stłumiane. Walczyła zabiegliwość skrzętna z coraz rosnącém pożądaniem i tak migały wciąż pragnienia, ledwo zrodzone już zgrzybiałe.

Aż utworzył się z tego jeden wyścig olbrzymi pożądań wciąż nowych, wciąż nowych zabiegów, który w czasów przestrzeni zbiegł szybko i chyżo, jak tony *allegra*, co się gonią zawzięcie.

Mijały ustępy całe téj dziwnéj muzyki, doganiały się takty, wyścigały tony, a żadna nuta nie mogła swego echa się dobić. Ledwie tylko zrodzoną zabijały wnet inne, przecinały, gasiły, głuszyły, tłumiły i wciąż pędem leciały coraz daléj i daléj, coraz prędzéj i prędzéj ku własnéj zagładzie. I tak biegły, pędziły, między sobą skłócone, każda z życia pragnieniem, każga ginąc po drodze.

Wreszcie zwalniać poczęły.

Przycichłe, osłabłe, łagodniały w znużeniu i coraz wolniéj się tocząc, przeszły w spokojne *andante*.

Zdawały się nie biegnąć, lecz płynąć. Rozmarzone i senne, poprzednią żywością zmęczone, pragnęły teraz wytchnienia i dążyły do niego. Układły się też cicho jakby na powierzchni wód toni i spokojnie, miarowo razem z nią żeglowały. Toń się marszczyła po wierzchu, one drżały też zlekka, toń płynęła w dal ciągle, one z nią wspólnie sunęły, a zawsze miarowo i sennie, zawsze spokojnie i wolno, zawsze łagodnie i lekko. A wietrzyk powiewny, co wody falował, a fale całował, leciutko, wolniutko zwiewał razem tony i mieszał je, łączył, zadzierzgał i wiązał.

I z tych powiązanych tonów uprzędła się pieśń jedna.

To łzy i smutki ciche wśród łagodnych pasaży zawodziły nad sobą i skarżyły się losom. Jakieś tłumione łkania, jakieś głębokie szlochania podrywały wciąż tony, pękały serca jakieś, zanosiły się płaczem

piersi, a wszystko to się zlewało w jedną skargę ogromną i płynęło powoli, udręczone, zbolałe, cierpieniem przybite. Uskarżali się niemi, kalecy i ślepcy, że byli niewinni, a w przekleciu powstali; — zawodziły sieroty, że im matki pobrali, a matki jęczały, że dziatki im marły; — płakały starce młodości, że zbiegła im szybko; złorzeczyły młodzieńce, że wcześnie pogasły.

I tak pieśń ciągle płynęła. Łkały strasznie wioliny, uskarżały się basy, tony płakały, szlochały, wzdychały, kwiliły, a coś ponad niemi zdawało się ręce łamać w bólu i jęczéć straszliwie.

W końcu tchu już nie stało.

Jakiś przeraźliwy ucisk, jakieś bezmierne znużenie ogarnęło rozłzawione tony, zaczęły się tłumić, zadławiać i dusić, a tylko ich echo, co sobie ręce łamało z bólu i włosy rwało z głowy, załkało teraz okropnie. I choć pieśń się urwała, to przerażone echo przedłużyło jéj trwanie, bo łkało... łkało... i łkało...

. . . .

Zamilkłe na chwilę tony odezwały się znowu.

Gdzieś z krańca niebios odbite łkań drżenie przypłynęło nad struny i musnęło je w powiewie. Struny zabrzęczały cicho i rozśpiewały się znowu.

Rozskarżone, zbolałe i ledwie już szemrzéć mogące, rozlały się teraz w śpiewne i łzawe *adagio*. Coraz czystsze, wolniejsze, coraz słabsze i cichsze nadpływały powoli, lekko drżały chwil kilka i odpływały daléj, niby senne widziadła. A melodya, co jest muzyki poezyą, poczęła zbiérać te gasnące szmery, poczęła je wiązać i skupiać, rozkładać i składać i usnuła z nich w końcu modlitwę błagalną.

Więc rozmodliły się tony, przestały jęczéć i płakać i już błagały tylko. W jakimś nadziemskim zachwycie, w jakiémś upojeniu ekstazy, rozbłagane i rozgorzałe słały do niebios swe prośby. Modliły się o pokój wieczny, o wytchnienie i litość, błagały o ciszę dla świata i ukojenie dla siebie; prosiły, by łzy biedz przestały, a smutki zniknęły, by ludy w szczęściu żyły, a miłości i zgodzie.

A śpiewne *adagio*, co się w melodyę rozlało, podchwytywało ciągle tony i, wiążąc je społem, kołysało niemi. Więc się chwiała melodya w téj rozmodlenia ekstazie, to się wznosząc ku górze, to na dół spadając. Gdzieś ku niebiosom się pięła wśród łagodnych falowań po łaskę i światło i litościwe wejrzenie, a w dół się zsuwała, rozlewając się wolno, niby zmęczona, osłabła, żeby siły zaczerpnąć. I tak bujała się ciągle, piętrzyła, zniżała, niby morza powierzchnia, gdy ją wiatr rozkołysze.

Aż w końcu apoteozy hymnem zaczęła iść wciąż ku górze, coraz wyżéj i wyżéj, coraz prościéj i chyżéj, gdzieś pod same niebiosy, gdzieś pod same błękity, — aż i znikła tam wreszcie... A echa, jakie się stamtąd rozbiegły, poczęły cichnąć i daléć, rozpraszać się, rozwiewać, wycieńczać i słabiéć. I tak niknęły i cichły, cieniały... gasnęły... aż i zmilkły zupełnie.

. . . .

„Ruszajcie precz! Pocoście tu? By spokój mój wasz zmącił pisk? — zawołał głos zza niebios wrót. — Ni waszych skarg, ni waszych łez, ni waszych mąk, ni cierpień łkań nie widzi nikt, nie słucha nikt. Tu pustka jest i jam jest nic i byłem nic i będę nic. Nie pnijcie się — daremny trud: tu tylko trwa — okrągłe nic! Jak wszystko jest, tak dobrze jest i będzie tak po wieków wiek. Daremny trud—ruszajcie precz: tu nie ma nic, zupełnie nic..."

Taki-to figiel *scherza* był.

. . . .

. . . .

I poszły precz rozskarżone tony i jako bywa w nieszczęściu a krzywdzie — skłóciły się z sobą.

. . . .

I huknęły odrazu. Zaczęły coraz gwałtowniéj naciérać na siebie, jakby się ścigając i goniąc we wściekłym zamęcie i przeszły w huczący finał. Tu już szalał świat cały.

Po-przez bezmiary nieskończonych przestrzeni, po odwiecznych torach swoich latały koliska światów w rozpędzeniu szaloném. Z piekielnym rozmachem wirowały wśród bezdni przepaści, pędząc ciągle i ciągle, niby garść wielka śrutowin, wystrzelona z olbrzymiego działa. A każda kula taka jęczała w przebiegu: „wytchnienia choć na chwilę! czemuż tak leciéć musimy?!"

I z tych krzyków jęczenia powstał jeden wrzask straszny, który sobą zapełnił wszystkie przestrzenie i sfery tak, że nic w nich nie było, tylko ten wrzask straszliwy. I tak kule latały nie w eterach, lecz w jękach.

Obracały się koło planet księżyce, latały po orbitach planety, przewalały się wielkie mgławice, pędziły słońca i gwiazdy, aż w tym piekielnym zamęcie rozwirował się wszechświat wszystek. Tylko komety błędne z roztarganym warkoczem, jakby przerażone i blade, szukały próżno drogi, błąkając się wiecznie.

Po-przez bezkrańce światów, po-przez bezkrańce przestrzeni, po-przez bezmiary bezmiarów przelatywały systematy całe, to raz u szczytów zenitu, to w głębinach nadirów. Rozpędzone, rozmachane, rozhukane i rozszalałe waliły, jak wściekłe, po-przez ciągłe przepaści, staczając się w bezdnie, to strzelając do góry. I wyły wyciem straszliwém: „ukojenia! wytchnienia! litości! spokoju!” A zamęt piekielny porywał je znowu, przewalał, popychał i rozrzucał w bezmiary, niby iskry rakiety, wystrzelone w błękity.

Tylko wicher przestworny, tylko huragan wszechświatowy, jaki się z tych kołowań między kulami wytwarzał, szalejąc w rozpasaniu, poganiał jeszcze światy, podbijając je w biegu. A że nie z eterów powstawał, lecz jęki pędził sobą, więc wył przeraźliwie i na jęczenie światów piskiem tylko odpowiadał i zgrzytem.

W końcu dopełniło się.

Niewidzialna ręka olbrzymiém siły napięciem zmąciła tory światów i skotłowała je z sobą. W szalonym tym rozmachu jedno z kulisk pędzących potrąciło o drugie, to o trzecie i czwarte, tamte jeszcze o inne i tak się rozpoczęło konanie wszechświata.

Runęły w przepaść światy, waliły się słońca i gwiazdy, przewracały się w bezdnie systematy całe, a chaos piekielny ogarnął przestrzenie. Kule się spotykały, zderzały, pękały, pryskały, to na proch się zbryzgując, to w kawały lecąc, a rumowiska światów, ich szczątki i gruzy waliły się gdzieś ciągle, w jakieś ciemnie straszliwe.

Pogasły słońca wszystkie, zmroczyły się planety, księżyce, a ciemność bezdenna pokryła agonię ostatnią. I tylko łoskot okropny walenia się światów, tylko huk, zgiełk i łoskot tłukących się globów, tylko chrobotanie piekielne zmiażdżających się kulisk przepełniały sobą próżniejące przestrzenie.

Bezładna gruzów gromada, niby cmentarzysko świata, zawisła wśród próżni i dogorywała powoli. Coś się w niéj burzyło, kipiało, warczało i kotłowało okropnie, przewracając się ciężko i jęcząc chrapliwie.

Było to rzężenie ostatnie, agonia wszechświata.

Wtém huk piekielny, straszliwy, huk pierwszy i ostatni w całym ciągu istnienia, huk, jakiego przedtém i potém ani było, ani być już nie miało, raz jeszcze rozdarł próżnie i obiegł przestwory. To istnienie skonało wśród spazmu konwulsyi.

Zagrzmiały wszystkie pioruny, rozwyły się huragany, rozpękły wszystkie grzmoty i w rozpasaniu wściekłém huknęły odrazu.

Rozprysły się czasy, zawaliły przestrzenie, rozproszyły byty — i nastała nicość i cisza . . . .

. . . .

. . . .

Sonata Cierpienia była skończona.

. . . .

W pół roku późniéj wielka sława opromieniła imię Orlicza. „Sonata Cierpienia" poruszyła umysły, podniecała uczucia, stała się powodem walk zaciętych i sporów gorączkowych, wywołała ruch serc i mózgów. Witano w autorze nowy i oryginalny talent, rokując mu wielkie nadzieje.

Ogół został podbity odrazu, olśniony siłą i ogniem talentu. Dzieło rozchwytywano gorączkowo, czytano, przejmowano się niém lub oburzano,—czytali je przecież wszyscy i mówili o niém dużo, przyznając, bez względu na punkta zapatrywań, wielki talent twórcy.

Autor, jak przyznawali nawet niechętni, umiał grać na nerwach i mózgach ludzkich i wygrywał na nich, co tylko chciał.

Byli i tacy, którzy rokowali, że poezya znowu stanie się mistrzynią i kierowniczką czynów ludzkich, jak nią była dawniéj, w czasach wielkich czarodziejów słowa. Ludzkość, utrzymywano, jest już znużoną bardzo, ogołoconą z wiary i zwątpiałą w swe siły; wyniszczyła się zupełnie bezowocnemi walkami i wieczną pogonią za światłem przewodniém. Stąd więc wnioskowano, że poezya mogłaby jeszcze odegrać jaką rolę, porywając entuzyazmem rozkładające się umysły — tylko musiałaby być wielką i krzepiącą ducha.

„Sonata Cierpienia" już samą siłą wywołanego wrażenia zdawała się świadczyć, że to zadanie poezyi grać na duszach ludzkich potęgą i czarem nie jest niemożliwém. Bo choćby już porwać i rozkazywać nie miała siły i mocy, mogła przecież koić i uciszać bóle.

I na Orlicza wtedy zwrócono spojrzenia. Sonata dała mu nietylko rozgłos i sławę, nietylko uznanie talentu i potęgi słowa. Dała mu ona jeszcze dziwne jakieś zaufanie wszystkich w szczerość tego, co mówił i wiarę, że to, co jeszcze powié, będzie tak samo przeczute i przemyślane, z głębi duszy wyrwane, jak ta spowiedź bólów. W „Sonacie", niby w zwierciedle, ujrzeli wszyscy swoje nędze i smutki i czuli, że ten, co je tak opisał krwawo, musiał miéć, jak i oni, tylko bardziéj jeszcze, duszę rdzą zwątpienia stoczoną. Więc gdyby ta właśnie dusza, tu przepojona bólem i już doświadczona cierpieniem, uwierzyła w coś przecie i promyk światła ujrzała, — możnaby łatwiéj w jéj szcze-

rość wierzyć, a w promyk taki — może i uwierzyć. Bo często ludzie, gdy chorzy są bardzo, przejmują leki od wyleczonych niemi z tych samych chorób. Więc i na Orlicza spoglądali chorzy, czekając, co go uleczyć potrafi.

A Orliczowi tłumem cisnęły się teraz wrażenia i myśli. Rozgłos i sława spadły na niego znienacka, niespodziewane i nieoczekiwane. Dzień niemal każdy przynosił mu jakieś echo wywoływanego przezeń rozgwaru i każdy dzień taki zdawał się ten rozgwar powiększać jeszcze i rozszerzać. Leciały do niego wieści sławy, jak jaskółek gromada, a każda z nich znaczyła swą drogę, jakby szlakiem świetlistym. I z tych nici promiennych tworzyła się koło głowy jego aureoli korona, w któréj chodził, jak w słońcu.

Wśród téj wichury uczuć, jaka nim teraz owładła, dwa górowały nad innemi: poczucie swéj sławy i wrażenie jakiéjś szerszéj przestrzeni, na jaką się wydobył teraz. Dusza jego niby przejrzała jakimś zmysłem nowym i to, co nim poznawał teraz, zdawało się ją aż oślepiać swoją niespodziewaną nowością.

Z początku jednak sława tylko pochłaniała go zupełnie. Po dniach pierwszych upojeń i oszołomienia, jakie ona sprawia, zaczął pracować umysłem, ażeby ją nie czuć już tylko, ale i rozumiéć.

Bo nie na długo mu starczyło samo poczucie się do niéj. Kiedy po raz pierwszy rzekł sam do siebie: „więc jestem sławnym”, zdawało mu się, że są to dopiéro pierwsze wyrazy jakiegoś wielkiego łańcucha myśli i uświadamiających wrażeń i że tuż za niemi popłynie cały ich szereg, niekończący się prawie. Tymczasem odrazu spotkał go zawód. Cały wybuch uczuć mieścił się tylko w tych kilku wyrazach i daléj nie wiedział, co ma dodać jeszcze.

O sławie marzył kiedyś wiele i tak ją stawiał wysoko, że aż nie przypuszczał, by go kiedykolwiek opromienić mogła. Było to coś tak wielkiego, tak wzniosłego i odurzającego czarem, że w żadnym razie dosięgnąć-by jéj nie mógł. A przecież dosięgnął. Zeszła do niego, osypała go sobą hojnie, rozgłosiła mu imię, otoczyła go odrazu. Orlicz czuł ją na sobie, widział, że ma do niéj prawa i wmawiał ją w siebie — a przecież zdawało mu się, że to nie jest ta sama sława, o jakiéj on marzył kiedyś i jaką sobie wystawiał. Dziwił się, że całą jéj rozkosz w dwóch wyrazach tylko zamieścić potrafił i że przy całéj jéj hojności—w duchu pozostał ubogim, jakim był i przedtém.

Więc zaczął się pytać sam siebie: „czy mi co dała sława i co mi ona dała?”

Mogła mu dać pewność siebie i wiarę w swój talent; téj nie miał jednak i teraz, a przynajmniéj nie zawsze. Właśnie w chwilach zwąt-

pień i obawy niemocy, właśnie w chwilach takich, kiedyby go wesprzéć powinna — była, jak on sam, bezsilną i nie mogła mu wmówić odwagi.

Zrozumiał, że wiara w siebie i ufność w swe siły i bez uznania sławy istniéć w sercu mogą. Płyną one nie zzewnątrz, ale zwewnątrz ducha i wmówić ich w siebie nawet uznaniem milionów nie można.

Orlicz też, jak i przedtém, pozostał dowolną igraszką przypływów i odpływów ducha i albo się bratał z gwiazdami, albo unicestwiał w prochu.

Mogła mu także sława dać jakąś dumę z siebie, jakieś przeświadczenie uznane, że jest jednym z wybranych, że jest dostojnikiem ducha. Zawsze w takiém przeświadczeniu tkwi wiele rozkoszy i ono to właśnie pozwala jéj szukać nawet na dnie katuszy.

Za wielkim jednak sceptykiem był Orlicz zawsze, ażeby choćby miliony mogły weń wmówić cośkolwiek. Więc i tu, jak przedtém, pozostał w kole wirowém i co zyskał na sławie, potrafił wypalić swoim jadem zwątpienia.

Ale jedno przecież zdawał się zyskać niewątpliwie: wielki rozgłos i innych uznanie. Przeświadczało go o tém wszystko. Mówiono o nim, pisano i rozprawiano i mógł być pewnym tego, że jego imię stało się znaném wszystkim i wraz z „Sonatą" weszło w bieg życia. Spadł niby kamień w wygładzoną toń społeczeństwa i widział, jak koła falowań, szerząc się i wydłużając, ogarniały coraz większe obszary, dążąc gdzieś do jakichś brzegów nieznanych. A wszystkie, jak światła promienie, od niego biegły i w nim się skupiały.

To też najdłużéj Orlicz pieścił się myślą o swoim rozgłosie. Uważał go za jedyny dar sławy, który uzyskał w istocie i którego pewność niewzruszoną być miała. Cieszył się zatém i z tego, rad, że coś ma przecie, co zdobył sobie i czém swój dobytek wzbogacił.

Wkrótce jednak zobaczył, że i w tém było złudzenie, — może silniejsze od innych, ale złudzenie tylko. Oto z całego tego rozgłosu on, on sam, nie zyskał nic. Wsławiało się imię jego, wsławiał się układ głosek, będący tylko prostém wyobrażeniem autora Sonaty, ale on sam się nie wsławiał. Gdyby mu się spodobało na miejscu swego imienia zamieścić jaką inną nazwę, — wsławiałaby się ta nazwa, ale znowu nie on. Nazwisko jego oderwało się od niego i, krążąc wśród ludzi, zbierało hołdy i uznanie, było jednak ciągle tak bezcielesném, jak imiona bogów Hellady, którzy nie istnieli wcale, a mimo to cześć odbierali i nieśmiertelność posiedli.

Sam dla siebie oznak sławy nie pragnął, bo nawet nie wiedział, coby robił z niemi — i dlatego, jak przedtém, żył w ciszy i zdala od

zgiełku świata, zadawalając się jedynie echami, jakie go dochodziły stamtąd. Témbardziéj więc jeszcze osoba jego stawała się zamglonym mitem, w którym po-za nazwą żadnéj rzeczy nie ma.

I zrozumiał Orlicz, że nawet i ten nabytek, jaki, myślał, że zdobył, chimerą był tylko, bo nie dał mu nic. Nie przysporzył mu żadnéj idei, nie wzbogacił go żadném uczuciem, nie dał mu nawet niższych przyjemnostek zadowolonéj ambicyi, bo nie dbał o nie, — a odarł go tylko z ostatniego złudzenia.

Znowu więc w duszy Orlicza zaczęła się szerzyć pustka. Przerażała go teraz bardzo, bo widział, że już jéj niczem zapełnić nie zdoła. Rzucał w nią, jak w beczkę Danaid, wszystko, co tylko mógł i miał do rzucenia, a przecież ciągle tylko próżnią wiała. Rzucił w nią nawet to, czém nie każdy rozporządzać może—rzucił sławę swoją—a i ta jéj zapełnić nie mogła.

I widział teraz, że ta sława, niby fala morza, obléwała go tylko, do dna jego serca nie dosięgając wcale. Czuł, że mu w niéj brakło promienia jakiegoś, któryby mu się wedrzéć potrafił aż gdzieś w duszy zanadrze i był tylko dla niego, dla niego jednego.

Nie wiedział jeszcze, coby to za promień mógł być, ale instynktem odczuwał, że ten, ten właśnie, którego mu brakło, byłby go ogrzał może, pocieszył i dodał otuchy.

A w dodatku poczuł, że zaczyna tracić i tę odrobinę pewności siebie, na mocy któréj rozgrzeszał się za to życie, jakie prowadził dotychczas. Usunięty od świata, oddzielony od niego mgłą swoich urojeń, sądził, że miał prawo żyć w odosobnieniu, wyrzekając się roli działacza na nim. Dotąd rozumował tak: wszystko, co nie jest mną, nazywa się światem, życiem; świat jestto ciągłe ziszczanie się jakichś praw, których ja nie rozumiem; ażeby ów świat żył i biegł równo i dobrze, trzeba te prawa znać i według nich działać, a że ja ich nie znam, więc muszę się wycofać ze szranek i wyrzec swéj roli; w ten sposób, nie robiąc nic, postąpię moralnie i dobrze, bo przynajmniéj niczego psuć i mącić nie będę; mam zatém prawo żyć w ciszy i samotności. — Tak téż i żył, a swego prawa rezygnacyi tak dalece był pewien, że się nawet nie zastanawiał nad niém.

Tymczasem teraz i ta jedyna pewność zaczęła mu się z pod nóg usuwać. Bo nieprawdą było, ażeby nie działał. Działał, — a bezwiednie wybrał sobie rolę, która była jedną z większych, bo mogła wpływać na innych. „Sonatą Cierpienia" nie przysporzył kęsa chleba, nie odział nikogo, ani napoił, ale zabrał głos i, jeśli nie słuchanym, był przecież przez wszystkich słyszanym.

I znowu nawał myśli zaczął się cisnąć Orliczowi do głowy. Zrozumiał teraz, że w ciszy czterech ścian pokoju swego, że w odosobnieniu urojeń swoich on stworzył huczące dzieło, którego nabój z łoskotem wpadł między ludzi i rozsiał wśród nich jego myśli i słowa. Cichy szept marzeń, które wysnuwał z siebie i tylko dla siebie, rozrósł się w potężny okrzyk i, brzmiąc coraz donośniéj, przetaczał się po świecie, wszczepiał w obce mózgi i zostawiał tam ślady. Nie kęs chleba stworzył, ani sukmanę, ale stworzył te myśli wszystkie, te serca bicia, pragnienia i wstręty, jakie Sonatą wywołał.

Pozostawał mu jeszcze jeden rachunek, tém cięższy i przykrzejszy, że spadł nań niespodzianie i przedtém nie zastanawiał się nad nim nigdy. Był to rachunek ze światem za Sonatę i za to, co ona w nim wywołała.

Bo przedewszystkiém ów świat przedstawiał mu się teraz inaczéj. Nie był to abstrakcyjny wytwór oderwanych praw i zasad, zbiór mgieł i cieni, co walki staczają; nie był to jedynie stek kółek maszyny, ujęty w karby żelazne i tylko wśród tych karbów żyjący; nie była to jedynie ściśle spojona gromada, niby kolonia mrówek, co kopiec tworzyła. Po za oderwanemi wyciągami ze spraw, pragnień i wstrętów téj gromady byli jeszcze oddzielni ludzie, którzy się nieskończenie różnili między sobą, mając każdy z osobna, swoje własne cele, swoje własne zadania, swoje myśli i dusze. Spełniały się wielkie prawa, tą gromadą rządzące, spełniały się przewroty i zmiany, z tych praw wypływające, ale po za tém ludzie kochali się i nienawidzili, pracowali i dążyli, opierali się lub chcieli i tak każdy dla siebie, tak oddzielnie i różnie, jakby o tych prawach nie wiedzieli zupełnie. A z tych dążeń maleńkich, z tych prac odosobnionych składała się jedna wielka mozajka, z drobnych kamyczków złożona, która dopiéro z oddalenia wielkiego dawała linie i wzory, jedną całość tworzące.

I teraz dopiéro Orlicz dostrzegł, jaki był błąd w jego dawném mniemaniu o życiu i świecie. Oto był niby zawieszony na gwiazdach, w zawrotnéj atmosferze abstrakcyi i górnych uniesień, bujał się gdzieś tak wysoko, w takich mgłach i obłokach, że tylko z ogromnych oddaleń na świat mógł spoglądać. Bratał się z wszechświatem, z gwiazdami, żył życiem komet, księżyców, oddychał duszną i męczącą atmosferą międzyplanetarnych przestrzeni, a z życiem i ludźmi, którzy go otaczali tak miał mało wspólnego, że aż ich nie znał wcale. Szukał celów na niebie, prawd i wiary w abstrakcyach i logicznych formułkach, a przeoczył po drodze jedyną księgę żywota, księgę dobrego i złego — ludzi i ten świat prawdziwy i żywy, który oni składali.

Znalazłszy tę jedną najważniejszą omyłkę życia swego, odgadł Orlicz, że ona to właśnie była przyczyną i źródłem jego zawodów wszystkich i smutków i tego, że sobie zepsuł życie. Bo oto żył niby dobrowolny ślepiec, zapatrzony tylko w siebie i tylko swoim marom uległy, a dokoła niego wrzał ogromny świat, pełen to pragnień, to celów, to trwóg, to niepokojów, który tętnił ruchem i tak był zbliska wielkim rozmaitością swoją, że aż się objąć nie dawał.

Jak więc kiedyś w noc letnią zaślubił przyrodę całą, tak teraz postanowił zaślubić świat, żeby go poznać najpiérw, a potém i żyć z nim razem. Teraz przeczuwał tylko i odgadywał, że w tém olbrzymiém zbiorowisku to potrzeb i dążeń, to prac i mozołów, które się światem zowie, musi być pożądaném i niezbędném, a przez to rozkazodawczém jakieś prawo wzajemności usług, prawo harmonii trudów i nagrody, prawo sprawiedliwości wymiany skutków za przyczyny, jeżeli nie ma się ludziom odjąć ochoty do pracy lub do jéj owoców spożywania.

On dotychczas zrobił jedno tylko: stworzył „Sonatę Cierpienia" i dał ją ludziom. Spełnił więc czyn. Ludzie wzamian dali mu myśli swoje, łez trochę i współczucia i nadewszystko dali mu sławę. Była zatém wzajemność usług, była zasługa i nagroda, bo zapracował na swoją sławę. Nim stworzył, cierpiał i, tworząc, cierpiał, a świat wypłacił mu się za to i laurem wielkiéj sławy uwieńczył skroń jego. Mógł więc teraz powiedzieć sobie: „świat płakał nademną, głosząc imię moje, bom cierpiał za niego i znosił katusze: jestem więc zasłużonym i powinienem mieć spokój."

A przecież nie miał go i teraz jeszcze. Skądś z głębi odzywał się w nim jakiś głos buntu i niezadowolenia, który mu nie dawał wyzbyć się nieskończonych wątpliwości i nasycić spokojem. Wiedział tylko teraz, że nie nazewnątrz niego, nie po za nim leżała przyczyna tego niepokoju, lecz w nim samym. Świat względem niego spełnił swoje i wynagrodził go hojnie, jeżeli więc nie mógł z całą ufnością przyznać się do téj nagrody, to tylko dlatego, że jemu samemu musiało braknąć jakiegoś składnika ducha i przez to czuł w sobie ciągły ferment.

Wtedy w duszy jego zawrzała ostatnia walka. Raz jeszcze położył na szale swoje życie całe, wszystkie czyny i myśli, swoją Sonatę i sławę i począł je badać, pytając sam siebie: „czegom jeszcze poniechał, przez co mi się teraz każda radość psuje?" Badał się bezstronnie i jasno, odrzuciwszy wszelką próżność i zastarzałe nawyki, sądził siebie i oceniał, jakby kogoś obcego, to wreszcie porównywał to z wielkimi, to z małymi, dopatrując się podobieństw i różnic, to przyczyn

znowu, które je wywołały; a ciągle szukał tego promienia, co się duszom uśmiechać daje i jest dla nich źródłem niezmąconéj pogody.

Bo widział teraz, czego brakowało sławie jego, że się nią cieszyć nie mógł: oto mu w niéj zbrakło promienia uciechy. Mógł nią sobie przyozdobić czoło, mógł się nią szczycić lub chwalić, ale uśmiechać się do niéj i cieszyć—nie mógł. Cała jego sława była tylko dla świata. On z niéj ani cząsteczki nie schował sobie w zanadrze, nie ukrył od świata między odzieżą a ciałem ani jéj promyka, żeby mu tam pierś ogrzał i dawał otuchę. Nie mógł w radości, skulony, drżącemi dłońmi przyciskać go sobie do serca, uśmiechać się do niego i cieszyć, a pieścić, a gładzić. Nie mógł do tego promyka zagadać w zdziecinnieniu uciechy, nie mógł do niego powiedziéć: „tyś mój, mój jedyny, a niczyj inny i nikt mi cię nie odbierze, bom cię schował głęboko pod własną koszulę.”

A czuł, że taką uciechę dałoby mu tylko przeświadczenie, że spełnił dobre i poczciwe dzieło, ludziom i sobie na pożytek i pociechę; że je począł i stworzył dla téj pociechy saméj, w dobréj woli ducha i wielkości celów. I nie Sonaty saméj żałował teraz. Wiedział, że jedyném zadaniem poety jest dać wyrazy myślom i uczuciom milionów, które czują potrzebę, żeby im nazwali czy ich łzy, czy uśmiechy, czy rozkosze, czy bóle: bo ulgą jest dla nich, gdy mają czém płakać, błogosławić i kochać. W Sonacie swojéj dał właśnie wyrazy tym dręczącym każdego, a nienazwanym jeszcze, uczuciom skarg i bólów, co się zdawały z żył i kości podnosić, dopraszając się słowa; — spełnił zatém zadanie i nie truciznę, ale ulgę dał ludziom. Jeżeli więc teraz ze smutkiem i żalem patrzał na dzieło swoje, nie w niém samém błąd upatrywał, lecz w tych pobudkach, które go do tworzenia popchnęły.

Bo w końcu—przejrzał. Lata mu zbiegły gdzieś w nadobłocznych krainach, wśród ciągłych uniesień i marzeń, a w téj wędrówce życia zapomniał się zaopatrzéć w jedno uczucie, najsilniejsze, najlepsze i jak ogień czyszczące—uczucie miłości. To cierpiał, to marzył, to złorzeczył i znosił katusze niby za wszechświat cały, niby za wszelkie istoty, co życie wlec muszą, a przecież ludzie byli mu obcy zupełnie i nie miłość dla nich dyktowała mu myśli. Wyniósł się nad nich wysoko, aż ich stracił z przed oczu i, stojąc na téj wyżynie, zdawał się im mówić: „oto ja tu myślę sobie i cierpię sobie; a żem, jako człowiek, podobny jest do was, więc skarg mych słuchajcie, bo w nich i swoje bóle odnajdziecie może; jeżeli znajdziecie—cierpiéć będę i za was; jeżeli się odwrócicie odemnie—ja tu sam zostanę.” Nie miłość więc, nie chęć oddania usługi światu wyrwała mu jęki z duszy. Świat się przyznał do nich i poczytał mu je za zasługę, — a on téj zasługi nie widział wcale

i cieszyć się nią nie mógł. Stworzył swoją Sonatę, bo mu się sama wyrwać z niego musiała, jako płód dostały,—a któż za zasługę poczyta drzewu, że owoc rodzić musi? Byłby ją stworzył, choćby zło i zgorszenie siać miała,—więc jakże miał się w laur ubrać i hymny wdzięczności przyjmować?

I raz jeszcze wyobraźnią swoją zatopił się Orlicz w ekstazie. Zdawało mu się, że jakaś wielka i przedwieczna Istota, która ma sądzić i oceniać ludzkie żywoty i dusze, powołuje go na sąd swój przed Siebie i pyta, jak sędzia:

— Cóżeś zrobił z iskrą twórczą, jaką ci dałem, i czegoś dokonał wśród ludzi?

— Cierpiałem za miliony—odpowiada Jéj Orlicz.

— A czyś je ukochał i czyś kochał za nie?

— Nie — odpowiada — alem przyniósł im ulgę.

— Więc się wróć tam raz jeszcze i ukochaj gorąco. Nauczyłeś ich skargi, ucz ich teraz miłości, bo miłość zawsze rodzi dobre owoce i nic nigdy złego z niéj wypłynąć nie może.

I poszedł Orlicz w świat na życie nowe. Wiedział, że go czeka praca, bo zmarnował wiele, ale poszedł ufnie, bo z wielką wiarą w siebie. Poniósł ze sobą swoje lata młode, swoje zdolności i iskry natchnienia, a w sercu wielki zapał i chęć gorącą miłości.

„Kochajmy!" — dźwięczało mu coś w duszy; i ten wyraz jeden miał mu być dogmatem i źródłem przyszłéj wiary.

„Kochajmy!" — powtarzał sobie; i ten wyraz jeden miał mu drogi wskazywać i prostować ścieżki.

„Kochajmy!" — śpiéwało mu serce; a od tego śpiewu rozrastały mu się ramiona i promieniał cały.

A gdy tak szedł i śpiewał, zdawało mu się znowu, że ziemia cała, radosna, wesoła i kąpiąca się w słońcu, podchwytuje śpiew jego i swojém pieniem mu wtórzy. Szemrały potoki w górach, szumiały drzewa w borach, śpiewało ptastwo w błękicie, a trawy i zboża, dziewanny i jaskry kołysały się, gięły i witały go znowu. A w tych szmerach i szumach, w tych szelestach i śpiewach brzmiało jedno tylko: „Kochajmy!"

I ten śpiew olbrzymi, na skrzydłach wichrów niesiony, przebiegał pola i lasy, przebywał góry i morza, wciskał się w opoki i skały, aż chórem wielkim o niebo uderzył i echem stamtąd na cały wszechświat rozgłosił:

„Kochajmy."

Ignacy Dąbrowski.

LONDYN ROBOTNICZY.

„Life and Labour of the people of London", edited by Charles Booth. Tom I—IX. London, Macmillan, 1889—1897.

Najdonioślejsze przedsięwzięcie w dziedzinie statystyki socyalnéj doszlo szczęśliwie końca. Karol Booth wydał dziewiąty i ostatni tom swego pomnikowego dzieła: „Życie i praca ludu w Londynie". Rozpoczął je ogłaszać przed dziewięciu laty i, jak wiemy z przedmowy do pierwszéj edycyi, zamierzał pierwiastkowo zamknąć swój obraz w czterech tomach. Praca rosła pod jego ręką i ręką współpracowników, których do współudziału powołał. Nikt, co się z jego metodą poszukiwań i ogólnym planem zapoznał, nie będzie się na to przekroczenie zakreślonych zgóry rozmiarów skarżył: jest to w całém słowa tego znaczeniu *opus magnum*, któremu równego żadna inna społeczność, żadne inne piśmiennictwo nie posiada. Nie zapominamy bynajmniéj o nieśmiertelnym inicyatorze statystyki socyalnéj, Piotrze Wilhelmie Le Play. On to pierwszy w swoich *Ouvriers européens* nakréślił wzór i wskazał metodę obserwacyi faktów społecznych, nieodzownéj przesłanki wszelkich reform w téj sferze. Ale metoda była zbyt mozolna, pole obserwacyi zbyt rozległe, ażeby można się było spodziéwać wielu prac gruntownych podług takiéj modły. Karol Booth stworzył dzieło wielkie dlatego właśnie, że się ograniczył do jednego miasta, chociaż miastem tém jest blisko 5-cio milionowy Londyn, k o s m o s sam w sobie. Można już obecnie wyobrazić sobie taką samą pracę podjętą i dokonaną

we wszystkich innych miastach Wielkiéj Brytanii, w jéj rolniczych okręgach. Jaką niespożytą podstawę otrzymałaby w ten sposób prawodawcza i administracyjna działalność reformatorska! Nic nie przeszkadza przypuszczać, że takie samo badanie dokonane zostanie w innych krajach: dla normalnego rozwiązania zagadnień społecznych byłoby to nieocenione. Ale dotąd dzieło Karola Booth stoi jako unikat. Tém uważniéj wypada mu się przyjrzéć, idąc krok w krok za jego nicią przewodnią aż do kresu, u którego się zatrzymał. Sam autor-wydawca nie uważa jeszcze swego przedsięwzięcia za dokonane. W przedmowie do 9-go i ostatniego tomu oznajmia, że dotąd zajmował się opisaniem ludności zarobkującéj londyńskiéj, takiéj jaką jest, i opisaniem sposobów i warunków, w jakich się praca jéj dokonywa. Nie miał potrzeby wykraczać z czysto obiektywnego opisu i danych statystycznych. Obecnie pozostawałoby mu przejść do syntezy krytycznéj, ocenić dodatnie i ujemne wpływy, oddziaływające na byt ludności robotniczéj Londynu i nakréślić plan reform praktycznych. Jest to jednak dzieło zupełnie inne, niezależne od dotychczasowego, samodzielne. Autor przewiduje, że będzie wymagało, co najmniéj, trzechletniéj pracy przygotowawczéj. Można tylko wyrazić życzenie, ażeby mu do téj drugiéj części pracy sił i życia starczyło. Nim ten nowy utwór powitać będziemy mogli, poznajmy zasobne materyały, które już mamy mu do zawdzięczenia.

Nic trudniejszego do streszczenia jak prace statystyczne, nawet gdy one są, jak właśnie powyższe, statystyką malowniczą. Dusza ulatuje z dyagramów i długich kolumn cyfr, gdy się, zamiast iść za niemi rok po roku, jednym zamachem chce stanąć przed najświeższemi. Ale dzieło p. Karola Booth nigdzie nas nie zasypuje gradem suchych cyfr: wszędzie towarzyszy im komentarz jasny, przejrzysty. Uzbrojeni w podane tutaj informacye, możemy z pożytkiem przeniknąć do tego odmętu, jakim jest robotniczy Londyn. Przypominamy sobie okrzyk podziwu, który powitał pojawienie się przed dziewięciu laty pierwszych tomów téj pracy. Nieraz już romansopisarze wprowadzali czytelników do czeluści stołecznego proletaryatu, nieraz reporterzy dziennikarscy odsłaniali te lub owe strony jego życia; ale brakowało systematycznego, bezstronnego, wykluczającego porywy imaginacyi badania. Tutaj znaléść było można po raz pierwszy wierny, ścisły wizerunek wschodniéj dzielnicy londyńskiéj, a jeżeli straciła ona nieco na téj tragicznéj grozie, w któréj przywykliśmy ją byli widziéć wskutek jednostronności pisarzy dawniejszych, to natomiast porwani zostaliśmy prądem życiowéj prawdy, i przejęła nas sympatya do tego olbrzymiego mrowiska ludzkiego, w którém, na szarém tle masy, spostrzegaliśmy

indywidua. Scharakteryzowawszy całą tę dzielnicę i poszczególne jéj cyrkuły o miejscowych wyłącznościach, autor dał nam ją poznać w swych zbiorowych instytucyach, klubach robotniczych, towarzystwach wzajemnéj pomocy, szynkach, teatrach, szkółkach, szpitalach, kościołach, zeszedł do rozróżniania i klasyfikowania różnych warstw proletaryatu, istniejących między niemi stosunków wzajemnych. Rzecz uwagi godna, że w początkowych rozdziałach widoczne były u autora pewne dezyderaty reform społecznych, zabarwione socyalizmem. Powoli jednak im głębiéj wnikał w istotę i naturę tych warstw ludowych, im lepiéj rozumiał organizacyę ich pracy, tém ostrożniejszy się stawał, tém obiektywniéjszy. Jesteśmy przeświadczeni, że gdy przedstawi nam w przyszłości całość swego planu, szeroki jego humanitaryzm żadną stronniczą fanatycznością skażony nie będzie. Druga część pierwszego tomu poświęcona została nie wschodniéj już tylko dzielnicy Londynu, ale jéj środkowi. Tam to między innemi znajduje się nadzwyczaj ciekawy opis Covent Garden, wielkiego rynku żywnościowego stolicy, jéj żołądka. Nie znajdzie tam czytelnik „symfonii serów” Emila Zoli, opisującego halle paryskie, ale za to szczegóły pozwalające zrozumiéć, jak się zaopatruje w żywność olbrzymi gród nad Tamizą. Południowy Londyn i północny dopełniają tego obrazu, a pozostawiają za jego obrębem tylko zachodnie, części miasta bogate i arystokratyczne. Drugi tom traktował ten sam przedmiot, ale z innego stanowiska. Autor brał jedną ulicę po drugiéj, nieledwie jeden dom po drugim, i przy pomocy szeregu map, kolorowanych odpowiednio do stopnia mniejszego lub większego ubóstwa zamieszkującéj je ludności, podaje graficzny środek oryentowania się wśród rozmaitych gatunków specyalności wytwórczych, którym się ta ludność oddaje, pozwalając zdać sobie sprawę ze skali posiadanego przez nią dobrobytu.

Następne tomy nie wywarły tego natychmiastowego, potężnego wrażenia co dwa pierwsze, a zrozumiéć to łatwo. Autor przeszedł do różnych specyalnych kwestyi i traktował je z drobiazgowością mikroskopijną. Taka analiza, nieoceniona dla umysłów poważniejszych, nie posiada dla ogółu téj ponęty, co syntetyczne uogólnianie. Te sześć środkowych tomów są właśnie najdoskonalszą częścią dzieła. Podziwiać tu należy trafny wybór współpracowników, których p. Booth około siebie ugrupował. Każdy z nich trzymał się w powierzonych sobie monografiach, ściśle zgóry zakreślonéj linii wytycznéj. Wzorowe mieszkania dla proletaryatu opisał statystycznie Jerzy Arkell, a obrazowo owa Oktawia Hile, która życie swe poświęciła oczyszczeniu, upiększeniu i upoetyzowaniu domostw, co przedtém o takiéj okrasie marzyć nie mogły. Llewellyn Smith, dobrze znany specyalista w kwestyach ro-

botniczych, obrobił sprawę napływu robotników do wschodniéj dzielnicy i znaczenie tych fluktuacyi; malownicze pióro panny Beatrix Potter, obecnie żony p. Sydneya Webb i współ-autorki dzieł ekonomicznych, których przypominać nie potrzeba (pierwsze miejsce pomiędzy niemi zajmuje „*Historya Trades-Unions*", dzieło klasyczne) dała wizerunek osady żydowskiéj, uderzający plastycznością. Kwestya szkolnictwa elementarnego, średniego i technicznego traktowana jest *ex professo* przez kilku zasłużonych pedagogów.

Interes nie ustaje ani na chwilę, przeciwnie wzmaga się, gdy spostrzegamy plan autora objęcia wszystkich gałęzi pracy, uprawianéj w East End'zie londyńskim. Tom czwarty poświęcony jest dokom i magazynom nadbrzeżnym, krawiectwu, szewctwu, stolarstwu, wyrobom kobiécym, jedwabnictwu, tytoniowi—oraz monografii tego żywotnego zagadnienia, jakiém jest wyzyskiwanie robotnika przez przedsiębiorcę, a znanego pod dosadną nazwą „*sweating*" (wypocania robotników). Tomy piąty i szósty prowadzą daléj badanie wytwórczości londyńskiéj i zajmują się z kolei budowlą domów, wyrobami z drzewa, jak kołodziejstwem, powoźnictwem, całym szerokim działem pracy metalurgicznéj aż do zegarmistrzowstwa i złotnictwa, wyrobami porcelany, szkła, mydlarstwa, garbarstwa, siodlarstwa, drukarstwa, papiernictwa, przędzalni, tkactwa, farbiarni. Siódmy i ósmy tom nakoniec rozpocząwszy monografie od działów, poświęconych wyrobowi odzieży w całéj swéj rozmaitości, przechodzi do obszerniejszego jeszcze rozdziału, zajmującego się przygotowaniem i zbytem żywności i trunków; następnie zajmuje się handlarzami, kupcami, przekupniami i ich pomocnikami, subiektami i służbą; z kolei przechodzi do klas społecznych zatrudnionych przy komunikacyach, drogach żelaznych, statkach parowych, dorożkarzy, woźniców omnibusów i wozów frachtowych, — do ogrodników, do węglarzy i do różnych drobniejszych, a dzielących się do nieskończoności, zajęć i zatrudnień ręcznych. W ostatnim z wymienionych tomów, oprócz niezmiernie ciekawéj monografii o służących i obrazu instytucyi, zmierzających do zniesienia pauperyzmu, obrazu, obfitującego w rysy wprost z życia wyrwane, znajduje się rozdział, który, zdaje się, jakoby przekracza ramy pierwotne, bo nie zajmuje się już ludnością robotniczą, ale klasą wyzwoloną. Ale gdy weźmiemy na uwagę, że są tam wzięte pod rozbiór różne wydziały służby rządowéj i municypalnéj, zacząwszy od zamiataczy i polewaczy ulic, od dozorców więziennych, policyantów i strażników aż do prawników, chirurgów, lekarzy, nauczycieli, dziennikarzy, duchownych zatrudnianych przez władze miejskie dla potrzeb jego mieszkańców, to zrozumiemy,

że zawodowo ma się i tu także do czynienia z klasą, jeżeli nie ściśle robotniczą, to przynajmniéj zarobkującą.

Już z tego katalogowego wymienienia tytułów traktowanych przedmiotów, można sobie utworzyć wyobrażenie o ogromie zadania, jakie przed sobą p. Booth postawił. Aby się przekonać o sposobie, w jaki się z niego wywiązał, trzeba by brać każdą z kolei monografię, i wyciągać z niéj tę esencyę etyczną, do któréj doszli autorowie ich, opiérając się na wykazach statystycznych i osobistém zbadaniu skrupulatném. Byłaby to praca mozolna a nie przedstawiałaby dla czytelników interesu bezpośredniego. Wystarczy im, jak sądzimy, zatrzymać się szczegółowiéj nad ostatnim, dziewiątym tomem, gdzie, jak powiedzieliśmy wyżéj, autor zatrzymuje się u kresu, obejmuje ogólnym poglądem wszystkie przebieżone czynniki działające i wskazuje zagadnienia do rozwiązania niezbędne, jeżeli się pragnie postawić życie warstw robotniczych w lepszych warunkach. I tutaj nakoniec, przyjdzie nam podnieść tylko wydatniejsze rysy wśród tego ogromu robotniczego świata, chaotycznego na pierwszy rzut oka a jednakowoż działającego solidarnie i pracującego bezwiednie ale nieustannie dla zaspokajania stałych albo wyjątkowych potrzeb społeczeństwa.

Chociaż, wzięty jako całość, Londyn robotniczy posiada pewne wyłączności, pewne jemu tylko właściwe cechy, to musi wszelako ulegać ogólnym prawom, rządzącym we współczesnym świecie ekonomicznym. Słusznie tedy czyni autor stawiając przed czytelnikiem na wstępie do końcowego przeglądu główne rysy charakterystyczne gospodarstwa przemysłowego. Wymienia jako takie coraz większy rozdział pracy, coraz większe zastosowanie maszyn i coraz bardziéj skomplikowaną organizacyę wytwórczą. Jako naturalny wynik tych warunków produkcyi, podawane jest powszechnie wytrzebienie drobnych przedsiębiorstw na rzecz olbrzymich zakładów. Przeciwko temu aksyomatowi zastrzega się p. Booth a Londyn służy mu za doskonały przykład produkcyi rozstrzelonéj pomiędzy jednostkami i drobnemi gromadkami robotników a bynajmniéj nie skoncentrowanéj wyłącznie w fabrykach i warsztatach na wielką skalę. W téj niezaprzeczonéj rozmaitości form produkcyi leży dowód jéj żywotności a zarazem trudność zastąpienia ich przez jakąkolwiek jednolitą a sztywną, o jakiéj marzą ideologowie socyalni. Inną wybitną cechą przemysłowego gospodarstwa współczesnego, jest gromadne dostarczanie na rynek handlowy artykułów wytworzonych. W dawniejszych czasach trudność leżała w zaopatrywaniu istniejących potrzeb, teraz stanowi ją pytanie jak znaléść zbyt na tę masę czekających na kupca towarów. Z góry można zrozumiéć, że taki natłok wyrobów musi oddziaływać na niską płacę robotnika, na

zajadłość konkurencyi i na peryodyczne przesilenia ekonomiczne. Obniżanie się cen może wpływać czas jakiś na zniżenie stopy zarobku robotnika, ale ponieważ jednocześnie jako spożywca korzysta i on z téj obniżki cen, skarga na nią nie wytrzymuje krytyki, a elastyczność handlu wymiennego jest istotném dobrodziejstwem, z którego korzystają wszyscy. Dominującym rysem organizacyi gospodarczéj jest, według autora, takie zsolidaryzowanie świata, iż drobne nieraz wypadki w oddalonych krajach wywołują przewroty na wielką skalę i dotkliwe przesilenia. Nie można już dzisiaj lekceważyć ani zaniedbywać najmniejszego drobiazgu, a przezorność, kombinacye, dalekonośne operacye, jednem słowem, coraz większe zapotrzebowanie intelektualnych czynników nie tylko w saméj wytwórczości ale w ogólnéj organizacyi pracy musi być poczytane za pierwszy warunek dalszego rozwoju ekonomicznego.

Przechodząc do charakterystyki Londynu robotniczego, na tém ogólném tle ekonomiczném, autor podnosi naprzód ten rys, że nie ma tam jednéj specyalności wyłącznéj, jak to się dzieje nie tylko w pewnych hrabstwach angielskich, wyrabiających jeden produkt wyłącznie, ale nawet w niektórych wielkich miastach: za ich przykład podaje Lugdun we Francyi i amerykańskie Chicago. Jak w kalejdoskopie znaléść można w Londynie wszystkie formy i wszystkie barwy produkcyi; po wyparciu jednych przez konkurencyę obcą, jak np. w rafineryi cukru: natychmiast powstają inne. Żywotność ekonomiczna olbrzymiego grodu nie wyczerpuje się, lecz przeciwnie istnieje niebezpieczeństwo, aby się w nim zbytecznie nieześrodkowała.

Tę nieprzerwaną, pełną rozmaitości i coraz wzmagającą się żywotność zawdzięcza Londyn wielu okolicznościom. Na pierwszém miejscu postawić naturalnie wypada jego ludność. Ta masa cztero do pięciu milionowa, zaspakajając swoje bezpośrednie natychmiastowe potrzeby, już sama przez się wywołuje wytwórczość potężną. Daléj wymienić należy udoskonalenie komunikacyi wewnętrznéj i odśrodkowéj, koncentracyę władz państwowych i administracyjnych, nie mówiąc już nawet o tém, że Londyn jest siedliskiem mnóstwa towarzystw przemysłowych, handlowych i finansowych, oraz że tam się reguluje cyrkulacya pieniężna kraju. Londyn jest także, pomimo decentralizacyi przemysłu i handlu, główném ogniskiem handlu, targowiskiem, na którém nabywać można wszystkie artykuły możliwe tak samo jak pracę we wszelkich jéj kształtach. Co do tego ostatniego punktu, Londyn przewyższa wszystkie bez wyjątku miejscowości angielskie i najlepsi robotnicy każdéj gałęzi znajdują się zawsze tam na zawołanie. Nakoniec wyjątkowe położenie geograficzne, u ujścia wielkiéj rzeki spła-

wnéj, w blizkości morza, zrobiło z Londynu emporyum jedyne, i Mekkę rasy anglo-saskiéj. Bogactwo, które się tu nagromadziło, jest samo w sobie ułatwieniem i pobudką do nieustającéj działalności wytwórczéj.

Przywileje Londynu muszą być olbrzymie, skoro pozwoliły mu zająć tak wybitne stanowisko—i nie tylko zająć ale i utrzymać—pomimo braków i niedostatków uderzających. I tak nie posiada on ani węgla ani żelaza i musi je sprowadzać z daleka, nie posiada dostatecznéj ilości czystéj wody bieżącéj, brakuje mu światła, brakuje przestrzeni. Robotnika także przeciętnie płacić musi drożéj. Wynika z tego, że nigdy nie będzie mógł stać się ogniskiem przemysłu metalurgicznego, tkackiego oraz kilku innych gałęzi. Ale pozostaje mu tyle innych działów, a w tych nawet, w których hurtownie produkować nie jest w stanie, wyrobił sobie pewne udoskonalenia specyalne, że nie zanosi się bynajmniéj, aby kiedykolwiek przewagę swoją postradał. I tak istnieje w całym olbrzymim Londynie tylko jedna papiernia, a pomimo tego 15,000 robotników stale pracuje nad wyrobami papierowemi. Są także artykuły wyrabiane pojedynczo w innych miejscowościach, ale składane bywają w całość i otrzymują swoją ostateczną formę dopiéro tam. Londyn tedy nie ma najmniejszego powodu na rolę swoją się użalać. Jest i pozostanie ona w sferze wytwórczości — najwydatniejszą.

W olbrzymim świecie londyńskim wiele działów wytwórczości skupiło się w pewnych zakątkach, ulicach i dzielnicach miejskich i raz na zawsze tam pozostają. Ta lokalizacya gałęzi wytwórczych odnosi się tylko do warsztatów i zakładów, nie zaś do pracującéj w nich ludności robotniczéj; ta, jak wiadomo, zamieszkuje przeważnie po za środkiem miasta, na przedmieściach, gdzie życie i zdrowsze i tańsze, a przy łatwości komunikacyi i ich taniości, co rano odbywa się milionowy napływ do środka, co wieczór taki sam odpływ. Najdrastyczniéj pokazuje się to w *City*, gdzie zamieszkuje zaledwie 37,694 osób a gdzie znajduje się zatrudnionych w ciągu dnia aż 301,384. Różne powody skłoniły te lub owe gałęzi wytwórcze do gromadnego osiedlenia się w bezpośredniem sąsiedztwie, jedne obok drugich, i do zmonopolizowania dla siebie pewnych części miasta. Jest to zrozumiałe często, jak np. co do drukarni, wydawnictwa pism i gazet i księgarni, osiedlonych od wieków na Fleet Street i na skwerze Paternoster pod skrzydłem katedry Ś-go Pawła, albo co do adwokatów i prawników, cisnących się około Pałacu Sprawiedliwości i Temple; mniéj zrozumiałe jest natomiast u doktorów i chirurgów, którzy mieszkają jeden obok drugiego na kilku ulicach a trudno ich znaléść na całéj przestrzeni pozostałéj.

To samo dzieje się w wielu gałęziach rzemieślniczych. Stolarstwo, powroźnictwo, szczotkarstwo, papiernictwo i t. d. osiedliły się w cyrkułach pewnych z dawien dawna i nie widzą powodu zmieniać rezydencyi. Nie wiąże ich żadna wspólność cechowa, a pomimo tego solidarność interesów widocznie na tém zyskiwać musi. Takie ugrupowanie specyalności wytwórczych londyńskich, porównano poetycznie do archipelagów rozsianych na bezbrzeżnéj toni oceanów. Etnograficznie, nie trzeba zapominać, Londyn powstał z aglomeracyi wiosek i miasteczek sąsiadujących z sobą: tak samo rzecz się ma z jego rozmaitemi osadami rzemieślniczemi. Nie zatraciły swéj odrębności, lubo stopiły się w olbrzymim organizmie londyńskim.

System, podług ktorego odbywa się praca wytwórcza, jest, jak się samo przez się rozumié, rozmaity, stosownie do charakteru gałęzi przemysłowéj. Nie ma ani jednéj formy pracy, któréjby w Londynie znaléść nie było łatwo. Są zakłady na wielką skalę, zatrudniające tysiące rąk i produkujące za pomocą machin, metod postępowych, przy podziale pracy; robotnicy, zatrudniani tam, pracują w warunkach sanitarnych i mogą liczyć na przeciętny, stały zarobek. Nie potrzeba wymieniać, jako zbyt dobrze znanych, niedostatków któremi te korzyści okupują. Są zakłady średnie i drobne, o mniejszéj liczbie robotników, dające widok, że robotnicy sami stać się mogą zczasem przedsiębiorcami i dozwalające na pewną niezależność. Ilość takich drobnych przedsiębiorstw i warsztatów, opiérająca się w znacznéj części na pracy wykonywanéj po domach robotników, jest daleko znaczniejsza, aniżeli by to się z góry przypuszczać mogło. Panuje tu taka różnorodność, że klasyfikacya jest niemożliwa. Nie można powiedziéć, ażeby istniała walka systemów: jest miejsce dla każdego z nich a jedynie warunki najkorzystniejszéj produkcyi wpływają na wprowadzenie najwłaściwszych i na ich wybór.

Innym wybitnym rysem robotniczéj masy londyńskiéj jest brak technicznego przygotowania i wykształcenia. Wogóle dzielą wprawdzie teoretycy robotników na *skilled* i *unskilled* t. j. fachowych i niefachowych, ale granice pomiędzy nimi są luźne. Jest wiele zajęć i zawodów, do których żadnego specyalnego wykształcenia robotnik nie przynosi, a że i łatwo znajduje zajęcie i łatwo je traci, zatém spotkać można wielu, którzy przerzucają się z jednego do drugiego, nieraz nie mających z sobą najmniejszego związku. Nie widać śladu pomiędzy masą zarobkującą owéj fachowéj organizacyi, owych korporacyi, które stanowiły rys charakterystyczny wieków średnich a w niejednym kraju do dziś przetrwały. Falująca, chaotyczna masa zastąpiła ową hierarchicznie ukształtowaną drabinę rzemieślniczą dawniejszą. Robotnik wy-

twarza się w znacznéj części empirycznie, i jeżeli zdobywa sobie doświadczenie i zdolności w swym fachu, to zarobek jego wzrasta; w przeciwnym razie pozostaje na stanowisku wyrobnika. Coraz rzadszém zjawiskiem są czeladnicy; p. Booth pomiędzy szczupłą ilością zajęć znajduje zaledwie kilkanaście, w których majstrowie wykształcają i przygotowują uczniów i czeladników. Na zapytanie, jak znajdują się robotnicy w rzemiosłach delikatnych, wymagających koniecznie fachowego wykształcenia, odpowiedź dają istniejące szkoły techniczne. Jest ich w Londynie kilkadziesiąt, i do nich znajduje łatwy wstęp młodzież, opuszczająca szkółki elementarne. W tych szkołach, noszących nazwy rozmaite, ale przeważnie szkół politechnicznych, kształcą się różnego rodzaju robotnicy delikatniejsi, jak snycerze, rzeźbiarze, złotnicy, jubilerowie, optycy, chemicy, elektrycy, farbiarze i t. d. Przebywszy w takim zakładzie lat kilka i po otrzymaniu patentu, a nieraz nawet bez onego, młodzieniec odrazu znajduje wyższy zarobek i stałą posadę. Niezmiernie wiele na tym punkcie jest jednak do zrobienia, aby podnieść techniczne wykształcenie robotnika londyńskiego, stosunkowo znacznie niższe od francuskiego.

Brak organizacyi cechowo-korporacyjnéj zastąpiony został, podług przemagającéj pod tym względem opinii, przez związki rzemieślnicze, czyli *Trade-Unions*. Nie ma wątpienia, że wpływ i potęga tych stowarzyszeń robotniczych tak oślepiła ogół, iż wzięto część za całość, rozpoczynający się ruch za już dokonaną ewolucyę i ogłoszono zagadnienie za rozwiązane całkowicie, lubo istotnie stoimy daleko jeszcze od takiego rezultatu. Jeżeli pod jakim względem — to pod tym, badanie p. Booth, oparte na niepodejrzanych danych statystycznych, rozwiéwa nie jedno złudzenie i stawia kwestyę związków robotniczych pod dość niespodzianym kątem widzenia. Pierwszém ciekawém spostrzeżeniem jest to, że nie ma ani jednego fachu, któregoby wszyscy pracownicy należeli do stowarzyszenia. W 36 grupach robotniczych, szczegółowo rozpatrywanych przez naszego autora, stosunek uczestników stowarzyszeń wynosi od $4^1/_2$ do 67%; cyfra ostatnia nigdy przekroczoną nie została, z czego się pokazuje, że nawet w najlepszym razie jedna trzecia część robotników pozostaje po za sferą związku. Z pomiędzy 489,500 robotników mężczyzn, pełnoletnich, zatrudnianych w wyżéj wzmiankowanych 36 grupach, było uczestnikami związków tylko 147,300. Dodając nawet do nich 30,000 innych, nie figurujących z różnych przyczyn w wykazach, otrzymamy cyfrę 180,000, to jest 14% całéj roboczéj ludności a $3^1/_2$% całéj ludności Londynu! Instytucya, która tak głośno przemawiać zwykła w imieniu całéj klasy robotniczéj, pokazuje się nam, nie powiemy w roli samozwańczéj, ale przynajmniéj niedosta-

tecznie upełnomocnionéj. Drugim punktem w organizacyi związków, który podniesiony być winien, jest to, że są zbyt rozdrobnione. W każdéj gałęzi istnieje kilka, kilkanaście nieraz stowarzyszeń, działających odrębnie i tracących wskutek tego na sile. Jest w Londynie zaledwie 35 związków, liczących wyżéj tysiąca członków. Chociaż zlanie się w jednolite grupy i sfederowanie się pokrewnych leży widocznie w interesie robotników, ruch w tym kierunku jest bardzo powolny. Nie ma powodów, ażeby pomiędzy malarzami było 14 związków, pomiędzy stolarzami 23, pomiędzy drukarzami 16, i t. d. Dopóki takie rozdrobienie się przeciągnie, daleko będzie robotnikom do tego przeważnego stanowiska, o którém marzą.

Istnieją także wielkie różnice w ustroju wewnętrznym związków robotniczych, zacząwszy od wysokości składki tygodniowéj uczestników: podnosi się ona od 2 pensów do 2 szylingów i 3 pensów. Celem ich jest dostarczanie roboty w razie jéj braku, walka z majstrami i pracodawcami o podniesienie stopy zarobku, zmniejszenie godzin pracy i t. d. jedném słowem, polepszenie warunków pracy i nakoniec utrzymywanie robotników podczas gromadnego bezrobocia, gdy je zarządzi komitet kierujący związkiem. Utrzymywanie chorych, opędzanie kosztów pogrzebu i inne tego rodzaju ubezpieczające potrzeby nie wchodzą zazwyczaj do programatu związków a zajmują się niemi stowarzyszenia osobne, *Friendly societies* czyli Towarzystwa wzajemnéj pomocy. Jeżeli nie da się zaprzeczyć związkom demokratycznego ich nastroju, gdyż idzie im przedewszystkiém o równość w godzinach pracy, o równość co do wysokości zarobku, to nie można utrzymywać, ażeby te dążenia wpłynęły na podniesienie dyapazonu pracy. Następstwem tego jest, że wyborowi robotnicy, niezadowoleni z następstw takiéj niwelacyi, usuwają się ze związku, a ponieważ okazują one z drugiéj strony mały pohop do przyjmowania na członków robotników niezdolnych i widocznie upośledzonych, zatém gromadzą one w sobie przeciętną mierność.

Z kolei przechodzi autor do godzin pracy robotników londyńskich. Jeżeli pierwszym warunkiem, do którego zdążają oni, jest otrzymanie zarobku takiego, ażeby wystarczył na ich utrzymanie, to gdy to raz nastąpiło, natychmiast rodzi się pragnienie zmniejszenia godzin pracy. Ideał robotnika angielskiego wyraża się w potrójnéj ósemce, jak to opiewa znany wiersz:

. . , . eight hours play,
Eight hours sleep, and eight shillings a day.

Pomiędzy tym ideałem a rzeczywistością jest obecnie jeszcze odstęp znaczny. W 206 gałęziach odrębnych pracy w Londynie, p. Booth wymienia następujące kategorye:

w 13 pracują 48 godzin (albo mniéj) tygodniowo
51 „ 48 albo mniéj niż 54 godzin
84 „ 54 do 60 godzin
29 „ 60 do 72 „
29 „ 72 i dłużéj.

Różnice te, tak znaczne, zależą od wielu okoliczności, jako to: pory roku, przedmiotu pracy, ograniczeń prawnych, rutyny, zwyczaju, sposobu płacenia zarobku i t. d. Przy pracy łatwéj, jak np. konduktorów omnibusów albo asystentów sklepowych godziny są dłuższe; w niektórych gałęziach, gdzie praca jest uciążliwa, jak np. w piekarniach, są one także dłuższe ze względu, że jéj przerywać nie podobna; są działy, jak ogrodnictwo, gdzie godziny pracy zmniejszają się lub powiększają stosownie do pory roku i długości dnia. Jest materyalném niepodobieństwem, ażeby jednolita i niezmienna ilość godzin mogła kiedykolwiek być zaprowadzona do wszystkich gałęzi i rodzajów pracy. Jeżeli *Trade-Unions* walczą uporczywie za legalném ograniczeniem godzin pracy, czynią to w zamiarze dostarczenia zatrudnienia i zarobku większéj liczbie robotników. W ich przekonaniu tedy skrócenie godzin jest jednoznacznikiem mniejszéj ilości dokonanéj roboty. Oczywiście, że przedsiębiorca zapatrując się na tę kwestyę w tenże sam sposób, dochodzi do wręcz przeciwnych dezyderatów. Ale gdy się bierze każdego robotnika odrębnie, spostrzegamy, że nie wzdraga się on pracować dłużéj nad ośm godzin, jeżeli otrzymuje za dodatkowe godziny dodatkową płacę. Pod tym względem jest w Londynie tysiące przykładów. Woźnice omnibusowi pracują chętnie po piętnaście godzin dziennie, ażeby pobierać wysoki zarobek i odpoczywać potém swobodnie. W wielu warsztatach, gdzie godziny są sprowadzone do ośmiu, jak np. w drukarniach, spotyka się dzień w dzień drukarzy opuszczających swoje zakłady a udających się do innych na dodatkową, prywatną robotę. Tam gdzie robotnik płacony jest od sztuki, nie ma sposobu zmusić go do pracowania mniejszéj ilości godzin aniżeli mu się to podoba. Robotnicy londyńscy, mieszkający zwykle daleko od fabryk i warsztatów, w których są zatrudniani, zwracają uwagę, że chociaż pracują tylko oznaczoną ilość godzin, istotnie dodać ich muszą codziennie dwie albo więcéj bezpłatnie, gdyż spędzają je w drodze z domu do warsztatu. Te i inne okoliczności wpływają na rozstrzygnienie zagadnienia, któremu nadano, zdaniem naszego autora, bardziéj drama-

tyczne znaczenie, aniżeli je ma w humanitarno-filantropijnéj epoce naszéj.

Metoda, szacująca pracę robotnika i ustanawiająca za nią zarobek, jest naturalnie dwojaką: robotnik płacony bywa albo od sztuki albo za czas strawiony przy robocie. W wielu gałęziach nie ma wyboru a metoda wskazana jest przez samą naturę pracy. I tak we wszystkich działach, gdzie robotnik pracuje bez dozoru, u siebie, jak np. szwaczki, krawcy, praczki etc. nie można obrać innéj drogi, jak płacić od sztuki, a natomiast są zawody, gdzie nie ma sposobu ocenić wartości roboty inaczéj jak przez czas jéj poświęcony, np. przy pracy konduktorów, woźnic, subiektów handlowych, sług. Przemaga także ta ostatnia metoda w całéj gałęzi budowniczéj, chociaż nie ma w niéj konieczności do tego. Płaca od sztuki przemaga w Londynie, i panuje prawie wyłącznie w pracy kobiet. Nie ma zresztą pomiędzy obu metodami oceny pracy żadnego zasadniczego przeciwieństwa, a przeciwnie jedna służy za kryteryum do drugiéj. Z rozpowszechnieniem maszyn, oszacowanie zarobku na godziny staje się powszechniejszém. Zauważyć także należy, że ogół robotniczy przekłada ten sposób zarobkowania, jako lżejszy, wymagający mniéj wysiłku. Robota płacona od sztuki musi być staranniéj wykonywana i już przez to samo nie nęci do siebie pierwszego lepszego przeciętnego robotnika.

Czynnikiem niezmiernéj wagi w warunkach życiowych Londynu robotniczego jest regularność i ciągłość zarobkowania. Nie ulega wątpliwości najmniejszéj, że daleko lepsze jest położenie materyalne tego robotnika, który zarabia przez cały rok, bez przerwy, 25 szylingów tygodniowo, aniżeli tego, który zarabia 50 przez połowę roku, a przez drugą nie ma pracy; odrazu tedy można ocenić niebezpieczeństwa i niedogodności, z jakiemi robotnik londyński ma do walczenia, gdy się stwierdzi, że ciągła i nieustanna nieregularność w otrzymywaniu pracy stanowi znamienną cechę Londynu. Zmienny stosunek pomiędzy zapotrzebowaniem a podażą, i mnóstwo innych okoliczności oddziaływa na wytwórczość rynku londyńskiego, a wskutek tego na regularność zarobku masy robotniczéj. Nawet w epokach łatwego zarobkowania wisi nad robotnikiem, jak zmora, owa niestłumiona nigdy obawa, że dziś lub jutro, bez żadnéj z jego strony winy, straci swój zarobek i rzucony będzie na bruk. Peryodyczność tego przypływu i odpływu zarobku nie łagodzi cierpień materyalnych i moralnych, ale przeciwnie zaostrza je jeszcze.

Ale nieregularność zarobkowania bywa rozmaitego rodzaju. W znacznéj części jest ona następstwem własnéj woli robotników. Są

całe gałęzie wytwórczości, gdzie dobrze płaceni, spędzają dni na hulance, pijatyce i próżniactwie trzy dni tygodniowo, i ten rodzaj życia zdaje się, że odpowiada ich upodobaniu. Nie może tu być mowy o przeciążeniu pracą, o wyzyskiwaniu sił żywotnych robotnika. Uderza tu brak wszelkiéj przezorności, wszelkiéj myśli o jutrze, a oszczędzanie części zarobku, odkładanie onéj dla rodziny, albo na starość i wypadek dolegliwości, tak często spotykane w sąsiedniéj Francyi, są w Anglii prawie całkiem nieznane. Nie przeszkadza taka metoda nieracyonalnéj pracy tym, co wskutek niéj tracą źródła zarobkowania, skarżyć się na organizacyę wadliwą przemysłu. Jest rzeczą naturalną, że gdy zapotrzebowanie jakiegokolwiek artykułu się zmniejsza i przedsiębiorca potrzebuje mniéj rąk, oddala on naprzód pośledniejszych i niepunktualnych, a zatrzymuje tylko wyborowych robotników. Wzorowi mogą zawsze prawie na zatrudnienie produkcyjne liczyć.

Wiele jest powodów, wywołujących nieregularność zarobkowania. Są pomiędzy niemi do uniknienia niepodobne, jak np. te, które zależą od pory roku, i mniejszego zapotrzebowania tych lub owych artykułów życiowych, albo te, które po prostu są skutkiem pogody. Gdy się wie, że w słotę kilkuset rozlepiaczy afiszów i ogłoszeń nie znajduje pracy, że w mróz traci zarobek do 3,000 robotników w dokach londyńskich, że w dni gęstéj mgły zimowéj na dziesiątki tysięcy liczy się niezdolnionych do pracy, to nie trudno zrozumiéć, iż są pewne nieregularności, z któremi warstwy robotnicze zawsze liczyć się będą musiały.

Przechodząc do arcy-ważnéj kwestyi wysokości zarobku, nie potrzeba zapewne uprzedzać czytelnika, że panuje pod tym względem rozmaitość najwyższa i że się spotyka różne skale zarobkowe, nietylko między tą lub ową gałęzią wytwórczą, ale że panuje ona nawet pomiędzy robotnikami jednéj i téj saméj gałęzi. Nie można wskazać żadnego ogólnego istniejącego prawa, nawet owych osławionych *living wages*, czyli *minimum* zarobku zabezpieczającego życie robotnika. Autor nasz ogranicza się do empirycznych spostrzeżeń. Z tablic statystycznych, w które zaopatrzone były poprzednie tomy jego pracy, pokazało się, że *minimum* zarobku tygodniowego robotnika w Londynie da się oznaczyć na 20 szylingów, a *maximum* na 45 szylingów. Ale zdarzają się ceny niższe od pierwszéj, a jest mnóstwo przekraczających drugą. Przyglądając się bliżéj tym wykazom, stajemy co chwilę wobec zagadki: dlaczego jedni robotnicy w tym samym zawodzie zarabiają więcéj, a drudzy mniéj. Tam, gdzie istnieje jednostaj-

ność, jest ona następstwem akcyi stowarzyszenia, albo w jéj braku — miejscowego zwyczaju, stanu tradycyonalnego. Tam, gdzie spotykamy różnice, nie można ich przypisać niczemu innemu, jak tym indywidualnym czynnikom, których żadna wspólna organizacya całkowicie wyrugować nie potrafi.

Za najniższą przeciętnie ilość zarobku w Londynie p. Booth bierze 21 szylingów tygodniowo, t. j. 3 szyl. 6 pensów dziennie. Mniejszy zarobek przynosi jako kompensatę całoroczne zabezpieczenie roboty i jéj dostępność dla podrostków i ludzi pozbawionych wszelkiego wykształcenia specyalnego. Siła fizyczna jest, rzec można, jedynym wymagalnym przez pracodawcę od takiego nisko płaconego robotnika warunkiem. Woźnice wozów frachtowych, tragarze na stacyach dróg żelaznych, młynarczycy, powroźnicy, ogrodnicy i t. d. wogóle młodzi ludzie najprostsi zarabiają tygodniowo od 18—20 szylingów; każdy, co się ponad ten poziom choć cokolwiek podnosi, zaczyna od *minimum* 21 szylingów i idzie w górę. Ale i tu są zaraz wyjątki. I tak robotnicy rozwożący węgiel, chociaż nie posiadają żadnego innego uzdolnienia wyższego, oprócz bark silnych, zarabiają często więcéj niż po szylingu za godzinę pracy: zatrudniający ich skład węgla uwzględnia ich uczciwość, regularność i trzeźwość.

Zarobek robotnika *skilled*, t. j. biegłego, fachowo uzdolnionego, wynosi od 8 pensów do 1 szylinga za godzinę roboty. Pracując po téj ostatniéj cenie 60 godzin tygodniowo, robotnik zarabia 3 funty szt. i należy do uprzywilejowanéj mniejszości. Ogólnie robotnicy téj kategoryi zarabiają od 2 funtów do 2 f. 5 szylingów. Kobiéty-robotnice zarabiają od 10 do 20 szylingów tygodniowo, a dziewczynki od 5 do 15 szylingów.

Nie ma powodu wchodzić w rozmaite niezliczone szczegóły téj strony kwestyi robotniczéj, któréj p. Booth poświęcił całe cztery tomy. Dla zoryentowania czytelnika wystarczy następująca klasyfikacya 75,000 dorosłych mężczyzn robotników:

Zarobek	mniejszy od 20	szylingów	pobiéra	8,866	robotników	tygodniowo,
„	od 20 do 25	„	„	13,108	„	„
„	od 25 do 30	„	„	17,078	„	„
„	od 30 do 35	„	„	16,818	„	„
„	od 35 do 40	„	„	11,594	„	„
„	od 40 do 45	„	„	6,568	„	„
„	większy niż 45	„	„	6,044	„	„
			razem	75,076.		

Wykaz ten jest zadawalniający, gdyż daje poznać, że więcéj niż połowa robotników zarabia tygodniowo po 30 szylingów. Uczynimy tu wzmiankę dodatkowo, że z tablicy statystycznéj, obejmującéj zarobek 17,000 kobiét, dziewcząt i chłopców w różnych gałęziach pracy, pokazuje się on w cyfrze 9 szylingów i 6 pensów tygodniowo. Gdy się mówi o zarobku tygodniowym rodziny, należy brać tę dodatkową sumę różnych jéj zarobkujących członków pod uwagę.

Im bardziéj z ogólnych poglądów autor przechodzi do indywiduów i ukazuje nam ich w swém robotniczém środowisku, tém interes staje się żywszy. Ostatni rozdział, gdzie wchodzi w drobiazgi ich materyalnego bytu, jest nieoszacowany. Zaczyna od wskazania łatwości, z jaką chłopak po opuszczeniu obowiązkowéj szkółki elementarnéj znajduje zarobek od 3 do 6 szylingów tygodniowo. Liczy on wtedy przecięciowo lat 13 i rodzina chętnie widzi, że jéj pomagać zaczyna. W zwykłych warunkach chłopak oddaje cały swój zarobek tygodniowy matce, która go żywi, opiéra, odziéwa i codziennie daje piéniądze na koszta jazdy do warsztatu. Ponieważ w najuboższych rodzinach jest możność utrzymania takiego chłopaka za 6 pensów dziennie, budżet rodzinny zyskuje na tym tygodniowym dochodzie. Gdy podrasta i znajduje się w epoce między 15 a 20 rokiem życia, zarobek jego wzrasta do 10, 15 i dochodzi do 20. Wtedy płaci matce stałą pensyę za swe utrzymanie od 5 do 10 szylingów, na czém widocznie zyskuje, gdyż po za rodzinnym domem te same wydatki kosztują go co najmniéj od 10 do 14 szylingów. Gdy liczy około 22 lat, posiada już zazwyczaj *maximum* swego dochodu od 20 do 30 szylingów tygodniowo i zaczyna myśléć o małżeństwie, chociaż nie posiada ani oszczędności, ani żadnego kapitału zakładowego na zagospodarowanie się. Gdy się żeni z dziewczyną, zarabiającą ze swéj strony jakich 10 szylingów tygodniowo, byt młodéj pary, osiedlającéj się w jednéj umeblowanéj izbie, jest dobry. Trudności zaczynają się ukazywać z nadejściem dziecka, a potém dzieci, gdyż pierwszém tego następstwem jest utrata przez żonę jéj zarobku, a powiększenie wydatków. Gdy dzieci przybywają jedno po drugiém, jeżeli kobiéta nie jest oszczędna i zaradna, jeżeli nie znaidzie dodatkowych sposobów pomnożenia dochodów rodziny przez podejmowanie się prania, szycia, utrzymania mieszkań kawalerskich, odnajmowanie pokojów lokatorom i t. p., albo jeżeli mąż lub żona zasmakują w butelce, wtedy biéda, a następnie nędza wkrada się do tego domostwa i proletaryat nowe werbuje ofiary.

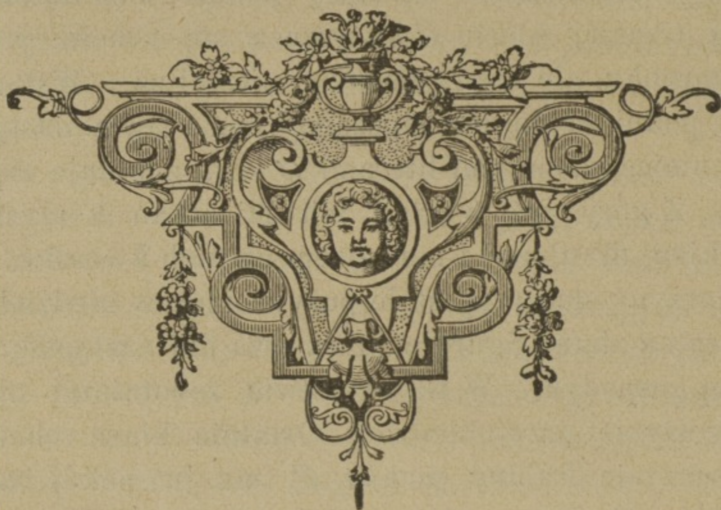
Ten obraz sam jeden pokazuje, na jak wązkiéj krawędzi stoi byt rodziny robotniczéj londyńskiéj i jak dosyć drobnéj okoliczności, aby

zepchnąć ją o jeden, o kilka szczebli niżéj. Są bowiem rozmaite szczeble w materyalnym bycie rodzin robotniczych i wielką zasługą poszukiwań p. Booth jest to, że opisał życie na każdym z nich szczegółowo. Jak wiadomo, podzielił je na sześć klas. Do pierwszéj, najniższéj, klasy *A* należy ostatnia nędza, robotnicy bez dachu, bez żadnego regularnego zajęcia, w łachmanach. Do drugiéj klasy *B* już stateczni robotnicy, ale żyjący w biédzie, nieledwie w nędzy. Mąż, żona i dzieci mieszczą się w dwóch, a często w jednéj izbie; głównym artykułem pożywienia jest chléb, kartofle, herbata. Margaryna zastępuje masło, a dzieci żyją chlebem posmarowanym konfiturami, nadzwyczaj taniemi w Londynie z powodu niskiéj ceny cukru. Wędzona słonina (*bacon*) i smażona ryba, zakupiona w sąsiednim kramiku, stanowią tam już zbytek. Sprzęty domowe takiego domostwa są nędzne i zaniedbane, a odzienie kupione na tandecie jest tém potworniejsze, że nosi ślady wytworności, którą się odznaczało kiedyś u różnych dawniejszych posiadaczy. Ilość robotników téj klasy podaje nam autor na 300,000. W następnéj trzeciéj klasie *C*, mieszczą się robotnicy o większym wprawdzie zarobku, ale nieregularnym, niestałym. Wskutek tego nie są w stanie podniéść się do lepszego bytu. Dwie następne warstwy robotnicze, umieszczone pod literami *D* i *E*, znajdują się w lepszych stosunkach. Z góry już wygląd ich mieszkań korzystnie uprzedza czystością okien, firankami i mnóstwem na nich kwiatów. Jaja, szynka, ryby, jarzyny stanowią stałe pożywienie; w niedzielę jest gorąca pieczeń, która na zimno figuruje przez dwa dni następne; pudyngi stanowią chlubę gospodyń. W téj warstwie robotniczéj piwo wchodzi regularnie w użycie przy obiedzie. Ostatnia klasa robotnicza, umieszczona na szczycie drabiny pod lit. *F*, ma już pokój bawialny, żyje dostatnio, ubiéra się przyzwoicie, a dzieci stroi wykwintnie, spędza latem parę tygodni nad morzem i t. d. Pomiędzy tą sferą a mieszczaństwem nie ma już istotnych różnic.

Jest mnóstwo szczegółów w tym obrazie, któreby zasługiwały na uwzględnienie. Pomijamy je, nie chcąc nadużywać cierpliwości czytelników. Dopiéro gdy się w nie wejrzy, można pojąć niedorzeczność wszelkich zachcianek jednolitego, jednorazowego załtwienia wymagań świata robotniczego. Nie ma wątpienia, że potrzebaby wychować, podniéść, oświecić, umoralnić każdego osobnika, wskazać mu niebezpieczeństwa, jakie mu grożą nie z winy ustroju społecznego, ale z jego własnéj. Nieregularność pracy, pijaństwo, brak oszczędności, nieprzezorność, zawczesny ożenek i t. d. wkładają na niego kajdany. Ale nie można zaprzeczyć, że są klęski, które nań spadają bez osobistéj jego

winy i że społeczeństwo nie wypełniło względem warstwy robotniczéj wszystkich swych obowiązków. Pierwszym jest szkolnictwo i techniczne przygotowanie do pracy produkcyjnéj. O całym szeregu innych nie tutaj miejsce mówić. Znajdzie się do tego sposobność, gdy p. Booth ogłosi ostatnią część swéj pracy i wskaże, co dla robotników londyńskich może zrobić obok już czynnego kościoła i filantropii — municypalność i państwo. Będzie to wielce pożądany epilog wielkiego dzieła.

M. E. Trepka.



ZMĘCZENIE.

Gdy wykonywamy ruchy przez pewien przeciąg czasu, spostrzegamy niebawem, iż siła nasza słabnąć zaczyna, mięśnie drżą pomimowoli, są siedliskiem przykrego bólu, aż wreszcie odmawiają całkiem posłuszeństwa. A nawet nie tylko mięśnie, które odbyły pracę, są znużone; wiemy wszyscy, iż np. po długiém chodzeniu odczuwamy zmęczenie nie tylko nóg, lecz ból w łopatkach, w ramieniu, a nawet ból głowy. Podobnie i przy umysłowéj, długo natężonéj pracy, oprócz zmęczenia głowy odczuwamy ból całego ciała. To nam dowodzi, że zmęczenie bywa początkowo zjawiskiem lokalném (zaczyna się zawsze od organu, który odbył pracę), następnie jednak staje się zjawiskiem ogólném, choć stan lokalny zawsze mieć będzie przewagę.

Uczucie zawne z m ę c z e n i e m zbyt dobrze jest przez wszystkich znane, aby należało zagłębiać się w dalsze jego określenie. Daleko więcéj zainteresowania wzbudza n a u k o w e objaśnienie zmęczenia. Istotnie, czém jest zmęczenie? Jakie przybiéra postaci? Jak wytłomaczyć ten dziwny stan niemocy i wyczerpania, jaki nami owłada? Czyżby siła mięśniowa i nerwowa miała się c h w i l o w o wyczerpywać? Chwilowo, gdyż każdy wié z własnego doświadczenia, iż po pewnym wypoczynku powracamy do dawnych sił i wykonywać jesteśmy w stanie szereg nowych ruchów, bez śladu dawnego znużenia. Kwestya wypoczynku ściśle związana jest z kwestyą zmęczenia.

Kwestya zmęczenia zajmowała umysły od najdawniejszych czasów, na tory ściśle naukowe weszła jednak bardzo niedawno, gdyż zaledwo od paru dziesiątków lat. Gdy zaczęto badać zmęczenie, spostrzeżono niebawem, iż zjawisko to nader jest złożone i trudne do rozwiązania, i że daje się rozpatrywać z kilku punktów widzenia. Możnaby np. opisać fizyologię, psychologię i chemię zmęczenia. Podział ten uwzględnimy w niniejszéj pracy, choć oczywiście granice te są do pewnego stopnia sztuczne i konwencyonalne.

O zmęczeniu badaném fizyologicznie powiedziéć można przedewszystkiém, iż jest ono zmniejszeniem lub zaniknięciem drażliwości mięśniowéj i nerwowéj. Jedynie w systemie mięśniowym i nerwowym szukać należy przyczyn zmęczenia, gdyż one tylko posiadają zdolność do wykonywania i wywoływania ruchów; nerwy i mięśnie znajdujemy we wszystkich organach obdarzonych ruchem, nawet w organach wewnętrznych, jak żołądek, kiszki, pęchérz, a obieg krwi wywołany jest kurczeniem się serca, organu mięsistego.

Drażliwość jestto ogólna własność materyi żywéj, którą obdarzone są nawet najniższe istoty, zgoła pozbawione systemu mięśniowo-nerwowego, u zwierząt zaś ewolucyjnie wyżéj stojących, zarówno jak i u człowieka, drażliwość umiejscowiła się w specyalnych organach ruchu i czucia.

Wszystko co żyje jest drażliwem—czyli posiada zdolność reagowania na liczne podniety. Jeśli ukłuć włókno mięśniowe, wykona ono ruch, skurczy się i zawsze w ten sposób zachowywać się będzie przy podrażnieniu, dopóki znajdować się będzie przy życiu. Drażliwość jest zatém ogólną własnością materyi żywéj, lecz reakcya zmienia się stosownie do podrażnionéj komórki lub włókna; dla włókna mięśniowego objawi się skurczeniem, dla komórki gruczołu — zwiększonem wydzielaniem, dla nerwu—przebiegiem prądu, dla komórki nerwowéj — wrażeniem, percepcyą, i t. d.

Ruchy ameboidalne spotykamy wszędzie tam, gdzie znajduje się naga pierwoszcza, nie zamknięta powłoką. Jako przykład typowy rozpatrywać możemy amebę, istotę jednokomórkową, która w kropli wody pod mikroskopem ukaże się naszym oczom jako mała, szara, napół przezroczysta kulka protoplazmy. Przyglądając się jéj baczniéj, ujrzymy niebawem, iż kulka powoli kształt swój zmienia; pierwoszcza wydyma się na jednym z punktów powierzchni i wypuszcza tak zwane nibynóżki (pseudopody), dzięki którym ameba przenosić się może z miejsca na miejsce. Wkrótce na innym punkcie protoplazmy ukazują się nowe pseudopody, lecz poprzednie chowają się, protoplazma z powierzchni powraca do środka. Chowanie się pseudopodów stano-

wi fazę kurczenia się. Gdy wszystkie pseudopody się schowają, wówczas ameba przybiera znowu kształt kulisty. Jeśli do wody, w któréj znajdują się ameby, dodamy cokolwiek soli kuchennéj lub kroplę kwasu solnego, albo jeśli przepuścimy prąd elektryczny, to przez chwilkę ameby poruszać się będą przyśpieszonym ruchem, lecz wkrótce chowają nibynóżki i przybierają kształt kulisty. Podnieta zewnętrzna podziałała zatém drażniąco na te drobnoustroje i wywołała kurczenie się protoplazmy.

Podobne objawy spostrzegamy przy drażnieniu mięśnia. Drażliwość mięśnia również objawia się kurczeniem, dlatego własności téj nadano nazwę kurczliwości. Kurczliwość polega na skróceniu się włókien mięśniowych, które jednocześnie grubieją, a dzięki owemu skróceniu, rozmaite części szkieletu mogą być do siebie zbliżone i wykonywają ruchy. Mięśnie prążkowane odznaczają się nadzwyczaj szybkim przebiegiem kurczliwości; jeśli np. podnieta jest silna i krótkotrwała, (np. prąd elektryczny), wówczas mięsień podlega nadzwyczaj szybkiemu „wstrząśnieniu", trwającemu ułamek sekundy. Tak zw. mięśnie gładkie, znajdujące się w organach wewnętrznych, posiadają znacznie powolniejszy przebieg kurczliwości, co jest w związku z ich funkcyą, gdyż tu ruchy powinny być powolne i umiarkowane. Przeciwnie, „życie na zewnątrz" wymaga szybkich i energicznych ruchów. Zadziwiającą szybkością ruchów obdarzone są mięśnie skrzydeł niektórych owadów, np. mięśnie komara (według Mareya) zdolne są wykonać 300 do 400 ruchów na sekundę. Niektóre małe mięśnie odznaczają się niezwykłą siłą, np. mięsień nożny (*gastro-enemius*) żaby, mający zaledwo centymetr średnicy, może podnieść ciężar kilograma. Praca zaś odbywana przez mięsień sercowy jest wprost zdumiewająca! Züntz obliczył, iż serce człowieka odbywa codziennie pracę 20,000 kilogrametrów, czyli pracę niezbędną do podniesienia 20,000 kilogramów na wysokość metrową. Mięsień jest najdoskonalszą dynamo-machiną, jaką znamy.

W zwyczajnych warunkach życia, mięsień kurczy się pod wpływem podniety nerwowéj, wyszłéj z ośrodków. Lecz niezależnie od téj podniety, posiada on kurczliwość samoistną czyli zdolność oddziaływania na zewnętrzne podniety. Jest dziś faktem w zupełności dowiedzionym, iż kurczliwość jest własnością tkanki mięśniowéj i po wycięciu, zniszczeniu lub otruciu nerwów dochodzących do mięśni, można mięśnie pobudzić do ruchu.

Przechodzimy obecnie do drażliwości tkanki nerwowéj. Drażliwość nerwu objawia się przebiegiem prądu nerwowego. Nerwy dośrodkowe czyli nerwy czucia prowadzą do ośrodków prądy wrażenio-

we; nerwy odśrodkowe czyli nerwy ruchu prowadzą od ośrodków do mięśni prądy ruchowe. Nerw jest zatém przewodnikiem prądu nerwowego. Nerw podrażniony nie kurczy się podobnie jak mięsień, lecz stopień jego podrażnienia mierzyć można kurczliwością mięśnia, do którego dochodzi nerw ruchowy. Dopóki funkcyonowanie nerwu nie objawi się ruchem mięśnia, dopóty rzec można pozostaje nieuchwytném; ze wszystkich objawów działalności nerwowéj, kurczenie się mięśnia jest najłatwiejsze do spostrzeżenia, do wymierzenia i do zapisania na odpowiednich przyrządach; do niéj się zatém zwykle zwracamy, gdy chcemy ocenić drażliwość nerwu, bądź bezpośrednio, drażniąc nerw ruchu, bądź w sposób odruchowy, drażniąc nerw czucia. A zatém mięsień i nerw w odmienny oddziaływają sposób na działanie podniety: mięsień—kurczeniem się, nerw—przebiegiem prądu.

Kilka słów poświęćmy opisowi podniet. Podniety dzielimy na naturalne i sztuczne. Podnietą naturalną, fizyologiczną, jest prąd nerwowy wyszły z ośrodków, pobudzający nerwy a za ich pośrednictwem mięśnie do ruchu. Odróżnić jednak możemy dwa wypadki: przy ruchu dowolnym rozkaz wychodzi z ośródków, które samoistnie wysłały prąd ruchowy wzdłuż nerwów odśrodkowych; podrażnienie jest zatém odśrodkowem. Przy odruchu, ośrodki wchodzą również w grę, lecz nie działają one wówczas samodzielnie, służą tylko jako przewodniki dla podrażnień, które pozostały na wrażliwéj powierzchni ciała, obdarzonéj licznemi organami zmysłów. Rozpatrując jednak naturalne podniety ruchów, obojętném jest, jaki jest punkt wyjścia dla ruchu i nie ma potrzeby brać pod uwagę całego łuku nerwowego. Pragniemy przez to zaznaczyć, że podrażnienie ośrodkowe staje się fizyologicznym bodźcem dla ruchów.

Podniety sztuczne podzielono na mechaniczne, fizyczne i chemiczne. W sztuczny sposób pobudzić można do ruchu system nerwowo-mięśniowy, używając jednego z wyżéj wymienionych bodźców. Wszelkie mechaniczne podrażnienie nerwu lub mięśnia (uderzenie, ukłucie, przecięcie) wywołuje kurczenie się mięśnia. Do najenergiczniejszych i najczęściéj używanych podniet fizycznych zalicza się elektryczność. Natężenie elektryczności daje się ściśle wymierzyć, dzięki nowym ulepszonym przyrządom, siłę jéj możemy dowolnie stopniować, z tych względów prawie wyłącznie zwracają się w laboratoryach do elektryczności, gdy chodzi o wywołanie podrażnienia. Z pomiędzy innych podniet fizycznych wymienimy jeszcze działanie temperatury; mięsień pogrążony w zimnéj lub gorącéj wodzie, zaczyna się gwałtownie kurczyć. Podobnie światło posiada zdolność drażnienia tkanki mięśniowéj nawet bezpośrednio, choć u wyższych zwierząt

zdolność oddziaływania na światło umiejscowiła się w specyalnym organie. Liczba ciał chemicznych, które w zetknięciu z mięśniami lub nerwami wywierają wpływ drażniący, jest nieskończenie wielka, zaliczają się do nich głównie kwasy i zasady. W doświadczalny sposób skurcz mięśnia może być otrzymany przez podrażnienie którejkolwiek bądź części łuku odruchowego; możemy otrzymać kurczenie się mięśnia bądź przez podrażnienie mięśnia bezpośrednio, bądź przez podrażnienie nerwu ruchowego, przez podrażnienie ośrodków lub przez podrażnienie nerwu czucia (skurcz odruchowy).

Jednakże mięsień nie daje się drażnić bez końca. Po pewnym przeciągu czasu następuje zmęczenie. Prąd elektryczny przebiega po dawnemu z tą samą siłą, a mięsień zaczyna coraz słabiéj oddziaływać, a gdybyśmy chcieli otrzymać tę samą siłę skurczów, musielibyśmy powiększyć natężenie podniety. Jeśli jednak podnieta pozostaje bez zmiany, jesteśmy świadkami powolnego zaniknięcia drażliwości mięśniowéj; skurcze wciąż słabną, aż wreszcie całkiem ustają, mięsień pozostaje nieruchomym przy przebiegu prądu elektrycznego. Nie jestto jednak śmierć. Pozwólmy odpocząć mięśniowi przez kilka minut; po tym przeciągu czasu zacznijmy go znów drażnić tym samym prądem: mięsień będzie się kurczył ponownie. Takie jest dzieło zmęczenia. Jest to zanik drażliwości mięśniowéj. Nasuwa się pytanie, w jaki sposób nerw zachowuje się wobec zmęczenia? Jeśli drażnić będziemy mięsień za pośrednictwem nerwu, otrzymamy identyczne objawy. Nie dowodzi to wszakże, aby nerw miał być zmęczony. Istotnie, wspominaliśmy wyżéj, iż o czynności nerwu sądzić możemy z drażliwości mięśnia; gdy mięsień jest zmęczony i niezdolny do wykonywania ruchów, nic na oko nie może nas objaśnić, czy nerw jest zmęczony. Liczne doświadczenia, czynione głównie przez Bernsteina i Wwedeńskiego, wykazały z całą ścisłością, iż nerw nie podlega zmęczeniu, nerw jest niezmęczonym (oczywiście w pewnych granicach, ale doświadczalnie, nazwać można nerw niezmęczonym). Prawdopodobnie zmęczeniu podlegają zakończenia nerwów w mięśniach, tak zwane krążki końcowe, organy nadzwyczaj delikatne; lecz włókno nerwowe, będące przewodnikiem prądu nerwowego, nie podlega zmęczeniu.

Rzecz godna uwagi i posiadająca wysokie znaczenie w fizyologii ogólnéj. Podrażnienia mają zdolność wywoływania ruchów w tkance mięśniowéj. Te same przyczyny działając przez dłuższy czas wywołują zanik ruchu, zmęczenie, porażenie.

Pierwszych doświadczeń nad zmęczeniem u zwierząt dokonał uczony szwajcarski Kronecker w r. 1872. Widzimy, jak stosunkowo

świéże są te badania. Profesor z Bernu posługiwał się głównie w doświadczeniach żabami; stworzenia te bowiem przedstawiają znakomite warunki badania dla fizyologa; po zniszczeniu im systemu nerwowego ośrodkowego (mózgu i rdzenia) zachowują przez całą dobę, a nieraz znacznie dłużéj wszelkie pozory życia: serce uderza regularnie, krążenie odbywa się w dalszym ciągu (choć oddychanie jest wstrzymane), mięśnie i nerwy posiadają zupełną wrażliwość na działanie prądu elektrycznego. Żaba pozbawiona mózgu i rdzenia nie jest w stanie poruszać się dowolnie ani odruchowo, gdyż brak jéj naturalnéj, fizyologicznéj podniety do wykonywania ruchów. Lecz mięśnie i nerwy posiadają zdolność oddziaływania na wszelkie bodźce zewnętrzne. Podobnie spreparowanéj żabie obnaża się główny nerw tylnéj nogi, oraz jeden z mięśni (*gastroenemius*); do nerwu dotykają elektrody indukcyjnéj machiny elektrycznéj; przy każdém otwarciu lub zamknięciu prądu elektrycznego (np. co dwie lub co trzy sekundy) nerw zostaje podrażniony, podrażnienie to udziela się mięśniowi, który kurczy się i skraca; do mięśnia przyczepiona jest strzałka ze słomy, która przy każdém wstrząśnieniu mięśnia pozostawia ślad na walcu zaczernionym sadzą; jeśli dodamy do tego opisu, że walec obraca się nader powolnym, miarowym ruchem, to łatwo pojąć, iż każde skrócenie się mięśnia zapisane zostanie na cylindrze w postaci pionowéj linii, któréj wysokość proporcyonalna jest do stopnia skrócenia się mięśnia. Przyrząd ten zwany myografem, w którego szczegółowy opis wchodzić nie będziemy, gdyż znajduje się we wszystkich podręcznikach fizyologii, oddaje nieocenione usługi w laboratoryach fizyologicznych, dając możność zapoznania się ze wszystkiemi właściwościami kurczliwości mięśniowéj. Sposób badania, polegający na zmuszeniu zjawisk, aby pozostawiały same ślad swego przebiegu, nazwany został metodą graficzną i cieszy się dziś niesłychaném powodzeniem w nauce. Dopóki mięsień nie jest zmęczony, za każdym przebiegiem prądu elektrycznego o jednakowéj sile, kurczyć się on będzie w jednakowy sposób i pionowe linie, zarysowane na walcu, posiadać będą tę samą wysokość. Nadchodzi jednak wkrótce chwila, gdy mięsień zaczyna się męczyć, wówczas kurczy się z mniejszą energią, linie na walcu stają się coraz niższe; mięsień słabnie coraz bardziéj, linie obniżają się, aż nakoniec następuje zupełne znużenie, mięsień przestaje oddziaływać, prąd przechodzi po dawnemu, lecz mięsień pozostaje nieruchomym, a linie pionowe na cylindrze znikają. Dzięki téj metodzie, Kronecker odkrył kilka ważnych praw zmęczenia, z których najważniejsze da się streścić w następujących słowach: linie pionowe, zarysowane na cylindrze obniżają się w sposób wielce prawidłowy, różnica wysokości dwóch

linii przyległych jest ilością stałą; innemi słowy, jeśli połączymy wierzchołki tych linii pionowych otrzymamy jedną linię prostą. Linia zmęczenia jest prostą.

W badaniach swych posługiwał się Kronecker nader silnemi prądami elektrycznemi. Otóż prądy takie posiadają wielką niedogodność: działają rozkładająco na substancyę nerwową, co może wpływać ujemnie na zjawisko zmęczenia i zaciemniać otrzymane rezultaty. Przytém zbyt silne prądy nie mogą być obrazem tego, co się dzieje w organizmie, który najczęściéj poruszany jest prądami fizyologicznemi o słabém lub mierném natężeniu. Dla tych przyczyn uznaliśmy za interesujące dopełnić tę lukę i sprawdzić prawo Kroneckera dla prądów umiarkowanych i słabych, używając do tych doświadczeń ogólnéj metody profesora z Bernu. Opiérając się na zasadzie licznych doświadczeń i po otrzymaniu znacznéj liczby figur na myografie, możemy twierdzić, iż prawo Kroneckera sprawdza się nawet w tych warunkach. Linia zmęczenia pozostaje prostą nawet dla prądów elektrycznych o słabém lub miernėm natężeniu. Oczywiście, linię prostą otrzymujemy tylko wówczas, gdy wszystkie używane przyrządy funkcyonują w idealny nieledwie sposób, co, niestety, nie zawsze się zdarza; trzeba, aby walec obracał się równomiernie, nie przyśpieszając ani zwalniając biegu; aby prąd elektryczny posiadał zawsze jednakową siłę, wreszcie, aby podrażnienie udzielało się mięśniowi w jednakowych odstępach czasu. Jeśli wszystkie te warunki nie zostaną zachowane, linia zmęczenia nie będzie prostą, ale krzywą.

Prócz tego, stwierdziliśmy licznemi doświadczeniami, iż linia zmęczenia pozostaje prostą u żaby, któréj wyjęto serce; mięsień bez obiegu krwi tym samym podlega prawom zmęczenia, co mięsień normalny, z tą tylko różnicą, iż w pierwszym wypadku kurczliwość jest znacznie zmniejszona. Mięsień żaby, któréj wyjęto serce, a nawet mięsień oddzielony od ciała, przez długi czas zachowuje się przy życiu; kurczliwość jego jest jednak mniejsza, pomimo to linia zmęczenia pozostaje prosta. Podobnie mamy wszelkie prawo twierdzić, iż linia zmęczenia pozostaje prosta po wstrzyknięciu rozmaitych trucizn, które paraliżująco działają na krążki końcowe nerwów, do tych zalicza się np. newryna (w działaniu swém zbliżająca się do kurary). Natomiast inne ciała pobudzające czynność mięśni i nerwów, wstrzyknięte pod skórę, wpływają na zmianę profilu zmęczenia. Np. węglan sodu, wstrzyknięty pod skórę żaby (w ilości 5 centygramów), wywiera wpływ pobudzający na siłę nerwowo-mięśniową, linia zmęczenia nie jest w tym wypadku prosta, lecz wypukła; podobnie działa węglan amoniaku i węglan potasu w małéj ilości, lecz w większéj ilości węglan potasu (10 centy-

gramów) działa paraliżująco, linia zmęczenia staje się wklęsła. Surowica psa wstrzyknięta żabie wywiera silny wpływ podniecający.

Inni autorowie, jak np. Tiegel, Rossbach i Hartnack, dowiedli, iż dla zwierząt ciepłokrwistych linia zmęczenia jest prosta.

Natomiast wśród zwierząt bezkręgowych rak odznacza się zupełnym brakiem prawidłowości w swych skurczach; kleszcze raka przytwierdzone do myografu i drażnione elektrycznością, dają szereg wstrząśnień, bezładnych, silnych lub słabych, bez określonego porządku, aż nakoniec kurczliwość nagle znika, nie zmniejszywszy się w stopniowy sposób.

O wiele jeszcze ciekawszém jest badanie zmęczenia u człowieka. Tu jednak spotykamy się z daleko większemi trudnościami doświadczalnemi. Istotnie, łatwo pojąć, iż niepodobna w tym wypadku postępować jak z żabą lub królikiem, którym obnaża się mięśnie i nerwy. Znane zaś przyrządy do mierzenia siły, np. dynamometr, nie mogą być również używane, gdyż nie dostarczają wskazówek dostatecznie ścisłych.

Dopiéro od czasów Mossa, profesora w Turynie, i od wynalezienia przez niego e r g o g r a f u, datują się pierwsze ścisłe doświadczenia nad zmęczeniem człowieka. Badanie zmęczenia u człowieka jest wysoce interesujące, gdyż można w tym wypadku badać zmęczenie dowolne i zmęczenie obwodowych mięśni i nerwów. Podamy w kilku słowach opis przyrządu zwanego ergografem: ręka oraz drugi i czwarty palec zostają mocno przytwierdzone do deszczułki rzemiennemi obręczami, aby nie mogły się poruszać; trzeci palec może zginać się dowolnie; przytwierdza się do niego sznurek zakończony ciężarem (2 kilogr. lub więcéj). Leżący obok metronom uderza co dwie sekundy; według tego rytmu, osoba podlegająca doświadczeniu zgina trzeci palec i podnosi ciężar do pewnéj wysokości; wysokość ta zapisaną zostaje na obracającym się walcu, zupełnie tak jak w myografie. W tych warunkach można wykonać 40 do 80 skurczy. Linie pionowe, otrzymane na walcu, obniżają się proporcyonalnie do ilości skurczy mięśniowych. A łącząc wierzchołek wszystkich tych pionowych linii otrzymujemy l i n i ę zmęczenia. Metoda ta posiada tę wyższość nad innemi, iż pozwala dokładnie wymierzyć pracę dwóch mięśni zginających trzeci palec, kiedy w dynamometrze znaczna liczba mięśni wchodzi w grę, gdy ściskamy przyrząd ten w dłoni, niepodobna zatém określić, co przypada w udziale każdemu mięśniowi po szczególe. W ergografie praca dwóch mięśni zginaczy daje się dokładnie wymierzyć, dość jest dodać do siebie wysokość wszystkich pionowych linii, otrzymanych na walcu i sumę tę pomnożyć przez liczbę kilogramów

dźwiganych do góry, a otrzymana liczba wyrażać będzie kilogramy pracy. Oczywiście, ilość dokonanéj pracy przy zginaniu trzeciego palca jest wiernym obrazem ogólnego stanu, w jakim znajduje się organizm; organizm silny, wypoczęty, dostarczy znacznéj ilości przy zginaniu 3-go palca. Prócz tego, mamy tu do czynienia ze zmęczeniem ośrodkowém, dowolném; nie żadna podnieta zewnętrzna, lecz siła woli osobnika zmusza palec do podniesienia ciężaru. Jednakże mięsień męczy się przytém, gdyż on to wykonywa mechaniczną pracę. Aby wyświetlić udział woli w zmęczeniu, Mosso zastosował elektryczność do człowieka i drażnił mięśnie i nerwy za pośrednictwem prądu elektrycznego. Dwa metalowe krążki, przykryte gąbką lekko zmoczoną w słabym kwaśnym roztworze, spoczywają na głównym nerwie przedramienia; połączone są z machiną indukcyjną, prąd elektryczny przebiega co dwie sekundy. Ogólny profil zmęczenia nie ulega zmianie przy podrażnieniu elektryczném, lecz suma pracy mechanicznéj większa jest niż przy pracy ośrodków. „Dzięki woli, mówi Mosso, możemy czynić większe wysiłki i podnosić znaczniejsze ciężary, lecz zdolność do pracy szybko się wyczerpuje. Mięsień podrażniony elektrycznością dostarcza znaczniejszéj sumy pracy dlatego, iż w tym wypadku brak zmęczenia ośrodkowego, kiedy przy ruchach dowolnych, do pracy mięśniowéj dołącza się jeszcze praca mózgowa, uwaga i wysiłek.” Istotnie, rzecz godna uwagi, gdy mięsień wyczerpany jest w zupełności przez prąd elektryczny, oddziaływa jeszcze pod wpływem woli, gdy zaś wyczerpie się ruchem dowolnym, zdolny jest jeszcze kurczyć się pod wpływem elektryczności. Podrażnienie elektryczne mięśnia, doprowadzone do zupełnego wyczerpania, pozostawia mu zatém pewną sumę energii, która może być wyładowana przy wysiłku mózgowym. W doświadczeniach tych zmęczenie ośrodkowe występuje z całą jasnością; podczas podrażnienia elektrycznego ośrodki miały czas wypocząć i podrażnione z kolei, zdolne były jeszcze dostarczyć pewnéj sumy pracy.

Jaką jest linia zmęczenia u człowieka? W wielu wypadkach siła skurczy zmniejsza się stopniowo, tak iż linia łącząca wierzchołek skurczy jest zbliżoną do prostéj, choć nigdy nie daje się tu spostrzegać owa regularność, nieledwie matematyczna, jaką widzieliśmy u zwierząt, zwłaszcza zaś u żaby. Spotykamy jednak często inne typy zmęczenia. Niektóre np. osoby mogą z początku dostarczyć znacznéj sumy energii, linie pionowe są wysokie, nagle spadają do zera i mięsień niezdolny jest do pracy. Być może, iż podobna linia zmęczenia jest dowodem szybkiego wyczerpania siły nerwowéj. W innych razach linia zmęczenia jest wypukła lub wklęsła, albo też z początku wypukła,

a następnie wklęsła (zbliżona kształtem do odwróconéj litery S). Suma dostarczanéj pracy może być wielce rozmaita, zależnie od ogólnego stanu zdrowia, od pory roku, od ilości i jakości pożywienia, od poprzedniego stanu wypoczynku lub pracy, od wzruszeń i t. d. Fizyczny ruch (bez wyczerpania) powiększa siłę w wysokim stopniu; po miesiącu ćwiczeń gimnastycznych, niektóre osoby dostarczyć mogły podwójnéj ilości pracy niż poprzednio. Ale każdy osobnik posiada właściwą mu linię zmęczenia, nie zmieniającą się nawet po wielu latach. Można zatém powiedzieć, iż każdy posiada właściwy mu znak zmęczenia, będący objawem jego indywidualnych różnic.

Ergograf w rękach Mossa i jego uczni dostarczył nadzwyczaj cennych rezultatów. Opiérając się na licznych badaniach, Mosso doszedł do wniosku, iż zbyt natężona praca umysłowa wyczerpująco działa na siłę mięśniową, coby dowodziło, że zmęczenie jest jedno w swém pochodzeniu, a zarazem widzimy, jak zgubnym jest zwyczaj zmuszania dziatwy do męczącéj pracy gimnastycznéj dla „wypoczynku" po pracy umysłowéj. Zmęczenie cielesne i umysłowe idą w parze, oddziaływując na siebie wzajemnie. Dzięki przyrządowi, zwanemu ponografem, a służącemu do zapisywania wysiłku nerwowego przy pracy, Mosso wykazał, iż wysiłek nerwowy, niezbędny do kurczenia się mięśnia, jest tém większy, im zmęczenie daléj jest posunięte. Wysiłek rośnie proporcyonalnie do zmęczenia. Wyczerpanie organizmu nie wzrasta proporcyonalnie do odbytéj pracy; praca odbyta przez mięsień poprzednio już zmęczony, wpływa daleko gorzéj na organizm, niż praca daleko większa, odbyta w normalnych warunkach. Można wykonać daleko większą pracę, bądź umysłową, bądź fizyczną, nie dochodząc nigdy do wyczerpania. Wyczerpanie jest silną zgubą dla organizmu; aby dojść do równowagi należy następnie odpoczywać przez czas daleko dłuższy. Organizm nie może być porównany do lokomotywy, wypalającéj daną ilość węgla dla każdego kilometru przebytéj przestrzeni. Skoro ciało jest zmęczone, najsłabszy wysiłek sprowadza zgubne następstwa. Wskazówki te nabiérają ogromnéj wagi, gdy chodzi o hygienę pracy umysłowéj: nieraz tak nielitościwie obchodzimy się z tą najcenniejszą tkanką, jaką jest mózg! Jeśli np. mięsień po 30 skurczach jest zupełnie wyczerpany, wówczas dwie godziny wypoczynku wystarczają w zupełności, aby znikły wszelkie objawy zmęczenia. Gdybyśmy jednak nie wyczerpywali mięśnia do ostateczności i uczynili tylko 15 skurczy, wówczas pół godziny wypoczynku wystarczy. A rachując otrzymaną w sumie pracę, widzimy, że jest ona znacznie większa w ostatnim wypadku. Nadmierna praca mózgowa wyczerpująco działa na mięśnie. Dr. Maggiora (cytowany przez Mossa),

egzaminując studentów, czuł nadzwyczaj silne wyczerpanie, w nocy nie mógł dobrze sypiać, a nazajutrz nie czuł się zupełnie wypoczętym. Po paru tygodniach tego trybu życia odbyło się w organizmie nagromadzenie zmęczenia, a linie ergograficzne stały się tak słabe, iż musiano zmniejszyć ciężar z 3 kilogramów na 2, aby otrzymać linię zmęczenia.

Linia zmęczenia, otrzymana po długim poście, zbliża się wielce do linii otrzymanéj po wielkiém zmęczeniu. Pomimo podobieństwa, istnieje jednak znaczna różnica: niemoc mięśnia, wywołana zagłodzeniem, znika nadzwyczaj szybko po przyjęciu pokarmu, kiedy po zmęczeniu nerwowém lub też wywołaném ruchem fizycznym, pożywienie nie wielki posiada wpływ wzmacniający. Dla wypoczynku po trzebny jest czas znacznie dłuższy, zwłaszcza zaś sen pokrzepiający.

Patrizi badał za pośrednictwem ergografu stosunek energii mięśniowéj do temperatury ciała i odkrył, że dwa te zjawiska wzrastają proporcyonalnie, gdy temperatura ciała dochodzi do swego codziennego *maximum*, wówczas siła mięśniowa jest największa. Oba te zjawiska są dowodem intensywnych przemian chemicznych, odbywających się w organizmie. Pantanetti badał na ergografie siłę mięśniową histeryków i neurasteników, Roncoroni i Diettrich podobne czynili próby nad obłąkanymi. Rossi badał wpływ trucizn nerwowych na siłę mięśni. Masaż zmęczonych mięśni sprzyja powrotowi do normalnego stanu (Maggiora); normalny mięsień wymasowany odznacza się wielką odpornością względem zmęczenia; na mięsień zaś zmęczony masaż wywiera wpływ pokrzepiający i opóźnia zjawisko ostatecznego zmęczenia.

Wynalazek ergografu otwiéra nadzwyczaj ciekawe pole badań nad zmęczeniem i nad warunkami, w jakich się to zjawisko objawia.

Obecnie w kilku słowach opiszemy główne zmiany fizyologiczne, zachodzące przy zmęczeniu ogólném, oraz podamy tę niewielką wiązankę wiadomości, jaką posiadamy o psychologii, czyli o u c z u c i u zmęczenia.

Pod wpływem silnych ruchów jesteśmy zdyszani, oddychanie zostaje przyśpieszoném. Jednocześnie serce uderza z większą szybkością, puls staje się słabym i przyśpieszonym. Głowa się rozgrzéwa, nogi ziębną, doświadczamy szumu w uszach. Zmęczenie staje się świadomém. Długo natężona uwaga męczy się w końcu, dlatego ruchy, wymagające wielkiego skupienia uwagi, męczą daleko więcéj od ruchów wykonywanych automatycznie, choć i tu uwaga jest czynną, lecz jest to uwaga nieświadoma. Oczy męczą się długiém czytaniem, gdyż wyczerpany mięsień akomodacyi odmawia posłuszeństwa. Jednym

z charakterystycznych objawów zmęczenia jest poziéwanie, dowód chwilowéj i lekkiéj anemii mózgowéj; jednocześnie istnieje dążność do wyciągania członków, co powiększa ciśnienie krwi, idącéj do mózgu i przerywa poziéwanie. Jest to nieświadomy sposób walczenia ze zmęczeniem. Niektóre osoby, dotknięte anemią mózgową, poziéwają prawie bezustanku. U wielu osób uczucie zmęczenia poprzedzone jest fazą ogólnéj ekscytacyi i rozdrażnienia; zmęczenie skłania do irytacyi. Chorzy nerwowo (neurostenicy) irytują się przy lada przyczynie. Twarz wyrazista, spojrzenie żywe, zależą w znacznéj mierze, według Mossa, od mniejszéj odporności systemu nerwowego ośrodkowego, od nerwowości, od ciągłego wyczerpania. Rozdrażnienie nerwowe jest jednym z objawów trwałego lub chwilowego zmęczenia umysłowego. Wreszcie osoby, wyczerpujące nadmiernie system nerwowy, podlegają często chorobom żołądkowym, co skłoniło Tissota do powiedzenia, iż „człowiek najwięcéj myślący jest człowiekiem najgorzéj trawiącym.”

Rozpatrzmy obecnie chemiczne zjawiska towarzyszące zmęczeniu, czyli t. zw. „chemię zmęczenia”.

Drażliwość żywéj materyi i związane z nią ruchy są jednym z objawów energii (dawniejszą nazwę „siły” zastąpiono obecnie nazwą „energii”). Odróżnić można ośm postaci energii we wszechświecie: 1) energia chemiczna (powinowactwo atomów), 2) energia międzycząsteczkowa, 3) energia mechaniczna, 4) energia grawitacyi, 5) energia ciepła, 6) energia światła, 7) elektryczność, 8) magnetyzm. Wszystkie te postaci energii są bezwątpienia objawami jednéj i téj saméj siły, wiemy bowiem, iż w naturze jedne formy energii przechodzą w drugie. Prawo zachowania energii, czyli energetyka, panuje nad całém naszém przyrodoznawstwem na równi z prawem zachowania materyi. Nigdzie we wszechświecie energia nie powstaje, ani ginie, ogólna suma energii jest ilością stałą, a jeśli wydaje się na pozór, iż pewna część siły zanika lub pozostaje, oznacza to, że energia zmieniła swoją postać. Nawet psychiczne zjawiska podległe są prawu zachowania energii.

Rozpatrując energię w organizmie zwierzęcym, spostrzegamy, iż jest ona przeważnie pochodzenia chemicznego. Życie jest funkcyą chemiczną (Lavoisier). Każdy atom posiada w sobie pewien zasób energii potencyalnéj, zwanéj powinowactwem chemicznèm, a przy połączeniu się z innym atomem siła napięcia, czyli energia potencyalna, zamienia się w czynną, i występuje na jaw w postaci ciepła, światła, pracy mechanicznéj i t. p. Energia chemiczna, wprowadzona do organizmu za pośrednictwem pokarmów, przekształca się w rozmaite inne swe postaci, dzięki którym organizm wykonywać może ruchy i pra-

cę. Przemiana materyi wyzwala uśpione siły chemiczne, a one przekształcają się w ciepło i ruch.

Przemiana materyi staje się żywszą przy pracy, jednocześnie powiększa się ilość ciepła wydzielanego przez organizm: energia chemiczna przekształca się w energię mechaniczną i termiczną.

Przy zmęczeniu posuniętém do ostatecznych granic, spostrzegamy zjawiska wprost przeciwne: porażenie, zupełną niezdolność do wykonywania ruchów, przemianę materyi słabszą.

Pierwsza hipoteza, jaka przychodzi na myśl dla wytłómaczenia zjawisk zmęczenia, to przypisywanie ich wyczerpaniu: organizm, który wyczerpał materyały, służące do przemiany materyi, nie jest w stanie dostarczyć więcéj pracy. Jeżeli wyczerpanie odgrywa pewną rolę w zmęczeniu, znaczenie jego jest jednak całkiem podrzędne, jak się o tém łatwo przekonać. Po wielkiém zmęczeniu nietyle potrzebujemy posiłku, ile wypoczynku. Czas jest najważniejszym czynnikiem do odzyskania sił utraconych.

Nadto, człowiek zmęczony, zdradza symptomaty wielce zbliżone do chorób zakaźnych: przyśpieszone oddychanie i bicie serca, podwyższenie się temperatury (t. zw. *fièvre de surmenage*), rozdraźnienie ośrodkowego systemu nerwowego, senność, brak apetytu. Nietylko bowiem bakterye posiadają zdolność wydzielania trujących substancyi, lecz nasze własne tkanki, funkcyonując nawet normalnie, wytwarzają podobne ciała. Są to substancye przeobrażenia wstecznego, bezpożyteczne całkiem dla organizmu, których się on pozbywa bądź przez wydalenie, bądź przez utlenianie. Przy pracy i zmęczeniu przemiana materyi staje się żywszą, więc i produkty rozkładu wytwarzają się w zwiększonéj ilości i nagromadziwszy się we krwi, paraliżująco działają na tkankę mięśniową i nerwową. Dlatego czas jest tak dalece niezbędnym warunkiem dla wypoczynku; organizm potrzebuje pewnego czasu, aby pozbyć się trucizn zmęczenia, bądź niszcząc je za pośrednictwem licznych gruczołów wewnętrznych, bądź utleniając, bądź wydalając je wraz z moczem. Toksyczna teorya zmęczenia posiada na swą obronę szereg wielce przekonywających faktów.

Wiemy z doświadczenia Rankego, iż żaba zmęczona przez długie działanie elektryczności, odzyskuje dawne siły i kurczliwość mięśni, jeśli jéj system krwionośny przemyć pewną ilością lekko słonéj wody. Nie dostarczyliśmy jéj żadnego pożywienia, a jednak dawna energia ruchu powróciła. Prąd słonéj wody uniósł z sobą substancye trujące, powstałe przy zmęczeniu, i tym sposobem oczyścił organizm z nagromadzonych w nim trucizn. Ten sam cytowany autor wstrzyknął zdrowéj żabie ekstraktu mięśniowego, pochodzącego z żaby zmę-

czonéj; po wstrzyknięciu żaba normalna okazywała wszystkie cechy zmęczenia. Mosso doszedł téż do wniosku, iż nie tylko mięśnie, lecz i krew zmęczonego mięśnia posiada własności trujące, wstrzyknięta zdrowemu zwierzęciu (np. psu) wywołuje u niego wszystkie objawy zmęczenia (lenistwo ruchów, przyśpieszone oddychanie i bicie serca, i t. d.) Powstałe przy zmęczeniu mięśnia trucizny, uniesione biegiem krwi, rozchodzą się po całym organizmie. To nam tłomaczy, dlaczego zmęczenie jest początkowo zjawiskiem lokalném, a następnie ogólném. Trucizny zmęczenia dostawszy się wraz z biegiem krwi do mózgu, działają z początku podniecająco na ośrodki oddychania i krążenia, i dlatego obserwujemy w téj fazie przyśpieszone oddychanie i bicie serca, lecz przy wielkiém zmęczeniu po téj pierwszéj fazie podniecenia następuje faza porażenia, śmierć przez wstrzymanie ruchu serca.

Wspominaliśmy poprzednio, iż te same przyczyny, które początkowo wywoływały ruchy i działały podniecająco na materyę żywą, przy przedłużoném trwaniu wywołują zjawiska wręcz odmienne: zanik ruchu i drażliwości, a wreszcie zupełne porażenie i śmierć. Objawy zmęczenia nie są jedynym przykładem owego stosunku między podrażnieniem a porażeniem; wraz z podniesieniem się temperatury zewnętrznéj aż do pewnych granic, zmiennych dla każdego obserwowanego gatunku zwierzęcego, drażliwość materyi żywéj wzrasta, lecz gdy przekroczyć tę granicę, wówczas drażliwość stopniowo zanika.

Trucizny zmęczenia zbliżają się w swém działaniu do narkotyków. Morfina, eter, chloroform w małych dozach albo w pierwszéj fazie swego działania w dużych dawkach działają podniecająco; następnie przychodzi faza znieczulenia i senności. Prawie wszystkie trucizny chemiczne, paraliżujące system nerwowy, podniecają go lekko w pierwszéj chwili. Nie tylko trucizny, ale wiele innych czynników, zgubnie działających na organizm i sprowadzających śmierć, działają z początku drażniąco: śmierć przez zaduszenie poprzedzona jest konwulsyami. Wstrzymany obieg krwi działa podniecająco na kurczliwość mięśniową w pierwszéj chwili. Wreszcie przed śmiercią, zanik kurczliwości mięśniowéj poprzedzony jest krótką fazą powiększania drażliwości.

Czy substancye powstałe przy zmęczeniu różnią się tylko ilościowo od tych trucizn, które organizm wytwarza w warunkach normalnych np. przy umiarkowanéj pracy, czy też różnią się od nich jakościowo? W pierwszym wypadku możnaby przypuszczać, iż przy zmęczeniu znajdują się one w nadmiernéj ilości w organizmie, który dla pozbycia się ich potrzebuje czasu. Być może jednak, iż substancye zmęczenia różnią się jakościowo od ciał wytwarzanych przy normalném funkcyono-

waniu. Mosso przypuszcza, iż mięsień nie zużywa tych samych materyałów przy ruchu umiarkowanym, jak kiedy jest zmęczony; w takim razie i produkty rozkładu mogłyby się różnić w obu wypadkach. Dodajmy wszakże, iż dopóki trucizny zmęczenia nie zostaną z całą ścisłością zanalizowane w zmęczonym mięśniu lub systemie nerwowym, dopóty o ich pochodzeniu nic stanowczego wyrzec nie będzie można. Hypoteza Mossa posiada jednak wiele cech prawdopodobieństwa. Przy zmęczeniu dziać się może zjawisko podobne, jak przy zagłodzeniu: zwierzę głodzone spożywa własne tkanki, lecz występuje tu w całéj pełni hierarchia tkanek co do ich ważności; znikają najpiérw tkanki mniéj ważne (tłuszcze), następnie mięśnie, skład zaś krwi i systemu nerwowego odśrodkowego pozostaje bez zmiany prawie do końca, wreszcie pozostałe w nich zaburzenia odżywcze są sygnałem śmierci. Przy zmęczeniu zwykłe zasoby są wyczerpane i organizm zwraca się do tych zasobów, które normalnie nie bywają naruszone.

Nie znamy dotychczas trucizn zmęczenia, ale wiemy w przybliżeniu, jakie mogą być substancye, wytwarzane przy przemianie materyi. Rozpatrywać wypada pokarmy bezazotowe i azotowe. Pokarmy bezazotowe przekształcają się prawie integralnie w kwas węglany i wodę. Kwas węglany w nadmiernéj ilości zalicza się niewątpliwie do ciał, osłabiających siłę mięśniową i nerwową. Według Mossa, przyśpieszone oddychanie przy zmęczeniu ma nie tyle na celu dostarczenie organizmowi potrzebnego mu naddatkowego tlenu, ile wydalenie przez płuca powiększonéj ilości kwasu węglanego. Przez długi czas mniemano, iż kwas mleczny (pochodzący również ze wstecznego przeobrażenia ciał bezatowych) nagromadzający się w zmęczonych mięśniach jest przyczyną zmęczenia. Istotnie, zmęczony mięsień posiada reakcyę kwaśną (Dubois-Reymond). Jednakże ani kwas węglany, ani kwas mleczny nie mogą być uważane za jedyne trucizny zmęczenia. Ten ostatni nawet zgoła nie wywołuje paraliżującego wpływu. Prawdopodobnie trucizn zmęczenia szukać należy między substancyami dezasymilacyi ciał białkowych, jedynie ciała azotowe dostarczają silnych trucizn w swym rozkładzie.

Do substancyi wstecznego przeobrażenia się ciał białkowatych zaliczają się leukomainy i toksyny-fermenty. Ptomainy nie mogą tu odgrywać żadnéj roli, gdyż wytwarzają się po śmierci pod wpływem mikrobów. Leukomainy i toksyny-fermenty są silnemi truciznami, łatwo więc pojąć, iż gdy powstają w zwiększonéj cokolwiek ilości, mogą być przyczyną zgubnych następstw. Mięsień zmęczony zawiéra w sobie niewątpliwie jakieś nowo-powstałe ciała stałe lub płynne. Np. substancye rozpuszczalne w alkoholu zwiększają się w zmęczonym mię-

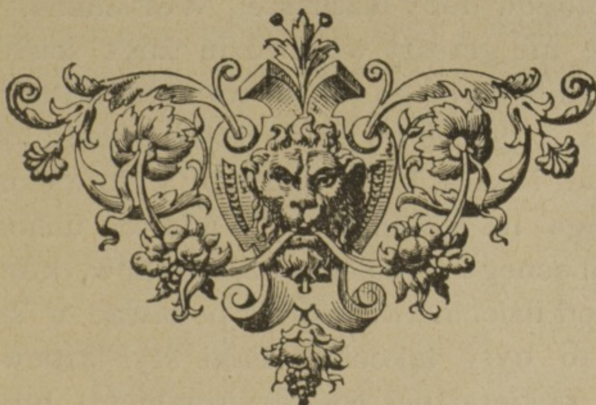
śniu; jeśli przed zmęczeniem były 1, po zmęczeniu stanowią 1,3 (Helmholtz). Leukomainy i fermenty trujące powstają, jak wiadomo, przy dezasymilacyi ciał białkowych, są więc niedostatecznie utlenione i pod wpływem tlenu tracą swe własności trujące. Otóż niedawnemi czasy, Abelous, profesor z Tuluzy, analizą chemiczną odkrył w zmęczonym mięśniu obecność ciał niedostatecznie utlenionych, posiadających zdolność łączenia się z tlenem. Tenże sam autor doszedł doświadczalną drogą do wniosku, iż jeśli ekstrakt zmęczonego mięśnia poddać działaniu ciał utleniających (np. pod wpływem nadmanganu potasu), wówczas ekstrakt ten wstrzyknięty innemu zwierzęciu zachowuje się całkiem biernie. Z doświadczeń tych wyciągnąć możemy wniosek, iż trucizny zmęczenia posiadają wiele wspólnych cech z leukomainami.

Dotychczas mówiliśmy głównie o zmęczeniu. Na zakończenie zamierzamy rozpatrzéć warunki, w jakich odbywać się może wypoczynek mięśnia. Po najsilniejszém nawet zmęczeniu powracamy do pierwotnych sił po pewnym czasie wypoczynku. Czas niezbędny dla wypoczynku może być jednak znacznie skrócony przez użycie masażu, jak o tém wspominaliśmy powyżéj. Wpływ masażu jest zapewne wielce skomplikowany, lecz niewątpliwie ważną tu odgrywa rolę powiększone utlenianie tkanek, jakie odbywa się przy masażu. Tlen w wysokim stopniu sprzyja odzyskaniu kurczliwości. Mięsień żaby zmęczony do ostatka odzyskuje kurczliwość, gdy wstrzyknąć do tętnicy cokolwiek krwi utlenionéj lub nadmanganu potasu (Kronecker). Podobne doświadczenia czyniono również nad mięśniami psa. Z góry możnaby przewidywać, iż tlen posiadać powinien zbawienny wpływ na zmęczenie, albowiem szkodliwe ciała, powstałe przy przemianie materyi, mało są utlenione i pod działaniem tlenu tracą swe własności trujące. Jedynie droga doświadczalna mogła wszakże roztrzygnąć tę kwestyę. Wszystkie wyżéj wymienione doświadczenia nad zmęczeniem czynione były na mięśniach otrzymujących krew dzięki krążeniu. W tych warunkach mięsień zmęczony odzyskuje dawną kurczliwość, albowiem krew tętnicza przynosi mu materyały pożywne i tlen, zaś krew żylna unosi produkty rozkładu. Co jednak dziać się będzie po wyjęciu serca? Czy mięsień zmęczony odzyska po wypoczynku dawną kurczliwość?

Otóż otrzymane rezultaty, wydające się na pozór paradoksem, w niczém nie sprzeciwiają się znanym ogólnie prawom zmęczenia, a nawet poświadczają takowe, jak to wnet zobaczymy: mięsień zwierzęcia o wyjętém sercu (np. żaby) a nawet mięsień oddzielony od ciała (np. kleszcze raka) po zmęczeniu i wypoczynku odzyskuje w znacznéj części dawną kurczliwość (po szczegóły odsyłamy do naszéj pracy:

„La fatigue et la respiration elémentaire du muscle." Paryż, 1896). Widzimy jasno z tego doświadczenia, iż zmęczenie nie jest wywołane brakiem pożywnych materyałów, w braku bowiem krążenia, krew nie przyniosła mięśniom nowych zasobów. Zasoby te czerpał on z własnéj substancyi. Krew, nie mając dostępu do mięśnia, nie mogła mu również udzielić potrzebnego tlenu. Lecz mięsień, wystawiony na działanie powietrza, czerpał tlen z otaczającéj atmosfery dzięki pierwiastkowemu oddychaniu. Nie materyały pożywne, udzielane mu w normalnych warunkach przez krążenie krwi, nie tlen dostarczany mu przez czerwone ciałka krwi, były odżywiającemi czynnikami dla zmęczonego mięśnia, lecz dzieła tego dokonał tlen atmosferyczny. Jako dowód posłużyć może nasze następne doświadczenie: mięsień bez krążenia krwi zmęczony pod kloszem z wodorem traci swą kurczliwość nieodwołalnie. Choćbyśmy czekali kilka godzin, kilkakrotnie próbowali go drażnić prądem elektrycznym, mięsień pozostanie nieruchomy. Lecz wpuśćmy cokolwiek tlenu pod klosz przez tę samą kauczukową rurkę, która służyła początkowo dla wprowadzenia wodoru, a będziemy świadkami silnych i energicznych ruchów mięśnia. W tym wypadku nie żadna inna okoliczność, lecz jedynie obecność tlenu była przyczyną odzyskania dawnéj energii.

Dr. med. Józefa Joteyko.



CZYNNIKI ROZWOJU.

Beniamin Kidd. „Social Evolution“.

Książka Beniamina Kidda *Social evolution*, poświęcona przedstawieniu czynników rozwoju społecznego, narobiła dużo wrzawy najprzód w Anglii i Stanach Zjednoczonych, obecnie zaś w Niemczech, gdzie ukazała się poprzedzona przedmową jednego z najwybitniejszych biologów doby dzisiejszéj, Weissmana. Napisana gładko i potoczysto, nie grzeszy wprawdzie zbyt ścisłém powiązaniem myśli, ale za to nie wymaga także wysiłku od czytelnika. Autor pisze lekko, t. j. ślizga się po powierzchni przedmiotu, powtarza to co już powiedział, i rzecz, którą możnaby było wyłożyć na kilku arkuszach, rozciąga na kilkunastu. Wada to, uchodząca za zaletę w rozumieniu obecnego pokolenia czytelników, którym nawet naukę i obowiązki od dzieciństwa usiłują podawać w sposób niemęczący, jak gdyby to były łakocie. Taki styl zapewnia powodzenie każdéj książce, zawierającéj coś oryginalnego lub, co ważniejsza, paradoksalnego. Kidd zaś niewątpliwie posiada te przymioty. Zasadnicza myśl jego wywodów jest świeża niezaprzeczenie: zbrojny pozornie w założenia biologii nowoczesnéj, usiłuje dowieść szkodliwości rozumu, skoro ten pierwiastek trzeźwości i krytyki rozpanoszy się w życiu gromadném i zacznie rościć pretensyę do uchodzenia za probierz, rozstrzygający w sprawach społecznych.

Od czasów racyonalizmu przeszłowiecznego, gdy obwołano rozum za instancyę, wydobywającą z wnętrza swego bezwzględne prawdy i ideały społeczne, przedziela nas całe stulecie, obfite w doświadczenia, rozczarowania i analizę. Wiemy dzisiaj, że warunki miejsca i czasu — pęta historyczne — trzymają na uwięzi nawet najśmielsze poloty fantazyi społecznéj. Naszym ideałom przyznajemy wartość tylko względną, jako środkom rozwiązania zawikłań współczesnych i niedomagań, które załatwione wydadzą na świat nowe zagadnienia. Ale przyznać względność rozumu, nie znaczy jeszcze zrzec się jego przodownictwa. Rzecz cała, że nie będzie to olbrzymie ognisko światła, ale wątły kaganek, jednak mimo wątłości swojéj rozpraszający mroki, wśród których brniemy my, rzecznicy przyszłości!

B. Kidd zaprzecza właśnie pożyteczności nawet kaganka, który, jego zdaniem, jeśli nie zrządza szkód głębokich, to tylko dlatego, ponieważ wydaje małe światełko. Gdyby zaś stał się pochodnią, rzucającą naokół rzęsiste snopy promieni i ciepła, byłaby to klęska nie do powetowania. Jak lód na słońcu wiosenném, tak samo biédne społeczeństwo stopniałoby i rozprzęgłoby się pod żarem jego dotknięć...

Weissman napisał gorącą przedmowę do przekładu „Ewolucyi społecznéj" na język niemiecki, popierając powagą swego imienia wywody Anglika. I nie dziw, Kidd oparł bowiem swoje zaciekania na teoryi tylko co wymienionego biologa. Teza ta głosi, że cechy organiczne, nabyte podczas żywota indywidualnego rodziców, nie przechodzą na potomków, nowe zaś typy i kształty, ukazujące się w potoku ogniw zmienności, są wytworem szczęśliwéj kombinacyi cech ojca i matki, właściwych im od urodzenia. Przyroda stwarza wciąż odmienne kombinacye w niezliczonych odmianach, lecz z pośród nich utrzymuje przy istnieniu tylko najdoskonalsze. Z tysięcy kształtów, przychodzących na świat, tylko dziesiątki dożywają okręgu dojrzałości. Ażeby znaleść zaś miejsce na uczcie życia, muszą one przedostać się tam po stosach trupów, które poległy, dobijając się o udział. Dotychczasowy postęp świata organicznego został okupiony ogromnemi ofiarami, i w przyszłości będzie posuwał się tylko wtedy, gdy będzie miał materyał do dokonywania doboru. W tém ciągłém stawaniu się i doskonaleniu zjawiło się z biegiem czasu pewne stworzenie, uposażone dwoma, nieznanymi przedtém, przymiotami: inteligencyą i uczuciami społecznemi. Był to człowiek. Ewolucya, polegająca na walce wzajemnéj o byt, przybrała naówczas nowy charakter. Atoli, ażeby wydała ona następstwa

dodatnie, musi istnieć nadmiar współzawodników, z pośród których tylko najdoskonalszym przysługiwałaby możliwość pozostawienia potomstwa.

Pisarz angielski, poddając rozbiorowi objawy walki o byt w łonie ludzkości, miesza nawzajem rzeczy zgoła odmienne: zapasy pomiędzy pojedyńczemi osobami w granicach téj saméj gromady społecznéj, oraz te, które toczą się pomiędzy odrębnemi społeczeństwami. Skończywszy mówić o jednéj, wnioski, tam wysnute, stosuje później do drugiéj, a sprawiwszy zamęt w umyśle czytelnika, któremu nowe prawdy kładzie na pozór łopatą do głowy tak, iż ten mniema, iż wszystko rozumié, i nie zdoła połapać się w plątaninie, otrzymuje czego pragnął. Na razie, w początkowych ustępach, chodzi Kiddowi o walkę wzajemną pomiędzy narodami. Wojna, jego zdaniem, stanowi wielką zasadę bytu pierwotnego. Dzikie plemiona mordowały się nawzajem i tępiły. Tylko te utrzymały się na widowni bytu narodowego, które z całą dokładnością w życiu gromadném urzeczywistniły typ militarny stosunku społecznego: centralizacyę bezwzględną władzy, ślepe posłuszeństwo dla jéj rozkazów, animusz wojowniczy połączony z odwagą. Jednostki ginęły spętane takim uściskiem, cierpiały lub poświęcały dobrowolnie własne szczęście na ołtarzu dobra publicznego, które pojmowały ze stanowiska obozu-wojska. Inne przymioty i łaknienia, zwłaszcza głosy natury indywidualnéj, pragnące wyzwolić osobowość ludzką z pod tresury gromadnéj, były tam zbyteczne, szkodliwe dla plemienia, niekorzystne nawet dla samych malkontentów, bo ściągające na nich karę. W walce takiéj zwyciężały szczepy najenergiczniejsze, co przyczyniło się do zapewnienia bytu jednostkom najdoskonalszym — skok logiczny, który wtedy byłby właściwy, gdyby Kidd dowiódł, iż ręka w rękę z wzrostem potęgi pewnego narodu szło jednocześnie doskonalenie jego członków. Zapasy wzajemne ciągną się i obecnie — autor angielski zastanawia się od pewnego ustępu książki tylko nad objawami walki pomiędzy poszczególnemi osobami, występującéj jako współzawodnictwo ekonomiczne i nie wiąże tych wywodów z poprzedniemi. Ludzie rywalizują nawzajem o zarobek i pracę, o rynki lub stanowisko, w tych zaś utarczkach „gorsi" giną, „doskonalsi" pozostają. I nadal postęp będzie odbywał się w taki sam sposób, t. j. drogą walki wzajemnéj — pomiędzy jednostkami w narodzie i narodami. Usunięcie współzawodnictwa i oparcie więzi społecznéj na solidarności doprowadziłyby ród ludzki do zwyrodnienia i znikczemnienia. Dla wzrostu dzielności potrzebna jest walka, oraz nadmiar rywalów, tak, ażeby dobór w dzia-

łaniu żywiołowém miał jak najwięcéj rozmachu. Jedynie należałoby życzyć, ażeby walczący rozporządzali jednakiemi szansami, t. j. żaden z pośród nich nie zajmował stanowiska nie zasłużonego, zdobytego nie własną zapobiegliwością, lecz skutkiem przywileju urodzenia.

Walka to ciężka, nieustająca! W ciągu wieków pojedyńczy członek społeczeństwa musiał wyrzekać się zaspokojenia instynktów, które szkodziły rozwojowi gromady i zapewnieniu jéj zwycięstwa nad innemi, oraz poświęcać własne interesy na ołtarzu ogólnych. Winien on był w naprężeniu trzymać siły swoje i czuwać, ażeby ktoś nie ubiegł go i nie pozbawił owoców skrzętności, co więcéj, uważać taki porządek rzeczy za najmoralniejszy. Dobór, dla uwydatnienia swojéj pożyteczności, wymagał, ażeby tysiące przychodziły na świat tam, gdzie było miejsca zaledwie dla setek, ażeby nawet wybrani czuli cały ciężar wyścigów wzajemnych, mając tylko jedno zadowolenie, to mianowicie, iż zdołali przekazać dalszym pokoleniom przymioty fizyczne i duchowe. Nie dziw więc, że istota, obdarzona rozumem, jaką jest człowiek, zaczyna rozmyślać nad przekleństwem, które przygniata ją, zużywa przedwcześnie siły i pozbawia spokoju. Żywiołowe, kapryśne potęgi przyrody społecznéj, których działanie ostateczne bywa ukryte nietylko przed wzrokiem pojedyńczych osób, lecz nawet całych pokoleń, których pożytek jest zaćmiony i nawet obojętny dla kogoś, bo obliczony na daleką przyszłość,—potęgi te, oddane pod sąd rozumu, nie wytrzymują krytyki. Ów analityk nie odnajdzie w nich ani źdźbła racyonalności. Instynkty, zrodzone pod wpływem walki o byt i jaknajpożyteczniejsze dla interesów narodu, uzna on za dzikie lub tylko zwężające pełnię życia indywidualnego.

Kobiéta istnieje nie po to, ażeby doskonaliła własną indywidualność, lecz ażeby wydawała w nadmiarze na świat nowych przedstawicieli gatunku: im będzie ich więcéj, tém bardziéj zażartém stanie się współzawodnictwo i tém dodatniejszymi okażą się rezultaty. Jéj interesy umysłowe, jéj chęć użycia darów natury, chociażby najgodziwszego, o ile wchodzą w antagonizm z głównem zadaniem organizmu żeńskiego, są zjawiskiem antyspołecznem. Rozum przyznaje słuszność jéj aspiracyom do wiedzy i do szerszego życia i surowéj chłoście poddaje tych, którzy w niéj pragnęliby widziéć tylko maszynę do płodzenia dzieci, jak być powinno. Istotne skutki emancypacyi, odbywającéj się pod opieką „myśli krytycznéj”, są jak najfatalniejsze: liczba dzieci przychodzących na świat wśród inteligencyi spada, rodzice wolą sami zakosztować życia, niż

pracować dla utrzymania zwiększonéj rodziny. Dobór ma coraz węższą widownię działania!

Rozum także stawa po stronie warstw pokrzywdzonych. Nędza jest mierzwą, którą użyzniona gleba dziejów pokryje się kiedyś w przyszłości bujnym plonem. Ale jednostka buntuje się przeciw konieczności i poddaje krytyce niedorzeczność takiego stanu rzeczy, rozum zaś jest instancyą, do któréj odwoływa się indywiduum, uginające się pod ciężarem obowiązków rozwojowych. Doszło do tego, że powątpiewają dzisiaj o pożyteczności nawet saméj walki o byt! Mówią o solidarności wzajemnéj pracowników, o zrzeszeniu wysiłków i regulowaniu produkcyi przez świadomę czynów swoich a zorganizowaną wolę społeczną! Tak, są rzeczy, niewytrzymujące dotknięcia ze strony rozumu, lecz swoją drogą pożyteczne dla przyszłych pokoleń: wolna konkurencya jest szkołą dzielności i energii.

Pierwiastek krytyczny występuje zawsze w takim charakterze, t. j. jako buntownik, nie dbający o przyszłość narodu i tylko poszukujący słuszności pewnych zjawisk ze stanowiska interesu indywidualnego albo klasowego, nigdy zaś ogólno-społecznego. Rozum w swojem działaniu jest czynnikiem natury anty-społecznéj, fermentem, jedynie rozsprzęgającym więź istniejącą, lecz nie przyczyniającym się ani do utrwalenia poczucia obowiązków ani do zwycięstwa, w dalszéj przyszłości, żywiołów eugenistycznych. Zwalczać ten pierwiastek przewrotowy i rozkładowy za pomocą argumentów jest rzeczą daremną, słuszność bowiem logiczna będzie zawsze po jego stronie i żadne rozumowane przesłanki nie zdołają podkopać téj prawdy, że wolna konkurencya np. przedwcześnie wyniszcza organizmy, iż wysiłek, idący na wychowanie dzieci, osłabia napięcie życia indywidualnego rodziców.

Mówiąc, że zdaniem B. Kidd'a wiedza, gdyby stała się ogniskiem światła, rozprzęgłaby więź społeczną, mieliśmy właśnie na myśli tylko co przytoczone jego poglądy.

Działanie myśli krytycznéj, gdyby ogarnęło całe społeczeństwo, wydałoby skutki jak najgorsze. Oparte na wymaganiach rozumu, życie gromadne rozłożyłoby się. Zamiast instynktów, dążących do zapewnienia przyszłości życiu narodowemu, wzięłyby górę chuci indywidualne, samolubne, dbające tylko o zaspokojenie łaknień pojedyńczéj osoby lub żyjącego pokolenia. Słowem, pomiędzy widnokręgami jednostki a interesami gromady istnieje antagonizm nieprzejednany, którego nie zamaskują żadne wywody ani dalszy

rozwój nie zniesie. Pozostawiona saméj sobie i kierująca się światłem rozumu, pojedyńcza osoba puściłaby wolne cugle popędom jaknajszkodliwszym i poświęciłaby dzielność przyszłych pokoleń, byleby uszczęśliwić istniejące. Musiały więc powstać pewne pęta, któreby okiełzały samowolę jednostki i egoizm warstw całych. Rzecz oczywista, nie mogą się one, t. j. owe powściągi, opiérać na sankcyi, dostarczanéj przez rozum, bo takiéj nigdy nie otrzymają, lecz winny czerpać siłę w sferze transcendentalnéj, nadprzyrodzonéj. Takim czynnikiem społecznym jest religia, któréj doniosłość zresztą B. Kidd rozważa tylko ze stanowiska spójni, wiążącéj gromady społeczne, powstrzymującéj wybryki jednostki, zmuszającéj ją do poświęcenia łaknień indywidualnych na korzyść przyszłych pokoleń i nakładającéj na ten pierwiastek niesforności różne zobowiązania. W każdéj więzi społecznéj istnieje zbiór przepisów i zapowiedzi moralnych, które rozkazują pojedynczéj osobie zapominać o tém, co przypadałoby do gustu jéj pożądaniom, krępują jéj postępki i zniewalają do cierpliwości wobec krzywd doznawanych, do wyrzekania się własnéj przyjemności, gdy chodzi o zapewnienie danéj gromadzie społecznéj zwycięstwa w walce o byt lub o danie dostępu na ucztę życia typom wyższym (z punktu widzenia zapasów wzajemnych). Ogół tych przykazań, nie grzeszących bynajmniéj charakterem utylitarnym, prysnąłby pod dotknięciem nieubłaganéj analizy rozumu, istnieje zaś, ponieważ jest pod osłoną powagi religijnéj. Społeczeństwo trzyma się tylko taką spójnią, bo innéj nie ma i nawet mieć nie może. Każdy ustęp dziejów ludzkości, zamknięty i skończony, a zatém cywilizacya grecka, średniowieczna, nowoczesna, to *sui generis* organizmy idejowe, polegające na rozwoju wniosków, które tkwią w pewném założeniu etyczno-religijném lub w pewnéj liczbie takich założeń, powiązanych nawzajem. Ci którzy mniemają, że kiedyś w przyszłości rozum stanie się podstawą życia gromadnego, błądzą, bo nie uprzytomniają sobie istoty więzi społecznéj, nie mogącéj w żaden sposób obejść się bez sankcyi nadprzyrodzonéj. Mylą się także ci, co, jak Herbert Spencer, usiłują dowieść, iż nauka z religią pogodzą się w przyszłości w wyższéj syntezie. Albowiem pomiędzy interesami jednostki a gromady, chęcią wytchnięcia po walce a jéj pożytecznością dla narodu nie ma i być nie może pojednania. Sprzeczność wzajemna jest zasadnicza. Wypływa ona z tego, iż dobór ażeby uwydatnić działalność dodatnią i stworzyć wyższe typy i charaktery, wymaga systematycznego przychodzenia na świat milionów okazów a wytrwania w walce o byt tylko setek, oraz przekazania przez nich przymiotów

swoich dalekim potomkom. Więź społeczna to właśnie sformułowanie zasad takiego doboru, rozum zaś jest obrońcą interesów jednostki, zagrożonéj, że zginie w odmęcie walki lub będzie pozbawiona możliwości zaspokojenia popędów indywidualnych.

Taka jest zasadnicza treść wywodów publicysty angielskiego, bo jakoś nie odważamy się nadać mu nazwy socyologa. Przedstawiliśmy tylko punkty wytyczne, nie dotykając innych stron „Ewolucyi społecznéj.” Nadmienimy jednak, iż Kidd niekiedy wprost gwałci fakty, ażeby dowiéść tezy swojéj. Trudno dojrzéć tego w naszém przedstawieniu, w którém trzeba było dać tylko zasadniczy wątek wywodów czyichś. Nie będziemy téż rozpatrywali dowodzeń Kidda w ich całéj rozciągłości i poprzestaniemy tylko na jednym punkcie, mianowicie na działaniu doboru naturalnego w rodzie ludzkim.

II.

Na dowód, że doskonalenie się umysłowe człowieka jest dla życia społecznego rzeczą tak pożyteczną, jak powszechnie mniemają, i że punkt ciężkości rozwoju gromadnego spoczywa gdzieindziéj, Kidd usiłuje dowiéść, iż postęp umysłowy nie dotrzymuje kroku postępowi techniki.

„Pełniejsza znajomość i dokładniejsze metody badania—pisze autor angielski — jedynie mogą potwierdzić, że co do przeciętnego rozwoju umysłowego nie stoimy wyżéj, lecz raczéj niżéj w zestawieniu z ludami starożytności, które tak doszczętnie zostały wyrzucone z widowni walki o byt. Rozważani z punktu uzdolnień umysłowych, my, Europejczycy doby dzisiejszéj, których w taki niezwykły sposób dobór naturalny przeznaczył do odegrania przewodniéj roli w historyi, nie mamy żadnego prawa uważać siebie za wyższych nad Greków starożytnych—mimo całego niezwykłego postępu i obietnic życia nowoczesnego!”

Myśl to niewątpliwie trafna! Co do nas, w naszych twierdzeniach poszlibyśmy jeszcze daléj, bo skłaniamy się do poglądu, iż postęp antropologiczny, t. j. wzrost dzielności fizycznéj i umysłowéj człowieka, jest objawem zgoła niezależnym od rozwoju techniki i nawet nagromadzenia skarbów wiedzy. Rozkazujemy siłom przyrody, zmusiliśmy je do wykonywania naszych poleceń, wymierzyliśmy przestwory planetarne, słowem daleko wybiegliśmy po za zwyczaje naszych przodków, jednak pod względem przymiotów ducha i ciała pozostaliśmy niekiedy po za nimi.

Zacznijmy od strony fizycznéj.

Porównywając siły fizyczne pokolenia obecnego z tężyzną dawnych wieków, dochodzimy do wniosków, które brzmią bardzo niekorzystnie dla naszéj cywilizacyi. Nie tylko mamy gorzéj rozwinięte mięśnie, lecz nadto odznaczamy się mniejszą wytrzymałością na trudy i mozoły. Cywilizacya komfortem swoim zniżyła odporność ciała! Zwyrodnienie to jest tak widoczne, iż nawet w przekonaniu kół szerszych stało się wprost jednym z tych zdawkowych poglądów, które krążą niby wytarte liczmany.

Ale znikczemnienie nie ogranicza się tylko stronę fizyczną.

Upadkowi fizycznemu towarzyszy, zdaje się, podobny objaw w sferze charakteru: narody cywilizowane są uboższe w temperamenty gorące, stanowcze, przedsiębiercze. Trudno będzie dowieść téj tezy w sposób ścisły, ale swoją drogą, skoro uwzględnimy pewne fakta, porównamy nawzajem dalekie epoki rozwoju społecznego, naówczas twierdzenie nasze stanie się dość prawdopodobném. Na korzyść tego poglądu przemawia natura doborów, odbywających się w okresie cywilizacyi. Przedsiębierczość ducha stanowi zaletę, któréj nie nabywamy w życiu indywidualném, tylko odziedziczamy po przodkach. Tymczasem dzieje społeczeństw z okresu cywilizacyi polegają na wzajemném tępieniu się tężyzny antropologicznéj. Historya konwencyi, któréj oba wierzchołki, górale i żyrondyści, zginęły wśród zapasów, bagno zaś milczało i ostało się, gdy olbrzymi polegli, przedstawia poniekąd obraz tego, co odbywa się i odbywało w ciągu wieków, które związały człowieka osiadłym trybem życia i zamknęły ucieczkę na puste, niezajęte terytorya, jak to bywa u barbarzyńców, zwyciężonych w walce domowéj. Usiłujemy tłomaczyć chwiejność pokoleń obecnych działaniem pierwiastków umysłowych, „analizą." Niewątpliwie czynnik ów zaważył, ale przyczyna jest głębsza.

Jeszcze trudniéj udowodnić słuszność innego twierdzenia, mianowicie, iż nawet nasze uzdolnienia umysłowe nie podniosły się, przecięciowo, po nad poziom barbarzyństwa. Co więcéj, istnieją fakta, świadczące, iż może one spadły: mamy dzisiaj wiele wierzchołków wyniosłych, jakich ongi nie było, ale za to otchłanie są tak przeraźliwie szerokie i głębokie... Pewne objawy zmusiły kilku antropologów, nawet bardzo wybitne stanowisko zajmujących w nauce, takich którzy acz sumiennie liczą się z faktami, mają przecież odwagę wygłoszenia swego zdania, do wypowiedzenia twierdzenia, iż cywilizacya sprowadziła zniżkę wagi mózgu. W liczbie

ich znajdował się Paweł Broca, który napisał specyalną rozprawę o takiem ujemném działaniu rozwoju dziejowego na mózg. I w rzeczy saméj, jeśli zestawić kmiecia naszego z w. VIII — IX z włościaninem dzisiejszym, doprawdy nie spostrzegam przyczyny, dla któréj ten ostatni miałby posiadać umysł subtelniejszy. Raczéj gotów jestem spodziewać się niższości mózgowéj u przedstawiciela naszego wieku, bo osiadły tryb życia na niewielkim zagonie i nieodłączna od niego rutyna życia bynajmniéj nie sprzyjają zaostrzeniu zmysłu intelektualnego. I nawet jeśli porównamy Leibnitzów i Newtonów, którzy w działalności swojéj umysłowéj rozporządzali zasobem faktów, z tworami myśli Arystotelesa i Platona, po omacku szukających prawdy, naówczas wielkość znakomitości nowoczesnych zmniejszy się znacznie. Jak malec na szczudłach zamienia się na olbrzyma, tak nieraz mierne zdolności przy pracowitości i skrzętności, na podłożu doświadczenia dziejowego, dokonywają wielkich odkryć. „Trzeba nie zbyt wielkiego wysiłku — pisze Kidd — ażeby pojąć, iż cudowne zdobycze czasów nowożytnych służyć powinny przedewszystkiém za miarę stateczności i wydajności społecznéj ludów, które ich dokonały, nie zaś wyższości umysłowéj. Nie wymagają one od nas niezwykłych uzdolnień umysłowych, nie stanowią bowiem olbrzymiego rezultatu działalności duchów indywidualnych, lecz są płodem drobnych przyczynków wiedzy, uskuteczniany ch zwolna i z mozołem i dodawanych przez pracę wielu umysłów w ciągu nieskończonego pasma ubiegłych pokoleń. Każdy przyczynek do skarbca wiedzy pociąga za sobą coraz łatwiejsze dodanie dalszych. Nawet o umysłach, które dodały wielkie odkrycia do ogólnego zasobu już nagromadzonych wiadomości, nie mamy prawa twierdzić, ażeby olbrzymia przepaść intelektualna, właściwa każdemu dziełu, niezależnie poczętemu, oddzielała je od poziomu przeciętnego lub od umysłów ludów innéj rasy i niższego szczebla kultury."

Powyższe uwagi, luźnie wypowiedziane, bo udowadnianie ich słuszności zaprowadziłoby nas za daleko (przytém nigdy nie może ono odznaczać się należytą ścisłością), świadczą nie tylko, że rozwój zdolności umysłowych nie idzie w parze z postępem techniki, ale nadto że przebiegi antropologiczne, odbywające się w łonie postępowych szczepów rodu ludzkiego, nie zawsze posuwają się w kierunku dodatnim. Wraz z takiem postawieniem kwestyi nastręcza się pytanie, o ile dobór naturalny można uważać za czynnik, wydający jedynie pożyteczne i doskonałe skutki, jak Kidd twierdzi.

Nie ulega żadnéj wątpliwości, że dobór jest wszechpotężną dźwignią w rozwoju nie tylko świata organicznego, lecz także życia gromadnego. Nie łudźmy się, ażeby postęp był kiedykolwiek udziałem wszystkich członków narodu, t. j. postęp antropologiczny, polegający na wzroście uzdolnień, na zaniku szkodliwych instynktów i rozpowszechnieniu energii woli i stanowczego charakteru. „Transmutacya" jest terminem książkowym, którego życie nie zna. Wyobraźmy sobie pole, zasiane zbożem: przebieg transmutacyjny polegałby na tém, że każde ziarnko równomiernie wydawałoby kiełki, te zaś jednostajnie wzrastałyby. Tymczasem w rzeczywistości dzieje się inaczéj, tylko niektóre kiełki pną się ku górze i odbierają pokarm innym, które wycieńczone zwolna obumierają. Odbywa się dobór. I tak samo, drogą doborów, rozwijał się ród ludzki dotychczas. Wszelki rozwój, zarówno dodatni jak i ujemny, polegał na tém, że pod wpływem warunków bytu dobory przybierały odpowiedni charakter: osoby, odznaczające się pewnymi przymiotami, posiadały więcéj szans utrzymania się przy życiu i przekazania zalet swoich lub przywar dalekim pokoleniom. Maszyna społeczna działała żywiołowo, systematycznie odrzucając pewne wióry—temperamenty nieodpowiednie dla danéj chwili historycznéj. W pewnéj epoce sprzyja ona rozrostowi przymiotów dodatnich, w innéj oddziaływa szkodliwie, bo usuwa typy doskonalsze umysłu, uczucia i woli, niekiedy pozostawia je, lecz zato w przyśpieszoném tempie mnoży pierwiastki ujemne, znikczemniałe. Dość będzie porównać nawzajem dwie epoki: cywilizacyą tegoczesną z barbarzyństwem czerwonoskórych, co do ćwiczenia hartu ducha. Malec indyjski wzrasta w nieustającem doskonaleniu woli swojéj. Każdy czyn otoczenia, wszelki morał, jaki słyszy, nawet zabawy wpajają w niego pojęcie godności osobistéj, polegające na pogardzie dla cierpień i niedostatku. Dwoje dzieci bierze się za ręce na krzyż, kładą w pośrodku na dłonie zarzący węgiel: chodzi o to, który malec dłużéj zniesie ból! Gdy nadchodzi chwila dojrzałości męskiéj, wprost okrutne doświadczenia czekają wyrostka: ażeby dowieść swego hartu, wiesza siebie za żebro na haku, przeciąga sznury przez mięśnie i każe siebie za nie ciągnąć, pości całemi tygodniami. Słabi i chorowici przypłacają śmiercią tę szkołę wytrzymałości, starsze zaś pokolenie nawet nie zapłacze po nich—niedołęgi są niepotrzebne w plemieniu! Biada zaś temu, który ulęknie się! Wygania się go na zawsze z towarzystwa mężczyzn. Przebrany w suknie kobiece, nie tylko nigdy nie będzie miał żony, ale nadto musi spełniać obowiązki nierządnicy plemiennéj — zwyczaj ohydny, ale powszechny

wśród ludów barbarzyńskich i słynący niegdyś pod nazwą scytyjskiego. Losy łamały czerwonoskórego, lecz nie gięły, te zaś niedobitki, które poddały się cywilizacyi europejskiéj, były wprost mętami społecznemi. W takiém otoczeniu typy słabe, szczycące się „walką wewnętrzną" i „analizą", tak bujnie spotykane na gruncie cywilizacyi europejskiéj, nie miały możności ukazania się i nawet przyjścia na świat.

Dobór, jak z powyższego widzimy, był dotychczas w dziejach rodu ludzkiego siłą przyrodzoną i jak wszelka siła ślepa, działał żywiołowo, t. j. niósł z dodatniemi rezultatami skutki jak najujemniejsze. Niektórzy biologowie robią z niego coś w rodzaju nietykalnego, ubóstwianego fetysza, przed którym nisko pochylają głowy, złorzecząc każdemu, kto trzeźwiejszém okiem patrzy na tę sprężynę rozwoju organicznego i bada ją przedmiotowo, nie jako cielca kultu, ale jako zwykłe zjawisko. Do nich należy Kidd, niepomny, że nawet w świecie jestestw organicznych dobór naturalny nie zawsze posuwa organizmy naprzód, lecz często je cofa wstecz i znieprawia. Dość będzie wziąć powszechnie znany fakt pasożytnictwa. Młode stworzonko, ruchliwe i obdarzone doskonałymi zmysłami, sadowi się na innym organizmie, zmysły jego zanikają powoli i ono samo przekształca się na torebkę nasienną i organ trawienia. Ten rozwój ontogenetyczny niektórych pasożytów jest tylko powtórzeniem dziejów gatunku. Istniał ongi pewien gatunek. Z biegiem czasu, gdy powstały wyższe organizmy, znajdował on na nich bezpieczne schronienie. Rozpoczyna się odtąd upadek jego dzielności organicznéj. W zmienionych warunkach bytu, jednostki, które nie przystosowały się, giną, pozostają te, które dopasowały się,—niższe, znikczemniałe. Walka o byt w gruncie rzeczy nie tłómaczy nam postępu, ale tylko wytrwanie pewnych kształtów, jest ona nie dźwignią jedynie dodatnią, ale regulatorem, usuwającym jestestwa, nieprzystosowane do otoczenia. Nie możemy nic więcéj oczekiwać od niéj. Działa ona tak, jak każą jéj zmienione warunki bytu. I w społeczeństwie ludzkiém zachowywa się ona nie inaczéj, jest sprężyną, działającą czasami w duchu dodatnim, to znowu w ujemnym. Kidd widzi w niéj tylko strony dodatnie, mniema bowiem, że lepsi wyjdą z walki jako zwycięzcy. Gotów on z tego powodu poświęcić jednostkę, jéj aspiracye i łaknienia na ołtarzu dobra publicznego, gatunkowego. Miesza on wogóle ewolucyę z postępem, co zresztą stanowi grzéch aż nazbyt częsty.

Skąd jednak wypływa ów kult dla doboru i to widzenie w nim tylko stron dodatnich, to zaznaczanie tylko dobro czynnych skut-

ków? Poniekąd po za teoryą ukrywają się tam interesy dnia. Pochwały, które w swoim czasie szkoła wolnohandlowców wygłaszała na rzecz wolnéj konkurencyi, zawarto dzisiaj właśnie w czci dla walki o byt. Hasła Kidda, Herberta Spencera i innych rzeczników zasady: *homo homini lupus est* są tylko wygłoszeniem faktu społecznego w szacie terminów biologicznych. Może dla wielu wyda się to twierdzeniem nieuzasadnioném, ale co do mnie, nie waham się powiedzieć, że nawet teorya Darwina nosi na sobie piętno epoki dziejowéj, w któréj przyszła na świat. Przypomnijmy sobie tę okoliczność, iż ojciec teoryi przerodztwa gatunków wpadł po raz pierwszy na myśl o wielkiém znaczeniu walki o byt, studyując Malthusa. Nie będziemy zastanawiali się nad wartością naukową doktryny przeludnienia, pogrzebanéj przez obecną wiedzę ekonomiczną—przynajmniéj w takiém sformułowaniu, w jakiém ukazała się z pod pióra twórcy swego. Darwin przetłómaczył ją na język faktów biologicznych i zastosował do całego królestwa organicznego. Nie myślimy poddawać w wątpliwość jego myśli. Walka o byt jest jednym, prawdopodobnie najdonioślejszym z pośród czynników, które rozstrzygają o pozostaniu na globie pewnych gatunków, wymarciu innych. Powątpiewamy tylko, ażeby była jedyną sprężyną lub miała tłómaczyć samą ewolucyę kształtów. Usuwała ona pewne organizmy, ale dlaczego pojawiły się te jestestwa, które wytrwały, inne zaś zginęły, zasada ta nie wyjaśni nam tego. To po pierwsze. Powtóre zaś, w rozwoju gatunków, prócz walki o byt działało jeszcze poczucie solidarności. Lanessan, znany botanik francuski, wykazał, że może nie w jednakowéj mierze, ale swoją drogą asocyacya stanowiła także wpływową sprężynę, rozstrzygającą, kto ginął, kto zaś pozostawał. Rzućmy parę ziarenek do gleby. Kłosy, które wyrosną, będą miały mało warunków wytrwania, bo nawet łagodna ulewa powali je o ziemię. Całe pole natomiast wytrzyma ciężką nawałnicę. Słowem, prosta zwartość mechaniczna już osłania i ocala jednostkę.

Teoryę indywidualnéj walki o byt, będącą — co do rodowodu swego — przeniesieniem stosunków społecznych w świat organiczny, zastosowano do wyjaśnienia i usprawiedliwienia owych stosunków. Obrońcy nieokiełzanéj wolnéj konkurencyi znaleźli w zasadzie walki o byt, która na razie zyskała ogromne uznanie, oręż nowy a skuteczniejszy. Właśnie tém trzeba tłómaczyć ową jednostronność „darwinistów społecznych", że, zamiast bezstronnéj oceny rozpatrywanego czynnika, widzą w nim jedynie strony dodatnie, za-

miast zaś wykazania, jak działała ta ślepa, żywiołowa siła, uwydatniająca się w przyrodzie organicznéj, wygłaszają na jéj cześć hymny.

B. Kidd jest jednym z takich zaślepionych chwalców potęgi żywiołowéj, która w pewnych razach stwarza skutki dodatnie, w innych natomiast może szerzyć zwyrodnienie i znikczemnienie. Siła ta, jak wszelka siła nieujarzmionéj przyrody, działa rozmaicie. Jedynie rozum ludzki może nadać jéj kierunek wyłącznie dodatni, jeśli zdoła ją ujarzmić i skierować według myśli swojéj. Wolą swoją człowiek zmusił krnąbrne potoki płynąć w groblach, elektryczność bez zrządzania szkód zsuwać się po konduktorach. Czyż z doboru nie mógłby on także zrobić dźwigni posłusznéj, postępowéj? I rzecz dziwna! Ci sami ludzie, którzy ani chwili nie zawahają się, gdy chodzi o nałożenie woli swojéj na kapryśny potok górski lub o pogwałcenie żywiołowości przyrodzonéj w innych sferach, ci sami mają dla doboru, podobnie działającéj siły przyrodzonéj, taki bałwochwalczy szacunek, iż nawet samą myśl o podobnym zamachu uważają za świętokradztwo! Natura jest dla nich mistrzynią, zawsze tworzącą rzeczy piękne, pożyteczne a mądre. Przed kilkudziesięciu laty towarzystwo ogrodnicze londyńskie odrzuciło projekt sztucznego zapładniania roślin, jako sprzeciwiający się zamiarom natury. Atoli nastał kres na to bałwochwalstwo. Zootechnika, ta sama sfera zapobiegliwości ludzkiéj, która podsunęła Darwinowi pierwszą myśl o doborze naturalnym, dała wzory także dla świadoméj, celowo prowadzonéj antropotechniki. Kidd i inni zaślepieni czciciele walki o byt nie chcą zrozumiéć, że przyroda w żywiołowém działaniu trwoni miliony jestestw, ażeby pozostawić przy życiu setki, przyczém dokonany dobór nie zawsze odznacza się właściwościami dodatniemi. Antropotechnicy pojmują doniosłość doboru, ale powątpiewają, czy kult dotychczasowy téj ślepo działającéj potęgi jest słuszny. Twierdzą oni bardzo stanowczo, Galton taki np. lub Lapouge, iż człowiek powinien narzucić władzę swoją na tę siłę, tak samo jak poddał woli swojéj wiele innych dziedzin przyrody. Wykazali oni, jak pod wpływem nieokiełzanego, żywiołowego doboru my marnotrawimy systematycznie kapitał mózgowy. Przyroda nie zna równości, każda osoba jest poniekąd odmienną indywidualnością. Pośród nas są mózgi zdolne i mózgi słabe, i prawdopodobnie zawsze tak będzie. Epoka dzisiejsza zajmuje się gorliwie zrównaniem wszelkich różnic—ze szkodą dla przyszłości Posiadacz mózgu zdolnego, łącząc się związkiem małżeńskim z przedstawicielką ni-

skich uzdolnień, pozostawia potomstwu wyższe zalety umysłowe, aniżeli strona upośledzona, lecz zarazem obniża poziom własny. Eugenizm mózgowy zwolna rozpływa się i zasoby uzdolnień, nagromadzone w pewnym umyśle, idą na marne. Zootechnika potępiłaby w czambuł takie nierozsądne postępowanie: ażeby polepszyć rasę, hodowca przedewszystkiém będzie łączył rasowców. I takie marnotrawienie zdolności mózgowych trwać będzie dopóty, póki dobory społeczne będą odbywały się żywiołowo, póki zamiast z prawa dziedziczności zrobić dźwignię postępu, pozwolimy mu działać samopas i rzucać będziemy doborowi miliony, ażeby zachować tysiące. Kidd widzi przed sobą tylko dwie alternatywy: albo dobór będzie działał nadal jako siła przyrodzona, nie spętana przez człowieka poczuciem solidarności względem bliźnich, albo istota ludzka, popychana ślamazarną czułostkowością, będzie w imię solidarności broniła każdego niedołęgi, który przyszedł na świat. Kwestya, tak sformułowana, świadczy tylko o zupełnéj nieznajomości dążeń antropologii tegoczesnéj przez autora „Ewolucyi społecznéj". Tylko co wymieniona gałąź wiedzy rozpatruje pytanie w sposób męski, nie kierując się w swoich wywodach żadnymi względami na mrzonki, że cień każdego człowieka naziemi wygląda jednako. Solidarność, t. j. poczucie łączności swojéj z każdym cierpiącym i niedołężnym, jest możliwe bez osłabiania doboru, co więcéj, oprzéć się może bardzo skutecznie na przyznaniu faktu, iż ludzie są od przyrody nierówni. Zamiast wydawania na świat potomstwa bez liku i usuwania nadmiaru żołądków za pomocą wojen, głodów i morów, ród ludzki na pewnym szczeblu rozwoju może zdoła świadomie ograniczyć prawo czyjeś zostawania rodzicami. Możemy oczekiwać od przyszłości, że tylko eugeniści umysłowi będą łączyli się w związki małżeńskie, wydające potomków, inne zaś stadła, żyjąc jako małżonkowie, będą hołdowali zasadzie *self restraint*, zresztą zgoła nie ascetycznéj. Dobór, odbywający się w takich warunkach, będzie usuwał niziny umysłowe i pozostawiał wyżyny w każdém pokoleniu. Ludzkość w świadomém stosowaniu antropotechniki znajdzie potężną dźwignię nieustającego postępu antropologicznego. Trzeba tylko nastania takich stosunków społecznych, przy których wiedza antropologiczna byłaby udziałem każdego członka narodu, w każdém zaś sercu obrało sobie siedzibę *imperativum* wewnętrzne, iż tylko wtedy rodzicom godzi się miéć potomków, gdy będą mieli widoki wydania zdrowych i zdolnych dzieci. Może nigdy do tego nie dojdzie, atoli winniśmy zaznaczyć, iż antropologia bynajmniéj nie uważa tego ideału za niemożliwy; iż w dalszym ciągu neomalthuzyaniści, doskonaląc pewne

środki, umożliwiają pożycie małżeńskie bez dawania życia nowym istotom. Tém samém upada opór ze strony pewnych instynktów, którym chodzi zwykle nie o dzieci, ale o zaspokojenie chuci. Powstały nawet towarzystwa i ligi, usilnie szerzące świadomość obowiązków rodziców względem dzieci i zasadę związków płodnych eugenistycznych.

Założenie Kidda, że walka o byt potrzebna jest dla umożliwienia doborowi rozmachu, świadczy tylko, jak postępy, uskuteczniane przez oddzielne gałęzie wiedzy, z trudnością wydostają się po za koła specyalistów. Żaden zootechnik, hodujący rasowe konie, kury lub gołębie, nie oddałby stadniny swojéj i kurnika na pastwę doboru żywiołowego i walki o byt, bo w świadomém oddziaływaniu znalazł środki skuteczniejsze otrzymywania rezultatów dodatnich.

III.

Kidd wyklina rozum, ponieważ protestem swoim przeciw walce o byt i doborom, dokonywającym się żywiołowo pod jéj wpływem, instancya ta staje po stronie jednostki i pomaga jéj wyłamywać się z klubów posłuszeństwa interesom gatunku. W naszém przedstawieniu, w którém przyznajemy pierwszorzędną doniosłość doborów, tylko ze sprawy żywiołowéj, ślepéj, pragnęlibyśmy je poddać woli i świadomości ludzkiéj, rola rozumu w społeczeństwie jest zgoła inną.

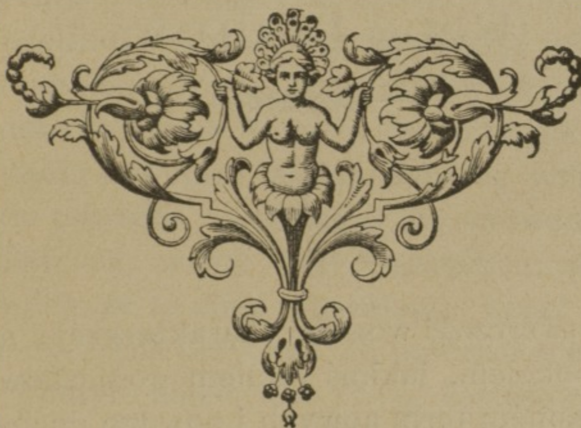
Swoją drogą, w wywodach pisarza angielskiego jest drugi wątek, który, pozornie bardzo, w rzeczywistości zaś tylko niewiele zależny od hymnów na cześć walki o byt, pozostaje w dawnéj mocy. Jestto rozprzęgające, „antyspołeczne” działanie rozumu, zachowawczy zaś, „społeczny” wpływ religii. Winniśmy zaznaczyć, że przytoczone terminy może zostały niezręcznie użyte przez Kidda, mianowicie drugi z pośród nich. O religię bowiem chodzi mu nie jako o zbiór pewnych dogmatów i poglądów kosmicznych, ale jako o systemat etyczny, który swoją powagą pochodzenia nadziemskiego utrzymuje ludzi w karbach i chroni od rozsypki.

Przeciwieństwo pomiędzy religią a myślą krytyczną, uczuciem a rozumem, etyką istniejącą a głosami natury wyzwalającéj istnieje bezwarunkowo w rozwoju społecznym. Kidd skonstatował tylko fakt powszechnie przyznany. Kategorye te stają zawsze na przeciwległych biegunach: jedne występują w charakterze siły zachowawczéj, inne jako sprężyny burzące, przewrotowe. Rozchodzimy

się przecież z autorem „Ewolucyi społecznéj”, gdy on twierdzi, że rozum działa antyspołecznie. Myśl krytyczna, występując przeciw istniejącym zwyczajom, jedynie oczyszcza grunt pod posiew nowych. Rozkłada ona — nie społeczeństwo, tylko pewien ustrój więzi społecznéj, tak samo jak religia nie broni etyki wogóle, tylko pewnéj jéj formy.

Poprzestaniemy na ogólném zaznaczeniu téj różnicy. Teorya Kidda, jéj moc i podstawa tkwią w wygórowanym szacunku dla żywiołowych przebiegów przyrody społecznéj. Temu faktowi zasadniczemu udzieliliśmy więcéj miejsca.

L. Krzywicki.



Z KRYTYKI BIEŻĄCÉJ.

(René Doumic).[1]

I.

Współczesna twórczość wogóle charakteryzuje się szczególniejszym niepokojem, jakimś ruchem gorączkowym oraz poszukiwaniem nieustanném form nowych i nowego ducha. Żadna atoli, z poszczególnych twórczości, nie jest przejęta bardziéj powyższym niepokojem od francuskiéj. Tam upodobania i zaprzątnięcia się, smaki i natchnienia rozmaite — najdziwaczniejsze i najkapryśniejsze — zrywają się nagle jak burza, przelatują szybko jak i ona, pozostawiając tylko wspomnienie jakiegoś niezwykłego zamętu. Organizmy umysłowe nie rozumieją tam często zamętów owych, nie mają nieraz czasu zastanawiać się dłużéj nad niemi, — czują tylko, podobnie jak organizmy cieleśne po przejściu burzy, rozdraźnienie i rozciekawienie... znowu do czegoś nowego, nie oczekiwanego. Tam tworzą się, z lada powodu, drobne kapliczki wyznaniowe, powstają kulty estetyczne, kapryśne i fantastyczne, rozwiewające się

[1]) René Doumic: „Les Écrivains d'Aujourd'hui“ (str. 315, 1895 r.), „Les Jeunes“ (Études et Portraits—str. 290, 1896 r.). „Essais sur le Théâtre Contemporain“ (str. 329, 1897 r.).

w niwecz, za byle wstrząśnieniem nerwowém. Tak przynajmniéj w ostatniém dwudziestoleciu rzeczy stoją w literaturze francuskiéj. Od czasu oficyalnego — rzecz jasna — pogrzebania naturalizmu, *respective* zolizmu, który najdłużéj stosunkowo stał na porządku dziennym, ileż to tam kierunków „nowych" i „najnowszych" powstało i znikło, jakież tam hasła estetyczne wydawano i odwoływano! Nie potrzebujemy wyliczać masy określeń i nazw nadawanych tym wszelkim kierunkom twórczości: każdemu brzmią one w uszach, wszystkie są znane—od neo-katolicyzmu, do satanizmu etc... Może ta zmienność i kapryśność usposobień nie jednemu się nie podobać, można sobie dworować z napuszystości szyldów, kryjących po za sobą treść nikłą i pretensyonalną, ale przyznać trzeba jedno: że ten zgiełk jarmarczny, ten zamęt, ta błyskotliwość krzykliwa — to żywotność bogata i nie oszczędna, rozrzucająca życie na wielkie przestrzenie, to pragnienie silne bytu urozmaiconego: słowem nie spożyty pierwiastek ruchu, chroniący od martwoty i bezwładu.

Może owa ruchliwość dzisiejszéj literatury francuskiéj jest jednym z bodźców rozwoju krytyki literackiéj we Francyi, co również należy do znamiennych rysów jéj życia literackiego. Zwłaszcza rozwój krytyki bieżącéj jest tam niezaprzeczenie wybitny. Zdaje się nam, że to właśnie potrzeba szybkiego oryentowania się w masie przedmiotów ciekawych, wzrok przyciągających, ale zarazem niestałych i niepewnych, że to chęć utrwalania wciąż ginących obrazów i uświadomiania sobie przyczyn ich powstawania oraz znikania, że to wszystko stworzyło niezwykle żywą, zastosowaną do potrzeb chwili, niezmiernie przenikliwą, lekką i śmiałą krytykę bieżącą francuską! W istocie, należy ona do najbardziéj czujnych, niezależnych i zręcznych! Chociaż i dawniéj krytyka bieżąca, t. zw. „feljetonowa", miała we Francyi znakomitych przedstawicieli (S.-Beuve, J. Janin, Ed. Scherer), jednakże ostatniemi czasy dopiéro punkt ciężkości krytycyzmu literackiego przeszedł do niéj. Po wielkich uogólnieniach teoretycznych H. Taine'a, po rozprawach nad prawami krytyki i zasadami estetycznemi, weszła teraz krytyka w okres zastosowywania zdobytych reguł, codziennego niemal, czynionego na okazach żywych.

Zamiłowanie do krytyki istnieje z dawna w społeczeństwie francuskiém. Ćwiczenie zdolności krytycznych, uważane jest tam, zarówno przez ogół inteligenty, jak przez większość samych krytyków, za coś, co dostarcza masy miłych, rozkosznych wzruszeń, co zwiększa używanie estetyczne. Krytycy poczytują tam krytykę literacką, za „środek do czytania książek z możliwie największą przy-

jemnością" (Lemaître) lub do „opowiadania przygód własnéj duszy po przez arcydzieła" (France); publiczność tegoż samego jest zdania. Nie dziw więc, że takie poglądy sprzyjają wzrostowi usposobień krytycznych. Powiedzieliśmy, że współczesna krytyka francuska jest niezależna. Oh, tak!—jest nią bezprzykładnie; jest zbyt nieraz śmiała i zuchwała w sądach, chociaż nikt tak nie wielbi własnych (i obcych) twórców jak ona, i większą ma cześć dla literatury od niéj. Co u nas grozą przejmuje — tam jest uważane, za najzwyklejsze, przyrodzone prawo krytyki, sprawowane bez zamiaru obrażania majestatu twórczego. Tam, swobodnie, bez najmniejszéj obawy, wyrażają krytycy najsurowsze sądy o największych powagach i świętościach panteonu narodowego. Nikt się nie dziwi, jeżeli ktoś powié o Voltaire'ze np. „że jest to żywy i zajmujący deszcz iskier, lecz bynajmniéj nie — wielka pochodnia na drodze ludzkości" (Faguet); albo, że „Balzac ma intuicye geniusza, i refleksye głuptaka" (tenże), lub coś podobnego. A u nas ludzie (p. W. Bogusławski) srodze się oburzali, gdy p. R. Doumic kwestyonował wartość literacką Dumas'a ojca... co, zdaje się, można w każdéj chwili robić, bez wielkiego ryzyka.

W krytyce francuskiéj gorsze jednak bywają „anomalie." Oto, np. rozmiłowany w modernizmie i rozkoszujący się literaturą drugiéj połowy XIX w., J. Lemaître, który kocha nawet jéj „afektacye, śmieszności i przesady" — surowo nieraz karci wybryki młodszych jéj przedstawicieli, takich symbolistów np., kiedy suchy i poważny akademik F. Brunetière, nie lubiący się entuzyazmować z byle powodu, tychże symbolistów bierze gorąco w obronę i t. p... To wszystko wypływa z podkréślonéj przez nas śmiałości krytyki, jéj szczerości i prawdziwego umiłowania spraw twórczości ludzkiéj. Dzięki powyższym jéj cechom, krytyka francuska doprowadziła do niezwykłéj, subtelnéj czułości dar wnikania w istnienia obce, w życie wielu najrozmaitszych dusz, których treść odczuwa nieraz żywiéj i zupełniéj niż one same.

Dar sympatyzowania z duszami obcemi, tłumaczenia ich i rozumienia — to również zasadnicza cecha krytyki literackiéj we Francyi. Jeszcze jedno uderza nas w niéj: chociaż zastosowana do potrzeb chwili, idąca w ślad za ruchliwą falą zmiennych upodobań twórczych, z pozoru powierzchowna, bo nie krępująca się zbytnio przesądami i utartemi mniemaniami, jest krytyka bieżąca francuska, głębszą, rozważającą rzeczy *sub specie aeternitatis*, niż jakakolwiek bądź inna. Rzeczy pisane z dnia na dzień, nie zwią-

zane z jakimś większym planem, wywołane zazwyczaj aktualnością jakąś, mieszczą w sobie nieraz tyle „praw”, tyle „zasad” i poglądów ogólnych, taką troskę zdradzają wnikania w ich istotę, że niepowstydziłyby się jéj wielkie opracowania całych, odrębnych działów literatury. Proszę przejrzéć „drobiazgi” — to co u nas odpowiada recenzyjkom i sprawozdaniom krytycznym—rozmaitych Lemaitre'ów, France'ów, Faguet'ów i t. p.. a łatwo każdy się przekona, jak te ulotne artykuły i artykuliki, lekkie, niedbałe i pozbawione balastu naukowego, doskonale odbijają sprawy ogólne, jak trafnie charakteryzują prądy literackie, jak wiążą teraźniejszość z przeszłością i jak przenikliwie analizują duszę naszego stulecia.

Mamy przed sobą kilka tomów szkiców krytycznych p. René Doumic'a, jednego z młodszych przedstawicieli krytyki francuskiéj, człowieka, który stara się być bardziéj zachmurzonym i poważnym, niż sam mistrz jego F. Brunetière, który przedewszystkiém poprawnie rozumować pragnie, broniąc się od zachwytów bezkrytycznych, a i ten nawet, pomimo swéj oficyalnéj, ociężałéj powagi, składa świadectwo temu wszystkiemu, cośmy wyżéj wogóle o krytyce francuskiéj powiedzieli. Rozejrzyjmy się nieco w studyach R. Doumic'a.

II.

Krytyki R. Doumic'a przedewszystkiém poświęcone są objawom bieżącego życia literackiego we Francyi, starają się określić i przedstawić całą rozmaitość jego prądów i kierunków. Każda aktualność, to wszystko, co stoi na porządku dziennym rozpraw literackich, co ani uznaném zupełnie ani téż odrzuconém stanowczo nie zostało przez czytający ogół, przyciąga ku sobie głównie wzrok krytyka. W tomie krytyk poświęconych wyłącznie „młodym” autorom, t. j. tym, którzy pracują jeszcze nad ustaleniem własnéj wziętości i sławy, znajdujemy kilka szkiców omawiających najbardziéj sporne kwestye dzisiejszego życia literackiego. Przytaczamy tu na próbę parę tytułów: Dekadenci Chrześciaństwa, Gloryfikacya energii, Teorya przebaczenia w powieści współczesnéj, Nowa poetyka i t. p. Najtrudniéj sądzić o rzeczach, których się należycie nie odczuwa, na obronie których nie wiele nam zależy; najłatwiej tu o sąd niesprawiedliwy, krzywdzący kogoś, głównie z tego powodu, że z obojętnością traktujemy sprawy, roznamiętniające innych i żywo im leżące na sercu

Dlatego draźliwszą sprawą, jest zawsze sprawa „młodych" wogóle, a „młodych" autorów w szczególności. Pomijamy tu tych, którzy z niechęcią jawną, z wyniosłością sztywną lub źle tajoną zawiścią spoglądają na wysiłki, dążenia i ukochania umysłów młodych, pragnących jakąś ideę nową wcielić w życie, lub którym się zdaje, że w istocie „coś" nowego uosabiają; pomijamy tych, którzy z zasady nieuznają „młodych". Chodzi nam głównie o tych, co nie mogą, z tych lub innych przyczyn, podzielać entuzyazmów i nadziei młodych pokoleń, co dość sceptycznie i obojętnie patrzą na ich zapały i zaprzątnięcia się, nie odmawiają im wszakże pewnéj racyi bytu, starają się zrozumiéć pobudki ruchu nowego, i gotowi są nawet, pod jego wpływem, przerabiać własne pojęcia i zapatrywania, byleby ich tylko przekonano. „Młodzi" i z takiego względem nich stanowiska mogą być niezadowoleni: może ich irytować taka chłodna, wyczekująca postawa, nie usposabiająca do zachwytów; mniejsza jednak o ambicye dotknięte, o urazy czułych wraźliwości, o pojedyńcze niezadowolenia! chodzi głównie o to, by nie skrzywdzić kogoś, co może i pragnie istniéć, odmawiając mu praw do życia—chodzi o zwyczajną sprawiedliwość. R. Doumic, w stosunku do „młodych" autorów, zachował właśnie to poczucie, przeciętnéj sprawiedliwości, unikającéj wyroków wydawanych *ad hoc* i potępień doraźnych. Z tego, jak kto traktuje „młodych", można nieraz wnosić, kim kto jest—jąką ma duszę, jaki charakter i jakie ideały. Doumic nie kokietuje „młodych" autorów swego kraju, ale téż nie pogardza nimi, nie zbywa niedbałém wzruszeniem ramion, owszem, stara się wniknąć w istotę ich dążeń. Powiada o nich „że pięknemi obietnicami i postawą pewną siebie obudzili ciekawość" — nie zaspokoili jéj wszakże dotychczas należycie; mówi im: że są nieznośnie pretensyonalni, zarozumiali etc., ale nie odmawia im dobréj wiary, owszem obdarza ich cnotą dość rzadką w naszych czasach, mianowicie: siłą przekonania i entuzyazmem (p. t. *Les Jeunes*—szkic p. t. *La poétique nouvelle*). Rozpatruje tu p. Doumic doktrynę poetycką poetów-symbolistów i, do pewnego stopnia, przyznaje jéj słuszność. Dla symbolistów poezya jest marzeniem, poeta — marzycielem. Marzenie to jednak nie jest indywidualném, egoistyczném, jak u romantyków czerpiących natchnienie we własném życiu uczuciowém, odbija ono życie powszechne, stany duszy wspólne i człowieczeństwu całemu; symboliści przez pryzmat własnego ducha widzą wszechświat cały, poznają naturę, w jéj zarysach zasadniczych, niezmiennych, wchodzą w stosunek z całą ludzkością. Poeci-symboliści usiłują pod

powłoką materyalną rzeczy, wykryć ich treść idealną, dlatego mają one dla nich znaczenie emblematyczne; zmysłami téj ukrytéj istoty rzeczy uchwycić niepodobna, przeczuwać możemy ją tylko, więc aby ją wyrazić, używamy symbolów odpowiednich, t. j. znaków wytwarzających w umyśle naszym wyobrażenie o niéj. W ten sposób powstały religie i mitologie wszystkich ludów. Zdolność plastycznego wyobrażania utracił człowiek kultury dzisiejszéj: żywą fantazyę, zastąpił rozumowaniem, domysł, intuicyę — opisem zewnętrznym, symbol—martwą alegoryą, któréj punktem wyjścia, jest z góry powzięta, idea abstrakcyjna. Symboliści usiłują przeciwdziałać temu, i to ich usiłowanie nazywa p. Doumic zupełnie prawowitém. System wierszowania symbolistów natomiast wydaje się p. D. mniéj trafnym, tu bowiem prawa wersyfikacyi zastępuje czyjeś widzimisię, zupełna dowolność. To wszakże nie jest zbyt przekonywającém; gdy jednak Doumic nam powiada, że t. zw. wiersz w o l n y, którego symboliści często używają, usuwając rym jest przedewszystkiém: prozą poetycką, prozą rytmiczną albo muzykalną, ale tylko prozą— to trudno, w tym wypadku, uwagom jego nie przyznać słuszności. Zwalcza również Doumic zasadę symbolistów, że dla poezyi nie jest koniecznóm, by ją rozumiano, lecz by ją odczuwano, twierdząc, że zadaniem poezyi jest nie zaciemnianie, lecz jasne wyrażanie idei. Wszystko to robi p. Doumic bez złéj woli, bez szykan i wydrwiwania przeciwników. Z plejady stukilkudziesięciu kilku młodych literatów, z których większość nic jeszcze nie stworzyła, którzy jednak, w oczach własnych, uchodzą za wielkich poetów, myślicieli, artystów i t. p., dworuje wprawdzie Doumic (art. *Les cent-quarante-et-un*) jednakże po za fanfaronadą i pretensyonalnością, przybranemi dla świata, widzi dobrą wiarę, zapał dla sztuki, a także rozgoryczenie młodych serc żądnych uznania. Nie ma ciepła w tém wszystkiém, co Doumic mówi o „młodych“ duszach i umysłach, widocznóm jest, że ich ambicye twórcze nie budzą w nim żywych nadziei, że ich ideały pozostawiają go dziś obojętnym; widocznóm i to, że nieraz z przyjemnością schwyciłby za ucho którego z „młodych“ i surowo skarcił za „wybryki“, za brak szacunku dla rzeczy utrwalonych i uznanych przez świat cały, tylko go od podobnych postępków, powstrzymuje przyjęta z góry zasada owéj, przeciętnéj sprawiedliwości, któréj, rad nie rad, postanowił się trzymać w sądach swych o ludziach i ich dziełach.

„Młodym" literatom i „młodym" prądom w sztuce robi Doumic parę słusznych zarzutów. Młoda literatura nie reprezentuje

żadnego kierunku wybitnego — i to jest jéj główną wadą podług p. Doumic'a. Zadaleko unosi nas zasada wolności sztuki: bierzemy często jéj różnolitość za żywotność. Historya literatury poucza nas, że dzieła trwałe i wielkie wydają tylko wyraźnie zarysowane i głębokie prądy literackie. Literatura naszego wieku była najprzód romantyczną, potém realistyczną; obecnie cierpi na to, że nie wié czém jest i czém pragnie być (przedmowa do tomu p. t. „*Les Jeunes*"). Słuszne to do pewnego stopnia, p. Doumic zapomina jednak o tém, że brak świadomości tego, czém się pragnie zostać, może być stanem duszy bardzo stałym i uporczywym, może przeto nadać wyraźny charakter czyjéjś twórczości, a przez to samo wytworzyć wyraźnie zarysowany prąd w sztuce. Niezdecydowanie i chwiejność współczesnéj twórczości, wszak to cechy bardzo wybitne, stanowią niemal prąd—kierunek.

Literatura dzisiejsza, podług Doumic'a, nie jest ściśle związana z życiem ogółu; najtrudniéj dzisiaj wiedziéć dla kogo się tworzy i pisze, stąd wzgarda dla publiczności i chęć wyodrębnienia się, jaką okazują literaci. I to nie jest pozbawione słuszności; stan jednak taki wynika także z téj nieokreśloności pragnień i potrzeb, z rozbicia ducha na atomy, z wielopostaciowości pragnień, na co obecnie choruje organizm społeczny. Ale to może być jaknajbardziéj uzasadnioném, może być stanem przejściowym, okresem poszukiwania stalszych dróg i trwalszych form bytu. Dostrzega Doumic również w twórczości dzisiejszéj zmniejszenie się poczucia formy. Że ktoś nie czyta autorów greckich i nie wielbi klasyków francuskich, nie dowodzi to wcale tego, by nie miał poczucia formy. Czyż kiedykolwiek to poczucie było bardziéj męczącém i natężoném, jak w dobie obecnéj? Wszyscy młodzi twórcy, to męczennicy prawdziwi słowa, języka, formy; wszak gniewamy się nieraz na nich, że formie treść poświęcają. Poczucie formy nie zmniejszyło się wcale, — to zwiększyła się chęć stworzenia form nowych, stąd kwestyonowanie form dawnych i niedbałe ich używanie, a to właśnie może sprawiać wrażenie upadku formy. Ostatecznym wnioskiem, do jakiego dochodzi krytyk, jest: że młodzi twórcy stanowią pokolenie niespokojne, które pragnie stworzyć sobie ideał, pod tym względem jednak nie powodzi mu się; następnie — że pokolenie to jest bardzo inteligentném, ale téż bardzo mało artystycznem. Należałoby najprzód określić: co mamy uważać za nieomylne znamię artyzmu, i wogóle, na czém artyzm polega, a potém dopiéro sąd swój o literaturze młodéj w ten sposób formułować.

III.

Doumic chwali literaturę „młodych" najczęściej nie za jéj pozytywne zalety i wartości, ale za negatywne. Tak np. symbolistów w poezyi uznaje głównie dlatego, że usiłują literaturze analitycznéj przeładowanéj rozumowaniem, ideą, „dokumentami ludzkiemi" i t. p., przeciwstawić twórczość bardziéj bezpośrednią i indywidualną. Naiwna, nawpół świadoma siebie naturalność utworów Maeterlinck'a np., jest dla niego przedewszystkiém pożądanym objawem reakcyi względem pretensyi téj literatury, która dążyła do tego, by stać się narzędziem doświadczeń i badań niby-naukowych (p. art. o Maeterlinck'u).

Zbyt „inteligentna" literatura nie zachwyca Doumic'a; twórczość, jego zdaniem, ugina się dzisiaj pod ciężarem: rozumowania, erudycyi, ścisłych analiz psychologicznych i t. p. pierwiastków intelektualnych; odbiérają one jéj swobodę, krępują polot i ogałacają z artyzmu. Niepodobają się mu np. dlatego „socyologiczne" utwory braci Rosny'ch, tych, z wielu względów pełnych intuicyi mistrzów, usiłujących odtwarzać duszę człowieka pierwotnego (art. o J. H. Rosny'm).

Dlatego również sceptycznie zapatruje się na zamiłowanie „młodéj" literatury, do subtelnych analiz psychologicznych, które w rezultacie nie dają nam lepszéj znajomości istoty ludzkiéj, owszem pojęcie nasze o niéj zaciemniają i gmatwają w sprzecznościach bez wyjścia (art. o G. D'Annunzio).

Że literaturze współczesnéj większa świeżość, naturalność i prostota nie zaszkodziłyby, o tém nie trzeba długo mówić, — ale że współczesnéj umysłowości ludzkiéj trudno byłoby powrócić na to stanowisko, na jakiém stała przed kilkunastu wiekami, że niepodobieństwem jest dla niéj zapomniéć o tém, co doświadczenie rozumu zdobyło, a to tylko mogłoby jéj dawną b e z p o ś r e d n i o ś ć i ż y w o ś ć powrócić — tégo także nie potrzeba dowodzić. W umysł współczesny idea tak się wżarła głęboko, tak organicznie z nim się zlała, że niepodobna jéj stamtąd wyrwać, bez uszkodzenia i wykoślawienia samego umysłu. Umysły są udręczone rozmaitemi myślami, zagadnieniami i pytaniami, które wymagają ciągłego rozumowania, na które bezpośrednim ruchem serca, wzruszeniem bezwiednèm i t. p. zadawalniająco odpowiedziéć nie można; wyobraźnia,

obrazy zmysłowe nie rozstrzygną wątpliwości umysłu, wstawiennictwo idei jest nieodzowne.

Błędne to koło,—ale z niego nie wyjdziemy! Ociężałą i oschłą poniekąd staje się twórczość współczesna, nie wiadomo jednak czy powrót—sztuczny w dodatku—do naiwności pierwotnéj i bezpośredniości nieświadoméj siebie, nie byłby o wiele gorszy? — to pewna, że objawy tego, już i teraz gniewają nas swoją wymuszonością i głupkowatą pozą. Do Homera powracać niepodobna. Krytyk francuski pragnie rzeczy niemożliwéj. Wszak literatura jest taka, jakiém jest życie, nasze zaś, współczesne jest bardziéj ideowém, t. j. koordynowaném na podstawie stanów świadomych ducha, wcielonych w instytucye społeczne, zwyczaje, etykiety i t. p., niż impulsywném; słowem, bardziéj jest zależne od analizy ducha, niż od syntezy ciała. Mechanizm psychiczny dzisiejszego człowieka stał się niezwykle złożony,—dawniéj o wiele był prostszy. Niegdyś podrażnieniu zewnętrznemu ducha odpowiadała natychmiastowa działalność; organizm wstrząśnięty nie rozważał, lecz działał gwałtownie, wyładowywał energię swoją błyskawicznie; dziś działanie następuje po wielu procesach otamowawczych, rozluźniających nieraz impulsywność natury naszéj. Nie organizm nasz cały wzrusza się obecnie, lecz raczéj m y ś l a m i w z r u s z a m y się dzisiaj. Ale i z takich stanów ducha prawdziwy twórca i artysta potrafi wydobyć treść do dzieł nieśmiertelnych (proszę porównać np. „Fausta" Marlowe'a z „Faustem" Goethe'go, różnica odmiennych stanów kultury ludzkiéj i związanéj z nią twórczości, wystąpi wyraźnie).

Ale gdyby nie było w literaturze dzisiejszéj téj pseudo-naukowości, którą Doumic potępia, gdyby nie było ścisłych analiz i przeładowania dzieł ideą, to nie byłoby także i literatury z „tendencyą moralną", którą krytyk wielbi do tego stopnia nawet, że jednemu z jéj przedstawicieli, Ed. Rod'owi, przypisuje tyle i tego rodzaju zasługi, że gotów go ktoś na seryo traktować, jako odrodziciela powieści współczesnéj (p. „*Les Jeunes*", szkic o Rod'zie).

P. Doumic popełnia tu jeszcze jeden ogólniejszéj natury błąd, wspólny zresztą krytykom-moralistom, upatrującym zbawienie literatury w jednym jakimś kierunku literackim. (Tak np. F. Brunetière, który nieraz jest źródłem natchnienia dla Doumic'a, nad literaturę francuską XVII wieku nie znajduje nic wspanialszego). Rod'a rozpatruje Doumic jako jednego z tych, co po 80-ym roku wszczęli reakcyę przeciwko naturalizmowi i pozytywizmowi w sztuce. Pozytywizm zaś i naturalizm—podług Doumic'a — są to kierunki, które zwracają główną uwagę na zewnętrzną stronę życia, nie uwzględnia-

jąc jego istoty. Naturalizm usunął ze sztuki zagadnienia, których rozwiązanie nie jest zawarte w faktach bezpośredniego doświadczenia; naturalizm zadawala się rzeczywistością natychmiastową, odrzuca duszę, istnieniu ludzkiemu zaprzecza celów wznioślejszych etc.: oto oklepanki zużyte, jakiemi Doumic szafuje. Nic więc dziwnego, że reakcyi przeciw-naturalistycznéj przyznaje za wiele zasług. Trzeba wreszcie pozbyć się tego rodzaju naiwnych i jednostronnych poglądów, gdy chodzi zwłaszcza o całe kierunki umysłowe, nie zaś o jednego człowieka lub jedno dzieło. Trzeba raz się zgodzić na to, że naturalizm „poprzestawał na rzeczywistości natychmiastowéj" i zadawalał się „faktami doświadczenia", ponieważ przedewszystkiém chodziło mu o poznanie zewnętrznych warunków istnienia ludzkiego, o zbadanie całokształtu przyczyn determinujących człowieka z zewnątrz; wszak to jest nie mniéj ważne, od badania ukrytych, wewnętrznych, niekiedy tajemniczych, nieprzeniknionych przyczyn życia duszy! Zacieśniamy zadania twórczości umysłu ludzkości, redukując ją do jednego tylko z powyższych sposobów poznawania życia. Miejmy także i to na względzie, że umysł ludzki znużony wnikaniem w ukrytą istotę rzeczy, zwraca się często naturalnym popędem, ku temu co jest dostępne zmysłom, zwraca się do zewnętrznéj strony życia; w niéj bowiem także mogą spoczywać przyczyny jego przekształceń i zmian ściślejszych. Mylą się ci, co naturalizm i idealizm przeciwstawiają wciąż sobie, rozmieszczają je na dwóch biegunach, co robią z tych kierunków nie dające się pogodzić antynomie; są to bowiem tylko kolejno następujące po sobie stany jednego ruchu myśli, ruchu rytmicznego, usiłującego objąć i wytłómaczyć całość zjawisk życia. Twórczość literacka odbywa wciąż ten ruch wahadłowy: od naturalizmu zwraca się ku idealizmowi, od tego znowu ku pierwszemu, i tak... bez końca.

Z powodu krytyk Doumic'a można, jak widzimy, nie jedną wszcząć dysputę, niepodobna nam jednak ze wszystkich pretekstów korzystać.

„Dekadentów chrześciaństwa" (artykuł o utworach Huysmans'a: „*A Rebours*" i „*En Route*") charakteryzuje Doumic trafnie. Są to dusze chciwe niezwykłych wzruszeń, zwracające się do wiary i religii w nadziei znalezienia w nich więcéj przyjemności, niż w indyferentyzmie. Użycie wyrafinowane leży w podstawie ich chrześciaństwa, a nie zaparcie się świata i miłość. Słusznie także analizuje D. subtelną zmysłowość tego rodzaju „dekadentów", poszukujących rozkoszy niepowszednich w idei grzechu. Tęsknota do wia-

ry jest, w tym wypadku, wyrazem żalu z powodu utraty możności używania.

Innego rodzaju „dekadentyzm" charakteryzuje Doumic w art. „Gloryfikacya energii". Nawoływanie do życia niekrępowanego regułami zmniejszającemi jego pełnię, do życia szczerego i zgodnego z wymaganiami instynktów natury ludzkiéj, jest oddawna znane literaturze. W imię tych haseł nieraz już twórczość literacka odradzała się korzystnie (dość tu wspomniéć o reakcyi J. J. Rousseau przeciwko sztucznéj literaturze XVIII w.). Obecnie nawoływanie to przybiéra charakter bardziéj krańcowy i bezwzględny. Stendhal wielbił — tak zw. przez niego — „dusze frenetyczne", będące wytworem gwałtowności instynktów, połączonéj z chłodną analizą rozumu: dusze owe odznaczają się niespożytą energią, gdy chodzi o zdobywanie sobie praw do życia i rozszerzanie jego zakresu. Są to dusze zaborcze, podporządkowujące sobie inne. Merimée, idąc śladem Stendhal'a, czcił także pierwotność instynktów natury ludzkiéj, jéj bezpośredniość, niepohamowanie i zdobywczość.

Ostatniemi czasy Barrès we Francyi, a filozof Nietzsche w Niemczech, wysunęli znowu ideał człowieka, zmierzającego do zaspakajania instynktów swoich, sposobami najbardziéj bezwzględnemi, wynoszącego się dumnie ponad cele ogólne, stawiającego „ja" własne ponad przepisy i zobowiązanie etyczne. Człowieka takiego przeciwstawiają wspomniani pisarze, dzisiejszemu człowiekowi kultury, upośledzonemu i ograniczonemu życiem sztucznem na łonie współczesnéj cywilizacyi. Tutaj uwielbienie siły i wyzwalającéj się swobodnie energii indywidualnéj nabrało cech chorobliwych. Idea zwiększenia przyjemności i wyrwania z odrętwienia organizmów zwyrodniałych, niezdolnych do zwyczajnego odczuwania rozkoszy, wytwarza owo pragnienie powrotu do intensywnego, energicznego życia instynktów, niekrępowanych niczém. Wyobraźnie przenoszą się w owe epoki, kiedy ludzkość była mniéj zużytą, kiedy miała duszę świeżą, pierwotną, silnie czującą i używającą darów życia, bez żadnych trosk zatruwających przyjemność. Tęsknota do owych błogosławionych stanów i uwielbienie pierwotności natury ludzkiéj jest również wyrazem żalu za utraconą możnością używania i odczuwania rozkoszy istnienia. Zapomina jednak Doumic, że owa tęsknota może być także wyrazem bardziéj bezinteresownego zachwytu widokami bogatéj treści życia, rozwijającéj się energicznie i harmonijnie; życie upośledzone, nędzne, rozwijające się ślamazarnie, zadowolenia estetycznego nie budzi.

IV.

Inny tom krytyk poświęca Doumic „autorom dzisiejszym”, nienależącym wszakże do najmłodszego pokolenia. Znajdujemy tu studya o Bourget'cie, Guy de Maupassant'cie, Loti'm, z krytyków— o Faguet'cie, Brunetière'ze, Lemaitre'ze i t. p., o autorach słowem, których reputacya dostatecznie jest ustalona, którym ujemne nawet krytyki nie bardzoby mogły zaszkodzić w oczach ogółu czytającego. Jak „młodych” traktował Doumic bez szczególniejszéj wyniosłości, chociaż bez sympatyi szczególnéj, tak téż i wymienionych „autorów dzisiejszych”, zażywających w świecie rozgłośnéj sławy, traktuje bez osobliwszéj czołobitności, bez pochlebstw i urzędowych kadzideł. Niezależność krytyka zachowuje Doumic i w tym wypadku, widocznėm jest jednak, że obcowanie z ludźmi „wyżéj” postawionymi, z umysłami wytrawniejszemi i talentami tworzącemi dzieła dobre, bez afektacyi, hałasu i zarozumienia o sobie, sprawia mu istotne zadowolenie i rolę krytyka, w oczach własnych, podnosi.

Studya o Bourget'cie i Maupassant'cie należą do najlepszych, jakie kiedykolwiek wyszły z pod pióra Doumic'a. Nie powiada nam krytyk nic nowego o tych dwóch odnowicielach powieści francuskiéj, na niektóre jednak strony ich twórczości rzuca światło niepozbawione oryginalności.

Bourget'owi poczytuje za największą zasługę, że, stosując sposoby używane przez filozofów, odnowił w powieści upodobanie do ścisłych studyów nad duszą ludzką i dorzucił ciekawy rozdział do nauki o niéj. Cóż to za rozdział, mianowicie?

Przypomnijmy sobie bohaterów powieści realistycznéj Balzac'a, Flaubert'a i t. p., a także utworów Zoli i jego naśladowców. Jaka jest ich psychologia? Najczęściéj są to jednostki ludzkie psychicznie dość jednolite, o silnych, całkowitych indywidualnościach, działające pod wpływem, wyraźnych, trwałych stanów ducha. Postaci balzakowskie np. są najczęściéj opętane jakąś jedną władzą ducha, jakąś żądzą silną, któréj cała ich duchowość jest podporządkowana. Naturalizm także upraszczał życie ducha, czyniąc je zależném od paru instynktów elementarnych, wobec których wszystko to, co jest istotném życiem duszy (uczucie, wzruszenie, myśl), abdykuje i milknie. U podstawy podobnéj psychologii spoczywało pojęcie o j e d n o ś c i „ja” ludzkiego. Psychologia Bourget'a opié-

ra się na zasadzie wręcz przeciwnéj, mianowicie na wielopostaciowości jaźni naszéj. „Ja” bohaterów Bourget'a jest luźne, chwiejne, rozbite na atomy; dusze ich są w rozkładzie, wiecznie niepewne siebie i niezdecydowane, dlatego że toczą w nich ustawiczną walkę rozmaite stany świadomości, nieraz zupełnie równe sobie, z których żaden nie staje się tą władzą naczelną, która podbija wszelkie inne i ducha całego obejmuje obręczą jedności. Tu właśnie duch ludzki, pozbawiony téj obręczy, jest niespójném skupieniem stanów psychicznych, istotą zbiorową i różnolitą, bogatszą wprawdzie w treść wewnętrzną, ale pozbawioną karności i niezdolną do energicznego działania. Wielopostaciowość staje się tu nieraz, skutkiem tego, bezkształtem i niewyraźnością. Postaci utworów Bourget'a cierpią najczęściéj na powyższy atomizm ducha. Myli się jednakże Doumic, przypisując Bourget'owi zasługę wprowadzenia do literatury typu „mózgowca”, cierpiącego z nadmiaru kultury umysłowéj, z wolą rozluźnioną analizą myśli, z jaźnią pokawałkowaną i niestałą. U Bourget'a typy podobne są bardziéj wykończone i noszą na sobie specyalne piętno epoki, literatura jednak XIX w. znała i przed nim tego rodzaju okazy ludzkie (nie szukając długo, choćby „Adolphe“ B. Constant'a).

Zgodzić się można natomiast z krytykiem, że mało kto potrafił pokazać z taką przenikliwością i wyrazistością, jak to uczynił Bourget, czém jest uczucie miłości, gdy się je ogołoci z tych złudzeń i omamień, jakiemi ludzkość przystraja je od wieków. W tym wypadku mistrzowstwo Bourget'a w istocie jest wielkie.

Niezrównanym analitykiem, nietylko uczucia miłości, ale wogóle życia — i to analitykiem-pesymistą — jest, podług Doumica, Guy de Maupassant. Analiza jego nadto pozbawiona jest pierwiastku subiektywnego, nigdzie nie zdradza osoby samego autora. W czasach powszechnego zrozpaczenia — są słowa krytyka — nikt lepiéj od Maupassant'a nie wykazał próżności wszystkiego i nie dał silniejszego wrażenia bezwzględnéj nicości. Nieubłaganie odziéra Maupassant życie z wszelkiego powabu, obniża wartość nadziei ludzkich tego wszystkiego, co podnieca energię życia, co jest celem jego. Im więcéj życie przeniknięte jest myślą, tém mniéj wartości posiada w oczach Maupassant'a. Ba! gdybyż odwieczna praca myśli ludzkiéj była tylko jałową! byłoby to jeszcze znośném. Ale ona to właśnie czyni istnienie nasze bolesném i obdarza nas przywilejem nieszczęścia. Maupassant ma wzgardę dla tych jednostek ludzkich, w których życie mózgu stłumiło życie pierwotnych instynktów natury. Sympatye jego zwrócone są do tych istot, które szukają

przeznaczenia swego i treści życia w dogadzaniu owym instynktom. Jednym z takich jest miłość, ale z uczucia tego czyni Maupassant najelementarniejszą żądzę cielesną, pozbawia je pierwiastków wyższych, ideowych, wszystko zaś czém człowiek usiłował opromienić to uczucie, nazywa pociągającą lecz wiotką tkanką, z samych kłamstw utkaną. Życie nie ma celu i sensu, wszystkie przyjemności kończą się niesmakiem i znużeniem, giną kształty piękne, żal w sercu po nich pozostaje, wszystko to zaś w końcu, objęte mrokiem wieczności, ginie bez śladu — w śmierci znajduje ostateczne rozwiązanie. Oto jest filozofia Guy de Maupassant'a, — prawdziwa niewątpliwie, ale niepotrzebnie Doumic w braku sympatyi dla ludzi, dla tego, co cierpi i ugina się pod ciężarem złego losu, widzi główne jéj źródło. Sympatyi téj nie brak w utworach Maupassant'a; nie trzeba wzgardy dla tego, co jest w życiu płaskie i śmieszne, mieszać z brakiem współczucia dla nędzy ludzkiéj. Ból chwytał Maupassant'a za gardło, dławił i uciskał pierś, goryczą i rozczarowaniem zaléwał serce; śmierć nadto, jako niszczycielka najpotężniejszych wysiłków człowieka i dzieł jego, trwożyła go swym chłodnym, ponurym widokiem. Niedola jednak ludzka rozrzewniała Maupassant'a (*La vie errante*, *Sur l'eau*, *Fort comme la Mort*, *Une vie* i t. d.).

Ciekawém byłoby ustalenie stosunku zajmowanego przez Doumic'a względem krytyków sobie współczesnych, w ten sposób bowiem możnaby było określić bliżéj, czém jest on sam, jako człowiek danego zawodu; nie możemy jednak wiele miejsca temu poświęcić.

Nie lubi Doumic krytyki bez reguł i zasad, zdanéj na łaskę wrażliwości krytyka, jego kaprysów i zmiennych upodobań, jednakże Lemaitre'owi nie bierze tego za złe i, w talencie jego krytycznym, widzi same pociągające przymioty. Bardzo trafnie powiada o nim, że niezbyt ceni on tych, którzy tylko zewnętrzną stronę rzeczy odtwarzają i że czułości swoje zachowuje głównie dla tych, co w dzieła własne włożyli najwięcéj myśli i uczuć, najwięcéj uwag użytecznych o świecie i biegu życia. Lemaitre jest klasykiem, ponieważ lubi jasność, miarę, dobry smak etc., formę zaś uważa za rzecz drugorzędną; jest nim i dlatego jeszcze, że przywiązuje główną wagę do prawd ludzkich, zawartych w dziełach sztuki. Klasycyzm upodobań w połączeniu z modernizmem formy: oto przymioty charakteryzujące dzieła krytyczne Lemaitre'a. Jest on wzorem mądrości umiarkowanéj, ośmieszającéj i pobłażliwéj zarazem, ironicznéj i czułéj.

Podziwia Doumic niezależność myśli Faguet'a, którego zasadą w krytyce jest: „nic nie ukrywać" t. j. wyrażać poglądy własne zupełnie, w całéj ich sile i wyraźności; najwięcéj jednak zachwytów budzi w Doumic'u niewzruszoność zasad F. Brunetière'a. Tego krytyka podziwia od stóp do głów, nie omylimy się więc, gdy powiemy, że jest dla niego ideałem, zbiorowiskiem cnót krytycznych, paladynem krytyki.

Podziwia Brunetière'a p. Doumic i za to, że ma on najwięcéj wrogów, rekrutujących się ze wszelkich sfer, i za to także, że sobie nic z nich nie robi; podziwia jego zapał wojowniczy, gwałtowność z jaką napada na wrogów, dogmatyzm, pedantyzm, swarliwy humor—słowem wszystko. To rzecz gustu! Dziwném jednak wydaje się nam to tylko, że Doumic, tak pięknie mówiący o powabach krytyki Lemaitre'a płynących z żywéj i kapryśnéj wyobraźni, z usposobień lekkich pozbawionych oschłości i pedantyzmu, potrafi uwielbiać Brunetière'a za przymioty wręcz przeciwne — za surowy pedantyzm właśnie i butę, rzekłbyś: barona feudalnego broniącego zawzięcie zmurszałych wieżyc swego zamku.

W tomie krytyk poświęconym „teatrowi współczesnemu," znajdujemy głównie oceny wybitniejszych sztuk teatralnych, które w ciągu paru lat ostatnich wystawiane były na scenach paryskich, a także większe studyum o teatrze Dumas'a (syna) wyróżniające się gorącą obroną jego twórczości, wywołaną napaścią „młodych" na autora „Damy kameliowéj". Nad tém jednak zastanawiać się już nie będziemy.

Przegląd kilku powyższych tomów studyów krytycznych Doumic'a zamykamy następującym sądem o ich autorze:

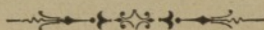
Krytykę uważa Doumic, za wysiłek ludzi dobréj woli, zmierzający do wykrycia prawdy i zwiększenia pewności myśli; dlatego ma o zawodzie krytyka wysokie mniemanie i sobie samemu narzuca w téj mierze surowy obowiązek: mówienia przedewszystkiém prawdy, nie krępując się żadnemi względami. Doumic przedmioty krytyki traktuje poważnie, nie uchyla się od dyskusyi gruntownéj, nawet z tymi, których w głębi duszy nieco lekceważy; nie wynika to z naturalnéj sympatyi dla wszelkich objawów twórczości ludzkiéj,—gdyż D. małą posiada zdolność przenikania w istotę umysłów odmiennych od swego—lecz z upodobania do polemiki i przyjemności, jaką znajduje w rozumowaniu. Oryginalnym w krytykach swoich nie jest, chociaż na samodzielności w poglądach mu nie zbywa; przenikliwym zbytnio także nie jest, rzeczy jednak odrazu dla siebie niezrozumiałych nie pomija, lecz stara się je pojąć i dochodzi do ich

zrozumienia, za pomocą powolnego, systematycznego myślenia. Rodzaj krytyk Doumic'a nie porwie nas świetnością stylu, werwą i paradoksalnością myśli, nie rozentuzyazmuje do dzieł umysłu ludzkiego, potrafi jednak, w wielu wypadkach, uchronić przeciętnego czytelnika od bezkrytycznego zaprzątnięcia się dziełami wątpliwej wartości, które moda tylko, zniecierpliwiona pogonią za nowością, ustawia w pierwszych szeregach w celu zwabienia wałęsających się bez celu przechodniów. Krytyki Doumic'a nie mają w sobie nic imponującego, nie są jednak bez pożytku, dla tych zwłaszcza, którzy samodzielnie z trudem mogliby się oryentować w pstréj i ruchliwéj masie dzieł ludzkich, obecnie wytwarzanych.

Wł. Jabłonowski.



TEORYA PRODUKCYI BOGACTW.



I.

Liczba ludzi zamieszkujących ziemię, a zwłaszcza niektóre jéj strony, wzrasta zbyt szybko, aby mogli się oni zadawalniać tą ilością bogactw, jaką sama natura dobrowolnie im dostarcza, pominąwszy nawet to, że człowiek w swym rozwoju superorganicznym odczuwa potrzeby, których natura choćby najbogatsza zadowolnić nie jest w stanie; aby jéj wydrzéć to tylko, co mu jest do zwykłego życia zwierzęcego niezbędnie potrzebne, musi człowiek staczać z naturą codzienną i ciągłą walkę: gdyż na każdym kroku grozi mu od niéj zagłada, musi szukać wciąż środków, aby ją ujarzmić, naginając do swoich celów, musi się starać za pomocą władz swego umysłu przenikać owe stałe i bezwzględne prawa, które rządzą jéj zjawiskami, aby kierować owemi prawami z jaknajwiększą dla siebie korzyścią, przeciwstawiając je jedne drugim. Walka ta człowieka z naturą, mająca na celu zaspokojenie jaknajwiększéj ilości ludzkich potrzeb, nosi w języku ekonomicznym nazwę produkcyi bogactw.

Wiadomo, że człowiek nie jest w stanie nic stworzyć, nie może on powiększyć istniejącéj ilości, ani materyi, ani siły, to też wyrażenia „produkcya", dosłownie brać nie należy, nie jest ona tworzeniem w ścisłém tego słowa znaczeniu; człowiek może jednak posługiwać się siłami, których mu natura dostarcza, aby materyę urabiać i modyfikować

w ten sposób, aby jéj nadawać jaknajwięcéj własności utylitarnych, doprowadzić do takiego stanu, żeby mogła oddawać jaknajwiększą ilość usług i być z łatwością przez człowieka asymilowaną. Tak więc produkcya jest nadawaniem użyteczności i zasadza się nie na tworzeniu, lecz na przetwarzaniu materyi i siły, czyli naturalnych bogactw z ostatecznym, celem utylitarnym, wszelkie zaś produkty przemysłu noszą równie nazwę bogactw, lecz o tyle tylko, o ile celowi temu odpowiadają i służą do zaspakajania rzeczywistych, racyonalnych potrzeb ludzkich, gdyż w przeciwnym razie noszą w nauce nazwę bogactw fałszywych, a produkcya ich nie wzbogaca społeczeństwa, lecz je uboży i rujnuje.

Powiększając za pomocą pracy i kapitału, niemal do nieskończoności pożytek, jaki człowiek może miéć z dostarczanych mu przez naturę bogactw, nietylko zapewnia on sobie i ułatwia zaspakajanie swych potrzeb materyalnych, ale wszelki postęp intelektualny i moralny znajduje się w zupełnéj zależności od wzrostu produkcyi bogactw materyalnych. Jedynie mając zaspokojone fizyczne, zwierzęce swe potrzeby i mogąc zapomniéć, że je odczuwa, że przykuwają one ciało jego do ziemi, może człowiek zapomniéć o skromném swém pochodzeniu, wznieść się umysłem wysoko ponad pokrewny mu świat zwierzęcy i dążyć do coraz większéj niezależności duchowéj i duchowego udoskonalenia, gdyż tylko przy odpowiednich i sprzyjających warunkach materyalnych staje się ono możliwe. Dlatego też losy ludzkości były i będą zawsze ściśle związane z produkcyą, z ilością i jakością bogactw dostarczanych konsumcyi, oraz tych, które za pomocą oszczędności, a pod postacią kapitału, jedno pokolenie przekazuje następnemu; od wzrostu produkcyi będzie również zależéć polepszenie bytu klas uboższych pracujących fizycznie, rozwiązanie tak zwanéj kwestyi socyalnéj, czyli usunięcie niezgody przy podziale bogactw, wszystkie inne środki, zmierzające do osiągnięcia tego celu są i pozostaną nadal złudzeniem.

Produkcyjna działalność człowieka zasadza się, jakeśmy to powiedzieli, na walce z naturą, na walce nietylko odpornéj, lecz i zaczepnéj, a wychodzi on z niéj zwycięsko i czyni wciąż nowe i coraz znaczniejsze zdobycze. Nie zawsze jednak tak było, długie wieki minęły zanim zdołał się on podźwignąć z pierwotnéj bezsilności; dopóki znajdował się bezbronny wobec otaczających go sił przyrody, starania jego i wysiłki zaledwie zdołały uchronić ród ludzki od zagłady; postęp ekonomiczny ma początek dopiéro od ukazania się kapitału, jest on po bogactwach naturalnych i pracy, trzecim z kolei, a niezbędnym czyn-

nikiem produkcyi przemysłowéj, nad każdym z nich zatrzymamy się dłużéj, aby lepiéj ocenić ich doniosłość.

Obok bogactw materyalnych, czyli przedmiotów użytecznych, istnieją jeszcze bogactwa niematervalne niewidoczne dla oka, które niemniéj służą człowiekowi, odpowiadają jego potrzebom i zadawalniając je, oszczędzają mu cierpień; są to bogactwa umysłu ludzkiego, które przybierają postać usług i odgrywają w społeczeństwach coraz ważniejszą rolę. Niematervalne bogactwa podlegają tym samym prawom ekonomicznym, co i bogactwa materyalne, a produkcya ich wymaga równie współdziałania trzech powyżéj wymienionych czynników. Różnica polega na tém, że gdy w produkcyi bogactw materyalnych czynnik naturalny znajduje się zewnątrz człowieka, pod postacią materyi i sił przyrody, w produkcyi bogactw niematervalnych, czynnika naturalnego musi człowiek szukać w sobie samym, we władzach swojego umysłu, musi je urabiać i wzbogacać, modyfikować i rozwijać; czynnik naturalny i praca mieszczą się wtedy w jednéj i téj saméj osobie, dlatego téż produkcya bogactw niematervalnych nosi zwykle nazwę p r a c y n a d s o b ą s a m y m; nie należy jednak zapominać o tém, że i trzeci czynnik jest tu niezbędny: bez kapitału, bez nakładu i pomocy najpiękniejsze zdolności umysłowe i największa wytrwałość rozbijają się o napotykane przeszkody.

II.

Cała ilość materyi, jaką człowiek rozporządza i konsumuje, bywa dostarczaną przez bogactwa naturalne; mogą one być podzielone na dwie odrębne kategorye, na naturę martwą, bierną, która człowiewiekowi żadnego nie stawia oporu i na siły przyrody, które nie są mu uległe, lecz często groźne i wrogie, potrzebują być zwalczane i ujarzmiane. Natura martwa oddaje człowiekowi skarby swoje bez walki, wymaga z jego strony wysiłków, lecz z łatwością opanowana być może, a był czas, że na równi ze zwierzętami czerpał on z niéj prawie wyłącznie środki swego istnienia; inaczéj z siłami przyrody: narażają one człowieka na ciągłe niebezpieczeństwa, znajduje się on w ciągłéj od nich zależności, co chwila ostrzegany jest cierpieniem, że życie jego jest przez nie zagrożone, to też wszystkie swe zdolności i wysiłki zużywa człowiek, aby siły te opanować lub przynajmniéj ustrzedz się zabójczego ich działania. Nie zawsze i nie wszędzie udawało mu się to nawet w części, jedynie w strefach umiarkowanych mógł człowiek zapanować nad otaczającą go naturą, a wszystkie wielkie cywilizacye,

czyli ogniska postępu, które znaczą w dziejach świata, w strefach umiarkowanych biorą swój początek i rozwijają się. Ani temperatura podbiegunowa, ani podzwrotnikowa, ani natura zbyt uboga, ani zbyt bujna i bogata, nie są żywiołami, pośród których rodzaj ludzki znajduje sprzyjające dla siebie warunki istnienia; zbyt trudne warunki materyalne, jak i zbyt łatwe, stają na przeszkodzie udoskonalaniu się człowieka, tak jedne jak i drugie zabijają w nim energię do czynu, jak tego dowiódł Buckle co się tyczy pierwotnego człowieka, na podstawie swych badań historycznych.

Na zasadzie świadectw historyi, a nawet zwykłéj obserwacyi, można zastosować rozumowanie Bucle'a i do człowieka cywilizowanego, gdy chodzi o określenie stosunku warunków zewnętrznych do jego udoskonalenia i produkcyjności pracy. Najwyższego stopnia wysiłku umysłowego i fizycznego nie daje on wtedy, kiedy ma zaspokojone wszystkie potrzeby, kiedy niczego nie pragnie oprócz nowych sztucznych wrażeń, ani gdy trudne materyalne warunki, codzienne i nieustające troski o środki bytu dla siebie i rodziny przygniatają go swym ciężarem, lecz wtedy, gdy zachęcony dodatniemi rezultatami swych wysiłków i starań, a mając przed sobą cel, do którego dąży, ma zarazem dosyć sił i zapału, aby pokonywać opór, jaki napotyka.

III.

Drugim czynnikiem produkcyi bogactw jest sam człowiek, czyli własna jego praca; był czas, że zajmowano się bardzo wiele pytaniem, który z czynników produkcyi jest ważniejszy: praca, czy bogactwa naturalne, jedni, jak fizyokraci, utrzymywali, że jedyném źródłem bogactw jest natura, drudzy, a na ich czele Ricardo, przypisywali jéj nieznaczną i podrzędną rolę w produkcyi, stawiając pracę na pierwszém miejscu; dopiéro John Stuart Mill zwrócił uwagę, że ta kwestya jest małéj wagi i że rozstrzygnąć jéj nie można, gdyż obadwa te czynniki są równie niezbędne a jeden bez drugiego nie posiada żadnego znaczenia ekonomicznego.

Wszelka praca musi się zawsze składać z dwóch różnéj natury pierwiastków, fizycznego i moralnego (umysłowego), pracy muskułów i pracy mózgu; pierwszy mieści się w wysiłku zewnętrznym, objawy zaś jego widome, dotykalne przybiérają kształty; drugi tkwi w wysiłku wewnętrznym, ukrytym dla oka, wyrażającym się nie funkcyą muskułów, lecz natężeniem myśli. Innemi słowy: każda bez wyjątku praca

wymaga głowy, którąby dawała rozkazy, oraz rąk, któreby rozkazy owe wykonywały.

W niektórych rodzajach pracy dwoistość ta i różnorodność w naturze jéj pierwiastków, bardziéj bywa widoczna i w pewnéj znajduje się równowadze; są jednak zajęcia, w których pierwiastek umysłowy, zredukowany do *minimum*, uchodzi uwadze powierzchownego badacza, oraz inne, w których pierwiastek fizyczny znika pozornie zupełnie, a pierwiastek umysłowy zdaje się stanowić sam jeden całą treść i istotę pracy. W rzeczywistości jednak tak nie jest; pomimo że często spotykać można określenia praca fizyczna i praca umysłowa, które są jedno drugiemu przeciwstawiane i zdają się wzajemnie wykluczać, żadna z nich, w jednym i tym samym osobniku, samodzielnie bez pomocy drugiéj, istniéć nie może; nie ma pracy muskułów, która by się mogła obejść bez pomocy umysłu, ani pracy umysłowéj, któréjby nie towarzyszyły zewnętrzne objawy fizyczne, a przynajmniéj wewnętrzne funkcye fizyologiczne. Stosunek jednéj pracy do drugiéj może być rozmaity, jedna może nad drugą przeważać, lecz nigdy nie wykluczają się one, ściśle są ze sobą związane i wzajemnie się uzupełniają.

Jednakże podział pracy, przeniknąwszy do saméj jéj istoty, narusza coraz więcéj równowagę pomiędzy fizycznym a umysłowym pierwiastkiem pracy, różniczkując je do ostatecznych granic; dzieje się to zawsze ze szkodą organizmu, zwłaszcza jeżeli ten ostatni pierwiastek bierze przewagę i prawie wyłącznie treść pracy stanowi. Higiena stara się zaradzić złemu, zalecając ludziom przeciążonym pracą umysłową, ćwiczenia ciała, ruch i zmęczenie fizyczne; podział pracy mechanicznéj i jéj specyalizacya nie przytępia inteligencyi i nie przynosi złych rezultatów, których się obawiano; „co się stanie z robotnikiem, który będzie całe życie robił łebki od szpilek!” wołali przeciwnicy podziału pracy, otóż doświadczenie pokazało, że niczém się oni nie różnią od swych towarzyszy.

Z wyjątkiem przemysłu rolnego, prawie we wszystkich gałęziach produkcyi, widziéć można stałe dążenie do oddzielania fizycznego pierwiastku pracy od umysłowego i doześrodkowywania ich w jednych i tych samych jednostkach, kierownikach lub wykonawcach; jest to charakterystyczną cechą nowoczesnego przemysłu, skutkiem ulepszeń technicznych i objawem ze wszech miar pożądanym, ze względu na potężny wpływ, jaki wywiera na podniesienie produkcyjności pracy ludzkiéj; posiada on jednak pomimo to licznych przeciwników, gdyż się sprzeciwia zasadzie równości bezwzględnéj. Próbowano nawet prowadzić współdzielcze przedsiębiorstwa przemysłowe, nie stosując się do praw ekonomicznych, lecz zgodnie z ową zasadą, w któ-

rychby dwa pierwiastki pracy nie były różniczkowane, kierujący byli równocześnie wykonawcami a wykonawcy kierującymi. Przedsiębiorstwa takie nie posiadały warunków istnienia i jak to łatwo można było przewidziéć, trawione anarchią, musiały upaść.

Jakąkolwiek postać przybierze praca, czy będzie w niéj przeważał pierwiastek fizyczny czy umysłowy, zawsze wymagać ona będzie wysiłku, związanego z przymusem i przykrością, która w warunkach zwykłych, normalnych, bywa przez człowieka unikaną. Z alternatywy wysiłku, na jaki go dana praca naraża i z niezaspokojonych potrzeb, któreby mógł za pomocą pracy téj zadowolnić, wybiera on zawsze mniejsze cierpienie, mniejsze złe, a raczéj to, co mu się niém być wydaje. Natura celu, jaki człowiek pragnie osiągnąć, wzniosłe dążenia, zamiłowanie do danego zajęcia oraz jeszcze inne względy mogą czasem zmniejszać i zacierać przykrości towarzyszące pracy, ale sam wysiłek, zwalczanie oporu, istnieje zawsze i nic go zastąpić nie może, czy będzie on zewnętrzny i widoczny, jak przy pracy fizycznéj, czy też wewnętrzny i ukryty, jak przy pracy umysłowéj. Dlatego też człowiek dążył zawsze i nadal do tego dążyć będzie, aby pracując otrzymywał jaknajwiększe rezultaty kosztem jaknajmniejszych wysiłków; jest to jeden z najbardziéj charakterystycznych, naturalnych objawów instynktu samozachowawczego, znany w nauce pod nazwą prawa ekonomii sił.

Działanie prawa ekonomii sił rozmaite przybiéra kształty, wynikiem jego w sferze zjawisk ekonomicznych jest dążenie do zwiększania produkcyjności pracy ludzkiéj, czyli jéj siły wytwórczéj; instynktownie stara się człowiek o to, aby z jednéj strony zmniejszać wysiłek, kosztem którego zaspakaja swe potrzeby i unika nieodłącznych od nich cierpień, z drugiéj zaś zwiększać o ile może rezultaty tego wysiłku. Dążeniu temu winna ludzkość wszelki wzrost produkcyi, dzięki któremu coraz większa ilość potrzeb może być zaspokojona.

Oprócz przyrody i jéj sił, które, jakeśmy to powiedzieli, mogą być człowiekowi mniéj lub więcéj sprzyjające, istnieją jeszcze liczne warunki natury społecznéj, mogące wpływać dodatnio lub ujemnie na stopień produkcyjności pracy, należy do nich zaliczyć: właściwości i zdolności rasowe, wierzenia religijne, formy prawne, instytucye polityczne, zasady moralne a przedewszystkiém inteligencya czyli zdobycze naukowe, wolność pracy oraz jéj podział.

Dopóki prawo ekonomii sił działając automatycznie ograniczało się na odruchach i nie wyszło po za granice instynktu, przynosiło ono rezultaty nieznaczne i krótkotrwałe, które dopiéro wtedy zaczęły się utrwalać i wzrastać, gdy z rozwinięciem się w jednostkach świadomo-

ści zostało ono poparte i pokierowane inteligencyą i wiedzą. Jeżeli w pracy saméj jako wysiłku, nie zważając na stopień jéj produkcyjności, główną rolę odgrywa siła muskułów, to gdy chodzi o tę produkcyjność, należy przedewszystkiém miéć na uwadze wewnętrzy, umysłowy pierwiastek pracy. Wszelki wysiłek fizyczny ściśle jest ograniczony, natężenie muskułów człowieka nie może przekroczyć pewnego określonego *maximum*; to téż cały wzrost produkcyjności pracy, wszelki postęp ekonomiczny, stojący w jakimkolwiek z nią związku, należy przypisać wewnętrznéj pracy człowieka nad sobą, czyli siłę jego umysłu, która wzrasta bezustannie. Umysł zaś, jak widzimy, obejmuje coraz szersze widnokręgi i jakkolwiek nie przeniknie nigdy całkowicie ciemności, które go otaczają, ale wciąż je w koło siebie rozpraszać będzie, co mu pozwoli określać z coraz większą dokładnością miejsce, jakie człowiek w naturze zajmuje. Jedynie oceniając w świetle rzeczywistości stosunek swój do zjawisk natury, poznaje człowiek samego siebie, wié jakie są jego potrzeby i do czego dążyć powinien. Wszelki postęp, a więc i postęp ekonomiczny zależy też przedewszystkiém od znajomości praw natury, od dokładnego zrozumienia jéj zjawisk i ich wzajemnego stosunku; w produkcyi zasadza się on na umiejętném kierowaniu pracą, na najkorzystniejszém wyzyskiwaniu i użytkowaniu wysiłków muskularnych, które odgrywają wobec kierującéj niemi myśli pracującéj rolę narzędzi mechanicznych, pożytecznych i niezbędnych, lecz czerpiących z niéj całą swą siłę i żywotność. Będąc świadomym celów, do których dąży, i wiedząc jakiemi środkami najłatwiéj cele te osiągnąć może, nadaje człowiek swojéj działalności kierunek pozwalający mu zaspokoić coraz większą ilość rzeczywistych swoich potrzeb.

Aby jednak wysiłki i starania człowieka nie były bezowocne albo nie szły w znacznéj części na marne, musi praca jego być wolną, czyli postawioną w normalnych warunkach społecznych bez ścieśnień i innych ograniczeń z wyjątkiem zasady słuszności, czyli równéj wolności innych ludzi. Wolność taka winna się stosować do wszystkich postaci, jakie praca przybiera jakotéż i do form prawnych, które jéj dotyczą i są z nią związane, gdyż te bezpośrednio lub pośrednio zawsze silnie oddziaływają na jéj produkcyjność. Dlatego téż określenie „w o l n o ś c i p r a c y" zawiéra w sobie nie jedną ale kilka wolności, jako to: 1) wolność w wyborze rodzaju zajęcia, 2) wolność posiadania, 3) wolność umowy, 4) wolność kapitału, 5) wolność zamiany, a każda z nich jest sankcyą pewnéj grupy zasadniczych dążeń i potrzeb naturalnych człowieka, z których się składa jego życie społeczne i ekonomiczne.

Sto lat mija dopiéro, jak wolność pracy, przyjęta przez prawodawstwa, stała się zasadniczą formą dzisiejszéj organizacyi ekonomicznéj, jak usunięte zostały główniejsze zapory legalne, stawiane swobodnemu działaniu prawa ekonomii sił, a pomimo licznych ograniczeń, jakim podlega jeszcze praca w wielu prawodawstwach, dodatnie wyniki téj zmiany, pod postacią wzrostu produkcyi zbyt są widoczne w przeciągu ubiegłego stulecia, aby potrzeba je było wykazywać. Wolność jest brakiem przeszkód, jest czynnikiem negacyjnym produkcyjności pracy i dla tego bywa prawie zawsze wykluczany z rzędu przyczyn, którym przypisują świetny rozwój przemysłu naszego wieku; para, elektryczność, ulepszenia techniczne, środki komunikacyi zabiérają wszystkie laury, gdy doniosłość wolności pracy, będącéj źródłem postępu ekonomicznego, nie miewa ogólnego uznania. Tak naprzykład klasa robotnicza, która niezaprzeczenie jéj jest winna polepszenie swéj doli i swego bytu, otwarcie i zawzięcie przeciwko niéj walczy; ten objaw zaślepienia występuje z największą siłą w zachodniéj Europie, robotnicy tamtejsi wprowadzeni w błąd niemogącemi ziścić się obietnicami i nadziejami, niszczą własnemi rękoma z takim trudem uzyskaną przez praojców wolność pracy i nie wahają się nadstawiać karków pod tyrańskie jarzmo socyalizmu.

Pomimo że przemysł współczesny rozwinął się dzięki wolności pracy i z niéj czerpie swą potęgę, spadek po wiekach pracy przymusowéj ciąży jeszcze na społeczeństwach nowożytnych pod postacią ceł ochronnych, ograniczeń produkcyi oraz przeróżnych kombinacyi filantropii państwowéj, to też i dziś jeszcze przesądy ekonomiczne i polityczne są powodem, że niezmierna ilość sił, zamiast być kierowaną zgodnie z prawem ich ekonomii, bywa zużywana przeciwko temu prawu i ulega bezowocnemu i nieprodukcyjnemu zniszczeniu. Najszkodliwszym z tych przesądów jest żądanie poparcia i opieki dla „pracy narodowéj" dla „przemysłu krajowego; nie bacząc na to, że praca jako wysiłek nie jest celem lecz środkiem i że nie powinno chodzić o popieranie saméj pracy (któréj przeciwnie należy unikać), lecz o jéj rezultaty i owoce, większość prawodawców sądzi, że oddają społeczeństwom usługi gdy przeszkadzają zamianie międzynarodowéj, zmuszają do kosztowniejszéj produkcyi, czyli do znaczniejszych ofiar i wysiłków, byleby nie pozwalać na konsumcyę produktów „obcego pochodzenia", a to w imie jakiegoś źle zrozumianego i szkodliwego patryotyzmu. Zwiększać w społeczeństwie pracę i nieodłączne od niéj cierpienia bezskutecznie i narażać je prócz tego na marnotrawstwo bogactw naturalnych, jestto skazywać je po części na „pracę Penelopy," która jak słusznie zauważył Chevalier, pomimo że nie przestanie nigdy

świécić w historyi wierności małżeńskiéj, pięknym przykładem, jednakże nie byłaby mogła domu utrzymać ze swojéj pracy i musiała miéć inne jeszcze źródła dochodu.

Przez podział pracy, wogólném tych słów znaczeniu, należy rozumiéć zjawisko, którém się zajmują zarówno nauki przyrodnicze jak i nauki społeczne, a zasadzające się na ciągłém wykonywaniu jednéj i téj saméj funkcyi, czy to przez tę samą komórkę w organizmie zwierzęcym, czy też przez tego samego człowieka, ową komórkę społeczną, w społeczeństwie. Już w starożytności Plato w swéj „Rzeczypospolitéj“, Arystoteles w „Polityce” i inni, zwrócili uwagę na podział pracy w społeczeństwie, dopiéro jednak Adam Smith poddał go ścisłemu badaniu naukowemu, wykazał jego znaczenie i skutki, przykład zaś zaczerpnięty z fabrykacyi szpilek, którego użył, aby objaśnić i uprzystępnić swe dowodzenie, stał się klasycznym. Adam Smith dzieli skutki podziału pracy na trzy grupy: 1) rozwija on w robotnikach zręczność i wprawę, 2) zaoszczędza czas, który muszą tracić na przechodzenie od jednego zajęcia do drugiego, nazywany przez Francuzów *le temps de la mise en train*, 3) doprowadza do wynalezienia narzędzi, maszyn i do ulepszeń technicznych. Klasyfikacya ta została uzupełniona dwoma spostrzeżeniami, które uczynił Babbage: 1) zastosowanie podziału pracy zmniejsza czas potrzebny na wyuczenie się jakiegoś rzemiosła, gdyż czyni wystarczającém przyswojenie sobie pewnéj określonéj czynności, kiedy inne operacye, wchodzące w zakres danego rzemiosła, mogą pozostać nieznane. 2) w rzemiosłach, w których każda czynność wymaga różnego rodzaju i stopnia zręczności i siły, podział pracy pozwala zastosowywać do każdéj z nich potrzebną zręczność i siłę, nie przeciążając jednych i nie marnując czasu i zdolności drugich, co wpływa na znaczne zmniejszenie kosztów produkcyi, na obniżkę cen a tém samém na wzrost konsumcyi.

Podział pracy umysłowéj, czyli specyalizacya, nie mniejsze posiada znaczenie i tutaj zaoszczędza on wysiłek i pozwala na użycie go produkcyjniéj; skombinowany z wolnością pracy podział jéj otwiéra dla myśli ludzkiéj niezmierzone horyzonty. Im więcéj w pracy przeważa pierwiastek umysłowy nad fizycznym, tém różniczkowanie zdolności i upodobań szybciéj, łatwiéj się odbywa i głębiéj sięga; władze ludzkiego umysłu, gdy żadne sztuczne przeszkody nie są im stawiane, tam się kierują, gdzie je skłaniają naturalne ich własności, normalne warunki i gdzie najswobodniéj mogą się rozwijać, unikając trudnych lub niemożliwych do zwalczenia przeszkód. Podział pracy dotyczy przeważnie stosunku ludzi jednych do drugich i na nim to opiéra się zasada solidarności, ten czynnik społeczny pierwszorzędnego znaczenia;

przy współdziałaniu i wspólnéj pracy, ludzie organizują swe wysiłki i kierują niemi, mając na uwadze jeden i ten sam wspólny cel, czyli wspólność interesów, które to zjawisko ekonomiczne i w etyce ważną odgrywa rolę, jako jedna z najsilniejszych podstaw miłości chrześciańskiéj. Ten wspólny cel osiągają oni najłatwiéj, kiedy umieją ocenić różnice swych sił i zdolności, powierzając każdemu właściwą funkcyę i naznaczając mu odpowiednie miejsce: *„the right man in the right place."*

IV.

Ostatnim z trzech czynników produkcyi jest kapitał, w zwykłym języku codziennym, określenie to obejmuje jedynie sumy pieniężne, oraz papiéry wartościowe, które je bezpośrednio reprezentują, ścisłe jednak naukowe określenie jest inne, a w ekonomii politycznéj nazwę tę nosi wszelki rezultat pracy ludzkiéj, mający być użyty do nowéj, dalszéj pracy, a więc narzędzia, maszyny, zakłady przemysłowe, zwierzęta domowe i t. d.; to też znaczenie wyrazu kapitał jest daleko szersze, aniżeli mu ogół zwykle przypisuje, obejmuje on wszystkie wyprodukowane bogactwa, nie przeznaczone na natychmiastowe zużycie, lecz pozostawione na przyszłość jako pomoc i zapas sił, a te kilka słów powinny wystarczyć, aby zrozumiéć doniosłość, jaką kapitał posiada w społeczeństwie. Tak jednak nie jest, kapitał należy do zjawisk ekonomicznych błędnie pojmowanych i źle ocenianych, wynika z tego, że wszystkie prawie związane z kapitałem kwestye społeczne, przedstawiają się ogółowi w fałszywém świetle, dlatego też John Stuart Mill przypisuje większą część przesądów i błędów ekonomicznych złemu zrozumieniu istoty kapitału.

Wszelki kapitał jest bogactwem, ale bogactwem, mającém pewne, ściśle określone przeznaczenie; tak jak wszystkie inne bogactwa może on służyć do natychmiastowego zaspokojenia potrzeb ludzkich, ale w takim razie ginie, traci zasadnicze swoje cechy, przestaje istniéć jako kapitał jest skonsumowany i już człowiekowi daléj służyć nie może. Późniejsze generacye mogą tylko z takich bogactw korzystać, które zostały użyte z celem, aby im służyć za pomoc w pracy, a więc z bogactw skapitalizowanych, od nich to zależy postęp ekonomiczny i materyalna potęga człowieka; bez kapitału znalazłby się on wobec natury nędzny i bezbronny, tak jak przedhistoryczni jego przodkowie; człowieka takiego nie umiemy sobie dziś wystawić, chyba jeden Labruyère może nam dać o nim przybliżone pojęcie w przesadnie czarnym obrazie współczesnego mu chłopa francuskiego, jaki nam pozostawił.

Antagonizm i niezgoda, istniejące pomiędzy kapitałem a pracą, są bezpodstawne i wynikają z powierzchownych nieporozumień, nie zaś ze sprzeczności interesów, a praca bez kapitału, jak kapitał bez pracy, obejść się nie mogą. Kapitał dostarcza pracy tym, którzy jéj poszukują; „wzrost kapitałów — powiada Sismondi — jest najsilniejszym bodźcem do pracy, czy to dlatego, że wzrost ten pociąga za sobą wzrost dochodów, a tém samém środków konsumcyi, czy dlatego, że kapitały o tyle tylko przynoszą swym właścicielom korzyści, o ile są użyte, co zmusza kapitalistów do wyszukiwania wciąż nowych gałęzi produkcyi." Wystarcza porównać kraje obfitujące w kapitał z krajami, które go są pozbawione, aby zobaczyć wpływ jego na dobrobyt i na produkcyjność pracy.

Say przyznaje się, że nie rozumié, jakim sposobem mógł powstać pierwszy kapitał, gdyż wymagał on poprzedniego istnienia jakiegoś kapitału, wątpi nawet, czy danėm będzie kiedy człowiekowi przeniknąć tę tajemnicę, obecnie rozwiązanie tego zadania nie przedstawia trudności; kapitał powstaje z oszczędności i zawsze z oszczędności, do jakiéjkolwiek epoki zwrócimy się myślą; dopóki człowiek był zmuszony zużywać cały czas, jakim rozporządzał, na wyszukiwanie sobie pożywienia i zaspakajania niezbędnych potrzeb, wszelka kapitalizacya była niemożliwa, dopiéro kiedy mu się udało, zaspokoiwszy głód, miéć chwilę wolnego czasu i gdy doszedł do odpowiedniego stopnia umysłowego rozwinięcia, mógł się zaopatrzyć w narzędzia z drzewa, kości lub kamienia, co jest, jak wiadomo, pierwotną postacią kapitału. „Produkuję przez jeden dzień — powiada Emil de Laveley — tyle, że mi to wystarcza na trzy dni i korzystam z dwóch dni wolnego czasu, aby sobie zrobić szpadel, który mi pozwoli wydobyć z ziemi więcéj produktów w krótszym przeciągu czasu. Będę miał tym sposobem jeszcze więcéj czasu do rozporządzenia i łatwiéj mi będzie dojść do nowych narzędzi. Wszelki postęp ułatwia i przyśpiesza dalszy postęp."

Powiadają że źródłem kapitału jest praca, że kapitał jest nagromadzoną pracą, określenie to nie jest ścisłe, gdyż zawiera tylko jeden z czynników wytwórczych kapitału — pracę, pozostawiając na uboczu drugi czynnik, niemniéj ważny—oszczędności. Jeżeli nie jest ważniejszy, jest on równie niezbędny, a jak utrzymuje Adam Smith, bardziéj bezpośredni: „Bezpośrednią przyczyną wzrostu kapitału nie jest przemysł lecz oszczędność." W saméj rzeczy, co to jest nagromadzona praca, czy jest to kapitał? Nie. W pustyniach Afryki widnieją piramidy, są to rezultaty olbrzymich wysiłków milionów ludzi, jestto bezwątpienia nagromadzona praca ale nie kapitał. Aby mógł on powstać trzeba, aby praca została użytą produkcyjnie, aby mogła się odrodzić

pod postacią rzeczy użytecznych, które znów przyczynią się do dalszéj produkcyi; dopóki oszczędność nie pokieruje nagromadzoną pracą tak aby została ona skonsumowaną produkcyjnie, kapitał istnieć nie może. Bardzo wiele wysiłków i pracy można zużyć bez rezultatu, albo téż nie kapitalizując ich, na zaspokojenie natychmiastowe potrzeb ludzkich; jednakże gdyby jaka generacya użyła w ten sposób całego produktu swéj pracy, nie zaoszczędziwszy nic, następna generacya rozporządzałaby już mniejszym kapitałem, gdy sam czas go zużywa i wciąż odnawianym być musi, a gdyby wszystkie generacye, które nas poprzedziły, wolały wydawać niż oszczędzać, żylibyśmy dziś w nędzy i stanie dzikości i barbarzyństwa, graniczącym z dolą dzikich zwierząt. Należy też wytworzyć sobie jasne pojęcie o kapitale i o znaczeniu oszczędności, gdyż — jak powiada Say — „nie ma cnoty, któraby miała większy wpływ na losy ludzkie.”

W. Domański.



ROZBIORY I SPRAWOZDANIA.

Jana Kochanowskiego „Dzieła wszystkie.“ Wydanie pomnikowe. Tom czwarty. Część pierwsza. W Warszawie, 1884.

Na okładce wydrukowano, że książka została wydana w roku 1884. Tymczasem dzieło wyszło dopiéro przed miesiącem niespełna, we wrześniu roku 1897, czyli, że w trzynaście lat późniéj, aniżeli trzy poprzednie tomy, które istotnie wyszły w r. 1884. Czemu przypisać to opóźnienie? Na to pytanie odpowiada w „słowie wstępném” prof. Roman Plenkiewicz, co następuje: „odpowiedzialność za opóźnienie tomu IV dzieł Jana Kochanowskiego niżéj podpisany przyjmuje w zupełności na siebie. Stawiając się jednak w stanie oskarżenia wobec całego zastępu osób, które to wydawnictwo, bądź udzieleniem funduszów na jego rozpoczęcie, bądź drogą prenumeraty tak skutecznie poprzeć raczyły, ośmiela się mniemać, że, jako obżałowanemu, przysługuje prawo usprawiedliwienia się, dlaczego całe wydawnictwo naraził na tak długie lata zastoju. Życiorys J. Kochanowskiego miał zająć w tomie IV jedno z pierwszych miejsc w porządku, przez program wydawnictwa wskazanym. Do jego téż skreślenia piszący przystąpił jednocześnie z wydaniem pierwszych trzech tomów, zamierzając według programu objąć w nim k r ó t k i r y s ż y c i a p o e t y i krytyczną ocenę jego utworów. W ciągu pracy jednak poczęły się ukazywać nowe prace o Kochanowskim, poczęto ogłaszać nowe materyały do jego życiorysu, a nadto chodziło o wyzyskanie archiwum aktów radomskich, na których uporządkowanie wypadało czekać do roku 1888. Następnie

w r. 1891 pojawiła się w „Ateneum”, w pracy prof. Brücknera p. t. „Nowe przyczynki do dzieł J. Kochanowskiego” wiadomość o nowowykrytym rękopisie Jana Osmólskiego, znajdującym się w Bibliotece Cesarskiéj w Petersburgu, wiadomość, równająca się odkryciu dokumentów pierwszorzędnéj wagi odnośnie do życia i twórczości Jana z Czarnolasu. Jednocześnie, w miarę uwzględnienia tych nowych źródeł, rosła i objętość pracy, a rosła w tak imponujący sposób, że z projektowanego „krótkiego rysu życia poety” przybrała olbrzymie rozmiary jednéj z najobszerniejszych monografii, jakie potrafimy wymienić w naszéj literaturze historycznéj. Gdy ukończono druk rzeczonego tomu czwartego, okazało się, że sam życiorys zajął 661 bitych stron wielkiego formatu, tak, iż okazała się potrzeba wydrukowania tomu piątego dodatkowego. Tom ten, mający zawierać rozprawy zapowiedziane w przedmowie do tomu pierwszego, oraz kilka niedrukowanych utworów piewcy Trenów, ma wyjść niebawem... Tymczasem godzi się choć kilka słów powiedziéć o czwartym, o życiorysie poety. Autor nazwał go: „Jan Kochanowski, jego ród, żywot i dzieła.” Zapowiédź obiecująca! Mimo to, autor daje znacznie więcéj, niż zapowiada; bo gdyby chciał w tytule wymienić wszystko, o czém się rozpisuje w swéj pracy—niejednokrotnie rozpisując się nadzwyczaj obszernie — wtedy dzieło powinno być zatytułowane: „Jan Kochanowski, jego ród, żywot i dzieła, na tle współczesnéj epoki.” To szerokie podmalowanie epoki—która jest może najpiękniejszym okresem w dziejach naszego cywilizacyjnego rozwoju — epoki, która niedarmo nazywa się złotym wiekiem, jest jedną z największych zalet książki, ale jednocześnie jest i jéj wadą także. Te wszystkie rozdziały, w których autor daje barwne obrazy Krakowa, Padwy, Wenecyi, Bolonii, Paryża, etc., a które wzięte same w sobie, są nadzwyczaj interesujące dla czytelnika, te wszystkie rozdziały włączone do książki o Kochanowskim, nadwyrężają architektonikę całości, sprawiają, że Kochanowski zamiast plastycznie występować na tle swojéj epoki, ginie wobec zbyt wielkich rozmiarów tego tła, roztapia się w niém. Ale nie można się dziwić autorowi, że to tło tak bardzo wysunął na pierwszy plan obrazu, że niezawsze podmalowując je, przestrzegał praw perspektywy. Pokusa była zbyt wielka, ażeby o téj epoce humanizmu w literaturze i renesansu w sztukach plastycznych nie rozpisać się obszerniéj! Dla piękności téj kultury włoskiéj, przeniesionéj na grunt polski, na którym tak się przyjęła, można poświęcić wiele, nawet akademicką klasyczność proporcyi! Cóż z tego, że czasem Kochanowski zniknie w obrazie swego czasu, kiedy o Kochanowskim, o jego życiu prywatném, pewnych danych posiadamy tak niewiele (nie więcéj niż o Dan-

tem lub Szekspirze), a o wieku XVI-ym da się skréślić tyle rzeczy pięknych. Czytelnik z pewnością będzie wdzięczny autorowi, czytając te zbyt obszerne rozdziały o uniwersytetach włoskich, paryskim i krakowskim, za czasów twórcy „Trenów”, a choć zgodzi się na to, że w stosunku do rozdziałów, traktujących o Kochanowskim samym, zajmują za wiele miejsca w książce, to jednak będzie rad z ich przeczytania, bo mało posiadamy dzieł, z którychbyśmy tyle mogli się dowiedzieć o wieku XVI-ym, co z téj monografii prof. Plenkiewicza. Mniéj zajmujące, jako lektura, są te rozdziały, gdzie jest mowa o „rodzie” Kochanowskiego, o jego przodkach i krewniakach, o ich ciągłych procesach z sąsiadami. Bądź co bądź, są to szczegóły: 1) nowe zupełnie, po raz pierwszy dane do poznania czytelnikowi polskiemu, a 2) niezmiernie charakterystyczne: bez tego balastu procesów, zastawów, prawnych kontraktów, etc. — słowem, bez tego balastu pieniactwa, tak znamiennego dla naszéj szlachty z czasów Kochanowskiego i Reja, książka nie dawałaby kompletnego obrazu epoki, a tém samém dawałaby o niéj pojęcie fałszywe. Jest to prozaiczna strona téj książki o poecie i jego rodzinie, ale niezbędna. Trudno, życie ludzkie, nawet życie poety, nie jest poematem, ale rzeczywistością, a w rzeczywistości nie obywa się bez prozy. Co się tyczy Kochanowskiego, to dalibyśmy wiele za to — a szczególniéj wiele dałby za to prof. Plenkiewicz — gdybyśmy o jego życiu, nawet o prozaicznej stronie onego, więcéj wiedzieli na pewno, a mniéj byli zmuszeni przypuszczać, gdybyśmy, kréśląc dzieje tego żywota, rozporządzali obfitszym materyałem historycznym, a mniéj byli zniewoleni budować na tak niepewnych fundamentach, jak hypotezy. Niestety, prawie cały żywot twórcy „Fraszek” wypada odtwarzać na podstawie mniéj lub więcéj prawdopodobnych hypotez, z których każda może budzić mniéj lub więcéj poważne wątpliwości: każda może być zakwestyonowana, przy każdéj można postawić znak zapytania. Wiemy, że Kochanowski kształcił się na uniwersytetach zagranicznych, że studyował w Wenecyi, Padwie, Bolonii i Paryżu, że podróżował po Włoszech, że w tych czasach pisał swoje łacińskie elegie, że się kochał, etc., — ale wszystko to jest spowite w tak gęstą mgłę rzeczy niepewnych, że wszystkiego domyślamy się tylko, że ciągle gubimy się w przypuszczeniach, że prawie niczego nie wiemy na pewno, a to, co uważamy za mniéj lub więcéj pewne, to najczęściéj jesteśmy zmuszeni wnioskować na podstawie dzieł poety, na podstawie jego elegii łacińskich. Wiadomo zaś, jak niebezpieczną jest ta metoda uciekania się do dzieł poety, gdy chodzi o jego życie prywatne. A jednak, chcąc jako tako odtworzyć życie Kochanowskiego, trzeba wyłącznie prawie trzymać się téj zdradliwé

metody. Czyni to też i prof. Plenkiewicz, a godzi się przyznać na jego pochwałę, że choć domyśla się i przypuszcza — z konieczności — bardzo wiele, to jednak w większéj części wypadków zdaje się być bardzo bliskim prawdy, a przynajmniéj trafia do przekonania czytelnikowi. Z drugiéj strony, rozporządzając o wiele bogatszym materyałem, niż ten, na którym w r. 1888 oparł swą książkę o Kochanowskim prof. St. Tarnowski, miał możność obalenia znacznéj liczby hypotez, które, jak się okazało, nie wytrzymały próby nowo-odkrytych źródeł, a następnie mógł na niejedną kwestyę, przez swego świetnego poprzednika nie wydobytą z mroku niepewności, rzucić całe snopy jaśniejszego światła. Pod tym względem stanowi dzieło prof. Plenkiewicza w stosunku do dawniejszych monografii olbrzymi krok naprzód, że zaś, jako napisane językiem pięknym i czystym, nie skażonym żadnemi naleciałościami, posiada i wysokie zalety literackie, więc można tuszyć, że sobie zjedna to uznanie pośród naszego czytającego ogółu, na jakie zasługuje. *F. H.*

NOWOŚCI NAUKOWE I LITERACKIE.

— *Stanisław Kluczycki.* **Mrówki.** Szesnaście pogadanek z notatek. W Krakowie, 1897. — Nie pierwszy raz spotykam się z nazwiskiem p. Kluczyckiego. Miałem kiedyś przesłaną mi do oceny pracę jego p. t. „Niebo i ziemia" i pamiętam, że zewnętrzna strona tego wydawnictwa była bardzo wytworna. Z tém samém wrażeniem zamykam nową pracę jego. O! gdyby treść odpowiadała zewnętrznéj formie! Tym razem p. Kluczycki z „notatek" swoich dał nam „szesnaście pogadanek" o mrówkach. Wyliczył sporo gatunków, dał krótki, anatomiczny opis ich ciała, wplótł w to wszystko sporo gawędziarstwa, jakiéjś dobroduszności w opowiadaniu; ale skończywszy jego książeczkę, czytelnik nie wiele wié o mrówkach, ma jakby chaos w głowie od cytat, nazwisk i nazw łacińskich i jeszcze większy zamęt od filozoficznych refleksyi autora. Zadziwia bardzo język p. Kluczyckiego, mający zwroty zgoła nie polskie. Cała praca, w któréj znać, że z nieobrobionych była czerpana notatek, robi wrażenie rzeczy nie do druku pisanéj, ale ku osobistemu zadowoleniu. Doskonałe drzeworyty nie pomogą tu zupełnie, zarówno jak liczne cytaty i spisy autorów, pomiędzy którémi ze źdźiwieniem napróżno szukałem sir Johna Lubbocka. Pożądaném byłoby, aby autor, podejmujący się pisania dzieł popularno-przyrodniczych, więcéj dbał o czystość języka i odpo-

wiednią formę. Jest to przecież jedno z najwdzięczniejszych pól dla każdego pisarza; szkoda, że do téj pracy zabierają się czasem ludzie nie dosyć kompetentni. *K. D. S.*

= **Geschichte der Englischen Literatur von den ältesten Zeiten bis zur Gegenwart.** Von Professor Dr. *Richard Wülker.* Lipsk i Wiedeń. Instytut bibliograficzny. In 8-vo, 150 ilustracyi w tekście, 25 miedziorytów i drzeworytów, 11 tablic. — Instytut bibliograficzny zamierza wydać szereg dzieł ilustrowanych, odtwarzających dzieje piśmiennictwa wszystkich wybitniejszych narodów; rozpoczęto od literatury angielskiéj. Przedsięwzięcie tego wydawnictwa świadczy najlepiéj, że ilustrowanie dzieł naukowych, przez pewien czas zaniechane, znowu odzyskuje swoje prawa; nie miałoby ono racyi bytu tylko wtedy, gdyby tekst w książce podrzędną odgrywał rolę, służąc jedynie dla objaśnienia ilustracyi, — natomiast w wydawnictwach, nie mających charakteru wyłącznie naukowego, a przeznaczonych dla szerszych kół inteligencyi, jak to ma miejsce z omawianą przez nas książką, ilustracye stanowią niezbędne dopełnienie dzieła, dzięki im bowiem, kreślone obrazy silniéj uplastyczniają się w pamięci czytelnika; portret, *facsimile* rękopisu lepiéj odtwarzają w naszéj wyobraźni ludzi i dzieła minionych czasów, niż najbardziéj wyczerpująca charakterystyka, skréślona przez historyka literatury. — Wülker, nie rozwodząc się długo nad szczegółami, postawił sobie za zadanie opracować, na podstawie naukowych badań, dzieło dla wszystkich dostępne i z tego bez zarzutu się wywiązał. Książka czyta się z wielkiém zajęciem; autor posiada dar jasnego, barwnego wykładu i umié uniknąć tak zwykłéj u Niemców oschłości. Omawiając arcydzieła poezyi, daje krótkie ich streszczenie, co z uznaniem podniéść należy. Większa część ilustracyi została bezpośrednio z oryginałów zreprodukowaną. Prof. Wülker jest gruntownym znawcą rękopiśmiennych zabytków literatury angielskiéj; wpływał widocznie i na wybór ilustracyi. Techniczna strona wydawnictwa ze wszech miar na pochwałę zasługuje. Pomiędzy kolorowemi reprodukcyami znajduje się nie jedno arcydzieło, jak np. *facsimile* początku Kantoberyjskich powieści Chaucera, jednéj z kart kroniki Froissarda i początku Ewangelii św. Jana. Na stronie 379 znaleźliśmy mały błąd. Pierwszy niemiecki przekład „Robinsona Crusoe" Defoégo ukazał się w r. 1720 nie we Frankfurcie i Lipsku, lecz, jak najnowsze badania wykazały, w Hamburgu u sukcesorów Tomasza Wieringa.

Wl. N.

= **„Gazeta Cukrownicza"**, która w d. 2-im b. m. rozpoczęła piąty rok istnienia, ogłosiła II-gi konkurs własny, z nagrodą rs. 300, za

najlepszą pracę wydrukowaną w „Gazecie” w ciągu roku 1897/98, a względnie nadesłaną do redakcyi najpóźniéj do dnia 1 września 1898 roku i traktującą jeden z poniżéj podanych tematów:

1) Działanie trzeciéj saturacyi.

2) Działanie wapna i saturacyi na sklarowanie mączki *resp.* odcieki niższych rzutów.

3) Działanie filtracyi kostnéj na oczyszczenie soków rzadkich i gęstych.

4) Zbadanie wpływu soli wapiennych, zawartych w sokach na wydajność cukrzyc.

5) Zbadanie przyczyn obniżania się alkaliczności soków.

6) Zbadanie wpływu, jaki wywiera zawracanie odcieku od 1-go rzutu na jakość i ogólną wydajność cukru.

7) Oznaczenie kleistości soku w różnych stadyach fabrykacyi i wpływu jéj na wydajność cukru.

8) Przy jakiéj temperaturze cukru różnych rzutów wirować należy, ażeby osiągnąć najlepsze rezultaty?

9) Pogląd krytyczny na najwłaściwsze przyrządy do podnoszenia i przenoszenia burakow, wysłodzin, cukrzyc lub gęstych odcieków.

10) Znaczenie i oszczędności przy zastosowaniu sokowarów, cyrkulatorów i t. p. urządzeń, jako przedwstępnéj stacyi przy stężaniu soków.

11) Urządzenie praktyczne ścisłéj kontroli ilościowéj w całym przebiegu fabrykacyi (mierniki, wagi, wodomiary i t. d.).

12) Nowe pomysły, zdążające do oszczędności w rozchodzie pary kotłowéj na fabrykacyę (para o wysokiem ciśnieniu, para przegrzana i t. p.).

Opracowane na powyższe lub w związku z niemi będące tematy—rozwiązania, oparte na własnych studyach bądź na warsztacie fabrycznym, bądź w laboratoryum, z uwzględnieniem dotyczącéj danego przedmiotu literatury i prac już ogłoszonych, winny być nadsyłane do redakcyi „Gazety cukrowniczéj” z godłem zastępującem nazwisko autora, którego podpis dołączony być winien w oddzielnéj kopercie zapieczętowanéj noszącéj toż samo godło.

Sąd konkursowy, złożony z siedmiu osób, przez redakcyę zaproszonych, mocen będzie nagrodę przeznaczoną rozdzielić w razie, gdyby z pośród prac sądzonych żadna wyróżnić się nie dała, lub gdyby znalazły się dwie lub trzy prace równéj wartości. W każdym razie nagroda pierwsza wyniesie nie niżéj dwustu rubli.

KRONIKA MIESIĘCZNA.



Rozprawa generalna czy specyalna. — Polemika bezowocna. — Różnice pozorne i istotne. — Przedmioty dyskusyi. — Konsekwencye nowego programu. — Charakter prowincyi zachodnich. — Równouprawnienie i tolerancya. — Stosunki kościelne. — Sprawy szkolne. — Administracya wewnętrzna. — Samorząd lokalny. — Reformy agrarne. — Rejestr nieskończony.

Już to po raz drugi w ciągu jednego roku doznajemy uczucia znużenia i przesytu zbyt ogólnikowemi rozprawami na temat stosunków polsko-rosyjskich.

Pierwszy taki moment był w styczniu r. b., gdy jeden z publicystów lwowskich, wzywając do zamknięcia „debaty ogólnéj", pisał co następuje:

„Doświadczeni parlamentarzyści wiedzą to dobrze, że zbyt rozwlekła dyskusya ogólna, w razie nadmiernego rozszerzania się, albo staje się płytszą—jak rzeka, rozlewająca się na szersze obszary—albo przechodzi w ton rekryminacyjny i drażliwy, zagrażający pomyślnemu wynikowi narad" („Gazeta Narodowa", Nr. 21).

Pewnik ten sprawdza się obecnie po raz drugi: oto znowu „Dziennik Poznański" nawołuje do zamknięcia rozprawy generalnéj i radzi przejść do specyalnéj. W rzeczy saméj czas na to wielki. Zdaje się, że po obu stronach — i w prasie polskiéj i w rosyjskiéj — wyłuszczono dość obszernie i jasno *ogólne* zasady i poglądy na stosunek do państwa rosyjskiego zamieszkałych w niém Polaków i na warunki rozwoju naszego bytu narodowego.

Po stronie polskiéj zasady te sformułowane zostały tak dobitnie i zgodnie z poczuciem powszechném, ze nawet ci, którzy koniecznie pra-

gną powiedzieć coś odmiennego, po wielu kołowaniach i zastrzeżeniach, kończą najdokładniéj na tém samém, co już wielokrotnie było wypowiedziane. Nawet w poglądach na sposoby działania niema różnic istotnych: to, co się potępia, jako niewłaściwe, gdy czyni ktoś inny, staje się najzupełniéj godziwém i odpowiedniém, skoro działa sam oponent. Różnice są natury osobistéj nie rzeczowéj, porozumienie się byłoby najzupełniéj możliwe, gdyby nie podział na koterye. Ubolewać więc tylko można nad tém, że poczucie interesu publicznego nie zapanowało nad małostkowością osobistych uraz, uprzedzeń, niechęci i zawiści. Kłócąc się pomiędzy sobą o rzeczy drugorzędne, o mniéj lub więcéj udatny *modus procedendi*, chełpiąc się publicznie z tego: „żem nie jest jako ów!” — żadnych nowych faktów nie stworzymy, a natomiast osłabiamy swoją siłę na zewnątrz.

Po stronie drugiéj — w prasie rosyjskiéj — różnice są bardziéj zasadnicze. Podkładem odmiennych zapatrywań na sprawę polską są tam różnice w tendencyach ogólnych, bądź zwracających się w kierunku humanitaryzmu, tolerancyi, zaufania do sił społecznych, bądź też opartych na zbyt ciasno pojętym unitaryzmie państwowym, na wyłączności narodowościowéj i wreszcie na wygórowaném zaufaniu do potęgi biurokracyi, do środków oddziaływania zewnętrznego, na nieufności do wszelkiéj akcyi społecznéj. Po za tém, różne pisma rosyjskie są przedstawicielami różnych interesów klasowych i poglądy ich zależne są od tego, jakiéj klasy społecznéj dany dziennik jest rzecznikiem. Tam więc różnice w poglądach są bardziéj niż u nas istotne, a ożywiona polemika, tocząca się od paru miesięcy *à propos* spraw polskich, bardziéj niż u nas usprawiedliwiona.

Jednakże i tam już spostrzegać się daje pewne wyczerpanie i kręcenie się w kółko, wobec braku materyału rzeczowego do dyskusyi. Jeszcze w stosunku do t. zw. prowincyi zachodnich tematu do rozpraw dziennikarskich dostarcza przygotowywane obecnie wprowadzenie instytucyi samorządu ziemskiego. Polemika zresztą w tym przedmiocie obraca się ustawicznie około jednego tylko punktu: czy obywateli Polaków należy równouprawnić z Rosyanami, czy też udział ich w samorządzie ograniczyć przepisami wyjątkowemi. Znając stanowisko i tendencye ogólne danego dziennika, zgóry wiedzieć można, w jakim sensie każdy z nich kwestyę tę rozstrzyga. Argumentacya stoi tu wyłącznie na gruncie politycznym, chociaż instytucye, o które chodzi, mają charakter gospodarczy. Najwyższy rozkaz o nie zmuszaniu uczniów katolików do uczęszczania na nabożeństwa prawosławne oraz o modlitwie szkolnéj, osobnéj dla każdego wyznania, zwłoka w wykonaniu

tego rozkazu w wileńskim okręgu naukowym—oto drugi przedmiot gorącéj polemiki w pismach rosyjskich w ostatnich paru tygodniach.

Ale ze stosunków w Królestwie Polskiém nie wypływa na powierzchnię rozpraw publicznych żaden fakt doniośléjszy. Sprawa pomnika Mickiewicza została już w swoim czasie omówiona, a dziś powraca do niéj ustawicznie jeden tylko korespondent „Mosk. Wied." nie znajdując zresztą posłuchu w innych organach prasy. Temat, rzucony przez p. Nabliudatiela, którego korespondencye do „Piet. Wied." tak korzystnie odbijają od innych—mianowicie pytanie: gdzie jest granica uprawnionego wpływu języka państwowego, po za którą wtłaczać go nie należy—nie zostało dotychczas podjęte ani w prasie rosyjskiéj, ani w polskiéj. W téj ostatniéj stwierdzono tylko, że granicę tę przekroczono przy wykładzie języka polskiego w szkołach, a słuszność téj uwagi — jak słychać — uznaną została w sferach decydujących. Podjęta przez p. Straszewicza dyskusya, czy zakaz mówienia po polsku w murach szkolnych jest środkiem politycznym, czy téż—jak twierdzą niektóre dzienniki rosyjskie—pedagogicznym, nie została jeszcze rozwinięta ani ukończona.

Po za témi kwestyami—niewątpliwie pierwszorzędnéj wagi—korespondenci do gazet rosyjskich nie są w stanie dostarczyć im żadnego poważniejszego materyału do rozpraw i raportują o różnych drobiazgach, nie mających żadnego znaczenia. Niestety jednak wyznać trzeba, że i naodwrót w naszych pismach nie spotykamy prawie wcale albo bardzo mało poważnych informacyi o stosunkach rosyjskich.

Jestto brak bardzo dotkliwy, bo nieznajomość tych stosunków była w przeszłości źródłem niejednego z naszéj strony błędu, a i dziś podsyca wiele złudzeń i uprzedzeń. Prasa rosyjska ma w porównaniu z naszą jedną wielką zaletę: daleko mniéj zajmuje się polityką zagraniczną, daleko więcéj własnemi sprawami i potrzebami. Czerpiąc ztamtąd nie tylko te rzeczy, które nas bezpośrednio dotyczą, ale również informacye o doniośléjszych kwestyach wewnętrznych, prasa nasza dostarczyłaby czytelnikom swoim lektury daleko korzystniejszéj i ciekawszéj od jałowych dociekań w różnych sprawach egzotycznych, nie mających nie tylko żadnego związku ale nawet żadnéj analogii ze stosunkami naszego kraju. Już samo przyzwyczajenie czytelników do poświęcania uwagi kwestyom polityki i administracyi wewnętrznéj nie pozostałoby bez pożytku i wyrabiałoby chętnych słuchaczy na tę chwilę, gdy nareszcie i my zwrócimy całą naszą pilność i gorliwość ku pracy nad poprawą narodowego i społecznego bytu.

Jeżeli w ciągu ostatnich kilkunastu miesięcy widzimy pewne początkowania w tym kierunku, jeżeli raz po raz na porządek dzienny rozpraw publicznych wypływa jakaś potrzeba ważna, a niezaspokojona, jeżeli tu i owdzie podejmują się pewne usiłowania do zaspokojenia takich potrzeb zmierzające, to jestto niewątpliwie skutek zmienionych warunków politycznych i prasowych, ale także i pierwsza konsekwencya jasnego uświadomienia sobie nowego politycznego programu.

Przez lat sto — rzec można — skierowywaliśmy wszystkie nasze myśli, wszystkie nadzieje do jednego celu—samodzielności politycznéj. Byłoby rzeczą więcéj niż dziwną — jak zauważyło w swoim czasie „Nowoje Wremia" — gdyby naród mający tysiąc lat świetnéj przeszłości historycznéj, nie usiłował dźwignąć się z upadku. Ten cel główny, a niedościgniety, zasłaniał nam wszystkie inne. Do czasu osiągnięcia tego celu odkładaliśmy załatwienie wszystkich chociażby najpilniejszych potrzeb, albo patrzyliśmy bezczynnie na to, jak je zaspakajano bez naszego udziału Ograniczyliśmy się w końcu niemal do elementów istnienia, wykluczywszy, nawet zasadniczo — w programie pracy organicznéj — pierwiastek polityczny.

A teraz, gdyśmy się przekonali, że takie, w znacznéj części przymusowe, ale w pewnéj mierze i dobrowolne, niewykonywanie pewnych funkcyi, normalnemu organizmowi właściwych, jest ciężkiem kalectwem społeczném, gdyśmy mogli i gdyśmy się zdecydowali do programu dawnego dodać paragraf o pracy, zmierzającéj do stopniowéj, możliwéj w danych warunkach poprawy i obrony bytu narodowego,— spostrzegliśmy że tych potrzeb pierwszorzędnéj wagi, kwestyi oddawna załatwionych w całéj Europie, a u nas wciąż jeszcze otwartych, jest tak wiele, że niewiadomo, doprawdy, która z nich jest pilniejszą i do któréj przedewszystkiém zabrać się należy.

Ztąd to zapewne płynie pewna dorywczość, pewien brak planu i systematu, zdradzający się w podnoszeniu rozmaitych zagadnień, potrzeb, reform i projektów. Na liście spraw, poruszonych w prasie w ostatnich czasach, napotkać można przedmioty różnéj wagi i różnego stopnia pilności.

Sprobujmy tutaj wyliczyć je sumarycznie, a może ten rejestr dopomoże do uporządkowania i rozwinięcia owéj tak pożądanéj dyskusyi specyalnéj.

Wspomnimy najpiérw o kilku faktach dokonanych, natury ogólniejszéj, *par excellence* politycznéj.

Ukaz Najwyższy z d. 27 marca st. st. r. b. znoszący kontrybucyę z majątków polskich w 9-ciu guberniach zachodnich, został wytłoma-

czony powszechnie, jako krok na drodze równouprawnienia obywatelskiego polaków, jako zapowiédź odwołania i innych ustaw wyjątkowych lub ograniczeń administracyjnych. Wyjątków od ogólnego prawa istnieje w tych prowincyach tak wiele, że musiano kilkakrotnie wydawać specyalne ich kodeksy, a i te nie zawarły jeszcze całego mnóstwa z biegiem lat nagromadzonych przepisów, okólników i instrukcyi. Pożądaném byłoby dokonać jeneralnéj rewizyi tych edyktów, które bądź nie mają należytéj podstawy prawnéj, bądź téż straciły już dzisiaj zupełnie *causam legis*, które wreszcie zniesione być powinny bodaj w imię zasady jedności państwowéj.

Prasa rosyjska uważa kwestyę polityczną w tych 9-ciu guberniach za rdzeń kwestyi polskiéj, za najgłówniejszy kamień obrazy i często bardzo zwraca się do polaków z kategorycznem: *hic Rhodus, hic salta!* Pytanie stawia się w téj formie: czy kraj ten ma być polskim czy rosyjskim, jaki pierwiastek ma miéć w nim przewagę? Publicystom rosyjskim wydaje się, jakoby to dla nas była kwestya najtrudniejsza do roztrząsania, do jawnéj i szczeréj odpowiedzi. Tymczasem samo stawianie kwestyi w téj formie jest politycznym anachronizmem. Dopóki mogło chodzić o pewną odrębność ziem polskich pod względem polityczno-państwowym, dopóty można było pytać: w jakich granicach? jak daleko ta odrębność sięgać będzie. Skoro jednak staje się na gruncie jedności państwowéj, przy uwzględnieniu jedynie praw narodowych i obywatelskich—kwestya granic upada sama przez się. W znaczeniu państwowem prowincye zachodnie są niewątpliwie rosyjskie, bo do państwa rosyjskiego należą. Ale któż może zapomniéć o tém, że etnograficznie, wyznaniowo i społecznie nie jestto kraj ani rosyjski, ani polski, lecz kraj o ludności m i e s z a n é j?

Jakiż może być stosunek nowożytnego państwa do ludności w ten sposób historycznie ukształtowanéj? O gromadnych wędrówkach narodów dziś już marzyć nie podobna, o wynarodowieniu marzyć można, ale to marzenie nieziszczalne. Nie sądzimy także, aby leżało w interesie państwa trzymać wiecznie pewną i to znaczną część ludności w upośledzeniu prawném i obywatelskiém. Jedyne rozwiązanie tkwi w równouprawnieniu pod względem praw cywilnych i obywatelskich, bo o nie tu tylko chodzi, nie zaś o jakąś hegemonię polityczną, którą wysuwają na plan pierwszy niektórzy publicyści rosyjscy, na podstawie tendencyjnych relacyi interesowanych korespondentów. Równouprawnienie obywatelskie usunie wszelkie antagonizmy i umożliwi wspólną, zgodną, cywilizacyjną pracę dla dobra państwa i kraju.

Drugi rozkaz Najwyższy, tych samych prowincyi dotyczący, uregulował kwestyę budowy i restauracyi kościołów katolickich oraz stawiania krzyżów przydrożnych. W ten sposób usunięto źródło najdotkliwszych, najboleśniejszych przykrości i zatargów, przywrócono moc zasadzie tolerancyi religijnéj, tak uroczyście w ustawach państwa wypowiedzianéj. Tym samym duchem tolerancyi nacechowany jest Najwyższy rozkaz z d. 25 czerwca st. st. r. b. o uwolnieniu uczniów katolików od udziału w nabożeństwach i w modlitwie szkolnéj według obrządku prawosławnego. Zastosowanie tego rozkazu napotkało w praktyce na pewne trudności ze strony władzy szkolnéj, tak w wileńskim jak i w warszawskim okręgu naukowym, jak to ogłosił „Warsz. Dniewnik”, ale wątpić nie podobna, że trudności te zostaną wkrótce usunięte. Aby skończyć już tutaj ze sferą stosunków kościelnych i wyznaniowych, wspomnimy jeszcze o obsadzeniu wakujących katedr biskupich, o otwarciu zamkniętego seminaryum w Kielcach i wreszcie o przywróceniu nowicyatu oo. Paulinów w Częstochowie i usunięciu koszar z tamtejszego klasztoru. Fakty te mogą tylko wywołać uznanie dla dobréj woli władz decydujących, ale materyału do dyskusyi nie nastręczają. One tylko przywracają spokój i budzą ochotę do pracy.

Bardzo natomiast obfitego materyału do rozpraw i opracowań dostarczyła i niewątpliwie jeszcze dostarczy sfera stosunków szkolnych w Królestwie Polskiém. Zmiana w naczelném kierownictwie okręgu naukowego dała powód do oczekiwania doniosłych reform w téj dziedzinie. Jakoż w prasie naszéj poruszono już wiele kwestyi szkolnych choć może nie dość jeszcze wyczerpująco. Zwrócono więc przedewszystkiém uwagę na dotkliwy brak wystarczającéj liczby zakładów naukowych, a zwłaszcza szkół średnich. Brakowi temu władza szkolna stara się częściowo zaradzić przez otwieranie klas równoległych. Powstało téż świéżo kilka prywatnych szkół zawodowych, mianowicie technicznych i handlowych. Co do tych ostatnich, uznano za konieczne odstąpić w niektórych punktach od ustawy ogólnéj dla całego państwa. Żałować należy, że przed rozstrzygnięciem téj kwestyi, motywy owych zmian nie zostały podane do wiadomości publicznéj; być może, potrafilibyśmy usunąć obawy i nieufność do udziału społeczeństwa w sprawie wykształcenia handlowego.

Zwrócono daléj uwagę na braki w zakresie wykształcenia wyższego. Toczy się właśnie obszerna dyskusya w prasie o potrzebie założenia w Warszawie szkoły politechnicznéj. Były wątpliwości co

do tego, czy zakład taki należy otwierać wpiérw, zanim należyta organizacya średniego wykształcenia technicznego przygotuje dostateczną ilość techników średniéj kategoryi, ale ostatecznie dla wszystkich stało się oczywistem, że zakład techniczny wyższy jest tak samo niezbędny jak szkoły średnie.

Jeden z pedagogów, zapytywany w téj kwestyi przez korespondenta „Kraju", zwrócił uwagę na zupełny brak u nas średnich szkół rolniczych i niedostateczność wogóle zakładów w tym kierunku. W jedynym na cały kraj wyższym instytucie rolniczym w Nowéj-Aleksandryi liczba studentów polaków ograniczona jest do pewnego procentu. Szkoła niższa w Sobieszynie kształci uczniów kilkunastu — szkoły średniéj nie ma wcale. I to w kraju od wieków przeważnie rolniczym!

Nie lepiéj mają się rzeczy ze szkołami wiejskiemi. Oto co pisze w „Kraju" p. Juliusz Werner: „Wskutek zakazu nauczania języka polskiego i nie wykładania religii przez księży katolickich, włościanie stracili ochotę zakładania szkółek nowych, a do istniejących zaprzestali prawie zupełnie dzieci posyłać. Skutkiem świąt obu obrządków, dni galowych i feryi, nauka trwa zaledwie kilka tygodni w roku, tak że dziecko zapomina w lecie tego, czego się z trudnością nauczyło w zimie. Śmiało więc rzec można, że u nas szkółki wiejskie istnieją tylko na papierze,"

Wielu brakom szkolnym dałoby się może zaradzić, gdyby istniały u nas—jak pragnie „Gazeta Polska"—komisye szkolne, na wzór tych, jakie działają przy ziemstwach, albo gdyby w radzie kuratora okręgu naukowego zasiadali nietylko urzędowi przedstawiciele szkolnictwa, lecz także obywatele i pedagogowie Polacy.

Stosunki, panujące w uniwersytecie warszawskim, wywołały kilka uwag w „Bibliotece Warszawskiéj", na które obszernie odpowiada w „Warsz. Dniewniku" rektor uniwersytetu, prof. Zenger. Polemika jeszcze nie ukończona, ale ciekawa i pouczająca — wypadnie nam zapewne do niéj powrócić.

Jedną z kapitalnych kwestyi w dzisiejszym systemie szkolnictwa jest sprawa wykładu języka polskiego. Dotychczas język ten wykładano po za godzinami normalnemi, udzielano mu mniéj godzin niż podług prawa należy, nie trzymano się programu wydanego przez b. kuratora Witte'go, ograniczając się do osławionych wypisów Dubrowskiego, nieaprobowanych zresztą nawet przez ministeryum. Nadto język polski wykładano po rosyjsku, a wykładali go nie filologowie specyaliści, lecz nauczyciele bez odpowiednich kwalifikacyi. Na skutek

skarg powszechnych, władza szkolna poleciła już, by w każdym zakładzie naukowym specyalna komisya obmyśliła sposoby zreformowania nauki języka polskiego i wypracowała programy dla podręczników. W koncesyach, udzielanych teraz łatwiéj na szkoły prywatne, wykład religii i języka polskiego pozwolono prowadzić po polsku. Prasa zwróciła wszakże uwagę na brak zupełny nauki języka polskiego w warszawskiéj szkole ogrodniczéj i w łódzkiéj szkole techniczněj.

Po za tém, w dziedzinie stosunków szkolnych rzeczą najważniejszą jest dobór odpowiedniego personelu nauczycielskiego. Nie jest tajném nikomu, że dotychczasowa obsada stanowisk pedagogicznych w naszym kraju pozostawiała wiele do życzenia. Nauczyciele Polacy byli zupełnie przy nominacyach wykluczani, a stąd i młodzież nasza przestała dążyć do zawodu pedagogicznego. Należy się spodziéwać, że i w tym kierunku nastąpią zmiany na lepsze, i że tylko długotrwała choroba p. kuratora okręgu opóźnia pożądane reformy.

Niemniéj obszerny dział i przedmiot do zastanawiania się nad możliwą poprawą stosunków — przedstawiają zadania administracyi wewnętrznéj kraju. Sama kwestya bezpieczeństwa publicznego, zagrożonego przez pomnożenie kradzieży, rozbojów, bójek na noże i t. d może być przedmiotem osobnego studyum.

Do zapewnienia tego bezpieczeństwa nie przyczynia się bynajmniéj obowiązujący dotąd w Królestwie system pasportowy. Podczas gdy w Cesarstwie zastąpiono już pasporty przez książeczki legitymacyjne, u nas, gdzie reforma byłaby daleko łatwiejsza, bo książeczki takie mamy już oddawna, obowiązek wyjednywania pasportu utrzymuje się bez zmiany. Pasport obok książeczki legitymacyjnéj nie służy dziś do niczego, bo wiadomo z doświadczenia, że osoby podejrzane i ukrywający się przestępcy mają zawsze pasporty w porządku. Prasa nasza powinnaby pilnie i wytrwale domagać się uwolnienia spokojnych obywateli od pasportowéj mitręgi.

W zarządach gubernialnych, skupiających w sobie liczne sprawy administracyjne i gospodarcze, byłoby zapewne wiele do naprawienia, tak samo jak w magistratach, będących instytucyą ułomną od urodzenia, wytworzoną zupełnie przypadkowo w czasach politycznego niepokoju. Nad poprawą wszakże téj instytucyi łamać sobie głowy nie warto, wobec uznanéj już konieczności zastosowania do Królestwa ustawy o samorządzie miast.

Samorząd miejski i ziemski—oto niewyczerpana kopalnia do studyów i rozpraw publicznych. Ziemstwa powiatowe i gubernialne utworzą ściany i kopułę na fundamencie istniejącego już od lat trzydziestu zgórą samorządu gminnego. Natchną one może tę zasadniczą komórkę administracyi samorządnéj i państwowéj życiem prawdziwém i normalném. Dziś bowiem naprawdę samorząd gminy jest fikcyą, wobec rzeczywistego samorządu władzy powiatowéj, wyznaczającéj pisarzy gminnych i wójtów jedynie do wykonywania swoich rozporządzeń.

Na ten absolutyzm naczelników powiatu skarżyli się ziemianie nasi w memoryałach, podawanych Naczelnikowi kraju w czasie Jego podróży inspekcyjnéj. Skarżyli się także na brak porządnych środków komunikacyi, ku naprawie których potrzebna jest nowa ustawa drogowa i sumienni jéj wykonawcy. Najgłośniéj wszakże skarżyli się na serwituty.

Ta opłakana instytucya, wywołująca tyle zatargów agrarnych, będąca prawdziwą klęską ekonomiczną i społeczną, ma być podobno nareszcie zniesiona. Przygotowuje się podobno odpowiedni projekt w kołach rządowych i ma być wniesiony na najbliższą sesyę prawodawczą.

Drugą przygotowywaną reformą, wielkiéj wagi dla naszych rolników, jest ustawa o ochronie lasów. W prasie naszéj ogłoszono w téj sprawie kilka artykułów, wyrażających obawę, aby nowe prawo nie odbiło się ujemnie na dobrobycie materyalnym większych właścicieli ziemskich. To samo stosuje się i do prawa o zniesieniu propinacyi.

W zakresie stosunków włościańskich — oprócz oświaty ludowéj, do rozkrzewienia któréj mają się przyczynić projektowane biblioteki ludowe, i oprócz uregulowania serwitutów, pozostaje zawsze niezałatwiona sprawa normalnego ustroju gospodarstwa drobnego, a to za pomocą komasacyi rozrzuconych w szachownicę gruntów i zaokrąglenia ich w prawidłowe kolonie. W tym właśnie kierunku miał działać bank włościański, ale instytucya ta, zredukowana do czynności biurokratycznych, pozbawiona pomocy i współudziału żywych sił społecznych, nie spełnia bynajmniéj swego zadania, owszem częstokroć przyczynia się do jeszcze większego powikłania stosunków własności ziemskiéj. Bank ten mógłby także zdziałać wiele dobrego dla urządzenia gruntowego t. zw. drobnéj szlachty, ale ta kategorya drobnych posiadaczy rolnych została od prawa do pożyczki bankowéj odsunięta.

Spoglądając na przygotowaną notatkę z wyliczeniem ważniejszych tylko spraw publicznych, nadających się do opracowania i roztrząsania, widzę, jak daleko mi jeszcze do końca.

Trzebaby przecie dotknąć sądownictwa, kwestyi podatkowych, spraw hygieny publicznéj, stosunków handlowych i przemysłowych, działalności filantropijnéj, stowarzyszeń, wreszcie warunków, potrzebnych do rozwoju literatury i sztuki. Pozostawiam to do dalszéj na tém miejscu gawędy.

Z tego, com już przytoczył, rozważny czytelnik zdoła ocenić, jak wielkie jest u nas pole rzeczywistéj, realnéj, politycznéj pracy i o ile polityka w tym mianowicie sensie może dostarczyć więcéj zadowolenia osobistego i publicznego pożytku, aniżeli najzjadliwsze polemiki o zasady ogólne.

Ludomir Grendyszyński.

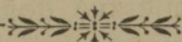


Wydawca: *W. Spasowicz.*
Za Redakt.: *W. Spasowicz* i *Stanisław Wydżga.*

Дозволено Цензурою. Варшава, 7 Октября 1897 г. — Druk Jana Cotty.

OGŁOSZENIA.

IDEAŁ I ŻYCIE.



W powieści [1]) naszéj, a nawet w rzeczywistém codzienném doświadczeniu napotykamy mnóstwo fałszywych idealistów, którzy widzą przepaść między ideałem a życiem, między teoryą a praktyką. Wtórują im rzekomi praktycy, lekceważący miłośnikow ideału, jako nieobeznanych z wymaganiami życia praktycznego, jako marzycieli, do czynu niezdatnych. Najwięcéj się utarło to przeciwstawienie w świecie sztuki pędzla i dłuta. Malarz, który namaluje obrazek sympatyczny dla zwykłych filistrów, a zatém mający pokup łatwy, zamiast ciągle trudzić się nad arcydziełem wiekopomną majęcém zapewnić mu sławę, jest renegatem, odszczepieńcem, podłym podchlebcą tłumów, który przez prostytucyę sztuki zadawalnia swe egoistyczne żądze i o niczém nie myśli prócz grosza. Na podobny sąd owych idealistów będzie narażony rzeźbiarz, gdy w celu własnego utrzymania, część czasu poświęcać będzie na wyrób zwyczajnych nagrobków. Gromy spadną na poetę, który talent swój użyćby zechciał na układanie płatnych ogłoszeń we wdzięczne rymy.

To przekleństwo zarobkowéj pracy nie ciąży jedynie nad artystami. Zdarza się także w pewnych kołach, że i uczony, gdy część czasu użyje na artykuły popularne dla pism codziennych lub tygodnio-

---

1) W grudniowym zeszycie „Ateneum“, nowela E. Maliszewskiego „Z życia“ wymownie ten temat przedstawiła.

wych, traci urok, jakim nauka otacza jego imię wśród naszych fałszywych idealistów. Gdybyśmy mieli wierzyć tym wzniosłym zasadom, każdy prawdziwy twórca byłby skazanym na śmierć z głodu, o ile przypadkiem nie odziedziczyłby pewnych zasobów materyalnych, zdobytych cudzą pracą.

Gdziekolwiek taki fałszywy idealizm panuje, zjawia się jako nieuchronna konsekwencya, nieufność do artystów i uczonych, lekceważenie teoryi, ślepe wychwalanie praktyki. To też godzi się śmiało wykryć błąd logiczny, z którego wysnuto teoryę ideałów całkiem niezgodnych z życiem i życia, wymagającego poświęcenia ideałów.

Zasadniczém spostrzeżeniem, z którego wyrosła bujna wegetacya fałszywego idealizmu, jest ogromna nierówność zdolności ludzkich, rażąca każdego, co bezstronnie patrzy na życie. Zdolności każdego człowieka mają niestety ciasne dosyć granice, o których często ani on sam ani jego otoczenie pojęcia jasnego nie miewa. Widać to szczególniéj w takich zajęciach bardzo specyalnych, w których można zdolności dwóch osób porównać i zmierzyć dokładnie. Typowym przykładem takiéj miary są wyższe gatunki gier, zasadzających się na wielkiéj ilości kombinacyi, np. szachy lub *Go* japońskie. Wiadomo powszechnie, że szachista pewnego rzędu, ze zdumiewającą stałością dowodzi swéj wyższości nad szachistą słabszym, i że tylko do pewnéj granicy można udoskonalić osobistą umiejętność gry w szachy. Jeśli ktoś jest szachistą pierwszorzędnym, a ktoś drugi dobrym szachistą ale drugorzędnym, to choćby ten pierwszy grał jedną partyę na rok, a ten drugi ćwiczył się ciągle i całe życie poświęcał grze w szachy, to zawsze go pierwszy pobije, oprócz wypadku chwilowéj nieuwagi lub chorobliwego osłabienia. Tylko między równymi graczami rezultat jest niepewny. Japońska gra w *Go*, mająca więcéj kombinacyi niż szachy, przedstawia jeszcze subtelniejsze stopniowanie zdolności graczy, tak dalece, że w Japonii istnieje kilkanaście stopni graczy w *Go*, i żaden z nich nie marzy nawet o wygraniu z kimś, co o dwa stopnie jest wyższy, gdy zaś wygra raz partyę z graczem o jeden stopień wyższym, to przez to zostaje uznanym za równego swemu przeciwnikowi i w hierarchii graczy postępuje o jeden stopień, co się nader rzadko ma zdarzać.

Tylko w tak ściśle ograniczonych czynnościach, jak gry mające swe raz na zawsze określone prawidła, drobne różnice zdolności mogą być praktycznie wymierzone. Gdy chodzi o bardziéj zawiłe czynności, jak np. praca literacka lub artystyczna, ścisła zupełnie miara i stopniowanie są niemożebne, ale różnice zdolności wcale nie są mniejsze i łatwo dają się spostrzedz tam, gdzie dochodzą do pewnych granic. Chętnie czytamy poezye Pola, ale nikt nie wątpi, że Mickiewicz był wię-

kszym poetą. Różnice zdolności a nawet nieskończona skala tych różnic pojawia się we wszystkich zakresach działalności ludzkiéj i ta nierówność dotkliwszą jest, niż nierówność majątkowa, tak ciężko ważąca na losach każdéj jednostki. Jeślim urodził się ubogim, mogę przynajmniéj roić sobie nadzieję, że zostanę bogatym, ale jeślim z przyrodzenia jest marnym wierszokletą, nie ma najmniejszéj iskierki nadziei, bym kiedyś mógł w tém życiu osiągnąć laury wieszczów.

Otóż, wskutek takiéj nierówności, więcéj bywa ludzi zdolnych do namalowania zwyczajnego widoczku, niż takich, co by umieli oddać na płótnie bitwę pod Grünwaldem. Ale wielki nawet artysta dla wielkiego arcydzieła potrzebuje dużo czasu i pracy, dużo myśli i wysiłków — tymczasem zaś musi żyć, i aby utrzymać się, maluje drobne obrazki, albo nawet kopje obrazów sławnych. Bo geniusze nie tylko, że nie zawsze rodzą się w rodzinach zamożnych, ale nawet bodaj częściéj trafiają się wśród ubogich, co ma także swoje przyczyny. Nędza zaś istotnie wcale nie hartuje ducha ani téż nie rozwija talentu, co widać stąd, że kilka najwyższych szczebli doskonałości umysłu ludzkiego, zostało osiągniętych przez ludzi wolnych od troski o chléb powszedni, jak Platon, Kartezjusz, Leibnitz, Laplace i wielu innych.

Czy ten urodzony artysta, który maluje na sprzedaż obrazki mniéj doskonałe, zasługuje na naszą naganę i pogardę? Czy ma on zarabiać na życie nie pędzlem ale koniecznie jakiém narzędziem rzemieślniczém? Fałszywy idealista odpowié, że artysta powinien ciągle szerzyć tylko najlepszy ideał, do którego jest uzdolniony, i że malowanie pokupnych obrazków jest poniżeniem sztuki. Prawdziwy miłośnik ideału zauważy odrazu, że owe obrazki wzgardzone dlatego, że pokupne, będą się różnić w swéj doskonałości od podobnych wyrobów takiego malarza, który nic lepszego jak małe pokupne obrazki i kopje malować nie umié. Więc wielki artysta sztuki nie poniża się, malując małe obrazki dla zarobku, i dopiéro wtedy zaniecha ideałów, gdy jedynie do zarobku dążąc, nie będzie dbać o ciągłe doskonalenie swych zdolności, aby osiągnąć ową ich naturalną granicę, któréj w tém życiu przekroczyć nie zdoła. Zarobek na utrzymanie życia jest nie tylko prawem każdego ale i obowiązkiem, tak dalece, że zachodzą daleko większe wątpliwości, o ile szczęśliwie urodzeni mają prawo dążyć do ideałów, zadawalniając fizyczne potrzeby pracą cudzą. Ten wielki artysta, który część czasu poświęci na zarobek, nie potrzebuje zarzucić dążeń do odtworzenia ideału. Ale może porwany prądem, je zarzuci?— Nie, tysiąc razy nie, bo twórczość jest niezrównaną rozkoszą, a wielki artysta, jeśli jest nim istotnie, to będzie czuł nieugaszone pragnienie twórczości, i na zarobek tyle będzie pracował, ile koniecznie potrzeba.

Jeśli zaś wielkim artystą nie jest, to zostanie pożytecznym rzemieślnikiem, którym gardzić nie mamy prawa, jeśliśmy doszli już do tego stopnia rozwoju, że nie gardzimy szewcem ani adwokatem, jak gardzą chłopi geometrą.

A czy te małe obrazki, podobające się tłumom, koniecznie mają być liche?— Także nie: te tłumy nie zasługują wcale na ogólną pogardę urodzonych artystów: one mają swój gust, mniéj wybredny, mniéj doskonały, ale nie całkiem fałszywy, i one nawet odróżnią mały obrazek namalowany przez mistrza, choć nie wszystkie jego zalety ocenią. Te małe obrazki zdobiące ściany mieszczańskich salonów mają pewne znaczenie w życiu społeczeństwa, które je kupuje. Kto zechce rzecz zbadać, dojdzie do wyjaśnienia owego znaczenia i owéj skromnéj roli zwyczajnych obrazków, a litografii. Nie ma muru chińskiego między najdoskonalszém dziełem sztuki a najpospolitszemi jéj objawami, choć są nieskończone stopnie doskonałości każdego obrazu. Wszystkie jednak one są wywołane dążeniem tém samém, dążeniem do piękna, którego niższe szczeble są tak niezbędne jak najwyższe.

Wyobraźmy sobie, że wielki poeta urodził się w nędzy i z nędzą walcząc wyrósł. Ofiarują mu przyzwoite honoraryum za wiersze, reklamujące jakiś przedmiot pożyteczny i dobry, albo za powinszowania na imieniny, albo za okolicznościowe rymy, przedstawiające jakieś lokalnéj doniosłości zdarzenie. Czy ma się oburzyć, odmówić, i raczéj zarabiać przepisywaniem rękopisów? Czy nie lepiéj, żeby użył swego talentu na zaspokojenie zupełnie usprawiedliwionych i słusznych potrzeb bliźnich, wywdzięczających się za tę usługę środkami utrzymania dla biednego wieszcza? Tutaj zachodzi różnica, częstokroć nieuwzględniana a stanowiąca o moralnym charakterze podobnych zastosowań zdolności artystycznych. Wiersze pisane na obstalunek mogą być treści moralnie obojętnéj lub téż moralnie naganněj. Jeśli mi każą ułożyć reklamę dla jakiegoś produktu przemysłowego, to oczywiście za treść odpowiada ten co reklamę ogłasza nie jéj autor. W pewnych tylko wypadkach można odrazu ocenić, że reklama jest fałszywą, np. gdyby wynalazca jakiegoś lekarstwa głosił, że leczy niém wszystkie choroby. Ale o ile fałsz nie jest oczywistym, moralną zasadą jest przypuszczać dobrą wiarę. Więc poeta, któryby wyraził w rymach pięknie dobranych zalety pewnego gatunku welocypedu lub peruki, wcale by nie miał się czego wstydzić, témbardziéj, że nikt by od niego nie żądał, aby taki utwór opatrzył swym podpisem autorskim. Zaś sam fakt ogłaszania jakichkolwiek produktów nagannym być nie może, choć się np. pewnym lekarzom wydaje, że ubliża reputacyi ich młod-

szych kolegów, gdy ogłoszą studya jakie odbyli, lub wysokość honoraryów, jakich wymagają.

Więc nie ma żadnéj racyi winić poetę za to, że wiersze pisze dla kuryerów i w ten sposób zarabia sobie na utrzymanie zamiast męczyć się rzemiosłem, do którego jest mniéj zdolny. Przepaści między rzemiosłem a sztuką nie ma, i prosty okaz sztuki stolarskiéj może być odrobiony artystycznie. Najzwyczajniejsze czynności, jak np. palenie w piecu, mogą być wykonane z bardzo nierówną doskonałością, i uczony chemik może piękniéj napalić w piecu niż stróż, który mu usługuje, jeśli się zastanawiał nad sposobami wykonania téj czynności z minimalnym wydatkiem czasu i zapałek.

Stosowanie zasady fałszywego idealizmu, według którego każdy człowiek miałby przez całe życie tylko wykonywać najdoskonalszą czynność, do któréj jest zdolny, prowadzi do szczególnych konsekwencyi na polu naukowém. Ideał uczonego jest zdobywanie nowych prawd i najzwięźlejsze ich wyrażanie dla bardzo szczupłego zwykle grona tych, co je zrozumiéć mogą. W sferach wysokiéj abstrakcyi matematycznéj np., prawdy te czasami zaledwie dla kilkunastu osób na całéj ziemi są dostępne, co jednak wcale nie zmniejsza ich doniosłości. Także i w zakresie badań historycznych pewne nowe prawdy, ze względu na zawiłość ich udowodnienia, są przeznaczone dla bardzo nie wielu czytelników, jak np. nader ważne prawdy z zakresu historyi początków logiki. Człowiek uzdolniony do odkrywania takich prawd, na popularne podręczniki logiki mógłby spoglądać z takiém samém lekceważeniem, jak wielki artysta malarz na obrazki sprzedawane na jarmarkach.

Istotnie téż szkolne podręczniki prawie nigdy nie bywają pisane przez prawdziwych uczonych. A jednak gdyby państwo, albo jaki pomysłowy wydawca zaproponował wielkiemu filozofowi napisanie logicznych pogawędek dla dzieci, czy ów filozof potrzebowałby się wstydzić wykonywując obstalunek? Czy napisana przezeń logika szkolna nie byłaby lepsza niż podręczniki logiki używane w szkołach galicyjskich? Najlepsze elementarne podręczniki logiki są dziełem ludzi, którzy także w zakresie oryginalnych badań nad logiką się odznaczyli, jak Stanley Jevons lub Trendelenburg. Autorowie mieli z niezliczonych wydań tych doskonałych podręczników, nie mających naukowéj doniosłości, znaczne zyski—czy mamy ich winić o pogoń za mamoną, o cześć dla złotego cielca? Czy wśród wszystkich ludzi tylko artyści i uczeni mają być pozbawieni zarobku w swoim fachu? Bo jeśli wyjątkowo zdolny uczony ma tylko rozwijać naukę, to oczywiście i w nau-

czaniu żadnego udziału nie przyjmie, pozostawi katedry uniwersyteckie pospolitym przeżuwaczom, którzy sami nic nowego nie wymyślili.

A najdoskonalsza praca, najlepszy produkt najrzadszych zdolności, nigdy ceny żadnéj na rynku wszechświata nie ma, bo będąc oryginalnym i nowym, jeszcze nie może odrazu znaléźć znawców. Więc powszedni chléb tylko powszednią pracą zarobić można. Czasem nawet ta powszednia praca, jeśli ją wykona wielki mistrz, jest tylko na pozór powszednią, zaś w gruncie rzeczy arcydziełem, które zostanie ocenionéni dopiéro przez następne pokolenia: ale płacą za nią, jako za powszednią. Człowiek, mający niezwykłe zdolności pedagogiczne, pobiéra jako nauczyciel prywatny tyleż mniéj więcéj co zwykły korepetytor, bo któż te niezwykłe zdolności oceni? Uczony pierwszorzędny, jeśli niezależnością charakteru nie narazi sobie tych, którzy mianują profesorów, pozyska najwyżéj katedrę uniwersytecką, na któréj będzie zarabiać mniéj niż *commis voyageur* poważnéj fabryki wyrobów bawełnianych. Polega to po prostu na tém, że dotąd ogół nie przywykł oceniać różnic pracy zwyczajnéj, wykonanéj przez człowieka wielkich zdolności. od téjże pracy zwyczajnéj, przez zwyczajnego rzemieślnika odrobionéj. W takich zajęciach, gdzie skutek jest oczywisty natychmiast, jak np. leczenie, ta różnica oceny oddawna się wyrobiła i publiczność jest wyrozumiałą dla profesorów, zarabiających majątki praktyką prywatną, choć i oni więcéj zbaczają czasem z drogi swych ideałów, niż by to uczynił poeta rymujący reklamy. Więc wszelkie odgradzanie ideałów, chowanie ich w inspektach o odrębnéj atmosferze, aby nie zwichnęły się w zetknięciu z życiem, jest uprzedzeniem szkodliwego, fałszywego idealizmu, nie pojmującego, że nawet w najskromniejszéj działalności ludzkiéj może tkwić dążenie do doskonałości.

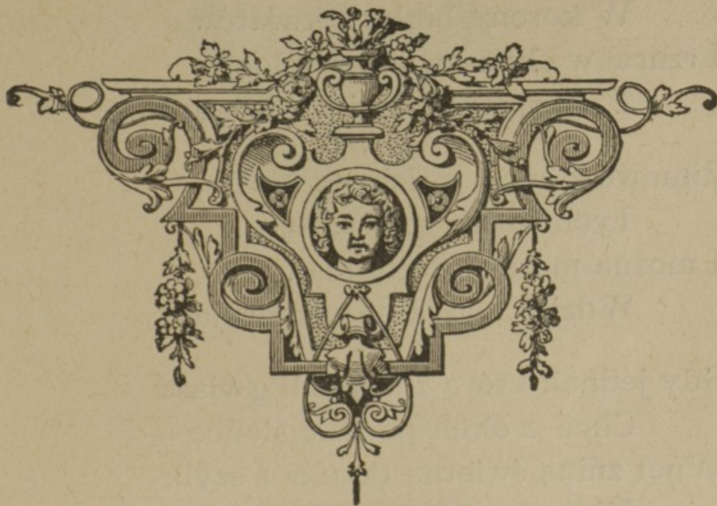
Prawdziwy ideał przyświeca i w powszedniéj pracy, a nawet wykonanie arcydzieła jakiegokolwiek w sztukach pięknych lub naukach wymaga zawsze prócz genialnego pomysłu — wytrwałéj cierpliwości i mozolnéj uwagi, skierowanéj na najdrobniejsze szczegóły, cierpliwości i uwagi, nie różniących się jako stany psychologiczne zasadniczo od tego usposobienia, które jest niezbędnym warunkiem zrobienia dobréj pary butów. Najlepszy szewc warszawski w zakresie swego fachu może być lepszym artystą, niż niejeden poczytny powieściopisarz, choć posiada inny kierunek zdolności. Zamiłowanie do doskonałego wykonania każdéj najpospolitszéj pracy cechuje prawdziwego idealistę, wcielającego ideały swoje w życie i nie widzącego rozdźwięku między ideałem a życiem, między teoryą a praktyką.

Bezmyślne głupstwo, które utarło się przez częste powtarzanie, głosi, że inaczéj w teoryi a inaczéj w praktyce; ale prawdziwa teorya

zwycięża zawsze i w praktyce. Zarozumiałe pseudo doświadczenie twierdzi: że z ideałami trzeba się pożegnać w praktyce: ale prawdziwa filozofia w i é, że ideały nabierają istotnéj wartości moralnéj dopiéro wtedy, gdy śmiało są stosowane do życia. Życie zaś ludzkie, ludzkiém jest a nawet boskiém, gdy mu przyświeca nieśmiertelna piękność ideału. Niezliczone przykłady dowiodły, że nawet to najwięcéj namacalne z materyalnych powodzeń, zdobycie bogactwa, może być osiągnięte w sposób idealny, wzbogacając innych i podnosząc poziom tych, co się dostaną pod wpływ genialnego organizatora pracy, czyli twórcy bogactw.

Więc nikt wśród ludzi, nawet najpraktyczniejszy praktyk, nawet urzędnik niższego stopnia lub redaktor pisma codziennego, nie ma potrzeby wyrzekać się tego wspólnego dziedzictwa przekazanego nam przez najszlachetniejszych naszych współwygnańców w życiu na naszéj niedojrzałéj planecie—ideałów ludzkości. Ideały nie są przywilejem wieszczów, artystów, mędrców—są one wspólną własnością całych narodów. Nie wystarcza wierzyć w ich odległą i niedościgłą piękność, trzeba ich potęgę szerzyć wśród walk życia codziennego.

W. Lutosławski.



Z poezyi M-me Alphonse-Daudet.

(Julia Allard).

MYŚLI ZIMOWE.

Srebrzyste gwiazdy wplata szron
W korony białych kwiatów
I rzuca w okno kwiatów splot
Z nieznanych jakichś światów...

Zimowe słońce w dziwny blask
Tych roślin stroi zwoje...
I można marzyć, że to maj,
Wdział cudne barwy swoje...

Gdy jednak którą z jasnych gwiazd
Chce z okna porwać słońce —
Wnet znika świetna tkanka z szyb:
Jéj barwy bledną lśniące.

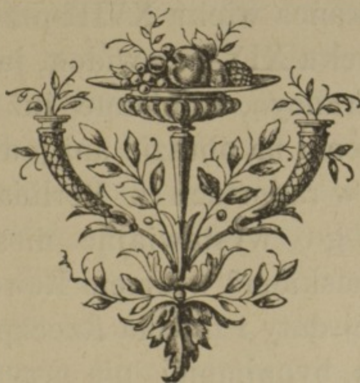
Gorętszy promień zmienia wnet
Te hafty — w krople wody...
Z matowych okien spływa deszcz;
Zniknęły już ogrody...

I widać wtedy siwe mgły,
Zimowe, ciemne chmury...
I melancholii słychać lot,
Jak na nas leci zgóry...

Tak często dusza sobie tka
Srebrzyste z gwiazd zasłony...
Przysłania potém niemi świat,
W cudowny raj zmieniony...

A w tém oświeci nagły błysk,
Czém rzeczywistość jest blada...
Marzenie pierzcha... zimna łza
Ze smutnych oczu pada.

Tłómaczyła *Maryla Z.*



Z historyi dnia wczorajszego.

I.

Jeśli od wypadków z końca wieku XVIII przeniesiemy się myślą na wypadki z końca wieku XIX-go, widok, jaki się odsłoni w zakresie stosunków Rosyi z Francyą, odmienne już całkiem mieć będzie zabarwienie; nie spostrzeżemy na obrazie ani jednéj z plam czerwonych, jakiemi Panin i Repnin w raportach z Berlina nękali strapioną wyobraźnię cesarza Pawła I-go, wystawiając niestosowność bratania się z „krwiożerczém”, „chamskiém” widmem Rewolucyi [1]. Świat znacznie się ucywilizował od owéj daty i trzecia Rzeczpospolita, w osobie swojego prezydenta Faure'a, bynajmniéj nie przypominała dziś nad Newą pierwszéj, robespierre'owskiéj i dantońskiéj. Przybyły wprawdzie kłopoty nowe, nie znane dawniéj, stąd głównie płynące, że z maluczkich i skromnych Prus urosły ogromne i chełpliwe Niemcy, rzucające cień długi i gruby na najbliższe otoczenie. Ale, choć się mrok zwiększył, choć urosły obawy, to przecież pomnożyły się zarazem i światła oryentujące; ostrzegają one przed zasadzkami, w które się w ciągu wieku niejednokrotnie wpadało, wskazują zdaleka niebezpieczeństwa, które niegdyś omackiem i szczęśliwym tylko trafem się omijało. Żeby się przekonać, jak rzeczywiście bogaty zasób wskazówek w okresie lat stu

[1]) Zob. „Ateneum“, zeszyt majowy 1897, str. 320—339.

pozostawiły dzieje obu lądowych krańców europejskich, dość rzucić okiem na jedno panowanie cesarza Mikołaja I — ostatnie z tych, które z powodu względnéj swéj od nas odległości, dokładniéj nieco zbadane zostało na podstawie źródeł dyplomatycznych.

Mamy tedy nasamprzód — serdeczną zażyłość Rosyi z Francyą w ciągu pierwszych lat po wstąpieniu na tron Mikołaja I, jako wyraz zgodności zachowawczych zasad nowego monarchy z ultra konserwatywnemi widokami Karola X. Daléj idą: gotowość Francyi do wspólnéj akcyi z Rosyą w wojnie tureckiéj 1828 — 29, na wypadek, gdyby Austrya tamować zamierzała postęp oręża rosyjskiego pod Bałkanami; plan rozbioru Turcyi i nowego terytoryalnego podziału Europy przesłany do Petersburga przez ministra Polignac'a a niewykonany jedynie z powodu wzbierającéj na zachodzie fali rewolucyjnéj i podpisanego już wówczas (14 września 1829) traktatu adryanopolskiego; wygórowane wstecznictwo Karola X-go i gabinetu Polignac'a, potępione przez samego cesarza Mikołaja (w Londynie, w r. 1844, w rozmowie z lordem Aberdeenem); wreszcie lipcowy przewrót 1830 r. w Paryżu, niechęć dworu petersburskiego do Orleanów, zerwanie stosunków dyplomatycznych z powodu przyjęcia przez Ludwika Filipa tytułu królewskiego i zamiar przymusowego wydalenia z Petersburga poselstwa francuskiego. Chwilowa zgoda następuje dopiéro wobec powstania w Belgii, ale i ona pęka niebawem jak bańka mydlana i skrapla się na ostre nieporozumienie z powodu listopadowych wypadków w Warszawie. Próba wspólnéj interwencyi Francyi i Anglii nad Wisłą, chybiona wskutek takich samych w r. 1831 zabiegów Metternicha, jakich w r. 1863 użył Bismark ku największéj chwale swojéj i nieśmiertelnemu pożytkowi króla pruskiego, — głośny okrzyk Sebastianiego, rozgłośniejsza jeszcze mowa Thiersa w izbie deputowanych,—niby programat i kamień węgielny przyszłéj, dalekiéj, republikańskiéj polityki Francyi na wschodzie słowiańskim, oraz pojednawcza, nadskakująca instrukcya księcia Brogliego nowemu posłowi Francyi w Petersburgu, marszałkowi Maison'owi,—powodują warunkowe przebaczenie cesarza Mikołaja. Ale oto znowu zaraz następuje nagły wybuch gniewu i niezadowolenia z powodu różnicy w poglądach na sprawę wschodnią. Rozkaz nie wpuszczania członków ambasady francuskiéj na salę przyjęć w pałacu Zimowym w dniu imienin cesarza, wyjazd posła rosyjskiego z Paryża, zmiana gabinetu we Francyi i szereg daremnych usiłowań Guizot'a w celu zbliżenia się do Rosyi i przejednania cesarza, powodują nareszcie łaskawe pośrednictwo Metternicha i zgodzenie się Rosyi na wspólny podpis z Francyą w sprawie przytłumienia zawichrzeń w Szwajcaryi, zwiastujących nowy rewolucyjny kataklizm w Europie... Lutowy

1848 r. przewrót w Paryżu, ucieczka Ludwika Filipa, obwołanie drugiéj Rzeczypospolitéj i dziwne napozór z tego powodu słowa historyografa rosyjskiego, że „cesarz Mikołaj chętniéj, skwapliwiéj, rzetelniéj godzić się mógł z radykałami téj maści np. co Lamartine lub Ledru-Rollin, niźli z mieszańcami i mieszczuchami konstytucyonalizmu orleańskiego..." — to są wszystko fakta w najwyższym stopniu znamienne, pouczające; mówią one wiele, bardzo wiele, — i kto wié, czy w danym razie nie zawiele...

Tak jest,—za wiele. Nie trzeba bowiem mniemać, że całkowite i dokładne zbadanie przedmiotu, że wszechstronna i szczegółowa świadomość położenia zawsze i wszędzie stanowi dobro bezwzględne, sprowadza skutki wyłącznie pożądane i pomyślne. „Wiedziéć — to tyle co przewidziéć"; w dziedzinie zaś zagadnień społecznych i politycznych przewidywanie zjawisk spełnić się mających lub mogących, na podstawie spełnionych, zamiast ułatwiać i prostować drogi wyjścia i dojścia, obarcza samą podróż i samo zdecydowanie się na nią takim bagażem, baczenia na wszystkich, oglądania się na wszystko, że zwęża to w nas, ogranicza i mitręży ruch wszelki, wszelką inicyatywę czynną. Trudność wyboru środków zaciemnia i gmatwa cele, z których doniośléjsze i większe ustępują przed bliższemi i mniejszemi, a te, na morzu skrupułów bez końca, więzną i utykają najzwykléj na mieliznach formalistyki jałowéj. Jednostki i narody, zanadto doświadczone, we wszechstronną naukę przeszłości zasobne, niezmiernie skłonne są albo do tycia na miejscu, w inercyi, albo téż ilekroć po wielu rozwagach i namysłach odważą się wystąpić na próg przyszłości, wystąpią zawsze w tak sutym rynsztunku, że przypomną komicznego owego bohatéra Jana Pawła Rychtera, co wybierając się na przechadzkę, zabierał z sobą parasol nie tyle w przewidywaniu słoty i deszczu, ile w zamiarze uchronienia się na słońcu od widoku własnego cienia...

Zdaje się, że Francya ostatniéj doby taki właśnie parasol sobie sprawiła. Ogarnęła ją jakaś ociężałość ołowiana, jakaś bezmierna troska o poprawność swéj postawy i kroków, granicząca z bojaźnią o pokazanie światu, że była kiedykolwiek sobą, że tworzyła awangardę pochodu ludzkości, wskazywała i torowała gościńce oświaty i cywilizacyi. Udomowienie jéj życia publicznego, okryły najwyższe nawet ściany i dachy narodowego jéj życia proszkiem jakiéjś szaréj, powszedniéj, nużącéj jednostajności; pomimo częstego przebierania w prezydenturach ze sfer najróżnorodniejszych (naukowo-dyplomatycznéj za Thiersa, żołniersko-reakcyjnéj za Mac-Mahona, adwokacko-parlamentarnéj za Grevy'ego, tradycyjno-rewolucyjnéj za Carnot'a, liberalno-mieszczań-

skiéj za Casimir-Perier'a, przedsiębiorczo-przemysłowéj za Faure'a), monotonna ta zajękliwość Rzeczypospolitéj zmienić gotowa dotychczasowy sens przysłowia: *plus cela change, plus cela la même chose*. Przypowieść — z brudno-białéj stać się może wyblakle-czerwoną. Krótkotrwałość monarchicznych rządów we Francyi, gdzie, od r. 1815, w ciągu nie spełna lat 55 przesunęło się czterech panujących, przybiera niemal skostniałą powagę wydłużonych dynastyi faraońskich w stosunku do przeobrażeń republikanizmu francuskiego, który w dwójnasób krótszym okresie lat 25 zużył sześć czy siedm etykietek prezydyalnych (thiersowską liczyć można podwójnie, a nawet potrójnie). Zapewne, o dwóch ostatnich, jako zbyt świeżych, historya zachować musi pełne zastrzeżeń milczenie; ale też i o czterech pierwszych nic tak bardzo wydatnego nie ma do nadmienienia. Ukazanie się i zniknięcie ich na widowni wygląda zaledwie jak okręcenie się w kółko migotliwych światełek „obietnicy ciągle odraczanéj" (według trafnego określenia prof. Ernesta Lavisse'a). Płaszczyzna zdarzeń szybko i sypko po sobie następujących wzdłuż czteropiętrowéj téj epopei prezydyalnéj nie przedstawia, w rzeczy saméj, ani dziesiątéj części tego urozmaicenia, téj niezwykle barwnéj, a prawie zawsze doniosłéj, szeroko rozbrzmiewającéj ruchliwości zasad, kierunków, zajść, zatargów, form działalności umysłowéj, towarzyskiéj i prawno-politycznéj, jakiemi w pierwszéj połowie wieku XIX zapisały się burzliwe, zaciekawienie powszechne budzące i każda na swój sposób głęboko wpływowe monarchie: legitymistyczno-restauracyjna, konstytucyjno-burbońska, liberalno-kupiecka, cezaro-demokratyczna. Hypotezy co do powodów cichéj, miałkiéj, pleśnią w wielu miejscach zachodzącéj zastałości wód trzeciéj Rzeczypospolitéj, mogą być liczne i na uwagę zasługiwać; między innemi jest wielce prawdopodobném i to, że nizki poziom lat 1871—90 spowodowany został nadmierną obfitością wód 1793 i 1848. W każdym razie niewątpliwą jest rzeczą, że wyraźniejsza nieco charakterystyka czterech z rzędu naczelników państwa i odpowiadających im trybów rządowych nad wyraz jest trudna do uchwycenia i zaznaczenia wskutek nikłéj pod względem rezultatów, a tylko pod względem wróżb i zapowiedzi hucznéj ogólnéj przędzy żywota i wypadków we Francyi tegoczesnéj.

Skromna, niemal potulna na zewnątrz, kompromisami stronnictw podtrzymująca wewnątrz chwiejny i wiotki zarys republikańskiéj swéj budowy za Thiersa, zamaszyście lecz bezsilnie reakcyjna i pompatyczna za Mac-Mahona, Francya pochyla się za Grevy'ego ku śliskim spadzistościom praktyk bulanżystowskich i wilsonowskich, w których i po za któremi nie było już—zdawało się—dla niéj godziwego ocale-

nia. Dopiéro za Carnot'a, po skąpaniu instytucyi republikańskich w ucztach kronsztackich i fajerwerkach portsmouckich, naród francuski stanął jakby na nieco twardszym, pewniejszym gruncie. Atoli, nawet po należytém i wielokrotnie ponowioném zaświadczeniu postronném, że Francya wybrnęła nareszcie z zabagnień pogromowych 1870—71 r., rydwan przeznaczeń kraju nie przestał trząść się i przechylać złowrogo na obie strony pod natarciem raz po raz wznawiających się alarmów pogranicznych, ościennych, — a kołatał się i skrzypiał aż do chwili zniknięcia z horyzontu ponuréj, nienawistnéj sylwetki pierwszego kanclerza Niemiec zjednoczonych; z tego względu dzieje Francyi od r. 1875 do 1892 stanowią jakby jedną długą, przykrą i nawet wprost niekiedy wstrętną bismarkiadę...

Szczegół godny zastanowienia. W tym cyklu zgrzytań i biadań jeremiaszowych, najmarniej, najsmutniéj prezentują się rządy „najuczciwszego osobiście" prezydenta Rzeczypospolitéj—Grevy'ego. „Waszyngtonowi francuskiemu" niepodobna, zaiste, odmówić zalet cennych; nie podobna nie złożyć hołdu przymiotom jego indywidualnym: nie zachwianéj stałości przekonań, skromności i powadze pożycia prywatnego, czujnéj, do fetyszyzmu posuniętéj obserwacyi form i obyczajów parlamentarnych... Ale, cóż z tego, skoro w najściślejszém właśnie przestrzeganiu świąt, obchodów, pacierzów i godzinek konstytucyjnych, zamknął Grevy całą ambicyę najwyższego dostojnika państwa i dobrego obywatela kraju, Dowiedzioném zostało, że niedelikatne sprawy jego zięcia Wilsona nie dotknęły się go wcale; milczał, bo domowych goryczy nie chciał roztaczać przed światem, przez ustąpienie zaś z wysokiego stanowiska, wśród ujadań i niebezpiecznéj gry stronnictw, spłacił w zupełności „honorowe" długi swojego domu i najbliższych. Są to wszakże przygody nie wpływające na ogólne tło i koloryt zawodu publicznego. Z niemi czy bez nich powstać mogło słuszne pytanie: czy trochę więcéj dzielności i rzutkości ze strony uczciwego zwierzchnika państwa nie byłoby zapobiegło wielu zboczeniom i błędom, na które polityka ojczysta za dni Grevy'ego narażoną została i których następca jego, Carnot, stał się tylko jakby spadkobiercą niewłasnowolnym—a w końcu i ofiarą... Niesłychany wzrost (za Grevy'ego rozmaitych związków konspiracyjnych, sprzysiężeń socyalistycznych, lig patryotycznych, należy niezaprzeczenie zaliczyć do szkopułów politycznych, podziśdzień jeszcze potężnie oddziaływających na mniéj więcéj uciążliwe i upokarzające zwroty i obroty sterników francuskiéj nawy państwowéj. Gdyby można było w jedno orzeczenie ująć zjawisko tak płytko a szeroko rozpłynięte, jak dziewięcioletnie blisko (1879—1887)

kierownictwo sprawami dzielnego i bogatego zawsze, tylko trochę wylęknionego i strapionego narodu, możnaby o Grevy'm powiedzieć zwięzłemi słowami jednego z najcelniejszych publicystów tegoczesnych: „Utrwalił byt Rzeczypospolitéj, przygotował mocne dla niéj oparcie międzynarodowe, ale się nie wiele przyczynił do jéj podniesienia i uzacnienia... Moralnie poziom życia pod jego chłodném okiem i bezstronną pieczą obniżył się nawet poniekąd. Cenna i zbawienna gdzieindziéj, w innych okolicznościach, zasada nieinterwencyi władzy, przyczyniła się tylko w rozbitém i rozjątrzoném społeczeństwie do wydobycia z jego głębi sił grubych, żywiołowych, najlichszéj wartości cywilizacyjnéj..."

II.

Powstanie pewnych szczególnych prądów wymaga też pewnych szczególnych okoliczności, byt ich warunkujących. Niczego więcéj nad to, czém Francyę obdarzyć mógł Grevy, Francya od niego nie potrzebowała. Byle stał na uboczu, byle się do niczego nie mieszał,—przymierze niezbędne, przymierze „opatrznościowe",—tak samo jak przed czterdziestu laty Italia—*fara da se*. Gdyby do dzieła zabrali się byli mężowie stanu, biegli i wyćwiczeni doktorowie prawa narodów, hofraci opatrzeni pełnomocnictwami opartemi na instrukcyach tajnych,—zbiory Angebergów i Martensów zbogaciłyby się niechybnie o jeden jeszcze dokument dodatkowy do tylu innych, które zanim się dostały na pastwę molów, stoczyła logika faktów; prawnukowie nasi na niewdzięczném polu publicystyki dyplomatycznéj pozyskaliby jakąś odświeżoną z czasów kongresu paryskiego notę protokularną, jakiś przystosowany do miary czasów dyaryusz z epoki zjazdu sztutgarckiego, — ale pokolenia współczesne ani iluminacyi tulońskich nie mogłyby były oglądać, ani też nie słyszałyby wiwatów szerburskich. Tymczasem, wobec rezultatu niemożliwego chwilowo do osiągnięcia w drodze rokowań urzędowych, wobec drażliwości postronnych (w Niemczech głównie, w Anglii, częściowo w Austryi), czyhających na każdy śmielszy krok lub nawet gest tylko osób u steru stojących, — bierność rządów i neutralne na oko zachowanie się Grevy'ego, stały się najbezpieczniejszym puklerzem, najskuteczniejszém narzędziem agitacyi czynnéj,—téj agitacyi szerokiéj, wszędzie obecnéj, nigdzie nie odpowiedzialnéj, którą wydobyć z pod łupiny formalistyki skrępowanéj i krępującéj zdolną była jedynie inicyatywa prywatna, energia jednostek, poparcie tłumów bezimiennych. W ten tylko sposob, obok władz w danéj sprawie nominalnych, wytworzyć się we Francyi mogła faktyczna władza

opinii publicznéj, działająca w kierunku zamierzonym, domyślnie od góry tolerowanym. I było już wtedy rzeczą zupełnie podrzędną, kto mianowicie nad tą rozkołysaną falą komendę obejmie, kto na nią wsiądzie i sztandar żeglugi ujmie w swe dłonie. Na czoło narodu wysunęła się kobiéta, któréj płomienna nienawiść ku „tradycyjnemu wrogowi" — Niemcom, wylewająca się w potokach złorzeczeń, niczém nie miarkowanych, nerwowych, histerycznych niemal, dała na razie powód do drwin i uwag uszczypliwych zarówno w Berlinie, jak w Paryżu i Petersburgu (artykuły „Now. Wr."), — ale która, bądź co bądź, zrobiła swoje, postawiła na swojém, zniewalając poważniejsze nawet pióra współrodacze do wyznania w końcu, że „odegrała rolę drugiéj, nowoczesnéj, okolicznościami wywołanéj Joanny d'Arc." Olbrzymi materyał jéj odezw, listów, broszur, wspomnień, opisów podróży etc. z okresu lat siedmiu poprzedzających manifestacye kronsztackie i peterhofkie, nabrał dziś, z konieczności saméj sytuacyi i powodzenia głównéj misyi, tegoż samego znaczenia, téj saméj wagi, jaką w innych epokach posiadają noty dyplomatyczne, relacye poselskie, deklaracye gabinetowe. Dyplomacya to *sui generis* — nie wybredna, nie głęboka, nie zagadkowa — amerykańska, trzaskająca jak z bicza, w pełni słowa „ze schyłku naszego stulecia."

Nie mamy pod ręką szczegółowego życiorysu pani Adam (Julietty Lambert). Dziewczę ubogie, artystka podobno z powołania, oddaje rękę staremu, bogatemu finansiście, deputowanemu, szczeremu i gorącemu patryocie, który przed zgonem zapisuje jéj całą swą fortunę z wyraźném zastrzeżeniem, że użytą zostanie przeważnie na cele odwetu za rok 1870. Młoda wdówka, po kilku ewolucyach dokoła osoby Leona Gambetty, — jeszcze przed tragicznym i zagadkowym zgonem „nieodzownego dyktatora Francyi" i najniezawodniéj z jego upoważnienia, zawiązuje stosunki z wpływowemi osobistościami w Rosyi, mając głównie na widoku najwybitniejszą z nich, najbardziéj wpływową, cieszącą się czas jakiś popularnością niezmierną, a z wielu względów zasłużoną; mówimy—oczywiście—o generale Skobielewie.

Wiadomość o pierwszém widzeniu się pani Adam z „białym generałem", jak sławna propagatorka stale Skobielewa nazywa w swych pismach, dostała się do roczników kończącego się naszego stulecia pod postacią rzadkiego dziś memoryału, ogłoszonego w Paryżu w r. 1886. Spotkanie nastąpiło w początkach stycznia 1882 r. w Petersburgu, w hotelu Europejskim, w którym się pani Adam zatrzymała po przybyciu do stolicy nadnewskiéj. „W chwili—opowiada interlokutorka—gdy generał wchodził do salonu, zajmowanego przeze mnie, opuszczały go pani Giers z córką. Mijając się z wchodzącym, damy te, uderzone

wspaniałą postawą gościa, spytały półgłosem: — „Kto to?”... — „Jak-to? nie znacie go panie? — To Skobielew.” Po odprowadzeniu pań, gospodyni zbliżyła się do generała, którego również widziała po raz pierwszy (imię jego odczytała tylko co z kartki wizytowéj) i wyciągnęła doń dłonie. „Spojrzeliśmy na siebie z wyraźną intencyą oszczędzenia sobie nawzajem utartych komplementów”... Idzie daléj opis powierzchowności Skobielewa, skréślony ręką kobiéty widocznie zachwyconéj: „Głowa niezmiernie piękna, twarz niesłychanie wyrazista, dumna i delikatna, oczy lazurowe przepyszne, głos nadzwyczaj urozmaicony, klarowny, brzmiący raz słodyczą nieskończenie harmonijną, to znów donośnie i dźwięcznie jak trąbka bojowa”... Pani Adam literalnie zapewnia, że tylko dwóch równie urodziwych mężczyzn widziała w swém życiu: pierwszym — naturalnie — był Gambetta; o nieboszczyku mężu, sędziwym doktrynerze republikańskim, nie ma wzmianki. Skądinąd, ręczyć można, że w danym wypadku entuzyazm dla osoby Skobielewa był najzupełnéj natury platonicznéj. W roku 1882-im pani Adam była już osobą poważną, nie w zaraniu młodocianego wieku i pod względem doskonałości fizycznéj trochę słotami życia przyćmioną. Prerafaeliczne jéj uczucia dla Skobielewa były osobiście bezinteresowne, płynęły z krain—rzecby prawie można — historyozofii metafizycznéj. Przemawiała z nich miłość — to pewna, lecz „miłość zbiorowa, ogólna, plemienna”, sącząca się z zaognionego uprzedzenia do Niemiec i do Niemców. Sama pani Adam najformalniéj, po razy kilka zapewnia, że smółki swego uwiebienia palone przed ołtarzem zwycięzcy z pod Geog-Tepe i Plewny „zbiérała w lesie tegoczesnych stosunków politycznych, na gruncie klęsk i upokorzenia Francyi z roku 1870-go.” O nic innego nie chodziło obecnie, tylko o zorganizowanie akcyi odwetowéj, przedewszystkiém zaś o sprowadzenie generała do Paryża, wciągnięcie go w sam środek działalności ligi patryotycznéj, związanie zażyłością przyjacielską z jéj przywódzcami i o zaokrąglenie tym sposobem systemu podniet zobopólnych: Francyi przez Rosyan, Rosyi przez Francuzów.

Rozmowy na odpowiednio dobrane tematy podtrzymywała korespondencya, w któréj powoli, stopniowo, brały udział figury z najwyższych szczebli administracyi wojskowéj i cywilnéj. Subiektywne poglądy i humanitarne uniesienia kobiéty nie miałyby ani tego rozgłosu, ani tego skutku, jaki istotnie sprawiły, gdyby im nie towarzyszyły dokumenta opatrzone podpisami największych w swoim czasie powag dyplomatycznych, finansowych, duchownych. Podpisy takie, co prawda, znajdowały się zazwyczaj na krótkich, nic prawie nie mówiących

odpowiedziach na listy, głównie generała Skobielewa, — ale listy same, opublikowane nieco późniéj, dziś jeszcze robią wrażenie, dają nie mało do myślenia. Przytoczymy dla przykładu jedynie wyjątek z misywy do generała X., najbliższego niegdyś z politycznych przyjaciół pani Adam; przekonamy się z niego, że niektóre orzeczenia znalazły się późniéj powtórzone niemal dosłownie w aktach ostatniéj, bezapelacyjnéj instancyi. „Wrażenia moje z pobytu w Niemczech — pisze Skobielew — streścić można w dwóch słowach: byłem oczarowany i przerażony, — nie z powodu pruskich sił zbrojnych, którym ostatecznie sprostać-byśmy mogli, jeżeli nie w szczegółach, to przynajmniéj pod względem masowym, — lecz przerażony z powodu uporu i konsekwencyi, z jakiemi się tu przygotowują do wojny z nami... Nie lękam się wcale orężnéj walki z Niemcami, gdyż, chociażbyśmy na razie pobici zostali, to przecież, koniec końców, zwycięstwo przy nas zostanie; natomiast rzeczywiście się obawiam politycznych przeciwko nam knowań księcia kanclerza, jego intryg nieustających, skierowanych ku temu, by nas odosobnić i osamotnić w Europie. Za jakie lat dziesięć uwikła on nas na Wschodzie w matnię takich trudności, że obruszą one na nas nietylko całe Niemcy, lecz wszystkie bez wyjątku mocarstwa. Uwziął się Bismark nas podkopać, zrujnować moralnie, pokłócić z Francyą, Turcyą i słowiańskiemi państewkami półwyspu Bałkańskiego—a pokłóciwszy, rzucić na pastwę losu, z całą masą głupstw i błędów, które za jego poradą popełnimy... Wy tam we Francyi wyobrażacie sobie, że Prusy czyhają u nas na Pomorze baltyckie, że w téj to stronie najpierw na nas uderzą. Gdzie zaś! Książę Bismark bezpośrednio ma na oku nie Rygę, lecz Konstantynopol. Nie gdzieindziéj, tylko na Wschodzie postarają się nas zaszachować i z tego powodu tysiąckroć razy wolałbym, aby wojna z Niemcami rozpoczęła się raczéj teraz, niżli za lat pięć lub dziesięć. Dzisiaj, wpływ nasz pod Bałkanami jest jeszcze prawie nie tknięty, jutro już będzie zachwiany, jeśli nie podkopany i zniszczony. Nie łudźmy się jedwabnemi słówkami naszych obecnych przyjaciół w Berlinie. Nigdy przyjaźni téj nie chodziło o co innego, jak o sprowadzenie nas do nicości z pomocą fałszywych obietnic. Bo póki stać świata, nie podzieli się Słowianin z Niemcem panowaniem na ziemi; jedno z tych plemion nieodmiennie podbić musi i pod siebie zagarnąć drugie... O, jakżebym pragnął zmusić Niemców do lizania prochów pod naszemi stopami... *Oh, comme je voudrais forcer les Allemands de lécher la poussière sous nos pieds!*

Filipice powyższéj wszystkiego odmówić można, — tylko nie celowości, sformułowanéj najdokładniéj, najjaśniéj, z otwartością bez-

względną, posuniętą po za granice wszelkiego konwenansu politycznego. W zestawieniu z tą jędrną, męską prozą, subtelne odkrycia pani Adam, jakkolwiek również nie grzeszą dbałością o finezye dyplomatyczne i parlamentarne, tracą jednak na sile i trafności. Rozmowy jéj z generałem, mniéj więcéj wiarogodnie powtórzone, bledną w porównaniu do naturalnéj czerstwości i wybujałéj energii epistolarnych zwierzeń Skobielewa. Najwięcéj szkodzą tym dyalogom, których autorka podziśdzień nie przestaje odgrzebywać w swéj pamięci, rozmaite nadużycia paryskiéj przenośni krasomówczéj, jak np. zapewnienia, że „popularność zwycięzcy z pod Geog-Tepe równała się w Rosyi popularności Napoleona I-go we Francyi", że był to wódz nad wodze, że nie krew, lecz płomienie płynęły w jego żyłach, że serce jego było tak wspaniałomyślne, iż nawet Polaków kochało i t. p. Pomimo to, nie brak w tych notatkach postrzeżeń, rzucających niejakie światło na główne zadania „Ligi patryotycznéj" we Francyi. Poruszono pewnego dnia sprawę drobnych ludów bałkańskich.

— Zapewniam panią—ozwał się Skobielew—że gniecie je ciężka ręka tyranii. W Bośnii, Hercogowinie, ciemiężca zmusza dzieci słowiańskie do służenia w armii, mordującéj ich ojców i braci. W dłonie nieszczęśliwych wtykają karabiny zbryzgane krwią słowiańską. Myśl o tém wnętrzości mi przewraca. Doznaję uczucia, jakie w was wre zapewne, gdy słyszycie opowieść o ucisku lotaryńczyków i alzatczyków...

— Ależ, kwestya to inna: lotaryńczycy i alzatczycy są naszymi braćmi...

— A tamci, pod Bałkanami, nie są naszymi?—zawołał Skobielew głosem, który panią Adam do głębi przejął... Przecież są oni Słowianami, przeto rodzonymi naszymi braćmi...

— W każdym razie Austryę — od pewnego czasu — niepodobna winić za jéj postępowanie na Wschodzie. Nie ma ona rąk wolnych. Popychają ją Niemcy...

— A! Niemcy!... — pochwycił Skobielew i w jedném tém słowie (dodaje pani Adam) zawarł całą swą wiarę, całą swą namiętność („Natchnionym był; ci, którzy niegdyś wzywali do wydarcia grobu Chrystusa z rąk niewiernych, musieli mieć taki apostolski wyraz twarzy").

— Zaprawdę — mówił generał — nie lubię wojen, wcale ich nie lubię. Ale jest z nich jedna, do któréj zawsze będę gotów, która nigdy nie wyda się mi za kosztowną; wojna to święta. Trzeba, żeby zjadacze Słowian wcześniéj czy późniéj sami z kolei byli przez nich

zjedzeni... Widzę to, czuję, zapowiadam pani, że Niemcy pożarte kiedyś zostaną przez Słowian...

— Obyż się spełniły pańskie słowa!... Co do mnie, pomimo tylu przeniesionych bólów (?), będę i ja, generale, równie jak pan, zawsze przygotowaną do świętéj wyprawy Gallów i plemion romańskich przeciw Germanom...

— Niemiec — stwierdził Skobielew dźwięcznie i donośnie — jest wrogiem Francyi, Rosyi i wszystkich drobniejszych narodowości w Europie...

— Ach, generale, wyrazy te: „Niemiec — to wróg", powinienbyś wyrzec wśród nas, w Paryżu...

— Hm, wątpię... Każdy z was zanadto jest jeszcze obecnie zaniepokojony, każdy lęka się przedewszystkiém Bismarka...—i przez to samo wszyscy mu ulegają. Robi on dziś co chce... wszędzie. Zobaczysz pani, że jeżeli kanclerzowi niemieckiemu się spodoba, uczyni on was, zarówno jak i nas, swoimi sprzymierzeńcami...

W owéj chwili przymierze potrójne rosyjsko-prusko-francuskie podstawione na miejsce podwójnego, na wzór staréj kombinacyi z r. 1797, zaledwie dopiéro jeszcze kiełkowało w niektórych głowach, zanim—jak się o tém w lat kilka później przekonano—stało się osią obrotów „w tył i napowrót" całego systemu pomysłów „nijakich", sprowadzających do zera cel i doniosłość związku krańców. Przeto też i pani Adam nie zwróciła baczniejszéj uwagi na wróżbę Skobielewa, zaznaczając tylko na razie, „że taka wszechpotęga Bismarka, powinnaby być tém większą pobudką dla przeciwników czarnego księcia, aby połączyli w jedno ognisko rozproszone swe usiłowania i razem bili na trwogę..."

Skobielew, jak wiadomo, uległ w końcu tym namowom. Odwiedził Paryż i w d. 16 lutego 1882 r. istotnie uderzył na alarm, wygłaszając między innemi pamiętne słowa: „*L'ennemi — c'est l'Allemand... Une lutte extra le Slave et l'Allemand est inévitable; elle sera longue et terrible, mais le Slave triomphera...*"

Lubo wygórowana nuta téj alokucyi nie przebrzmiała bez wrażenia, lubo w przemówieniu swém Skobielew zamknął wszystko, co w danym momencie historycznym było do nadmienienia w kwestyi sojuszu dwu największych lądowych potęg w Europie, to jednak fizyologiczne motywa zachowawczości, wzięły niebawem górę nad psychologiczną pobudką do czynów nowatorskich — i wkrótce trzeba było cofnąć się raz jeszcze na stanowisko utyskiwań słownych, obaw teoretycznych, pożądań platonicznych... Pogawędki, przyrzeczenia, nadzieje—raz po raz chowające się za szare obłoki bieżącéj powszedniości—ciągnęły się

daléj, ustnie i na papiérze. Ale nie było już w nich dawnego ognia i „płomieni w żyłach"...

— Ach—powiadał generał pewnego dnia—czemuż minęły czasy ręcznéj szermierki... Wyobraź sobie pani, coby to było za spotkanie: z jednéj strony ja, z drugiéj Bismark, dokoła zaś nas siły dwu armii nieprzyjacielkich, rosyjskiéj i niemieckiéj... Ot, byłoby na co spojrzéć...

— Walka byłaby straszna, z nim szczególniéj, nieprawdaż?...

— O, z nim szczególniéj... — powtórzył generał głosem zmienionym.

„Nastąpiła długa, przykra przerwa..." Pani Adam, dla podtrzymania rwącego się wątka rozmowy, odważyła się przypomniéć. Skobielewowi nieszczęśliwy wypadek jego matki pod Bałkanami, zgon jéj przypisany złości i zemście niemieckiéj...

— Wiész pan dobrze—podjęła łagodnie — jak uwielbiałam pańską matkę, jak wysoko ceniłam jéj patryotyzm, jéj poświęcenie...

— Wiem — odparł generał — i dlatego wyznaję przed panią że z nieprzyjaźnią mą patryotyczną łączy się nieprzyjaźń osobista. Nie, przyjaźń tę głoszę tam wszędzie, gdzie ona zrozumiana być może... I będę się z nią nosił, będę ją opowiadał zawsze, nieustannie, aż wróg Rosyi i wróg mój osobisty zgnębiony zostanie... — aż do śmierci...

„Wyzwanie" — zaznacza pani Adam — nie długo czekało na odpowiedź. Wkrótce potém generał już nie żył... Przyjaciółka Gambetty i Skobielewa, dwóch wielkich antagonistów księcia Bismarka, pisze z tego powodu: „Zachowalam przy sobie garść nieśmiertelników, które się trumny dotknęły, — grobowe zaś to kwiecie przypomina mi powinność moją — moje nadzieje i zobowiązania... Jeden z naszych towarzyszów wspólnych, do którego Skobielew powiadał na tydzień przed zgonem: gdy zniknę, nie opuszczajcie sprawy i nie zapominajcie w projektach waszych o przyjaciółce paryskiéj, — towarzysz ten wié dobrze, do jakich poświęceń gotowa jestem w celu przyprowadzenia do skutku wielkiego przedsięwzięcia anti-bismarkowskiego..."

Przedsięwzięcie anti-bismarkowskie!... Jestto, jak widzimy, bardzo już znaczne uszczuplenie idei Skobielewa, wysnutéj z przeslanek historyozofii ras, wobec któréj kwestya jednego jakiegoś Bismarka, lub nawet jednéj jakiéjś dynastyi pruskiéj, schodziła do drobiazgów podrzędnych, niemal śmiesznych. I w ogólności, dalsza, poskobielewowska propaganda pani Adam, jako czepiająca się zbyt uparcie pewnych osobistości lub zdarzeń przejściowych, przygodnych, — przeto nie zasadnicza, nie znajdowała długi czas posłuchu i poparcia w kołach poważniej-

szych. W publicystyce, zarówno francuskiéj jak rosyjskiéj, często słyszéć się dawały głosy niedowiarstwa i szykany; napomykano nawet o psychopatyi, o obłędzie... Mniemano, że „niemilknące takie gdakanie bez widomych następstw", wzmacnia tylko zabobon bismarkowski, szerzy po świecie zarazki bojaźni chorobliwéj, przeceniającéj „szatański" geniusz pierwszego kanclerza Niemiec zjednoczonych. Atoli, doświadczenie lat późniejszych przekonało, że błąd nie tkwił po stronie „polityki niewieściéj". Niezadługo nadciągnęły wypadki téj miary i tego wszecheuropejskiego znaczenia, co uroczystości w Kronsztadzie, Cherbourgu, — wreszcie, za dni najświeższych, w Paryżu, w Châlons-sur-Marne, — wypadki poprzedzone na odległość lat kilku przez najbardziéj z nich wszystkich uderzający — a mianowicie: ustąpienie z widowni księcia Bismarka, przeciw któremu pani Adam tyle farby drukarskiéj zużyła... Dziś, trudnoby już nawet było wykryć, z powodu niezmiernie powolnego podnoszenia się gruntu ugodowego, kiedy mianowicie nastąpiło pęknięcie lodów, — to jest urzędowa sankcya zwrotu, który początkowo, za dni Grevy'ego, wykluwał się napozór tak nienormalnie, rozwijał się w sposób przygodny, pokątny, dorywczy. O ile z kilku wskazówek wnosić wolno, stało się to nie wcześniéj, aż kiedy na piersi prezydenta Carnot'a zabłysnęła gwiazda i wstęga Ś-go Andrzeja. Wtedy to *ex officio*, z pewną podniosłością zapisano słowa znamionujące działalność spoczywającéj w Panteonie ofiary zamachu lugduńskiego, wtedy po raz pierwszy od lat kilkunastu posłyszano godne trybuny francuskiéj *memento*: „Prezydent, któregośmy umieścili na najwyższém stanowisku, równał się bezwątpienia osobom panującym. Wśród tych znalazłaby się nawet nader ograniczona liczba takich, co jak Carnot, z ufnością spoglądaćby mogli w przyszłość, polegać na niéj, dokładnie znając zamiary swych ludów.. Wśród blasku otaczającego pierwszy urząd we Francyi, order ofiarowany prezydentowi stał się dowodem, że monarchie postronne uznały moc i potęgę moralną narodu republikańskiego. Nie jest w tym razie bez wpływu także i świadomość ogromnych zasobów wojennych, któremi Francya rozporządzać może w razie potrzeby..." Prawda i to, że jednocześnie z owém *sursum corda* — ozwała się i pani Adam, najwyżéj w górę rzucając steoretypową swą zwrotkę, która bodaj czy w tym razie nie była śpiewem łabędzim jéj karyery wolnéj, niezawisłéj, samorzutnéj. Przypomniała ona światu swe proroctwo, wygłoszone podczas dymisyi Bismarka: „Z miasta Moskwy, ze świętego grodu Rosyan, wyszło hasło porażki kanclerza niemieckiego. Niepomszczona dusza Skobielewa nie przestała się unosić nad Kremlinem, udzielając natchnienia tym, co walczą bronią anti-bismarkowską... W nadludzko-wieszczym artykule Katko-

wa, który tak zwycięsko uwolnił Rosyę od tyranii niemieckiéj,—poczułam oddech Skobielewa..."

Poczucie pani Adam było już złudzeniem. W dobie, o któréj mowa,—na schyłku prezyndetury Carnot'a, duch Skobielewa już całkowicie się był ulotnił z téj przynajmniéj części programu, która dotyczyła Niemiec i „tyranii niemieckiéj". Od daty zaciągnięcia rozmaitych manifestów „Ligi patryotycznéj" do protokułów obu kancelaryi, odpadło z nich niezmiernie dużo natchnień, a to, co z prozy pozostało w kształcie wskazań zaakcentowanych i prawomocnych, zobowiązywało raczéj do uwzględniania i szanowania czujności Niemiec niżli do draźnienia ich miłości własnéj. Inne, łagodniejsze wiatry powiały w stosunkach międzynarodowych. Stało się zadość odwiecznemu pewnikowi, że, zyskując na obszarze i objętości, tracimy na spoistości, że prąd, który się rozszerza, zaciéra się i nieraz niknie.

III.

Po wyparciu z pobojowiska „upiora wieku", szybko, w ciągu lat dwóch nowicyatu monarszego, rosła i urosła sława młodego cesarza Wilhelma II. Jego narzucające się wycieczki do Rosyi, jego grzeczne, uprzedzające pod adresem Francyi telegramy inauguracyjne, jubileuszowe, kondolencyjne, jego zamaszyste pomysły reform międzynarodowo-socyalnych i kongresowo pokojowych, wykierowały go odrazu na najbardziéj oryginalną i zajmującą osobistość ostatniego dziesięciolecia wieku. Kurs nowy, z kanclerzem Caprivim na froncie — podobał się; podobał się nawet w wyższych, myślących sferach rosyjskich. Przeciwieństwo było widoczne — antyteza zupełna. Bismark za wiele liczył na konika polskiego — i naturalnie przeliczył się. Opiérając się na postrzeżeniu zaznaczoném najdokładniéj, ale zamkniętém w ciasnych granicach lat 1863 — 70, że nic tak nie schlebia Słowianinowi, jak obelga rzucona w twarz jego bratu, posępny książę z empirycznego tego aksyomatu za długo wygniatał w żelaznych swych dłoniach najdziwaczniejsze figurki retoryczne o potrójnych i więcéj obliczach: dla bliżéj stojących wyglądały one figlarnie; z oddalenia wziąć je mogłeś z tragicznéj strony; w Polakach wreszcie—z tegoż powodu—rosło serce, wzbierał animusz... W kraju zbiédzonym, dotkniętym przesileniem rolniczém i ciężarami burzliwéj przeszłości, z nieuregulowaną spuścizną różnorodnych kwestyi chłopskich i żydowskich, stary kanclerz niemiec

ki z zaciętością iście grabarską wykopywał codzień nowe jakieś skarby patryotyzmu, ofiarności, konspiracyi, intrygi, — a to zarówno w kobiétach bohatérkach zmarłych na wałach Trębowli, jak w kapłanach, przypominających legendową postać księdza Marka lub w podrostkach wyrzuconych ze szkół z puginałami Mazziniego w zanadrzu... Zmyślał przytém i wymyślał, jak hajduk, myśliwy lub kapral koszarowy, dopuszczając się często kłamstw oczywistych, grubych, cynicznych, jak w procesie Kraszewskiego, kiedy z wysokości wszechwiednego urzędu kanclerz wskrzeszał i powoływał na świadectwo spiski i stowarzyszenia zwinięte przed piętnastu laty z powodu braku funduszów na opłacenie lokalu („Towarzystwo wojskowych polskich" w Paryżu)... Wszystko uchodziło — i byłoby zapewne szło daléj, gdyby księciu Bismarkowi nie przyszło było do głowy rozpocząć tę samą grę z drugiego jeszcze końca. Po rugach poznańskich, po komisyach kolonizacyjnych, kanclerz zabrał się do wyrzucania z rządowych banków walorów rosyjskich, do zamykania komór celnych, do ogłaszania dokumentów sfabrykowanych za autentyczne i na odwrót, — wreszcie, do przesławnego ubezpieczania umów t a j n y c h na dwa fronty: w Wiedniu i Petersburgu. Przebrała się miarka... Nie dziw przeto, że gdy z kolei u boku cesarza Wilhelma ukazał się teraz doradca lojalny, dyplomata-żołnierz, człowiek honoru i zdrowego sensu, dało się słyszéć zapewnienie kół kompetentnych nietylko nad Sekwaną, lecz i nad Newą: „wolimy miéć do czynienia z otwartym wrogiem, niżli z obłudnym i podstępnym przyjacielem..." „Wróg" wszakże, jak się niebawem pokazało, nie był ani twardym, ani zarozumiałym; powstały stąd domysły, że Prusy zdołają tym razem nareszcie naprawić chybione przed stu laty próby Caillarda i „obiema nogami wskoczyć do przymierza francusko-rosyjskiego", — oczywiście w tym celu (jak się w innéj okoliczności wyraził ks. Bismark), aby je zerwać. Publicystyce usłużnéj, długich zleceń nie trzeba już było dawać: dość będzie, gdy wynajdzie obiekt dla tak rozległego związku, gdy rozwiąże pytanie, z kim Rosya i Francya, połączona pośredniém ogniwem niemieckiém, mają walczyć, czyj wpływ równoważyć, do jakiéj mety dążyć?... Austrya dawna, z roku 1797 już nie istniała... Czy nie zastąpiłaby jéj Wielkobrytania, Włochy?—Do pierwszéj nagrody za odpowiedź na te zagadnienia, w okresie odpowiednio sporządzonych broszur półurzędowych, stanął jeden z najbieglejszych agentów-negocyatorów głośnéj operacyi finansowéj, która masę zagranicznych długów rosyjskich przerzuciła z Niemiec do Francyi.

Kombinacya naczelna, — następstwo czegoś wielce złożonego i zgmatwanego pod względem zasad, — opiérała się tym razem na po-

stulacie, że, nie chcąc wchodzić w zatarg z Niemcami, a nawet pragnąc je na razie pozyskać, należy usunąć na plan jak najdalszy kwestyę alzacko-lotaryńską i związkowi krańców europejskich nadać dyrektywę „wschodnią", a nawet nie zupełnie wschodnią, tylko „śródziemną". Interesa francuskie — powiadano — ogniskują się dziś wyłącznie na morzu Śródziemnem, na jego pobrzeżach afrykańskich i azyatyckich. Wpływ Francyi w tych stronach znacznie zachwiany został wskutek nadmiernéj przewagi Anglii, która oprócz starych swych posiadłości, Gibraltaru, Malty, Adenu, nabyła jeszcze w ostatnich czasach Cypr i Egipt; flota włoska, w połączeniu z angielską, łatwo zadać może śmiertelny cios kolonialnym widokom Francyi na lądzie afrykańskim. Niemałym zapewne antagonistą Francyi są Niemcy, lecz większym i groźniejszym byłaby Anglia, gdyby w posiadanie bezsporne zagarnęła morza. *Qui mer a — terre a.* Dlatego Francya z taką radością wita flotę rosyjską na morzu Śródziemném; wody te mają dla przyszłości rzeczypospolitéj bez porównania większą wagę niżli kąsek ziemi alzacko-lotaryńskiéj. Ponieważ zaś, z drugiéj strony, wyjście dla marynarski rosyjskiéj na morze Śródziemne możliwe jest wyłącznie przez Bosfor, przeto...

Nie ma żadnego „przeto". Nikomu dziś zgoła po głowie się nie błąka podbój Turcyi, zdobycie Konstantynopola. Rosya nie może ściągać głównych swych sił na południe, gdyż przez to dałaby *carte blanche* uroszczeniom Niemiec do panowania na morzu Baltyckiém. Gdyby Rosya główną masę swych sił morskich wyprawiła na południe, jużby przez to samo odstąpić musiała od widoków na północy, — a gołe posiadanie cieśnin czarnomorskich nie jest bynajmniéj wynagrodzeniem dostateczném za zrzeczenie się pierwszorzędnego stanowiska na Baltyku.

Wywód—bezwątpienia logiczny. Tylko-że, jeszcze natrętniéj niż przedtém staje w takim razie pytanie: jeżeli przymierze przyszłości (Rosyi z Francyą), z Niemcami w odwodzie, usuwa ze swych rachub Alzacyę, żeby nie zrazić Niemiec, a wcale nie zagraża Anglii nad Bosforem, to jaka jest rola potrójnego tego związku w koncercie europejskim? co ona ma do czynienia na świecie? — Rezolucya na to ma być krótka: „Przymierze zapewni Europie pokój..." I posypały się wraz,— sypią się dotąd z téj beczki rozumowania tartakowéj już niemal treści: Jak tylko Rosya i Francya zwiążą się z sobą traktatem wyłącznie o d p o r n y m, któż się wówczas ośmieli w Europie dać strzał jeden bez ich pozwolenia? Powody, dla których pokój obecny jest tak niepewny, a obawa zatargu—powszechna, są proste; trwać one będą dopóty, dopóki porozumienie się Rosyi z Francyą nie będzie stwierdzone i przypieczętowane umową formalną, o charakterze n i e z a c z e p n y m; wte-

dy dopiéro Berlin przestanie się łudzić nadzieją oderwania Rosyi od zgody z Francyą, pogróżki wojenne ustaną, Włochy zawieszą zbrojenia się rujnujące, bezsensowne, podniecone żądzą obłowu na Francyi, przeciw któréj ks. Bismark umiał niegdyś zaostrzać zęby włoskich mężów stanu. To samo, co z Włochami, stanie się i z Austryą. Obecnie, kiedy polityka francuska nietylko się nie wypiéra zamiarów odwetowych względem Niemiec, lecz poniekąd z niemi afiszuje, Austro-Węgry, zaciągnięte do związku z Niemcami, doskonalą swe pogotowie wojenne w nadziei na zdobycze za Bałkanami; ale w dniu podpisania traktatu ściśle odpornego między Francyą i Rosyą, perspektywa pojednania się Francuzów z Niemcami zajaśnieje na widnokręgu w całym swym blasku, a Autro-Węgry stracą wszelką pewność zwrotu olbrzymich kosztów łożonych na armię i flotę... Wtedy też myśl rozbrojenia powszechnego otrząśnie się z dotychczasowych kolorów utopii, wejdzie na tory urzeczywistnienia i czynu... Rozumié się samo przez się, że piękną tę zorzę poranną XX stulecia poprzedzi wspaniały zachód XIX-go wieku: rozchwianie się potrójnego przymierza Europy środkowéj (Niemiec, Austryi, Włoch). Austrya śmiało, bez obaw opuścić może dotychczasowych swych sojuszników, gdyż nic jéj zgoła nie grozi od strony Rosyi. Czas rozwinąć legendę o istnieniu nad Newą lub nad Jauzą jakiéjś partyi panslawistycznéj, zmierzającéj do obalenia monarchii rakuskiéj. „Takiéj partyi nigdy w Rosyi nie było, z téj racyi niezbitéj, że w kraju tym szczczęśliwym nie istnieją i istniéć nie mogą żadne stałe stronnictwa polityczne.” Rzeczywistość na tém się tu zasadza, że Rosya zawsze była najwierniejszą, najrzetelniejszą aliantką Austro-Węgier. Nigdy wojska dwu tych państw, znajdujących się przecież w sąsiedztwie najbliższém, nie toczyły z sobą walk orężnych; przeciwnie, armia rosyjska na niezliczonych polach bitew stawała obok armii austryackiéj i zawsze w obronie zagrożonych praw dynastyi Habsburgów. Kto nie czytał o kampanii Suworowa we Włoszech i Szwajcaryi? kto nie pamięta interwencyi Paskiewicza w r. 1849-ym? Rosya nie potrzebuje ani jednéj piędzi ziemi austryackiéj; całość i bezpieczeństwo państwa Habsburgów jest owszem gwarancyą całości i bezpieczeństwa saméj Rosyi. Zresztą, co Rosya mogłaby zabrać od Austro-Węgier? Czy nie Galicyę? I po co? Czy żeby zdobyć parę setek Rusinów socyalistów, zarażonych duchem najgorszym, milion żydów umiérających z głodu po straconéj lichwie, dwa do trzech milionów Polaków katolików, zepsutych, zdemoralizowanych wygórowanemi pragnieniami samorządu i parlamentaryzmu? — Lecz może istnieją plany testamentu Piotra W-go o niezbędności przedarcia się przez Tatry do Moraw i Czech, odebrania Szląska, podania ręki Kroatom

ponad głowami 12 milionów Węgrów? Posądzeń takich już dziś nie wysuwa na czoło swych artykułów wstępnych nawet szowinistyczna prasa polska. Przytém, w razie rozbicia Austro-Węgier, kto z łupu skorzystałby najwięcéj? — Włosi i Niemcy. Alboż Crispi, popychany przed laty przez księcia Bismarka, nie wyznał, że dlatego sprzymierza się z Austro-Węgrami, aby od nich odebrać Tryest i Trydent?... Rachuba zupełnie prawidłowa, gdyż obecny sojusz Austryi z Niemcami i Włochami, fatalnie popycha polityków wiedeńskich ku Bałkanom i zatoce Salonickiéj, nad któremi wisi groźny protest Rosyi. Owóż, Rosya nie myśli pracować *pour le roi de Prusse*, ani *pour le roi d'Italie*; nawzajem atoli, ślepy kto nie spostrzega, że upadek monarchii rakuskiéj stałby się niedzownym, gdyby Austro-Węgry daléj się kusiły o rozszerzenie swego panowania ku południowi. Dążność ta naraziłaby monarchię habsburską na szereg długich walk z Rosyą, — w takim zaś razie Włochy niezawodnie potrafiłyby zagarnąć Trydent... — co najmniéj. Bo co do Tryestu, łudził się p. Crispi, mniemając, że Niemcy zrzekną się kiedykolwiek tego portu. Jednem słowem, zbawienie Austro-Węgier spoczywa jedynie w sojuszu francusko-rosyjskim, wzmocnionym przychylną neutralnością Niemiec; cesarz Franciszek-Józef, przystępując do niego, stanie się prawdziwym członkiem-opiekunem ligi pokoju i wolności..."

Jakież-to zawiłe i w ilu to miejscach hypotezami jedynie powiązane rusztowanie! W ciągu lat kilku nie wiele też z niego się ostało; po za niém zaś wzniósł się tylko chromy kawałek muru, noszący przed ostatnią wojną grecko-turecką miano protektoratu Rosyi i Francyi... nad dzierżawami padyszacha. Zbudowano ten mur w stylowéj parafrazie znanego aksyomatu, że Carogród nie jest Rosyi potrzebny, że na nic-by się jéj nie przydał. „Nie należy mniemać—pisano w owéj pobismarkowskiéj, pośrednicząco-niemieckiéj fazie przymierza rosyjsko-francuskiego — że posiadanie cieśnin pociąga za sobą niezbędnie rozbiór Turcyi, pozbawienie sułtana stolicy. Rosya nie ma nic do robienia z tém miastem; woli ona widzieć w niém sułtana, niźli jakikolwiek inny naród europejski. Nie zapominajmy, że sułtan jest nietylko rządcą świeckim, ale władcą wiernych. Rosya, równie jak Francya, liczy sporo poddanych wyznania mahometańskiego; z tego powodu dwa te mocarstwa nietylko nie mogą pragnąć umniejszenia prerogatyw samowładcy stambulskiego, lecz przeciwnie, dbać muszą o zachowanie i nawet wzmocnienie jego powagi — i to na mocy tych samych przesłanek logicznych, które państwom katolickim nakazują dbać o nietykalność i wolność głowy kościoła—papieża rzymskiego..."

Miraże! fantasmagorye! reminiscencye złudzeń dawnych (1833)! Kolej zdarzeń dziejowych ostatniéj doby sprawiła, że i ta nareszcie t u r e c k a pozostałość rozklejającéj się w zarodku przychylności Niemiec dla przymierza francusko-rosyjskiego, podminowaną w końcu została—i zdaje się doszczętnie zrujnowaną skutkiem zwycięstw półksiężyca nad chrześciańską Grecyą (1897). Pobitych Rosya zniewoloną była wziąć pod swoją opiekę, oszczędzając im przykrości samotnego obrachunku z wrogiem, którego nagłe i nieprzewidziane powodzenie wzbiło w dumę, rozzuchwaliło... Za to cesarz Wilhelm zawczasu zdążył zebrać plon całéj téj awantury... Nie dobiło to wprawdzie jego reputacyi, silnie nadszarpniętéj od dnia nieracyonalnéj, niczém nie wymotywowanéj odprawy hr. Capriviego, ale też i nie przysporzyło mu wawrzynów, więdniejących nader prędko temi czasy. Nuta gorzkiego rozczarowania odzywała się już i wcześniéj, — i nie w krajach ościennych tylko, lecz w samych Niemczech; nie oszczędziła ona w końcu nawet „pierwiosnków” panowania. Przewidział to na lat kilka przed wojną grecko-turecką najprzenikliwszy z biografów Wilhelma II, członek akademii francuskiéj, prof. Lavisse. Można dziś bez obawy spotkania się z zaprzeczeniem faktów powtórzyć jego zwięzłą, lekko sarkastyczną, figarowską charakterystykę działalności młodego... wciąż jeszcze młodego cesarza. „W poczcie ludzi śmiertelnych monarcha niemiecki jest najbardziéj zadowolonym z życia, w rzędzie zaś panujących, najszczęśliwszym, że panuje. Radości swéj z tego, że żyje i że rządzi, Wilhelm II nie kryje bynajmniéj, okazując ją nie tylko przed obliczem ziemi i morza, po którém żegluje w otoczeniu swych pancerników, ale też i w obliczu niebios, których gwiaździstą oponę z pokładu statku podziwia. Radość ta, ujawniana bez przesady, naiwnie, oraz młodość monarchy, nadają mu dużo powabu. Bo też, naprawdę, fortuna nie była dotąd zbyt rozrzutna w rozdawaniu tronów ludziom w trzydziestym niespełna roku ich życia! Cokolwiekbądź, władzę swą pojmuje Wilhelm II ze strony całkiem poważnéj. Godność „z łaski Bożéj” nie jest w jego oczach czczym tylko tytułem, formułką bez znaczenia. Wiara we własne posłannictwo, jako pomazańca Bożego, jest w nim szczera i nie zachodzi najmniejszy powód do podawania jéj w wątpliwość. A przytém królewie pruscy od samego początku przedstawiali sobie swą misyę dziejową nie inaczéj, jak pod postacią wykonawców woli boga wypraw wojowniczych... Wilhelm II oddawna się poczuwał do roli inicyatora zagadnień najtrudniejszych, najmniéj oczekiwanych. O potrójném przymierzu z Austryą i Włochami, wyrażał się on zawsze z pewną wyszukaną grzecznością, lecz bez zapału. Bardzo być może, że kombinacyę tę uważa już za przestarzałą... Zniewolić do sojuszu

Austryę zwyciężoną, przypuścić Włochy do przyjaźni przez nich upragnionéj—sztuka to mała, łatwa... Co innego z przedsięwzięciem, którego się Wilhelm II podejmie na własną rękę, o własnéj koncepcyi... Mówimy tu o antynomiach, od którychby Kanta zabolała głowa. Rozpocząć politykę kolonialną na gruncie, który Anglia uważała zawsze za wyłącznie swój własny i chcieć z nią załatwić się w tym punkcie polubownie; składać wizyty w jednym i tym samym czasie Cesarzowi Wszechrosyi i królowéj angielskiéj; robić przeglądy floty wielkobrytańskiéj w mundurze admirała Wielkiéj Brytanii, a przeglądy piechoty rosyjskiéj w mundurze pułkownika rosyjskiego; marzyć o jakimś na rzecz Niemiec pojednaniu dwu tych mocarstw nieprzejednanych; chcieć być w jednym i tym samym czasie przyjacielem Anglii i potężnéj Rosyi,—oto dopiéro perspektywa świetna, wspaniała, —a niemożliwa..." Niemożliwa? — Cesarz niemiecki znajdzie jeszcze niemożliwszą. Nie życzycie sobie godzić się z Anglią?—w takim razie będziemy się z nią bili,—wszyscy bić się z nią będziemy. Skoalizujemy przeciwko niéj państwa europejskie, pozbawimy ją hegemonii nad morzami, odbierzemy jéj Egipt, oddamy go Francyi... Pod warunkiem, naturalnie, że Francya przestanie wzdychać do porozumienia się z Rosyą sam na sam...

„Sam na sam" nie poszło przecież na dno wśród tylu zabiegów kompromisowych, to burzliwych i grzmiących za Bismarcka, to układnych i przyjacielskich za Wilhelma II. A jeśli dzisiaj, po latach pięciu od biesiad i owacyi kronsztackich, mówi się o przymierzu przyszłości bez pierwotnego entuzyazmu, z pewną rozwagą i oschłością, przyczyn szukać należy nie tyle w nacisku współzawodnictw postronnych, ile raczéj w saméj naturze związku, w jego kontrastach wewnętrznych, w trudnościach sytuacyi niezawisłéj od woli ludzkiéj, w niepodobieństwie przewidzenia i doraźnego określenia zobowiązań, jakie zmienny bieg wypadków narzuci z czasem stronom, wraz z wymaganiem większych lub mniejszych rękojmi zobopólnie ścisłego wykonania umów, z konieczności rozciągłych, ulegających wielorakiemu tłumaczeniu.

IV.

Punktem wyjścia i podstawą rozmyślań nad zaznaczonemi powyżéj szkopułami lub ewentualnościami, stało się opracowanie w *Revue des deux mondes*, przypisawane jednemu z członków rodziny Orleańskiéj. Polemika zawiązana z tego powodu i liczne sprostowania czasopism mniéj pesymistycznie zapatrujących się na dalsze losy przymie-

rza, usunęły z pracy anonima pewną część materyi spornych; treść główna zwycięsko wyszła z opałów krytyki.

Sojusz krańców europejskich, stający obronnie wobec możliwéj zawsze napaści mocarstw środkowych, ma tę ułomność główną, organiczną, że rokuje znaczną przewagę wspólnikowi wschodniemu, że przerzuca wszystkie polityczne widoki powodzenia na jego szalę, upośledzając szalę zachodnią, francuską. Francya, raz olśniona oczekiwaniem i z wielu względów urojonemi korzyściami związku, wycofać się z tego zaczarowania nie ma żadnego prawie sposobu, gdyż okrom Rosyi nie posiada ani jednego sprzymierzeńca na lądzie Europy; dla Rosyi, przeciwnie, odwrót zawsze był i jest możliwy. Nie ma takiego położenia, w którémby dyplomacya rosyjska nie mogła liczyć na dobre, usłużne przyjęcie swych ofert w Berlinie lub Wiedniu; kiedy więc Rosya w każdym bezwarunkowo wypadku ma przed sobą do wyboru kilka dróg otwartych, to dla Francyi stawianie siebie w sytuacyi bez wyjścia, bo osamotnionéj, należy do niebezpieczeństw widocznych, nie przypuszczających dyskusyi. Co więcéj, nierówność między dwoma państwami, nie przestaje istniéć nawet wtedy, gdy Rosya zobowiąże się do wspólnego działania aktem formalnym. Czyny i fakta spełnione mówią w historyi głośniéj niż umowy. Czy wojna wypadnie szczęśliwie czy nieszczęśliwie, zawrzéć pokój znacznie łatwiéj monarchii niż Rzeczypospolitéj. Rokowania w każdym razie dogodniéj i chyżéj się prowadzą pomiędzy panującymi. W razie gdyby związkowi upadli pod ciężarem koalicyi europejskiéj, zwycięzcy z pewnością łagodniéj traktować będą jedną stronę niżli drugą; wojna niefortunna albož nie może się zakończyć odnowionem przymierzem trzech cesarzy?... Nierównomierność dałaby się naprawić dopiéro wtedy, gdyby na tronie francuskim zasiadł jeden z członków rodziny monarszéj, z państwa zaprzyjaźnionego. I nie jest to wcale kombinacya czcza, napowietrzna. Po Sedanie, w otoczeniu ówczesnego następcy tronu niemieckiego i w głównéj kwaterze istotnie poruszano pytanie, czy nie dałoby się narzucić Francyi króla w osobie tego samego księcia Leopolda, którego kandydatura hiszpańska stała się w r. 1870 iskrą rzuconą na prochy. Jeżeli Francya znajdowała się już raz w pozycyi tak nieszczęśliwéj i upokarzającéj, że można było myśléć o „zamianowaniu” panującego dla niéj, toć w porównaniu do takiéj przymusowéj „elekcyi”, dynastya z rąk życzliwych, wybrana i przyjęta świadomie, uważaną być by mogła za zaszczyt i prawdziwe szczęście... W ten sposób ułatwiłoby się sobie jednocześnie rozwiązanie innego problematu,—na wschodzie azyatyckim. Bezwątpienia, nawet w obecnych warunkach, nader skomplikowanych nad Bosforem i na wodach oceanu Spokojnego, interesa Francyi ni-

gdzie się z interesami Rosyi nie krzyżują. Z międzynarodowego punktu widzenia, oba państwa mają jednych i tych samych nieprzyjaciół; w ustroju wewnętrznym, pomimo istotnych różnic w formach politycznych, są to dwa społeczeństwa o dążnościach centralizacyjno-demokratycznych, w gruncie jednogatunkowych. Nie zachodzą też obecnie obawy co do skłonności narodowych i cywilizacyjnych; republikanie francuscy są za dni naszych równie szczerymi rusofilami, jak przed laty trzydziestu lub czterdziestu byli nieobłudnie polonofilami. Natomiast, wyznać należy, że w najdrażliwszym i najcięższym do rozwikłania węźle tegoczesnych stosunków międzynarodowych, w kwestyi wschodniéj, Francya częściéj się różniła z Rosyą, niźli się z nią jednała, głównie z powodów religijnych i dynastycznych, jak się to ujawniło przed wojną krymską lub za Ludwika-Filipa, kiedy dworowi petersburskiemu tak trudno było pogodzić się z „uzurpacyjném" źródłem władzy królewskiéj Orleanów; że zaś zachodzi wielka wątpliwość czy Francya tegoczesna zrezygnowała z praw i przywilejów nabytych niegdyś na Wschodzie, przeto dziwném uroszczeniem z jéj strony byłoby żądać od Rosyi ustępstw w tych stronach bez odpowiedniéj kompensaty na innem polu... We Francyi za długo grasowało w masach przekonanie optymistyczne, jakoby jedno mocarstwo świadczyć mogło gratisowe usługi drugiemu. W Petersburgu zawsze o wiele chłodniéj i praktyczniéj zapatrywano się na te kwestye niż w Paryżu... Dowód—w dotychczasowym przebiegu „uwzajemnionych usług", ujawnionych w zakresie rozmaitych incydentów dyplomatycznych. W rokowaniach o neutralizacyę kanału Suezkiego i w ogólności, w całéj sprawie egipskiéj, Rosya zupełnie konsekwentnie i lojalnie popierała interesa francuskie; nawzajem, Francya z równą gorliwością i stałością oświadczała się na rzecz zamiarów Rosyi w długich korowodach bułgarskich. Oba państwa w solidarności swéj na gruncie luźnych i częściowych objawów kwestyi wschodniéj nie tylko się wzajemnie podtrzymywały, lecz wzajemnie kilkakrotnie naprawiały własne błędy. Ostatecznie atoli, cóż widzimy? Jak dynastyczne, silnie w kierunku monarchicznym zaakcentowane stanowisko Rosyi pozwoliło jéj energicznie w stanowczéj chwili zahamować niepożądany obrót operacyi wojennych w Tessalii, tak znowu nieco wcześniéj, dość było położyć właściwy nacisk na motyw religijny, ażeby z długoletniego zatargu bułgarskiego dojść do zażyłości znośnéj, — gdy tymczasem republikańska, bezwyznaniowa Francya, wciąż jeszcze nie wie, co począć i jak się obrócić ze swoim fantem nad Nilem... Bezwątpienia, organiczną i cywilizacyjną niesprawność Francyi w danym zakresie, z pożytkiem zastąpićby można dobrze zorganizowaną flotą wojenną, zdolną do mierzenia się z An-

glikami na pobrzeżach afrykańskich; ale na tym punkcie Rosya żądać tylko i oczekiwać może współudziału Francyi, — w zamian za nadwyżkę lądowych swych sił zbrojnych...

Upodrzędniona rola Francyi w przymierzu dobitniéj się jeszcze ujawnia w stosunku do Austryi. Państwo rakuskie, od daty wyrzucenia go z Włoch przez Francyę, a z Rzeszy niemieckiéj przez Prusy, nie posiada już — oprócz przyległego Wschodu — ani jednéj piędzi ziemi, gdzieby wpływ swój szerzyć mogło jako mocarstwo pierwszorzędne, więcéj niż inne którekolwiek potrzebujące, wskutek klęsk poniesionych w latach 1859 i 1866, zapewnionéj na przyszłość lokaty swych kapitałów cywilizacyjnych. Pod parciem téj konieczności, antagonizm Austro-Węgier z Rosyą na półwyspie bałkańskim staje się nie do zażegnania, choćby się raz na zawsze dało odprawę tradycyom drażniącym. Owóż, w jakiéj mierze obchodzić to może Francyę? dlaczegoby w sporze tym przyrodzonym i odwiecznym, zaostrzonym warunkami sytuacyi geograficznéj i etnograficznéj, dyplomacya francuska ciężar pośrednictwa swego przyjacielskiego nieodmiennie przetapiać miała na ładunki do armat, skierowanych przeciwko Wiedniowi?.. Czyliż odsiecz Austro-Węgier, w razie gwałtowniejszéj potrzeby, stała się dla Francyi mniéj cenną i pożądaną przez to jedynie, że Niemcy urosły, spotężniały, zajęły górujące pozycye nad Dunajem i Renem?..

O zastąpieniu dywersyi austryackiéj rosyjską, pisano dużo. Że byłaby skuteczną,—skuteczniejszą nawet, o tém nikt nie wątpi. Lecz gdzie są powody? Okrzyczana nieprzyjaźń rosyjsko-pruska jest faktem, to prawda; fakt to wszakże antycypowany, — pożyczany z obrachunku dalszéj, bardzo może dalekiéj przyszłości. Ani nad Newą ani nad Sprewą gabinety się nie liczą i liczyć się tak bardzo nie potrzebują z sympatyami lub antypatyami mas. Niezaprzeczenie, popędy zaborcze istnieją zarówno z jednéj jak z drugiéj strony. Lecz jakie, w jakim kierunku? Komu od epoki kanclerstwa Bestużewa-Riumina, Woroncowa lub Czartoryskiego przyszło do głowy wysnuwać plany wojenne z przypuszczenia, że Rosya pragnie odebrać Prusom ujścia Niemna i Wisły? Prawdopodobniejszą już byłaby hypoteza odwrotna, przesuwająca szachownicę ku środkowéj Wiśle. Ale zasłużyłby na miano ideologa i marzyciela ktoby mniemał, że na tę nową Hekubę przyjdzie kiedykolwiek do ostrego zatargu Berlina z Petersburgiem.

Swoją drogą—wojny bardzo często wybuchały i wybuchać zapewne będą wbrew wszelkim obliczeniom statystów i klątwom filantropów. Wówczas, rezultat modeluje się matematycznie, najprościéj według stosunku sił do boju wprowadzonych i odporności gruntu, na któ-

rym się walka odbywa. W dotychczasowych debatach teoretycznych, dotyczących przymierza przyszłości, lwią część dodatnich z téj dziedziny prognostyków jednomyślnie przyznawano Rosyi. Najpierw,—ilość, gąszcz, masa: jest ona *hors concours*. Powtóre: jakość. Z piechotyńcem rosyjskim, przyzwyczajonym do znoszenia trudów i niewygód najcięższych, cierpliwym i karnym, żaden żołnierz w Europie nie poważy się stanąć do miary. Jazda znowu—stepowa, głównie kozacka—odznacza się taką zwinnością, taką umiejętnością radzenia sobie w nieznośnych na wojnie troskach utrzymania, że słusznie otrzymała nazwę „stale zmobilizowanéj"; w ciągu dni kilku nie trudno zalać nią setki kilometrów, —pomimo, że leśne i podmokłe przestrzenie na zachodnich kresach Rosyi znacznie utrudniają działanie kawaleryi większemi korpusami. Co do oficerów, dowódzców, głównego sztabu, już dziś do legend należy tradycya ich niższości w porównaniu do zagranicznych, szczególnie niemieckich. Kwalifikacye naukowe i technika zostawiają jeszcze być może nieco do życzenia; ale przymiot na wojnie najważniejszy—wprawa, doświadczenie, rzemiosło, nie mogą też i po za granicami Rosyi, rościć prawa do osobliwego, specyficznego jakiegoś patentu w lat bez mała trzydzieści od ostatniego popisu na polu bitew... To samo, zapewne, należałoby powiedziéć i o ustroju administracyjnym, o środkach komunikacyi, gdyby sprawy te odsłoniętemi być mogły bez potrącenia o t. zw. tajemnice stanu... A obok tego, co za wspaniały teren odporny! Rysuje się on szczególnie ostro i twardo w zestawieniu z terenem Francyi, gdzie od końca wieku XVIII nie słychać wcale o najazdach wypartych lub zgniecionych, wtedy gdy w Rosyi, od epok najdawniejszych, każde wtargnięcie zagraniczne, od strony zachodniéj kończyło się na odwrocie lub walnéj przegranéj (Zygmunt III, Karol XII, Napoleon I)... Z tém wszystkiém, czy legiony Wilhelma II (lub kogoś równie jak on do wielkich planów pochopnego) spotkałby los jego poprzedników, czy nie spotkałby, — najtrafniejsze nawet odczytanie téj szarady strategicznéj do niczego nie prowadzi, nic nikomu nie obiecuje; najmniéj zaś obiecuje Francyi i jéj usiłowaniom sprzymierzeńczym. Choćby się przypuściło, że koleje żelazne, rozwój przemysłu i stosunków zamiennych zdjęły z dzierżaw wielkiego mocarstwa północnego tę surową i niemal dziką nietykalność przyrody lub równego przyrodzie wyodrębnienia żywiołów etnicznych, jeszcze i wtedy nie ulegnie wątpliwości, że Rosya z powodu swych obszarów niezmierzonych, podziś dzień zachowała w sobie los niedostępnego, niezdobytego,—przeto czyniącego (w takich razach) pomoc sojusznika — niemal zbyteczną. Niezbity to pewnik, że „przeparta nad Wisłą, przeparta nad Niemnem, nad Dźwiną, nad Dnieprem, — Rosya

wybornie dalėj prowadzić może walkę nad Wołgą i Donem,"—ale właśnie do pewników tego rodzaju stosuje się w pełni przysłowie rosyjskie: „co ruskiemu na zdrowie, to francuzowi—śmierć." Po co tu Don, po co Wołga! Zanimby konie niemieckie napiły się wody w strudze pod Studzianką, jużby nad Sekwaną wielkim głosem wołano o pardon...

Tak bowiem chciała mieć arytmetyka dystansów, tak sprawiły wypadki z przed lat trzydziestu, taką jest odwetowa logika wszelkich politycznych pomysłów sprzymierzeńca zachodniego, że doń najświetniejsza i najdzielniejsza o d p o r n o ś ć na wschodzie, blado, żałobnie się tylko uśmiecha. Jedynie zwięzła, z kopyta i na przełaj zaczepność —ona jedna cośby mu jeszcze obiecać była w stanie i z obietnicy źdźbło jakieś możeby dotrzymała.

Obecny prezydent rzeczypospolitėj, odwiedzając Petersburg, zdobył się zapewne na tyle męzkiėj, sumiennėj odwagi, aby rzecz tę szczerze i bez ogródek wypowiedziėć rosyjskim mężom stanu.

I. T. Hodi.



FELIBRZY I FELIBRYZM.

(Nowożytna literatura prowansalska [1]).

Nad uroczemi brzegami Rodanu, wśród gajów oliwnych i winnych pól, ocienionych z południa błękitnemi Alpami, zakwitła poezya felibrów, wyniosła i słodka, jak wdzięk głębookich dziewic Prowancyi. Patryarchą téj poezyi jest sędziwy Roumanille, jéj bogiem — Fryderyk Mistral, a zrodziła ją cicha, święta łza matczyna: Roumanille czytał raz matce swoje wiersze francuskie, staruszka zaś, nie umiejąca po francusku, nic z nich zrozumiéć nie mogła i zapłakała z żalu, — wtedy wzruszony poeta przysiągł jéj, że odtąd już nic więcéj nie napisze, czegoby matka jego zrozumiéć nie mogła. Tak miała powstać nowa poezya prowansalska, w któréj łza matczyna stała się wzruszającym symbolem cichéj, niesformułowanéj skargi staréj Prowancyi, drogiéj ojczyzny, maleńkiéj, poniewieranéj i zapomnianéj przez ojczyznę wielką, przez zcentralizowaną i pochłaniającą wszystko Francyę. Znaleźli się wnet młodzi poeci, w których duszy ozwały się tęskne odgłosy starych, zapomnianych pieśni, i postanowili wskrzesić poezyę trubadurów. Nie wskrzesili jéj, bo już jéj wskrzesić nie można było, stworzyli jednak poezyę nową, która wydobyła na jaw ukryte skarby Prowancyi.

---

[1]) Z powodu przekładu jednego z najznakomitszych poematów prowansalskich: „Mireio“, świéżo wydanego u nas w tłómaczeniu A. M-skiego.

Jeżeli nowożytni poeci prowansalscy łudzą się, sądząc, że wskrzesili poezyę trubadurów, to jednym z powodów jest długie zachowanie słowa *Provence* w znaczeniu, jakie Rzymianie nadawali wyrazowi *Provincia*, którym oznaczali kraje, rozciągające się aż do Pirenejów i daléj za Garonnę. Nazywano niegdyś Prowansalczykami wszystkich południowców, z wyjątkiem Gaskończyków. W rzeczywistości jednak właściwa Prowancya nie wzięła bardzo wielkiego udziału w południowéj poezyi wieków średnich [1]). Poezya trubadurów miała za kołyskę i zachowała ognisko swe daleko od Rodanu, w Limousin. Tam to używano dyalektu, który służył za osnowę wspólnego języka literackiego. Rzecz dzisiejszych poetów z nad Rodanu, którą niżéj przedstawić zamierzamy, nie jest bynajmniéj wskrzeszeniem poezyi trubadurów. Poezya ta była ściśle złączona ze społeczeństwem i obyczajami, które dziś z trudnością wyobrazić sobie możemy [2]).

Linia geograficzna, biegnąca od północnego Delfinatu przez Owernię, Limousin i Perigord, dzieli Francyę na dwie odrębne części pod względem językowym, oznaczane zwykle według różnicy w wyrazie potakującym. Południowa część — to *lengua d'oc*, północna — *langue d'oïl*. Na południe pierwsza sięga Hiszpanii i obejmuję Katalonię, na wschodzie należy do niéj Sabaudya i mała część południowo-zachodniéj Szwajcaryi. W dawniejszych czasach południową mowę francuską oznaczano mianem *romans* lub *lengua romana*, t. j. mowa ludowa, w przeciwstawieniu do mowy uczonéj, do łaciny. Prócz tego, nazywano ją *la lengua provensal*, *lo provensal*, *lo provensales* i t. d. Prowansalska ta mowa, jak ją teraz powszechnie nazywają, powstała— jak i inne romańskie języki — z łacińskiéj gwary ludowéj, zmieszanéj z elementami germańskiemi i w mniejszym stopniu z celtyckiemi. Pierwsze zastosowanie ludowéj znajdujemy w dokumentach IX-go wieku, które zawiérają trochę wyrażeń i zwrotów—głównie formuły prawne—w języku romańskim, wogóle zaś panowała jeszcze w piśmiennictwie łacina. Najstarsze dokumenty, w których przeważa tekst prowansalski, spotykamy na początku XI-go wieku, tekstu zaś całkowicie prowansalskiego nie mamy wcale przed wiekiem XII-ym. Pierwszy

---

[1]) Gaston Paris: *Poètes et penseurs.*—Fréderic Mistral: „Poezya"

[2]) O poezyi trubadurów patrz: 1) A. Restori: *Histoire de la litterature provençale*, tłóm. z włoskiego, Montpellier, 94; 2) Karl Bartsch: *Grundriss zur Geschichte der provenz. Litteratur*, Elberfeld, 1872; 3) C. Fauriel: *Histoire de la poésie provençale*, Paryż, 1846. O literaturze felibrów: 1) Ed. Boehmer: *Die provenzalische Poesie der Gegenwart*, Halle, 1870; 2) Ludovic Legré: *Le poète Théodore Aubanel*, Paryż, 1894; 3) Koschwitz: *Ueber die provenzalischen Feliber und ihre Vorgaenger*, Berlin, 1894, — Gaston Paris: *Poètes et penseurs*, Paryż, 1896.

okres literatury prowansalskiéj, jéj początek, obejmuje wiek X-ty i XI-ty, rozkwit jéj przypada na XII-ty i XIII-ty, upadek na XIV-ty i XV-ty wiek.

W pierwszéj epoce poezya prowansalska spoczywała w rękach duchowieństwa, jedynego przedstawiciela nauki, kiedy utwory epiczne, śpiewane przez lud, nie weszły do piśmiennictwa i przez to przepadły dla nas. Poezya ta nosi głównie charakter kościelny, przeważającą jéj formą była epika. Główny jéj materyał tworzyły legendy, obok tego jednak zwracano się już i do przedmiotów świeckich. Język, będąc wtedy jeszcze w stanie tworzenia się, posiadał bardzo starożytne formy; wyrażenia poetyckie były proste i niewyszukane. Same formy poezyi były jeszcze bardzo proste, bez upiększeń. Głównym tematem téj poezyi epicznéj były wojny przeciw napływającym z Hiszpanii Arabom, którzy zagrażali całéj Francyi, a nawet całéj Europie chrześciańskiéj. Daléj, walki, które południowa Francya prowadziła o swą niezależność, zagrożoną przez Karolingów, zwycięskie pochody Karola Wielkiego przeciw Arabom i historya Rolanda. Należy téż tu zaliczyć cykl opowieści o Wilhelmie Orańskim. Obok większych utworów epicznych były mniejsze epiczne pieśni ludowe. Poezya kościelna czerpie główne swe przedmioty z Biblii i legend. W literaturze pierwszéj téj epoki często używane są jeszcze na pół lub zupełnie łacińskie słowa.

Druga epoka — jest to epoka wojen krzyżowych i najbogatszego zarazem rozwoju wszystkich duchowych i materyalnych zasobów wieków średnich. Południe Francyi z wielkim zapałem przyjęło ideę tych wojen. Przedstawicielem poglądów tego czasu było rycerstwo, które rozwinęło się we Francyi do skończoności i którego wyobrażenia przedostały się wkrótce do całéj Europy. Stworzyło ono przesadną cześć dla kobiéty, uczyniło z tego formalny system poezyi i sztuki miłosnéj, poezyi dworskiéj, arystokratycznéj. Poezya prowansalska, w któréj duch średniowiecznego romantyzmu naprzód się rozwinął, dosięga téż w téj epoce najwyższego punktu rozwoju. Rozkwit jéj przypada około końca XII-go i początku XIII-go wieku. Treść liryczna otrzymuje najbardziéj wykończoną formę poetyczną. Wszechmożni panowie, królowie i książęta popiérali wtedy poezyę i poczęści sami wstępowali w szeregi trubadurów [1]. Śpiewacy ciągnęli od miasta do miasta, od kraju do kraju, wszędzie dobrze przyjmowani i czczeni. Wędrując, przechodzili daleko po zagranice przestrzeni języka prowan-

---

[1] Szczególniéj niezliczone dwory mniejsze pielęgnowały poezyę. W pierwszym rzędzie stały: Tuluza, Montpellier i Marsylia.

salskiego, wnosząc francuską poezyę południową i obyczaje do obcych krajów. Jest to epoka najbardziéj udoskonalonéj sztuki poetyckiéj.

Na wiek XIII-ty przypada powolny upadek literatury prowansalskiéj. Głównym powodem tego upadku były stosunki polityczne. Wielcy panowie i książęta, zajęci sprawami chwili, coraz bardziéj odwracali się od udziału w poezyi. Stąd płynęły coraz częściéj skargi poetów na obojętność możnych panów i na zmniejszony popyt. Wojny albigensów zniszczyły zewnętrzny i wewnętrzny pokój Francyi południowéj. Jednocześnie jednak w saméj poezyi tkwiły również zarody upadku. Dosięgła ona takiéj subtelności w treści i formie, że dalszy rozwój w tym kierunku musiałby niechybnie doprowadzić do upadku. Główną cechą bowiem téj poezyi stała się nadmierna sztuczność formy obok pustki w treści. Z powagą czasu i poezya zaczyna nabiérać poważniejszego tonu. Od połowy XIII-go wieku zaczęto się zwracać do t. zw. poezyi naukowéj (dydaktycznéj). Jedne po drugich powstają wielkie utwory pouczające, które w sposób encyklopedyczny wykładają całą wiedzę ówczesną. Brak poezyi starano się zastąpić materyałem naukowym. Uprawiano jednocześnie legendy i prozę — i w ten sposób literatura powraca do epoki poprzedniéj, lecz nie do jéj prostoty.

Wypadki historyczne znalazły odzwierciedlenie w ówczesnéj poezyi — najważniejszemi z nich były wojny krzyżowe i z albigensami. Daléj idą opowiadania dworskie: przygody romantyczne i nowele. Najwybitniejsze jednak stanowisko w epoce rozkwitu i poczynającego się za nim upadku zajęła liryka. Miała ona nietylko najliczniejszych, lecz i najznakomitszych poetów. Główną jéj osnową była oczywiście miłość. Stworzyła ona cały system kultu kobiéty, a raczéj „damy". Liryka ta, w istocie swéj, jest rycerską. Wśród poetów lirycznych spotykamy też bardzo często rycerzy. Nawet królowie i hrabiowie zostawali trubadurami. Dwory stały się w ten sposób naturalném ogniskiem poezyi,—poezya stała się dworską. Mieszczaństwo jednak dało również znaczny zastęp trubadurów, a od drugiéj połowy XIII-go wieku, gdy książęta i szlachta odwrócili się od poezyi, miejsce ich zajęło prawie wyłącznie mieszczaństwo. Miasta, dzięki wzrosłemu na sile i znaczeniu mieszczaństwu, poczęły pielęgnować poezyę.

Poeta dworski zwał się *trobaire*, *trobador*, od *trobar* — tworzyć, a więc t w ó r c a. I rzeczywiście, na miano trubadura zasługiwał ten tylko, kto stworzył nowe formy rytmiczne i muzykalne. Poeci byli po większéj części również kompozytorami melodyi do swych utworów—tworzyli tekst i melodyę, wówczas bowiem każda pieśń nieodłączna była od muzyki.

Obok trubadura stoi *jongleur*, prowansalski *joglar*—grajek. Ten z poezyi uczynił sobie rzemiosło w celu zdobywania środków do życia. Trubadur uprawia ją jako swobodną sztukę, co jednak nie przeszkadza, by i on chętnie nie przyjmował podarunków. Joglar przedstawia pieśni, ułożone przez trubadurów, oraz większe i mniejsze utwory epiczne. Niektórzy trubadurowie prowadzili ze sobą kilku joglarów. Nieraz i trubadur z braku środków stawał się joglarem. Lecz pole działalności joglara było większe: musiał on umiéć grać na dość znacznéj liczbie instrumentów muzycznych, znać najrozmaitsze sztuki, właściwe jego zawodowi, tańczyć, rzucać noże, udawać śpiéw ptaków, skakać przez obręcze, prowadzić ze sobą małpy i psy, dawać przedstawienia maryonetek i t. d., w celu zabawienia publiczności [1]).

Jak dalece poezya ta, wykwitła na gruncie owoczesnych stosunków społecznych, odpowiadała duchowi rycerstwa średniowiecznego, świadczy najlepiéj jéj rozpowszechnienie. Liryka prowansalska wpłynęła na charakter i sztukę liryczną wszystkich niemal cywilizowanych ludów europejskich. Zarówno pod względem treści, jak i formy, liryka XII i XIII-go wieku była w innych krajach wyraźném odźwierciedleniem liryki prowansalskiéj. Spotykamy téż tu zjawisko, jakie w żadnéj prawie innéj literaturze średniowiecznéj zauważyć się nie daje. Mianowicie, literatura prowansalska XII i XIII-go wieku, zwłaszcza jéj poezya, stała się do pewnego stopnia językiem powszechnym. Wprawdzie, w saméj Francyi południowéj było wiele rozmaitych narzeczy, lecz szczególniéj w poezyi właściwości rozmaite dyalektów zlały się w jeden język literacki, którym posługiwali się trubadurzy z najrozmaitszych stron południowéj Francyi. Dziś odrodzić lirykę poezyi prowansalskiéj, znaczyłoby odrodzić miłość w formie dworskiéj galanteryi, przesadną i śmieszną. Odrodzenie zaś całéj ówczesnéj literatury jest również niemożliwe, jak odrodzenie wieków średnich. Zarówno jéj treść i forma, jak i towarzyszące jéj warunki zewnętrze (wędrówki trubadurów i joglarów) czynią z téj poezyi sztukę oryginalną, właściwą wiekom średnim i rycerstwu. Dzisiejsza literatura prowansalska, stworzona przez felibrów, ma tyle tylko wspólnego ze średniowieczną literaturą prowansalską, że — jak zauważył Gaston Paris [2])—trubadurzy wpłynęli na jéj rozwój sławą swego imienia: sła-

---

[1]) Wśród trubadurów i joglarów znajdowały się i kobiéty. Między poetkami były po większéj części wysoko urodzone damy i wiele hrabin. Joglarki należały do niższych warstw społecznych i nie cieszyły się szczególną sławą obyczajów.

[2]) *Poètes et penseurs*, Fr. Mist., „Poezya".

wa ta podnieciła dumę i wielkie nadzieje felibrów, którzy widzieli w sobie ich następców, nie dbając o uzasadnienie tytułu tego następstwa.

* * *

Po upadku swoim, literatura prowansalska wiodła marny żywot. Od XVI-go do XIX-go wieku, hodowano w języku prowansalskim prawie wyłącznie literaturę popularno-naukową lub dziwaczne, śmieszne opowiadania.

Na wzmiankę zasługuje zaledwie liryk Goudelin (zmarły w roku 1649-ym).

Pierwszy objaw powstania poezyi nowoprowansalskiéj zrodziła Gaskonia, w któréj pewien cyrulik z miasta Agen wydał w r. 1825-ym zbiór poezyi p. n. *Papillotos*, obecnie bardzo rozpowszechnionych. Liryk prowansalski Jausemin (Jasmin), zmarły w r. 1864, stał się chlubą południowéj Francyi. Paryż nawet zwrócił na niego uwagę. St. Beuve napisał o nim artykuł i nazwał go langwedockim Manzonim. Akademia francuska w 52-im roku udzieliła mu wielkiéj nagrody. Z drugiéj strony, cyrulikowi z Agen podał przyjacielską dłoń markiz de la Fare-Alais, który użył mowy Cewennów do twórczości poetyckiéj i pięknym stylem władał.

Lecz najbogatszy rozkwit poezyi nowoprowansalskiéj nastąpił nad ujściem Rodanu, wśród wspaniałéj płaszczyzny, którą widać z pałacu w Awinionie. Tu, we właściwéj Prowancyi i w Comptacie utworzył się formalny związek poetów, który postawił sobie za zadanie odrodzić literaturę prowansalską i ożywić ducha narodowego. Najstarszym w tém gronie młodych poetów był Józef Roumanille, syn ogrodnika z St.-Remi. Już w r. 1848 i w następnych w małych, pięknie pisanych opowiadaniach i nowelach, napadał on na ówczesne idee rewolucyjne. Jego proza ma być przykładem literatury ludowéj. Szczególniéj znane jest jego „*Lis oubreto en vers*“, które St. Beuve bardzo chwalił. Poezye Roumanille'a ukazały się po raz pierwszy w roku 1852 w zbiorze „*Li prouvençalo*“, na którego wydanie otrzymano pieniądze z wielu stron Prowancyi. W tym zbiorze poezyi powszechną uwagę obok Roumanille'a wzbudzili głównie Mistral i Aubanel. Teodor Aubanel, który tak samo, jak Roumanille, żyje jako księgarz w Awinionie, potrafi nielicznemi, lecz śmiałemi rysami jaskrawych kolorów stworzyć żywy obraz. Na dnie ponurego usposobienia tego poety, leży jego własne nieszczęście: dziewczę, które kochał, zostało mniszką. W wilię wypełnienia jéj ślubu powstał jeden z najładniejszych i przejmujących w swéj prostocie utworów.

Najgenialniejszym jednak ze wszystkich tych poetów i przewódcą całego wszczętego ruchu odrodzenia był Fryderyk Mistral.

Mistral sam opowiedział swe życie na kilku cudownych stronicach, umieszczonych na czele jego pięknych *Iles d'or* (Złote wyspy). Jest to życie proste, nie wybiegające po za horyzont stosunków wiejskich, a jednak nader poetyczne i piękne. Autor urodził się w Maillane (blisko Taraskonu) 8-go września 1830 roku. Ojciec jego był wdowcem. W 50-ym roku życia ożenił się z młodą dziewczyną, którą spotkał pewnego dnia, gdy zajęta była zbiéraniem kłosów na ściernisku, zostawionych przez żniwiarzy. Z tego Booza i Ruty urodził się prorok. Ojciec, Franciszek Mistral, był bogaty i sam kierował uprawą swych pól. Matka, która długo przeżyła ojca, pozostała zawsze prostą kobiétą wiejską. Mówiła tylko językiem swego kraju, mało rozumiejąc po francusku.

Chłopczyk rósł wśród różnorodnych scen życia wiejskiego, ze świtem śpiesząc w ślady robotników do robót polnych, do siewu, strzyży owiec, sianokosu, żniw, winobrania, zbioru oliwek lub liści morwowych, rozmawiając z chłopami w jedynym języku, jaki znał i napawając nieświadomie oczy i duszę majestatycznemi widokami przecudnego krajobrazu. W wieczory zimowe wszyscy domownicy zasiadali przy długim stole, który obsługiwała matka, a któremu prezydował ojciec, jak patryarcha biblijny, „wielki i piękny starzec, dostojny w swéj mowie, nieugięty w swych rozkazach, życzliwy dla biédnych i surowy dla samego siebie.” Po skończonym obiedzie zasiadali wszyscy koło płonącego ogniska, podsycanego staremi gałęźmi oliwek. Zdarzał się téż często i przybłęda nocny, żebrak-włóczęga, przyjęty na nocleg; siedząc naprzeciw ojca, pod piecem, opowiadał stare opowieści, legendy lub śpiewał piosnki żebracze. Lecz w pięknych piosnkach i pięknych „*sornettes*” celowała szczególniéj matka; to téż nie ustawała w opowiadaniach, pracując jednocześnie przy kołowrotku, a syn siadywał wtedy u nóg jéj, słuchając z zajęciem. Czasami ojciec czytał ewangelię zebranéj rodzinie, w wigilię Bożego Narodzenia błogosławił choinkę opowiadał jakieś historye o starych ludziach, prosząc zebranych, by się modlili za ich dusze; potém śpiéwano jedną z wdzięcznych wigilii Saboly'ego, organisty-poety z XVII-go wieku, które były tak popularne w tym kraju. I dziecię zasypiało wśród czarów poezyi ludowéj, z sercem niewyraźnie przejętém temi pierwszemi nawoływaniami muzy, która miała je późniéj tak silnie natchnąć.

W 9-ym roku życia oddano go do szkoły. „Tak często opuszczałem godziny szkolne — opowiada — że rodzice moi postanowili odebrać mnie ze szkoły, aby położyć kres méj swawoli.” Zresztą, pomimo

tych dziecinnych figli okazał w szkole rzadką inteligencyę, którą też ojciec jego postanowił daléj rozwijać. Oddano go na pensyę do Awinionu. Dziki malec czuł się tu z początku nieszczęśliwym, nie mogąc już biegać po polach, zamknięty wśród posępnych murów. Bywał często bardzo zmieszany, widząc, że go nie pojmują lub ośmieszają, gdy mówił swym językiem. Wkrótce jednak pociągnęła go piękność poezyi starożytnéj. W Wergiliuszu i Homerze odkrył takie pojmowanie i objaśnienie natury i życia, które odpowiadało nieświadomym aspiracyom jego duszy i poznał w nich, jak sam mówi naiwnie „idee, zwyczaje i obyczaje maillańskie.” Ten posiew klasyczny rozwinął w dzikim prowansalczyku kwiat jego poezyi. W młodości czytał zapewne wielkich poetów francuskich, pijąc z lubością z szerokiego i harmonijnego źródła Lamartine'a, z tego „wielkiego źródła poezyi — jak mówił późniéj—które odmłodziło ducha świata.” Opowiada, że w 14-ym roku życia próbował napisać w aleksandrynach prowansalskich sielanki Wergiliuszowskie. Zdaje się jednak, że G. Paris ma słuszność, gdy sądzi, że idea użycia języka ojczystego do poezyi nie przyszła Mistralowi sama przez się na myśl, i gdy została mu podsuniętą, nie odrazu narzuciła mu się, jako wyłączna, gdyż w kilka lat późniéj, studyując prawo w Aix, tworzył wiersze francuskie [1]), które pomieszczał w jedném z pism, wychodzących w Prowancyi.

Potrzeba było oczywiście, niezwykłéj śmiałości młodego poety, aby wyrzec się wielkiéj publiczności francuskiéj, upajających tryumfów stolicy, akademii, która zwykle staje przed oczyma w wyobraźni młodych autorów, i poświęcić wszystkie skarby swoich natchnień poematom, pisanym w języku, uchodzącym za gwarę prowincyonalną, za *patois*, narażając się na to, że nie znajdzie czytelników w saméj nawet Prowancyi, ani wśród ludu, ani wśród inteligencyi. Józef Roumanille, mistrz prozy prowansalskiéj, rzucił w jego duszę zarzewie świętego ognia. Roumanille, syn ogrodnika z Saint-Remi (blizko Maillane), starszy od Mistrala o lat 12, napisał już był po prowansalsku większą część swych „Margarideto” (Małe małgorzatki), gdy z nim się spotkał. Roumanille też rozpoczął od pisania wierszy francuskich, nie odrazu i nie zupełnie porzucił język francuski, gdy postanowił przyczynić się do odrodzenia literatury ojczystéj. Postanowienie to nie polegało wyłącznie na saméem pisaniu w języku prowansalskim. Nie brak było autorów w XVIII i XIX wieku, którzy używali tego *patois* do tworzenia wierszy; lecz u nich *patois* był elementem komicznym lub

[1]) Legré również twierdzi, że Mistral w tym czasie pisał po francusku. P. Ludovic Legré: „Le poète Théodore Aubanel.“ Paris, 1894. Str. 22.

też tworzyli w nim ckliwe idylle, ku uciesze niewybrednych buduarów. Roumanille chciał, aby prosty język ojczysty służył do wyrażania prawdziwych wzruszeń, wyższych uczuć i wrażeń poetyckich. Sam jednak w połowie tylko porzucił poprzednie tradycye. Dał wszakże dowód w niektórych pieśniach, że jego język ojczysty zdolny jest do dźwięków słodkich, nawskroś przenikających duszę, i dostrzegał niewyraźnie, że może on dać jeszcze więcéj i lepsze dźwięki. W roku 1845 został profesorem w małym pensyonacie Awinionu, w którym Mistral próbował tłomaczyć lub naśladować w wierszach francuskich Teokryta i Wergiliusza. Tu przyszłe filary felibryzmu zawarły szybko przyjaźń. Młodzieniec pokazał swe wiersze profesorowi. Ten poznał w nich zaczątki wielkiego talentu poetyckiego, lecz dostrzegł przytém brak oryginalności w wyrażeniach. „Zostaniesz — powiedział mu — szacownym poetą francuskim. Czemu jednak nie próbujesz pisać w naszym ukochanym języku z Saint-Remi? Będziesz w nim swobodniejszym i głębszym.” I aby go przekonać, pokazał mu swoje „Paquerettes,” książkę, którą wówczas kończył dopiéro. „Zaledwie pokazał mi w świeżości wiosennéj te piękne kwiaty z łąk, miły dreszcz ogarnął istotę moją i zawołałem: oto zorza, któréj oczekiwała dusza moja, aby się obudzić do światła! Wprawdzie czytałem do tego czasu trochę po prowansalsku, lecz zrażało mnie to, że język nasz był zawsze używany jakby na pośmiewisko. Roumanille pierwszy nad brzegiem Rodanu śpiewał wszystkie uczucia serca, z godnością, w formie prostéj i świéżéj. Padliśmy sobie w objęcia i zawarliśmy przyjaźń pod tak szczęśliwą gwiazdą, że od lat 30-tu dążymy wspólnie do jednego dzieła, i nasze przywiązanie, ani starania nasze nigdy się nie zmniejszyły. Obadwaj przejęci pragnieniem podniesienia języka ojczystego, studyowaliśmy razem stare księgi prowansalskie i postanowiliśmy ożywić język według tradycyi i charekteru narodowego, co się późniéj spełniło przy pomocy i chęci naszych braci felibrów” (*Iles d'or*).

Nie odrazu jednak rozpoczął Mistral swą misyę. Po ukończeniu studyów, powrócił do domu, biorąc na siebie część pracy rolnéj wśród rodziny. Naszkicował wówczas poemat prowansalski w czterech pieśniach o „Żniwach”, którego nie ogłosił. Ojciec spostrzegł, że wychowanie, jakie syn jego otrzymał, inne mu losy przeznaczyło, wysłał go tedy na fakultet prawniczy w Aix. Nie zaniedbując studyów prawniczych, Mistral wzmacniał się coraz bardziéj na drodze, na którą pchnął go Roumanille i na któréj tenże utrzymywał go ciągle, dzięki bardzo częstéj korespondencyi. Wyrzekł się wtedy ostatecznie wierszowania francuskiego. Z Aix posyłał Roumanille'owi niektóre swe utwory wierszowane, pełne ognia i wdzięku, które ten wydał w 1852 roku,

wraz z wierszami 30-tu innych poetów miejscowych, w „*Li Prouvençalo*" („Prowansalczycy"), w zbiorze, tworzącym pierwsze ognisko rozpierzchłych autorów prowansalskich, zjednoczonych i prowadzonych przez Roumanille'a. Po skończeniu prawa, Mistral powrócił do Maillane'u. „Natychmiast, powiada, zrzuciłem z siebie togę adwokata, aby napawać się widokiem tego, co tak kochałem: pięknością méj Prowancyi." Ojciec umarł mu w cztery lata późniéj, „a ja z bólem serca porzuciłem *mas* (dom) rodzinny, wskutek podziału spadku między członków rodziny, i wraz z matką zamieszkałem w miasteczku Maillane, gdzie też pragnę umrzéć, gdy dobry Bóg tego zechce, i być tam pochowanym, naprzeciw owych pagórków, co rozweselały wzrok mój, były natchnieniem mych wierszy i ukojeniem méj duszy." Z tego cichego zakątka płynęła odtąd poezya jego życia. „Pomyśl pan, mówił niedawno w rozmowie z jednym dziennikarzem, że po ukończeniu studyów powróciłem do tego miasteczka, aby się stąd już nie oddalać. Wyznaję, czasami wydawały mi się długiemi owe wieczory zimowe, w czasie, kiedy byłem jeszcze młody i znałem Paryż, co mnie zachwycał i w którym drodzy mi przyjaciele radzili pozostać. Wytrwałem jednak. Chciałem być wiernym memu miasteczku..."

W miasteczku owém mieszka już lat przeszło 40. Opuszcza je tylko na krótko i to prawie zawsze w interesie swych utworów lub „sprawy", bądź to przebiegając wszystkie kąty Prowancyi, aby je poznać i wyśpiewać, bądź też odwiedzając miasta prowansalskie, Langwedocyi i Gaskonii, w celu szerzenia apostolstwa swego lub prezydowania na ucztach, których jest bohatérem. W 1868 roku przeszedł nawet Pireneje, aby odwiedzić Katalończyków, którzy na wzór felibrów urządzili w Barcelonie swe „*Jochs florals.*" Poświęcił im jeden z najwspanialszych swych utworów, „Do poetów katalońskich," w którym głosi jednocześnie miłość małéj i wielkiéj ojczyzny. Katalończycy urządzili poecie tryumfalne przyjęcie i tegoż jeszcze roku oddali wizytę felibrom, przywożąc im w podarunku „święty puhar", który wniesiono przy dźwiękach pięknéj pieśni felibrów; figuruje on odtąd na wszystkich ich biesiadach, przy dźwiękach téj saméj pieśni. Ukończywszy *Mirèio* w 1858 roku, Mistral przyjechał do Paryża. Został tu przedstawiony Lamartine'owi, któremu przeczytał niektóre swe wiersze. W następnym roku posłał mu swój nie wydany jeszcze poemat. Zachwycony świeżością i blaskiem téj nowéj poezyi, Lamartine poświęcił mu cały *Entretien littéraire* i potęgą swego pióra puścił w obieg sławę młodego poety. Mistral, który przedtém sam jeszcze wątpił o sobie, rozwarł odtąd szeroko skrzydła swéj poezyi do polotu w sfery światła i radości. „Tobie poświęcam swoją *Mirèio* odpowiedział autor, —

jest to serce moje, dusza moja, kwiat mego życia. Jest to grono winne z nad Crau, które wraz z liściem ofiaruje ci chłop... Jeżeli okręt mój bukietem przyozdobiony, bukietem z laurów kwitnących—Tyś mi go dał. Jeżeli żagiel mój wzdęty, to wiatr Twéj sławy go nadął."

Po wydaniu *Mireio*, autor, otoczony już wielkim rozgłosem, powrócił do Paryża. Spotkał go tu upajający entuzyazm stolicy, co ustawicznie wzburzona i zmienna nakształt morza, wylewa się na chwilę u stóp tych, którzy zjawiają jéj się w blasku sławy. Tu dusza poety wystawiona była na wielkie pokusy: ze wszystkich stron radzono mu pozostać w stolicy, wszystko, co uwodzić zdolne, zatrzymywało go tam. Lecz instynkt jakiś szeptał mu, że geniusz jego przebywa w prostocie Prowancyi i tam tylko wypełnić może istotę jego. Dziwiła go i zrażała obojętność, z jaką mieszali się w tłumie wybranych przedstawiciele najrozmaitszych opinii, które w kraju jego przepaść dzieliła. Spotkał się tu z Renanem, który wydawał mu się Lucyperem we własnéj osobie, a Renan mówił o *Mireio* w tak słodkich i pochlebnych wyrażeniach, że jéj autor, przejęty niemi do głębi duszy, uląkł się o swą wiarę, która była dlań świętém dziedzictwem ogniska rodzinnego. Czuł, że w odurzającém środowisku wielkiego miasta pomału rozpierzchną się czyste i pierwotne skarby jego duszy, nagromadzone w otoczeniu matki, lasów, gór i wielkiego Rodanu, — i uciekł z Paryża, ratując swe skarby. Nie zapomniał też słów, które wyrzekł doń w czasie odjazdu piekarz-poeta z Nimes, Reboul; „Mistral, udajesz się do Paryża. Pamiętaj, że w Paryżu stopnie schodów są ze szkła. Nie zapominaj o matce! Nie zapominaj, że stworzyłeś *Mireio* w *mas* Maillane'u i że to właśnie czyni cię wielkim! I nie zapomnij, że dobry katolik z parafii św. Pawła przed chwilą włożył koronę na twą głowę."

Z Meillane'u Mistral kierował wydawnictwem swych dzieł: *Mireille* ukazała się w 1859 r., *Calendal* w 1866, *Iles d'or* w 1874, *Nerte* w 1884, *La reine Jeanne* w 1891 r. [1]). Obecnie pracuje nad poematem o „Rodanie", który ma być koroną dzieł jego. Tam również przygotowuje zbiór swych mów i pisze swe „Pamiętniki". Wreszcie, przez całe lat 40 ogładza i ożywia w najprawdziwszém, właściwém narzeczu prowansalskiém „sornetty"—opowieści matek i babek, które tak zachwycały jego dzieciństwo. Zbierał je w czasie odpoczynków z ust robotnic i podczas wieczornych opowiadań prządek. Niezmiernie też przysłużył się nauce ułożeniem bogatego słownika prowansalskiego i innych narzeczy południowych, *Lou Tresor dou Felibrige* (tak się ten słownik

---

1) *Calendal*, epopeja romantyczno-historyczna w 12 pieśniach; *Lis Isclo d'or*, zbiór pieśni, romansów, sonetów i opowieści; *La Rèino Jano*, duży utwór historyczno-dramatyczny.

nazywa)—ten skarb felibryzmu, do którego zbierał materyały we wszystkich zakątkach Prowancyi, sam jeden uczyniłby autora sławnym. Nad dziełem tém pracował 30 lat [1]).

* * *

Mistral nie poprzestał wyłącznie na działalności literackiéj, lecz stworzył ruch, który wnet przekroczył granice czystéj poezyi. Ruch ten ma na celu niepodległość, naprzód lingwistyczną i literacką, następnie administracyjną i do pewnego stopnia polityczną Południa wogóle i Prowancyi w szczególności. Téj to sprawie poświęcił całe swe życie i poezyę swą. On téż doprowadził do skutku ową ciekawą ligę felibrów.

21-go maja 1854 roku w dzień świętéj Estelli, dzisiejszéj patronki felibrów, siedmiu młodych poetów: Teodor Aubanel, Jan Brunet, Anzelm Mathieu, Fryderyk Mistral, Józef Roumanille, Alfons Tavan i Paweł Giéra, złączonych ścisłą przyjaźnią i wspólnemi dążeniami, zebrało się w zamku Fontségugne (w blizkości Châteauneuf-de-Gadagne, dep. Vaucluse) na ucztę i postanowili nadać sobie i swym następcom nazwę, którаby ich wyróżniła. Inicyatywa wyszła od Mistrala, i on téż ochrzcił nowe towarzystwo mianem felibrów. Mistral słyszał raz w Maillane staruszkę, śpiewającą „Gorzkie żale", w których N. P. Marya opowiada swemu Synowi o swych siedmiu boleściach. Jest to rymowane opowiadanie, które dotychczas śpiewa w niektórych miejscach lud prowansalski. W opowiadaniu tém znajduje się właśnie słowo „felibre." Co oznaczało ono? Staruszka sama nie wiedziała, Mistral zaś ani nikt inny znaczenia tego słowa się nie dowiedział [2]). Ale słowo było nowe, dźwięczne i łatwo nadające się do rymów, więc „było oklaskiwane przez siedmiu gości i *Armana prouvençau*, organ nowéj szkoły, zaproponowany i założony na temże posiedzeniu, obwieścił Prowancyi, Południowi i światu całemu, że odnowiciele literatury prowansalskiéj nazwali się felibrami." Organ ten był głównie przeznaczony dla ludu. (*Armana prouvençau per lou bèl an de Diéu 1855*, *adouba*

---

[1]) Słownik ten został całkowicie ukończony w 1886 r. Zawiera przeszło 2,400 trzyszpaltowych stronic, in 4-o.

[2]) W swym „skarbie felibryzmu" Mistral podaje rozmaite objaśnienia etymologiczne, przedstawione przez rozmaitych filologów. Wywodzono więc: 1) od łacińskiego *felibris* lub *fellebris*, od słowa *fellare*, ssać, skąd słowo *filius* syn; 2) z greckiego φιλεβραιος (filosemita), którém to słowem nazywano przez długi czas w synagogach doktorów prawa; 3) z greckiego φιλαβρος—przyjaciel piękna; 4) z irlandzkiego *filea*—poeta, 5) z prowansalskiego *fe libre*—wolny przez wiarę i t. d. i t. d.

e publica de la man di felibre). Zajął się nim szczegolniéj Roumanille, lecz oryginalność swéj formy organ ten zawdzięcza Mistralowi, który natchnął go swym duchem. Powodzenie tego wydawnictwa ciągle wzrastało [1]). Służyło ono za łącznik zwolenników „sprawy.” Kolekcya 40 przeszło tomów, które już wyszły, wraz z temi, które się jeszcze ukażą, posłuży za źródło do badania historyi ruchu prowansalskiego, lub przynajmniéj ruchu oficyalnego, jeżeli tak wyrazić się można, gdyż niebawem religia ta, któréj Roumanille był zwiastunem, Aubanel gorącym apostołem, a Mistral prorokiem i niemal bogiem—znalazła swych heretyków.

Po kilku latach powolnéj propagandy, Mistral powziął myśl nadania felibryzmowi egzystencyi korporacyjnéj i w *Armana prouvençau* opublikował w 1863 roku pierwsze statuty stowarzyszenia felibrów oraz listę 50-ciu członków, którzy mieli utworzyć rodzaj akademii prowansalskiéj, podzielonéj na siedm *tiero* czyli oddziałów. Był to tylko szkic tymczasowy, lecz jego autor ciągle myślał o tém, żeby go ulepszyć. W roku 1876 został ułożony plan ostateczny, który ukonstytuował całą hierarchię. W r. 1879 statuty, ułożone przez Mistrala, zostały entuzyastycznie przyjęte przez zgromadzenie, zwołane do sali kapitulnéj templaryuszów w Awinionie. Felibryzm został podzielony hierarchicznie na rozmaite stopnie: konsystorze, majorów, z naczelnikiem najwyższym, którego otaczają kanclerz, asesorowie i syndycy. Naczelnikiem najwyższym obrany został naturalnie Mistral, który utrzymał się na tém stanowisku aż do ostatnich czasów, kiedy postanowił odstąpić tę godność naprzód Romanille'owi, potém Felixowi Gras. Ten ostatni jest naczelnikiem t. zw. młodego felibryzmu, który pod względem „idei” jest w zgodzie ze starą grupą, różni się zaś od niéj zupełnie odrębnemi przekonaniami politycznemi i religijnemi. Szeroki plan, pomyślany przez Mistrala, nie ograniczał się na Prowancyi: obejmował Langwedocyę, Akwitanię, Limousin, Owernie i nawet Katalonię. Chodziło mu o stworzenie języka literackiego, wspólnego całemu temu obszarowi, oraz pewnéj jedności w akcyi i dążeniach.

Ideę tego planu znajdujemy w „Hrabinie”, utworze Mistrala, który podług autora skierowany jest tylko przeciw centralizacyi. Trudno jednak nie dopatrzyć się w nim, jak i w całéj działalności felibrów, czegoś więcéj pod względem tendencyjnym. W utworze tym Prowancya przedstawiona jest jako hrabina, ogołocona ze swego mienia przez

---

[1]) Podług E. Boehmera („Die provenzalische Poesie der Gegenwart“), który pisał o tém w 1870 r., liczba czytelników tego wydawnictwa miała wynosić 30,000.

złą swą siostrę i zamknięta w klasztorze; przy każdéj strofie znajduje się propagacyjna zwrotka: „ach, gdyby chciano usłuchać głosu mego! Ach, gdyby chciano pójść za mną.” Chodzi o wyzwolenie uwięzionéj hrabiny, o przywrócenie jéj bogactw i blasku.

Idea „małéj ojczyzny,” jak nić barwna, przewija się przez całe życie Mistrala i przez wszystkie jego dzieła. Jest ona celem i duszą całéj jego działalności, wszystkich pieśni, poematów, dramatu, opowieści, słownika -- bez téj idei zrozumiéć nie można ani poety, ani dzieł jego.

Nie tu miejsce rozwodzić się nad utopijnością politycznych pożądań felibrów. Ale istnienie ich przebija się wyraźnie w wielu utworach. W *Calendau* (wyd. 1867 r.), w poemacie o 12 pieśniach, Mistral opowiada przygody pewnego rybaka, który odbił księżniczkę hersztowi zbójców. Księżniczką jest tu widocznie Prowancya. Na uczcie w St. Remi Mistral tak się wyraził: „Chcemy, aby lud nasz dowiedział się, że ojcowie nasi uważali się zawsze za rasę oddzielną. Powinien on wiedzieć, że przodkowie nasi przyłączyli się swobodnie i z godnością do szlachetnéj Francyi, z godnością, to znaczy: zachowując swą mowę, zwyczaje i obyczaje, swe imię narodowe. Niech wié lud nasz, że gdy on tego chciał, język, którym mówi, był językiem poetyckim i literackim Europy, językiem miłości, sztuki, wolności municypalnéj, cywilizacyi. Patrz, dzielny ludu, czego cię nauczyć chcemy: nie rumienić się wstydem przed byle kim, jak zwyciężony, nie wstydzić się swéj historyi, swéj ojczyzny. napowrót zająć stanowisko swoje; pierwsze miejsce wśród ludów południa. I gdy każdy Prowansalczyk i każdy Katalończyk w ten sposób odzyska swą cześć, wtedy zobaczycie, jak wsie nasze zamienią się znowu w miasta, i gdzie teraz tylko pył prowincyi leży, tam ujrzycie, jak rozwiną się sztuki, wzrośnie literatura, powstaną wielcy ludzie, ujrzycie naród w rozkwicie [1].” Rozumié się, że Mistral uskarża się bardzo na to, że język prowansalski jest ze szkół usunięty. Wyraźne światło na separatystyczne dążenia felibrów rzuca Prowansalczyk i były felibr, Eugeniusz Garcin. Legré opowiada o nim, że z początku przyłączył się do felibrów z większym zapałem, niż inni, lecz po to tylko, aby z równym zapałem i energią działać późniéj przeciw sprawie felibrów, jak przedtém ją popierał. Garcin ogłosił pamflet przeciw Mistralowi i felibrom, w którym poraz pierwszy zjawia się oskarżenie o separatyzm. Chodzi tu już wyraźnie o coś więcéj, niż o decentralizacyą, gdyż sam Garcin odrzuca centralizacyą administracyjną, jako wyraz despotyzmu. Obwinia on Mistrala o zamach na narodową jedność francuską. Podług niego, nie ma wcale prowansal-

---

[1]) P. Boehmer, *die prov. Poesie d. Gegen*, str. 25.

skiego narodu i podział na południe i północ Francyi byłby nieszczęściem dla postępu. „Teorye Mistrala—pisze—czynią nadzieje legitymistom [1]), gdyż walczą o stare porządki prowincyonalne; z drugiéj zaś strony mają one wiele przyciągającego dla republikanów, gdyż zdają się dążyć do państwa związkowego. Dlatego system jego zapuszcza korzenie w Prowancyi, w Katalonii, nawet w kołach paryskich... Paryż jest Francyą, Paryż jest wodzem duchowym narodu" — i z téj centralizacyi intelektualnéj cieszy się Garcin.

* * *

W r. 1870 pisał cytowany już przez nas Boehmer: Francya posiada mocną jedność państwową, lecz nie jedność narodowościową, przeszło $1/3$ część Francuzów nie mówi po francusku. „Na $37\,1/2$ miliona ludności, przebywającéj na państwowém terytoryum Francyi (nie licząc Korsyki i kolonii) — nie francuskiéj mowy używa (licząc w okrągłych cyfrach) $1\,1/2$ mil. Basków i Celtów, $1\,1/2$ mil. Niemców i 10 milionów prowansalczyków." Teofil Gautier, w sprawozdaniu ministeryum oświaty za rok 1868 o postępach literatury we Francyi, pisze: „Mistral ma to nieszczęście, że jest wielkim poetą, piszącym w narzeczu, rozumianém tylko przez ograniczoną ilość publiczności. Nieszczęście to, należy przyznać, nie bardzo go zasmuca, gdyż podług niego, język francuski rozumiany jest tylko w 8 lub 10 departamentach środkowéj Francyi. W jakich 30-tu innych departamentach mówią po baskijsku, hiszpańsku, celtycku, niemiecku, walońsku, włosku, nie licząc rozmaitych *patois*, kiedy język prowansalski liczy sobie 15 milionów ludzi."

„*Armana Prouvençau*" za rok 1863 (str. 29) liczy, że w 30 departamentach 10,191,554 ludzi mówi językiem *d'oc*.

Że dziś język francuski jest rozumiany przez daleko większą ilość Francuzów, o tém nie można wątpić. Od czasu istnienia republiki, oświata, powszechne nauczanie zapuściło mocne korzenie. A że państwo, szerząc oświatę, rozpowszechnia jednocześnie znajomość języka państwowego, to rzecz wiadoma. Bądź co bądź, w rozmaitych zakątkach Francyi daje się jeszcze dziś słyszéć nie francuska mowa Ma to szczególniéj miejsce w Prowancyi.

Językiem literackim felibrów jest narzecze popularne z St. Remi

---

[1]) Pierwsi zwłaszcza felibrzy byli gorącymi legitymistami i nie uznawali Francyi bez króla. Mistral opublikował w „Aiòli", oficyalném piśmie „sprawy", wychodzącém od paru lat w Awinionie, dwa listy hr. Paryża, w których reprezentant tradycyjnéj monarchii, wyraża wielkie uwielbienie dla poety i całą swą sympatyę dla dzieła decentralizacyi prowincyonalnéj, przedsięwziętego przez felibrów.

i jego okolic. Mowa ta rozpowszechniona jest bez znamiennych różnic wzdłuż rzeki Rodanu, od Oranżu aż do Martigues. Jestto jedna z odmian języka gallo-romańskiego, jedna z tysiąca form, które przybrał język, przyniesiony przez Rzymian do Galii, zależnie od szerokości i długości geograficznéj. „Ogólne zasady fonetyczne tego narzecza są wspólne z innemi narzeczami Galii, mianowicie, dzieli ono wraz z północną Francyą wiele degradacyi dość niedawno ustalonych, jak np. zatarcie się wszystkich prawie spółgłosek, jeżeli za niemi nie następuje samogłoska, wymawianie *c* przed *e*, *i*, jak *s*, osłabienie *l* w *y*. Zachowało ono natomiat piękne dwugłoski (*ái*, *áu*, *óu*, *òu*, *éu*, *èu*) i nie skróciło swych słów, co im nadaje więcéj archaizmu i bogactwa dźwięków. Francuskie *e* „nieme" na końcu słów zastępuje tu dźwięk pośredni między *o* i *ou*, który pisze się *o* i wymawia się wyraźnie (*prouvenço*, *bello*). Język prowansalski posiada, prócz tego, nieakcentowane końcówki *e*, *es* (*cante*, *cantes*) i *i*, *is*, przez co otrzymuje się bardziéj urozmaiconą muzykę słowa. Charakterystycznym rysem téj mowy, który dla ucha naszego ma coś pieszczotliwego, lecz sprawia zarazem wrażenie mowy dziecinnéj—jest wymawianie litery *ch* jak *ts*, litery *g* i *j* jak *dz* (*chato*= *tsato*, *moungeto* = *moundzeto*); natomiast nosowe *m*, *n* na końcu słów lub przed spółgłoską nie znikły, jak w języku francuskim, w którym nadają dźwięk nosowy poprzedzającéj samogłosce."

„Ze wszystkich tych warunków fonetycznych wynika mowa harmonijna i łagodna, w któréj akcent, bardziéj uwydatniony, aniżeli we francuskim, posiada również bardziéj muzykalny charakter, w któréj bogaty system samogłosek i dwugłosek nadaje koloryt i rozmaitość dźwiękową wymowie, w któréj wszystkie sylaby wyraźnie się artykułują, w któréj miękkość nie wyklucza siły, w któréj rytm, właściwy każdemu słowu, pozostaje zawsze uczuwalny, bez wysiłku nagina się do przejściowych ruchów uczucia lub namiętności" [1]).

Pod względem formy, dwa fakty rzucają się najbardziéj w oczy. Rzeczowniki straciły wszelką różnicę liczby pojedyńczéj i mnogiéj. W języku francuskim ma to wprawdzie również miejsce w wymowie, lecz niezawsze, mianowicie przed samogłoską następującego słowa; liczba mnoga zachowała się w każdym razie w pisowni, przyczém niektóre słowa, kończące się na *l*, mają prawdziwą liczbę mnogą (*chevaux*, *cieux*). Z drugiéj strony, zachowane zostały końcówki osobowe czasowników.

Pracując nad dźwignięciem literatury ojczystéj, felibrzy napotkali dwie ważne trudności. Język ich, który do czasu powstania no-

---

1) G. Paris: *Poètes et penseurs*. — F. Mistral: *La langue*.

wéj literatury służył tylko do użytku chłopów i robotników, nie posiada wyrazów dla abstrakcyi i wogóle dla idei, będących wytworem wyższéj kultury. Aby temu zaradzić, bierze się słowa francuskie i przebiéra się je po prowansalsku, co nadaje im charakter zapożyczonych. Jeżeli stworzoną zostanie prawdziwa literatura prowansalska, brak ten niepostrzeżenie się zatrze; wszak w każdym innym języku jest tyle słów cudzoziemskich, które wydają się teraz zupełnie swojskiemi, dlatego że powolniéj zapożyczone zostały z zagranicy. Z drugiéj strony, jako język warstw niższych, mowa prowansalska posiada mnóstwo słów charakteru grubego i trywialnego. „Wynika z tego często ten szczególny rezultat, że dana strofa Mistrala (mianowicie w *Calendau*, gdzie autor pragnął wznieść się na wyższy poziom), która w tłómaczeniu wydaje się szlachetną i pociągającą, nabiéra dla czytelnika francuskiego charakteru trywialnego i prawie komicznego, gdy ten zagląda do oryginału."

„Lecz obok tych braków i chropowatości, słownik Mistrala posiada bogactwa, energię i słodycz, które czynią z niego instrument, znakomicie zastosowany do muzyki, jaką chciał wywołać. Przedewszystkiém, przyroda i życie południowe, tak różne od tego, które się odzwierciedla w języku północnéj Francyi, przedstawiają masę przedmiotów, wrażeń, czynności, zwyczajów, które nie posiadają i posiadać nie mogą ścisłych wyrażeń w języku francuskim. Trzeba widziéć w poematach Mistrala niezliczoną ilość nazw ptaków, owadów, roślin, narzędzi, sprzętów domowych, wyrazów, odnoszących się do uprawy roli, chowu bydła, do przemysłu, polowania, rybołóstwa, żeglugi, które tłómaczenie może oddać tylko przez równoznaczniki nieścisłe lub pedantyczne określenia naukowe!" (G. Paris, str. 107).

Chcąc z prowansalskiego uczynić język literacki, Mistral oczyścił go, o ile można było, ze słów francuskich, które wkradły się nawet do mowy ludowéj i ustalił pisownię. Dzięki jego wysiłkom i jego uczniów, oczyszczony język prowansalski wchodzi powoli w użycie wśród ludu. Pisownia, ustalona przez Mistrala i Roumanille'a, używana jest we wszystkich dziełach felibrów. Prócz tego, Mistral wzbogacił język prowansalski wyrazami, znalezionemi po za ścisłemi granicami tego narzecza, o ile dawały się zastosować do nowych odcieni uczuć lub czynności. Zachował též mnóstwo wyrazów starych, które byłyby zniknęły zupełnie z użycia, gdyby ich Mistral nie podjął. Wreszcie, potrafił doskonale wyzyskać i rozwinąć wszystkie źródła tego języka.

Niektórzy zarzucają felibrom, że język Mistrala nie jest językiem ludowym. Poezya autora *Mirei* ma być niezrozumiałą dla chłopów

z nad Crau, jak również dla dziewcząt z Comptatu — a to z dwóch przyczyn: wielu słów, używanych przez Mistrala, w rzeczywistości nie zna lud téj lub innéj miejscowości; powtóre, narzucił on wymowie i ruchomym formom gwary popularnéj ścisłość i stałość, których te nie mają wcale; język, w którym pisze Mistral, jest językiem, jakim nikt nie mówi, i który tylko ci rozumieją, co go przestudyowali w jego dziełach lub dziełach jego naśladowców. Jest to do pewnego stopnia prawdą, ale nie zupełną. Niektóre poezye Mistrala znane już są całemu ludowi Prowancyi: hymn słoneczny, którym rozpoczynają się „Złote wyspy", stał się pieśnią popularną. Wiele jego pieśni znane są w rozmaitych okolicach i wszędzie zrozumiałe. Oczywiście, w każdéj prawdziwie artystycznéj poezyi znajdują się ustępy, niezrozumiałe dla niewykształconych, nawet gdy są pisane w ich języku. Język literacki nie jest językiem gwary ludowéj, a Mistral chciał stworzyć właśnie taki język, chciał z prowansalskiéj gwary, rozmaitéj w rozmaitych miejscowościach, uczynić język narodowy. Zdaniem specyalistów, język literacki Mistrala jest pod tym ostatnim względem bliższy języka ludowego, aniżeli jakikolwiek inny.

Daleko ważniejszy zarzut, jaki spotkał felibrów, jest następujący: jeżeli języka ich nie używa lud, jeszcze mniéj używają go ludzie wykształceni, nie wyłączając samych felibrów! Mistral rozmawia ze swymi przyjaciołmi o sztuce lub filozofii po francusku, a nie po prowansalsku! W ten sposób język prowansalski staje się „*patois*", ograniczonym do wyrażania tego, co mówi lud niepiśmienny, lub do tego, co chcą mu powiedziéć literaci. Przez długi czas usiłowania felibrów spotykały w saméj Prowancyi więcéj wzgardy, aniżeli sympatyi. Mistral nieraz miał świadomość fałszywego swego położenia między ludem, który go na pół tylko rozumiał i między ukształconemi warstwami, które nie chciały go brać na seryo. „Lecz chłopki nie rozumieją wierszy, a mieszczanki pojmują je na opak!" — wykrzykuje zrażony poeta w „Złotych wyspach". Było to jednak w roku 1868-ym. Dziś „mieszczanki" prowansalskie zajmują się felibryzmem z sympatyą i poezya felibrów znajduje coraz większe uznanie w Prowancyi. „Nie dowodzi to jednak, aby język prowansalski stał się z czasem językiem poważnych rozmów — i wątpić należy, czy się kiedykolwiek uda felibrom zastosować go do dziennikarstwa, historyi i t. d., t. j. prócz poezyi do prac filozoficznych" (G. Paris). Dla samych felibrów język francuski pozostaje dotąd językiem rozumowania i prozy. Język ich nadaje się prawie wyłącznie do poezyi i do niéj też został zastosowany.

Wierszowanie felibrów podobne jest do francuskiego. Wszystkie wiersze prowansalskie, począwszy od XVI-go wieku, wzorowane były na wierszowaniu francuskiém. Roumanille nie postąpił inaczéj, jak jego poprzednicy, i Mistral nie wszedł na nowe tory. Bo téż nie sposób im było naśladować pracowite komplikacye wierszowania trubadurów.

* * *

Mireille, która ukazuje się teraz w tłómaczeniu polskiém, staraniem „Biblioteki najcelniejszych utworów”, należy bezwątpienia do najlepszych utworów Mistrala. Wprawiła ona w zachwyt nietylko starego Lamartine'a, lecz i akademię francuską, która nagrodziła ją medalem w roku 1861-ym. Mistral sam ją tłómaczył na język francuski, z czego zapewne skorzystał tłómacz polski, w przeciwnym bowiem razie miałby niesłychanie trudne zadanie. Jest to epopea w 12 pieśniach, przedstawiająca obraz życia ludu prowansalskiego, osnuta na tle historyi miłosnéj. Historya ta jest bardzo prosta i rozwija się z homeryczną szerokością, powoli, nieprzerwanie, przykuwając silnie uwagę czytelnika, powiedzielibyśmy—widza, przed którym przesuwają się kolejno wspaniałe obrazy przyrody prowansalskiéj i zaludniających Prowancyę żywych istot i duchów legendowych. Mireio, 16-letnia córka bogatego chłopa prowansalskiego, kocha się w Wincentym, synu biédnego koszykarza. Ojciec jéj nie zezwala na ten związek, i Mireio, po daremnéj walce, postanawia udać się nad brzeg morza, gdzie stoi kaplica trzech Maryi, aby błagać je o pomoc. Bieży tedy bez odpoczynku przez szerokie pola, w żar słoneczny, dociéra do kaplicy i wyczerpana z sił—umiéra. Ta, tak prosta historya, dała autorowi sposobność do wymalowania przecudnych obrazów. Sceny w czasie zbioru liści morwowych, zdzierania kokonów z gałęzi drzew, towarzyszące przytém rozmowy i pieśni — są nadzwyczaj piękne. Wspaniały jest obraz, w którym przed wzrokiem naszym rozwija się bogactwo stad pasterza, starającego się o rękę Mirei. Tu miał się ukazać w całéj swéj ozdobie język poety, pełen znaczenia i pięknych wyrażeń, język, który własność danego zwierzęcia jednėm słowem określić potrafi, kiedy tłómaczenie francuskie musi daleko okrążać. Daléj, zjawia się drugi konkurent Mirei, właściciel stadniny dzikich rumaków, które wydają się, jakgdyby się zerwały od wozu Neptuna, czując się dobrze tylko w oceanie powietrznym—nowy wspaniały obraz. Po nim zjawia się trzeci konkurent, Urias, pogromca rozwścieczonych byków. Nadchodzi noc ś. Medarda. Topielcy wypływają na powierzchnię Rodanu i szukają swych dobrych uczynków, które w rękach ich zamieniają się na kwiaty,

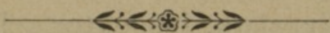
a kwiaty te pozwalają im płynąć do nieba. Pojawiają się też złe duchy i dyabły; łódka, na któréj Urias chce przepłynąć, pociągnięta zostaje na dno, i prąd grzebie go w nurtach rzeki. Cudowny obraz fantastyczny. Konającego Wincusia, zdradziecko ugodzonego przez Uriasa, Mireio zanosi do czarownicy, mieszkającéj w jamie górskiéj. Rozwija się tu znów obraz przesądów ludowych. Uzdrowiony kochanek powraca do ojca i błaga go, aby się starał dlań o rękę Mirei. Scena między dwoma ojcami jest znakomicie odmalowana. Ojciec oznajmia Mirei, że nigdy nie ujrzy swego kochanka. Mireio przypomina sobie trzy Marye, o których mówił jéj kochany przy pierwszém spotkaniu, jako o potężnych pomocnicach. Lud prowansalski opowiada sobie, że Marya Magdalena, Marya Jakóbowa i Marya Salomea, po śmierci Chrystusa, rzucone zostały do łódki i oddane na pastwę bałwanów morskich. Zapędzone na brzegi Prowancyi, zostały tu pierwszemi apostołkami Ewangelii, a potém osiedliły się wszystkie trzy na jedném miejscu, gdzie obecnie stoi kaplica trzech Maryi. Mireio, któréj dusza odchodzi już od ziemi, słyszy w kaplicy, jak trzy święte opowiadają jéj zwycięstwo Krzyża w Prowancyi, poczém przygląda się ich odpłynięciu w łódce na pełne morze. Zamyka wreszcie oczy w kaplicy, otoczona swymi rodzicami, którzy pobiegli w jéj ślady. I kochanek jéj przyleciał, jak wicher polny i pocałunkami swemi pokrywa trupie lica kochanki.

Adolf Wars—ki.



Z ALBUMU PRZYJAŹNI.

NOWELA.



Starożytność zostawiła nam w spuściźnie przepis na przyjaciela, który ma być dobry, stały, wierny, szlachetny, zdolny do poświęceń, miłujący prawdę, szczodry, prawy, mężny, nieskazitelnie czysty jako charakter. Wielu z tych zalet nie posiadał w różnym stopniu Alfons D., mój przyjaciel i kolega szkolny. Młodość kocha, nie pyta dlaczego. Czuje ona szczérze potrzebę wyzwolenia uczuć, co właśnie stanowi tajemnicę wszelkich związków, kojarzących się między młodzieżą; dobór jest tu sprawą czysto indywidualną.

Podobał mi się mój przyjaciel, wysmukły młodzieniec, z bujną czarną czupryną, namiętnemi oczyma, z dziarskim wyrazem twarzy, krzepką ręką. Jedynak u matki, bogatéj pani, rozpieszczony, krnąbrny, skłonny do gwałtownych wybuchów, leniwy, chociaż zdolny, niebawem zasłużył sobie w szkołach na niełaskę nauczycieli.

W klasie trzeciéj wzięliśmy się parę razy dobrze za czuby tak, że każdemu z nas pozostał w garści pęk włosów, wydartych drugiemu. Gwałtowniejszy zatarg wybuchnął w klasie czwartéj, po skończonéj lekcyi rysunków: Alfons ściągnął mię przez głowę linią, która poszła w trzaski; ja połamałem na jego grzbiecie rajzbret. Dostaliśmy się do ciemnéj kozy i wtedy to zawiązaliśmy stosunki przyjaźni, a dobrze pamiętam, że początek naszéj rozmowy w kozie obracał się około jednego punktu: „Imię każdego z nas zaczyna się od A., nazwisko od D."

Władza szkolna być może zmierzała do tego, abyśmy się pojednali, doznając wspólnéj niedoli więzienia. Cel ów w zupełności osiągnięto: powracaliśmy z kozy do domu, trzymając się pod ręce. Alfons zachwycił mię wtedy nadzwyczajnie, przemawiając z wielką pewnością siebie i lekceważeniem o przepisach szkolnych, dotyczących zrywania przez uczniów różnych owoców zakazanych, jak: palenie fajki, picie wódki, gra w karty. Tegoż samego dnia pamiętnego, rozmawialiśmy z niemałém zajęciem o roli, którą w ludzkości odgrywają mężczyźni i kobiéty...

No i odtąd sprzymierzaliśmy się już bardzo często, a zwykle kiedy chodziło o użycie przyjemności z przekroczenia przykazań szkolnych. W sprawie porozumienia się co do wspólnego wypalenia fajki, urządzenia wyprawy na wagusy i t. d., wystarczały nam obu spojrzenia, migi, półsłówka. Klasę piątą przebrnęliśmy jakoś szczęśliwie, uchodząc przed bardzo bacznéme okiem pana inspektora, który coś jednak przewąchiwał i od czasu do czasu czepiał się już mnie, już Alfonsa. Byliśmy w szóstéj klasie, kiedy pod koniec stycznia wyszły na jaw rozmaite nasze przestępstwa: inspektor schwytał nas obu na gorącym uczynku kurzenia fajki, picia wódki i gry w karty — dyabełek po trojaku do puli. Krótko się namyślała władza szkolna nad wymiarem kary na winowajców. Za mną przemawiały przynajmniéj postępy w naukach, tak zwane trójki, czwórki, piątki; Alfons, choć zdolny, zarabiał jedynie na pałki i dwójki, a przeto wydalono go ze szkoły. Poprawę moich złych obyczajów szkoła wzięła na siebie: otrzymałem dziesięć rózg chłosty i odsiedziałem okrągłą dobę w ciemnéj kozie o chlebie i wodzie.

Bolało mię takie upośledzenie, gdyż czułem, że w niczém nie jestem niższy od Alfonsa. Uspokoiłem się wtedy dopiéro, kiedy zacny ksiądz prefekt przyzwał mię do swego mieszkania raz, drugi, trzeci, przedstawił całą zgrozę występków, wzruszył do łez i wymógł przyrzeczenie poprawy. Skruszony grzesznik, nie piłem już wódki, nie grywałem w karty, tylko ukradkiem po kątach ćmiłem jeszcze fajczynę, wspominając przyjaciela-bohatéra.

Wkrótce téż potém stratę Alfonsa wynagrodziła mi Kazia, śliczna dziewczyna, którą widywałem tylko zdaleka. Rzuciłem się do pisania wierszy miłosnych i, nosząc w duszy ideał anioła, ukończyłem szkołę. Podczas wakacyi pisywałem tak tkliwe i smętne ody do Kazi, że cztérnastoletnia siostra moja, któréj wyznałem tajemnicę serca, zaléwała się łzami po kątach ku strapieniu matki, nie mogącéj pojąć przyczyny smutku i płaczu. Obraz Alfonsa ściemniał jakoś w mej pamięci, Kazia go zaciérała.

Pamiętam dzień, kiedy otrzymałem świadectwo dojrzałości i uważałem się za człowieka skończonego. Z tym patentem na sercu przeszedłem kilka razy pod oknami Kazi w nadziei, że jeśli ją przypadkiem spotkam, wyznam natychmiast gorącą swoję miłość i złożę swą dojrzałość u stóp ubóstwianego anioła. Naraz spostrzegłem toczącą się od rogatki brykę w cztéry fornalskie konie, a na bryce ojca, który mię już z oddalenia dojrzał i kiwnięciem palca przyzwał.

— Patent jest? — Zapytał.

— Jest! — Odrzekłem, całując spaloną przez słońce rękę rodzica, a bałem się go zawsze jak ognia.

Musiałem wyrzec się Kazi, wsiąść na brykę, jechać do zajazdu, a potém, razem z fornalem, pakować swoje manatki. Ojciec tymczasem poszedł do pana inspektora, zapewne w celu podziękowania za opiekę nademną. Dała mi się nieraz ta opieka we znaki! Inspektor ćwiczył mię zawsze własną ręką, a w trzeciéj klasie dostałem raz o trzy rózgi więcéj niż inni.

W zajeździe u Ołdakiewicza, oczekiwałem ojca bardzo niecierpliwie, ponieważ żywiłem płonną nadzieję, że mi sprawi ubranie cywilne u krawca Kanapińskiego i będę mógł pokazać się Kazi jako przyzwoity obywatel. Około godziny jedenastéj w nocy ojciec wrócił, a ja przez otwarte okna numeru słyszałem gromkie jego wołanie: „Walek, zaprzęgaj!"

Pomyślałem wtedy z goryczą: „Nie sprawi mi cywilnego ubrania, nie pożegnam się z Kazią!"

Kiedy ojciec wszedł do numeru, zmiarkowałem z jego oczu i zaczerwienionego nosa, że musiał z inspektorem wypić niejednę butelkę. Przystąpił do mnie, patrzył groźnie swojemi roziskrzonemi niebieskiemi oczyma i porywczo przemówił w te słowa:

— Wisusie, wiész, za co nie dostałeś medalu?.. Bo profesorowie, chociaż uznali twą rozprawę za najlepszą, nie mogli ci dać stopnia z obyczajów! Ale bierz dyabeł medal, mnie twój patent wystarcza!.. Tylko pięknych się tu rzeczy dowiaduję! Do gorzałki się bierzesz, do kart, do fajki, do... do... do... ten tego!..

— Proszę ojca, ja, jak mamę kocham, słowo honoru daję...

— Osieł jesteś! Ani matki nie kochasz, ani pojęcia nie masz o honorze!.. Błazen, z Alfonsem D. się zaprzyjaźnił! To ja, durniu jakiś, panom się muszę wysługiwać, żeby na chléb zarobić, a ty się z nimi upijasz, łajdaczysz! No, no, rozmówię ja się z tobą, łotrze!

Rzecz prosta, uważałem ojca za srogiego tyrana, który brutalnie ubliża mojéj godności osobistéj dojrzałego człowieka. Byłbym się może postawił, odciął, gdyby nie obawa, że gniewem i trunkiem podniecony

rodzic, trzasnąłby mię w kark najniezawodniéj. Zmilczałem więc i w skrytości ducha myślałem o Kazi, jedynym przedmiocie, który wypełniał całą moję istność duchową.

W domu rodziców była tradycyjna biéda, która z dziadów, pradziadów, przechodziła na wnuki i prawnuki. Jako płatny praktykant, spędziłem parę lat u budowniczego, rysując plany, pisząc kosztorysy. Z téj pracy miałem się za co utrzymać; ale zbywało mi na wewnętrzném zadowoleniu i teraz marzyłem o wstąpieniu na uniwersytet.

Z małym zasobem pieniężnym przybyłem do Warszawy, gdzie jąłem się Cycerona i Homera, którzy mieli mi utorować drogę do przybytku wiedzy: przepoczwarczałem się z realisty na filologa.

Idąc raz przez Krakowskie Przedmieście, spotkałem Alfonsa, dowiedziałem się od niego, że służył w huzarach i dopiéro przed tygodniem wystąpił ze służby. Był to dorodny młodzieniec w całém znaczeniu tego słowa, tylko zawsze mówił głosem jakimś ochrzypłym. Trwonił podówczas resztki swego majątku, żył jeszcze po pańsku, rzucał pieniądze, których mi brakowało tak dalece, że nie codziennie jadałem obiad czy śniadanie.

Podobnie jak w szkołach, Alfons i teraz wskazywał mi nieznane drogi życia: pozawiązywałem stosunki w teatrze, poza teatrem, naturalnie z płcią piękną, poznałem licznych młodzieńców, którzy podówczas używali życia. Niestety, ja obchodziłem się tylko smakiem! Katonem nigdy nie byłem i pohulałbym sobie nieraz, ale tylko za swoje pieniądze, a tych nie miałem.

Parę razy na tydzień przychodził do mnie Alfons, naigrawał się z mojéj pilności, wydrwiwał klasycyzm, a kończyło się na tém, że mię zawsze wyciągnął z domu na jakie śniadanie, czy kolacyą.

Trwało to kilka miesięcy i w ciągu tego czasu mój przyjaciel coś podupadał na duchu, tracił swoję gęstą minę, wygłaszał pesymistyczne uwagi o końcu, jaki go oczekuje. Spostrzegałem coraz większe zaniedbanie w jego ubraniu, bieliźnie, oszczędność w zaspakajaniu potrzeb. Wierny i nieodstępny sługa Alfonsa, Wawrzek, chodził w podartym kubraku, dziurawych butach. Majątkowa ruina panicza widocznie rączym krokiem szła naprzód. Nareszcie jednego dnia, kiedy pracowicie żułem jakąś bibułę, wszedł Alfons. Był małomówny, chodził po izbie, chrząkał, albo z przymusem pogwizdywał: coś go truło.

— Wyglądasz, jak gdybyś się skompromitował. Rzekłem.

— I to ciężko—odpowiedział z westchnieniem.

— No, no? Pojedynek? Awantura?...

— Żeby to przynajmniéj!.. Bydlę skończone, ten Wawrzek, łajdak, przyczepił się do mnie i nie mogę się pozbyć hultaja.

— Także ważny powód zmartwienia!

— Bardzo ważny, gdyż moim obowiązkiem jest nakarmić niewolnika, tymczasem...

— Ha, od tego jesteś panem! — powiedziałem z przekąsem. — Zwyczajny plebejusz, człowiek z tłumu, nigdy nie ma takich strapień.

— Rwie się, runąłem! Ani gotówki, ani kredytu! Mniejsza o to, że sam jestem dziś wściekle głodny; ale Wawrzek, kanalia, od rana patrzy mi na ręce—zemknąłem przed nim właśnie.

Wzruszyła mnie niedola przyjaciela, głodnego poraz pierwszy w życiu i rzekłem bardzo nieśmiało:

— Mam jeszcze trzy bilety na obiady, tylko nie wiem, czy taki obiad na Piwnéj...

— Żadnych romansów! Powiadam ci, umiéram z głodu.

W niespełna godzinę potém zajadaliśmy „Pod papugą" kapuśniak z chlebem; no i następnie podano nam gnat jakiś, który wyobrażał pieczeń cielęcą. Pozostały trzeci bilet spożytkował oddzielnie Wawrzek, gdyż Alfons nie chciał się zgodzić na to, aby jeść obiad współcześnie i w jednym pokoju ze służącym. „Bestya cham, i tak się już zanadto spoufalił!"

Nazajutrz, jak mi mówiono, mój przyjaciel „wydębił" od ciotki, czy téż od wuja-pułkownika, znaczniejszą sumę pieniędzy, za które powozem pocztowym w sześć koni i z pochodniami urządził sobie przejażdżkę nocną do Puław z hrabią Stasiem i z piękną Julcią.

Od obiadu na Piwnéj upłynął może miesiąc czasu, kiedy spotkałem Wawrzka, samopas błądzącego po ulicach Warszawy, a biédnie wyglądał.

— Co słychać?—zapytałem.—Jak się miewa pan rotmistrz?

— Nie służę już teraz u niego, żyjemy sobie osobno, każdy na swoją rękę. Zobaczymy, czy mnie kto zastąpi, kiedy wypadnie grosz jaki od ciotki wydębić!... Przeniósł się do hotelu Słowiańskiego na Podwale i tam mu usługuje taki numerowy, fagas. Ja téż tam nie jestem chciwy tych smaków służby, a u lada kogo nie będę służył!

Był brudny, obdarty, przemawiał z goryczą i tonem człowieka, którego miłość własną ciężko zraniono.

Ja wyczerpałem był podówczas swoje zasoby i żyłem w ostatniéj biédzie. Obchodziłem się bez łóżka, pościeli, i poszukiwałem tak zwanéj „belferki na wieś", aby uciec z Warszawy przed śmiercią głodową.

Kolega mój, niejaki Szczepcio, zakochał się wtedy w pewnéj urodziwéj właścicielce cukierni, a że doznawał wzajemności, przeto wyrobił mi tam nieograniczony kredyt na kawę i ciastka. Otóż, ile razy brakowało funduszu na obiad, a głód dokuczał, uciekałem się pod

skrzydła Szczepcia, brnąłem w długi za słodycze: sporo się tego uzbiérało.

Tymczasem przez rozmaite stosunki znalazłem sobie pożądaną belferkę w domu szlacheckim i zacząłem prowadzić układy. Wybadywano mnie, dowiadywano się z boku, czy jestem zdolny, moralnie odpowiedzialny do zajęcia stanowiska nauczyciela domowego dwóch wyrostków, umysłowo tępych i urwisów z pod ciemnéj gwiazdy.

Cóż ja mogłem umiéć z zakresu pedagogiki? Dawni moi pedagogowie gorliwie usiłowali dowiéść mi czynnie, że, aby wychować młodego człowieka, trzeba go od czasu do czasu smagać rózgą, a dla rozmaitości — bić po łapach, targać za uszy, skazywać na klęczenie i odsiadywanie kozy. Posiadłem tę sztukę urozmaicania cierpień i sprzedałem ją pierwszemu, kto się nawinął.

W ciągu przebiegu owych układów odwiedzałem parę razy Alfonsa, który pozostawał w przerażającéj nędzy. Całe swoje ubranie już sprzedał i musiał udawać chorego w łóżku. Pożółkł, wychudł, zgorzkniał, sposępniał, jak to mówią—upadł na cztery nogi. Całą nadzieję wyzwolenia się widział w tém, że ciotka albo wuj, do których słał list za listem, przybędą mu z pomocą piénieżną. Nazajutrz, po ostatnich moich odwiedzinach u Alfonsa, zawarłem ostatecznie umowę, a na trzeci dzień otrzymałem upragnioną zaliczkę, dającą mi możność spłaty długów i ucieczki od nędzy. Miałem bardzo ciekawą rozmowę z swoim chlebodawcą, który umyślnie zjechał do Warszawy, aby mnie obejrzéć i osobiście zobowiązać: rumiany, okrągły, dobroduszny — że miło patrzéć—szlachcic.

— Chłopaki, żbiki! — mówił. — Książka im śmierdzi! Proszę, tak po ojcowsku, szczerze, serdecznie, nie żałować rózgi! Brzeziny u nas nie brakuje... Może pan być pewien mojéj wdzięczności, jeżeli toto na ludzi powychodzi! O, bo ja nie jestem z tych ojców, co pobłażają!

Dałem mu do zrozumienia, że sposoby udoskonalenia młodych ludzi przez zadawanie im bólu nie są dla mnie wcale obce i niebawem uzyskałem zaliczkę, a także piéniądze na koszta podróży, którą należało odbyć do Lublina w pocztowym omnibusie; w Lublinie zaś miały na mnie oczekiwać konie.

Szlachcic tego samego dnia odjechał do domu, wziąwszy odemnie uroczyste zapewnienie, że na trzeci dzień wieczorem wyruszę z Warszawy i nie zrobię zawodu koniom jego, oczekującym na mój przyjazd. Teraz jąłem się co żywo dzieła załatwienia swoich zawiłych interesów: jak mogłem, wyłatałem dziury długów, sprawiłem sobie ubranie ciepłe, gdyż był to grudzień, i kupiłem bilet na karetkę do Lublina.

Rano, w dzień swego odjazdu, spostrzegłem, że bez żadnego uszczerbku dla siebie, mogę stracić cztery do pięciu rubli. Wspomniałem Alfonsa:

— Biédny on, nie wyjdzie tak łatwo, jak ja, z kłopotów!

Około pierwszéj z południa poszedłem do niego. Przyjął mnie jakoś opryskliwie, a na moje nowe szaty spoglądał z szyderczym uśmiechem lekceważenia i pozwalał sobie złośliwych uwag o moim zawodzie pedagogicznym.

— Pamiętaj dobrze bić smyków, dopóki nie wybijesz łajdaków! Osłami zostaliby i bez twojéj pomocy, chociaż wątpię, czy bez łaciny można wyjść na osła, co się zowie.

Odcinałem mu się z uśmiechem przyjacielskiego pobłażania, myśląc, że taki sponiewierany przez los człowiek, nieraz złorzeczyć gotów niebiosom. Znając przesadną szlachecką pychę przyjaciela, który, choćby bosy, zawsze nosił ostrogi, a swoją drogą naciągał krewnych i nie płacił długów, nie miałem odwagi ofiarować mu kilku rubli i rzekłem:

— Mój Alfonsie, należy nam się dzisiaj przyjacielski kieliszek wódki!

— Co to znaczy kieliszek? Butelka, dwie!—zawołał wesoło.

Opuściłem go na chwilę, aby niebawem powrócić z zapasem gorzałki, piwa i różnych zakąsek. Wypiliśmy całą butelkę wódki, zjedliśmy, co było, a zalaliśmy to piwem. Rozrzewniliśmy się teraz, jeden drugiemu padał w objęcia i Alfons parę razy powtórzył:

— Ostatniego przyjaciela tracę! Psiakrew, w łeb sobie przyjdzie strzelić!...

Było już dobrze po piątéj, ściemniło się, kiedy wypaliłem papiérosa i rzekłem wzruszony:

— Komu w drogę, temu czas! Przed dziewiątą mam być już na poczcie, a jeszcze muszę wpaść tu i owdzie.

Mój przyjaciel sposępniał i w bardzo uroczystym nastroju zaczął bluźnić losowi, urągać uczuciom rodzinnym, przyjacielskim.

— Psiakrew, to wszystko razem torby sieczki nie warte!

Splunął, zaciągnął się papiérosem, wyglądał przerażająco.

— On sobie gotów życie odebrać — pomyślałem, nie śmiejąc go pożegnać.

Zapaliliśmy w milczeniu świéże papiérosy, a Alfons nieco już spokojniejszym głosem tak przemawiał:

— Dzisiaj, do godziny ósméj wieczorem, mógłbyś mi oddać nadzwyczajną usługę, od czego życie moje zawisło... Ale—dodał z gorzkim uśmiechem—cóż ja mam za prawo żądać od ciebie poświęcenia?

W téj chwili, w głowie méj powstało przypuszczenie, że Alfons pragnie, abym poszedł do jego wuja, czy ciotki, z żądaniem pieniędzy. Istotnie, byłoby to poświęcenie. Myślałem więc, jakby tu się wykręcić. On tymczasem, strzelając oczyma po suficie, mówił, jakby sam do siebie:

— Ciotka wezwała mnie do siebie, chce mi przyjść z pomocą. O wpół do siódméj powinienem być u niéj; no, ale przecież nie mogę przedstawić się nago w salonie.

— Gdybyś powrócił tutaj o wpół do ósméj z pewnością, pożyczyłbym ci swego ubrania—rzekłem zadowolony, że przyjaciel poświęceniem mianuje tak nieznaczną przysługę.

— Jak to, gotów jesteś zostać w téj norze przez parę godzin bez ubrania?

— Tak!—odpowiedziałem głosem stanowczym i niebawem zacząłem zdejmować z siebie szaty.

Wyskoczył z łóżka, rzucił mi się na szyję, w rozczuleniu łzę nawet uronił, a po obu policzkach rozrzucał sążniste całusy.

Za chwilę zmieniły się role: ja ległem w łóżku, na wstrętnie brudnéj pościeli, pocieszony myślną, że spełniam czyn przyjacielskiego poświęcenia; on, ubrany, uśmiechnięty, rzeźwy jak ptak, wypuszczony z klatki. Chociaż byłem niższy, szczuplejszy, Alfons i tak pokaźnie wyglądał w moich szatach, a na odchodném podskoczył, wyciął hołupca, zanucił: „Bywaj mi zdrowy, kraju kochany!"

Ucieszyła mnie ochoczość przyjaciela i na razie nie zważałem wcale, w jakiém położeniu pozostaję. Był wieczór, resztka świécy rychło zgorzała i tylko kilka zapałek miałem do rozporządzenia. Zacząłem rozmyślać, że podczas nieobecności Alfonsa może mnie nawiedzić służący hotelowy, zauważyć obcego człowieka, podejrzywać coś, a tu mieszkanie od trzech tygodni nieopłacone. „Gotowi mnie wziąć za oszusta... Ah, przez prędkość nie wyjąłem nawet z kieszeni ubrania pieniędzy, papiérosów!" — Zasunąłem drzwi na rygiel z obawy przed służącym i, zatopiony w myślach, usnąłem. Nie wiem, jak długo spałem; ale, kiedym się ocknął, a Alfonsa nie było, ogarnął mnie niepokój. „Taki waryat może zrobić na ulicy burdę, a tu godzina mego odjazdu do Lublina jest już zapewne bliska." Znowu odsunąłem rygiel w oczekiwaniu, że mój przyjaciel niebawem nadejdzie. Gdzie tam! Każdy odgłos kroków na korytarzu rozbudzał moją nadzieję i następnie sprowadzał rozczarowanie. Coraz większa gorycz zaléwała mi serce, czarne myśli snuły się nieustannie, miałem chęć opluć przyjaźń, ludzkość. Samotny, wyczekujący w ciemnościach, w niepewności, dostałem jakby gorączki, majaczyłem.

Nareszcie ucichło wkoło, zaległa noc i teraz już usłyszałem bijące w oddaleniu zégary i turkot powozów. Tak doczekałem dnia białego.

Ktoś tam kiedyś opowiadał mi, jakoby istniało takie prawo, na mocy którego wyrzuca się przemocą z numeru na schody niewypłacalnego lokatora i ta myśl mnie opętała. „O, niedobry Alfons, zapewne sam chciał wstydu uniknąć i mnie podstawił! Jestem głupcem, skończonym osłem: wziąć się dałem na przyjaźń... Boże, jak ja będę wyglądał w bieliźnie tylko wyrzucony z hotelu!" Nikt nie zdoła sobie wyobrazić mojéj nadzwyczajnéj rozpaczy. Siedziałem na łóżku i, tuląc twarz w dłoniach, zawczasu obmyślałem sposoby odebrania sobie życia.

W ostatnim razie postanowiłem wyskoczyć oknem z drugiego piętra, jak tylko będą już chcieli wyrzucać mnie na schody.

Czas bardzo powoli upływał, głód dawał mi się uczuwać, a swoją drogą miałem jeszcze jakąś iskierkę nadziei, że Alfons jednak powróci. Przed wieczorem byłem tak głodny, że rzuciłbym się na kawałek staréj podeszwy, a w rozstroju nerwowym łzy cisnęły się do oczu. Przeklinałem ową chwilę, w któréj postanowiłem odwiedzić przyjaciela. „Co za lekkomyślność, co za lekkomyślność!"—powtarzałem sobie w myśli, a z oczu mi nie schodził szlachcic, od którego wziąłem zadatek, zrobiłem mu zawód. „Wczoraj wysłano po mnie konie do Lublina, a skoro dziś nie przybyłem, zarobiłem sobie słusznie na nazwę oszusta, wydrwigrosza."

Doprawdy, miewałem nieraz przygody w życiu ciężkie przeprawy, nigdy jednak nie uważałem się za tak nieszczęśliwego, jak podówczas. Parę razy ktoś pukał, zaglądał do mnie—zapewne przez pomyłkę. Znowu nastała noc, noc strasznych udręczeń: głodu, niepokoju, gorączkowego oczekiwania i nieustannego zawodu. „Nie, trzeciéj takiéj nocy już przecie nie doczekam!" — pomyślałem. Dostałem przykrego bólu głowy, czułem osłabienie, zmęczenie i zasnąłem wśród snujących się urojeń, dziwnych widziadeł. Miałem sen bardzo lekki, jakieś wyraziste postaci i obrazy rysowały się przedemną — możnaby przysiądz, że to rzeczywistość. Umiérałem śmiercią głodową w marzeniu senném: zapadały mi policzki, oczy, schły ręce, nogi, stawałem się szkieletem i czułem całą trwogę konania. Osłabłem, życie uchodziło z ciała i nareszcie umarłem. Jacyś ludzie porwali mnie z łóżka, włożyli w trumnę, spuścili do dołu i zakopali, a ja myślałem we śnie: „Chwała Bogu, wydostałem się z tego przeklętego hotelu!" Wyobraźnia uświadomiła to w marzeniu senném, że lepiéj było umrzéć, niż żyć w takiém położeniu.

Leżę sobie cicho w grobie, spokojny już o przyszłość, a w tém słyszę, że ktoś gwałtownie dobija się, wali pięściami, burzy moją mogiłę. Zerwałem się na równe nogi, spostrzegłem rzeczywistość: ten sam pokój, to samo łóżko.

Jednakże stuk do grobu mego nie był snem: nagle drzwi się z łoskotem rozwarły i do izby wpadła jakaś niewyraźna masa, któréj kształtów nie mogłem rozróżnić w pierwszym brzasku dnia świtającego.

Ten gość runął najprzód na ścianę, od któréj się odbił jak piłka; potém gruchnął na ziemię i natychmiast zaczął chrapać przeraźliwie. Zbliżyłem się do niego, myśląc: „Alfons, czy nie Alfons?" Nie zdołałem nic rozpoznać, czułem tylko woń alkoholu i tytoniu. Teraz z gorączkowym pośpiechem zacząłem rozbiérać owego człowieka i co tchu nadziewałem na siebie jego ubranie, całkiem zabłocone, mokre. Serce biło mi ze wzruszenia na myśl, że mogę nareszcie uciec z hotelu.

Cicho jak złodziéj przebiegłem schody, następnie dziedziniec i drżącą ręką zadzwoniłem na odzwiernego, który też niebawem otworzył mi bramę.

Dopiéro na ulicy odetchnąłem swobodniéj.

— Czy to tylko nie złudzenie, żem ja już istotnie wydobył się z tego straszliwego piekła?

Wszczynał się był właśnie ów ruch poranny, przejeżdżały wozy z drzewem, z sianem, robotnicy śpieszyli do pracy, a latarnie jeszcze płonęły na ulicach. Stanąłem przy jednéj z latarń i obejrzałem swoje ubranie: wszystko jak gdyby naumyślnie starzane w rynsztoku.

— Komu ja zabrałem te łachmany?

Postawiłem sobie pytanie, na które znalazłem jedną odpowiedź:

— Widocznie jakiś człowiek po całonocnéj pijatyce przypadkiem wpadł da mieszkania Alfonsa i ja go obdarłem.

Nie miałem najmniejszéj wątpliwości, że obdarłem kogoś obcego, ponieważ ubranie w niczém nie przypominało moich szat, w które przybrałem był Alfonsa.

— Cobądź się stało, ja do hotelu nie wrócę!

Powiedziałem sobie stanowczo i pomknąłem w kierunku Krakowskiego-Przedmieścia. Idąc tak, głodny, drżący z zimna, włożyłem ręce w kieszenie surduta i poczułem pod palcami wielką obfitość jakiéjś bibuły pomiętoszonéj, pozwijanéj w kulki, nawpół przemokłéj. Wyjąłem garść tego i przy świetle latarni łatwo się przekonałem, że mam do czynienia z piéniędzmi. Trzymałem w garści banknoty różnéj wartości — nawet sturublówki. Osłupiałem na taki widok, a jednak nie zapomniałem, że jestem głodny w najwyższym stopniu.

Ażeby być uczciwym, trzeba najprzód głód zaspokoić, ponieważ głodnemu stoi chléb tylko na myśli i dopiéro człowiek syty może uczuwać wyrzuty sumienia w całém znaczeniu tego słowa.

— Jeść, jeść, gwałtu jeść!

Podobnie jak pies zgłodniały, upatrywałem chciwemi oczyma kęsa strawy.

Była onego czasu kawiarnia w bliskości dzwonnicy kościoła Bernardynów, a zwykle wcześnie ją otwiérano. Kiedy tam wszedłem, miła woń kawy, świéżego pieczywa, nadzwyczajnie podnieciły moją żarłoczność.

— Proszę kawy, kawy, kawy! — wołałem wchodząc, a jak wiek długa wydawała mi się chwila oczekiwania, zanim ujrzałem przed sobą szklankę kawy z kożuchem.

Tymczasem gmérałem ukradkiem po wszystkich kieszeniach całego ubrania, a odkrycie w każdéj z nich coraz nowych skarbów nie sprawiało mi już najmniejszéj uciechy.

Dziś już nie pamiętam, ile szklanek kawy pochłonąłem, ile bułek pożarłem; to pewna, że dużo, dużo.

W miarę sytości powracała moja świadomość moralna, przejmował mnie zgrozą popełniony występek.

— Obdarłem kogoś z ubrania, okradłem z piéniędzy!

I nie wiem, dlaczego zrodziło się w głowie mojéj przypuszczenie, że okradziony przezemnie człowiek jest to kupiec z Kijowa, albo z Odesy. Może nazwa hotelu Słowiańskiego nastręczyła mi myśl taką.

— Biédaczysko, jak on będzie wyglądał, skoro wytrzeźwieje!

Po skończoném śniadaniu krótko się już namyślałem i powziąłem niezłomne postanowienie iść do hotelu, wyjaśnić sprawę, zwrócić właścicielowi jego ubranie i piéniądze.

— Kto wié, może mnie w téj chwili policya już poszukuje jako złodzieja... Gotowi uwięzić Alfonsa.

Brama hotelu Słowiańskiego była już otwarta, a nikt nie zwrócił uwagi na moje przybycie. Żwawo przebiegłem dziedziniec; po sieniach służący czyścili ubrania, buty, i także nie zważali na mnie wcale.

— Widać, wcale jeszcze nie wiedzą o spełnionéj kradzieży — tém lepiéj.

Śmiało otworzyłem drzwi i z progu już spostrzegłem swą ofiarę, pogrążoną w śnie głębokim. Człowiek obdarty chrapał zawzięcie, skurczył się we dwoje. Obszedłem go naokoło i mimowolnie wydałem okrzyk ździwienia: poznałem Alfonsa. Napełniło mnie to niewy-

słowioną radością i zacząłem gwałtownie dzwonić na służbę, wykrzykując:

— Są i piéniądze i Alfons się znalazł!

Przybyły na wezwanie służący. przyglądał mi się ze zdziwieniem, a ja, upojony szczęściem. biegając około leżącego przyjaciela, wołałem:

— Wody, gąbki — prędko!... Pościel, bielizna, woda kolońska!...

Uważałem za najpierwszy obowiązek obmyć Alfonsa i uwolnić go od przeraźliwego brudu.

Nie jednego, ale dwóch, trzech służących wprawiłem w ruch, wysyłałem ciągle do miasta po różne rzeczy. To też wkrótce miałem pod ręką wszystko, czego potrzeba, aby oczyścić wstrętnie brudnego człowieka i przywrócić do stanu trzeźwości nadzwyczajnie pijanego. Wymyty, uczesany, pachnący, w czystéj bieliźnie, leżał Alfons na świéżo posłaném łóżku, a ciągle jeszcze spał i w żaden sposób nie dawał się obudzić.

Naciérałem go octem aromatycznym, lałem w gardło herbatę z cytryną, dawałem mu wąchać amoniak, nie mówiąc o tém, że klątem jednocześnie, wymyślalem na czém świat stoi. Kilka razy otwarł oczy, spoglądał na mnie bezmyślnie, wymówił nawet moje imię, a potém przewracał się na drugi bok i spał w dalszym ciągu. Moja natarczywość była jednak nadzwyczajna, chciałem przyśpieszyć swój wyjazd do Lublina, odzyskać ubranie, nawymyślać mu za to, co mi zrobił, a on śpi w najlepsze.

Po chwili wytchnienia, przypuszczałem na nowo szturm, aby go wskrzesić: ciągnąłem za nogę, szarpałem za ręce, puszczałem w nos kłęby dymu z papiérosa. Ucieszyłem się, kiedy nareszcie kichnął i zaklął straszliwie.

— Ee, bratku, ja cię wczoraj na tém samém łóżku jeszcze lepiéj przeklinałem!—rzekłem i z temi słowy wylalem pod niego na prześcieradło całą flaszkę kolońskiéj wody.

— Bodajeś pękł! —zawołał, zerwał się i przysiadł na suchéj części pościeli, sapiąc z niechęci. Klął jeszcze potém, ale już z tą dobrodusznością, która oznaczała, że gotów robić mi ustępstwa.

— No, Alfonsie, teraz mi opowiédz wszystko! Jak mogłeś przez tyle czasu pozostawić mnie w takiém położeniu? Psu się nie płata figla w tym rodzaju! Toż ja tu o mało nie zdechłem z głodu, nie oszalałem z niepewności... A co tam o mnie powié szlachcic, od którego wziąłem zadatek i piéniądze na koszta podróży?

— Frachy!—odrzekł, machając ręką na znak, że lekceważy przytoczone przezemnie względy.—Między przyjaciołmi, podobnie jak między członkami rodziny, nie rozumiem stosunków platonicznych. Wyrobiłem sobie w życiu taką filozofię i koniec!

— Osobliwy sposób składania dowodu uczuć rodzinnych i przyjacielskich!

— Losowi podziękuj, żem miał możność wrócić do ciebie. Oo, mój kochany, już tylko na jednym włosku wisiałeś! Ale o czém tu mówić? Dama pikowa ocaliła położenie...

— Nic nie rozumiem!

— Bierze się do lewicy karty, a prawicą kładzie się je na stole: moja-twoja, zwyczajnie, dyabełek... Powiadam ci, dama pikowa — anioł!

— Kiedy się ubrałeś w moje szaty, miałeś zamiar iść do ciotki, tymczasem...

— Poszedłem najprzód na Nowiniarską i u przyjaciela Szmula Płanetnika zamieniłem twoje wspaniałe ubranie na gorsze, przyczém otrzymałem dopłatę—coś około piętnastu rubli. Następnie, pomyślałem sobie: zginę marnie, jeżeli mi się nie uda jaka porządna operacya finansowa!

— I zamiast iść do ciotki, poszedłeś grać w karty — rzekłem z wyrzutem.

— Oh, ta ciotka, waryatka! Napisałem kiedyś do niéj list — mojém zdaniem — bardzo tkliwy, dowcipny i po francusku: „Wyobraź sobie, najdroższa cioteczko, okropne położenie gorliwego chrześcianina, którego nędza zmusiła zostać tureckim świętym! Tylko ty jedna możesz mnie demahometanizować przez stanowcze zdegolizowanie i sprawić mój powrót na łono prawéj wiary.” Z tym listem wysłałem był Wawrzka, zalecając, aby się nie ważył wracać bez odpowiedzi. Łotr przyniósł mi tylko pisaną odpowiedź cioci, która oświadczyła, że zrywa ze mną stosunki, wypiéra się pokrewieństwa, ponieważ jestem marnotrawca i do szpiku kości zepsuty cynik!...

— No, a jakże ci poszło z tą operacyą finansową? Opowiédz szczegółowo!

— Ee, będziemy rozmawiali przy śniadaniu! Co mi za przyjemność rozmowa z przyjacielem na czczo? Zadzwoń, niech nam sprowadzą krawca z ubraniem!

Zapalił papiérosa, nie chciał rozmawiać i na pytania moje odpowiadał niedbale, półgębkiem. Kazał sobie sprowadzić posłańca hotelowego, któremu dał takie zlecenie:

— Pójdziesz na Krakowskie Przedmieście, wiész gdzie jest Karaś?..

— Naprzeciwko Kopernika!..

— Znajdziesz tam w szynku gromadę obdartusów, pijaków i zapytasz, który z nich jest Wawrzek Pluj! Temu łajdakowi powiész, żeby na mnie czekał w hotelu Angielskim, gdzie za godzinę będę na śniadaniu!..

— Dobrze, jaśnie panie!

— Błaźnie, dostaniesz o złotówkę mniéj za tytułowanie mię jasnym panem! Ruszaj!..

W godzinę coś potém, porządnie ubrani szliśmy do hotelu Angielskiego, gdzie w bramie Wawrzek oczekiwał już na nasze przybycie, a wyglądał jak żebrak. Alfons sięgnął do kieszeni i dał służącemu dwanaście rubli z témi słowy:

— Masz się natychmiast wykąpać, ostrzydz, ogolić, ubrać, a nie wolno ci, łajdaku, przepić tych pieniędzy!.. Uszy oberwałbym, gałganie!

Wawrzek z podziwem i ciekawością oglądał ubiór na Alfonsie, a fizyognomia jego zdawała się przemawiać: „Ho, ho, dobrze się dziś mamy! Ale jakim on sposobem bez mojéj pomocy wytrzasnął skądś pieniądze?"

Przy kawie czarnéj, kiedyśmy już spożyli śniadanie i zakropili burgundem, znowu zacząłem nalegać na Alfonsa, aby mi opowiedział szczegółowo całą historyą swojéj operacyi finansowéj. Uległ nareszcie i tak mówił:

— Widzisz, ja wiedziałem, żeś przyszedł do mnie na odjezdném z zamiarem osłodzenia mi niedoli, może nawet zostawienia mi kilku rubli. Ale ja nie jestem tkliwy, nie lubię wzruszeń i tak sobie pomyślałem: Cóż jest warta przyjaźń, okupiona zdawkową monetą drobnostkowéj ofiarności? Jeżeli ktoś ma chęć, odwagę, być moim przyjacielem, niechże się zdobędzie na poświęcenie wyższego rzędu i wystawiłem cię na próbę. Ha, mogło się nie udać, a wtedy, kto wié, czybyś nie był stracił chęci i odwagi pozostania nadal moim przyjacielem! Phi, bo tania przyjaźń smakuje ludziom... Dama pikowa, powtarzam, anioł, wyprowadziła mnie i ciebie z niewoli egipskiéj.

— A gdybyś był przegrał?

— Nie powróciłbym do hotelu i, zapewne napróżno, usiłowałbym przeprowadzić jakąś inną operacyą finasową.

— Jak też mogłeś liczyć na przypadek?

— Przecież nie jestem bankierem, kamienicznikiem, ażebym liczył na coś innego. Zresztą, chociaż liczę na przypadek, rozumuję bar-

dzo ściśle, mając na oku widoki własnego powodzenia. Ty masz jeszcze przyjaciół dobrych, rodzinę, nie zraziłeś ich niczém do siebie. Zostawiając cię w hotelu, byłem pewny, że wybrniesz, a jednocześnie mnie ocalisz. Ja zerwałem wszelkie stosunki i nadziei takiéj znikąd już miéć nie mogłem. Otóż, powierzyłem się tylko przypadkowi—wygram, przegram — co do ciebie nie miałem najmniejszéj wątpliwości. W najgorszym razie ryzykowałem, że się obrazisz, i stracę przyjaciela.

— Ależ moi krewni, przyjaciele, to biédacy!..

— Umieją pracować, zarabiać, a ja, kiedym już wszystko stracił i żadnéj pracy jąć się nie mogę, muszę szukać w heroizmie ocalenia.

— Bodajże cię dyabli wzięli z taką etyką!

— Każdy mi to powtarza, a nikt nie uwzględnia musu, konieczności. Tylko waryat może sobie postawić pytanie: być, czy nie być? Ja noszę w sobie kategoryczny rozkaz całego organizmu—być!

— Gdybyś przynajmniéj za pomocą swojéj operacyi finansowéj wybrnął i już potém...

— Został porządnym człowiekiem! Rzekł z przekąsem. Mój kochany, musiałbym się innym urodzić. Cóż znaczy jakieś dwa tysiące rubli dla człowieka, który tylko wydawać umié? Milion—to rozumiem!..

Nagle spojrzałem na zégar, zakręciłem się i zawołałem:

— Bądź zdrów! Idę na pocztę zamówić miejsce w karetce, ażeby dziś nareszcie wyjechać do Lublina.

— O nie! Byłbym ostatnim ba i bardzo, gdybym cię puścił!

— Chcesz mię powtórnie na kpa wykierować? A moje zobowiązania?

— Głupstwo, uczciwość tuzinkowa! Pchniemy sztafetę do szlachcica.

— Sumienie nie pozwala mi na takie wybryki.

— Ha, ha, ha! Perorujesz jak grzeczna panienka, która za swoją mamą i guwernantką powtarza oklepane morały.

— A ty jak lampart, którego brednie nie zdołają jednak zagłuszyć głosu sumienia.

— Wybornie! Proboszcz na ambonie, aby dodać siły swéj wymowie, wymyśla wiernym w przekonaniu, że tym argumentem czegoś dowiódł. Mój kochany, twoje sumienie wygląda mi coś na nonsens. Bawimy się oto, jest nam dobrze, a ty naraz zrywasz się, chcesz uciekać, powiadasz: „Sumienie wzywa mię, abym mógł jak najprędzéj tar-

gać za uszy młodych szlachciców i ogłupiać ich łaciną!" Człowieku, spiesz się, ale powoli, miéj zastanowienie!.. Ja, widzisz, kiedy jestem goły, mogę być samotny; ale, jeżeli mam w kieszeni trochę pieniędzy, koniecznie potrzebuję przyjaciela, ażeby się z nim upić.

— Każdy ma swoje potrzeby! Odrzekłem, nastrajając się filozoficznie. Zachowaj swoje nałogi, a mnie zostaw moje sumienie!

— Pozostań dziś jeszcze w Warszawie, jutro odwiozę cię do Lublina!

— Co, mam ci pomagać do stracenia pieniędzy? Nigdy, przenigdy!

Z tém wszystkiém, nie mogłem wyjechać, ponieważ wszystkie miejsca na karétkę do Lublina były już tego dnia zajęte. Hulaliśmy do rana i dopiéro nazajutrz Alfons z Wawrzkiem odprowadzili mię na pocztę.

W dwa lata późniéj ja znowu, także z Wawrzkiem, odprowadzaliśmy Alfonsa, ale tym razem na cmentarz.

Powróciłem był z „belferki wiejskiej" w rok niespełna. Zapracowane pieniądze dały mi możność robić w dalszym ciągu to, co chciałem. Było to w czasie świąt wielkanocnych.

Poszedłem na Ujazdów przyglądać się zabawom ludowym i tutaj spotkałem Wawrzka Pluja, króry tego dnia właśnie zbiérał wawrzyny: po gładkim—jak mi mówiono—mydłem i masłem posmarowanym słupie dotarł do szczytu, za co w nagrodę zyskał srebrny zégarek. Otaczał go tłum wielbicieli, wielbicielek, a on uśmiechnięty, rozpromieniony, z góry na wszystkich spoglądał i odbierał z dumą pańską hołdy uznania. Zbliżyłem się do niego poufale, jako stary znajomy i zapytałem:

— Co się dzieje z panem rotmistrzem?

— Aaa, to pan, nasz przyjaciel! Zawołał. Mój Boże, gdzie się też podziały te czasy!.. Rotmistrz leży oto od cztérech miesięcy w szpitalu świętego Ducha i dyabli wiedzą, czy się wyliże, a ja wolno sobie praktykuję. Źle z nami teraz, mój panie!

Poszedłem natychmiast odwiedzić Alfonsa. Z urodziwego młodzieńca został tylko szkielet, ruchami jedynie zdradzający życie. Wyciągnął ku mnie rękę, podobną do suchego patyka, uśmiechnął się i rzekł:

— Psiakrew, na psy zszedłem. Wyobraź sobie cztéry miesiące już tak leżę, jak łazarz i, oprócz tego kondla Wawrzka, nikt mię tu jeszcze nie odwiedził; ty piérwszy...

Usiłowałem rozerwać go, pocieszyć przez wspomnienia dawnych czasów.

— Eh,—rzekł, uśmiechając się szyderczo—dziś już mnie nic nie obchodzi! Jedną nogą jestem w grobie.

Zaczął go dusić kaszel, który trwał chyba ze dwie minuty. Kiedy już odetchnął, poklepał mię ręką po kolanie.

— A co?—powiedział. Teraz trzeba wykrztusić z siebie to wszystko, co człowiek pochłaniał.

I z ironicznym uśmiechem dodał: — Mój kochany, tylko żadnych mówek na pogrzebie!

Potém jeszcze go trzy razy odwiedziłem. Jakoś w piérwszych dniach maja wpadł do mnie przerażony Wawrzek i zaraz z progu zawołał:

— Pan rotmistrz umarł dziś w nocy!

Orszak pogrzebowy, odprowadzający Alfonsa D. na Powązki, składał się tylko z dwóch osób: ze mnie i Wawrzka.

Adolf Dygasiński.



RZYM I GERMANIE.

Cywilizacya średniowieczna i oparta na niéj kultura nowożytna polega przedewszystkiém na jedynéj w swoim rodzaju kombinacyi i wzajemném przenikaniu się pierwiastków rzymskiego, chrześciańskiego i germańskiego. Późniéj dopiéro, ludy słowiańskie wzięły udział w rozwoju cywilizacyjnym, udział, który się nieustannie wzmaga, który jednak jest zgoła różny.

Mówimy zazwyczaj o podboju cesarstwa rzymskiego przez ludy germańskie, o zupełnym upadku Rzymu, o nowéj zupełnie epoce,o rewolucyi, która usunąwszy z pola dziejowego Rzym starożytny, zastąpiła go szeregiem państw germańskich, na wpół barbarzyńskich i nie mających nic wspólnego z tém, co dotychczas istniało, — tak, że dopiéro w epoce humanizmu i odrodzenia przypomniano sobie kulturę starożytną, zwrócono się do niéj z zachwytem, na jaki zasługiwać się zdawała, aby przy jéj pomocy zwyciężyć barbarzyństwo średniowieczne, powtarzając tym sposobem do pewnego stopnia, ale naturalnie w kierunku odwrotnym, ową rewolucyę, która na tyle wieków przedtém usunęła Rzym, aby go zastąpić państwami germańskiemi.

Granicę między starożytnością klasyczną a średniowieczem stanowi niezawodnie upadek państwa zachodnio-rzymskiego; ale granicy téj oznaczyć dokładnie nie podobna, gdyż przemiany we-

wnętrzne państwa rzymskiego, począwszy od reform Dyoklecyana, oraz stopniowe zbliżanie się pierwiastków rzymskiego i germańskiego, wywołały tak znaczne przeobrażenie się jednych i drugich, że w chwili upadku państwa zachodnio-rzymskiego, trudno już nawet powiedziéć, o ile ono było jeszcze rzymskiém, tak jak o ludach germańskich, które na gruzach cesarstwa zakładają swe państwa, nie łatwo powiedziéć, w jakim stopniu pierwiastek czysto germański odgrywa w nich rolę pierwszorzędną.

Zachód i wschód słońca mają wiele pokrewnego, a w pojedyńczych objawach dziejowych trudno stwierdzić, czy to, co widzimy, jest dowodem upadku instytucyi przekwitających, czy téż symptomem niedoskonałości instytucyi, które się dopiéro rozwijają. Rozkładające się społeczeństwo i upadające prawo rzymskie przypominają w wielu względach nie rozwinięte jeszcze stosunki społeczne i prawne świéżo powstających państw średniowiecznych, które czasami robią wrażenie dalszego ciągu, a nawet przebudowy światowładnego imperyum.

Kalejdoskopowo zmieniają się obrazy, tak, iż trudno się wśród nich zoryentować. Cała ta przemiana, o pozorach nieraz gwałtowniejszych, niż w rzeczywistości, niejednokrotnie więcéj zewnętrzna niż istotna, jest tak pouczająca pod względem historycznym, iż zasługuje na omówienie w sposób, zadaniom niniejszego czasopisma odpowiadający.

Chodzi o wyjaśnienie, czy i o ile upadek cesarstwa zachodniego można identyfikować z zupełną zagładą jego istoty pod względem cywilizacyjnym, społecznym i prawnym, oraz czy i o ile nowe państwa germańskie reprezentują pierwiastki zupełnie świéże a z przeszłością niczém nie związane.

I.

Stosunki między Germanami a Rzymianami sięgają zamierzchłych wieków; ustalają się one od czasów Juliusza Cezara, tak, że odtąd już i przerwy nie było. Są one nader ciekawe, boć z jednéj strony mamy do czynienia z potęgą, która jednoczy w sobie całą kulturę starożytną, zarówno wschodnią jak i zachodnią, a pod względem militarnym i państwowym stoi u szczytu swéj sławy, — z drugiéj z plemionami, które pod żadnym względem nie mogą wytrzymać porównania z mieszkańcami jakiejkolwiek prowincyi rzymskiéj.

Zetknięcie się państwa tak potężnego i ludów nawpół koczowniczych, pozbawionych wszelkiéj kultury, musiało być nader niebezpieczném. Skutkiem takiego zetknięcia może i musi być: albo zagłada zupełna plemienia niżéj stojącego, jak to np. dzieje się w Ameryce przy zetknięciu się Europejczyków z Indyanami, albo téż stopniowe postępowanie plemienia niżéj stojącego i to naturalnie z większém lub mniejszém zapożyczaniem pierwiastków cywilizacyjnych u sąsiadów wyżéj stojących. Inne wyjście jest niemożebne, a mianowicie nie można się w takich okolicznościach spodziewać, aby plemię niższe samodzielnie się rozwijało, tak samodzielnie i spokojnie, jak gdyby z wyżéj stojącym sąsiadem nie łączyły go żadne stosunki. Szczęśliwymi mogą się mienić Germanie, iż udało im się przy zetknięciu się z Rzymianami i wśród okoliczności dalszych, uniknąć zupełnéj zagłady fizycznéj, jakiéj ulegają np. Indyanie w Ameryce a co więcéj, uniknąć także zupełnéj romanizacyi, t. j. zagłady duchowéj, jakiéj ulegli w państwie rzymkiém Celtowie w tak znaczniéj części, albo Słowianie zachodni pod naciskiem Niemców.

Wiele się na to składało. Szczególném zrządzeniem losu wkrótce po zbliżeniu się Germanów do Rzymian, rozpoczął się przekwit potęgi rzymskiéj; na zewnątrz nic jeszcze nie znamionowało zbliżającego się rozkładu, ale wyższe warstwy społeczeństwa rzymskiego zaczynały już wówczas wpadać w zastój i oddawać się wyłącznie używaniu plonów dawnéj sławy, tak, że punkt ciężkości państwa rzymskiego coraz się bardziéj oddalał od właściwego centrum i przenosił się do prowincyi, zwłaszcza zachodnich, niezbyt dawno nabytych; prowincye te, powierzchownie zromanizowane, służyły wprawdzie chętnie i gorliwie państwu rzymskiemu, przez kilka wieków jeszcze broniły tego państwa, ale z natury rzeczy nie uosabiały już w całéj pełni mocy zaborczéj ducha rzymskiego, któremu same uległy; nie możemy pominąć milczeniem faktu, iż Hiszpania i północna Afryka, zawojowane wcześniéj niż Galia, były też silniéj zromanizowane, bo podboju dokonano tam jeszcze w czasie, gdy potęga rzymska jaśniała w całym blasku własnéj siły; już romanizacya Galii zwłaszcza środkowéj i północnéj była mniéj gruntowna, a naturalnie romanizacya prowincyi germańskich wśród podbojów późniejszych, w których tak znaczny udział brały siły obce, ba nawet germańskie, musiała być słabsza.

Powolny rozwój polityczny i narodowy Germanów przypada więc na czas, w którym rdzenna siła rzymska słabnie i romanizacya zupełna świéżych ludów staje się niemożebną. Natura ochroniła

Germanów przed zagładą fizyczną, słabnące tętno potęgi rzymskiéj przed zagładą narodową, któréj w innych warunkach byliby niezawodnie ulegli.

Poczucie bowiem spójni narodowéj i wynikająca stąd siła odporna nie są bynajmniéj darem, który ludy w kolebce otrzymują. Co do Germanów łatwo to stwierdzić historycznie.

Odznaczali się oni zawsze indywidualizmem, który dopiéro w ostatnich czasach ustąpił miejsca poczuciu konieczności państwowéj; w tym względzie Germanie mają dość wspólnego z Słowianami, zwłaszcza zachodnimi, a można nawet powiedziéć, iż ich nawet przewyższali. Nic w tém dziwnego. Im daléj wstecz wzrok historyka sięga, tém częściéj spostrzega samotność człowieka jako stan normalny. Wśród bardzo nielicznego wogóle zaludnienia, jednostka zwyczajnie zawdzięcza saméj sobie wszystko. W osamotnieniu czasów pierwotnych rozwija się jedna część ducha ludzkiego, w spójni społecznéj i narodowéj druga. Gdyby człowiek był zawsze i wszędzie stworzeniem tylko społecznem, z pewnością różnorodność usposobienia, charakteru, złych i dobrych stron natury ludzkiéj nie byłaby tak znaczna. Człowiek stał się z biegiem czasu stworzeniem społecznem, ale wniósł w społeczeństwo wszystko, co wytworzył w osamotnieniu.

Zupełne poddanie się państwu i jego zadaniom, które w świecie starożytnym odgrywało tak zasadniczą rolę, było Germanom nieznane; łatwo się przekonać, iż wybujały do najwyższego stopnia indywidualizm germański nie wahał się nigdy, kiedy przychodziło wybierać między sprawą jednostki a sprawą ogółu; upodobanie własne zwyciężało niemal bez wyjątku, a dawne uczucie niezawisłości niczém nie ograniczonéj, można uważać za podstawę społecznego życia Germanów.

Nie potrzeba chyba dodawać, iż tam, gdzie indywiduum nie chce ulegać ogółowi i jakiéjkolwiek władzy, indywiduum to jest także pozbawione siły odpornéj na zewnątrz. Nie podtrzymywana przez ogół, któremu nie przyznaje władzy, jednostka jest narażona na działanie wszelkich sił zewnętrznych; jedynie w własném uczuciu samodzielności, w tém uczuciu, które jéj przeszkadza poddawać się władzy swego ludu, jednostka może do pewnego stopnia znaléść obronę wobec sił cywilizacyjnych obcych; i jeżeli te siły obce nie działają ze zbyt wielkim naciskiem, natenczas obrona jest możebna, tak, iż jednostka ta zachowuje się samodzielnie zarówno wobec własnego ludu, jakotéż wobec działania zewnętrznego sił obcych. Pojęcia jednostki takiéj, nie związanej żadną karnością narodową, jednak

dzięki samodzielności wrodzonéj i dzięki temu, iż siła obca nie działa zbyt nagle, rozwijają się stosunkowo dość spokojnie; daną jest możność zachowania pojęć, wśród których ta jednostka wzrosła, oraz dopełniania ich pojęciami, które się nasuwają przy sposobności zetknięcia się z żywiołem obcym.

Wśród warunków, o których powyżéj była mowa, odbywa się rozwój cywilizacyjny Germanów. Silne uczucie swobody i niechęć do poddawania się jakiéjkolwiek władzy, pozwalają im wychodzić po za ciasny horyzont pojęć własnych, z któremi nie wiąże ich żadne głębsze uczucie narodowe; nie odczuwają patryotycznego przywiązania, mogą zapożyczać bez żalu i trudności pierwiastki cywilizacyi rzymskiéj. Z drugiéj strony ta cywilizacya rzymska nie działa już z takim naciskiem, z jakim dawniéj oddziaływała na mieszkańców Hiszpanii, północnéj Afryki i południowéj Galii, nic więc nie zmuszało Germanów do zupełnego porzucenia swych pojęć i do zupełnego poddania się wpływom obcym. Jednóm słowem, dzięki swemu usposobieniu i dzięki okolicznościom zewnętrznym, które towarzyszą ich rozwojowi, mieli oni możność czerpania w miarę chęci i potrzeby w ł a s n é j cennych zasobów w zbiorniku cywilizacyi starożytnéj, zatrzymując równocześnie, także w miarę chęci i potrzeby własnéj, pierwiastki rodzime.

Ważną w tym względzie rolę odgrywała, naszem zdaniem, organizacya rodowa. Ród cieszył się niezmierną powagą, stanowczo większą niż lud lub wogóle jakakolwiek idea wyższéj organizacyi; jedynie ród mógł ograniczać egoizm jednostki, co prawda tylko na to, aby w równym stopniu egoistycznie występować wobec ludu; można powiedziéć, że tam, gdzie się kończy egoizm jednostki, rozpoczyna się egoizm rodu. Wypada jednak zwrócić uwagę na to, że z natury rzeczy ród stanowił dla jednostki pewnego rodzaju hamulec; indywidualizm germański byłby przybrał jeszcze większe rozmiary, gdyby nie organizacya rodowa, pierwsza forma spójni społecznéj, zastępująca w tym względzie organizacyę państwową. Ród łączył w sobie przeszłość i przyszłość, żywioły konserwatywne i postępowe. Organizacyi rodowéj po części zawdzięczają Germanie, iż proces łączenia się pierwiastków własnych z rzymskiemi odbywał się spokojnie, bez widocznych wstrząśnień, z prawdziwą korzyścią dla rozwoju, a jednak z należytém zachowaniem odrębności narodowych; ród stanowił podstawę rozwoju na tle narodowém, zastępował do pewnego stopnia nieistniejącą jeszcze ideę narodową.

O istnieniu takiéj idei trudno nawet w tym czasie pomyśléć. Organizacyi państwowéj, jak wiemy, niedostawało; tego braku u lu-

du nierozwiniętego nic zastąpić nie zdołą; zastępowanie państwa przez ród było bezwiednem i bardzo niedostatecznem. Brakowało téż Germanom takich punktów oparcia, jakie już np. Celtowie mieli w swych miastach. Związki sakralne były jedynemi w swoim rodzaju, ale i o ich sile nie można mieć wielkiego wyobrażenia, widząc, jak prędko i bez walki znikały one przy zbliżaniu się chrześciaństwa. Samo zaś chrześciaństwo, które w pierwszych kilku wiekach stacza tyle wewnętrznych walk dogmatycznych, musiało utrudnić rozwój uczucia narodowego u Germanów, rzucając ich również w wir walki dogmatycznéj, zwłaszcza aryańskiéj.

Po za związkami sakralnemi wszelkich innych brak; wyjątkowo tylko kilka ludów podejmowało wspólnie wyprawę wojenną, lub wspólną obronę. Przeciwnie, poszczególne ludy oddzielały się od siebie szerokim pasem niezamieszkałéj ziemi i unikały stosunków z sąsiadami, nie bacząc na bliskie powinowactwo rasy i kultury.

Ludy germańskie nieustannie, w miarę potrzeby lub wygody, z błahych powodów rozpadają się na kilka części, z których jedna lub druga łączy się nieraz z ludem zupełnie obcym i zapomina o swojéj dotychczasowéj przynależności; widocznie nie było uczucia silnego, któreby jakiekolwiek w tym względzie stawiało przeszkody. Tém mniéj téż podczas wędrówek ludów strona patryotyczna mogła się odezwać; trudności natury materyalnéj, losy bitew i t. d. stanowiły o składzie watahy, która wspólnie odbywała wędrówkę.

Każda zmiana warunków zewnętrznych politycznych, a cóż dopiéro zmiana siedziby — wywołuje w organizmie narodowym wstrząśnienie, którego skutki widoczne są przez czas długi. Cóż dopiéro powiedziéć o skutkach wstrząśnień, którym ulega organizm jeszcze nie zupełnie sformowany; to co się w takim organizmie dopiéro tworzyć zaczęło, rozsypuje się w niwecz pod wpływem nagłego wstrząśnienia i wogóle rzec można, iż wędrówki rozwojowi dodatniemu nie sprzyjają. Stosunki, które się wyrobiły u ludów germańskich pod wpływem wędrówek, były w wielu względach gorsze i cywilizacyjnie niższe, niż te, które opisuje Tacyt. Były one przedewszystkiém mniéj jasne; pojęcia musiały się mieszać i zacierać; znikały pojęcia dawne, naturalnie niezupełnie i przychodziły nowe, których również nie zdołano sobie w zupełności przyswoić. W szczególności zaś uczucie narodowe musiało w zawiązku swym bardzo ucierpiéć. Embryonalne związki polityczne i religijne zostały naruszone; okoliczności zmuszały nieraz najbliżéj spokrewnione ludy do rozłączenia się, a przeciwnie ludy zupełnie sobie obce do

wspólnéj akcyi. Ileż to cech charakterystycznych, wytworzonych przez wiekowe życie pewnego ludu ginęło, gdy odłamy tego ludu, rozrzucone na wielkich przestrzeniach, wśród obcych ludów i obcych warunków, rozpoczynać musiały niemal nowe życie i nową organizacyę. Obok zatraty dawnych cech charakterystycznych, pojawiają się nowe cechy i nowe idee właśnie jako skutek nowych warunków i zetknięcia się z innemi ludami; ludy giną w tych wędrówkach, albo téż przeciwnie nabierają więcéj siły i energii. Ale uczucie narodowe, a więc to, o co nam w tym wypadku najwięcéj chodzi, spójnia wewnętrzna i odporność na zewnątrz, pielęgnowanie pierwiastku rodzimego i zwalczanie wpływów obcych, — to uczucie naturalnie w tych warunkach spotęgować się nie może. Ludy zapominają o swéj przeszłości i o wszystkiém, co je z przeszłością łączyło. Nie mają one jeszcze historyografii, bo nie mają i historyi, która rozwija się zawsze dopiéro na podstawie państwowéj; w podaniach germańskich nie ma ani śladu czegokolwiek, co się stało przed wędrówkami; nie przechowała się nawet pamięć wielkich zwycięstw wodza Cherusków, Hermanna, którego czyny wdzięcznie wspominają późniejsi Germanie na podstawie informacyi... rzymskich.

Wędrówki stanowiły przedział w historyi i samowiedzy ludów germańskich. Niemal wszystko, co się przedtém działo i co się przedtém zaczęło rozwijać, znika z widnokręgu; dla nas ważnym jest fakt, iż ani przed wędrówkami, ani wśród nich, idea narodowa nie kierowała myślami i działaniami ludów germańskich i że idea ta wśród tych warunków nawet rozwijać się nie mogła.

Przeciwnie, wędrówki musiały przyzwyczaić Germanów do zmian, a więc ułatwić szybkie naginanie się do nowych i obcych warunków bytu, ułatwić uczenie się u obcych tego, co się przydać mogło i uzdolnić ich do działania, w którém tradycye narodowe bardzo małą odgrywały rolę. Wcześnie téż zjawiają się luźne zrazu związki, obejmujące po kilka ludów nieraz różnego szczepu, przyczém przewaga ludów jednego szczepu decyduje o charakterze całego związku, który coraz bardziéj nabiéra cechę szczepową. Wiadomo, że w czasie od III — VI w. wszystkie ludy germańskie weszły w skład takich organizacyi szczepowych i że na téj podstawie powstały najważniejsze państwa germańskie w granicach dawnego cesarstwa zachodnio-rzymskiego. Państwa te zwykle nazywamy szczepowemi, co jednak nie odpowiada rzeczywistości, bo prawie nigdy państwa germańskie, przynajmniéj na początku, nie obejmowały wszystkich ludów całego szczepu w znaczeniu etnograficzném, a zamiast tego często kilka ludów innego szczepu.

Ludy germańskie nie tylko, że nie łączą się z sobą bez ostatecznéj konieczności, ale jak wiadomo, walczą nawet z sobą nieustannie. Dzięki tym waśniom, które dowodzą w każdym razie braku uczuć narodowych, Rzymianie zdołali wpływ swój w Germanii utrwalić nawet wśród ludów, którym oręż rzymski nie dał się bezpośrednio we znaki (np. u Fryzów). U wszystkich niemal ludów znajdujemy partyę rzymską, która przeszkadza naturalnie tworzeniu się uczuć narodowych i utrudnia organizacyę państwową. Pod wpływem takiéj partyi powołują np. Cheruskowie w połowie I-go w. na tron Italicus'a, jakkolwiek tenże był najzupełniéj zromanizowanym; co prawda nie brakło i opozycyi.

Wojny między ludami germańskiemi nie ustają nawet w granicach państwa rzymskiego; nawet na obcéj ziemi, wśród warunków nowych i trudnych, gdzie należałoby spodziewać się skupienia sił germańskich przeciw Rzymianom, nie napotykamy nic podobnego; i tak Goci napadają na Rugiów, ci ostatni znów niechętnie patrzą na zwycięstwa Alamanów i Turyngów. W Hiszpanii ludy germańskie, którym się udało zająć tę prowincyę, osłabiają się wzajemną walką, w któréj zwycięstwo zależy najczęściéj od tego, po czyjéj stronie stoją Romanie. Frankowie obawiają się sąsiadujących z nimi Sasów, Burgundowie znów Alamanów i jedni i drudzy szukają poparcia u Rzymian; Wandalowie, Alanie i Swewowie, którzy w r. 406 przekraczają Ren, napotykają na opór Franków, broniących państwa rzymskiego. Na każdym kroku dowody, iż uczucie narodowéj czy plemiennéj wspólności było tym ludom obce, oraz iż nie odczuwały one żadnéj nienawiści ku Rzymianom. Prowadzili Germanie liczne wojny z Rzymianami, były to jednak po części wyprawy łupieskie, po części zaś konieczne dla uzyskania środków do życia, zwłaszcza zaś ziemi; mylném byłoby upatrywać w tych wojnach dowody rasowéj lub narodowéj nienawiści; wystarcza wskazać na fakt, iż Germanie pojedyńczo i licznemi oddziałami służyli chętnie w armii rzymskiéj, że z pola walki nawet często przechodzili w szeregi rzymskie.

Pojęcie niezawisłości państwowéj rozwija się równie trudno i długo bardzo. Germanie nie mogą się obronić wrażeniu, iż państwem w pełném znaczeniu słowa jest tylko państwo rzymskie. Już po upadku cesarstwa zachodnio-rzymskiego Germanie szukają cienia legalności tam, gdzie się schroniły resztki tradycyi państwowych, mianowicie w Bizancyum. Pojęcie państwa zwłaszcza narodowego na długie wieki jeszcze pozostaje Germanom obce. Wiadomo, iż nie można utożsamiać poczucia narodowego z poczu-

ciem państwowém. W danym wypadku może istniéć przekonanie o konieczności silnego ustroju państwowego bez poczucia narodowego; i na odwrót można sobie zdawać sprawę ze spójni plemiennéj, a mimo to nie dążyć do wspólności państwowéj. Dowodem tego charakter monarchii Karola Wielkiego. W państwie tém łączą się wszystkie ludy germańskie kontynentu europejskiego, a jednak połączenie to nie ma wcale cechy narodowéj; przeciwnie rzec można, iż poprzednio państwo frankońskie było bardziéj germańskie i że zjednoczenie ludów germańskich wydało inne owoce, niżby się spodziewać można było, mianowicie nadało monarchii frankońskiéj cechę kosmopolityczną,

Przeczyć naturalnie nie można, iż pewne początki uczucia narodowego pojawiają się już bardzo dawno; tak np. głowę Varusa posyłają Sasi królowi markomańskiemu Marbodowi; kilka ludów podległych temuż Marbodowi odpada od jego państwa, aby wspólnie z Cheruskami walczyć przeciwko Rzymianom. W czasach późniejszych np. wiec burgundzki w Ambèrieux daje dowody uczuć narodowych. Najbardziéj charakterystycznem jest, iż Goci w r. 552 po bitwie pod Wezuwiuszem proszą Narsesa, aby im pozwolił odejść i połączyć się z innym ludem germańskim.

Są to jednak wyjątki, które nie zmieniają wrażenia, jakie wywołują fakty powyżéj omówione.

II.

Trudno o usposobienie korzystniejsze dla spełnienia zadania, które los naznaczył ludom germańskim, mianowicie odpowiedniego połączenia pierwiastków rzymskich i germańskich. Nie związani zbyt silną tradycyą narodową, mogli Germanie ulegać wpływom rzymskim,—Rzymianie zaś nie mieli już dość sił, aby ich zromanizować zupełnie, mogli co najwyżéj dać im w spadku niektóre czynniki cywilizacyjne.

I warunki zewnętrzne na to się składają.

Wystarczy spojrzéć na mapę, aby się przekonać, do jakiego stopnia Germanie byli otoczeni wpływem rzymskim bezpośrednim lub pośrednim.

Ważne znaczenie przypada w tym względzie C e l t o m. Germanie oddawna posuwali się ku zachodowi i południowemu zachodowi: z wyjątkiem nieudanéj i nigdy już nie powtórzonéj próby Cymbrów i Teutonów, ludy germańskie nie zdążały nigdy wprost

na południe, lecz zawsze raczéj w kierunku zachodnim. Przedmurze Rzymu stanowili tu Celtowie.

Stosunki między Germanami a Celtami sięgają dawnych czasów. Przypomnijmy sobie, że wyprawa Cezara do Galii, a potém i za Ren miała na celu obronę Gallów przeciw Germanom, w chwili, w któréj żądania napływających z za Renu Germanów były już tak znaczne, iż polityka rzymska czuła się zaniepokojoną. Aż do czasów Cezara jednak stosunki między Germanami a Celtami bywały często jaknajlepsze; Galia mogła wówczas widocznie bez uszczerbku dla własnych mieszkańców, pomieścić jeszcze pewną liczbę Germanów, którym zaczynało być ciasno w ojczyźnie; w sposób zupełnie pokojowy mieszały się oddawna odłamy ludów germańskich z Celtami w Galii, a podobieństwo i zgoda musiały być bardzo znaczne, skoro np. Rzymianie aż do czasów Cezara bardzo niedokładnie rozróżniali Celtów od Germanów. Liczba Germanów w północnéj Galii, zwłaszcza w Belgii, była znacznie większa, niż się ogólnie przypuszcza. Niewątpliwie już przed Ariovistem, a więc przed wojnami Juliusza Cezara, plemiona germańskie Triboków i Nemetów osiadły w Galii; obok nich Vangionowie, a równocześnie Batawowie nad ujściem Renu. Dużo słów celtyckich przeszło do języka staro-niemieckiego i odgrywało w nim późniéj znaczną rolę, a co ważniejsza, to, iż dzięki dawnym i ciągłym stosunkom między Germanami a Celtami, ludy te zachowały pewien zasób wspólnych słów, jako dowód wspólnego pochodzenia i wspólnych przez pewien czas losów [1]).

Stosunki te jednak byłyby dla nas dość obojętne, gdyby nie okoliczność, iż Celtowie ze swéj strony ulegali romanizacyi, i że tym sposobem wpływ romanizacyjny pośrednio udzielał się i tym Germanom, którzy z Celtami sąsiadowali. Jestto niesłychanie ważne. Zbliżenie się bezpośrednie Germanów i Rzymian byłoby natrafiało na pewne trudności; różnica była zanadto wielka, brak punktów styczności niemal zupełny. Celtowie stanowią w tym względzie pomost nieocenionéj wartości; byli oni bowiem lepiéj niż Germanie przygotowani do przyjęcia kultury rzymskiéj choćby w pewnym stopniu, a sąsiadując z Germanami i zbliżeni do nich obyczajem, mogli łatwiéj na nich oddziaływać, niżby to sami Rzymianie byli zdołali. Celtowie pośredniczą między Rzymem a Germanami. Zwłaszcza w Galii północnéj, w któréj się już odłamy ludów germańskich osiedlały, pośrednictwo to było bardzo znaczne i skuteczne. Galia północna romanizowała się powoli, doza romanizmu nie była tu

1) ob. Paul: Grundriss d. germ. Philologie I, 303.

więc zbyt silna i mogła być z łatwością przyjęta przez Germanów. Zwyczaje celtyckie do pewnego stopnia pozostały tu nietknięte, a wiadomo, że w zachodniéj Belgii żywioł celtycki aż do najnowszych czasów dawał znaki życia. Po części odnosi się to samo i do innych prowincyi, z któremi Germanie sąsiadowali i w których napotykali kulturę rzymską obniżoną, rozcieńczoną, a więc przystępniejszą, niż kultura rzymska czysta.

Germanie z kilku stron byli otoczeni potęgą rzymską; nietylko z zachodu i południa, ale nawet z północo-zachodu. Ludy Batawów i Kannenefatów u ujścia Renu, wcześnie popadają w zawisłość rzymską i służą wiernie Rzymowi. Fryzowie aż do dolnego biegu rzeki Ems znajdują się w tém samém położeniu, tak samo jak i najbliżsi sąsiedzi Fryzów, Chaukowie—przynajmniéj przez pewien czas. Na wschodzie znów działały na Germanów do pewnego stopnia wpływy greckie, które naturalnie w doniosły sposób ułatwiały przejęcie się kulturą rzymską, polegającą w znacznym stopniu na greckiéj.

Na tém tle odbywa się oddziaływanie wzajemne Germanów i Rzymian, naturalnie z przewagą żywiołu rzymskiego, który w sposób jaknajbardziéj różnolity wywiera swój wpływ.

I tak przedewszystkiém ważną rolę odgrywają stosunki handlowe. Już Cezar wspomina o kupcach rzymskich w Germanii. Rzymianie rychło zwrócili uwagę na liczne produkta, których im brakowało, a których Germania dostarczyć mogła (Plinius: H. Nat. VIII, 56); zczasem zakładają w Germanii warsztaty fabryczne i kopalnie i eksploatują na miejscu bogactwa krajowe, co naturalnie nie mogło pozostać bez wpływu na krajowców. Niektóre rodzaje handlu i przemysłu przejęli Germanie żywcem od Rzymian, np. handel winny [1]), inne trudniejsze, np. górnictwo wykonywali wyłącznie Rzymianie, którzy w tym celu osiedlali się wśród zupełnie germańskiego otoczenia. Handel prowadzono zrazu na zamianę, późniéj, zwłaszcza w pobliżu granic rzymskich także za pieniądze. Ludy germańskie brały w tym handlu żywy udział i chętnie odwiedzały targi rzymskie w miejscowościach pogranicznych.

Dla ułatwienia handlu, zakładali Rzymianie drogi. Sieć dróg rzymskich w Germanii była nadspodziewanie bogata; zwłaszcza nad Renem i nad Dunajem starano się o ułatwienie komunikacyi. Kolonia, Cannstadt, Koblencya, Trydent, Augsburg, Ratysbona, Wiedeń, Buda i t. d. były punktami środkowemi, z których liczne drogi rozchodziły się na wszystkie strony. Z Kolonii do Leydy podróż

---

[1]) gockie „kaupon" (kupować) pochodzi z łacińskiego „caupo" (szynkarz).

trwała $4^1/_2$ dnia, tak, że z Leydy do Rzymu trzeba było 34 dni. Z Koblencyi i w ogóle z nad Renu szły drogi aż nad Wezerę i nad Ems. Po bursztyn jeżdżono przez dzisiejszy Raciborz, Brzeg, Ostrowo, Gniezno na Gdańsk. Niemal wszystkie ludy germańskie spotykały na swych terytoryach kupców rzymskich i stosunki między poszczególnemi ludami germańskiemi a kupcami rzymskimi bywały nieraz częstsze i trwalsze, niż między jednym ludem germańskim a drugim.

Oprócz kupców rzymskich przybywali wgłąb Germanii niewolnicy rzymscy, którzy z natury rzeczy wnosili także pewne pojęcia i zwyczaje rzymskie z sobą i przyczyniali się do romanizacyi swych nowych panów. I tak, już klęska Varusa dała Germanom pewną liczbę jeńców rzymskich; t. zw. wojna markomańska uczyniła to na większą jeszcze skalę, a nieprzeliczoną musiała być rzesza niewolników rzymskich, którzy uciekali i chronili się u najbliższych ludów germańskich, pewni lepszego losu. Z dawnych czasów nie mamy w tym względzie dokładnych wiadomości, ale w r. 409 aż do 40,000 niewolników rzymskich uciekło do obozu Alaryka, a wypadki podobne niezawodnie powtarzały się często.

Lecz nietylko za pośrednictwem Celtów, oraz kupców i niewolników rzymskich mieli Germanie sposobność zaznajamiać się z kulturą rzymską. Nie brakło i sposobności bezpośrednich. Niezupełnie obojętnym w tym względzie czynnikiem były np. wyprawy germańskie wgłąb terytoryum rzymskiego. Jeszcze zanim przyszło do osiedlenia się Germanów w granicach imperyum rzymskiego, nieraz śmiała wataha germańska zapuszczała swe zagony w kraje rzymskie, rabując i niszcząc, unosząc z sobą przedmioty przemysłu rzymskiego, widząc przy tém rzeczy i stosunki zupełnie dotychczas nieznane. Prócz tego zaznaczyć wypada, iż wszystkie niemal wybitniejsze osobistości germańskie przechodziły szkołę rzymską. Hermann (Arminius), wódz Cherusków, który na czele kilku sprzymierzonych ludów zadał jedną z najdotkliwszych klęsk Rzymianom, był pod względem cywilizacyjnym raczéj Rzymianinem. On i brat jego, Flavus, noszą imiona rzymskie; obaj służyli w armii rzymskiéj i otrzymali od cesarza Augusta obywatelstwo rzymskie, oraz stopień rycerski; Varus, jak wiadomo, ufał im ślepo i tylko dzięki temu zaufaniu poniósł klęskę, która może z powodu okoliczności jéj towarzyszących, nadałaby się též do traktowania przez autora znanego artykulu p. t. „*Ein Dichter des Verrathes*“. Marbod, król Markomannów, wiele zawdzięczał wpływowi rzymskiemu, któremu się poddawał w młodości. Z późniejszych

ważniejszych osobistości wypada wymienić sławnego Ulfilasa, który przeszedł wychowanie rzymskie, tak samo jak i najsympatyczniejszy z władców germańskich, Teodoryk.

Nie brak jednak ważniejszych sposobności, z których korzystały liczniejsze grupy.

Jeńców germańskich przesiedlano bardzo często na terytoryum rzymskie. Działo się to ze względów politycznych, albo też po prostu dla zyskania nowych sił roboczych. Prócz tego, Germanie służyli w wojsku rzymskiém, a wreszcie pojawiają się nawet i na urzędach rzymskich. Równolegle z tą różnorodną immigracyą germańską, odbywa się także łączenie się całych ludów germańskich z Rzymem bądź to na drodze podboju, bądź też skutkiem najrozmaitszych układów.

Ważnym środkiem romanizacyi była służba w wojsku rzymskiém. Cezar zaczął używać wojowników germańskich, a Klaudyusz wcielił ich nawet do legionów. Nie potrzeba dodawać, iż żołnierze ci romanizowali się zupełnie i dla sprawy zbliżenia się obu światów ginęli bezpowrotnie. Jeszcze cesarz Probus rozdzielał oddziały germańskie między korpusy rzymskie, aby im nie pozostawiać samodzielności; późniéj jednak liczba tych oddziałów germańskich zwiększa się tak dalece, że zyskują one na znaczeniu. Całe armie rzymskie składają się nieraz wyłącznie z Germanów i tu już o romanizacyi zupełnéj tych żołnierzy mowy być nie może; uczą się oni wielu rzeczy od Rzymian, zachowują jednak pod wielu względami charakter narodowy i za straconych dla sprawy germańskiéj uważać ich nie można.

Obok żołnierzy germańskich, spotykamy kolonistów tego samego pochodzenia. Cesarz Tyberyusz przesiedlił skutkiem swych zwycięstw 40,000 Sagambrów na lewy brzeg Renu, tak, iż tylko niedobitki pozostały w dawnéj ojczyźnie; także i niektóre ludy z grupy Swewów zostały przesiedlone. Wypadki takie na większą lub mniejszą skalę powtarzały się od czasu do czasu, po t. zw. wojnie markomańskiéj zaś rozpoczyna się immigracya germańska w wielkich rozmiarach i zwartą masą. Kolonistów tych rozrzucano zrazu po wszystkich prowincyach i wielokrotnie ginęli oni, tak jak i żołnierze germańscy, wcieleni do większych oddziałów rzymskich. Gdzie jednak znaczniejsza liczba kolonistów germańskich pozostawała razem, tam zazwyczaj romanizacya zupełna i zagłada narodowa bywała niemożebna, zwłaszcza, iż znaczna płodność Germanów dawała im szybko przewagę nad Rzymianami. W domenach cesarskich, albo i na nowych gruntach, pustkowiach i t. d , które tym

kolonistom oddawano, stanowili oni nieraz silnie zorganizowane grupy, silniéj może zwarte, niż niegdyś w ojczyźnie. To dawało im sposobność zachowywania swych cech charakterystycznych, tak, że ucząc się od Rzymian i poddając się ich wpływowi o ile to było konieczne, lub pożyteczne, nie byli jednak skazani na wynarodowienie zupełne. Działo się to tém bardziéj w tych wypadkach, w których osiedlenie się Germanów następowało na podstawie umowy, a więc z charakterem swobodnym.

Kombinacyę służby wojskowéj i osiedlenia rolniczego stanowią t. zw. „*laeti*“, którzy otrzymywali grunta w prowincyach pogranicznych z obowiązkiem dziedzicznéj służby wojskowéj dla obrony granic. Osiadali oni zwłaszcza w Galii zwartą masą, mieli pewną autonomię i stanowili ważny rozsadnik kultury rzymsko-germańskiéj.

Ogółem rzec można, iż zarówno żołnierze, jak i koloniści germańscy, w I, II, a nawet po troszę i w III wieku romanizowali się zupełnie, tracili do szczętu to słabe uczucie narodowe, które u nich istniało i zasilali szeregi ludności rzymskiéj bez jakiéjkolwiek korzyści dla swéj własnéj narodowości i bez korzyści dla wzajemnego zbliżenia się; nie wracają oni już do ojczyzny, nie mają więc sposobności oddziaływania na swych pobratymców.

Im późniéj jednak, tém słuszniéj można powiedziéć, iż Germanie, poddając się wpływowi rzymskiemu, rozwijając się wśród nowych warunków, wnoszą jednak równocześnie szereg własnych pierwiastków; rosnąc liczebnie, zapewniali sobie w niektórych okolicach trwałą podstawę i zyskiwali nawet przewagę, która zapewniała wniesionym przez nich pierwiastkom byt i rozwój. Rezultatem liczebnej siły żywiolu germańskiego w armii i po za armią w osadnictwie, musiało być pewne obniżenie kultury rzymskiéj. O germanizacyi ludności romańskiéj nawet tam, gdzie Germanie najsilniéj byli reprezentowani, mówić nie można z téj prostéj przyczyny, iż ci Germanie już skutkiem samego przesiedlenia się, znaleźli się w tak dalece nowych warunkach, iż nie mogli chyba myśléć o przekształceniu stosunków, zwłaszcza gdy chodziło o rzeczy zupełnie nowe, widnokręgiem dotychczasowych ich pojęć nie objęte. Przeciwnie, musieli się oni do tych nowych warunków bytu zastosować, ale niemniéj fakty, iż w stosunki dotychczas czysto-rzymskie wchodzą Germanie, wyciska niewątpliwie pewne piętno; zwłaszcza stosunki prawne i społeczne, które odpowiednio do ogólnego rozwoju cywilizacyi rzymskiéj były już nader skomplikowane, tak, że ludom pier-

wotnym nie łatwo było w nich się zoryentować, doznać musiały pewnego cofnięcia i uproszczenia.

Germanie w armii i osadnictwie rzymskiém spełniali więc mniéj więcéj tę samą funkcyę, co Celtowie w północnéj Galii; w obu wypadkach cywilizacya rzymska została rozcieńczoną, powstawało coś pośredniego, co mogło bardzo dobrze posłużyć jako podstawa przyszłych t. zw. szczepowych państw germańskich. Państwa te mogły się oprzéć na podkładzie rzymskim, odpowiednio do potrzeb germańskich zastosowanym, na kulturze, która zachowała jeszcze to, co powstającym tu państwom germańskim było konieczne, a pozbyła się niemal wszystkiego, co było właściwością czysto rzymską i czegoby ludy mniéj rozwinięte pojąć i przetrawić żadną miarą nie zdołały.

Proces ten był tém łatwiejszy, iż i w społeczeństwie rzymskiém w IV, a zwłaszcza w V wieku, nastąpiła stagnacya cywilizacyjna, która w skutkach swych równała się cofnięciu wstecz. Kultura rzymska stała się tym sposobem przystępniejszą dla ludów pierwotnych. Odnosi się to przedewszystkiém do stosunków społecznych, gospodarczych i prawnych.

Pod względem społecznym, już z końcem III-go wieku stosunki komplikują się w sposób nader dziwny; ustrój municypalny psuje się, a natomiast klasy niższe w mieście i po za miastem nabywają coraz większego znaczenia. Równocześnie stosunki rolnicze przeobrażają się o tyle niekorzystnie, iż mniejsi właściciele wpadają w zawisłość od większych, którzy jednak ze swéj strony nie mogą téj przewagi wyzyskać korzystnie; ciężary podatkowe i inne rosną nieustannie, słowem—rozstrój zupełny, któremu prawo rzymskie i organizacya państwa rzymskiego zapobiedz nie mogą.

Pod wpływem wadliwych stosunków społecznych i prawnych, zmieniają się także stosunki gospodarcze. Stan rolnictwa upada; gospodarstwo leśne przybiéra coraz większe rozmiary [1]), podobnie i gospodarstwo pastewne. Wiadomości naturalnie w tym względzie są niedokładne; wiemy jednak, że w dwóch prowincyach dla Germanów właśnie bardzo ważnych, mianowicie w Galii północnéj i w Recyi, rozwój gospodarstwa był istotnie wstecznym; w Galii lasy, a w Recyi pastwiska odgrywają znaczną rolę. W Recyi zwłaszcza prowadzono gospodarstwo pastewne za czasów rzymskich w sposób, który odpowiada najzupełniéj pojęciom i potrzebom ger-

---

[1]) Jung. „Die romanischen Landschafteu“, 262.

mańskim [1]), tak, że wiele osad germańskich w Recyi oparło się wprost na podstawach z czasów rzymskich.

Rzecz prosta, że gdy jedna strona podupada, a druga się rozwija, porozumienie i zbliżenie się jest niemożliwe, zwłaszcza gdy, jak w tym wypadku, ludność romańska nie miała wcale powodu bronić swéj przeszłości, która sama przez się ulegała rozkładowi, — a przybysze germańscy dostatecznie znużeni wędrówkami i żądni spokojnych siedzib, powodowali się przedewszystkiém potrzebą rzeczywistą; w takiém usposobieniu łatwo o znaczną dozę tolerancyi z obu stron.

Te stosunki gospodarcze niezawodnie przyczyniły się do zbliżenia się Rzymian i Germanów, a mianowicie niższych klas ludności, które skądinąd może najtrudniéj byłyby się mogły zrozumiéć.

Wobec znaczenia, jakie przypisujemy żywiołowi germańskiemu w armii i osadnictwie, niknie prawie zupełnie fakt pojawiania się Germanów na urzędach rzymskich. Już w III-im wieku napotykamy ten objaw, a po upadku dynastyi Konstantyna Wielkiego, wpływ Germanów na dworze ciągle się wzmaga. Dowodzi to przedewszystkiém, iż Germanom nie brakło zdolności do spełnienia ważnych nieraz funkcyi, jakie im powierzał rząd rzymski; były to jednak naturalnie tylko jednostki, które po największéj części nie wracały już do ojczyzny i romanizowały się zupełnie. Na większą uwagę zasługuje łączenie się urzędów rzymskich z germańskiemi. I tak, już za cesarza Gracyana król frankoński Mellobandes występuje jako „*comes domesticorum*“, zachowując jednak władzę królewską nad swym ludem; Gundobad, król burgundzki był patrycyuszem rzymskim i jako taki wyniósł w r. 473 na tron rzymski cesarza Glyceriusa; Teodoryk ostrogocki był w r. 473 „*magister utriusque militiae*“, a w r. 484 nawet konsulem, pomimo iż żył ciągle wśród swego ludu; tak samo i Odoaker. Kombinacya urzędów rzymskich z germańskiemi dowodzi, bądź co bądź, pewnéj zgodności interesów rzymskich i germańskich, a więc i pewnego zbliżenia. Naturalnie, iż urząd germański coraz więcéj przeważa; Stilicho i Aëtius byli jeszcze urzędnikami rzymskimi w całéj pełni, Ricimer był w równym stopniu urzędnikiem rzymskim i Germaninem, ale Odoaker i Teodoryk byli przedewszystkiém wodzami germańskimi, a dopiéro w drugiéj linii urzędnikami rzymskimi.

---

[1]) Jung: „Römer und Romanen“, 172.

Wzajemnie i Rzymianie znajdowali się w służbie germańskiéj; i tak np. na dworze Odoakra przeważali Rzymianie i na dworze wizygockiego Euryka i ostrogockiego Teodoryka odgrywali oni bardzo ważną rolę.

III.

To wszystko, o czém dotychczas była mowa, stosowało się do jednostek lub téż pewnych grup, które niejako przypadkowo ulegały wpływowi rzymskiemu. Zupełnie inne znaczenie przypisać należy okolicznościom, któremi obecnie zamierzamy się zająć, mianowicie podbojom rzymskim w Germanii i germańskim w granicach imperyum rzymskiego.

Za czasów Cezara rozpoczął się podbój całych ludów i obszerne terytorya przeszły pod bezpośredni wpływ Rzymu. Na terytoryach tych w mniejszym lub większym stopniu odbywał się proces podobny temu, o którym mówiliśmy powyżéj. Proces ten obejmuje jednak w tym wypadku całe ludy i kraje.

Nie chcemy tu zajmować się historyą walk między Rzymem a Germanami; ogółem biorąc, Rzymianie nie osiągnęli w Germanii takich rezultatów, do jakich w ciągu wieków przywykł był oręż rzymski. Po różnych staraniach, udało się stworzyć, zrazu w połączeniu z prowincyą belgijską, późniéj jako samodzielną całość, prowincyą germańską, która się rozpadała na wyższą i niższą. Związek téj prowincyi z Belgią był zrazu tak ścisły, iż, zdaniem Mommsena, Germania była tylko częścią Belgii, późniéj legaci namiestnika Belgii wykonywali w Germanii funkcye namiestnicze, a wreszcie, zdaje się za czasów cesarza Hadryana, prowincya Germania stała się samodzielną. Mimo to stosunki z Belgią pozostały tak ścisłe, iż trudno oznaczyć granicę między Belgią i Galią z jednéj a Germanią z drugiéj strony. Prawdopodobnie Wogezy stanowią granicę zachodnią Germanii wyższéj, Ardenny zaś granicę zachodnią Germanii niższéj. Granicę wschodnią tworzył z początku Ren, późniéj jednak wcielono do Germanii t. zw. *agri decumates* (ob. niżéj). Granicę między Germanią wyższą a niższą tworzyła rzeczka Nahe. Germania wyższa obejmowała okręgi: Vindonissa (Windisch), Argentoratum (Strasburg) i Mogontiacum (Moguncya). Moguncya była stolicą i głównym obozem. Germanii niższéj stolicą była Kolonia (*oppidum Ubiorum*), miasto, które cieszyło się opieką cesarzy rzymskich i uzyskało nawet t. zw. *jus italicum*. Oprócz Kolonii, spotykamy tu kilka ważniejszych punktów, jako to: Bonn, Andernach,

Boppart i t. d. W Germanii wyższéj mieszkały ludy Vangionów, Nemetów i Tryboków, oraz część plemienia Trewerów, a może kilka innych mniéj znacznych; w Germanii niższéj zaś Ubiowie, Gugernowie, Batawowie i Tungrowie.

Podbój odbiérał ludom zwyciężonym przedewszystkiém prawa polityczne; wolność osobista w największéj liczbie wypadków pozostawała nietkniętą i zwyciężeni pozostawali w posiadaniu swych gruntów, o ile władza rzymska nie odbiérała im tych grnntów bądź za karę, bądź téż dla rozdawania kolonistom rzymskim. Wewnętrzne urządzenia nie zawsze i nie wszędzie odrazu zmieniano; w I wieku po Chr. nie brak śladów istnienia gminy germańskiéj w prowincyach, oraz germańskich zwierzchników. Trudno oznaczyć, o ile prawo rodzime mogło się ostać; stosunki były w tym względzie nader różnorodne; w zasadzie wszyscy wolni ludzie pochodzenia obcego podlegali w państwie rzymskiém t. zw. *jus gentium*; Gajus i Ulpian wspominają jednak, że w niektórych prowincyach zachowały się prawa odrębne. Jeżeli np. w prowincyi Kent mogło się zachować staro-celtyckie prawo spadkowe, to i w prowincyach germańskich objawów podobnych wykluczać nie można. Niektóre ludy, np. Ubiowie, mogły się łączyć małżeństwem z Rzymianami, albo przynajmniéj z mieszkańcami kolonii rzymskich, inne otrzymywały późniéj prawo obywatelstwa rzymskiego i dzięki temu wiele z nich zupełnie się zmieszało z Rzymem i zatraciło odrębność narodową. Stopień autonomii i co za tém idzie, wpływ bezpośredni władz rzymskich i prawa rzymskiego, bywał więc bardzo różnorodny; z największych praw korzystały te ludy, które poddały się dobrowolnie i w formie przymierza połączyły się z Rzymem.

W prowincyi, wśród ludów poddanych władzy rzymskiéj, szczególnie miasta i garnizony działały w kierunku romanizacyjnym.

Miasta były właściwą siedzibą kultury rzymskiéj, która, tak jak grecka, była kulturą ściśle miejską. Rzymianie dążyli wszędzie do zakładania miast i do zapewnienia tym miastom przeważnego wpływu na całą okolicę, i to wpływu prawnego, tak, iż pomniejsze miejscowości musiały ulegać władzom miejskim. Nie zawsze się to udawało, a w prowincyach późniéj zdobytych było o to coraz trudniéj, np. w krajach naddunajskich walka między wsią a miastem była tak zacięta, iż wreszcie powstawały tam miasta mieszane, nieodpowiadające wcale typowi rzymskiemu.

Nie wiemy, jak w tym względzie rozwinęły się stosunki w prowincyach germańskich; nie ulega jednak wątpliwości, iż i tu po-

wstało dużo miast, oraz iż miasta te były po większéj części równie trwałe, jak miasta założone w innych częściach państwa rzymskiego. Znaczenie więc miast musiało być tu również wielkie. Germanie co prawda od miast stronili, nie niszczyli ich jednak i nie burzyli; chętnie odwiedzali targi miejskie i zwolna przyzwyczajali się tym sposobem uznawać ważność osad miejskich. Chrześciaństwo dodało miastom, jako siedzibom biskupów, nowego blasku, w późniejszych zaś czasach, królowie germańscy bez wyjątku rezydowali w dawnych miastach rzymskich.

Jeżeli miasta te często wśród zamieszek dziejowych podupadały i wyludniały się, to działo się to jedynie skutkiem zmiany stosunków politycznych, bynajmniéj nie skutkiem rozmyślnéj działalności Germanów. Upadek miast rzymskich i ich autonomii napotykamy nawet w krajach, w których Germanie nie panowali.

Miasta rzymskie należy uważać nietylko za rozsadniki kultury rzymskiéj w czasie panowania rzymskiego, ale za narzędzia téj kultury nawet i w czasach późniejszych. Nie ulega wątpliwości, że niejeden ważny szczegół organizacyi miejskiéj i całego rozwoju miast jako takich, ich autonomii, ustroju cechów, ich wpływu na okolicę i t. d. polega na tradycyach rzymskich.

Równe znaczenie dla zbliżenia się pierwiastków rzymskiego i germańskiego miały stałe garnizony rzymskie.

Zakładano je zwykle w pobliżu osad germańskich, zwłaszcza tam, gdzie stosunki między Rzymianami i Germanami były przyjazne. Żołnierze garnizonu zbliżali się do mieszkańców sąsiedniéj osady, wchodzili z nimi w stosunki handlowe, nabywając to, czego potrzebowali; za obozem naturalnie szli kupcy rzymscy, którzy pod ochroną obozu osiedlali się na czas dłuższy. W niektórych okolicach garnizon łączył się z czasem z osadą krajową, tak, że stanowił z nią jedną całość. Po odsłużeniu, żołnierze rzymscy pozostawali często na miejscu i osiadali w miasteczku garnizonowém, zwłaszcza jeżeli otrzymywali za wysługę udziały gruntowe, albo jeżeli zawiérali związki z kobiétami tego kraju. Małżeństwa mieszane między żołnierzami rzymskimi a kobiétami germańskiemi, napotykamy w okolicach Kolonii już około r. 70 po Chr., a późniéj było ich coraz więcéj; nic dziwnego, że żołnierz, który lat kilkanaście lub i więcej nie widział kraju rodzinnego, w którym nie miał może już nikogo z bliskich, pozostawał w okolicy, w któréj spędził najlepsze lata swego życia, w któréj miał swą nową rodzinę i przyjaciół, a najczęściéj i kawał gruntu.

Garnizony obozowały nietylko w saméj prowincyi, ale także wśród ludów pogranicznych, formalnie swobodnych, w rzeczywistości jednak ulegających zwierzchnictwu rzymskiemu. Chodziło naturalnie o powstrzymanie ich od kroków nieprzyjacielskich, oraz o zyskanie pewnéj liczby dogodnych punktów obserwacyjnych. Komendant rzymski uzurpował sobie nieraz pewne prawa względem takich ludów, co jednak po wojnie markomańskiéj ustało.

Z prowincyi wpływ rzymski rozpościerał się na wszystkie strony; nie wchodząc w szczegóły, powiemy tylko, że sięgał on aż do Elby i że za czasów Hadryana, możliwém było zmniejszenie armii w Germanii niższéj niemal o połowę.

Rozszerzenie Germanii wyższéj obejmuje terytoryum, które, mimo że leży w obrębie téj prowincyi, wyróżnia się jednak i zasługuje na osobną uwagę; są to t. zw. „*agri decumates*", przedmurze cesarstwa.

„*Agri decumates*" odpowiadają dzisiejszemu królestwu Wirtemberskiemu i Wielkiemu księstwu Badeńskiemu. Terytoryum to podlegało głównie legatowi Germanii wyższéj, skrawek wschodni zaś namiestnikowi Recyi. Nie zostało ono podbitém w ścisłém tego słowa znaczeniu, ale raczéj zajętém po wyjściu Helwetów; część leżąca nad Menem została przyłączoną po wyjściu Markomanów.

Były to więc pustkowia, które Rzymianie zaludniali głównie kolonistami, pochodzącymi z Galii. Mówiąc o Galii, mamy tu na myśli jéj znaczenie geograficzne, a wiemy, że w części wschodniéj Galii mieszkały odłamy ludów germańskich; jest więc nader prawdopodobném, że koloniści ci galliccy nie byli wyłącznie Celtami, ale przeciwnie, że procent osadników pochodzenia germańskiego był znaczny; nie brak zresztą wskazówek, iż obok kolonistów z Galii, napływali tu także osadnicy niewątpliwie czysto-germańskiego pochodzenia. I tak już w I-ym wieku osiedliła się tu część plemienia Hermundurów, naturalnie za zezwoleniem władz rzymskich. Czy nazwa „*agri decumates*" pochodzi stąd, iż koloniści płacili dziesięcinę, czy téż (naszém zdaniem) odpowiada ona sposobowi pomiarów rolnych, dokonanych przez Rzymian,—jest dla nas obojętne.

Mamy tu więc do czynienia z ludnością bardziéj mieszaną, niż ludność prowincyi germańskich; skład ludności przypomina raczéj stosunki Galii wschodniéj i północnéj, gdzie również żywioł celtycki mieszał się z germańskim. Nie wynika jednak z tego bynajmniéj, aby ta ludność mieszana, która się tu osiedlała, urządzała się koniecznie zupełnie po rzymsku; mylném byłoby szukać tu kompletnéj romanizacyi, jaką napotykamy np. w południowéj, a po części

i w środkowéj Galii. Przeciwnie, co do stopnia romanizacyi terytoryum, to pozostawało może nawet w tyle po za prowincyami germańskiemi.

I tak np. w okolicach nad Neckarem, organizacya miejska była bardzo słaba; przeważają osady wiejskie; nic zaś nie przemawia za tém, aby którakolwiek miejscowość stanowiła centrum okolicy i panowała nad innemi; zdaje się, że w całéj téj okolicy było tylko jedno miasto, mianowicie Sumlocenis, dzisiejsze Sülchen opodal Rottenburga. W innych okolicach tego terytoryum było więcéj miast.

Osady wiejskie powstawały tu w sposób dwojaki; spotykamy miejscowości, które powstawały skutkiem zakładania bud karczemnych i kupieckich w pobliżu obozów rzymskich, oraz grupowania się w około nich mieszkań rodzin żołnierskich; albo też przez łączenie kilkunastu dworków osadniczych w jedną całość. Dworki poszczególne były, o ile z wykopalisk sądzić można, budowane na sposób rzymski, z drugiéj strony jednak samo gospodarstwo nie było prowadzone na sposób rzymski, nie było zbyt intensywne, gdyż przeważało gospodarstwo pastewne.

Liczba osad była bardzo wielka; stwierdzono ich 121 w dzisiejszém badeńskiém, a 532 w wirtemberskiém, razem więc 653.

Cywilizacya rozwijała się w tém terytoryum dość pomyślnie; przyczyniała się do tego znaczna liczba garnizonów, a doskonała sieć dróg i przyjemny klimat wyróżniały korzystnie to terytoryum w porównaniu np. z prowincyą dolno-germańską. Bezpieczeństwo było dostateczne dzięki t. zw. *limes*'owi, t. j. obwarowaniu, które ciągnęło się od rzeki Laha aż do Ratysbony (*Castra Regina*) i którego ślady do dziś dnia wzbudzają podziw. Obwarowanie to przez długie czasy wystarczało i stanowiło zarazem linię handlową dla stosunków germańsko-rzymskich.

„*Agri decumates*" nie zostały też zdobyte siłą oręża germańskiego; pod naciskiem plemion germańskich musieli jednak Rzymianie kawałki tego terytoryum odstępować osadnictwu czysto-germańskiemu, które napływało coraz liczniéj i nadawało całemu krajowi coraz to bardziéj germański charakter. Pierwiastek celtycki podupada zupełnie, pierwiastek germański bierze górę, tém więcéj, że terytoryum to nie było należycie zorganizowane i że Germanie, którzy drogą układów otrzymywali prawo osiedlania się, zachowywali autonomię i bynajmniéj nie stawali się poddanymi rzymskimi. W III-im wieku *agri decumates* są już bardzo zagrożone i pojawia się jako nowa ich nazwa: „Barbaria" i „Alemannia", a w podziale prowincyi Konstantyna Wielkiego wcale ich już nie znajdujemy,

co dowodzi, iż nie uważano ich już za część państwa. Odtąd terytoryum to jest areną nieustannych walk między Rzymianami a Germanami; nieustannie zmienia się panowanie, kilkakrotnie jeszcze Rzymianom udawało się zwyciężać, od czasów cesarza Juliana jednak panowanie Germanów było prawie zupełnie ustalone.

Widzimy więc, iż przez długie czasy bezpośredni wpływ rzymski sięgał daleko wgłąb krajów germańskich i obejmował ludy germańskie z zachodu, północo-zachodu i południa. W dalszym ciągu prowincye rzymskie: Recya i Windelicya, Noricum i Pannonia, jakkolwiek na razie pozbawione jeszcze ludności germańskiéj, dopełniały łańcucha, którym Germanie byli otoczeni. Równocześnie, jak wiemy, polityczna i handlowa działalność Rzymian sięgała jeszcze daléj, gdyż i ludy całkiem swobodne, nie należące do prowincyi, ulegały naciskowi kultury rzymskiéj, — nie mówiąc już o tych licznych jednostkach germańskich, które wychowywały się pod wpływem rzymskim (np. Armin i t. d.), o tych Germanach, którzy służyli Rzymianom jako żołnierze lub osadnicy, oraz o tych jednostkach rzymskich, które żyły stale wśród Germanów.

Sposobności do wzajemnego zbliżania się zatém nie brakło; było ono ciągłe i trwałe, i skutki jego poznamy; przedtém jednak chcemy zwrócić uwagę na jedną jeszcze okoliczność, najważniejszą i decydującą.

IV.

Wspominaliśmy już o tém, iż z dawien dawna pewne ludy germańskie zachodziły w granice prowincyi rzymskich i osiedlały się w nich. Było to jednak naturalnie sporadyczném, dopóki te ludy nie miały dostatecznéj siły, aby zmusić Rzymian do przyjmowania ich na terytoryum cesarstwa. Za czasów potęgi rzymskiéj jedynie w północnéj i północno-wschodniéj Galii, oraz w t. zw. „*agri decumates*" napotykamy ludy germańskie, lub ich odłamy, w innych prowincyach zaś tylko tak wyjątkowo, iż znaczenia jakiegokolwiek w tém dopatrywać się nie można.

W III i IV wieku jednak potęga rzymska zaczyna podupadać, coraz częściéj ludy germańskie bezkarnie przekraczają granice państwa rzymskiego i osiedlają się w prowincyach zupełnie im dotychczas obcych, w których władze rzymskie pod pewnemi warunkami pozwalają im pozostać. W osiedleniu tém biorą udział nietylko te ludy, które już i przedtém stykały się z Rzymianami, ale także i ta-

kie, które Rzymian prawie wcale nie znały i nie miały dotychczas sposobności ulegać wpływowi rzymskiemu.

Jest to proces niesłychanie ważny. Dotychczas (z wyjątkami, o których była mowa) przeważnie Rzymianie przychodzili do Germanów i podbijali ich, teraz rozpoczyna się ruch odwrotny; teraz ludy germańskie wkraczają w prowincye rzymskie i spotykaja kulturę rzymską w jéj własnych siedzibach, osiadają wśród niéj stale i z natury rzeczy zapożyczają niejedno.

Główną widownią tych wypadków są prowincye następujące: Galia, Germania, Italia, Recya i Windelicya, Noricum, Pannonia, Dacya i Mezya, Hiszpania i Afryka; we wszystkich tych prowincyach najazdy germańskie odgrywają znaczną rolę; najeźdzcy spotykają w nich nader rozmaite warunki, wszędzie jednak wysoki stopień romanizacyi, często za wysoki w stosunku do cywilizacyjnego przygotowania, jakie z sobą przynoszą.

W Galii romanizacya była bardzo różnorodną. Galia południowa, jako starsza prowincya, była zupełnie po rzymsku urządzona i stanowila w czasach późniejszego cesarstwa ognisko oświaty rzymskiéj. Tak zwane „*tres Galliae*" stały niżéj; uregulowano w nich przedewszystkiém stosunki polityczne i narodowe, po za tém jednak pozostawiono wiele z przeszłości [1]). Galia wschodnia znów była więcéj zromanizowana, niż północna i północno-zachodnia, ponieważ stykała się bezpośrednio z obozami rzymskiemi nad Renem; wytworzyła się tym sposobem pewna spójnia cywilizacyjna i polityczna między Galią południową, wschodnią i linią obronną Renu. Belgia, a zwłaszcza jéj części północne i północno-zachodnie, nie mogły się poszczycić znaczną kulturą; przeważał tu pierwiastek celtycki, o czém już była mowa.

W IV wieku rozpoczyna się podbój Galii, któréj pogranicze wschodnie w V w. jest już zupełnie zajęte przez Germanów; jeszcze przedtém, bo w połowie IV-go w. znaczne płaty kraju od czasu do czasu bywały w ręku Germanów.

Z Galią łączą się Szwajcarya i Sabaudya.

Szwajcarya nie stanowiła osobnéj prowincyi, lecz część jéj należała do Galii, a część do Recyi. Część zachodnia była urządzona na sposób rzymski w wyższym stopniu, niż część wschodnia i północna; aż do r. 260 panowanie rzymskie było tu niezaprzeczone i nic nie zakłócało spokojnego rozwoju kraju; od tego czasu jednak północna i wschodnia część kraju stawała się coraz częściéj przedmio-

---

1) Mommsen. „Röm. Gesch.", V, 77.

tem wypraw germańskich. S a b a u d y a sięgała do Genewy i Rodanu, na południe w okolicę Embrun, na wschód do Alp graickich i kottyckich, na zachód do terytoryum Sekwanów. Aż do r. 443, w którym osiedlili się tu Burgundowie, Sabaudya pozostawała wyłącznie pod wpływem rzymskim, który téż był tu nieograniczony.

O prowincyach g e r m a ń s k i c h była mowa i wiemy, że łącznik między niemi a dalszemi prowincyami rzymskiemi stanowiły t. zw. „*agri decumates*", które sięgały wgłąb Recyi.

R e c y a graniczyła na zachód z Galią i Germanią, a więc z prowincyami silnie zromanizowanemi (odnosi się to zwłaszcza do Galii). Mimo to była ona mniéj zromanizowana, niżby sądzić było można; organizacya miejska, która stanowi zawsze kryteryum niezawodne dla rozpoznania stopnia romanizacyi, była tu słabo rozwinięta [1]); widocznie napływ kolonistów rzymskich był nieznaczny; nawet język łaciński był mało rozpowszechniony. Jedynie w centrum Recyi żywioł rzymski był silniejszy i przetrwał najazdy, tak, że za czasów panowania Gotów tworzono osobną milicyę, na któréj czele stał „*comes Raetiarum*" i jeszcze za czasów bawarskich Rzymianie korzystali z pewnych praw.

I tu w IV wieku położenie staje się niebezpiecznėm. Cofają się załogi rzymskie, a z niemi uchodzi znaczna część Rzymian. Całe miasta nawet pustoszeją; i tak np. mieszkańcy miasta Quintanis cofają się do Batavis; stąd wraz z mieszkańcami tego miasta do Lauriacum, a potém jeszcze daléj na południe.

Z Recyą połączoną była W i n d e l i c y a, w któréj już za Trajana istniały kolonie weteranów wojskowych.

N o r i c u m było bardziéj zromanizowane niż Recya. Kiedy mieszkańcy Recyi i Windelicyi służyli w oddziałach posiłkowych, mieszkańcy Noricum służyli w legionach. Organizacya miejska była tu bardziéj rozpowszechniona, dlatego téż żywioł rzymski utrzymał się tu znacznie dłużéj, niż w Recyi, pomimo że i ten kraj był nieustannie nawiedzany przez Germanów. Rzymianie trzymali się zwłaszcza we wnętrzu prowincyi silnie i doczekali się jeszcze przybycia Słowian.

P a n n o n i a była również silnie zromanizowana. Język łaciński był tu bardzo rozpowszechniony, organizacya miejska silnie przeprowadzona i Romanie trzymali się w téj prowincyi mimo najazdu Atyli, Gotów, a potém Longobardów i Gepidów, tak, że ulegli dopiéro naciskowi Awarów.

---

[1]) Jung. „Die romanischen Landschaften", 355.

D a c y a wkrótce po przyłączeniu zaludniła się wychodźcami z całego państwa rzymskiego; romanizacya nastąpiła tu nawet prędzéj, niż w Noricum. W III wieku pod naciskiem Gotów i Wandalów ludność rzymska zaczyna się cofać; w każdym razie jednak pewien procent téj ludności pozostał i pozostała przedewszystkiém materyalna kultura rzymska, jako to: drogi, kopalnie, winnice i t. d., co wszystko dostało się w ręce Gotów i wskazywało im drogi cywilizacyjnego postępu; po Gotach przybyli Gepidowie. Czy i o ile żywioł romański napływał tu późniéj z półwyspu bałkańskiego, na którym Romanie aż do VI w. mieli przewagę, nie wiemy.

Że w I t a l i i żywioł rzymski panował, tego przypominać nie potrzeba; Germanie, których losy zagnały do téj części państwa rzymskiego, mieli najlepszą sposobność korzystania z wyników cywilizacyi rzymskiéj.

Lecz i Hiszpania i Afryka dosięgały podobnego stopnia cywilizacyjnego rozwoju.

Romanizacya H i s z p a n i i rozpoczęła się wcześniéj, aniżeli Galii i — co z tego wynika — została przeprowadzona z większą siłą. Jedynie w Luzytanii, Tarragonie i kraju Basków pozostały ślady dawnéj organizacyi gminnéj iberyjskiéj, po za tém zwyciężyła niemal bezwarunkowo zasada rzymskiéj organizacyi miejskiéj.

W A f r y c e, przedewszystkiém t. zw. prowincya prokonsularna, uległa zupełnéj romanizacyi; ludność wiejska, zwłaszcza o ile była punicką, a nie rzymską, zachowała więcéj swobody, niż np. w Italii, Afryce, Hiszpanii i południowéj Galii, zbrojna ich przewaga nie wystarczała i nie mogła być trwałą. Utrwaliła się jedynie tam, gdzie liczba ludności germańskiéj nieustannie rosła, gdy liczba ludności romańskiéj malała, gdzie więc pierwiastek germański otrzymywał ciągle posiłki, których pierwiastkowi romańskiemu brakło.

Wspomnieliśmy o tém, że ludy germańskie w różnych prowincyach napotykały różne warunki rozwoju. Romanizacya bowiem, jak wiemy, nie była jednolita i niewątpliwie w niektórych prowincyach pozostał pewien podkład rodzimy, którego kilka wieków panowania rzymskiego nie usunęło. Jeżeli pomimo tak znacznéj romanizacyi między Hiszpanią a Galią istniały jednak różnice, które późniéj stawały się coraz więcéj wybitnemi, przypisać to można jedynie czynnikom nierzymskim.

Różnorodność warunków pochodziła także stąd, iż niektóre terytorya nieustannie zmieniały swych panów; przechodziły z rąk rzymskich w ręce jakiegoś ludu germańskiego, potém w ręce innego ludu, wracały znów pod panowanie rzymskie i t. d. Naturalnie,

skutkiem takich zmian politycznych zmieniał się i stan wewnętrzny tych terytoryów. Żywioł rzymski nabiérał wśród tego nowéj siły i nowego znaczenia, gdyż był on niejako jedynym niezmiennym wśród licznych wypadków. Tak np. po r. 500 południowa część prowincyi arelateńskiéj była w ręku Gotów zachodnich; w r. 510 przeszła do Gotów wschodnich, a potém pod panowanie Franków. Jedyném, co się nie zmieniało—byli tam Romanie.

Pomimo téj różnorodności, z którą należy się liczyć w studyach specyalnych, nie można się oprzéć wrażeniu, jakie ogółem biorąc robi fakt, iż terytorya dzisiejszéj prowincyi nadreńskiéj, Lotaryngii, Alzacyi, Badenu, Wirtembergii, Bawaryi, Styryi i arcyksięstw austryackich, przez 300 lat należały do państwa rzymskiego, przez 300 lat korzystały z tak znakomitéj kultury i w kwitnącym niemal stanie przeszły w ręce ludów germańskich, którym i w inny sposób już poprzednio daném było zaznajomić się z cywilizacyą rzymską.

Przejdźmyż obecnie po kolei ludy, które brały największy udział w najściach na terytoryum rzymskie.

W a n d a l o w i e już podczas wojny markomańskiéj weszli do Dacyi, a więc do prowincyi, jak wiemy, silnie zromanizowanéj; stamtąd udali się do Pannonii, gdzie przebywali aż do końca IV-go wieku; w r. 409 widzimy ich w Hiszpanii, gdzie osiedli stale i założyli państwo. Wśród tak długich wędrówek na terytoryum rzymskiém i przez pobyt w tak bogatych prowincyach, zbliżenie się musiało nastąpić. Nic więc dziwnego, że Wandalowie, jakkolwiek charakteru porywczego i przebojem torujący sobie drogę, w państwie, które założyli jedynie dzięki sile swego oręża, zachowali jednak bardzo wiele urządzeń rzymskich. Do urządzeń tych przywykli oni bowiem w ciągu 2 przeszło wieków i nie było powodu, dla któregoby wysilali się na nową i oryginalną organizacyę. Wandalowie łupili i uciskali, ale bynajmniéj nie czynili tego z powodów zasadniczych, lecz po prostu z chęci zysku; nie tępili oni nigdzie romanizmu jako takiego i gdyby nie podbój Afryki przez cesarzów bizantyjskich, a następnie napady mahometańskie, romanizm byłby się tam rozwijał bez przeszkody i byłby niezawodnie zupełnie pochłonął szczupłą stosunkowo garstkę Wandalów.

I G o c i siedzieli bardzo długo w Dacyi, a po części i w Pannonii, podzielając w tym względzie losy Wandalów. Wędrówka ich była bardziéj skomplikowana i przeplatana wojnami i układami z Rzymem. Wśród niéj nastąpiło rozłączenie się Gotów na gałąź wschodnią i zachodnią. Goci zachodni po różnych przejściach objęli

w r. 396 pod wodzą Alaryka Iliryę i przez 4 lata zachowywali tu formy urządzeń rzymskich. Właściwą ich posiadłością była południowa Galia i Hiszpania; w Galii walczyli z Gotami wschodnimi, z Burgundami i Frankami, tak, że panowanie poszczególnych ludów nieustannie się tu zmieniało, zwłaszcza w prowincyi arelateńskiéj.

Wpływ żywiołu rzymskiego był w państwie Gotów zachodnich têm większy, iż osiedli oni na podstawie systemu kwaterunkowego rzymskiego, zmieniając naturalnie ten system odpowiednio do swych potrzeb; rozproszyli się więc po osadach, które w kraju znaleźli, zabierając $^{2}/_{3}$ posiadłości rzymskich dla siebie; z lasów korzystano wspólnie. Z natury rzeczy bardzo wiele urządzeń rzymskich musiało tu pozostać bez zmiany, zwłaszcza w miastach i w wyższym zarządzie prowincyonalnym. Goci, tak samo jak Wandalowie, nie mieli powodu tępić romanizmu; wystarczało im nagiąć go do swych wymagań. Wędrówki w obrębie prowincyi rzymskich dały im sposobność zapoznać się z urządzeniami rzymskiemi, a sposób, w jaki się osiedlili, dowodzi, iż się w zasadzie przynajmniéj na te urządzenia godzili.

Goci wschodni, którzy razem z Gotami zachodnimi odbyli znaczną część swéj wędrówki, późniéj i po uwolnieniu się z pod władzy Atyli popadli w zawisłość bizantyjską, co musiało na nich wywrzéć wpływ odpowiedni; ostatnim celem ich wędrówki była Italia, gdzie założyli państwo ze stolicą w Rawennie; państwo to zajęło wśród innych państw aryańskich przodującą rolę, wywieralo zwłaszcza wielki wpływ na państwa Gotów zachodnich i Burgundów. W r. 510 nabyli Goci wschodni Arles, Narbonę i południową część galijskiéj prowincyi „Novempopulana”.

Do nich więc odnosi się w wyższym jeszcze stopniu to, co powiedzieliśmy o Gotach zachodnich. I oni osiedli na podstawie systemu kwaterunkowego, co dowodzi uznania dla urządzeń rzymskich, têm bardziéj, że wydzielenie parcel gockich powierzono Rzymianinowi Liberiuszowi. Wogóle państwo Gotów wschodnich oparło się najzupełniéj na têm, co w Italii jeszcze istniało; naród ten przejął się chęcią konserwacyi urządzeń rzymskich, a w rokowaniach z cesarstwem bizantyjskiém, które żądało oddania Italii, podnosili Goci w r. 537, iż przecie za ich panowania Rzymianie nie doznali ucisku, że cały stan rzeczy, jaki zastali, zachowali i bronili go wiernie.

Burgundowie należą do téj saméj grupy. Tradycye ich dowodzą licznych i dobrych stosunków z Rzymem. Po r. 282 zajmują oni siedziby Alemanów, którzy przegradzają ich od Rzymian.

Około r. 413 zajęli Burgundowie prawie całą prowincyę górno-germańską, skąd około r. 443 znaczna ich część przeszła do Sabaudyi. Państwo to rozszerza się coraz więcéj na południe i południowy wschód. W r. 457 pozyskali Burgundowie część prowincyi Lugdunensis I, a potém i część prowincyi Vienne; w r. 474 część Lugdunensis IV, późniéj chwilowo Arles i Marsylię; prócz tego, zajęli południową Szwajcaryę, t. j. właśnie najbardziéj zromanizowaną jéj część. Tylko w górach berneńskich ulegli wpływowi alemańskiemu, którego w téj okolicy nie paraliżował wpływ rzymski, po za tém, jak widzimy, obracają się wyłącznie w prowincyach, w których żywioł rzymski cieszył się przewagą niezaprzeczoną. Burgundowie osiedli także sposobem kwaterunkowym i poddali się wpływowi rzymskiemu, tak jak Goci. Łączyli się z Rzymianami związkami małżeńskiemi, nie prześladowali romanizmu i wiele urządzeń politycznych i korporacyjnych rzymskich za ich panowania zakwitło na nowo. Zespolenie się żywiołu germańskiego z romańskim było tu tak silne, iż i późniéj w państwie frankońskiém, w którego skład weszli Burgundowie, wywierali oni wpływ romanizacyjny. Reprezentują oni w państwie frankońskiém idee rzymskie i stanowią pomost między żywiołem gallo-rzymskim Zachodu a przewagą germańską wschodnich prowincyi frankońskich.

Z Burgundami graniczą w III wieku Alemanowie, szczep bardzo ruchliwy, który już w r. 259, a potém w r. 270, zapuszczał swe zagony aż do Włoch. Po śmierci cesarza Aureliana zajęli oni terytoryum dekumackie i 70 okręgów w Galii, które im cesarz Probus odebrał. Z terytoryum dekumackiego od r. 282-go nie ustępują, a zwłaszcza przestrzeń od dolnego Menu aż do jeziora bodeńskiego staje się ich właściwą posiadłością. Za czasów cesarza Juliana Apostaty widzimy ich około r. 355 i na lewym brzegu Renu, gdzie zajęli pas ośmiomilowy, z którego wychodzą często na wyprawy wojenne wgłąb Galii; około r. 476 wreszcie, zajmują także Alzacyę i część Szwajcaryi, w któréj Aar stanowi granicę między Alemanami a Burgundami; okolica Bazylei była ściśle alemańską. Pobitych przez Klodwika Alamannów osiedla Teodoryk ostgocki w Recyi, którą zajęli aż po rzekę Lech.

Widzimy więc, że temu szczepowi wypadło osiąść w terytoryum mniéj zromanizowaném, niż te, które zajęli Wandalowie, Goci i Burgundowie; zwłaszcza w Szwajcaryi wschodniéj i północnéj żywioł rzymski był słabo reprezentowany, wzmocnił się on tu dopiéro późniéj przez emigrantów rzymskich z południa; był to jeden z wyjątkowych wypadków, w których romanizmowi przychodziły po-

siłki. Z natury rzeczy o urządzeniach rzymskich i ich bezpośrednim wpływie mniéj tu można mówić, zwłaszcza téż, że Alamannowie nie osiadali sposobem kwaterunkowym, lecz mieli do dyspozycyi obszary, ogołocone z ludności, która wyemigrowała, albo padła ofiarą wojen i zamieszek; na tych obszarach urządzano się więc stosownie do tradycyi germańskich, o ile te tradycye w ciągu wędrówek po prowincyach bardziéj zromanizowanych nie doznały zmiany.

Na wschód od Alemannów szczep b a w a r s k i osiadł w Noricum i wchodniéj części Recyi. Ludność bawarska skoncentrowała się głównie w wyżynach na północnych stokach Alp, skąd ludność romańska prawie zupełnie ustąpiła. Bawarowie mogli zatém, tak samo jak Alemannowie, zajmować obszary puste i nie potrzebowali dzielić się z Rzymianami. Tylko w miastach, zwłaszcza w Passau i Ratysbonie żywioł romański odgrywał pewną rolę W południowych częściach wymienionych prowincyi, przedewszystkiém zaś w Tyrolu, pozostało dużo kolonistów rzymskich, którzy popadli przeważnie w zawisłość od książąt bawarskich, wyjątkowo tylko zdołali zachować swobodę. Podobnie jak Alemanowie, nie napotkali więc Bawarowie urządzeń rzymskich w prowincyach, które zajęli, napotkali jednak pewien zasób dóbr materyalnych, budynków, dróg i t. d., które objęli. Ludność rolnicza, która pozostała zwłaszcza w dzisiejszym Tyrolu, wywierała niezawodnie pod względem cywilizacyjnym i gospodarczym wpływ, któremu Bawarowie zawdzięczają prędki swój rozwój i skutkiem którego wyróżniają się oni korzystnie wśród ludów germańskich daléj na wschód i na północ osiadłych.

Największe znaczenie mają jednak Frankowie i Longobardowie, jako założyciele Francyi, Niemiec i Włoch średniowiecznych.

Stosunki między F r a n k a m i a Rzymianami sięgają bardzo dawnych czasów. Frankowie służyli licznie w wojsku rzymskiém, z czasem nabrali jednak wiele samodzielności i występowali nawet, jakkolwiek dość wyjątkowo, przeciwko Rzymowi; tak np. w III w. wataha frankońska przeszła łupiąc przez całą Galię, aż do Hiszpanii i Afryki. Od czasów Dyoklecyana napływało ich bardzo wiele do Galii północnéj, tak, że już o zromanizowaniu ich nie mogło być mowy, około r. 290 Frankowie saliccy osiedli w kraju wiernych Rzymianom Batawów, a za czasów cesarza Juliana spotykamy ich wspólnie z Alemannami także na lewym brzegu Renu.

W Galii, która stała się ostatecznym celem usiłowań frankońskich, zastali oni stosunki etnograficzne dość ciekawe. Obok pierwiastku gallo-rzymskiego, w którym na południu i w środkowéj Galii przeważał romanizm (gdy w Galii północnéj przeważały tra-

dycye celtyckie), napotkali oni szereg ludów germańskich, oraz odłamów tychże ludów, które przez cesarzy rzymskich do Galii zostały przyjęte, lub przemocą osadzone. Wspomnieliśmy już o tém powyżéj; dodajmy jeszcze, że już Pliniusz (Hist. nat. IV, 106) mówi o Germanach, którzy mieszkając nad Renem, podlegali wspólnie z Gallami jednéj i téj saméj władzy prowincyonalnéj. Germanie ci, z których niektórzy odznaczali się wiernością względem Rzymu w wyższym nawet stopniu niż Celtowie [1]), stanowili pomost między Galią a prowincyami germańskiemi, a nawet wogóle między prowincyami rzymskiemi a wolnymi Germanami. I tak np. Menapiowie już za czasów rzymskich siedzieli po części na lewym, po części na prawym brzegu Renu, stykając się z jednéj strony z Celtami, z drugiéj z Germanami. Podobną rolę odegrali późniéj Chattowie, którzy znów pośredniczyli niejako między Frankami salickimi i rypuarskimi z jednéj, a Turyngami i Alamannami z drugiéj strony; tym sposobem możliwe było oddziaływanie Franków na Turyngów i Alamannów, oraz zasilanie samychże Franków żywiołem czysto germańskim.

Frankowie otrzymywali nieustannie posiłki z ojczyzny, co ich chroniło przed nagłą romanizacyą. Posuwali się téż stopniowo naprzód w głąb Galii, zajmując zrazu tylko pustkowia, których w północnej i północno-wschodniéj części téj prowincyi nie brakło. Zetknięcia się z Rzymianami nie unikali, ludności rzymskiéj nie tępili, ale téż nie rozpraszali się przynajmniéj z początku wśród osad gallo-rzymskich, lecz osiadali zwartemi grupami. Tym sposobem nie przyszło do zlania się zupełnego z Rzymianami i możliwe było zachowywanie niektórych cech rodzimych, możliwym także spokojny rozwój i postęp. Frankowie byli w tym względzie w najszczęśliwszém położeniu; kulturę rzymską przyjmowali obficie, ale stopniowo, w małych dozach, a naturalnie i stan ludów germańskich, oddawna już w Galii zamieszkałych stanowił dla nich ważną w tym kierunku pomoc. Zdrowe połączenie cech germańskich z nabytkami rzymskiemi zostało dokonaném przez Franków i zapewniło temu ich dziełu trwałość niespożytą.

L a n g o b a r d o w i e najpóźniéj stykają się z Rzymianami. Pomijając ich dzieje dawniejsze, które w tym względzie bardzo mało nam mówią, przypomnijmy tylko, że dopiéro w r. 526 osiadają oni w Panonii i Noricum, skąd w drugiéj połowie tego wieku udają się do Italii. Italię zajmują oni prawem miecza i to odrazu, nie szu-

---

[1]) ob. Mommsen. „Röm. Gesch.“ V, 23.

kając płaszczyka żadnéj formy, jak to czynili Goci i Burgundowie, ani też nie zadawalniając się powolném posuwaniem się, jak Frankowie. Pomimo to i ten lud, dzikszy może zrazu niż inne, nie tępi romanizmu zasadniczo. Langobardowie pojmują odrazu użyteczność niektórych urządzeń rzymskich i wolą z nich korzystać, niż burzyć zapamiętale to, co znaleźli, aby potém mozolnie budować coś nowego. Zastosowanie się do stosunków rzymskich w życiu codziennném nastąpiło tém łatwiej, że Langobardowie rozproszyli się po kraju i osiadali podobnie jak Goci i Burgundowie — chociaż na zgoła innych warunkach — w poszczególnych posiadłościach rzymskich. Rzymianie mieli obowiązek pracowania na swych langobardzkich gości, którzy nie wzięli się prawie wcale do uprawy roli, pozostawiając to zajęcie Rzymianom. Postępowanie Langobardów bywało bezwzględne, nawet okrutne, nie krępowali się oni żadnemi względami, mimo to jednak charakteru rzymskiego Italii nie zatarli, lecz przeciwnie sami wiele przyjęli.

Oto najważniejsze ludy germańskie, które w prowincyach rzymskich założyły swe państwa. Widzimy, że zarówno w czasie swych wędrówek, jak i późniéj w terytoryach, w których te ludy zakładały swe państwa, miały one nieustannie do czynienia z żywiołem rzymskim czystym lub mieszanym i oprzéć się zupełnie tak silnemu wpływowi było niemożebne.

Zważmy przytém, iż prowincye te obejmowały około 45,000 mil kwadratowych i miały około 30 milionów ludności, wśród któréj Romanie przeważali bardzo znacznie. Liczba zdobywców nie wynosiła zrazu więcéj niż 4 miliony [1]). Późniéj naturalnie liczba zdobywców powiększa się znacznie, bo napływało ich wiele z Germanii i rozmnażali się bardzo szybko, kiedy Romanie wymierali; nie prędko jednak żywioł germański uzyskał silną przewagę, a zanim do tego przyszło, żywioł romański, chociaż upadający, górował i spełniał wobec przybyszów ważne posłannictwo cywilizacyjne.

V.

Poznaliśmy drogi, na których przez pięć wieków dokonywało się zbliżanie się Rzymian i Germanów. Organizm państwa rzymskiego pochłaniał zrazu jednostki i liczne grupy germańskie, które przechodziły na terytoryum rzymskie bądź to jako jeńcy, bądź téż

---

[1]) ob. Kaufmann: „Deutsche Geschichte“ II, 172.

jako żołnierze i osadnicy. Późniéj, gdy jednostek tych i grup coraz więcéj, już ich organizm rzymski pochłonąć nie mógł i zachowywały one swą odrębność.

Podbój, polityka i handel rzymski poddały znaczną część ludów germańskich wpływowi rzymskiemu. Późniéj ludy te coraz liczniéj przekraczają granicę państwa rzymskiego i osiadają w bogatych jego prowincyach, spotykając się tam z wynikami długowiecznéj kultury starożytnéj.

Stosunki takie nie mogły pozostać bez skutku; Germanie, którzy przychodzili, byli już do pewnego stopnia przygotowani do przyjęcia cywilizacyi rzymskiéj i do skorzystania z niéj w sposób pożyteczny. Usposabiała ich do tego ich natura i brak głębszych uczuć narodowych, które się jeszcze rozwinąć nie zdołały i przygotowały ich te wszystkie okoliczności, o których mówiliśmy. Zastanówmy się obecnie nad skutkami tych zajść. Rozumie się, iż w tym wypadku unikać nam przyjdzie szczegółów i ograniczyć się do najogólniejszéj charakterystyki.

Zachodzi przedewszystkiém pytanie, jakie wrażenie wywołało obustronnie to zetknięcie się i jakie uczucia zapanowały po obu stronach.

Wątpić nie można, że wrażenie było silne. Germanie widzą coś, co przedstawia się ich oczom, jako zjawisko nieziemskie. Pisarze rzymscy wspominają niejednokrotnie dowody czci bałwochwalczéj. jaką Germanie okazywali cesarzom, wojskom, świątyniom rzymskim; a jeżeliby nawet wzmianki tych pisarzy były przesadne, to jednak nie potrzeba zbytniéj fantazyi dla wyobrażenia sobie, co czuć musiały ludy dzikie na widok wspaniałości kultury starożytnéj, któréj szczątki przejmują nas dziś jeszcze do głębi.

Ale co ciekawsze, to, że i Rzymianie doznali wrażenia, jakiego jeszcze żaden lud na tych potężnych zdobywcach nie wywarł; żaden lud obcy nie wymógł wyznania, które spotykamy u Tacyta, iż możliwém jest zniszczenie państwa rzymskiego przez tych właśnie barbarzyńców, pomimo, iż oręż rzymski z bardzo małemi wyjątkami ich zwycięża! Rzymianie przeczuwali niejako, że z téj strony grozi im niebezpieczeństwo, przeczuwali w Germanach swych następców.

Mimo to o antagonizmie narodowym mówić nie można; brak uczuć narodowych u Germanów jest nam znany; wiadomo téż, iż u Rzymian patryotyzm w ścisłém tego słowa znaczeniu nie istniał. Dlatego dopiéro znacznie później, mianowicie w czasie krytycznych walk wewnętrznych w państwie frankońskiém w IX w. objawia się

świadomość narodowa. Słowo *barbarus*, którego Rzymianie używali, nie miało wcale znaczenia pogardy, a tém mniéj nienawiści, tak, jak i słowo *Romanus* w ustach barbarzyńców nie było używane w znaczeniu niechętném lub pogardliwém; znacznie późniejsze słowo „wlach“, „walach“ (słowiańskie „wołoch“) nabrało znaczenia poniżającego.

Ludy germańskie żądały od Rzymian terytoryów dla osiedlenia; Rzymianie od Germanów poddania się władzy cesarstwa; wynarodowienie jako cel świadomy nie istnieje w owych czasach wcale. Dlatego to ludy germańskie, których życzenia mogły być przez Rzymian zaspokojone, prawie nigdy nie występują przeciw Rzymowi, lecz raczéj bronią go i bynajmniéj nie wspierają innych Germanów. Kroki nieprzyjacielskie przeciwko Rzymianom pochodzą najczęściéj z inicyatywy ludów daléj mieszkających, ludy zaś sąsiadujące z Rzymianami chwytają za broń tylko z powodu niedostatku i przeludnienia, albo z powodu ucisku i nierzetelności władz rzymskich.

W niektórych częściach Germanii Rzymianie mogli swe posterunki, obozy i nawet osady zakładać tuż obok osad germańskich, nie obawiając się ze strony autochtonów żadnéj napaści; w pewnych okolicach było gorzéj, ale może tam poprzednio Rzymianie dali się mieszkańcom we znaki. Późniéj i misyonarze rzymscy niejednokrotnie mogli najspokojniéj żyć i działać wśród Germanów; żywoty świętych mieszczą w tym względzie ciekawe szczegóły.

Że Germanie chętnie szli na służbę rzymską i byli w niéj ogółem wierni, że chętnie osiadali pośród Rzymian i t. d., o tém była już mowa; wybuch patryotyczny pod wodzą Hermanna był wyjątkowym.

Z drugiéj strony wiele składało się na ułatwienie Germanom zwycięstwa i na stosunkowo dobre przyjęcie Germanów w prowincyach.

Prowincye były przeważnie wycieńczone uciskiem namiestników rzymskich, czuły one przytém i wiedziały dobrze, że dostarczają soków żywotnych całemu państwu, że muszą ponosić ogromne ciężary na to tylko, aby obywatele rzymscy od tych ciężarów mogli być wolni. Właściwa ludność rzymska pędziła życie niemoralne, bez zajęcia i bez korzyści dla państwa, nie poczuwała się do żadnych obowiązków i nie odczuwała nawet przywiązania do tego państwa, które jéj byt tak wygodny zapewniało. Nic dziwnego, że ludność w prowincyach nie sympatyzowała z władzą rzymską i że zwłaszcza klasy uboższe, które najwięcéj cierpiały wśród rozstroju, samowoli

i bezprawi, jakie cechują upadające cesarstwo rzymskie, z pewną zawiścią spoglądały na ludy barbarzyńskie, jeszcze nie zepsute, wśród których wówczas jeszcze panowała przynajmniéj do pewnego stopnia równość praw i obowiązków, od których nawet król wyłączać się nie mógł. Jeżeli pisarz téj miary i tak krytycznie usposobiony jak Tacyt, wpadał tylokrotnie w zachwyt na widok niektórych cech charakteru germańskiego, to nic dziwnego, iż ludność prowincyonalna, zmęczona uciskiem, życzyła sobie w wielu wypadkach zmiany stosunków politycznych,—już choćby dlatego, że zawsze strony ujemne stanu obecnego odczuwamy silniéj, niż to co było dawniéj, lub to, co może przyjść późniéj. I tak widzimy np., że w r. 457 Burgundowie zajmują część Galii w porozumieniu, a może nawet skutkiem zaproszenia mieszkańców. Nie jest to jedyny wypadek uznania dla Germanów; daleko ważniejszym jest np. fakt, iż wyniesienie na tron cesarza Avitus'a nastąpiło ze względu na jego stosunki z Gotami; istotnie Rzym zawdzięczał mu przymierze z Gotami przeciwko Hunnom.

Oczekiwania Rzymian co do Germanów nie zupełnie zostały zawiedzione. Wspomnieliśmy już, że przeważna liczba ludów germańskich uznawała za korzystniejsze zachowywać instytucye rzymskie, niż niszczyć je; jeżeli mimo to bardzo wiele instytucyi rzymskich upadło i romanizm wogóle ustępował z pola, to dla tego że siła cywilizacyi rzymskiéj była wówczas słaba, ale kultura rzymska znalazła w wielu prowincyach zajętych przez Germanów przytułek, a nawet doczekała się nowego rozwoju. Wogóle panowanie barbarzyńców, zwłaszcza po ukończeniu osiedlenia, nie było zbyt dotkliwe; mordy i pożogi zdarzały się jedynie w czasie wojennym, ucisk w życiu codziennem był stanowczo mniejszy, niż w niejednéj prowincyi rzymskiéj, która miała nieszczęście znaléść się w ręku samowolnego i okrutnego prokonsula. Pozostawiano Rzymianom w bardzo wielu wypadkach prawo i sądy własne, język łaciński był w powszechném użyciu, korporacye rzymskie pozostawały niezmienione i t. d. Pod panowaniem bizantyjskiém niejednokrotnie życzono sobie w Italii powrotu Gotów. Mimo to żywioł romański okazuje mało zdolności asymilacyjnych. Chęć zbliżenia się do Germanów, jaką np. napotykamy u Kassyodora, albo u owego Syagriusa, o którym mówi Sidonius Apollinaris (V, 5), iż znał języki barbarzyńskie, oraz prawo burgundzkie, należy do wyjątków.

Co do oddziaływania cywilizacyjnego, to powiedziéć można, iż pomimo, iż kultura rzymska w owych czasach, jak wspominali-

śmy, straciła znaczną część sił i pomimo, iż aryanizm wielu ludów germańskich utrudniał bezwzględne poddanie się wpływowi Rzymian-katolików, jednak cała kultura średniowieczna ludów germańsko-romańskich polega na kulturze rzymskiéj i jest jéj dalszym ciągiem, zastosowanym do nowych, trudniejszych warunków. Podania germańskie nie wspominają o walce z żywiołem rzymskim, o walce z chrześciaństwem zaś bardzo niewiele; dowodzi to niewątpliwie, iż poddawszy się wpływowi rzymskiemu, o tych walkach zapomniano.

Germanie umieli korzystać z przykładów. Plinius (H. nat. VII, 4) wspomina, iż Ubiowie, przeszedłszy na lewy brzeg Renu, rychło poczęli stosować rzymski sposób uprawy roli; prędko pojęli Germanie uprawę wina, oraz jarzyn i owoców, których nazwy rzymskie również przyjęli. Wkrótce i inni Germanie zastosowywali się do rzymskich pojęć agronomicznych, z któremi spotykali się w prowincyach, zwłaszcza w t. zw. *agri decumates*, których urządzenia gospodarcze przeszły do wieków średnich, a wiemy, że niejedno ułatwiało im zbliżenie na tém polu. Cesarz Probus cenił zdolności Germanów w tym względzie i zawierając np. z Alemannami przymierze, zobowiązał ich do dostarczania armii rzymskiéj zboża; w IV w. rolnictwo w Germanii tak się rozwinęło, iż w czasie głodu, który nawiedził Italię, cesarz Honoriusz sprowadzał zboże z Germanii do Rzymu.

Początki uzdolnienia do myślenia abstrakcyjnego i tworzenia pojęć ogólnych zawdzięczają Germanie Rzymowi i Kościołowi; nie jakobyśmy twierdzić chcieli, iż bez téj pomocy Germanie nie byliby wcale wyrobili téj zdolności, ale faktem jest, iż wzrosła ona bezpośrednio pod wpływem rzymskim . Widzimy to na każdym kroku. I tak nazwy dni i miesięcy opierają się na odnośnych pojęciach rzymskich; od Rzymian nauczyli się Germanie używać pieniędzy [1]) i rozumiéć pojęcie wartości, od Rzymian téż wzięli pismo. Runy bowiem są niewątpliwie pochodzenia rzymskiego [2]) i nawet ludy północno-germańskie (skandynawskie), które wogóle nie stykały się z Rzymianami, zapożyczyły pismo runiczne u ludów południowo-germańskich. Po runach pojawia się alfabet, ale łaciński.

Po łacinie mówili Germanie, przynajmniej w prowincyi, już za Trajana; przybierają oni téż wcześnie nazwiska łacińskie, co się odnosi zwłaszcza do osób wybitniejszych: brat Hermanna, który sam

---

[1]) Paul l. c. I. 705.

[2]) Tamże I, 24

nosił imię rzymskie, nazywa się Flavus; napisy grobowe, napisy na pierścieniach najczęściéj łacińskie. Język łaciński był rzec można językiem ogólno-germańskim, tak jak swojego czasu język niemiecki nazywano językiem ogólno-słowiańskim. Królowie goccy i wandalscy korespondują z sobą po łacinie; kamień graniczny między posiadłościami gockiemi i wandalskiemi w Sycylii nosił napis łaciński, i naturalnie języki germańskie nie pozostały wolne od naleciałości łacińskich; około 300 słów języka staro-niemieckiego pochodzi z języka łacińskiego [1]).

Sztuka rzymska oddziałała także w sposób odpowiedni na Germanów; dowodzą tego sprzęty i budynki, polegające niemal niewolniczo na wzorach rzymskich: dowodzi tego także usunięcie z poezyi t. zw. *Stabreim*'u, polegającego na aliteracyi i zastąpienie go rymem, co zdaniem filologów [2]) przypisać należy wpływowi rzymskiemu; wprowadzenie pierwiastków chrześciańskich do Eddy jest również wynikiem tego samego wpływu.

I przyjęcie samegoż chrześciaństwa wywołane zostało zetknięciem się z Rzymianami. Rzec można, iż Germanom brakło predyspozycyi do chrześciaństwa. Mściwość, która nakazywała walkę rodową, niechętne poddawanie się jakiemukolwiek ustrojowi, cały wogóle sposób myślenia, utrudniał przyjęcie chrześciaństwa. Ale była to religia Rzymian, i to samo ułatwiało jéj przyjęcie, zwłaszcza że brak ustroju teokratycznego u Germanów czynił ich religijnie dość obojętnymi. Germanie wschodni przyjęli aryanizm, ponieważ za czasów cesarza Valensa na wschodzie ta sekta była rozpowszechniona.

Taktyki wojskowéj rzymskiéj Germanie prawie nigdzie nie przyjęli; widocznie przekonali się, że taktyka rzymska im nie odpowiada i ufali więcéj swéj własnéj; przyjmowali oni wogóle przeważnie tylko to, co uważali za pożyteczne.

Szczególniejszych zmian i wielkiego postępu doznaje ustrój prawny i polityczny Germanów.

Już samo wstrzymanie koczownictwa przez podbicie pewnéj liczby plemion, przez osiedlenie innych, a wreszcie przez poddanie niektórych wpływowi władzy rzymskiéj, jest bardzo ważném. Wielkie znaczenie miał pod tym względem ów *limes*, o którym była mowa, który chroniąc prowincye, powstrzymywał sąsiednie plemiona germańskie od napadów i zmuszał je do życia spokojnego. Ludy za-

---

1) Paul l. c. I, 309.

2) Tenże II, 902.

czynają się organizować i skupiać, pojęcie państwa rozwija się coraz więcéj i rozwija się przedewszystkiém władza naczelna, królewska.

I w dawniejszych czasach widzimy, że np. taki Marbod, król markomański, przejęty tém, co widział u Rzymian, starał się władzę swą kosztem praw ludu powiększać; późniéj przy sposobności zakładania państw na terytoryum rzymskiém wszyscy królowie germańscy dochodzą do znacznéj potęgi. Wykonywują oni względem Rzymu władzę dawniejszych cesarzy rzymskich, a niebawem zaczynają w ten sam sposób postępować wobec swego ludu. Zmusza ich do tego często konieczność; rozrzucenie ludu na wielkich przestrzeniach utrudnia zwoływanie zgromadzeń ludowych, pomieszanie Germanów z Rzymianami utrudnia zachowanie różnicy prawnéj, nowe zadania państwowe, nieznane dotychczas wśród warunków prostych, w jakich obracał się taki lud germański, każą myśléć o jednolitéj władzy i o nałożeniu nowych obowiązków na członków ludu. Znika wobec tego dawna równość germańska; bliżsi króla dostojnicy mają sposobność zwiększać swój wpływ i potęgę materyalną, nabywają znaczne obszary i zaczynają na wzór rzymskich optymatów wyróżniać się od uboższych klas ludu. Tak jak optymaci wykonywują oni patronat nad uboższymi, którzy popadają w bezpośrednią od bogatszych zależność. Zmienia się także, i to na gorsze, położenie niewolników. U Germanów niewolnik był raczéj współpracownikiem swego pana, bo różnica między panem a sługą była bardzo mała; między wzbogaconym zdobywcą jednak a niewolnikiem, różnica już bardzo wielka i pod tym względem niewolnicy germańscy zbliżają się do rzymskich. Prawda, że z drugiéj strony dzięki interwencyi kościoła los niewolników doznaje złagodzenia.

Nie należy jednak sądzić, jakoby Germanie ze swéj strony nie wywarli żadnego wpływu na Rzymian; wpływ ten był naturalnie bez porównania słabszy, ale jednak widoczny.

Język łaciński w prowincyach, a zwłaszcza w armii przejął się naleciałościami germańskiemi, obecność liczniejszych oddziałów germańskich w armii osłabiła jéj jednolitość i poczucie dynastyczne. Wojsko przyjmuje niektóre zwyczaje germańskie, a niewątpliwie działo się to nietylko w wojsku. Widzimy bowiem w obyczajach rzymskich znaczną różnicę, niemal przełom między III a IV wiekiem; zmienia się poczęści tryb życia, a nawet pożywienia, zwiększa się np. konsumcya mięsa, z drugiéj strony pewne nadużycia wschodnie

(np. pederastya) ustają, podupada jednak ogłada rzymska, ustępując po części miejsca ostrzejszym zwyczajom germańskim [1]).

Zmienia się stan gospodarczy prowincyi i pod tym względem uboższa ludność romańska miała wiele do zawdzięczenia Germanom. Germanie zajmowali się sami uprawą roli, używając mniéj niewolników, niż Rzymianie; gmina germańska była gminą rolniczą, co musiało oddziałać korzystnie na drobną własność ziemską u Rzymian, która dawniéj w znacznéj części ulegała przewadze większéj własności. Ogółem biorąc, klasy niższe zyskały na najściu Germanów, odbiérano bowiem duże majątki optymatom, nie tykając prawie nigdy drobnéj własności. Wielu kolonistom i dzierżawcom, którzy na podstawie bardzo różnorodnych kontraktów posiadali ziemię, udało się zatrzéć rzeczywistą podstawę swych praw, zanadto skomplikowanych i niezrozumiałych dla Germanów; zyskiwali oni pozory własności zupełnéj, a nawet obronę u nowych władzców przeciwko właścicielom rzeczywistym.

VI.

Z natury rzeczy jednak największe zmiany musiały dotyczyć prawa.

Przechodząc ze stosunków znacznie prostszych do życia bardziéj skomplikowanego, obejmując poniekąd cywilizacyjną spuściznę rzymską w prowincyach, które zajęli, musieli Germanie zastosować się także do potrzeb prawnych, które szły ręka w rękę z całym stanem cywilizacyjnym.

Wiadomo, iż prawo nie jest wytworem dowolnym; jest ono częścią ogólnéj sumy pojęć pewnego narodu i pewnego czasu i to częścią łączną; z rozwojem narodu postępuje rozwój prawa, upadkowi narodu towarzyszy upadek jego prawa, tak, że dzieli ono w tym względzie, naturalnie z pewnemi odmianami, losy ogólnego rozkwitu i przekwitu.

Staraliśmy się wykazać, iż Germanie już dawno przed ostatecznem zajęciem prowincyi rzymskich i założeniem swych państw samodzielnych, mieli sposobność zbliżania się do Rzymian i zapoznawania się z nimi; najście Germanów nie było więc faktem nagłym, dokonanym bez przejść i przygotowań, jak np. pierwotny napad Cymbrów i Teutonów, który minął bez skutków.

---

1) Seeck. „Untergang d. antiken Welt", I, 397.

Pomimo to, zmiana była jednak bardzo wielka. Nawet gdybyśmy tym licznym sposobom wzajemnego zbliżania się i tym wszystkim okolicznościom, które omówiono powyżéj, przyznali jaknajwiększe i powszechne dla wszystkich ludów germańskich znaczenie, to przecież między przygotowaniem a dokonaniem zachodzi różnica, któréj lekceważyć nie można. Nawet te ludy, które już oddawna mieszkały w granicach państwa rzymskiego, przechodząc z jednéj prowincyi do drugiéj, w chwili ostatecznego osiedlenia się i objęcia panowania, doznały zmian nader ważnych; był to krok pomimo całego przygotowania decydujący.

Przygotowanie mogło być dostateczne do zrozumienia urządzeń rzymskich, nie było jednak i nie mogło być dostateczne do panowania w prowincyach rzymskich, gdzie życie ludności krajowéj było zgoła odrębne i gdzie Germanom przyszło żyć inaczéj niż dotychczas. Stosuje się to zwłaszcza do tych ludów, które osiadłszy sposobem kwaterunkowym, porzuciły tém samém wspólne swe dotychczasowe życie narodowe, a natomiast mieszały się z ludnością krajową, romańską. W tym względzie przygotowanie było bardzo niedostateczne i co chwila Germanie stawali wobec kwestyi prawnych, na które w swych prawach nie mieli odpowiedzi, a na które jednak odpowiedź trzeba było znaléść koniecznie.

Wiemy już, że Germanie bardzo wiele instytucyi rzymskich zachowali, najwidoczniéj dlatego, iż nie mogli ich odrazu zastąpić czém inném. Tak samo nie mogli oni ludności rzymskiéj narzucać swych praw, które im samym już wobec zmiany stosunków nie wystarczały; przeciwnie, musieli oni raczéj u Rzymian szukać sposobu wyjścia z trudnego położenia, w jakiém się znaleźli skutkiem niedostatków swego prawa.

Prawo ich, jak zawsze prawa ludów niedostatecznie rozwiniętych, nie polegało na abstrakcyi, ale zwracało uwagę jedynie na poszczególne wypadki konkretne, zadawalniając się orzeczeniami, które już zgóry ograniczały się do jedynego wypadku; był to więc raczéj szereg wyroków wydanych zgóry dla poszczególnych wypadków. Głównem źródłem było uczucie prawne ludu, i z tego to źródła czerpano w danym razie odpowiedź na pytanie prawne. Widzimy np. w prawach ludowych kary za kradzież koni, niewolników, wołów, owiec i t. d., ogólnego pojęcia kradzieży jednak, albo ustanowienia choćby kary ogólnéj za kradzież przedmiotu pewnéj wartości, nie napotykamy; widzimy kary za poszczególne rodzaje ran, przedstawionych drobiazgowo, ale nie ma tam ogólnego pojęcia obrażeń cielesnych, ani żadnéj kategoryi ogólnéj, któraby pozwa-

lała w danym wypadku zastosować karę do rzeczywistéj szkody i winy. Pod tym względem można mówić zaledwie o słabych początkach.

Pierwsze kroki na téj drodze zawdzięczali Germanie Rzymowi i Kościołowi. Zauważyć wypada, że i rozwój prawa skandynawskiego rozpoczyna się dopiéro po wprowadzeniu chrześciaństwa, chociaż pismo runiczne było tam już znacznie przedtém rozwinięte; nie brak więc pisma spowodował u ludów skandynawskich to opóźnienie, ale brak zdolności do myślenia abstrakcyjnego; wyrobiły ją ludy skandynawskie w znacznym stopniu pod wpływem Kościoła i tych pierwiastków rzymskich, któremi się Kościół przejął.

Nad stosunkami prawnemi, cokolwiek skomplikowanéj natury, bez abstrakcyi, zapanować niepodobna; wyobraźnia ludzka bowiem nie potrafi nigdy objąć wszystkiego, co w życiu zajść może; ustawodawstwo więc nie zdoła nigdy przewidziéć wszystkich wypadków szczegółowo, lecz dążyć musi do tego, aby ogólne przepisy ustawowe do każdego wypadku zastosować można. Prawa ludów germańskich nie odpowiadały temu celowi, a tak prędka zmiana stosunków i tak znaczne zwiększenie się zadań, wobec których prawa germańskie stanęły, nie pozwalały nawet pomyśléć o normalnym i samodzielnym rozwoju w tym względzie i zmuszały do zapożyczania pierwiastka abstrakcyjnego u Rzymian.

Nie należy jednak sądzić, aby to zapożyczenie było zupełném. Ludy młodociane nie mogły w zupełności przejąć się sposobem myślenia, który panował w świecie starożytnym. Zapożyczały to, co było nieodzownie konieczne, a więc to, co się odnosiło do nowych przedmiotów, do nowych stosunków prawnych, do form zewnętrznych i urządzeń. Pozostał natomiast rodzimy sposób myślenia i rozwijała się zdolność przyswajania sobie obcych nabytków.

Dzięki téj zdolności asymilacyjnéj przyjmowanie pierwiastków rzymskich, mogło się odbywać bez przewrotów dotkliwych. Samo przez się przechodziło najłatwiéj to, co w umysłach germańskich znajdowało już pewną podstawę; o taką podstawę można było zaczepić nawet wtedy, jeżeli różnica między odnośnemi pojęciami rzymskiemi a germańskiemi była bardzo wielka; łatwiéj jeszcze przychodziło to wtedy, gdy różnica była tylko formalną, t. j. gdy myśl podobna istniała już i u Germanów, a tylko wyrażenie jéj było odmienne, mniéj doskonałe, tak, że Germanie wkrótce przyswajali sobie formę rzymską, jako więcéj odpowiednią nowym stosunkom; najtrudniéj było w tych wypadkach, w których między prawem rzymskiém a germańskiém nie było żadnéj analogii, tak, że nie cho-

dziło już o przezwyciężenie różnicy formalnéj, albo nawet istotnéj, ale wprost o wprowadzenie nowego pojęcia, nieobjętego dotąd wcale widnokręgiem umysłowym Germanów. W takich wypadkach nastąpić musiało albo zupełne odrzucenie odnośnéj inowacyi, — albo też, jeżeli ona była nieodzowną, przyjęcie jéj bez zmian.

Widzimy więc, że zetknięcie się Germanów i Rzymian na polu prawa mogło być trojakiém: mogły się zderzyć idee rzymskie i germańskie, zgodne co do istoty rzeczy, a różne tylko co do formy, przyczém przyjęcie formy rzymskiéj nie miało naturalnie znaczenia zasadniczego; mogły się zderzyć idee rzymskie i germańskie różne już co do swéj istoty, ale jednak takie, że były wzajemnie zrozumiałe, przyczém okoliczności i warunki miejscowe decydowały o zwycięstwie jednych lub drugich; mogły wreszcie zetknąć się idee rzymskie i germańskie, tak różne odnośnie do pewnego działu prawa, iż obustronne zrozumienie się było zupełnie wykluczone, bo w widnokręgu umysłowym nie było po prostu miejsca dla czegoś podobnego i przystosowanie do reszty pojęć było zgoła niemożebne. Jeżeli konieczność tego wymagała, przyjmowano wreszcie taką myśl obcą, choćby z pogwałceniem całego składu reszty myśli, ale przyjmowano ją bez należytego przetrawienia i pozostawała ona przez długi czas jako coś w rodzaju ciała obcego w organizmie prawnym.

Musimy tu poprzestać na téj charakterystyce ogólnikowéj; rozumié się, że prawo każdego ludu germańskiego i prawo rzymskie w poszczególnych prowincyach, przez Germanów zajętych, przechodziły w tym względzie różne koleje. Decydującemi były: stopień romanizacyi danéj prowincyi, stopień, w jakim podkład rodzimy, np. celtycki w Galii, lub iberyjski w Hiszpanii, jeszcze się był utrzymał, a wreszcie siła żywiołu germańskiego, który tę prowincyę opanował.

Widzimy więc, iż, uznając najzupełniéj ważność prawa rzymskiego dla rozwoju prawnego tych ludów, należy jednak zaznaczyć, iż nie może być mowy o niewolniczém naśladownictwie, lecz tylko o szczególnego rodzaju kombinacyi pierwiastków germańskiego z rzymskim, a ewentualnie i krajowym danéj prowincyi.

Zmysł prawny ludów germańskich został nadzwyczaj silnie pobudzonym przez wrażenie, jakie prawo rzymskie wywarło. Germanie odrazu musieli sobie zdać sprawę z tego, iż ich prawo rodzime w tém nowém położeniu nie wystarcza; zatrzymując znaczną część urządzeń rzymskich, poddali się ich wpływowi i nadzwyczajny rozkwit praw germańskich był wynikiem tych stosunków. W rzad-

kich jednak tylko wypadkach kopiowano prawo rzymskie ślepo, najczęściéj rozwijano swe własne prawo pod wpływem rzymskiego, korzystając z sił ożywczych, w tém ostatniém zawartych, a nie porzucając własnych pierwiastków dodatnich.

Nie można więc żadną miarą stawiać pytania, czy Germanie w prowincyach zostali zromanizowanymi, lub Rzymianie zgermanizowanymi; nie nastąpiło ani jedno, ani drugie, lecz powstało coś nowego, w czém jeden i drugi żywioł odgrywał należytą rolę.

Ta pierwsza recepcya prawa rzymskiego, która się dokonała u wstępu do wieków średnich, różni się zupełnie od téj, która przy końcu wieków średnich niszczy liczne działy prawa niemieckiego, zastępując je prawem rzymskiém często bez potrzeby. Tu mamy do czynienia z ożywczém działaniem prawa rzymskiego, a jego promienie ciepłe i jasne przyśpieszają rozwój, któryby w innych warunrunkach potrzebował długich wieków; w końcu wieków średnich zaś mamy do czynienia z zabójczém działaniem tegoż prawa, które samo już tylko pogrobowém żyjąc życiem, teoretyzując na niekorzyść tego, co mniéj doskonałe, ale żywotne, niszczy niejeden dobry zawiązek.

Dlatego téż ta pierwsza recepcya dokonała się spokojnie i bez złych skutków; nie wzbudzała zaburzeń, ani opozycyi i przedstawia się tak pokojowo, iż nawet często trudno jéj przebieg skontrolować. Odnosimy wrażenie, iż w chwili najwłaściwszéj, jak aktorowie na scenie, pojawiają się idee prawne rzymskie, zapełniając luki, których poprzednio Germanie nie odczuwali wcale i uzupełniając tym sposobem ich systemy prawne.

Germanie z swéj strony nie żywią żadnéj niechęci do prawa rzymskiego, tak jak wogóle wszelka zasadnicza niechęć narodowa jest im w tych czasach obcą. Ich systemy prawne przyjmują gościnnie inowacye, których potrzebują i które mogą przetrawić, a bronią się niejednokrotnie przeciw innym, których przyjęcie jest zrazu niemożebne, tak, że następuje dopiéro skutkiem nacisku zgóry, lub skutkiem coraz silniéj występującéj konieczności. Prawo prawdziwie żywotne nie jest nigdy zamkniętém, nie krępuje się żadnemi względami, prócz względów na moralne i materyalne wymagania społeczeństwa i państwa. W szczególności względy teoretyczne nie mogą miéć znaczenia zasadniczego; okoliczność, iż jakaś inowacya potrzebna nie zgadza się z systemem, nic nie znaczy wobec wymagań życia.

I my dziś jesteśmy niejednokrotnie w tém położeniu; rozwój życia nowoczesnego zwiększył niepomiernie liczbę dóbr prawnych

i sposobów ich używania; to wszystko wymaga zabezpieczenia prawnego, a najczęściéj nie znajduje go w prawie dotychczasowém; musimy więc tworzyć prawo nowe i bardzo często nawet nie możemy w tym względzie oprzéć się na podstawach dawniejszych. Pomimo to nie mamy ani na na chwilę uczucia, jakobyśmy podkopywali system naszego prawa i w inowacyach tych nie dopatrujemy się burzenia, ale rozwoju. Niezawodnie też użylibyśmy chętnie dla zabezpieczenia tych nowych stosunków prawnych wzorów wypróbowanych, gdyby to było możebne. Germanie, wstępując w nową epokę życia historycznego, zwiększając skutkiem tego liczbę dóbr prawnych i sposobów ich używania, poznając wartość rzeczy, które dotychczas były dla nich bez wartości (np. własność ziemska), znajdowali się w lepszém od nas położeniu, mogli bowiem dla zadośćuczynienia odnośnym swym potrzebom użyć wzorów rzymskich, których mieli podostatkiem i na téj podstawie budować daléj.

Zważyć też wypada, iż przedmiotem téj recepcyi nie było prawo rzymskie czyste, teoretyczne, które już wówczas niejednokrotnie nie odpowiadało rzeczywistości, ale prawo prowincyonalne, a więc zniżone i zastosowane praktycznie do potrzeb danego kraju. Różnica więc między prawem rzymskiém w prowincyach, a germańskiém, bywała najczęściéj praktycznie ważną i polegała na różnicy między stosunkami, w jakich Germanie dotychczas żyli, a stosunkami, jakie panowały w prowincyi. Wchodząc w te nowe stosunki, przyjmowali Germanie zarazem to, co w tych stosunkach uchodziło za praktyczne i głównie dlatego, że było praktyczne. Jeżeli tu i owdzie z uszanowania dla instytucyi rzymskich przyjęto coś, co danym stosunkom już nie odpowiadało, to niebawem porzucano tak niewygodny nabytek, albo też przechowując dawną rzymską formę zmieniano jéj treść.

Przy końcu wieków średnich dla recepcyi prawa rzymskiego decydującym był fakt, iż coś było rzymskiém i było objęte glosowanym zbiorem praw Justyniana, przy pierwszéj zaś recepcyi decydującą była potrzeba i praktyczność.

Przetrawienie i systematyczne przyjęcie nowych nabytków mogło tu więc nastąpić daleko łatwiéj, niż przy owéj recepcyi późniejszéj, która tyle smutnych pozostawiła wspomnień. A nawet, jeżeli tu i owdzie przyjęto coś, co i nadal uważano za obce, to mimo to rozwój prawa nie doznawał trwałych przeszkód. Współdziałanie dwóch prądów sprzecznych nie jest bynajmniéj zjawiskiem nadzwyczajném i niekoniecznie wywołuje kataklizmy. Widzimy np. że wszystkie ludy germańskie co do prawa małżeńskiego poddają się

wpływowi Kościoła, a więc zmieniają część swego systemu prawnego radykalnie, stosownie do rozwoju potrzeb moralnych, jaki towarzyszył przyjęciu chrześciaństwa, gdy w innych częściach pozostaje wiele z stanu dawnego; widzimy daléj, iż wiele postanowień soborów kościelnych przechodzi do praw germańskich, narusza ich jednolitość, a mimo to nie wywołuje zaburzeń. Tak samo wiele postanowień prawa rzymskiego weszło do systemów praw germańskich, przez co pierwotna jednolitość naturalnie doznała zmiany, rozwój jednak sam przez się nie został zakłóconym, lecz przeciwnie podnieconym w sposób niebywały, wzbogaconym nowemi pierwiastkami, tak pożytecznemi ze względu na nowe stosunki. Współdziałanie dwóch prądów sprzecznych w społeczeństwach i państwach zwłaszcza średniowiecznych, jest rzeczą dość zwykłą; istnieją one obok siebie i oddziaływają na siebie wzajemnie.

Skutkiem zetknięcia się z prawem rzymskiém nastąpiło nietylko przeistoczenie praw germańskich co do treści, ale i co do formy, mianowicie nastąpiło spisanie ich.

Spisanie prawa staje się możliwém dopiéro wtedy, gdy między prawem, a obyczajem i religią przedział jest widoczny. Dopóki prawo stanowi nieodłączną część pojęć obyczajowych i religijnych, dopóty o spisywaniu, a wogóle o wyodrębnieniu go nie może być mowy. Postęp cywilizacyjny z jednéj, a przyjęcie chrześciaństwa z drugiéj strony, przyczyniły się do tego, że Germanie zaczęli sobie zdawać sprawę z różnicy, która zachodzi między dziedziną prawa, a dziedziną religii i moralności; wówczas to prawo stanęło jako całość odrębna.

Konieczność spisania wywołaną została całym szeregiem ważnych przyczyn. Germanie rozrzuceni wśród ludności romańskiéj tracili ciągłość swych tradycyi i poczucia prawnego, które stanowiło dotychczas jedyne źródło prawotwórcze a zarazem jedyne źródło informacyjne. Prócz tego, zamiast sądownictwa ludowego na wiecach sądowych, występuje sądownictwo urzędników królewskich, którym spisy prawa są koniecznie potrzebne, tém więcéj, że niejednokrotnie chodzi o spory między Germanami a Rzymianami, a więc o kolizyę praw. Samo prawo ludowe staje się prawem państwowém w pełném tego słowa znaczeniu i nie może już polegać na ustnéj tradycyi, która z natury swéj jest zawsze chwiejna. Spisanie prawa odpowiadało więc konieczności, a celem jego było zaopatrzenie sędziów w przepisy potrzebne przy sprawowaniu urzędu, oraz zapobieganie wątpliwościom i trudnościom, które powstawać musia-

ły wobec nowych stosunków i wobec kolizyi codziennych, między Germanami a Rzymianami. Mylném byłoby mniemać, iż przy spisywaniu prawa Germanom chodziło o zachowanie swego rodzimego prawa; o tak patryotycznéj myśli nie mogło wówczas być mowy, a łatwość, z jaką Germanie poddawali się wpływowi prawa rzymskiego, oraz użycie języka łacińskiego, dowodzą tego dostatecznie. Ważném jest również, iż spisywanie prawa następowało niemal bez wyjątku na rozkaz królów i miało najczęściéj cechę kodyfikacyjną; obok prawa dawnego zamieszczano dużo innowacyi.

Wiemy dobrze, jak trudno o należytą redakcyę prawa nawet dziś, gdy technika nasza w tym względzie posunęła się dość daleko. O ileż trudniéj przychodziło to Germanom. Brakło im wzorów swojskich. To co przejmowali od Rzymian łatwo było ująć w formę odpowiednią, ale dla prawa własnego brakowało takiéj formy zupełnie. Dlatego téż księgi praw ludowych nie dają dokładnego pojęcia ani o stanie prawa i o głębokości poczucia prawnego, ani o zdolności prawotwórczéj i asymilacyjnéj. Mamy tu do czynienia z bezpośredniemi odbiciami stanu prawnego, jakim się on przedstawiał w danéj chwili, przy dość pospieszném spisaniu i bardzo niedostatecznéj obserwacyi; samo odbicie naturalnie również niedostateczne; zamiast obrazu, po mistrzowsku oddającego najważniejsze rysy i wnikającego w głębię duszy, mamy lichą fotografię, zdjętą nie zawsze w chwili korzystnéj, a zawsze złym aparatem i bez starań należytych.

Droga od myśli aż do jéj wyrażenia jest zawsze długa i trudna, zwłaszcza gdy do wyrażenia używa się języka obcego, jak w tym wypadku łacińskiego; mimowoli niejedno musiało przybrać postać rzymską.

Stopień romanizacyi prawa ludowego trudno więc oznaczyć; ze względu na okoliczności powyżéj przytoczone zachodzi często obawa przesady w jednym lub drugim kierunku. Zauważyć téż wypada, iż dowodów romanizacyi szukać należy nie tylko tam, gdzie widoczne jest oparcie się na instytucyach rzymskich, ale w równym stopniu i tam, gdzie cały skład myśli kazałby się nam spodziewać czegoś od prawa rzymskiego zgoła różnego, mianowicie czegoś czysto-germańskiego, a gdzie zamiast tego spotykamy próżnię. Tak więc nie tylko wyraźne przyjęcie pierwiastku rzymskiego, ale także przemilczenie pierwiastku germańskiego dowodzić może romanizacyi; milczenie jest czasem bardzo wymowne.

Licząc się z wadliwą techniką redakcyjną, oraz z okolicznością, iż Germanie posługiwali się językiem Rzymian, należy wy-

strzegać się przesady także w drugim kierunku; niejedno, co brzmi zupełnie po rzymsku, w istocie rzymskiém nie było, albo téż w praktyce zupełnie nie było zastosowywaném. Tym sposobem wytłomaczyć sobie można fakt, iż w czasach późniejszych, gdy wpływ rzymski już ustał, np. w X i XI w. występują objawy, przypominające czasy staro-germańskie. Objawy te dowodzą, iż przyćmione, ale niezatarte bezpośrednim wpływem rzymskim idee germańskie przetrwały wśród groźnych dla nich okoliczności, utrudniały zapewne dzieło romanizacyi i wypływały późniéj, gdy znikło światło, w którego blasku przez czas długi gasły.

Prototypem téj zdrowéj recepcyi prawa rzymskiego, tego wzajemnego przenikania się żywiołów rzymskiego i germańskiego, był rozwôj prawa frankońskiego. Przyjęto w niém niemal wszystko, co w prawie rzymskiém było jeszcze żywotne i dodatnie, skorzystano z wszystkich wpływów, które wywoływały ożywienie myśli prawnéj i pobudzały ją do szybszego życia, stworzono — naturalnie bezwiednie—system, który zachowując zdrowe pierwiastki germańskie, dał im ogładę i giętkość instytucyi rzymskich i w części przynajmniéj ich teoretyczną doskonałość. Prawo frankońskie służyło za wzór dla wszystkich niemal ludów niemieckich, usuwając nadmierną romanizacyę jednych, udzielając pierwiastków rzymskich drugim. Nie możemy tu zajmować się szczegółowo wyliczaniem wszystkiego, co w prawie średniowieczném polega na prawie rzymskiém. Powiemy tylko, że np. swoboda miejska i wyróżnienie miast polega na zasadzie terytoryalnéj, na mocy któréj pewne prawa obowiązują wszystkich mieszkańców pewnego terytoryum; miasta w ogóle w romanizacyi odgrywały znaczną rolę, gdyż wśród mieszkańców miejskich znajdował król germański zasady monarchiczne i poddanie się władzy naczelnéj, a więc podporę swéj potęgi. Także zasada immunitetu, na mocy któréj pewne miejscowości korzystały z praw wyjątkowych, polega na podstawie rzymskiéj, a również organizacya skarbowa i administracyjna. Bardzo często napotykamy wpływ rzymski w procesie sądowym, w ustroju sądownictwa i t. d. naturalnie w różnym stopniu, począwszy od zupełnie zromanizowanego sądownictwa i procesu Gotów wschodnich aż do umiarkowańszego w tym względzie sądownictwa frankońskiego.

Rozwój ten ważnym jest jednak nietylko dla praw germańskich, ale także i dla prawa rzymskiego.

Wiemy, że Germanie w ostatnich dwóch wiekach oddziaływali do pewnego stopnia na stan kultury rzymskiéj. Teraz w państwach, które założyli w prowincyach rzymskich, musieli jeszcze silniéj dzia-

łać na podległą im ludność romańską i działanie to odbijało się także w dziedzinie prawa. W miarę tego jak klasy wyższe, reprezentujące kulturę i prawo rzymskie w pełném znaczeniu, znikały, a klasy niższe, które od początku panowaniu Germanów sprzyjały, pozostawały — obok kleru — jedynymi reprezentantami przeszłości rzymskiéj, poziom prawa rzymskiego obniżał się jeszcze więcéj i w wielu względach Romanie zaczęli przyjmować pojęcia prawne germańskie; wystarczy przytoczyć w tym względzie przyjęcie walki rodowéj i zemsty prywatnéj przez ludność romańską w wielu okolicach.

Niesłuszném jest więc zapatrywanie niektórych historyków francuskich, jakoby Germanie nie dali byli światu średniowiecznemu nic nowego. Inne pytanie, czy to, co dali, było dodatnie, czy ujemne. Że wnieśli wiele ujemnego, to nie ulega wątpliwości, ale i to pewne, że nie oni sami spowodowali upadek kultury rzymskiéj i że nawet nie o wiele ten upadek przyspieszyli. Przeciwnie wśród upadku skorzystali jeszcze z niektórych pozostałości, których użyć było można i zapewnili tym pozostałościom, które przyjęli, trwałe znaczenie. Nie można Germanom zarzucać, iż to, co wnieśli nie było dostateczne do rekonstrukcyi cywilizacyi i prawa rzymskiego, boć nie takie było ich zadanie i nie na to rasy i ludy występują kolejno w historyi, aby ślepo zachowywać to, co ludy upadające wytworzyły i czego te ludy same już utrzymać nie mogły. Należy raczéj zauważyć, iż bez Germanów i ta częściowa rekonstrukcya cywilizacyi i prawa rzymskiego nie byłaby nastąpiła i w tém właśnie ogromna różnica między ludami germańskiemi, a np. takimi Hunnami.

Wnieśli téż Germanie nowy i ludom starożytnym nieznany pierwiastek indywidualizmu, z którego kiedyś miało wyrość pojęcie praw człowieka; skombinowali ten pierwiastek z pojęciem władzy i praw państwa, które poznali u Rzymian i stworzyli tym sposobem podstawę pojęcia państwa nowożytnego. Wnieśli pojęcie obowiązków społecznych, nadając im do pewnego stopnia charakter obowiązków prawnych, a nie należy téż lekceważyć ich zdolności przyswajania sobie tego, co w cywilizacyi i prawie starożytnem było dobrego, oraz zdolności kombinowania tego wszystkiego z skarbami chrześcijaństwa. Cywilizacya rzymska straciła była zdolność dalszego rozwijania się samodzielnego; prawo rzymskie już się zasklepiało. Chrześciaństwo nie mogło elektryzować skutecznie tworów martwych. Germanie schwycili z obumierającéj cywilizacyi i z stygnącego prawa rzymskiego to, czego im brakowało, przetrawili te

nabytki, przejęli je do swych systemów i stworzyli mniéj doskonałe, ale żywe ciało, w którém cyrkulacya soków była możliwą i które mogło się pod wpływem chrześciańistwa należycie rozwijać.

Przyjmując instytucye rzymskie zmieniano jednak ich treść w sposób nieraz bardzo ciekawy. U Rzymian zapożyczyli Germanie pojęcie państwa i godności cesarskiéj, a jednak nie potrzeba dowodzić, o ile państwo i cesarstwo frankońskie, a potém niemieckie różniły się od wzorów rzymskich. Zatrzymywano wiele urzędów rzymskich, co jednak nie przeszkadzało, iż działalność tych urzędów była czysto germańską. Stosunek beneficyalny, podstawa feudalizmu, opiéra się niezawodnie na długowiecznych dzierżawach emfiteutycznych rzymskich, ale związany z wasalstwem i moralnym obowiązkiem wierności, łącząc obok tego charakter stosunku prawno-prywatnego i prawno-publicznego, zmienił się do niepoznania. Podatki rzymskie w Francyi południowéj zamieniły się w prawno-prywatne renty i ciężary gruntowe, własność rzymska nabrała charakteru politycznego, dając właścicielowi ziemskiemu wyższość nad mieszkańcami na jego ziemi osiedlonymi, niewolnictwo rzymskie wreszcie, przyjęte formalnie w miejsce łagodniejszego germańskiego stosunku pana do sługi, zmieniło także swój charakter, przetwarzając się w poddaństwo pańszczyźniane.

Koronacya Karola Wielkiego na cesarza rzymskiego stanowi zakończenie ostateczne téj pierwszéj recepcyi. Przejmując pojęcie wszechwładnego cesarstwa przejęto ostatni istniejący kamień budowy państwowéj i prawnéj rzymskiéj; nic już więcéj do przejęcia nie pozostawało. Fakt zaś, że przyswojono sobie najwyższą godność rzymską dowodzi, iż zlanie się pierwiastku germańskiego z rzymskim, o ile wogóle było możebne, zostało dokonaném.

Z okresu przejściowego i przygotowawczego ludy germańskie przechodzą w okres rozwoju na podstawie samowiedzy, romanizm jako czynnk zupełnie samodzielny istniéć przestaje.

Alfred Halban.



BIOGRAFIA PSYCHOLOGICZNA

SŁOWACKIEGO.

Ferdynand Hösick. „Juliusz Słowacki, 1809—1849.“ Biografia psychologiczna. Kraków i Warszawa, 1897. Tom pierwszy, str. XII i 428; tom drugi, str. 318; tom trzeci, str. 417.

Od roku 1881, w którym ukazało się w drugiém, pomnożoném wydaniu dzieło profesora Małeckiego p. t. „Juliusz Słowacki, jego życie i dzieła w stosunku do współczesnéj epoki", — jedna z najznakomitszych u nas monografii historyczno-literackich, — materyały do biografii Słowackiego rosły z roku na rok; zbierali je skrzętnie lub opracowywali Biegeleisen, Méyet i wielu innych, nikt jednak nie wziął się do téj pracy z taką miłością, zapałem i gorliwością, jak p. Hösick, który od lat już kilku ogłaszał w przeróżnych czasopismach swe badania nad życiem Słowackiego; część ich wydał w roku 1895-ym w książce p. t. „O Słowackim, Krasińskim i Mickiewiczu. Studya historyczno-literackie", świéżo zaś wydał dzieło o imponujących rozmiarach, stanowiące owoc kilkoletniéj pracy, a zawierające w sobie całokształt biografii wielkiego poety. Ani jeden z poetów naszych — nie wyłączając Mickiewicza — nie ma dotychczas w literaturze naukowéj tak szczegółowego i wyczerpującego życiorysu.

I.

Trzytomowe dzieło p. Hösicka składa się z siedmiu ksiąg. Pierwsza obejmuje „Krzemieniec i Wilno, 1809—1829", druga—lata, spędzone „W Warszawie, 1829—1831", trzecia—„Początki emigracyi, 1831—1832", czwarta — pobyt „W Szwajcaryi, 1833—1836", piąta — „Wanderjahre, 1836—1838", szósta — obraz „Pełni twórczości i życia, 1839—1842", siódma—„Mistycyzm, 1842—1849".

Przyjrzyjmy się bardziéj szczegółowo, co każda z tych ksiąg w sobie zawiera, co zwłaszcza przynosi nam nowego w porównaniu z biografią Małeckiego.

Pierwszym latom życia aż do wyjazdu do Warszawy, opowiedzianym przez Małeckiego w jednym rozdziale (str. 1—32), poświęca p. Hösick całą pierwszą księgę (str. 1 — 220). Nowych ważnych faktów, któreby rzucały na młodość poety światło odmienne od tego, w jakiém przedstawił je Małecki, w téj księdze nie ma; są natomiast bardzo liczne drobne szczegóły, które pozwalają postać Słowackiego wycieniować subtelniéj i dokładniéj. Nadto p. Hösick roztacza przed czytelnikiem szczegółowy i barwny obraz otoczenia, w jakiém obracał się Słowacki w Krzemieńcu i w Wilnie, tak że wiemy dokładnie, pod jakiemi to wpływami rozwijał się jego umysł. Tak np. zaraz na początku dzieła mamy obraz Krzemieńca, jako rodzinnego miejsca poety, daléj — charakterystykę gimnazyum wileńskiego, uniwersytetu i t. d. Ludzie, którzy Słowackiego uczyli, ludzie, z którymi Słowacki żył, przyjaźnił się lub nawet przelotną zawarł znajomość; przedmioty szkolne i uniwersyteckie, jakich się uczył; stosunki z najbliższą i dalszą rodziną, pierwsza przyjaźń i pierwsza miłość; zabawy, sztuki teatralne, na które Słowacki uczęszczał (lub na które mógł uczęszczać); marzenia młodości, poetyczne plany na przyszłość, — wszystko to opisuje autor w sposób bardzo szczegółowy.

Charakterystyka rodziców Słowackiego jest bardzo dobra i trafna. Okazuje się, że po ojcu odziedziczył poeta nietylko żyłkę poetyczną, lecz i smutek, który „od powicia był towarzyszem" profesora Euzebiusza Słowackiego, a do tego jakiś pesymizm względem świata i ludzi, zgryźliwość charakteru, wreszcie zaś... skłonność do suchot. Więcéj jednak, aniżeli w ojca, wrodził się Słowacki w matkę; odziedziczył po niéj jedną z zasadniczych cech swego charakteru — marzycielstwo, które, podsycane jeszcze sposobem wychowa-

wania, miało stać się w przyszłości główną przyczyną jego cierpień i zawodów.

Surową, lecz, o ile sądzić można, prawdziwą jest charakterystyka ojczyma Słowackiego, doktora Augusta Bécu: „pod wykwintnemi pozorami kryła się marna dusza, pospolity charakter, a raczéj brak charakteru, co jeszcze za jedyną można uważać okoliczność łagodzącą, skoro nadejdzie czas wydać swój sąd o postępowaniu doktora Bécu.” Próżniak, sybaryta, lubiący opuszczać prelekcye uniwersyteckie, nad których opracowywaniem nie przysiadywał fałdów, wślizgujący się w łaski każdego, kto tylko zajmował wybitne stanowisko, albo posiadał tytuł hrabiowski lub książęcy, bez względu na to, „czém kto był, Polakiem, Francuzem czy Niemcem, żydem czy katolikiem”, był nadto profesor Bécu, „jako Polak, zerem, a dla takiego zera, aby się stać minusem *il n'y a qu'un pas*”. Wobec tego śmiało można powiedzieć, że światło, w którém wystawili go Lelewel i Mickiewicz, jest prawdziwe, chociaż p. Hösick jest zdania, że ich wyrok był „za ostry”.

Na lata uniwersyteckie (1825 — 1828) przypada miłość Słowackiego do panny Ludwiki Śniadeckiéj, miłość, która, według słów poety, „pierwszą i ostatnią była — i najsilniejsza z uczuć...” Małecki powiada o tém uczuciu, że Słowacki „rozgorzał całą namiętnością rozkochanego po raz pierwszy młodzieńca”, zdaje się więc mniemać, że pierwsza jego miłość była istotnie bardzo głęboka; Chmielowski w swym zarysie „Kobiéty Mickiewicza, Słowackiego i Krasińskiego” nie wypowiada swego poglądu na jéj rodzaj i charakter. P. Hösick szczegółowo zastanawia się nad tą kwestyą. Podawszy udatną charakterystykę panny Śniadeckiéj, stara się wyjaśnić przyczyny, dla których Słowacki zapłonął ku niéj miłością; główną przyczyną było poprostu to, że poeta był głęboko przekonany, iż, póki się nie zakocha, póty prawdziwym poetą nie będzie. „W Słowackim—powiada autor — jak późniéj, tak i teraz, z mężczyzną szedł zawsze w parze poeta; nawiasem mówiąc, brał ten ostatni bardzo często górę nad pierwszym. Podobnie miała się rzecz i z tą „pierwszą i ostatnią” miłością. Jako młody bajronista-romantyk, nie czuł się nim Słowacki w zupełności, dopóki nie miał „kochanki”; kochanka bowiem, „dziewica-anioł”, była warunkiem *sine qua non*, jeżeli ktoś rościł sobie pretensye do tytułu romantyka-bajronisty. Skoro się raz postanowiło naśladować bohatérów Byrona, trzeba było koniecznie i przedewszystkiém zakochać się, o ile możności bez nadziei; bo miłość romantyczna, tak pojęta, jak ją pojmował Byron, nie powinna być sielanką, lecz tragedyą: tylko taka miłość jest poetyczną. O to,

zaś, żeby być poetycznym, chodziło romantykom najbardziéj. Szczęściem w miłości, wzajemnością, gardzili; uważali bowiem, że szczęście jest prozaiczném. Poetycznym był Werther, poetycznym był Gustaw w „Dziadach" Mickiewicza, poetycznym był René Chateaubrianda, poetycznym był Manfred Byrona; chcąc być poetycznym, jak oni, należało kochać się, jak oni, nieszczęśliwie: albo w kobiétach zamężnych, wiernych swoim mężom; albo w rodzonych siostrach, które kochać miłością nie-braterską jest grzechem; albo w cudzéj narzeczonéj, jak Mickiewicz; albo w kobiécie z wyższéj sfery, w hrabiance lub księżniczce, jeżeli się samemu było zwykłym szlachcicem, lub, jak Ludwik Spitznagel, nie-szlachcicem; tylko taką miłością wolno było się kochać poecie. Tylko z takiéj miłości może się zrodzić Werther, tylko taka miłość może natchnąć do napisania „Dziadów". Z podobnego wychodząc założenia, postanowił i Słowacki, który tak dbał o to, ażeby miéć „poetyczne życie", zakochać się; bez tego nie mógł życia swego nazwać „poetyczném". Słowa te doskonale charakteryzują i rodzaj „pierwszéj i ostatniéj" miłości i samego poetę; wszędzie i zawsze fantazya górowała u niego nad refleksyą i uczuciami, ona téż grała najważniejszą rolę w tém uczuciu. Słuszny wniosek ze swych słów wyprowadza p. Hösick, mówiąc, że „pierwsza miłość Słowackiego nie była miłością prawdziwą, rzetelną, z serca płynącą, ale miłością młodego poety, miłością wmówioną, istniejącą w wyobraźni." A do tego możnaby jeszcze dodać (na co p. Hösick zapewne nie zgodziłby się), że po części i późniejsze miłości Słowackiego miały, mniéj lub więcéj, ten sam charakter i z tegoż płynęły źródła, t. j. nie tyle z serca, ile z fantazyi.

Jeszcze jeden szczegół z księgi pierwszéj, wymownie świadczący, jak wielka była w młodym poecie przewaga fantazyi nad innemi władzami ducha. W dzieciństwie był Słowacki bardzo pobożnym, Bogu polecał wszystkie potrzeby swego serca, błagając Go o to przedewszystkiém, „żeby mu dał życie poetyczne, choćby zresztą najnędzniejsze,—żeby był pogardzony przez cały wiek swój, — i tylko żeby mu za to dał nieśmiertelną sławę po śmierci." Lecz przedwczesny rozwój umysłu i fantazyi sprawił, że wcześnie, bo już w roku 1827 „zaczynał tracić wiarę", jak powiada w swym pamiętniku. Nie ulega jednak wątpliwości, że i tu wchodziły w grę nie tyle przekonania, wyrobione drogą systematycznych rozmyślań nad sprawami religijnemi (bo do tych Słowacki chyba nie był zdolny), ile ta sama fantazya, która kazała mu się zakochać. Młodzieńcowi imponowała myśl, że, „tracąc wiarę", będzie większy, mędrszy od

przeciętnego ogółu, o co mu zawsze chodziło. A późniéj pod wpływem li tylko fantazyi zerwał przymierze z Bogiem, które, jak powiada, zawarł w roku 1817-ym w kościele katedralnym, modląc się o nieśmiertelną sławę, i zawarł „przymierze z szatanem", a „zły duch pochwycił jego przymierze." Ma zupełną słuszność p. Hösick, twierdząc, że wszystko to było wybrykiem nieokiełznanéj imaginacyi poetycznéj, którego na seryo brać niepodobna.

W lutym 1829-go roku wyjechał Słowacki—na życzenie matki, która pragnęła, aby jéj syn zaczął sam na siebie pracować — do Warszawy i bawił tu aż do marca roku 1831. Tutaj znów mamy obszerną charakterystykę ówczesnego życia warszawskiego—towarzyskiego i literackiego, dowiadujemy się, z kim miał Słowacki stosunki i t. d. Jego stan psychiczny — zniechęcenie nudną i suchą pracą biurową w kancelaryi księcia Lubeckiego, jego tęsknota, marzenia i rojenia znalazły w książce p. Hösicka należyte uwzględnienie. Kiedy przyszła rewolucya, Słowacki napisal kilka pieśni patryotycznnych, poczém nagle — dnia 8 marca 1831 roku — wyjechał zagranicę. To stanowi treść księgi drugiéj.

W księdze trzeciéj widzimy Słowackiego we Wrocławiu, Dreźnie, Londynie i Paryżu. Wyrzuty sumienia z powodu wyjazdu z kraju głuszył w sobie Słowacki, szukając różnych wrażeń. W Dreźnie np. igrał z uczuciem córki swéj gospodyni, młodéj Saksonki, któréj „naiwność" podobała mu się. Takim Słowacki był zawsze,—zawsze lubił „kruszyć serca i patrzéć, jak cierpią." Coś podobnego powtórzy się niedługo w Paryżu. Ale przedtém jeszcze wyjechał poeta do Londynu; prof. Małecki nie umiał powiedziéć dokładnie, z jakiéj przyczyny to nastąpiło, wiedział tylko, że Słowacki miał doręczyć komuś „listy dyplomatyczne, pisane w sprawie publicznéj." P. Hösick wyjaśnia tę kwestyę bliżéj: Słowackiemu polecono doręczyć listy dyplomatyczne generałowi Grouchy.

Opuściwszy Londyn we wrześniu roku 1831, skazał się Słowacki na dobrowolną emigracyę i osiadł w Paryżu. Szkoda, że autor skreślił stosunki emigracyjne nie tak obszernie i wszechstronnie, jak — w poprzednich księgach — stosunki wileńskie i warszawskie; bądź co bądź, charakterystycznych rysów emigracyi nie braknie. Udział Słowackiego w życiu emigracyjném, jego stosunek do różnych stowarzyszeń, jak np. do „Towarzystwa litewskiego i ziem ruskich", lub do „Towarzystwa Demokratycznego", wyjaśnił p. Hösick ze wszelkiemi szczegółami. Równie szczegółowo opowiada o przykrych stosunkach Słowackiego z Mickiewiczem. Wiadomo, że Słowacki miał do Mickiewicza — przez swą próżność, a po czę-

ści, nazywając rzeczy po imieniu, przez zazdrość — głęboką niechęć, któréj ukryć nie potrafił; wprost niesmaczne są niektóre wyrażenia w jego listach, jak to np., że „Mickiewicz na portrecie do bociana podobny", albo że „po liderlichowsku wygląda"; bez żadnego taktu i delikatności postąpił sobie Słowacki, przypominając Mickiewiczowi na uczcie, wydanéj dnia 7 sierpnia 1832 roku na cześć generała Dwernickiego, o przykrém dla autora „Grażyny" zajściu w Wilnie w domu państwa Bécu, kiedy to Jan Śniadecki natrząsał się z „Ballad i romansów", udając, że ich autora nie widzi, a doktór Bécu, zamiast ująć się za swym gościem, zaczął jeszcze wtórować Śniadeckiemu. Słowem, z początku, jeżeli były nieporozumienia pomiędzy Słowackim a Mickiewiczem, winien tam był Słowacki, na co zresztą p. Hösick w zupełności przystaje. Lecz niebawem niechęć Słowackiego wzrosła, a to z tego powodu, że — jak pisze w liście do matki — Mickiewicz miał się wyrazić, że jego „poezya jest śliczna, że jest to gmach, piękną architekturą stawiany, jak wzniosły kościół, ale w kościele Boga nie ma." I tu p. Hösick nie widzi jeszcze winy Mickiewicza: „Mickiewicz—powiada całkiem słusznie—poruwnywując poezye Słowackiego do pustego kościoła, powiedział o nich szczerze to, co myślał; a na usprawiedliwienie jego godzi się przytoczyć zdanie, które w lat kilka potém sam Słowacki wypowiedział o tych pierwszych tomach swojéj poezyi, zdanie, które innemi słowy mówi to samo, co powiedział Mickiewicz: pierwsze tomy poezyi moich — pisał Słowacki w roku 1839 w „Młodéj Polsce"—są bez duszy." Inaczéj zapatruje się autor na napiętnowanie doktora Bécu w trzeciéj części „Dziadów", mówiąc, że Mickiewicz w niegodny sposób „pomścił się" na mężu pani Bécu, że „wzgląd na rodzinę, pozostałą po nim, byłby stanowczo, gdyby natrafił na inne, mniéj zacięte usposobienie, wpłynął na napisanie „Dziadów" inaczéj, niż były napisane." Dowiadujemy się rzeczy zupełnie nowéj, że Mickiewicz miał serce mściwe i usposobienie zacięte. Dodaje p. Hösick, że już wówczas nie brakło takich, którzy mieli za złe Mickiewiczowi jego postępek, jak np. doktór Antoni Beaupré, a nawet Odyniec i Alexander Chodźko. Otóż pozwolę sobie wyrazić na tę sprawę nieco odmienne zapatrywanie. Nie przecząc bynajmniéj, że przeczytanie trzeciéj części „Dziadów" było dla Słowackiego nożem w serce, że więc nienawiść względem jéj autora jest odtąd zrozumiałą, jeżeli nawet nie konieczną,— mniemam jednak, że nie chęć osobistéj zemsty wpłynęła na wyznaczenie doktorowi Bécu takiéj, a nie innéj roli, a to dla téj prostéj przyczyny, że w sercu Mickiewicza na uczucie osobistéj zemsty nie było miejsca, chociaż p. Hösick twierdzi

(na str. 98 tomu I), że Mickiewicz przed laty jeszcze „p o p r z y s i ą g ł w d u c h u z e m s t ę” domowi państwa Bécu. Nie chęć zemsty, lecz głębokie przeświadczenie o szczytném powołaniu poety, który, według Mickiewicza, ma takie samo prawo, a nawet taki sam obowiązek piętnować haniebne postępki w swém społeczeństwie, jak opromieniać czyny bohaterskie i wzniosłe, skłoniło Mickiewicza do wystawienia ojczyma Słowackiego w tak ponurém świetle,—w świetle, nie o wiele ciemniejszém od tego, w jakiém wystawił go sam p. Hösick (I, 44 nast.).

Drobny zatarg Słowackiego z Eustachym Januszkiewiczem z powodu zamiaru wybicia medalu pamiątkowego chyba o tyle tylko zasługuje na wzmiankę, że od téj chwili datuje się niechęć Januszkiewicza do Słowackiego, która w kilka lat później miała poecie wiele krwi napsuć. Tak przynajmniéj twierdzi p. Hösick.

Pannie Corze Pinard i jéj miłości ku Słowackiemu poświęca autor osobny rozdział księgi drugiéj, opowiadając daleko szczegółowiéj, aniżeli Małecki, o wizytach Słowackiego u panien Pinard, o spacerach z panną Corą, o „zadziwiających postępach”, jakie panna Cora w miłości robiła, a nawet o pocałunkach. Czy na tak drobiazgowém przedstawieniu rzeczy zyskuje charakter Słowackiego? Nic a nic; przeciwnie—całe jego postępowanie dowodzi w nim, prócz wielkiéj wrażliwości, wielkiego egoizmu. Bo czy Słowacki naprawdę kochał pannę Corę, czy prawda, że z początku „miłość w sercu Juliusza daleko większe czyniła postępy, aniżeli w sercu Cory”, — jest rzeczą wątpliwą. Słowacki, spostrzegłszy w młodéj dziewczynie naprzód sympatyę, a późniéj miłość, pokochał nietyle pannę, ile tę jéj miłość ku sobie, rozkoszował się bez porównania więcéj tém uczuciem, które wzbudzał, niż tém, które czuł, wołąc daleko być przedmiotem miłości, niż kochać. Pannie Corze raz wprawdzie powiedział, że ją kocha, ale tylko — jak sam mówi — „przez grzeczność”. Takiego rodzaju grzeczność jest rzeczą, mówiąc grzecznie, co najmniéj niestosowną. Zresztą co do saméj panny Cory, trzeba się najzupełniéj zgodzić z autorem, że w „galeryi postaci niewieścich, grających mniejszą lub większą rolę w życiu Słowackiego, Cora Pinard jest jedną z najwdzięczniejszych, a zarazem jedną z tych, które go kochały najbardziéj, najgoręcéj.”

Księga czwarta przenosi nas do Szwajcaryi, dokąd Słowacki wyjechał dnia 26 grudnia 1832 roku. Lwią część téj księgi zajmuje naturalnie opowiadanie o Eglantynie Patteg (czyli właściwie Pattey) oraz o Maryi Wodzińskiéj. Uczucie Słowackiego do téj ostatniéj widzi p. Hösick we właściwém świetle. Genezą miłości była tym

razem nie miłość własna, lecz potrzeba serca. Serce poety, stęsknione za krajem i za swoimi, potrzebowało kogoś pokochać, aby w tém uczuciu znaléść pociechę, szczęście i spokój, a do Eglantyny, mimo że ta przywiązała się do poety, „jak siostra i jak matka, i jeszcze...", zabić nie chciało; zabiło za to do „anioła, podobnego téj niewieście", którą Słowacki kochał „z całéj duszy, będąc jeszcze dzieckiem", — do panny Maryi Wodzińskiéj, która była nieco podobna do Ludwiki Śniadeckiéj. Nie odrazu poczęła się ta miłość. Z początku panna Wodzińska była Słowackiemu obojętną, późniéj przekonał się. „że oczy jéj wywierały na niego jakiś wpływ magnetyczny, że zależało mu na tém bardzo, aby się jéj podobać, aby ją zaciekawić, zainteresować sobą, że przyjemnie mu było z nią rozmawiać, że go rozmarzała swoją grą na fortepianie, że z nikim tak chętnie, jak z nią nie tańczył kadryla, że cieszył się, kiedy go wybrała w mazurze, że wobec niéj jednéj tylko czuł się niekiedy onieśmielony, i że przykro mu było, jeżeli go nie wyróżniała" (II, 68). Dopiéro po tych precedensach nastąpiła miłość, — miłość, jak się zdaje, prawdziwa, która jednak kulminacyjnego punktu dosięgła wtedy, kiedy Słowacki rozstał się z panną Wodzińską; wówczas bowiem dopiéro, rozpamiętując przeżyte w Genewie chwile i opromieniając je swą fantazyą, wywoływał silniejsze bicie serca, niż jakiego doznawał, przebywając w towarzystwie panny. I tu więc fantazya ważną odgrywała rolę; ale tym razem inaczéj być nie mogło: rojenia fantazyi musiały mu zastąpić rzeczywistość, która była dlań smutną, bo panna Wodzińska nie odpłacała mu nigdy wzajemnością. Twierdzi wprawdzie p. Hösick, że przyszła pani Orpiszewska starała się, „ażeby Słowacki chwilami niezupełnie tracił nadzieję", że „trochę w nim tę nadzieję podsycać doradzała nawet kokieterya." Ale jedynym na to dowodem autora jest to, że „kobiéta, choć nie kocha, widząc jednak, że jest kochaną, wszelkich będzie dokładała starań, ażeby zakochanego w niéj mężczyznę coraz silniéj przykuwać do siebie: o tyle obojętny jéj nie jest nigdy, żeby nie miała czuć się dotkniętą w swojéj miłości własnéj, widząc go, że stygnie i że coraz bardziéj wraca do równowagi. Tego żadna nie zniesie apatycznie. Cóż dopiéro, jeżeli to jest istota, w któréj żyłach płynie odrobina krwi włoskiéj!" Że ten argument jest tylko frazesem, który wobec wiarogodnych świadectw o postępowaniu panny Wodzińskiéj względem Słowackiego, żadnego znaczenia nie posiada, zbyteczna mówić. Nie posiadłszy więc serca w rzeczywistości, Słowacki posiadł je całkowicie w swych marzeniach. Tylko w marzeniach mógł sobie mówić: „moja Marya", tylko w marzeniach mi-

łość ta wyglądała tak, jak ją przedstawił w poemacie „W Szwajcaryi”, bo że w nim miał na myśli pannę Wodzińską, o tém—pomimo gwałtownych protestów p. Zagórskiego — nie wątpi chyba nikt. I znów mamy przed sobą jeden z najcharakterystyczniejszych rysów indywidualności poety: fantazya zastępowała mu rzeczywistość.

O pobycie Słowackiego w Rzymie, Neapolu i Sorrento (początek księgi piątéj) opowiada p. Hösick szczegółowo i zajmująco. Zwłaszcza znajomość Słowackiego z Krasińskim skreślił doskonale, i należycie ocenił wpływ, jaki ona na Słowackiego wywarła. W Sorrento poeta miał być, według autora, bohatérem sielanki miłosnéj któréj bohatérką była „młoda i piękna” Włoszka. W liście do matki pisze wprawdzie Słowacki: „Czasem, jak w obrazach włoskich albo flamandzkich, słuchałem oparty na murze grającéj na gitarze dziewczyny. Była to młoda moja gospodyni, która mi ciągle dawała serenady”; a w „Podróży do Ziemi Świętéj z Neapolu”, powiada:

Ja wiem, że wiele winienem kochance;
Sama po włosku uczyła mnie czytać,
Improwizować (ale nie przy szklance),
Brwi smutnie marszczyć, we śnie płakać, zgrzytać...
Ona uczyła mnie chodzić, jak scenarz...
Wmówiła we mnie, że zamiast Ojcze-nasz
Lepszą modlitwą... księżyco-wzdychanie.

Lecz czy przytoczone słowa listu i „Podróży” upoważniają do wniosku, że „tak się zaczął prędko romans klecić”? Skąd przedewszystkiém wié p. Hösick, że w przemowie miał Słowacki na myśli właśnie ową „młodą i piękną” Włoszkę (*nb.* o piękności Słowacki nie mówi nic)? Skąd wié, że poeta miał na myśli jakąś rzeczywistą istotę? Jeżeli posiłkowanie się dziełami każdego wogóle poety, jako źródłem dla jego życiorysu, wymaga zachowania wielkiéj ostrożności, to szczególniéj da się to powiedzieć o pismach Słowackiego, którego listy nawet zawierają w sobie niewątpliwie obok szczegółów rzeczywistych, szczegóły ze świata fantazyi. P. Hösick zdaje się o tém zapominać niekiedy, jak tego dowodzi owo opowiadanie o „romansie” z Włoszką, który byłby tém więcéj rażącym, że Słowacki przecie — jak o tém kilkakrotnie zapewnia nas autor — wciąż jeszcze myślał o pannie Wodzińskiéj.

Podróż Słowackiego do Grecyi, Egiptu, Ziemi Świętéj i Syryi opisuje p. Hösick ściśle na podstawie „Podróży do Ziemi Świętéj z Neapolu”, drobnych utworów („Odwiedziny piramid”, „Pieśń na Nilu” i t. d.), dziennika i listów. I tu przydałaby się krytyka tych

źródeł—z powodów, wyłuszczonych wyżéj. Najsilniejszego wrażenia swéj podróży wschodniéj doznał Słowacki w nocy z dnia 14 na 15-ty stycznia 1837 roku, kiedy to kilka godzin przepędził na modlitwie u Grobu Pańskiego. „W Słowackim — czytamy w dziele p. Hösicka—dokonała ta bytność przy Grobie Chrystusowym doniosłego przewrotu moralnego, tak dalece, iż możnaby prawie powiedzieć o nim, że innym tu wszedł człowiekiem, a innym — lepszym — wyszedł. W jego życiu duchowém jest ta noc z dnia 14 na 15 stycznia, spędzona samotnie u grobu Chrystusa, chwilą przełomu, pod religijnym względem przynajmniéj, odtąd bowiem nietylko się utwierdził stanowczo w zasadach wiary, ale i katolicyzm jego nabrał hartu, siły przekonania i „dumy“ (II, 237). Otóż jest rzeczą wątpliwą, czy ta jedna noc dokonała w duszy poety „doniosłego przewrotu moralnego“, a zwłaszcza „czy katolicyzm jego nabrał hartu, przekonania i „dumy“. Słowacki, jako natura wysoce nerwowa, był niesłychanie wrażliwy na otoczenie — to prawda; ale, jak to bywa zazwyczaj u takich natur, doznane wrażenia mijały dość szybko; zależało to naturalnie od mniejszéj lub większéj ich siły, — wrażenie nocy, spędzonéj w Jerozolimie, było dość silném, aby pozostawić w duszy poety ślady trwalsze, co widać choćby z tego, że wkrótce potém, w klasztorze Bet-chesz-ban, odbył spowiedź i zamierzał nawet wstąpić do zakonu. Z tém wszystkiém jednak wrażenia te szybko przeminęły, i Słowacki został zupełnie takim samym człowiekiem, jakim był poprzednio, a że katolicyzm jego bynajmniéj nie nabrał „hartu, siły przekonania i dumy“, o tém mogą coś powiedzieć niektóre oktawy „Beniowskiego“.

Ze szczegółów pobytu Słowackiego we Florencyi przytacza p. Hösick jeden, pominięty przez Małeckiego; jest nim przelotna „miłość“ Słowackiego ku jakiéjś prostéj dziewczynie, Florentynce. Nie wieleby straciła biografia poety, gdyby autor ten epizod pominął.

Na nowéj miłości Słowackiego kończy się księga piąta. Od panny Anieli Moszczyńskiéj nie doznał Słowacki wzajemności i dopiéro późniéj, już po jéj śmierci, która nastąpiła w kilka miesięcy po jego wyjeździe z Florencyi, zapomniał o swém niepowodzeniu do tego stopnia, że przypisywał pannie Moszczyńskiéj zamiary, jakich ona nigdy nie miała: „Choćby to było u niéj chwilową tylko myślą, aby mnie wybrać z tłumu i zrobić szczęśliwym, to już jéj to nadało w oczach moich postać litosnego anioła, a śmierć jéj dopełniła obrazu. Ileż razy teraz, chodząc po ciemnych alejach tutejszego (paryskiego) ogrodu, zdaje mi się, że mi ona drogę za-

chodzi, że się jéj cień rumieni i, spuszczając oczy, pyta się: dlaczegoś mnie nie kochał?“ Tak więc w marzeniach Słowackiego, jak świadczą powyższe słowa, wyjęte z listu do matki, role ich zmieniły się na wprost przeciwne: panna Aniela jego kochała, on był względem niéj obojętnym!! Jestto nowy dowód, jak dalece fantazya Słowackiego odbiegała od rzeczywistości.

W księdze szóstéj jest już Słowacki na paryskim bruku, wśród „przekleństw i kłamstwa, niewczesnych zamiarów, zapóźnych żalów, potępieńczych szwarów.“ Jak oddziaływała nań ta przykra atmosfera, to w całéj pełni odsłania przed nami p. Hösick, szczegółowo zwłaszcza opisując stosunek Słowackiego do Mickiewicza i do „Litwy.“ Na całe to smutne i przykre zajście, będące wymowną ilustracyą stosunków emigracyjnych, rzucają badania p. Hösicka sporo nowego światła, wykazując, że uczta, wydana przez Eustachego Januszkiewicza na cześć Mickiewicza, odbyła się nie 24, lecz 25 grudnia roku 1840, że na następną ucztę (dnia 1 stycznia r. 1841) Słowacki nie przyszedł, że więc puharu Mickiewiczowi wręczyć na niéj nie mógł. Przyczyną niechęci, jaką Słowacki powziął ku Mickiewiczowi na nowo, były intrygi kilku emigrantów z Januszkiewiczem na czele, którego relacya o całéj sprawie jest nie tylko do najwyższego stopnia stronną, ale wprost fałszywą, i który — jak tego dowiódł p. Hösick [1]) — jest autorem artykułu (czyli raczéj paszkwilu) p. t. „Improwizatorowie“ (w poznańskim „Tygodniku Literackim“), przypisywanego dotychczas Napoleonowi Ordzie. Dzięki wyjaśnieniu tego całego zajścia, rozumiemy teraz dokładnie przyczynę goryczy i żółci, jakiemi zaprawił Słowacki koniec piątéj pieśni „Beniowskiego.“ Prawda, że Słowacki miał usposobienie drażliwe i że w obcowaniu z ludzmi (jak to widać z książki p. Hösicka) zbyt przyjemnym nie był, ale że w stosunkach z emigracyą zawiniła nie tylko jego zgryźliwość i duma, lecz i zła wola innych ludzi, — to także wątpliwości nie ulega.

Dalszym ciągiem nieporozumień ze stronnictwem Mickiewicza, był niedoszły do skutku pojedynek z jednym z literatów na emigracyi, Ropelowskim, który jednak w ten sposób bronił honoru „Litwy”, że do pojedynku nie stanął. Zresztą, czy to wszystko odbyło się rzeczywiście tak, jak opowiada autor (w rozdziale szóstym), to jeszcze kwestya, ponieważ jedyném źródłem w téj materyi są własne listy Słowackiego, a ten, jak wogóle lubił dramatyzować

---

[1]) Ob. „O Słowackim, Krasińskim i Mickiewiczu“, str. 196 nast.

swoje życie, tak i teraz może zbyt dramatycznie opisał swój „dzień donkiszotowski“ — na swoją korzyść, a na niekorzyść przeciwników.

W tych wszystkich przykrych zajściach ambicya i drażliwość Słowackiego uwydatniły się najlepiéj, a Mickiewicz postąpił tak, jak przystało zachowywać się człowiekowi, wyższemu ponad poziom słabości ludzkich,—milczał. Sam p. Hösick zresztą przyznaje, że „Mickiewicz mógł wszystko, co zaszło, ignorować i uważać za dziecińśtwo“ (III, 91).

Owe listy Słowackiego były pisane do pani Joanny Bobrowéj, która w tych czasach stała się „przedmiotem najnamiętniejszéj i najrzetelniejszéj miłości, jaką zapłonął ku kobiecie” (III, 53). Być może, choć nie zawadzi dodać, że źródłem tego epizodu w życiu poety są znów jego własne listy — jedne z najpiękniejszych, jakie kiedykolwiek napisał. Przebieg miłości ku pani Bobrowéj, nieznany Małeckiemu, opisuje p. Hösick ze wszelkiemi detalami. Była ona dla poety przez czas długi źródłem pociechy wśród swarów emigracyjnych, ale więcéj jeszcze, niż pociechy, przynosiła mu zmartwienia i goryczy, bo pani Bobrowa, pokochawszy Krasińskiego wielką i jedyną miłością, nie zapomniała o nim nawet wówczas, kiedy on ją porzucił, a przeto Słowackiemu wzajemną być nie mogła. Fantazya i tu zrobiła swoje, — Słowacki powiedział sobie: jeżeli Krasiński pozyskał serce téj kobiety, dlaczegóż ja nie mam próbować! Ale zawiódł się najzupełniéj.

Treścią księgi siódméj i ostatniéj są ostatnie lata życia Słowackiego, a więc jego stosunki z Towiańskim i Towiańczykami, pobudki natury moralnéj, jakie skłoniły go do uwierzenia w misyę Towiańskiego, jego udział w kole i zatargi w niém, utworzenie własnego kółka i samodzielna propaganda mesyanizmu, wpływ towiańszczyzny na jego charakter i twórczość, stosunki z Sewerynem Goszczyńskim, a późniéj nowe znajomości (z Kornelem Ujejskim, Wojciechem Stattlerem, Cypryanem Norwidem, Szczęsnym Felińskim i innymi), udział w życiu polityczném emigracyi, pobyt w Wielkopolsce i we Wrocławiu, wyjazdy z Paryża do kąpieli morskich, wreszcie—śmierć.

Metamorfozę moralną Słowackiego pod wpływem towiańszczyzny wyjaśnił i ocenił p. Hösick doskonale, słusznie twierdząc, że, choć ona nie wątpliwie zaszła, nie w tym jednak stopniu, jakby się to wydawać mogło. Duma i ambicya, chociaż zmniejszyły się troszkę (dowodem—pojednanie się z Mickiewiczem), jednak od czasu do czasu dawały energiczne znaki życia. I pod innemi względami zmiana w Słowackim zbyt radykalną nie była; tak np. „w teoryi głosił

zasady ascetyzmu, twierdził, że należy gardzić połyskiem woskowanych podłóg; w praktyce jednak, o ile miał sposobność utrzymywania stosunków towarzyskich, korzystał z téj sposobności." W konkluzyi dochodzi autor do następującego wniosku: „Jeśli się Słowacki zmienił pod wpływem Towianizmu, to zmiana ta nie była „tak realna i zupełna", jak mu się zdawało; zmienił się to prawda, któréj nikt przeczyć nie myśli, ale się zmienił niewiele. Kto wié nawet, czy i ta zmiana nie odbyła się głównie — w wyobraźni poety. Bo ile razy zdarzyła się sposobność, ażeby téj „realnéj zmiany" dowiéść czynem, wtedy zawsze brał górę „nieujeżdżony" Julek. Towianizm osiodłał go wprawdzie, założył mu munsztuk i trenzle, ale to jeszcze nie dowód, żeby rumak był ujeżdżony na prawdę, żeby nie zrzucił jeźdzca, kiedy go ten dosiąść pragnie, a zwłaszcza gdy od niego będzie wymagał pokory. Na tę nie zdobędzie się Słowacki nigdy. Gdzie będzie chodziło o drobnostki, tam pozwoli nad sobą przewodzić, ale gdzie będzie chodziło o rzeczy ważniejsze, tam stanie dęba, waźmie na kieł, a w końcu pozrywa wędzidła." Ciekawym przyczynkiem do charakterystyki Słowackiego jest i to także, że on, co niejednokrotnie mówił o marnościach tego świata, zaczął od roku 1842... spekulować akcyami; i „spekulował tak szczęśliwie, że np. w r. 1843 zarobił na szczęśliwem kupowaniu akcyi—głównie drogi żelaznéj Rouen—1,600 fr., w r. 1844—3,400 fr., w r. 1846—5,300 fr. Za to w r. 1848 stracił na akcyach 3,500 fr. Tym sposobem majątek jego w r. 1844 wynosił 16,746 fr., co mu pozwoliło wydać w ciągu tego roku 3,150 fr. Jeszcze lepiéj wiodło mu się w r. 1845, w którym majątek jego wynosił 10,476 fr." (III, 353).

Wogóle ze wszystkich ksiąg dzieła p. Hösicka księga siódma jest najcenniejsza, bo zawiera w sobie — w porównaniu z monografią profesora Małeckiego—najwięcéj nowych i częstokroć charakterystycznych szczegółów.

II.

Tak się przedstawia strona biograficzna w dziele p. Hösicka. Zawiéra ono w sobie wszystko, cokolwiek o życiu Słowackiego dało się powiedzieć: i na tém właśnie polega stanowisko i zasługa téj monografii. Ktokolwiek w przyszłości zechce czy to na nowo opracować życiorys poety, czy też zająć się psychologicznym rozbiorem jego poezyi, bez książki p. Hösicka nie będzie się mógł obejść. Tylko że w korzystaniu z niéj będzie musiał postępować

z pewną ostrożnością,—nie żeby autor był niesumienny lub stronny, lecz dlatego, że czasem opiéra się na źródłach, których wiarogodność może i powinna być podana w wątpliwość; przykłady wskazaliśmy wyżéj. Ten zarzut braku krytycyzmu względem źródeł dotyczy naturalnie tylko drobniejszych wypadków z życia Słowackiego, lepiéjby jednak było, gdyby i co do nich autor zachował się nie tylko krytycznie, lecz i sceptycznie. Małecki postąpił sobie pod tym względem o wiele ostrożniéj, przytaczając w cudzysłowie dłuższe nawet ustępy z listów Słowackiego i nie biorąc tym sposobem na siebie odpowiedzialności za wiarogodność wielu rzeczy drobnych, kiedy tymczasem p. Hösick postępuje w ten sposób, że parafrazuje słowa poety, przyjmując w nich wszystko za dobrą monetę; tak np. opis podróży do Grecyi jest dokładną parafrazą poematu Słowackiego. Gdyby autor był ostrożniejszym, jego książka zyskałaby nie tylko na powadze naukowéj, lecz i na zwięzłości, któréj brak spowodowała właśnie niezliczona moc szczegółów, przytaczanych bez względu na to, czy są one potrzebne, czy przyczyniają się do wyjaśnienia usposobienia, charakteru lub psychologicznéj genezy dzieł, czy nie. Tak np. dowiadujemy się, że przed wyjazdem Słowackiego do Warszawy świeciła na niebie wielka kometa, „która w Krzemieńcu najlepiéj dała się obserwować z cmentarza Frańciszkanów, a która, widziana zawsze po północy, zdawała się zapowiadać jakieś nieszczęście" (I, 217). Dowiadujemy się także, że przed wyjazdem z Paryża do Genewy, Słowacki o godzinie piątéj po południu zjadł obiad w restauracyi w towarzystwie pięciu przyjaciół, że w czasie podróży na wschód Słowacki i jego towarzysz Brzozowski zaprosili Hołyńskich na poncz, „który na humory mógł wpłynąć tylko dodatnio"; że, idąc na pojedynek z Ropelowskim, wypalił cygaro, zjadł dwa ciasteczka i wypił szklankę starego wina. I o tém, jak się ubierał Słowacki, nie zapomina p. Hösick. Czytamy więc, że poeta, wracając z podróży wschodniéj, nosił kostyum wschodni, że mianowicie kładł na siebie podartą koszulę, wełniany płaszcz arabski śnieżnéj białości, skarpetki perskie z różnokolorowéj wełny i grecką czapeczkę, i że „w stroju tym było mu bardzo do twarzy" (II, 268). Zwiedzając zaś wraz z rodziną Wodzińskich Szwajcaryę, miał na sobie płócienną bluzę, haftowaną zielonym jedwabiem, białe spodnie, kapelusz, pleciony z białéj i czerwonéj wełny, dość niski, ale z ogromnemi skrzydłami etc. A oto tryb życia poety na kuracyi w Pornie: „Wstawał rano,... kiedy wstał z łóżka, przedewszystkiém otwierał okno, którém mu zaraz powietrze, pachnące morzem i rosą poranną, napływało do pokoju. Najczęściéj, nim wyszedł z mieszka-

nia, stał w oknie,... potém w rannym negliżu, szedł kąpać się... Tam, rozebrawszy się na piaszczystém wybrzeżu, rzucał się w wodę, kładł się na falach, pluskał się, i ogromnie mu dobrze było w téj kąpieli pod gołém niebem... Po kąpieli wracał na pierwsze śniadanie" etc. (III, 279—280). Po co to wszystko? Jaki związek mają te i inne drobnostki z biografią psychologiczną? Czy wiadomość, jak się Słowacki ubierał lub co jadał, przyczyni się do wyjaśnienia genezy lub zrozumienia „Kordyana" albo „Beniowskiego"?

A czasem autorowi nie wystarcza jeszcze szczegółów, o których wspomina Słowacki w swych listach i poezyach; pragnie on koniecznie wydobyć na jaw i takie rzeczy, o których źródła milczą. Stawia więc cały szereg hypotez, które zaznacza zapomocą wyrazów: prawdopodobnie, być może, z pewnością, według wszelkiego prawdopodobieństwa, wolno się domyślać i t. d. Mówi autor w przedmowie, że „hypoteza nie jest wykluczona z metody badań naukowych, nawet w naukach ścisłych"; bezwarunkowo! W biografii i krytyce literackiéj hypoteza jest uprawniona tak samo zupełnie, jak w każdéj innéj nauce, potrzebna jest jednak tam tylko, gdzie idzie o wyświetlenie rzeczy ważnéj. Ale po co stosować metodę przypuszczeń do błahostek biograficznych, które, czy będą wyświetlone, czy nie, są najzupełniéj zbyteczne? Po co np. p. Hösick stara się koniecznie rozwikłać pytanie, gdzie Słowacki corocznie przepędzał wakacye: „Gdzie państwo Bécu spędzili tegoroczne (1819) wakacye, nie można odpowiedzieć na pewno. Najniezawodniéj w Mickunach" (I, 67). „Po wakacyach (1822), spędzonych na wsi w każdym razie, prawdopodobnie w Mickunach, Słowacki powrócił" i t. d. (I, 92). „Z nadejściem pory wakacyjnéj (1824) pojechali państwo Bécu na wieś, prawdopodobnie do Mickun" (I, 109). „W początkach lipca (1825), jak zwykle o téj porze, pojechano na wieś. Do Mickun, czy do Wierzchówki? W tym roku prawdopodobnie do Wierzchówki. Wiele względów przemawia za tém" (I, 113)? Sam autor przyznaje raz, że czy Słowacki spędził lato w Mickunach, czy w Wierzchówce, „jest kwestyą bez znaczenia" (I, 100). W innéм znów miejscu zastanawia się p. Hösick, na jakie miejsca chodził Słowacki do teatru: „O ile bywał z matką i siostrami, najprawdopodobniéj siadywał w jednéj z lóż; jako student uniwersytetu, gdy chodził sam, musiał bywać na parterze, który był zwykłém miejscem studentów" (I, 137). W liście, pisanym ze Szwajcaryi powiada Słowacki: „Cała publiczność ślizgała się na łyżwach, ja zaś musiałem wyznać, że nadto jestem niezgrabny i że ni-

gdy nauczyć się biegać po lodzie nie mogłem.“ P. Hösick dodaje od siebie. „Musiałem wyznać? Komu? To pytanie zostawia Słowacki bez odpowiedzi, ale przypuścić wolno, że pomiędzy tą ślizgającą się publicznością znajdowali się także i młodzi Wodzińscy z siostrami, a w takim razie nie trudno sobie wyobrazić i Słowackiego, który, spacerując po lodzie bez łyżew, kiedy go panna Maryanna zapytała, czemu się nie ślizga wraz z innymi, „musiał wyznać, że nadto jest niezgrabny“ i t. d. (II, 69). Albo jeszcze roztrząsa autor kwestyę, „z jakiego punktu mógł Słowacki przypatrywać się pogrzebowi Napoleona? Czy się postarał o miejsce na któréj z trybun, co było bardzo kosztowne, dzięki Anglikom, umyślnie przybyłym na tę uroczystość, a którzy przepłacali za miejsca na trybunach? Czy się tłoczył, wmieszany w owe tłumy ludu, które na obu trotuarach dusiły się pomiędzy ścianami domów a tornistrami gwardyi? Czy téż, zaproszony do kogo ze znajomych, co mieszkał na Polach Elizejskich, znajdował się na którym z tych udekorowanych balkonów, albo stał w oknie, z którego mógł widzieć wszystko jak na dłoni? Jestto pytanie, na które odpowiédź musi się opierać na przypuszczeniu tylko" (III, 56). Przypuszczenie jest takie, że Słowacki przypatrywał się pogrzebowi z okien mieszkania pani Bobrowéj.

Przykłady te są dostatecznym dowodem, że autor traktuje swój przedmiot zbyt drobnostkowo. Poważnego jednak zarzutu nie wolno robić z tego powodu p. Hösickowi; z pewnością sam nie przywiązuje zbyt wielkiéj wagi do takich szczegółów, a jeżeli je gromadził, uczynił to niezawodnie nie tylko przez sumienność, lecz i przez zamiłowanie do swego przedmiotu, przez pietyzm do Słowackiego i jego życia. Byłoby zapewne lepiéj, gdyby w monografii tylu drobiazgów nie było: dzieło zyskałoby wielce na przejrzystości i perspektywie, ale i tak, jak jest, — powtarzam raz jeszcze—daje książka p. Hösicka pełny obraz życia wielkiego poety.

Miał autor zupełne prawo nazwać ją „biografią psychologiczną“, obok bowiem strony zewnętrznéj życia Słowackiego wszędzie uwzględnia stronę wewnętrzną, jego myśli i uczucia, jego charakter i chwilowe usposobienie. I z tego zadania wywiązał się, jak należy,—na podstawie jego dzieła możemy zdać sobie jasno sprawę, co było dla Słowackiego drogiém, a co wstrętném, o czém marzył, za czém tęsknił, co go skłoniło do wyjazdu z Paryża lub z Genewy, a co do rzucenia się w objęcia towiańszczyzny, jakie wrażenie wywierały nań głosy prasy peryodycznéj o jego dziełach (które p. Hösick z wielką skrzętnością zbiéra) i t. p.

Zobaczmy teraz, jakim jest sąd autora o Słowackim, czy jest bezstronnym względem jego życia i charakteru? Powiada p. Hösick w przedmowie, że trzymał się zasady, „ażeby niczego, a przedewszystkiém Słowackiego nie idealizować“, że starał się przedstawić go „w świetle prawdziwém, nie sztuczném, słowem skréślić jego wizerunek realistyczny, nie upiększony, silny nacisk kładąc na niezaprzeczone i wielkie przymioty jego,... jak i na wszystkie wady i słabostki téj narcyzowéj natury.“ I dotrzymał p. Hösick téj obietnicy. Nie tai się wprawdzie bynajmniéj ze swym pietyzmem dla poety (co może tylko być poczytane za prawdziwą zaletę autora i dzieła), przyznaje się otwarcie, że nie zna „poetyczniejszego żywota, jak to życie, które starał się odtworzyć“ (co do téj poetyczności jestto naturalnie kwestya osobistego poglądu; ale zdaje mi się, że życie Mickiewicza było o wiele poetyczniejsze, choćby już przez to jedno, że Mickiewicz o swéj poetyczności nie myślał tak ciągle i nie wmawiał jéj w siebie tak ustawicznie, jak Słowacki, a „poświęcenie“, o którém wspomniał kiedyś Słowacki, było u Mickiewicza — w czynach, u Słowackiego—w fantazyi); nie ukrywa téż swéj niechęci p. Hösick względem tych, co Słowackiego nie lubili, w kwestyach wątpliwych staje zwykle w jego obronie (w czém często słuszności nie podobna mu odmówić, bo prawdą jest, że ludzie byli często niesprawiedliwymi względem biednego poety), ma widoczny żal do krytyków, którzy na piękności poezyi Słowackiego poznać się nie umieli lub—daleko częściéj—nie chcieli (pod tym względem i Mickiewicz nie jest bez zarzutu, skoro w swych prelekcyach o Słowackim nie wspomniał): ale to wszystko bynajmniéj nie dowodzi stronniczości autora.

Natomiast możnaby przytoczyć bardzo wiele dowodów, świadczących że p. Hösick sądzi Słowackiego zupełnie bezstronnie. Kreśląc koleje jego życia, nie obwija w bawełnę nic, powtarza np. za Odyńcem zajście Słowackiego z Hrehorowiczem w Warszawie, bo choć „wolałby przemilczéć o tym wypadku“, jednak wspomniéć o nim „nakazuje obowiązek“ (I, 248). Równie bezstronnym jest autor w swym sądzie o charakterze Słowackiego. Przyznaje otwarcie, że była to „w gruncie rzeczy natura narcyzowa, rozkochana w sobie, charakter dumny i ambitny, nacechowany ogromną dozą próżności“ (III, 241), że w jego charakterze były sprzeczności, jak ta np., że „ten apostoł idei demokratycznéj sam osobiście demokracyi nie lubił i wolał z nią, o ile możności, jaknajmniéj miéć do czynienia, choćby dlatego tylko, że wiedział,

. . . . jak jest niebezpiecznie
Z demokratami nie być dosyć grzecznie“ (I, 75).

Z wygórowanéj próżności Słowackiego zdaje sobie p. Hösick doskonale sprawę, skoro powiada: „Jedna rzecz tylko, można być pewnym, nie sprzykrzy mu się nigdy: to hołdy uwielbienia, to kadzidło pochwał, choćby najbanalniejszych. Pod tym względem pozosta nie niepoprawnym do końca życia prawie. Zawsze był wrażliwy i czuły na pochwały; teraz, kiedy się drukowały jego poezye, był wrażliwszym i czulszym jeszcze, niż kiedykolwiek. Poprostu, doznawał zawrotu głowy, kiedy słyszał lub dowiadywał się, że o nim mówiono, że o nim mówiono dobrze, że zaczynał budzić zainteresowanie swoją osobą zarówno, jak i swojemi pismami“ (I, 325). A oto jeszcze charakterystyka Słowackiego z czasów jego młodości: „Wygórowana ambicya, chęć imponowania drugim, pewność siebie, dochodząca do monomanii, przeświadczenie o swéj wyższości moralnéj i intelektualnéj, słowem—zarozumiałość, połączona z najwyższą próżnością, która podrażniona, a dająca się podrażnić byle czém, na zewnątrz przejawiała się w formie przykréj niesłychanie, bo zatrutéj jadem zgryźliwości, a nie oszczędzającéj przeciwnika“ (I, 47). .....„O ile pozwalał rozpływać się nad sobą, o tyle nie miał we zwyczaju odpłacać piękném za nadobne: przeciwnie, najczęściéj zdarzało mu się dokuczyć boleśnie tym właśnie, którzy mu najwięcéj miłość swą okazywali. Z „siostrami“ swemi np., z Olesią i Hersylką, nieraz postępował sobie całkiem bez ceremonii. Mając pewność, że żadna z nich, choćby im nie wiedziéć jak dopiekł, nie poskarży się na niego przed matką, sprzeciwiał się im niekiedy w taki sposób, że mu się to aż nie chwali“ (I, 55)....... ....„Co najdziwniejsze, to że w obejściu z ludźmi, którzy mu byli obojętni, do których sympatyi lub antypatyi nie wiele przywiązywał wagi, nie pozwalał sobie nigdy (a przynajmniéj rzadko kiedy) na nic takiego, coby ich dotknąć niemile lub zniechęcić mogło: z tymi (np. z Odyńcem z czasem) był grzeczny i nie sarkastyczny. Dokuczać, sprzeciwiać się lubił tylko tym, których kochał, o których wiedział, że jego kochają“ (I, 56). Tak więc ostro i surowo sądzi autor charakter Słowackiego; pomimo to wszystko twierdzi, że poeta, „skoro się zsumuje wszystkie jego zalety i wady, źle na tém nie wychodzi ostatecznie“ (I, VI), że nie przestaje być dla nas człowiekiem sympatycznym. I pod tym względem trudno nie zgodzić się z autorem, bo w gruncie rzeczy Słowacki miał naturę zacną i serce szlachetne. Zresztą my, którzy Słowackiego nie znamy, którzy nie jesteśmy narażeni ani na jego kaprysy, ani na jego gryzącą ironię, którym jego duma i ambicya

nie dały się we znaki, my prawie zupełnie zapominamy o rażących wadach jego charakteru — pod wpływem może nie tyle jego zalet, ile oślepiającego blasku jego brylantowéj poezyi. Jedno wszakże zastrzeżenie zrobić można i należy: dziwić się lub mieć za złe ludziom, którzy Słowackiego znali i utrzymywali z nim stosunki, że go nie kochali, nie mamy prawa, bo że poeta bywał często w stosunkach nieznośny, temu chyba i p. Hösick nie zaprzeczy. Słowackiego można wielbić, jako poetę; jako człowieka, można go tylko lubić; na wielbienie bowiem zasługuje tylko człowiek wielki, a że Słowacki nim nie był, o tém dostatecznie przekonywa monografia p. Hösicka.

III.

„Biografia psychologiczna" Słowackiego daje nam nietylko zupełny obraz życia poety, lecz zawiera w sobie nadto bardzo wiele cennych przyczynków do jego twórczości. Wprawdzie szczegółowemu rozbiorowi téj ostatniéj zamierza autor poświęcić osobne dzieło, ale już w biografii dotknął wielu kwestyi z zakresu krytyki estetyczno-literackiéj. Tak być musiało: Słowacki-człowiek jest nieodłączny od Słowackiego-poety, jego poezya jest w ścisłym związku z jego życiem, to też autor zastanawia się wszędzie, jaki wpływ wywarło życie na ten lub ów utwór, kiedy lub w jakich okolicznościach powziął poeta zamiar napisania tego lub owego dzieła, co wziął z życia, a co z fantazyi, słowem—krytyczne uwagi autora dotyczą przedewszystkiém psychologicznéj genezy poezyi Słowackiego. Uwagi te są cenne i w znacznéj części zupełnie nowe.

Autor wykazuje, że częstokroć Słowacki „nie tworzył, lecz przypominał"; tak np. prześliczne opisy natury podolskiéj w „Beniowskim" mają swe źródło w osobistych wrażeniach, jakich Słowacki doznawał, kiedy, będąc dzieckiem, corocznie jeździł z matką na Podole. Bardzo trafnym daléj jest wykaz wielu reminiscencyi (w tymże poemacie) z podróży na Wschód, a mianowicie z pobytu w Kairze, z noclegu w grobowcu jakiegoś szeika, z kwarantanny w El-Arish, z pobytu w Jerozolimie i t. d. Na podstawie swych spostrzeżeń dochodzi autor do wniosku, że wszystkie prawie opisy w „Beniowskim" są ściśle realistyczne, że obok „najczarowniejszych obrazów oryentalnych" nie zapominał poeta bynajmniéj o „różnych prozaicznościach" i że wogóle, ilekroć chciał, potrafił być w opisach natury takim samym realistą, jakim jest Mickiewicz w „Panu Tadeuszu." Bardziéj jeszcze szczegółowo roztrząsa autor podmiotowy

pierwiastek „Beniowskiego“, wyjaśniając, kogo mianowicie miał na myśli poeta w swych złośliwych wycieczkach satyrycznych, co wywołało jego zgryźliwość i niechęć względem krytyków, poetów i t. p. P. Hösick, jak może, tak stara się usprawiedliwić złośliwość Słowackiego, chociaż—co do inwektywy na Mickiewicza w końcowych oktawach pieśni piątéj — przyznaje, że furya Słowackiego była nie tyle „Achilesowa, ile tygrysia.“ Nie myślimy temu przeczyć.

W romansie *Le roi de Ladawa*, zaczętym w Paryżu, a nie ukończonym nigdy, także dopatruje się autor wielu wspomnień z życia poety, jak tego np., że opis przybycia Kazimierza Ladowskiego do Sofiówki jest poprostu poetyczną reprodukcyą wspomnień z podróży do Tulczyna i t. p. Przypuszczenie, że emir w romansie jest to słynny Wacław Rzewuski, byłoby więcéj uzasadnione, gdyby istniała pewność, że Słowacki go znał. Bądź co bądź, jest rzeczą niewątpliwą, że i w tym romansie Słowacki więcéj przypominał, aniżeli tworzył. To samo zupełnie da się powiedziéć co do fragmentów poematu „Pan Tadeusz“, w którym odbiły się wspomnienia z czasów wileńskich, o poemacie „Wacław“ i t. d.

I do genezy innych dzieł Słowackiego podaje książka p. Hösicka niemało przyczynków. Co do „Anhellego“ prawdopodobném jest przypuszczenie autora, że pomysł poematu urodził się podczas nocy, spędzonéj nad jeziorem Genezaretańskiém, jak i to również, że imię bohatéra poszlo może stąd, że w domu nazywano Słowackiego pieszczotliwie małym „Heli“. Słusznie daléj widzi autor w „Anhellim“ osobiste wspomnienia poety, zaznacza, że, kiedy Anhelli mówi o Eloi: „otom zobaczył anioła, podobnego téj niewieście, którą kochałem z całéj duszy mojéj, będąc jeszcze dzieckiem“, to Anhellim jest tu sam poeta, który ujrzał Maryę Wodzińską, podobną do Ludwiki Śniadeckiéj, że osobą, która Anhellego pokochała, jak siostra, i więcéj jeszcze, jest Eglantyna i t. d. Że Słowacki w znacznéj części identyfikował się z Anhellim, to zdaje się nie ulegać żadnéj wątpliwości, wierzył bowiem w teoryę Swedenborga, w którego dziele *De origine angellorum* rozczytywał się w dzieciństwie, w teoryę odrodzenia nieszczęsnego społeczeństwa przez jednego człowieka, człowieka-anioła, który swe cierpienia ludom przynosi w ofierze. Otóż Słowacki był właśnie takim człowiekiem-aniołem, cierpiał i poświęcał się dla społeczeństwa — we własnéj fantazyi [1]).

---

[1]) Anhellemu poświęcił p. Hösick osobne studyum „Anhelli i trzy poematy“, Kraków, 1895.

Trafne są spostrzeżenia autora co do genezy „Księdza Marka“, „Snu srebrnego Salomei“ i „Niepoprawnych“, w którym to dramacie występują przeważnie osoby, wzięte z życia; że wzorem dla stworzenia świetnego typu hrabiny Idalii była nie Delfina Pocka. lecz pani Bobrowa, to autor wyrażał już dawniéj [1]).

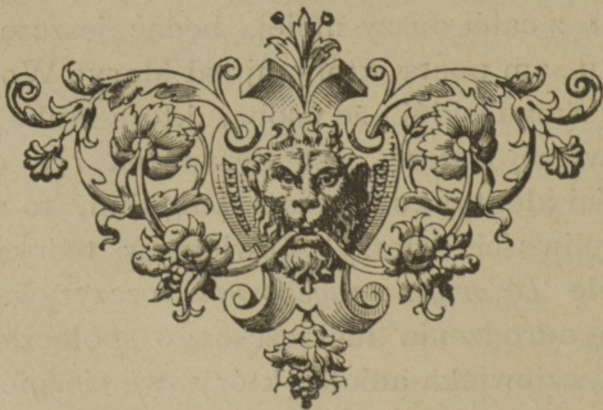
Nowym przyczynkiem do twórczości Słowackiego jest wiadomość, że podczas podróży wschodniéj powstał w nim zamiar napisania poematu czy téż tragedyi o Ramzesie; plan tego dzieła (nie napisanego nigdy) jest przez to ciekawy i charakterystyczny, że świadczy wyraźnie, iż wówczas już nosił się Słowacki z myślą utworu, którego ideą zasadniczą byłaby idea metampsychozy; jestto więc jakby pierwsze stadyum w psychologicznéj genezie „Króla Ducha“.

Powyższych przykładów wystarczy, aby przekonać się, że p. Hösick traktuje swój przedmiot naukowo, nie odłączając życia Słowackiego od jego twórczości. Dlatego to, jak się wyżéj powiedziało, bez jego monografii nie będzie się mógł obejść nietylko ten, kto zechce obznajmić się dokładnie z życiem Słowackiego, lecz i ten, kto zechce badać jego poetyczną twórczość.

Ignacy Chrzanowski.

---

[1]) Ob. „O Słowackim, Krasińskim i Mickiewiczu“.



KWESTYA SZLACHECKA

w Rosyi.

Wobec powstałych od niedawna zagadnień w sprawie stosunku naszego do wielkiego społeczeństwa rosyjskiego, rządzącego ogromnemi przestrzeniami na wschodzie od nas, aż pod ocean Spokojny—staje się rzeczą konieczną rzucać coraz więcej światła na wewnętrzne prądy, nurtujące w głębi tego społeczeństwa, dotąd obcego nam przekonaniami i tradycyami, chociaż blizkiego życiem politycznèm, pokrewnego pochodzeniem słowiańskièm i od wieków z nami sąsiadującego. Naród rosyjski należy do kolosalnych jednostek etnograficznych, które zawsze budzą ciekawość, niechęć lub podziw; dla nas zaś jest on narodem nie tylko ościennym, lecz najściślèj z nami związanym przez dziejowe wypadki kilku ostatnich stuleci. Cokolwiek bądź gotują nam przyszłe dzieje, jakikolwiek bądź obrót wezmą nasze dzisiejsze usiłowania w kierunku ustalenia naszego bytu — nigdy naród rosyjski nie przestanie być naszym największym i najżywotniejszym sąsiadem, od którego będziemy zależni i którego wpływom, przynajmniéj politycznym i ekonomicznym, a może i społecznym, ulegać będziemy, sami oddziaływając nawzajem, w mniejszym lub większym stopniu, na jego rozwój kulturalny. Ideałem stosunków międzynarodowych jest obopólne zbliżenie się: nie zaprzeczy temu chyba najbardziéj rozgoryczony przedstawiciel naszéj opinii publicznéj. Zgoda nie przychodzi

bez walk i namiętności, trwających całe dziesiątki lat, zwłaszcza, że w czystém zrozumieniu, zgoda narodów jest pojęciem warunkowém, zależném od mnóstwa przyczyn i wypadków historycznych. O ile jednak następują dziejowe oscylacye, przychylne dla idei zgody, jest rzeczą rozumną i szlachetną czynić wszystko, co tę zgodę może sprowadzić i zapewnić współdziałanie uczciwych pierwiastków narodowych we wspólném dziele cywilizacyi wszechświatowéj.

Nic dziwnego, że myśl o możliwości zgody zawsze i wszędzie pociąga wszystkie wybitniejsze umysły. Obecny stosunek nasz do społeczeństwa rosyjskiego zaczyna przybierać cechę większéj normalności, co daje już teraz prasie i jednostkom podstawę do występowania z projektami nie tylko zgody ideowéj lecz nawet czynnego współdziałania. W prasie polskiéj napotkaliśmy niedawno pierwszy w téj mierze i przytém poważny artykuł Jerzego Moszyńskiego, w którym ten hrabia-publicysta rzuca myśl wspólnéj pracy szlachty polskiéj i rosyjskiéj ku ogólnemu dobru państwa. Myśl to istotnie ciekawa, jakkolwiek nie nowa, bo kiełkowała już kiedyś za lepszych czasów, lecz poszła rychło w zapomnienie. Hr. Moszyński poruszył ją teraz, szukając naturalnego sprzymierzeńca dla stanu, którego jest przedstawicielem, w takimże stanie w Rosyi. Myśl swoją rozwinął w następujących wyrazach („Kraj" Nr 12 r. b.):

„Ważność większéj własności w rozwoju społecznych stosunków jest bez wątpienia uznaną, zarówno przez naszą jak przez rosyjską szlachtę. We wspólném więc tém pojęciu zyskujemy potężny łącznik do wspólnéj pracy i działania...

„Jeżeli szlachta rosyjska szczerze pragnie uchronić państwo rosyjskie od téj ostateczności (upadku własności ziemskiéj) — a nie mam powodu wątpić o jéj szczerości—jeżeli chce zachować Rosyi niezbędny do jéj cywilizacyjnego rozwoju pierwiastek szlachecki i większéj własności ziemskiéj; to powinna przedewszystkiém połączyć się z nami w dążeniu do jak największego prawnego zabezpieczenia średniéj własności ziemskiéj i ukrócenia propagandy anty-społecznéj, by nadal wspólnemi siłami pracować nad zdrowym rozwojem społecznym w całém państwie rosyjskiém."

Jaką więc jest owa szlachta rosyjska, w któréj hr. Moszyński upatruje realnego sprzymierzeńca? Przyznać należy, że o ile Rosyanie ciągle miewali na ustach wyraz „szlachta polska", z którą utożsamiali niesłusznie cały naród polski, o tyle my sami nigdy nie mieliśmy sposobności, ani potrzeby rozprawiania o szlachcie rosyjskiéj. Pochodziło to z prostéj przyczyny, że społeczeństwo rosyjskie reprezentowali wobec nas zawsze urzędnicy, szlachta zaś rosyjska, osiadła stale w głębi

Rosyi, pozostawała dla nas daleką i nieznaną korporacyą. Upatrując w każdym Polaku historycznego szlachcica, podszytego jezuitą i przewrotnego aż do szpiku kości, sąsiedzi nasi aż do ostatniéj chwili ulegali dziejowéj iluzyi, gdy my znowu, widząc przed sobą wyłącznie działaczy państwowych, nie widzieliśmy po za nimi reszty społeczeństwa rosyjskiego. Podobnie jak prasa rosyjska z pewném zdziwieniem wykryła u nas niedawno oprócz szlachty i włościan, stan trzeci, tak samo i my dowiedzieliśmy się teraz, że w Rosyi istnieje stan szlachecki, a nawet kwestya szlachecka zaprzątająca wiele umysłów i wchodząca obecnie w ostre stadyum przesilenia. Okazało się nawet możebném przypuszczać, że nastąpi zidentyfikowanie interesów szlachty rosyjskiéj i polskiéj na wspólnym gruncie podtrzymania rolnictwa i zapobieżenia upadkowi większéj i średniéj własności ziemskiéj, jak to zaznaczył hr. Moszyński. Ze względu na to, iż ze stanowiska prawnego znaczenie państwowe szlachty rosyjskiéj i polskiéj jest jednakowe, można przewidywać, że po zatarciu niektórych zbyt ostrych różnic politycznych zarówno polski stan szlachecki, jak i rosyjski znajdą się kiedyś w zupełnie jednakiém położeniu wobec rządu i pozostałego społeczeństwa. Dlatego też kwestyę szlachecką w Rosyi warto poznać bliżéj.

Historyczny rozwój stanu szlacheckiego w Rosyi odbywał się odmiennemi drogami, niż na Zachodzie, jakkolwiek w zasadzie te same pierwiastki występowały zarówno tu, jak tam. Za czasów pierwszych Rurykowiczów i powstawania udzielnych księstw, szlachta ziemska jeszcze nie istniała; zarodki jéj kiełkowały wszakże w licznych drużynach książęcych, do których należeli „lepsi" ludzie (*łuczszyje ludi*) z pośród kmieci. Gdy po pogromie tatarskim potworzyły się stalsze księstwa wielkorosyjskie nad Wołgą i Oką, a trony książęce stały się dziedzicznemi w ściślejszém tego słowa znaczeniu, t. j. gdy przestano „powoływać" na tron obcych książąt, miłych ludowi, zaś władzę oddawano braciom lub synom zmarłego księcia, wówczas powstała pewnego rodzaju arystokracya, „bojarowie", którym książęta odstępowali używalność swoich gruntów pod warunkiem stawienia się na obronę kraju w razie wojny z wrogami. Wielcy książęta moskiewscy zdołali zjednoczyć powoli pod swojém berłem wszystkie księstwa rosyjskie i podbić wolne miasta Nowogród i Psków, a następnie całkowicie zgnietli potęgę tatarską i wytworzyli dokoła siebie znaczne zastępy starszyzny, która stale im służyła. Typ dawnych wolnych „drużynników", przyjaciół księcia, znikł, zaś miejsce ich stopniowo zajął stan ludzi, którzy służbę przy dworze książęcym pełnili już niejako z musu, ażeby nie ściągnąć na siebie niechęci możnego księcia lub

otrzymać jakiekolwiek łaski. Pojęcie służby powoli stało się nieodłączne od pojęcia wierności i obowiązku, od którego poddany nie mógł się uchylać.

Termin „*dworjanin*", używany obecnie w Rosyi dla oddania pojęcia „szlachcic" a równoznaczny pierwotnie z wyrazem polskim „dworzanin," napotyka się w pomnikach piśmiennictwa rosyjskiego już w wieku XII; oznaczał on początkowo osobę, mieszkającą przy dworze książęcym. Owi dworzanie pełnili zrazu tylko funkcye niższéj władzy wykonawczéj i uczestniczyli w wyprawach wojennych księcia. Gdy książe wzrastał w potęgę, do dworu jego garnęły się wówczas wszystkie możniejsze osoby z okolicy. Przy dworze wielkich książąt moskiewskich synowie bojarów rozpoczynali karyerę, stając nasamprzód w szeregach młodszéj „drużyny", wśród t. zw. „*otroków*" i „*dietskich.*" Z biegiem czasu i sami bojarowie zaczęli gromadzić się dokoła tronu, pociągnięci zaszczytami i życiem dworskiém. Liczba posad dworskich i tytułów wzrosła szybko w końcu wieku XV, gdy Moskwa stała się stolicą całéj Wielkiéj Rosyi i w zwyczajach jéj książąt zapanował przepych. Ponieważ dla wszystkich dostojników i sług zabrakło wreszcie miejsca przy dworze, musiano wielu dworzan „pomieścić" na gruntach należących do wielkiego księcia. Grunta te otrzymały nazwę „*pomiestja*", zaś osoby, którym je oddano, nazwę „*pomiestnyje dworjanie*," co możnaby przetłómaczyć „pomieszczeni dworzanie." W skróceniu ta nazwa brzmi „*pomieszczyk*"—wyraz, używany dziś powszechnie w Rosyi dla oznaczenia ziemianina, osiadłego na roli. Dworzanie tacy musieli odsługiwać za prawo korzystania z gruntów wielkiego księcia i stawać bezzwłocznie na każdy jego rozkaz. Wyżsi bojarowie oraz ich dzieci otrzymywali nieraz grunta na zupełną własność; grunta takie otrzymały miano „*wotczyny*" (ojcowizny). Bojarowie jednak przez długi czas zachowywali prawo opuszczenia księcia i zaciągnięcia się pod sztandary innego; prawo to upadło dopiéro z chwilą zjednoczenia się ziem wielkorosyjskich pod władzą Moskwy. Wprawdzie i potém przez czas jakiś wyjeżdżano do Litwy, lecz w wieku XVI wyjazdy te ustały. Różnica pomiędzy dworzanami, otrzymującymi za służbę „*pomiestja*", a bojarami, otrzymującymi z łaski wielkiego księcia „wotczyny" zatarła się całkowicie z nastaniem wieku XVII, gdy dla oznaczenia ziemiaństwa używać poczęto jednego tylko terminu „*dworjanie*", co świadczyło o stanowczéj przewadze pierwiastku służby dworskiéj nad służbą wolną. Służba „dworjan" miała przedewszystkiém cechę wojskową. W tym celu zaprowadzono zwyczaj spisywania szlachty; w spisach wymieniano wysokość żołdu lub dochodu z darowanych gruntów. Z końca XVI w. pozostał przepis, aby do tych spisów nie wciągano osób

niższego pochodzenia, czém poraz pierwszy zawarowano kastowość stanową szlachty. Najlepsze rody zapisywano do wykazów szlachty moskiewskiéj; z pośród nich obierano przeważnie dostojników dworskich, których liczba nigdy nie przestała być wielką. Szlachta rosyjska w owych czasach składała się z różnorodnych elementów: potomków starych rodów książecych, dawnych rodzin bojarskich, zwykłych dworzan i osób, których ojcowie jeszcze byli włościanami. Elementy te walczyły ze sobą o wpływ, a ponieważ na służbie starym rodom oddawano pierwszeństwo, przeto wynikały niezliczone spory o dawność rodów, kończące się waśniami i bójkami. Zjawisko to znane jest w historyi rosyjskiéj pod nazwą „*miestniczestwo*" (spory o miejsca czyli posady) i zniesione zostało przez energiczny ukaz cara Teodora Aleksiejewicza z r. 1682, który spory takie polecił surowo karać.

Wiek XVIII wywołał kardynalne zmiany w położeniu szlachty. Piotr Wielki nadał jéj urzędową nazwę „*szlachetstwo*", brzmiącą z polska i do szlachty kazał zaliczyć mnóstwo urzędników różnych „*prykazów*" (instytucyi rządowych), jako też dworzan biskupich i cudzoziemców, zostających w służbie rosyjskiéj. Szlachta za Piotra W. nie dzieliła się na kategorye; za lepszego szlachcica uważano tego, który bardziéj był do służby zdatny. Służyć musiał każdy szlachcic, inaczéj zabierano mu majątek i pozbawiano czci (poddawano t. zw. „szelmowaniu"). Kto nie umiał rachować, czytać, nie posiadał początkowych wiadomości z geometryi i nawigacyi, nie miał nawet prawa zawierania związków małżeńskich. Zaprowadzając tabelę rang z podziałem na XIV klas, Piotr W. popchnął szlachtę do kształcenia się i gorliwszéj służby, gdyż synowie najznakomitszych nawet rodów zmuszeni byli zaczynać służbę od najniższych rang. W r. 1714 ogłoszono znany ukaz Piotra W. o majoratach, znoszący zwykły sposób dziedziczenia majątków nieruchomych; dziedziczyć mógł odtąd tylko starszy syn, z wyłączeniem innych, co miało na celu zapobieżenie rozpraszaniu się i upadkowi majątków. Ukaz ten jednak przetrwał zaledwie do r. 1730, w którym został uchylony przez cesarzową Annę na skutek skarg szlachty. Jakkolwiek surowe ukazy Piotra W. o przymusowéj służbie zostały potém znacznie złagodzone, jednak w zasadzie służba pozostała dla szlachty obowiązkiem; dla synów szlacheckich zaprowadzono nawet specyalne egzamina i popisy, („*smotry*") celem sprawdzenia ich postępów i zdolności do służby.

W r. 1762 Katarzyna II zwolniła szlachtę od przymusowéj służby, wskutek czego stała się szlachta zupełnie uprzywilejowanym stanem, posiadającym oprócz ziemi i poddanych, prawo dobrowolnego piastowania urzędów. W słynnym „Nakazie" swoim Katarzyna II wy-

raziła myśl, że tytuł szlachecki jestto „szczególnie zaszczytna nazwa, odróżniająca od zwykłych ludzi te osoby, które są nią ozdobione"; w tym samym duchu wydaną została w r. 1785 zasadnicza ustawa, nadająca szlachcie rosyjskiéj różne przywileje osobiste, majątkowe i korporacyjne. Przywileje osobiste polegały na zwolnieniu od obowiązkowéj służby, wszelkich podatków i kar cielesnych oraz na nietykalności tytułu szlacheckiego, którego szlachcic mógł być pozbawiony jedynie sądownie i za zezwoleniem monarszém. Do osobistych przywilejów należało wyłączne prawo posiadania „wotczyn" czyli dziedzicznych majętności ziemskich z poddanymi. Od czasów Katarzyny II stan szlachecki nazywa się stale w mowie urzędowéj i potocznéj *„dworjanstwo"*, termin zaś *„szlachetstwo"*, wprowadzony w użycie przez Piotra W. poszedł w zapomnienie.

Przywileje korporacyjne po raz pierwszy nadane zostały szlachcie rosyjskiéj na mocy wspomnianéj ustawy 1785 r., dotąd bowiem praw tych szlachta nigdy nie posiadała. Podług téj ustawy szlachta każdéj gubernii stanowiła oddzielną korporacyę, na któréj czele stali marszałkowie gubernialni i powiatowi, obierani przez zebrania szlachty. Zwykłe zebrania odbywały się co trzy lata; obierano na nich również prezesów oraz wszystkich członków sądów gubernialnych i powiatowych, jako też sprawników i inne władze policyjne. Zebrania te rozpatrywały wnioski rządowe w sprawach miejscowych, układały memoryały do rządu, uchwalały składki pieniężne na swe potrzeby i prowadziły księgi rodów szlacheckich, prócz tego, w każdym powiecie ustanowione zostały rady opiekuńcze dla sierot szlacheckich.

Ustawa z r. 1785, znana w Rosyi pod nazwą *„żałowannaja gramota"*, podniosła wysoko znaczenie szlachty. Paweł I zniósł był wprawdzie całą tę ustawę, lecz następca jego wkrótce przywrócił jéj moc, a nawet nadał szlachcie prawo zajmowania z wyborów posad prezezów i członków izb cywilnych i karnych. Taki stan rzeczy przetrwał aż do chwili uwłaszczenia włościan w r. 1861, które spowodowało znaczne uszczuplenie przywilejów służbowych szlachty. Reforma policyjna z r. 1862 pozbawiła szlachtę wyłącznego prawa do urzędów policyjnych w powiatach, reforma sądowa z r. 1864 zniosła szlachecką organizacyę sądownictwa, stwarzając sądy koronne i ziemskie, zaś reforma ziemska oddała całą gospodarkę powiatową ziemstwom, wobec czego zamknięto rozmaite komisye gospodarcze, w których dotąd wyłącznie zasiadała szlachta. W r. 1863 zwolniono od kar cielesnych wszystkie stany, prócz włościańskiego, w r. 1874 wprowadzono powszechną powinność wojskową, którą szlachta pełnić odtąd musi narówni z innemi stanami; tym sposobem liczne przywileje szlachty

upadły, jakkolwiek pozostawiono jéj rozległe pole działalności w ziemstwie. Zebraniom ziemskim obecnie przewodniczą z urzędu marszałkowie szlachty, którzy również stoją na czele urzędów powiatowych, mających ustrój kolegialny. Jakkolwiek wszystkie stany mają dziś udział w zarządzie spraw lokalnych, szlachcie jednak pozostawiono w nim najwybitniejsze, nawet dominujące stanowisko.

Panowanie cesarza Aleksandra III-go odznaczało się przychylniejszém usposobieniem rządu dla szlachty. Kategoryczne oświadczenie cesarskie podczas uroczystości koronacyjnych w r. 1883 położyło kres nieuzasadnionym nadziejom włościaństwa jakiegoś nowego nadania gruntów kosztem posiadłości szlacheckich. W r. 1885, w setną rocznicę „żałowannéj gramoty”, otwarto rządowy bank szlachecki, w roku 1886 wydano nowy regulamin o najmowaniu robotników wiejskich, w r. 1889 stworzono instytucyę naczelników ziemskich, mianowanych przez rząd z pośród miejscowéj szlachty dziedzicznéj, wreszcie w roku 1890 zapewniono szlachcie całkowitą przewagę w ziemstwach.

Wogóle rzec można, że szlachta rosyjska, która nigdy nie posiadała władzy politycznéj, pod względem znaczenia społecznego grała doniosłą rolę, zwłaszcza od czasów Katarzyny II, która rozciągnęła nad nią szczególną opiekę prawa.

Obecne stanowisko prawne szlachty rosyjskiéj reguluje się postanowieniami, zawartemi w IX tomie Zbioru Praw. Szlachta dzieli się na dziedziczną i osobistą. Dziedziczną szlachtę każdéj gubernii zapisuje się do ksiąg rodowych, przechowywanych w archiwach zebrań szlacheckich; księgi te dzielą się na 6 części: do pierwszéj należą rody, uszlachcone bezpośrednio z łaski Monarszéj, do drugiéj — rody, które uzyskały szlachectwo przez wysługę wyższych rang wojskowych, do trzeciéj — wyższych rang cywilnych lub orderów, do czwartéj wciąga się naturalizowane rody szlachty cudzoziemskiéj, do piątéj — rody utytułowane, wreszcie do szóstéj — starożytne rody, które istniały już co najmniéj sto lat przed wydaniem „żałowannéj gramoty” r. 1785-go. Szlachcicem dziedzicznym zostaje dziś każdy, który w służbie wojskowéj uzyskał rangę pułkownika, w służbie morskiéj — rangę kapitana I stopnia, zaś w cywilnéj — rangę rzeczywistego radcy stanu; otrzymanie tych rang powinno jednak nastąpić w czasie trwania służby rządowéj, udzielanie ich bowiem w postaci nagrody przy jednoczesnéj dymisyi nie nadaje szlachectwa dziedzicznego. Prawo do tegoż szlachectwa dają wszelkie ordery pierwszéj klasy, oraz wszystkie klasy orderu św. Włodzimierza i św. Jerzego, kupcy jednak w tych razach nie otrzymują szlachectwa, lecz obywatelstwo honorowe. Szlachcicem dziedzicznym zostać może również każdy urzędnik, którego dziad i ojciec

służyli nie mniéj jak 20 lat w randze, nadającéj prawo szlachectwa osobistego. O szlachectwo dziedziczne ubiegać się mają prawo starsi sułtanowie Kałmuków syberyjskich, którzy z wyborów trzykrotnie swój urząd spełniali.

Szlachectwo osobiste nabywa się albo z łaski Monarszéj, albo téż w drodze otrzymania na służbie rangi radcy honorowego lub ober-oficera. Osoby, które przy dymisyi otrzymały rangę rzeczywistego radcy stanu lub pułkownika, korzystają jedynie z praw szlachectwa osobistego. Szlachta osobista nie uczestniczy w samorządzie szlacheckim, natomiast w ziemstwie zrównana jest ze szlachtą dziedziczną. W sprawach karnych szlachcic podlega wyłącznie juryzdykcyi sądów okręgowych, nie zaś sądów pokoju, w których się rozstrzygają przestępstwa mniejszéj wagi, popełnione przez osoby innych stanów.

Samorząd szlachecki dotąd opiéra się na zasadach, wyrażonych w ustawie z r. 1785. Szlachta obiéra sobie marszałków, deputatów i sekretarza do zebrań szlacheckich, oraz asesorów do opieki szlacheckiéj. Wybory te odbywają się samodzielnie, gdyż gubernator po zagajeniu zebrania szlacheckiego winien salę posiedzeń natychmiast opuścić. Wybory szlacheckie odbywają się obecnie we wszystkich guberniach, posiadających ziemstwa, z wyjątkiem Wiackiéj, Permskiéj i Ołonieckiéj; w guberniach północno- i południowo-zachodnich wybory te zostały zawieszone od r. 1863, marszałków zaś szlachty i innych funkcyonaryuszów rząd mianuje tam bezpośrednio; w guberniach nadbaltyckich wybory odbywają się jeszcze podług dawnych zwyczajów miejscowych; wreszcie w Królestwie Polskiém szlachta nie posiada żadnéj organizacyi korporacyjnéj, i podlega zwierzchnictwu rządów gubernialnych.

Liczebność szlachty rosyjskiéj przedstawia się w zarysach nader niepewnych, gdyż do ostatniéj chwili nie czyniono żadnych prób w celu dokładnego zbadania téj kwestyi. Powszechny spis ludności, który się odbył w r. b., dostarczy niewątpliwie pewniejszych danych. Podług niezbyt nieścisłych wykazów urzędowych w r. 1858 szlachty dziedzicznéj było w Rosyi 609,973 osób, co stanowiło mniéj więcéj 1% ówczesnéj ludności całego państwa; w r. 1870 było jéj tylko 544,188 czyli mniéj więcéj ³/₄% ludności. Szlachty osobistéj i urzędującéj w r. 1858 było 276,809, zaś w r. 1870 znacznie więcéj, gdyż 316,994, lecz ponieważ z pośród niéj tylko bardzo nieznaczna liczba osób uzyskuje z biegiem czasu szlachectwo dziedziczne, przeto przypuszczać należy, iż liczba ogólna szlachty dziedzicznéj w Rosyi prawie zupełnie nie wzrasta, lecz raczéj zmniejsza się; procent zaś, jaki szlachta dziedziczna stanowi w stosunku do ogółu ludności, niewąpliwie ulega szybkiemu obniżeniu w miarę znacznie szybszego rozrostu liczebnego stanów nie-

szlacheckich. W chwili obecnéj szlachta dziedziczna w ogólnéj liczbie 130 milionów ludności państwa stanowi zaledwie 1/2 %. W każdym jednak razie liczba szlachty jest zbyt wielka, aby państwo mogło każdemu jéj przedstawicielowi zapewnić udział w rządach, zwłaszcza wobec konkurencyi szlachty osobistéj i osób innych stanów, osiągających coraz wyższy cenzus umysłowy, nadający w Rosyi prawo do służby rządowéj. Rząd przedsiębrał niekiedy środki w celu zmniejszenia liczby szlachty dziedzicznéj; np. już za czasów Piotra W. znaczna ilość szlachty i dzieci bojarskich w południowych guberniach (małoruskich) zapisaną została do stanu „jednodworców". W r. 1853 generalny gubernator kijowski, Bibikow, przeprowadził odszlachcenie przeszło 80,000 drobnéj szlachty w gub. kijowskiéj, wołyńskiéj i podolskiéj; po r. 1863 wraz ze zniesieniem stanu „jednodworców", mnóstwo szlachty drobnéj, albo nie posiadającéj wyrobionych legitymacyi, zapisano w gub. zachodnich do stanów opodatkowanych — do mieszczan, kupców, przeważnie zaś do gmin włościańskich, jakkolwiek w rzeczywistości cała ta szlachta trudni się wyłącznie rolnictwem i w samorządzie włościańskim żadnego udziału nie bierze. Rząd również przedsiębrał środki w celu zatamowania nadmiernego przypływu świeżéj szlachty urzędniczéj. Za Piotra W. każdy ober-oficer lub asesor kolegialny zostawał szlachcicem dziedzicznym z chwilą otrzymania tych rang, względnie niskich; z biegiem czasu rangi, nadające szlachectwo dziedziczne, stopniowo podwyższano, aż wreszcie w r. 1856 postanowiono, iż tylko wysokie rangi rzeczywistego radcy stanu lub pułkownika udzielają szlachectwa; wobec tego przypływ szlachty dziedzicznéj został zredukowany do nieznacznych rozmiarów.

Powaga szlachty przedewszystkiém wypływać powinna z posiadania wielkich obszarów ziemskich. Temu warunkowi szlachta rosyjska czyni zadość, gdyż w ręku jéj pozostaje przeszło połowa własności ziemskiéj całego państwa, ale 3/4 ziemi szlacheckiéjześrodkowuje się w ręku największych właścicieli ziemskich, tak iż średnia własność ziemska reprezentowana jest w Rosyi, zwłaszcza centralnéj, nader słabo. Liczby urzędowe z r. 1878 podają ilość właścicieli ziemskich szlacheckiego pochodzenia na 114,716 osób, co jest chyba nie wiele, zwłaszcza, iż znaczna część téj szlachty mieszka w stolicach i większych miastach, zostawiając gospodarkę na opiece dzierżawców lub oficyalistów.

Pod względem etnograficznym szlachta w Rosyi przedstawia mieszaninę różnych żywiołów historycznych i narodowościowych. Rdzeń jéj stanowi oczywiście dawna szlachta moskiewska, oraz szlachta petersburska nowszych czasów; w guberniach małoruskich i ziemi Woj-

ska Dońskiego szlachtę, dość liczną, stanowią potomkowie dawnéj starszyzny kozackiéj. Znaczny odsetek wśród szlachty etnograficznie-rosyjskiéj, przedstawiają odpolszczone rody litewsko-ruskie, odniemczone rody szlachty nadbaltyckiéj, oraz zruszczone rody kaukaskie, a z dawniejszych czasów—tatarskie. Niwelujący wpływ kultury towarzyskiéj, idącéj wgłąb prowincyi od dworu cesarskiego, wspólna służba cywilna i wojskowa, wreszcie wspólne wychowanie szkolne — wszystko to w wysokim stopniu ułatwia wytworzenie jednostajnego typu szlacheckiego w Rosyi, właściwego stanowi, nie posiadającemu zbyt żywych tradycyi historycznych, ani nawet wspomnień o dawnych wpływach lub władzy politycznéj. Szlachta dziedziczna nadto nie rozrodziła się po całéj Rosyi: gubernie północne, wschodnie i syberyjskie wcale ziemskiéj własności szlacheckiéj nie posiadają; nawet w środkowych guberniach własność szlachecka pomieszała się na poły z posiadłościami zbogaconych kupców i mieszczan.

Przewaga większéj własności ziemskiéj i wypływający stąd brak najgłówniejszéj podstawy stanu szlacheckiego — licznéj i osiadłéj na wsi klasy średnich właścicieli ziemskich—jest jednym z największych szkopułów kwestyi szlacheckiéj w Rosyi. Uwłaszczenie włościan i zamożność innych stanów wytworzyły dla szlachty stałą konkurencyę, tak iż ziemia szlachecka przechodzić zaczęła powoli w obce ręce.

Od lat trzydziestu kwestya szlachecka nie przestaje zaprzątać umysłów, ale nigdy jeszcze nie wystąpiła ona tak wyraźnie, jak obecnie, gdy dla rolnictwa nadeszły czasy nader krytyczne, a warunki społeczne przeobraziły się w ogromnym stopniu, pociągając rdzenne zmiany. Prasa, która doszła już w Rosyi do pewnéj powagi, odtwarza obecnie jak najdokładniéj stan całéj téj kwestyi. Postaramy się więc dać możliwie treściwy obraz sprawy szlacheckiéj w Rosyi, opiérając się na wywodach pism różnych obozów. Najtrzeźwiéj na tę sprawę zapatrują się poważne miesięczniki rosyjskie, jak np. „Wiestnik Europy", liczący około 10,000 abonentów i stojący w obronie pojęć zachodnio-europejskich. Z dzienników od czasu do czasu zabiéra głos w sprawie szlacheckiéj „Nowoje Wremia"; jestto organ, nieprzychylny tendencyom szlacheckim i często zbywający je dowcipem; poważniéj natomiast traktują kwestyę „Petersburskija Wiedomosti", które upatrują w szlachcie żywioł potrzebny i pożyteczny dla państwa, lecz wymagają od niéj, aby szła z duchem czasu. Bezwzględnymi stronnikami szlachty są „Moskowskie Wiedomosti" i „Grażdanin", które gorliwość swoją posuwają do ostateczności, udzielając miejsca najskrajniejszym teoryom o przewadze szlachty w życiu państwa.

Największą wagę w chaosie tych sprzecznych zdań posiadają bezwątpienia poglądy umiarkowanych przedstawicieli saméj szlachty, z którymi solidaryzują się sfery rządowe. Naszém zdaniem, poglądy te wypowiedział najlepiéj B. Czyczeryn w artykule o stanie obecnym szlachty rosyjskiéj, zamieszczonym w „S.-Petersburskich Wiedomostiach" na początku r. b. Autor za czasów uwłaszczenia włościan i wielkich reform w pierwszym okresie panowania Aleksandra II-go pokładał nadzieje we współdziałaniu szlachty z rządem i obecnie twierdzi, że nadzieje te w znacznym się stopniu ziściły. Z pośród szlachty bowiem wyszły zastępy komisarzy włościańskich (*mirowyje posredniki*), którzy najwięcéj przyczynili się do urzeczywistnienia dzieła uwłaszczenia. Szlachta stanęła również na czele nowopowstałych instytucyi ziemskich i zapełniła szeregi sędziów pokoju. Powodzenie tych instytucyi należy niemal wyłącznie zawdzięczać szlachcie, która pracowała nietylko dla siebie, lecz i dla innych stanów. Zarząd cywilny Rosyi spoczywał wówczas prawie całkowicie na barkach marszałków powiatowych, którzy przewodniczyli zgromadzeniom ziemskim, zarządom powiatowym, radom szkolnym, urzędom rekruckim, zjazdom sędziów pokoju i urzędom ziemskim. Największą aureolą szlachta otoczona była właśnie w epoce następującéj bezpośrednio po uwłaszczeniu włościan. Z biegiem czasu stanowisko szlachty uległo, zdaniem autora, znacznemu pogorszeniu, gdyż uszczuplenie praw samego ziemstwa było zarazem zmniejszeniem praw szlachty, która dotąd w ziemstwie szukała dla siebie kompensaty za uszczerbki, poniesione przy uwłaszczeniu jéj poddanych. Utworzenie odrębnych urzędów do spraw włościańskich, w których zasiadali członkowie (*niepremiennyje czleny*) z ramienia rządu, było widocznėm zmniejszeniem wpływu ziemstwa i szlachty, biorącéj w niém udział, na losy włościańskie. Mimo to, rząd poszedł jeszcze daléj w tym kierunku i pozbawił ziemstwo całkowicie wszelkiego wpływu na sprawy włościańskie, mianując ze swego ramienia rządowych „naczelników ziemskich", posiadających nietylko władzę administracyjną, lecz i sądową w sprawach włościańskich. Obieralne sądy pokoju zostały zniesione, bo naczelnicy ziemscy zajęli ich miejsce. W ten sposób biurokracya dotarła do głębi powiatów, zaś marszałkowie szlachty utracili swoje znaczenie. W zreformowanych instytucyach ziemskich szlachta otrzymała prawo odrębne od innych stanów reprezentacyi, co zresztą nie stanowiło dla niéj żadnéj wygranéj, gdyż wyodrębnienie szlachty z pośród innych stanów rolniczych, zniweczyło naturalny związek własności ziemskiéj większéj i mniejszéj. Dla szlachty utworzono nawet oddzielny bank, którego zadaniem jest udzielanie szlachcie pożyczek na niski procent. Łatwość otrzyma-

nia pożyczki i chęć użycia pieniędzy doprowadziły wielu do ruiny; nieprzychylne okoliczności zostały spotęgowane przez warunki rynku wszechświatowego, wielce dla Rosyi niekorzystne. Wówczas zgromadzenia szlacheckie zaczęły zwracać się do rządu o pomoc; zwoływane jednak na prędce rady marszałków gubernialnych celu nie osiągały. Projektowano poddawać opiece rządowéj majątki szlacheckie, wystawiane na licytacyę; zamierzano używać na potrzeby szlacheckie część podatków ściąganych z posiadłości ziemskich; chciano wreszcie wyjednać pozwolenie na najszersze zastosowanie do dóbr ziemskich zasady niezbywalności (*zapowiednyja imienija*). Kardynalną wadą tych projektów, podług B. Czyczeryna, było to, iż kwestyę rozpatrywano wyłącznie z punktu widzenia stanowego, gdy tymczasem chodziło o sprawę podniesienia gospodarstw rolniczych. Zaradzić biedzie zdołaliby tylko specyaliści, a nie marszałkowie szlachty. Bardzo ciekawą jest następna argumentacya B. Czyczeryna: „Szlachectwo nie jest instytucyą dobroczynną, która powinna być utrzymywana z ofiar społeczeństwa. Państwo potrzebuje trwałych elementów, na których mogłoby się opiérać. Państwowe znaczenie szlachty polega na jéj zdolności stania na własnych nogach; oddawna przecież nazywano szlachtę pierwszą opoką tronu. Cóż to za opoka, która wymaga, by ją podtrzymywano?" Autor uznaje w zupełności konieczność utworzenia w Rosyi klasy niezależnych właścicieli ziemskich, biorących decydujący udział w sprawach lokalnych. Szlachta dotąd czyniła zadość téj potrzebie, dlatego téż upadek jéj stanowi stratę dla państwa i złośliwe zadowolenie wrogich jéj żywiołów należy złożyć chyba na karb ich lekkomyślności. Szlachta wszakże nie powinna sama dawać powodów do podobnych objawów radości, usiłując bowiem wyodrębnić się z pośród innych stanów i wołając o różne ulgi, źle sama o sobie świadczy. Należy zatém polegać tylko na własnych siłach, nie uskarżać się na złe czasy i śmiało w przyszłość spoglądać. Niewątpliwie wielu zginie w trudnéj walce o byt, lecz pozostanie „zdrowe jądro — ci, którzy będą stali na własnych nogach, o to bowiem chodzi zarówno krajowi, jak i państwu." W samym końcu swego artykułu p. Czyczeryn przewiduje szybkie zniwelowanie stanów, które wypłynie z rozwoju ogólnéj swobody obywatelskiéj. Niepowodzenia ekonomicznie zwykle ten proces przyśpieszają, dzisiejsze zaś przesilenie ekonomiczne ma wszelkie cechy zjawiska historycznego, oddziaływającego stanowczo na stosunki stanowe. Z owego rozkładu wykwitną jednak zdrowe siły, które obiorą sobie nowe drogi—i na nich polegają nadzieje Rosyi."

Słuszność tych poglądów nie ulega kwestyi, lecz autor ich, za-

przątnięty interesami szlachty, nie zawsze sprawiedliwie odzywa się o innych stanach.

Podług „Wiestnika Europy" autor np. niesłusznie twierdzi, że korzyści, jakie ludność osiągnęła z zaprowadzenia ziemstw i sądów pokoju, przypisać należy wyłącznie pracy przedstawicieli stanu szlacheckiego. Dość powołać się na ziemstwa w guberniach permskiéj i wiackiéj, w których szlachta wcale nie istnieje, a które mimoto wyprzedziły pod wielu względami gubernie centralne, gdzie szlachta rodowa zamieszkuje oddawna. Działalność marszałków szlachty, na którą tak silny nacisk kładzie B. Czyczeryn, była raczéj pozorną, niż rzeczywistą, ograniczała się bowiem przeważnie do honorowego prezydowania w licznych urzędach powiatowych. Jeżeli zresztą szlachta zdziałała wówczas wiele dobrego, to raczéj dlatego, że wśród niéj było wiele ludzi wykształconych; wpływ zatém szlachta wywierała nie jako korporacya, lecz jako zbiór jednostek wykształceńszych i ożywionych dobrą wolą.

Również nie wydaje się „Wiestnikowi Europy" słuszném to wszystko, co B. Czyczeryn pisze o zazdrości, żywionéj względem szlachty przez inne stany. Niepodobna mówić o zazdrości innych stanów, gdyż w Rosyi nie ma właściwie stanu, któryby o tę zazdrość mógł być posądzony. Przedewszystkiém Rosya nie posiada burżuazyi, owéj naturalnéj spadkobierczyni szlachty w Europie. Stan kupiecki, dość potężny w Rosyi, nie ma najmniejszego powodu do zazdroszczenia szlachcie; zresztą kupiectwo nie jest właściwie stanem, gdyż, jak wiadomo, nie jest dziedziczne i odnawia się przez zwykłe kupienie świadectw kupieckich. Wobec tego można chyba mówić o zawiści pojedyńczych kupców, nie zaś całego kupiectwa, jako stanu.

Głosy z obozu prasy, broniącéj bezwzględnie przywilejów i przewagi szlachty, niewątpliwie posiadają doniosłe znaczenie wśród innych zdań. Liczne artykuły, jakie sprawie szlacheckiéj poświęca dawny organ Katkowa „Moskowskija Wiedomosti", odznaczają się wielką namiętnością, ale też jednostajnością i brakiem wyraźnéj myśli przewodniéj. Przedewszystkiém pismo to pragnie uzasadnić pogląd na państwowe znaczenie szlachty jako stanu i dlatego nader usilnie przekonywa czytelników, że szlachta powołana jest do rządzenia sprawami Rosyi w charakterze historycznego stanu urzędniczego (*służyłoje sosłowije*). Publicystom z „Moskiewskich Wiedomosti" wydaje się, że dwory szlacheckie są naturalnemi punktami administracyjnemi, że należy oddać w ręce szlachty wszelką władzę miejscową, a wówczas wszystko pójdzie jak najlepiéj pod kierunkiem owych „stu tysięcy policmajstrów", jak niegdyś wyraził się cesarz Paweł I-szy. Oczywiście,

„Moskowskija Wiedomosti” nie mają na myśli stanowczego powrotu do czasów pańszczyźnianych, lecz cokolwiekbądź, propagują obdarzenie szlachty silną władzą wykonawczą, a nawet wprost policyjną. Pismo to nie wyjawia otwarcie swoich marzeń, mówiąc tylko ogólnikowo „o przywróceniu pełnomocnictwa państwowego szlachcie.” Uwłaszczenie włościan, podług „Moskowskich Wiedomosti”, odbyło się w sposób, który pogorszył dobrobyt szlachty, zaś doli włościan nie polepszył, chociaż pogorszenie się dobrobytu szlachty naprawdę przypisać należy nie reformie włościańskiéj, lecz nieumiejętności szlachty dostosowania się do nowych warunków bytu. Prawdą jest również, że i polepszenie doli włościan nie nastąpiło w pożądanym stopniu, lecz nie upadek szlachty przyczynił się do tego, jeno niepomyślne okoliczności czasów późniejszych, nic wspólnego z uwłaszczeniem nie mających.

Dziennik moskiewski, walcząc za obdarzenie szlachty władzą wykonawczą i uważając to za jedyny sposób wyjścia z nienormalnego stanu rzeczy, ogranicza swe żądania tylko do środkowych gubernii Cesarstwa. Oczywiście, gubernie zachodnie ani nawet wschodnie (permska, wiacka) na zaufanie téj gazety nie zasługują. Wypadłoby utrzymać obecny stan rzeczy w guberniach zachodnich, a przynajmniéj zaczekać, póki te gubernie całkowicie się zrusyfikują. Cóż to za środek — czyni uwagę „Wiestnik Europy” — który dobry jest dla jednéj części państwa, dla innych zaś nieodpowiedni? Ustrój administracyjny, będący marzeniem pisma moskiewskiego, niedokładny jest już przez to, że wywołałby podwójny system rządzenia, co byłoby rzeczą całkiem dla państwa wadliwą.

Istnieje pewien ciekawy argument, którym się chętnie posługują „Moskowskija Wiedomosti”. Oto twierdzą one, że „zdolność rządzenia” posiada tylko szlachta dziedziczna, która wskutek odwiecznych tradycyi umié rządzić s a m o d z i e l n i e, nie zaś s a m o w o l n i e, jak rządzą ludzie, pochodzący z innych warstw społecznych. Szlachta zawsze uważała służbę państwową nie za przywiléj, lecz za powinność. Oto charakterystyczny ustęp z artykułów „Moskowskich Wiedomosti”- „Bez wychowawczego i umoralniającego wpływu sfery szlacheckiéj, dorobkiewicze i szczęśliwi karyerowicze mogą stać się nietylko szkodliwymi, lecz i niebezpiecznymi dla państwa. Ci „przypadkowi” ludzie, jak świadczą dzieje Rosyi, mogą wprawdzie posiadać świetne zdolności, mogą się odznaczać dokładną znajomością rzeczy, niezwykłą pracowitością, lecz mają bardzo słabą stronę — mianowicie b r a k im z a s a d p o l i t y c z n y c h, brak zrozumienia obowiązku i b e z g r a n i c z n e g o oddania się panującemu.”

Przytoczone przykłady dostatecznie malują poglądy „Moskowskich Wiedomosti”. Dodajmy, że pismo to nieraz wpada w gwałtowną polemikę i ma zwyczaj zarzucania swoim przeciwnikom nielojalności.

„Grażdanin” — pismo ks. Mieszczerskiego, z którego poglądami wpływowa opinia publiczna w Petersburgu nieraz się liczyła i jeszcze liczy, jakkolwiek jestto organ raczéj samego księcia, niż zorganizowanego stronnictwa, w ostatnich miesiącach zapełnia się niemal wyłącznie artykułami w sprawie szlacheckiéj. Książę najusilniéj przemawia za polepszeniem bytu szlachty i ma wiele punktów stycznych z „Moskowskiemi Wiedomostiami”; różni się jednak tém, że chce całą sprawę oprzéć na zasadach sprawiedliwości i słuszności. Nie wiedząc, jak najlepiéj trafić do przekonania sfer decydujących, książę nie waha się twierdzić, że uwłaszczenie włościan przeprowadzone zostało w sposób wprost niesprawiedliwy, oraz że kiedy władza najwyższa, która mogła się p o m y l i ć w wyborze środków, tę niesprawiedliwość zrozumié, to niewątpliwie stanowi szlacheckiemu pośpieszy z pomocą.

Jestto rzecz skądinąd oryginalna, że „Grażdanin” uważa za wrogów sprawy szlacheckiéj — szlachtę petersburską, zwłaszcza stale zamieszkałą w stolicy nadnewskiéj. Szlachta petersburska zawiniła w obliczu „Grażdanina“ zbytniém oddaniem się reformom Aleksandra II-go, i europejskim liberalizmem, natomiast szlachta wiejska dotąd jeszcze oddycha zdrowemi tradycyami i wraz z ozonem wciąga w swe piersi „żywiołowe ideały“ dawnych czasów. „W Petersburgu całkiem inaczéj — uskarża się książę. — Wszyscy tu, z góry aż do dołu, wychowują się w otoczeniu z jednéj strony kosmopolityczném i zachodnio-europejskiém, z drugiéj zaś — urzędniczo - inteligentném. W téj atmosferze niemasz nic pozytywnego, nic stałego, nic historycznego, nic narodowego, nic uświęconego, nic surowo przestrzeganego. Przeciwnie, wszystko tu jest warunkowe i niepewne, a więc nietrwałe i nieokiełznane, albowiem wszyscy myślą nie o tém, w jaki sposób należy uczynić zadość potrzebom życia rosyjskiego, lecz o tém, jak pogodzić wymagania europejskiéj cywilizacyi politycznéj, opacznie zrozumianéj, z potrzebami państwa rosyjskiego, zrozumianemi jeszcze opaczniéj.“

Jestto, rzecz prosta, bardzo jednostronny pogląd, podyktowany przez niechęć dla sfer urzędniczych, z któremi szlachta petersburska ściśle się łączy przez stosunki służbowe i towarzyskie. Wogóle prasa tego autoramentu, co „Moskowskija Wiedomosti“ i „Grażdanin“, bardzo chętnie rozprawia o „wrogach“ szlachty. Pomijając sfery urzędnicze, które stale są oskarżone o nieprzychylność dla szlachty rodowéj, „Grażdanin“ upatruje nieprzyjaciół szlachty w t. zw. klasie „inteligen-

tów", czyli ludzi wolnych profesyi, dziennikarzy, uczonych i nauczycieli.

„Głównym wrogiem szlachty — poucza D. Bodisko na szpaltach „Grażdanina" — jest „inteligent", którego ideały i zasady polegają na dążeniu do szablonowéj równości, wynalezionéj w Europie zachodniéj. Do inteligentów zaliczyć należy wykształcone żydostwo, które walczy o równość, gdyż w krajach, gdzie ta równość istnieje, żydzi zdołali osiągnąć przewagę i zapełnić szeregi arystokracyi pieniężnéj, korzystając z jéj praw, lecz nie chcąc dźwigać na sobie jéj obowiązków. Do „inteligentów" w powyższém znaczeniu należy zaliczyć Polaków, którzy zawsze radzi bronią wszystkiego, co osłabia Rosyę... Związek „inteligentów" rosyjskich, Polaków i żydów—oto główny żywioł, występujący przeciw szlachcie, jako stanowi, gdyż pojęcie stanu wyklucza pojęcie równości... *Unisono* z tymi panami — śpiéwa arystokracya ziemska, która ma stanowiska zapewnione i uważa się za wyższą nad zwykłą szlachtę wiejską."

Pan D. Bodisko o urzędnikach pochodzenia szlacheckiego tak się wyraża: „ludzie ci skończyli już rachunki ze wsią, odzwyczaili się od niéj, zapomnieli lub raczéj nie wiedzieli wcale o znaczeniu kulturalném szlachty. Życie ich polega na wyczekiwaniu dnia 20-go w miesiącu [1]); umysł ich karmi się prasą stołeczną, a rozwija się w Towarzystwie Wolno-ekonomiczném i innych, gdzie się zbiérają urzędnicy-teoretycy i profesorowie, dla których życie po za murami miasta jest tak niezrozumiałe, jak życie na Marsie lub księżycu. Panowie ci kuszą się o rozstrzygnięcie losów Rosyi pod względem społecznym, ekonomicznym i politycznym!..."

Do tych głosów prasy należy dodać, dla wyraźniejszéj charakterystyki, zdania, wychodzące bezpośrednio z ust przedstawicieli szlachty. W tymże „Wiestniku Europy", który rozbiérał poglądy B. Czyczeryna, napotykamy znaczący ustęp z mowy, wygłoszonéj przez hr. Bobryńskiego, marszałka gubernialnego szlachty petersburskiéj:

„Dopóki kwestya polegała na ustawicznéj walce szlachty z zazdrośnikami, była to rzecz zwykła i powody do szczególnego niepokoju nie istniały. W ostatnich wszakże czasach pojawiły się mylne zdania o szlachcie, zgodne z oskarżeniami jéj nieprzyjaciół i znalazły odgłos w sądach osób rządowych, a nawet jawnie wygłaszane są w dokumentach, posiadających urzędową powagę. Twierdzą niektórzy otwarcie, że utrudniony stan i zadłużenie szlachty nie powinny wywoływać utożsamiania interesów pewnéj grupy właścicieli ziemskich z ogólno-pań-

---

[1]) Data wypłaty pensyi urzędnikom.

stwowemi interesami kraju... Nie, nie jesteśmy pewną grupą właścicieli ziemskich! Jesteśmy przedstawicielami własności ziemskiéj całéj Rosyi, przedstawicielami potrzeb zarówno własnych, jak włościańskich i ogólno-państwowych. Szlachta zawsze była wyrazicielką potrzeb ogólnych... Szlachta pozostała wierną odwiecznym tradycyom. Sztandaru swego nie porzucimy nigdy: w nim spoczywa siła nasza. Wiedzą o tém dobrze nasi przeciwnicy, lecz niech nam wolno będzie zapewnić, że sami również dobrze o tém pamiętamy. My więc, jako szlachta, jesteśmy przedstawicielami potrzeb ziemi rosyjskiéj i wskutek tego jesteśmy przedewszystkiém ludźmi „ziemskimi"!... Imiona nasze mogą zaginąć, rody upaść, ziemia—przejść w inne ręce, lecz oświecona i postępowa reprezentacya ziemi rosyjskiéj nigdy nie zniknie. Nie wyrzekamy się reform; gotowiśmy iść z duchem czasu. Nie byliśmy nigdy kastą feudalną! Grupą w sobie zamkniętą nie chcemy być... lecz żeby szlachta w Rosyi miała wyginąć... żeby tronowi zabrakło téj niewzruszalnéj opoki... nie, panowie, to nigdy nie nastąpi!"

Mowa ta, wygłoszona przez ustępującego marszałka szlachty na pożegnalnéj uczcie, wybornie maluje obecny nastrój umysłów w petersburskich sferach szlacheckich. Jest w niéj pewna cecha charakterystyczna, mianowicie gotowość pójścia z duchem czasu, która, jak już widzieliśmy, nie podoba się „Grażdaninowi" i jego korespondentom „z Rosyi środkowéj", gdzie szlachta „wraz z ozonem" wdycha dawne przekonania społeczne. „Wiestnik Europy", oceniając dość przychylnie tę mowę, nie zgadza się jednakże na twierdzenie hr. Bobryńskiego, jakoby szlachta była wyłącznym wyrazicielem potrzeb ogólnych; wiadomo, że szlachta w Rosyi posiada prawo wyrażania swych życzeń (*chodatajstwowat'*) wobec rządu, lecz korzysta z niego jedynie we własnych sprawach i nie raz wbrew interesom innych stanów. Mowa hr. Bobryńskiego posiada przeto cechę raczéj panegiryczną, niż programową i powinna być brana pod uwagę, jako wyraz nastroju liberalniejszéj części szlachty petersburskiéj. Nastręcza się pytanie, gdzie szukać należy rozwinięcia programu szlachty lub stronnictwa, domagającego się nowych reform dla tego stanu? Widzieliśmy już, jak ogólnikowo wyrażają się o aspiryacyach stanu szlacheckiego tacy obrońcy jego, jak „Moskowskija Wiedomosti" i „Grażdanin". Przywrócenie szlachcie dawnego znaczenia — oto *desideratum* tych pism. Dawne zaś znaczenie szlachty polegało, według ich zdania, na służbowych przywilejach stanu. Szlachta — była to klasa ziemiańsko-urzędnicza, powołana do rządzenia nie państwem wprawdzie, lecz powiatami, guberniami, a z czasem nawet całemi ziemstwami, które w założeniu swojém

są wszechstanowe. Aspiracye poplecznikόw „Moskowskich Wiedomosti“, jakkolwiek niejasno wyrażane i jakby ukrywane z umysłu, nie są jednak tak dalece tajemniczemi, żeby ich nie można było całkowicie zgłębić. Czyni to właśnie „Wiestnik Europy“, który z pewną dozą sarkazmu rozwija program stronnictwa szlacheckiego w duchu moskiewskiego organu ze Strastnego bulwaru: „Nie pomylimy się, odgadując główne punkta tego programu: policya dominialna (dosłownie *wotczynnaja policija*), t. j. prawo każdego szlachcica-ziemianina lub jego pełnomocnika do przestrzegania porządku na ziemi własnéj i gruntach sąsiada nie-szlachcica, połączone z władzą dyscyplinarną nad nieuprzywilejowanymi burzycielami spokoju, zwłaszcza nad niepokornymi i niepoprawnymi robotnikami wiejskimi; obsadzanie szlachtą ziemską, z polecenia powiatowego marszałka, nietylko urzędu naczelnika ziemskiego, lecz i wielu innych urzędów—policyjnych (sprawnicy, asesorowie), skarbowych (inspektorowie podatkowi), agronomicznych (agronomowie powiatu), administracyjno-naukowych (inspektorowie szkół początkowych), z pominięciem wszelkiego censusu umysłowego, a w niektórych wypadkach nawet majątkowego, lecz przy bezwarunkowém przestrzeganiu censusu stanowego; daléj—zwiększenie liczby naczelników ziemskich i podniesienie im pensyi; rozszerzenie ich władzy i zwolnienie ich, jako sędziów, od formalistyki postępowania sądowego, czyli innemi słowy, ostateczna zamiana administratorów-sędziów na administratorów czystéj krwi, obdarzonych, między innemi, i władzą sądową; zamiana obieralnych władz włościańskich przez władze, mianowane z ramienia naczelników ziemskich; obniżenie samodzielnych zebrań gminnych i gromadzkich do roli organów doradczych przy naczelniku ziemskim; zaprowadzenie instytucyi honorowych naczelników ziemskich w miejsce honorowych sędziów pokoju; całkowite usunięcie z pod kontroli senatu lokalnych instytucyi sądowo-administracyjnych.“

Program taki, podpowiedziany szlachcie przez ironizujący „Wiestnik Europy“, nie wiele w rzeczy saméj mija się z ogólnym duchem artykułów „Moskowskich Wiedomosti“ i „Grażdanina.“ Gdyby został wykonany, co jest rzeczą poniekąd niemożliwą, szlachta rosyjska (a przynajmniéj najbardziéj nieprzejednani w jéj łonie), ujrzałaby ziszczenie najśmielszych swych marzeń, ponieważ by odzyskała oddawna utracone „miejscowo-służbowe znaczenie“, które stało się obecnie hasłem najbardziéj przez nią umiłowaném.

Przejdźmy teraz od prasy do danych z życia społecznego. Na gruncie realnym stan szlachecki dotąd jeszcze wyraźnych żądań nie stawia. Zwyczajne i nadzwyczajne zebrania szlacheckie w różnych

guberniach występowały wprawdzie z rozmaitemi projektami, lecz były to tylko projekta. Wśród tych projektów wyróżniają się dwa, nad któremi rozprawiano na zebraniach szlachty w gubernii tulskiéj. Pierwszy projekt polega na wyjednaniu od rządu specyalnego *moratorium* dla niezmiernie licznych dłużników rządowego banku szlacheckiego, które ma polegać na tém, iż w ciągu lat trzech dłużnicy mają być zwolnieni od obowiązku płacenia rat terminowych pod warunkiem, że raty te mają być uiszczone (bezprocentowo) w ciągu trzech lat, następujących po upłynięciu terminu pożyczek, zazwyczaj rozłożonych na lat kilkadziesiąt. Drugi projekt polega na utworzeniu funduszu szlacheckiego wzajemnéj pomocy, który ma powstać przez dodatkowe pobieranie z gruntów szlacheckich sumy, jaka została zniesioną na podstawie manifestu koronacyjnego z r. 1896 (wówczas państwowy podatek gruntowy został obniżony o połowę). Rzecz prosta, że oba te projekty napotkały wielu przeciwników nie tylko w prasie lecz i wśród pewnéj części szlachty, która nie zaciągnąwszy żadnych długów w banku szlacheckim, nie uczuwa chęci ponoszenia kosztów na podtrzymywanie sąsiadów, zadłużonych w banku.

Istnieje wreszcie jeszcze jeden projekt, omawiany parokrotnie na zebraniach szlachty, mianowicie wprowadzenie w życie instytucyi majątków niezbywalnych, przechodzących tylko drogą spadku. Są to tak zw. „*zapowiednyja imienja*", co do których przeciwnicy szlachty robią słuszną poniekąd uwagę, że wytworzą one legalną klasę upadłych obywateli, których państwo i społeczeństwo, na mocy przymusu prawnego utrzymywać będą musiały. Gdy bowiem obecnie szlachcic popadnie w ruinę, nikt mu nie broni wyzucia się ojcowizny i poszukiwania gdzieindziéj lepszego losu; po wprowadzeniu zaś w życie zasady niezbywalności dóbr ziemskich, podupadły dziedzic będzie mimowoli grał rolę urzędowego bankruta, któremu pośrednio wszyscy nieść pomoc powinni. Przeciwko temu rozliczaniu na obcą pomoc, zwłaszcza na pomoc państwa, usilnie powstaje wspomniany już wyżéj B. Czyczeryn, który wygłosił zdanie, że państwo nie jest zakładem dobroczynnym.

Gorące te rozprawy w zgromadzeniach szlacheckich zwróciły uwagę sfer rządowych, które w interesie dobra ogólno-państwowego, zamierzyły tę kwestyę skierować na drogę prawodawczą, stwierdzając tém niejako jéj doniosłość dla państwa.

Istnienie kwestyi szlacheckiéj w Rosyi i krytyczny stan ziemian nie ulegają obecnie najmniejszéj wątpliwości. Ustawiczne skargi właścicieli ziemskich na ciężkie czasy w rolnictwie obok wskrzeszonych zachcianek szlachty do przewodniczenia innym stanom, są wymownym

dowodem, że sprawa szlchecka stoi na porządku dziennym i roztrząsana jest już w odpowiednich instytucyach społecznych i państwowych. Najwyższa władza sama wreszcie uznała istnienie téj kwestyi, i początkiem jéj rozwiązania stał się reskrypt Cesarski na imię prezesa komitetu ministrów, sekretarza stanu Durnowo, ogłoszony w kwietniu r. b. W reskrypcie tym powiedziano, iż utrudniony byt szlachty stanowi przedmiot szczególnéj uwagi Monarszéj i że szlachta powinna dla dobra Rosyi utrzymać się na dotychczasowém stanowisku. W celu wynalezienia sposobów, mogących przynieść ulgę szlachcie, prezesowi komitetu ministrów rozkazano stanąć na czele specyalnie utworzonéj rady, do któréj weszli ministrowie: dworu Cesarskiego i apanaży, spraw wewnętrznych, rolnictwa i dóbr państwa, sprawiedliwości, skarbu oraz cztery osoby z liczby wyższych urzędników dworskich i państwowych.

Reskrypt wywołał rozmaite przewidywania co do możliwego rozstrzygnięcia kwestyi, które znane nam są z nowych rewelacyi prasy. „Moskowskija Wiedomosti" oczekują całkowitéj reformy i przypisują jéj zawczasu nie mniejsze znaczenie, niż wielkiéj reformie włościańskiéj z r. 1861. Przywrócenie szlachcie mandatu państwowego, w tym stopniu, jak żąda to pismo, uważać należy za nieprawdopodobne i niemożliwe ze względu na dokonane uwłaszczenie włościan. Rzecznicy szlachty usiłują jednak uzasadnić przynajmniéj częściowy powrót do dawnych porządków, które wystawiają w najpiękniejszém świetle. Szlachta ówczesna—twierdzą oni — prócz władzy patrymonialnéj nad włościanami (czyli poprostu praw pańszczyźnianych), miała w swych rękach powiatową policyę i sądy, reprezentowała potrzeby całego stanu rolniczego w rozlicznych komisyach, posiadała wyłączny przywiléj samorządu gubernialnego, a najwyższy jéj przedstawiciel — marszałek gubernialny—zajmował drugie miejsce zaraz po gubernatorze. Wogóle cały zarząd lokalny wówczas był „szlacheckim." Reforma 1861 r. miała jakoby obniżyć znaczenie szlachty. W istocie jednak szlachta, jakkolwiek utraciła swe przywileje, zyskała po r. 1861 daleko żywotniejszy wpływ na sprawy lokalne już to w ziemstwie, już to w różnych zarządach powiatowych, gdzie jéj marszałkowie posiadali prawo przewodniczenia, jak wiemy z artykułu B. Czyczeryna. Lecz „Moskowskija Wiedomosti" tego nie chcą zrozumieć: stan rzeczy z przed r. 1861 wciąż wydaje się im najidealniejszym. Pozwolimy sobie przytoczyć złośliwą charakterystykę owych czasów, naszkicowaną przez „Wiestnik Europy:" „Przedreformowe sądy i policya były synonimem łapownictwa i samowoli; przedreformowa „gospodarka lokalna" — gniazdem martwego formalizmu i rutyny; przedreformowe zebrania szlacheckie — ogniskiem intryg osobistych; przedreformowe wybory

szlacheckie, rozdawnictwem większych i małych synekur (*kormlenij*). Sędzia powiatowy, wodzony za nos przez sekretarza; sprawnik ziemski—obrany z pośród zrujnowanych obywateli lub „*dentystów*"; prezes izby sądowéj, rozważający nie tyle słuszność stron prawujących się, ile ich wpływy wyborcze lub stanowisko społeczne; asesor szlachecki, wiedzący o sprawach tylko ze słuchu; deputat, stwierdzający zgodność nieprzeczytanych i nawet nieoglądanych rachunków; większy wyborca, prowadzący za sobą mnóstwo drobnych — wszystko to są postaci typowe, utrwalone w historyi i w literaturze."

Mniejsza jednak o tę charakterystykę. Dziś w Rosyi nikt chyba nie wątpi, że wobec tych wszystkich wad, jakie posiadał dawny „szlachecki" porządek rzeczy, reformy Aleksandra II były istném dobrodziejstwem dla całego narodu, a zwłaszcza prowincyi. Były one także dobrodziejstwem dla saméj szlachty, którą wprowadziły na normalne tory pracy społecznéj z zachowaniem jéj wydatnego stanowiska, a wszystkie utyskiwania rzeczników szalchty nie mają głębszéj podstawy. Jednakże nadzieje ich nie tylko nie ustają, lecz przybierają nieraz cechę widocznéj przesady. Marszałek szlachty gubernii saratowskiéj P. Krywskij, w ostatnim swym memoryale, aprobowanym przez zebranie szlachty, twierdzi, jakoby sfery rządowe i towarzyskie przejęte były wrogiem usposobieniem i obojętnością dla zasad szlacheckich, poczynając od chwili uwłaszczenia włościan aż do ostatnich niemal czasów. Rząd zwracał jakoby wyłącznie usiłowania swoje ku polepszeniu bytu włościan, nie roztaczając opieki nad szlachtą. W istocie zaś rząd, jak już wiemy z przytoczonych faktów, poczynił bardzo poważne kroki dla poprawienia losu szlachty, jakiemi były np. założenie banku szlacheckiego, reglamentacya najmu robotników wiejskich, zaprowadzenie instytucyi naczelników ziemskich, nadanie szlachcie przewagi w ziemstwach. Wszystkie te kroki stronnicy „Moskowskich Wiedomosti" nazywają „nieśmiałemi półśrodkami paliatywnemi". Jakich zaś „stanowczych" środków wyczekują oni—trudno się domyślić; wyrazy „przywrócenie szlachcie mandatu państwowego" nie tłómaczą dostatecznie rzeczy; nie rozstrzyga tego pytania i dowcipnie podsunięty szlachcie program „Wiestnika Europy", zawierający w pierwszym punkcie żądanie wskrzeszenia archaicznéj policyi „wotczynnéj." Przypuśćmy z „Wiestnikiem Europy", że szlachcie udzieloném zostało prawo do owéj policyi i do urzędów sądowych, oraz innych urzędów powiatowych (agronomów, inspektorów szkół i t. d.). Gdyby posady te mogły zajmować tylko osoby mianowane z pośród miejscowéj szlachty z pominięciem censusu umysłowego, nastąpiłby niechybny powrót do dawnych czasów, kiedy ani sędziów ani urzędni-

ków nie obowiązywało żadne wykształcenie, sprawy zaś spoczywały w ręku sekretarzy lub pisarzy. Jak wiadomo, rząd wymaga dziś od sądowników a nawet naczelników ziemskich wyższego wykształcenia. Czyżby census umysłowy miał całkowicie paść ofiarą interesów stanu? Gdyby projekt policyi „wotczynnéj" brano na seryo, to niepodobna przypuścić, żeby dla obsadzenia wszystkich posad policyjnych wystarczyła niewielka stosunkowo liczba odpowiednio wykwalifikowanych ziemian, stale w swéj okolicy zamieszkała. W braku takich ziemian wypadałoby władzę policyjną oddawać w ręce ich pełnomocników lub dzierżawców; przywiléj publiczny stałby się wówczas prywatnym. Żądania takie trącą oczywistym anachronizmem i nie ma wątpliwości, iż rząd na nie uwagi nie zwraca.

W reskrypcie Cesarskim z kwietnia r. b. przedewszystkiém zwrócono uwagę na utrudniony byt szlachty, który jak wiadomo, datuje się od niedawna i jest wynikiem ciężkich dla rolnictwa okoliczności, mianowicie złych urodzajów, obniżenia cen zboża i dzierżawy, drożyzny robotnika, bankructwa starych systemów gospodarki rolnéj i t. d. Chodzi więc rządowi o poprawę bytu materyalnego szlachty osiadłéj na wsi, ażeby dać jéj możność swobodnego pełnienia służby państwowéj i społecznéj oraz uchronienia jéj przed liczebnym upadkiem, czyli wogóle chodzi o zapewnienie jéj „dotychczasowego" stanowiska w Rosyi. O przywróceniu szlachcie „mandatu państwowego" reskrypt Cesarski nie czyni żadnéj wzmianki, z czego łatwo wywnioskować, iż o zmianie organizacyi zarządu lokalnego nie ma nawet mowy, tém bardziéj zaś nie może być obecnie mowy o uszczupleniu praw innych stanów na korzyść szlachty. Kwestya szlachecka w Rosyi, która wynikła z przyczyn natury ekonomicznéj, powinna być rozstrzygnięta przedewszystkiém tylko z pomocą środków ekonomicznych; nic jednak dziwnego, że przy téj sposobności odezwały się głosy i aspiracye natury ogólniejszéj, zmierzające do wyróżnienia w szlachcie jakiegoś odrębnego pierwiastku duchowego, nadającego jéj prawo do wyłącznego reprezentowania i piastowania władzy administracyjnéj i sądowéj w zarządzie lokalnym. Te głosy świadczą wymownie o natężeniu myśli panującym wśród wszystkich przedstawicieli opinii publicznéj z powodu wytoczenia przed oblicze rządu sprawy szlacheckiéj.

Czytelnik bez wątpienia zdoła wyrobić sobie właściwy pogląd na związek, jaki może zajść pomiędzy sprawą szlachecką w Rosyi a aspiracyami do współdziałania, wypowiedzianemi przez hr. Moszyńskiego. Zbyt wielkie jeszcze różnice natury czysto społecznéj oddzielają naszą szlachtę od szlachty rosyjskiéj, aby współdziałanie tych dwóch grup wydało natychmiastowe skutki. Jest jednak rzeczą prawie niewątpli-

wą, że nasza szlachta a szlachta rosyjska zejdą się na gruncie nie pojęć korporacyjnych, lecz interesów ekonomicznych. I u nas i w Cesarstwie wyłączność stanowa upada coraz bardziéj a w miejsce historycznéj grupy właścicieli ziemskich, zarysowuje się coraz wyraźniéj grupa właścicieli rolnych o charakterze przemysłowym, która będzie i nadal stanowić jedną z najsilniejszych podstaw ustroju społecznego. Na gruncie wspólnych usiłowań celem podtrzymanie rolnictwa i ładu w państwie wytworzyć się może z czasem i wspólność dążeń społecznych, po uprzedniém pozbyciu się uczuć wyłączności kastowéj i pogodzeniu się z innemi stanami w życiu publiczném.

Stanisław Hłasko.



PRZYCZYNEK DO ŻYCIORYSU

WESPAZYANA KOCHOWSKIEGO

i jego rodziny.

Dr. W. Wisłocki w pracy swéj „Wespazyana z Kochowa Kochowskiego *Rubus incombustus*" na str. 9-éj powiada, że Kochowski „w każdym razie, mimo wszelkich swoich wad i ułomności, jest pod wieloma względami postacią swego czasu pierwszorzędną, a jako żołnierz z wojen kozackich i szwedzkich, jako bohatér z potrzeby wiedeńskiéj, jako poeta niepospolity i znakomity historyk, jako autor „Niepróżnującego próżnowania", „Klimakterów", „Psalmodyi" i wielu innych dzieł, a przytém wszystkiém jako ziemianin — *arator non orator*, jak sam siebie nazywa — pozostanie dla nas na zawsze tym wybitnym i charakterystycznym typem drugiéj połowy XVII wieku, podług któréj, przyjrzawszy mu się bliżéj, wolno nam w przybliżeniu wydawać sąd o reszcie społeczeństwa, między którém wzrósł, z którém żył i obcował. Każdy zatém szczegół pozytywny, przyczyniający się w czémkolwiek do bliższego wyświecenia życia i dzieł jego, nie powinien i nie może być dla nas obojętnym." Jakoż posiadając nieznane szczegóły, odnoszące się do Wespazyana Kochowskiego i jego rodziny, a prostujące niektóre błędne o nim zdania, ogłaszam je dla wiadomości publicznéj.

Oprócz biografii i krótkich rozbiorów dzieł w różnych historyach literatury polskiéj, posiadamy sumienne i obszerne studyum o Wespazyanie Kochowskim przez Adama Rzążewskiego [1]). Jednak w pracy téj spotykają się pewne niedokładności i błędy, które należy sprostować. I tak na str. 18 czytamy o Kochowskim: „Od pierwszych lat swojéj młodości to książką, to szablą zajęty, nie dopuścił do serca swego uczucia miłości, jakkolwiek, jak to widać z całéj prawie III-éj księgi liryków, wrażliwy był na wdzięki niewieście. Dopiéro, kiedy osiadł na własnym roli swéj zagonie, a rzeczpospolita zwolniła go na chwilę od posług, wtedy, z wrodzoną przodkom naszym praktycznością i taktem, obejrzał się za dozgonną towarzyszką, za gospodynią i panią małéj swojéj chudoby. Praktyczny pogląd na miłość, oraz dochodzący już czwarty krzyżyk wieku, nie przeszkodziły mu wcale kochać, jak się kocha w pierwszéj wiośnie życia. Kto była jednak ta, co wzbudziła namiętną miłość poety i została późniéj dozgonną jego towarzyszką, nie udało nam się wyśledzić. Z niektórych tylko metryk Goleniowskich i z aktu jéj zejścia dowiadujemy się, że imię jéj było Maryanna. Z nią czterdziestoletni szlachcic, chrztem krwi zlany pod Gnieznem, poeta i polityk narodowy, mąż i z nauki i z zasług poważny, nie waha się grać w z i e l o n e, a z jakim zapałem, z jaką radością dziecinną cieszy się, ilekroć mu się uda bohdankę swoją w grze pochwycić i zażądać zielonego, kiedy go nie ma.

Ja znowu: Maryś, zielone?
Darmo się przysz (wypierasz), bo stracone.
Potém się sam przyznała,
A w zakładzie fawor dała.

Z wiersza Kochowskiego „Suplika do jéj mci panny N. N. N.", pomieszczonego w III-éj księdze „Liryków polskich", dowiadujemy się jaką pałał miłością względem swéj bohdanki, która zawojowała go nie tyle swą urodą, ile przymiotami swéj pięknéj duszy.

Z dwóch dokumentów, pisanych po łacinie, a odnoszących się do Wespazyana Kochowskiego, podaję w tłómaczeniu polskiém krótszy, zawierający te same szczegóły biograficzne, co i drugi obszerniejszy.

---

[1]) Studya nad literaturą polską XVII i XVIII-go wieku do czasów panowania Stanisława Augusta. „Hieronim Wespazyan Nieczuja Kochowski" przez Adama Rzążewskiego. Warszawa, 1871.

Zapis dożywotny Kochowskich.

Z księgi: *Zapisy Grodzkie Chęcińskie. Indukty*, ks. 38, str. 740. We wtorek najbliższy przed uroczystością Św. Tomasza Apostoła, roku 1658-go.

„Stanąwszy osobiście przed urzędem i aktami niniejszemi, grodzkiemi, starościńskiemi, chęcińskiemi, — *urodzony Wespazyan Kochowski*, *syn niegdy urodzonego Jana Kochowskiego*, podsędka sandomirskiego, dziedzic części swych na Goleniowach, Gaju i Kowalkowicach — z jednéj strony, a *Maryanna Misiowska ze Smielowéj Woli*, *córka niegdy urodzonego Józefa Misiowskiego z niegdy urodzoną Dorotą Oraczewską spłodzona* — z drugiéj strony; małżonek sam przez się, a małżonka pod opieką i w asystencyi tegoż swego małżonka, jako opiekuna małżeńskiego, zdrowi na umyśle i na ciele, i używszy rady przyjaciół, odstępując od ziemstw, powiatów, praw i jurysdykcyi, w jakikolwiek sposób sobie właściwych, a niniejszéj grodzkiéj, starościńskiéj, chęcińskiéj co do aktu tego, ze swymi sukcesorami i ze wszystkiemi dobrami swemi całkowicie się poddając, jawnie, dobrowolnie i wyraźnie zeznali: Iż dóbr swych dziedzicznych i zastawnych, ruchomych i nieruchomych, jakichkolwiek sum pieniężnych, i wogóle wszystkich dóbr, które teraz mają i potém miéć będą, wzajemnie, jedno drugiemu zapis dożywotny i użytkowanie tylko do końca życia swego niniejszém ustąpili i zapisali, ustępują i zapisują, to jest takim sposobem: Iż jeżeli przerzeczonemu małżonkowi, Wespazyanowi Kochowskiemu, pierwéj przyjdzie umrzéć, niż przerzeczonéj małżonce, urodzonéj Maryannie Misiowskiéj, tedy ona, Maryanna Misiowska, małżonka, wszystkie wyżéj wskazane, po śmierci małżonka swego pozostałe dobra, będzie trzymała i one posiędzie ze wszystkiém prawem, państwem, przynależnościami, dochodami i pożytkami, nic nie wyjmując, i będzie ich użytkowała tylko do końca życia swego. Po śmierci zaś przerzeczonéj małżonki, Maryanny, wszystkie, wyżéj wskazane, tegoż jéj małżonka dobra, zupełném prawem wrócą się do sukcesorów przerzeczonego jéj małżonka, urodzonego Wespazyana Kochowskiego, bez wszelkiéj przekazy i sporu ze strony sukcesorów przerzeczonéj małżonki, urodzonéj Maryanny Misiowskiéj. I podobnież, jeśli przerzeczonéj małżonce, Maryannie Misiowskiéj, wypadnie pierwéj umrzéć, niżeli przerzeczonemu jéj małżonkowi, Wespazyanowi, tedy tenże małżonek wszystkie wyżéj wskazane, po śmierci przerzeczonéj swéj małżonki pozostałe dobra, będzie trzymał i one posiędzie ze wszystkiém prawem, państwem, ze wszystkiemi przynależnościami i użytkami, nic nie wyjmujących, i będzie ich użytkował tylko do końca życia swego; a po śmierci przerzeczonego małżonka, urodzonego Wespazyana Kochowskiego, wszystkie wyżéj wymienione dobra małżonki jego, całkowicie i zupełnie wrócą się do sukcesorów małżonki tegoż, bez wszelkiéj przekazy i sporu ze strony sukcesorów przerzeczonego małżonka Wespazyana Kochowskiego.“

Z dokumentu powyższego okazuje się, że 1) żona Wespazyana Kochowskiego nazywała się Maryanna Misiowska ze Smielowéj Woli i była córką Józefa i Doroty z Oraczewskich, Misiowskich, już w roku 1658-ym nie żyjących; 2) że Wespazyan Kochowski w r. 1658 był już żonaty i miał najwyżéj lat 28, jako urodzony między 1630 i 1633 ro-

kiem, żona zaś jego w r. 1658 miała lat 22, jako urodzona w r. 1636, gdyż umierając w r. 1696 miała lat 60. Nic więc dziwnego, że Kochowski jako dwudziestokilkoletni młodzieniec, a nie czterdziestoletni kawaler, jak utrzymuje Rzążewski, wrażliwy był na wdzięki niewieście, pisał miłosne wiersze i grał w zielone ze swą młodą bohdanką.

Jan Kochowski, ojciec Wespazyana, wstąpił powtórnie w związki małżeńskie z Elżbietą z Piaseczna, wdową po Stefanie na Mirogonowicach Mroczku, i umarł 1655 r., a nie 1663 r., jak utrzymuje Rzążewski. Przekonywamy się o tém z dzieła ks. Józefa Gackiego: „Benedyktyński klasztor Świętego Krzyża na Łyséj Górze", Warszawa, 1873 r., gdzie na str. 321 czytamy: „Nadmieniamy, że w papierach łysogórskich o rodzinie Kochowskich wyczytaliśmy także, „iż Stefan Mroczek złp. 1,000 na budowę kościoła w mieście Waśniowie testamentem odkazał, a sumę tę ożeniony z wdową po nim Elżbietą Piasecką Jan Kochowski, podsędek ziemi sandomierskiéj, plebanowi waśniowskiemu Delegowiczowi w poniedziałek po św. Łukaszu 1654 r. wypłacił; że roku 1656 w sobotę po trzech Królach, Elżbieta z Piaseczna, wdowa po Janie Kochowskim (um. 1655 r.), Wespazyana, Seweryna (um. r. 1657, Koch. Liv. 121) i Jana Kochowskich, synów podsędka Jana, który jéj prostym długiem przyznał 5,000 złp., skwitowała z sumy 4,000 złp., jako już sobie przez nich zapłaconéj. Nawzajem Wespazyan i Seweryn Kochowscy, imieniem swojém i małoletniego brata Jana, zeznali, że od swéj macochy odebrali spadające na nich ruchomości w złocie, srebrze, klejnotach, w gotowiźnie, w miedzi, mosiądzu, cynie, dobytku, trzodzie, stadninie, oraz wszelkie sprzęty domowe i pisma we wszelkiéj formie i treści." Dodajemy, że podział dóbr między rodzinę Kochowskich nastąpił w r. 1663. A gdy brat Jan i siostra Anna wzięli Gaj i Dobruchnę, historyk i poeta Wespazyan przeniósł się w lelowskie („Przyjaciel Ludu", 1827 r., N. 27), gdzie Goleniowy, Mękarzów i Moskarzew nabył („Tyg. ilustr.", III, 92). Rzążewski („Studia", I, 4, 14), według dokumentu z r. 1698, w którym Franciszek Kochowski pisze się dziedzicem Gaju, uważa go za najmłodszego z braci Wespazyana; przywiedzione jednak tu dokumenta znają jedynie przy podziale dóbr 1663 r. dwóch braci rodzonych, Wespazyana i Jana Kochowskich. Franciszek mógł być bratem stryjecznym, i kiedy w Gaju spłacił Jana, ten wziął 1678 r. w dzierżawę Moskarzew."

Drugi dokument z téj saméj daty, co i przytoczony, znajduje się w téj saméj 38 księdze „Zapisów Grodzkich Chęcińskich" na str. 737. Jest to akt, w którym Wespazyan Kochowski ubezpiecza oprawę czyli reformę posagu swéj żonie i jéj sukcesorom w ilości

26,000 złp., t. j. 13,000 złp. jako posag (*dotem*) i 13,000 złp. jako przywianek (*dotalitium*) [1].

W księdze „Zapisy Grodzkie Chęcińskie. Indukty", ks. 30, str. 205: „w sobotę najbliższą po uroczystości Św. Małgorzaty Panny, roku 1641" znajduje się akt, w którym: „Stanąwszy osobiście przed urzędem i niniejszemi aktami grodzkiemi, starościńskiemi chęcińskiemi szlachetna Maryna Kochowska, córka niegdy urodzonego Andrzeja Kochowskiego, dziedzica na Gaju i Kowalkowicach, a urodzonego Jakóba Nosarzewskiego małżonka prawa, stająca w jego obecności, zdrowa na umyśle i ciele, odstępując od ziemstw, powiatów, praw etc., jawnie, dobrowolnie i wyraźnie zeznała, iż z rąk urodzonego Jana Kochowskiego, brata swego rodzonego, dziedzica na Gaju i Kowalkowicach, w zupełności otrzymała zadośćuczynienie ze wszystkich dóbr ojczystych i macierzystych, ruchomych i nieruchomych, przez tegoż brata rodzonego, Jana Kochowskiego, co do posagu i wyprawy, i z tego kwituje go niniejszém.

Widzimy więc z tego aktu, że Jan Kochowski, ojciec Wespazyana, był synem Andrzeja, a siostra Maryanna była żoną Jakóba Nosarzewskiego.

Feliks Rybarski.

---

[1]) Mąż biorący posag za żoną *dotem*, zapisywał jéj takiéj wysokości sumę, jak posag, i te dwie sumy złączone, ubezpieczał na swym majątku; to się nazywało oprawą czyli reformą posagu. Suma od męża przypisana, po łacinie nazywała się *dotalitium*, przwiankiem. („Prawa cywilne", jakie w Polsce od roku 1347 do wprowadzenia Kodeksu Napoleona obowiązywały. Napisane przez W. Dutkiewicza. Warszawa, 1869, str. 28).



ROZBIORY I SPRAWOZDANIA.

Antoni Krasnowolski. „Systematyczna składnia języka polskiego.“ Wydanie z zapomogi Kasy pomocy naukowéj imienia d-ra Mianowskiego. Warszawa, Drukarnia Estetyczna K. Sierpińskiego, 1897, str. 319 + IV. Cena rs. 1.

„W niniejszéj książce miałem zamiar nakréślić, o ile możności, dokładny obraz języka polskiego pod względem budowy zdania": temi słowy autor zagaja przedmowę do wymienionego tutaj dzieła, które swą wartością wewnętrzną i zakrojem zasługuje na szczegółowe omówienie i zalecenie tym, co pragną zapoznać się gruntowniéj z ustrojem syntaktycznym mowy rodzinnéj. Nawet w naszéj, stosunkowo ubogiéj, literaturze naukowéj i pedagogicznéj przedmiotu tego nie można nazwać nowym: p. K. miał dość znaczną liczbę poprzedników—jeżeli nie wyłącznych badaczy składni, to przynajmniéj autorów całokształtu gramatyki. Pomiędzy nimi byli wyborni znawcy języka i doskonali na swój czas teoretycy; to też nie możemy stłumić w sobie pewnego żalu, wiedząc, że autor nasz nie wymienił w „Przedmowie" ani jednak nazwiska (nazwisko p. F. Łagowskiego tutaj się nie odnosi) i nie wspomniał ani słówkiem, czy, oprócz pewnéj ilości nazw technicznych, któremuś z dawniejszych lub spółczesnych gramatyków zawdzięcza cokolwiek lub nie. A przecież w tego rodzaju pracy specyalnéj, wykraczającéj po za ramy zwykłych podręczników szkolnych i przeznaczonéj widocznie dla ludzi dojrzałych, rzut oka na literaturę dotychczasową byłby dla czytelników wielce pożądany i pożyteczny. Wprawdzie p. K. nie zamilcza bynajmniéj o istnieniu innych gramatyk, ale cóż,

kiedy wspomina o nich tylko w wyrazach ogólnych, zawiadamiając nas w „Przedmowie”, że w książce jego „uważny czytelnik (zdaje się, że autor żąda od nas zadużo uwagi) znajdzie niemało szczegółów, na które dotychczas nikt nie zwracał uwagi, albo które zupełnie błędnie wyjaśniono”, następnie zaś okazując, jak dowolnym, nie logicznym był ogólny układ dotychczasowych gramatyk, oraz szczegółowe w nich podziały, gdy tymczasem nasz autor dążył w swéj pracy do jaknajwiększéj systematyczności. Mojém zdaniem, w książce o charakterze naukowym krótkie wskazówki, dotyczące badań nad składnią polską, byłyby tém pożądańsze, że przymieszka żywiołu historycznego w jakiéjkolwiek umiejętności dodaje zawsze téj ostatniéj więcéj ożywienia i pozwala oceniać pojedyńcze twierdzenia z właściwszego stanowiska, że zebranie jakichś dokładniejszych wiadomości o naszéj literaturze gramatycznéj nie dla każdego jest rzeczą łatwą, i wreszcie że użycie niektórych „mniéj lub więcéj przyjętych” terminów „w nieco odmiennem znaczeniu” wymagało już wprost — jeżeli nie usprawiedliwienia, to przynajmniéj gołego zaznaczenia wprowadzonéj odmiany. Weźmy np. termin „orzecznik”. W najbardziéj rozpowszechnionych obecnie gramatykach (Małeckiego, Boczylińskiego, Bema) nazwy téj wcale nie spotykamy, więc téż niejeden czytelnik lub nauczyciel będzie się pewnie zapatrywał na to, jako na zupełną nowość, z którą mu się nawet trudno pogodzić. Czy więc nie byłoby właściwém, gdyby p. K. nie był poprzestał na kategoryczném twierdzeniu, że „imię, wyrażające treść orzeczenia, nazywa się orzecznikiem” (§ 6), lecz w jakikolwiek sposób zaznaczył, że S. Gruszczyński w swojéj „Nauce o zdaniu” (Poznań, 1861) użył téjże nazwy na oznaczenie „orzeczenia”?

Pomijając jednak rzeczy pominięte i zwracając się do tego, co nam autor dał, przyznajemy najchętniéj, że z pomiędzy innych tego rodzaju książek „Składnia” pana K. wyróżnia się istotnie dwiema najznamienniejszemi cechami, które są zaznaczone w „Przedmowie”. Przedewszystkiém mamy tu zgromadzone, rozklasyfikowane i ochrzczone odpowiedniemi nazwami niemal wszystkie zjawiska syntaktyczne, jakie spotykamy w naszéj mowie, zwłaszcza książkowéj, używanéj przez warstwy mniéj lub więcéj inteligentne, tak iż przy rozbiorze syntaktycznym jakiegokolwiek ustępu z naszych najnowszych i dawniejszych pisarzy książka pana K. nigdy nas prawie nie zawiedzie, i zawsze znajdziemy w niéj —jeżeli nie całkowite objaśnienie i uzasadnienie (jestto inna i o wiele trudniejsza sprawa!), to choć jakąś informacyę, albo też będziemy mieli przynajmniéj tę pociechę, że gramatyka powié nam, jakie miejsce zajmuje pewien zwrot językowy w cało-

kształcie składni, co oznacza i jaką nazwą może być najtrafniéj określony. Ta to właśnie obfitość szczegółów, troskliwość i odwaga, z jaką autor gromadził przeróżne, czasami wielce oryginalne zwroty mowy polskiéj, nie cofając się przed objaśnieniem takich wyrażeń, któremi się oddawna prawie wszyscy posługujemy, a które nieraz trzeba było naciągać do istniejących w dotychczasowych gramatykach „prawideł" (liczba tych ostatnich była oczywiście za szczupła) i które czasem były jakby rozmyślnie pomijane, wreszcie przenikliwość i subtelność logiczna, z jaką p. K. starał się wykryć różnice znaczeniowe (semazyologiczne) między pozornie jednorodnemi zjawiskami, trafność i dokładność określeń i terminów — stanowią, według mnie, największą, górującą zaletę omawianéj tutaj „Składni". Można się o tém przekonać np. z §§ 20 — 30, gdzie jest mowa o zdaniach bezpodmiotowych i czasownikach nieosobowych, albo téż z obszernego traktatu o zdaniach podrzędnych zupełnych (§§ 367 — 423). Potrzeba zaś takiego przewodnika gramatycznego była niezaprzeczoną, pod względem bowiem składniowym żaden może z języków literackich nie wyprzedził w swym rozwoju tak daleko odpowiednich badań teoretycznych, jak polski. Skutkiem tego niejeden nauczyciel, a nawet rozsądniejszy uczeń lub uczenica przy rozbiorze syntaktycznym musieli poprzestawać niekiedy na stanowisku ciemnego prostaka, dla którego np. pewne zwierzę czworonożne, pilnujące domu, towarzyszące człowiekowi na polu, w lesie i t. d., nazywa się zawsze poprostu „psem", w którym rozróżnia się conajwyżéj wzrost i zabarwienie sierści — bez uwzględnienia budowy, zdolności, pochodzenia i przeznaczenia, jedném słowem gatunku czy odmiany. Pan K. przeprowadza klasyfikacyę prawie ze ścisłością i drobiazgowością przyrodnika, tak iż obecnie nauczyciele i ucząca się młodzież nie będą potrzebowali okłamywać się mimowoli i wmawiać w siebie, że np. zdania przyczyny realnéj i przyczyny logicznéj (§ 399—402)—to jedno. Zaznaczając tyle odmian składniowych i ustanawiając tyle drobnych podziałów, autor był oczywiście zniewolony wprowadzić wiele nowych terminów, na co ten i ów nauczyciel lub nauczycielka może się skrzywi albo nawet obruszy. Nie przecząc bynajmniéj, że oswojenie się z mianownictwem pana K. i zapamiętanie wszystkich nazw będzie rzeczą dość trudną, muszę się pomimo to oświadczyć po stronie autora, gdyż wprowadzone przezeń nowości były, według mnie, nieuniknionemi. Czyż bowiem można się obejść bez takich terminów, jak np. wspomniany wyżéj o r z e c z n i k (§ 6), o d p o w i e d n i k (§ 371), zdania c z a s o w o - o d w r o t n e (§ 402), i czy na ich miejsce da się obmyśléć coś trafniejszego? A są to tylko próbki terminologii naszego autora. — Oprócz obszerności i wyczerpu-

jącéj dokładności, wyróżniającém znamieniem „Składni" p. K. jest jéj układ, polegający na tém, że z nauki o zdaniu pojedyńczém i zdaniu głównéin autor utworzył dwie części główne, rozważając zaś zarówno pierwszy, jak i drugi rodzaj zdań „osobno ze strony treści i osobno ze strony formy", wprowadził cztery rozdziały mniejsze, w których znowu odpowiednio do ilości członków zdania i materyału językowego rozwinął całe mnóstwo drobnych poddziałów. Układ taki, posiadający niektóre punkty styczności z elementarnemi „Zasadami" Boczylińskiego (część II), trzeba istotnie nazwać s y s t e m a t y c z n y m, jak to opiewa i tytuł książki. Wobec wymagań naukowych system ten może się ostać, gdyż jest on rzeczywiście racyonalny. W p r a k t y c e atoli korzystanie z książki pana K. okaże się dość uciążliwém — nawet dla uczących, a to dlatego, że oprócz zwyczajnego „Spisu rzeczy" nie mamy tu nic, coby ułatwiało oryentowanie się w takiéj mnogości szczegółów. Najpotrzebniejszym według mnie byłby tu skorowidz abecadłowy, do którego powinnyby wejść spójniki, przyimki, niektóre przysłówki, większość terminów gramatycznych, czasowniki z wielorakim rządem i t. p. Wiem-ci ja, że ułożenie takiego skorowidza wymagałoby znacznego nakładu pracy i czasu, a tego rodzaju kapitału pan K. włożył do swego dzieła i tak ilość ogromną (ile tu nagromadzono samych przykładów!); ale jakże nie wypowiedzieć swego życzenia, skoro różni autorowie już nas przyzwyczaili do podobnych ułatwień, odczuwając jakby instynktownie ich potrzebę — zwłaszcza w czasach nowszych! W obecnéj swéj postaci „Składnia" pana K. nadaje się przedewszystkiém dla nauczycieli i nauczycielek, którzy przy rozbiorze syntaktycznym znajdą w niéj o wiele pewniejszego i wszechstronniéj informującego przewodnika i doradcę, aniżeli dotychczasowe gramatyki. Tylko nadmieniłbym jeszcze, że prawidła, dotyczące użycia z n a k ó w p r z e s t a n k o w a n i a, byłoby zapewne praktyczniéj skupić gdzieś na jedném miejscu.

Szczegółowy rozbiór pracy pana K. jest na tém miejscu niemożebny, gdyż to pociągnęłoby chyba za sobą szereg monografii, które, niestety, powinny były u p r z e d z i ć tego rodzaju syntezę. Pozwolimy sobie tedy zrobić jeno kilka dorywczych uwag. Otóż przedewszystkiém żal nam, że autor, tak obeznany z językami starożytnemi i nowożytnemi, nie starał się uwydatniać częściéj i dobitniéj tego, co jest dobytkiem, że tak powiem, międzynarodowym, t. j. właściwym wielu językom, co w mowie polskiéj już się dawno utarło, lecz było prawdopodobnie urobione na wzór obcy, i wreszcie, co stanowi osobliwość tylko naszego języka. Mojém zdaniem, w omawianéj „Składni" zbyt daleko posunięte jest równouprawnienie różnych prawideł i przykładów. Nie

chcę przesadzać: wiem, że określenie stopnia swojskości jakiegoś zwrotu nie wszędzie jest możebne—zwłaszcza bez wyczerpujących studyów specyalnych na tém polu; wiem również, że o rozmaitych zwrotach obcych mówi się zwykle w stylistyce. Pomimo to jednak wydaje mi się, że pan K. mógłby był już teraz w wielu wypadkach orzec bez znacznego ryzyka, jak mamy się zapatrywać na to lub owo zjawisko syntaktyczne; przynależność zaś takich kwestyi do s k ł a d n i uważam za niewątpliwą: stylistyka powinna się na nie tylko p o w o ł y w a ć. Jeżeli sobie uprzytomnimy, ilu wpływom postronnym ulegali prawie wszyscy nasi wybitniejsi pisarze, to zgóry musimy przypuścić, że nawet u największych mistrzów słowa i powag językowych znajdzie się tu i owdzie wyrażenie, zabarwione zcudzoziemska, którego zatém nie można stawiać narówni z wyrażeniami szczeropolskiemi i rozbierać go jako zwyczajnego zjawiska składniowego. To też i p. K. wytyka niekiedy rozmaite „barbaryzmy", spotykane w naszéj mowie książkowéj i potocznéj. Ale sądzę, że robi to z a rzadko; tak np. w § 104 (punkt 2), pomimo powagi Górnickiego („Przed solą i jeść nie mogę"), nie odważyłbym się p o l s k i e m u przyimkowi „przed" przypisać znaczenia p r z y c z y n o w e g o narówni z innymi przyimkami, wyliczonymi w tymże paragrafie: ,mojém zdaniem, autor „Dworzanina" w tym razie przetłomaczył tylko dosłownie, bez głębszego zastanowienia, łaciński przyimek *prae* (a może niem. *vor*?) i dopuścił się poprostu latynizmu, którego nie można wciągać do teoryi składni p o l s k i é j jako wyrażenia równouprawnionego. Podobnież nie ręczyłbym za prawdziwą polskość wyrażenia: „Jarmark był *w* kilku milach" (§ 96—również z Górnickiego), a i zdanie Sienkiewicza: „Pewnie n a chęci mi nie b r a k ł o" (§ 32 uw. 2)—w moich oczach trąci niemczyzną. Tak samo w § 341 (punkt 1), przytaczając napuszone a liche zdanie z „Kuryera Warszawskiego", nie należało mówić o błędnym szyku" wogóle, lecz skarcić bijący w oczy germanizm jako prawdziwy *grober Unfug*. Zaznaczając silniejszy lub słabszy, mniéj lub więcéj usprawiedliwiony wpływ obcy w poszczególnych wyrażeniach, nie potrzebowaliśmy zaraz uwłaczać naszym wielkim pisarzom, gdyż bądźcobądź są to u nich objawy sporadyczne, od których jest wolen mało który gieniusz cudzoziemski, powtóre zaś obok pewnych naleciałości niepotrzebnych, mamy przecież w swojéj mowie niemało takich wyrażeń, które są właściwe tylko polszczyźnie i stanowią jéj piętno indywidualne w obrębie składni. Tego rodzaju osobliwości języka polskiego napotykamy i u pana K. (np. § 92 uw. 2, § 98 punkt 8, poczęści § 107 punkt 2 uw., w pewnéj mierze § 167 punkt 1 uw.), a liczba ta jeszczeby się zapewne powiększyła, gdyby autor był uwzględnił także mowę l u d o w ą, która

i w książkach ma swoich przedstawicieli. Polonizmy muszą istnieć, boć przecie i pod innemi względami nie byliśmy i nie jesteśmy jeszcze pozbawieni pewnych znamion indywidualnych, a zatém byłoby nam przyjemnie i pożytecznie widzieć, że choć niektóre z nich są w ten lub inny sposób uwydatnione w „Składni", jak w gramatykach francuskich bywają wykazywane galicyzmy. Określając tu i owdzie, choć jedném słówkiem, stopień rodzimości pewnego wyrażenia, można było sam wykład nieco urozmaicić, ożywić i pogłębić; ażeby zaś książka wskutek tego nie rozrosła się zbytecznie, można było zaniechać niektórych przykładów z literatury, oświetlających rzeczy zbyt proste i pospolite: bo czyż np. w § 98 (punkt 3 lit. *e*) potrzebna była cytata z Sienkiewicza dla pokazania, jak wygląda przyimek *o*, oznaczający godzinę? („O godzinie piątéj mieliśmy wyjechać"). Czy natomiast nie byłoby rzeczą ciekawszą i bardziéj pouczającą — nie tylko zestawić, ale i wskazać wyraźniéj na pokrewieństwo semazyologiczne polskiego człek (człowiek), francuskiego *on* i niem. *man*? (§ 26 uw,) Wszak niejeden nauczyciel języka polskiego może się tego pokrewieństwa nie domyślać. Podobnież, czy nie byłoby właściwém zestawić osobliwy przyimek dzięki z łac. *gratia*, franc. *grâce*, niem. *dank*? (§ 104 punkt 3).—Jeżeli względem stwierdzenia mniejszéj lub większéj rodzimości pewnych zwrotów w mowie polskiéj mogliśmy wyrazić tylko nasze skromne życzenia, to z drugiéj strony musimy szan. autorowi już stanowczo zganić, że deklinacyjne przypadki, czy tam „skłonniki", albo oznacza liczbami porządkowemi, albo też nazywa po łacinie. Pierwszy sposéb nie przedstawia jakiegoś udogodnienia praktycznego, może w pewnych wypadkach stać się bałamutnym, i prócz tego równa się on dobrowolnemu ogałacaniu mowy z terminów, które najniezawodniéj przyczyniają się do jéj zasobności (prw. zdanie Kryńskiego w „Pracach filol." tom I str. 110 ust.). Drugi sposób również niczém się nie zaleca. Czyż bowiem starożytne, tradycyjne nazwy łacińskie, których częściowa niedorzeczność (np. *genitivus*, *accusativus*) została dawno wykazaną, są choć odrobinę lepsze od zręcznie obmyślanych i słusznie upowszechnionych polskich nazw księdza Kopczyńskiego? Z łacińskiemi nazwami przypadków czytelnikowi „Składni" trudno się pogodzić, gdyż naprzód stoją one w rażącéj sprzeczności z pozostałą terminologią autora, a przecież każdy widzi, że np. termin „czasownik" wcale nie jest lepszy od terminu „mianownik„ lub „biernik"; powtóre są one niezrozumiałe dla tych, co się nie uczyli łaciny, a liczba takich może być znaczna; potrzecie nakoniec, przy rosprawianiu o odnośnych kwestyach, prowadzą one do takich conajmniéj dziwacznych wyrażeń jak: „nie posiada *ablativa*, który się zlał z *genitivem* (§ 218). Terminologia

łacińska dałaby się usprawiedliwić chyba w książce, przeznaczonéj dla cudzoziemców, albo w „Pracach filologicznych", choć i w tém ostatniém wydawnictwie widać od początku dążności wręcz przeciwne: w omawianéj składni jest ona w każdym razie niewłaściwą. Rzecz zastanawiająca: nasi matematycy, przyrodnicy, lekarze umieją sobie poradzić z nomenklaturą specyalną, czasami o wiele trudniejszą, i stworzą sobie nieraz nazwę polską, do któréj aż się dusza śmieje; gramatycy, a więc specyaliści od języka, zdają się wogóle nie miéć do tego tak szczęśliwéj ręki. Co się rzekło o nazwach przypadków, to samo można zastosować do dwuznacznego terminu „*elipsa*" (§ 32, 429 nst.), który przynajmniéj w gramatyce da się łatwo zastąpić przez utarty termin wyrzutnia.—A oto jeszcze kilka drobnych szczegółów. Z uwagi na niektóre wyrażenia nieosobowe i rolę, jaką często odgrywa bezokolicznik (o czém w „Składni" znajdują się wiadomości wyczerpujące), definicyę zdania (§ 2) należałoby koniecznie jakoś uzupełnić, faktycznie bowiem nie zawsze widzimy w zdaniu czasownik „w formie orzekającéj", lecz musimy jéj się dopiéro domyślać i niekiedy nawet wysilać się na odgadnienie, jakie to mianowicie *verbum finitum* zostało opuszczone. Drugi ustęp § 17 sformułowany jest zanadto bezwzględnie, boć wyjątkowo i w języku polskim spotykamy przymiotniki i imiesłowy rodzaju nijakiego, użyte rzeczownie (złe, frycowe, czopowe, mostowe, rogatkowe, wszystko, święcone; „ziemskie pokryć ziemi bryłą"—Syrokomla w „To i dosyć"). W punkcie 1 § 24 możnaby dodać: zjawisk natury, oznaczających pogodę lub porę dnia, — a wtedy różnica pomiędzy punktem 1 i 2 byłaby wyraźniejsza. § 33, po szczegółowém zbadaniu odnośnych zwrotów językowych, wypadnie może kiedyś zmodyfikować: w mowie ludu spotykamy do dziśdnia formy wiela (narzędnik „wielą" dość długo używany był w literaturze), „siła", tyla, tyćka, duza (= duża), a nawet trocha, które oczywiście trudno uważać za „przypadek 4" czyli biernik. W 1 punkcie § 92 mamy, jak się zdaje, do czynienia z wyraźném przeoczeniem albo nawet błędem językowym. O ile mi wiadomo, pytając o „drogę, po któréj się ruch odbywa", wszyscy używamy wyrazu którędy (łac. *quâ*, franc. *par où*). Otóż słówka tego nie mogłem się w „Składni" doszukać, natomiast p. K. każe tutaj zadawać pytanie kędy? Czy można się spodziewać na to zgody ogólnéj? Wątpię. Według mnie, rzadko używane słówko kędy pod względem znaczenia już oddawna niczém się nie różni od przysłówka gdzie (pomimo przyrostka dy), i tak go też używa np. kanonik Starowolski w zdaniu: „Bo jako człowiek, puściwszy się bez wiosła w łodzi po rzece jakiéj, nie tam zapłynie, kędy zechce, albo gdzie mu potrzeba, ale tam,

gdzie go woda swoją bystrością zaniesie...“ („Ref. obycz. pol.“, XIX); prw. także Krasickiego: „na téjże, kędy poległ, ziemi sprawował uczty”, „kędy Loklińców mężne roty stały“, „stał Fingal, kędy zapalone stosy” (Pieśni Ossyana), albo W. Pola: „I postawiono mary przed kościołem, Kędy jest wnijście do onego dołu...“ (Pacholę hetm.). Nietylko „kędy“, ale i wszędy nie oznacza samo przez się drogi, ale poprostu miejsce, na pytanie gdzie? („wszędy pełno Ciebie — Kochanowski, „wszędy ojczyzna, gdzie jeno dobrze“ — Syrokomla w „Janku cment.“), a i w przytoczonych przez autora dwóch zdaniach z Sienkiewicza można dziś, nie obrażając poczucia językowego, zastąpić wszędy przez wszędzie. W § 100, mówiąc o oznaczeniu czasu, p. K. wymienia między innemi przysłówek dokiedy, którego polskość wydaje mi się mocno podejrzaną, i który przypomina mi zaraz niem. *bis wann*, a opuszcza używańsze i właściwsze pytanie dopóki. Przytaczałem już wyżéj § 167 (punkt 1 uw.), gdzie jest mowa o tak zwanym *Dativus hteicus*: otóż radbym tam widziéć jakąś wzmiankę o zaimku *ci* lub *-ć*, który tak wybitną a charakterystyczną rolę odgrywa w języku polskim. Co do przybranki *wy* (§ 144, punkt 3, lit. *b*), to można było nadmienić, że, czyniąc ze słów nieprzechodnich przechodnie, oznacza ona nietylko „otrzymanie czegoś“, ale — że użyję słów J. Muczkowskiego (Gram. pols., § 335²)—czasami także „ostateczne dokonanie“ lub „kierunek na zewnątrz“ (np. wyśmiać, wydrwić, wykrzyczéć, wyjałowić, wydostać, wygarnąć, wyświetlić, wydzwaniać, wytrzeszczyć). Pod koniec „Przedmowy“ pan K. oświadcza, że, co się tyczy wykładu, to starał się „połączyć jasność ze ścisłością, zwłaszcza w definicyach“, i unikał „zarówno gawędziarstwa, jak krasomówstwa.“ Jakkolwiek nietrudno odgadnąć, którego „gawędziarza“ i którego „krasomówcę“ pomiędzy gramatykami autor ma tutaj na myśli, to jednak, ponieważ sam ich nie wymienił, i my wolimy o nich zamilczéć. Dodamy tylko, że wysłowienie pana K. odznacza się rzeczywiście pożądaną prostotą i zwięzłością, aczkolwiek nie zawsze może być nazwane wzorowém pod względem poprawności i zręczności. Niepodoba mi się np. utworzony przez autora przykład w § 351 (punkt 2 uw.): „Pójdziemy na spacer, jeśli będzie pogoda i nam nic nie przeszkodzi“ (=*und uns nichts verhindert*); dziwnie także brzmią przykłady: „zmuszono nieprzyjaciół się poddać“ (§ 188, punkt 1), albo: „zmusiłem go mi oddać“ (§ 210, uw. 4).

Ale dosyć tego. Jak widzimy, w pewnych szczegółach „Składnia“ pana K. nie jest wolna od zarzutów, co nas nie powinno dziwić: autor tak rozszerzył materyał syntaktyczny języka polskiego, tyle zmu-

szony był poświęcić pracy myślowéj na jego obrobienie teoretyczne, że wydaje mi się niepodobieństwem, aby przytém każdy szczegół mógł być ostatecznie wykończony i przybrany w szatę najodpowiedniejszą,— témbardziéj że książka robi wrażenie, jak gdyby autor postanowił sobie opracować cały materyał całkiem samodzielnie, bez opierania się na innych gramatykach ojczystych. Sądzę też, że, gdyby się kto uwziął na wyszukiwanie usterek i braków w omówionéj „Składni“, to znalazłby ich więcéj, aniżeli ja ich mogłem wykazać w niniejszém, i tak przydługiém sprawozdaniu, i że z czasem, przy dalszych poszukiwaniach w téj saméj dziedzinie, okaże się jeszcze wyraźniéj potrzeba pewnych uzupełnień i sprostosowań w dziele p. Krasnowolskiego. Czy te stosunkowo drobne niedokładności podnoszą wewnętrzną w a r t o ś ć „Systematycznéj składni“? Oczywiście, że nie. Czy jednak zmniejszają one z n a c z e n i e rozebranéj książki dla naszéj literatuy gramatycznéj? Na to pytanie odpowiedziałbym z równą stanowczością: nie! Owszem, wypowiadając swój sąd ostateczny, nie wahałbym się orzec, że dzieło pana K. pod względem obfitości szczegółów i ich obrobienia logicznego bezwarunkowo przewyższa dotychczasowe gramatyki, że obecnie mamy w niém najkompletniejszy obraz budowy syntaktycznéj języka polskiego, i że dla każdego, zajmującego się tym przedmiotem, winno się ono stać poradnikiem niezbędnym, choć może i nie wyłącznym. Niechże tedy autor przyjmie wyrazy uznania za jego pracę, Kasa Mianowskiego podziękowanie za jéj ogłoszenie, dotycząca zaś publiczność niech nie pozwoli wylegać się po półkach księgarskich książce niedrogiéj, a wielce pożytecznéj i wydrukowanéj starannie, jak na stosunki warszawskie!

M. Rowiński.

„Adolf Pawiński. 1840—1896. Zarys dziejów żywota i pracy, skreślił Wincenty Zakrzewski.“ Petersburg, K. Grendyszyński, 1896. In 8-vo, str. 124, z portretem.

Jest to praca prof. uniwersytetu jagiellońskiego, d-ra Wincentego Zakrzewskiego, jak obecnie jednego z najkompetentniejszych sędziów prac historycznych, o przedwcześnie dla naszéj nauki zgasłym niezwykłéj miary i zasługi uczonym, który był nietylko źródłowym badaczem i popularyzatorem nauki, lecz i prawdziwym obywatelem, gorąco kraj swój miłującym, obywatelem, który do ostatnich chwil życia nie szczędził pracy dla dobra swego społeczeństwa. Dzieje żywota Adolfa Pawińskiego opiéra prof. Zakrzewski przedewszystkiém na długoletnich z nim stosunkach, następnie zaś na dokładnych informacyach, po które zwracał się do rodziny, przyjaciół, kolegów i uczniów zmarłego, dzięki

szemu dzieje te przedstawiają się przed oczami czytelnika jednolitém pasmem, w szeregu barwnych, wiernie z życia odtworzonych obrazów, owianych ciepłem serdecznéj sympatyi dla człowieka i wielkiém uznaniem dla uczonego. Widzimy go więc chłopcem rwącym się do książki w zgierskiéj szkole prywatnéj, następnie wzorowym uczniem w gimnazyum piotrkowskiém, które oddziałało korzystnie na wyrobienie jego umysłu i charakteru, z jednéj strony dzięki wpływowi zdolniejszych kolegów, z drugiéj zaś—profesorów; pomiędzy tymi ostatnimi dwu zwłaszcza ma Pawiński wiele do zawdzięczenia, a mianowicie profesorowi języka polskiego Zielińskiemu i Dębickiemu, który historyę wykładał, i takie do niéj zamiłowanie w uczniu swym obudził, że ten kończąc szkoły, pragnął gorąco zostać profesorem historyi lub filologii. Dla osiągnięcia jednak tego celu niejedną trzeba było przełamać przeszkodę, przedewszystkiém zaś brak środków materyalnych, który nie pozwolił jechać do Petersburga na uniwersytet na wydział historyczno-filologiczny. Wszakże silna wola, wytrwałość i praca przemogły i oto dziewiętnastoletni młodzieniec z uciułanym na guwernerce groszem, udaje się do Petersburga, gdzie w murach uniwersyteckich poznaje się z nim autor omawianego przez nas zarysu. Dzięki lekcyom i zajęciom literackim, czasy petersburskie nie należą do najcięższych w życiu Pawińskiego. Stosunki koleżeńskie, oparte na wzajemném wspomaganiu się, były jaknajlepsze, egzamina szły mu świetnie, a znajomość zawarta z młodym naówczas profesorem prawa karnego, Włodzimierzem Spasowiczem, zmieniła się niebawem w ścisłą przyjaźń. Lecz gdy wskutek zaburzeń studenckich zamknięto uniwersytet w Petersburgu, a Pawiński, nie chcąc tracić roku, przeniósł się do Dorpatu, ciężkie nastały dla niego chwile. O sposobność do pracy, mogącéj zapewnić choćby najskromniejsze utrzymanie, trudno było w małém mieście i, jak sam o tém w listach pisał, pożywiał się obiadami po 6 kopiejek, a mimo to zdrowie służyło, bo „człowiek żył przy książce“. W Dorpacie téż dojrzał ostatecznie i przechylił się stanowczo ku historyi; w Dorpacie również dowiedział się, że nauki historyczne rozkwitają w Niemczech i że głównym ich mistrzem i twórcą nowożytnéj szkoły jest Ranke w Berlinie. Składając, jak zwykle, świetnie egzamin końcowy ze stopniem kandydata, za cel ambicyi postawił sobie zajęcie katedry profesora historyi w warszawskiéj Szkole Głównéj, która właśnie potrzebowała profesorów. U źródła, w Berlinie, pod kierunkiem mistrza Rankego pragnął nabyć umiejętnéj metody krytycznéj. Dzięki poparciu Wittego, który był naówczas kuratorem warszawskiego okręgu naukowego, otrzymał Pawiński stypendyum rządowe i zabawiwszy rok w Berlinie, na zakończenie studyów przeniósł się do Getyngi, gdzie

pod kierunkiem Jerzego Waitza, profesora niezrównanego w kształceniu młodzieży, poświęcającéj się studyom historycznym, napisał pierwszą swą samoistną pracę historyczną i uzyskał dyplom doktora filozofii.

Docentura Szkoły Głównéj, na któréj go niebawem zatwierdzono, nie mogła mu dać utrzymania; trzeba było dawać lekcye prywatne i zarabiać piórem, pisując i tłómacząc do „Gazety Warszawskiéj". Jedną z pierwszych, ogłoszonych po polsku, prac naukowych Pawińskiego była z wielkiém przezeń zadowoleniem pisana recenzya o świéżo wydaném przez senatora Romualda Hubego prawie salickiém. Uderzony zapewne gruntownością krytyki, wysoki ten dygnitarz, starcem już będący, zapragnął poznać swojego recenzenta i odwiedził go w skromném mieszkaniu na trzeciém piętrze, w oddalonéj dzielnicy miasta. Odwiedziwszy Pawińskiego, przekonał się naocznie, w jak ciężkiém położeniu materyalném młody uczony zostaje i, pragnąc umożliwić mu poświęcenie się naukowéj pracy, wyrobił mu urząd sekretarza w wydziale karnym komisyi sprawiedliwości z delegacyą do zajęć w Archiwum Głównem. Poznawszy się na wartości Pawińskiego, ułatwił mu Hube pierwsze kroki w życiu, zaskarbiając sobie tém z jego strony wdzięczność dozgonną. Było to w końcu marca 1868 roku. Zapewniony byt pozwolił łamać wytrwałością i pracą inne trudności, których nie brakowało; wszakże z dniem każdym coraz większe zdobywała uznanie naukowa i literacka jego praca, jednając mu szacunek powszechny. Stanowisko ustalało się coraz bardziéj, a zarazem coraz wyraźniéj zakréślało się pole działania, na którém wytrwał do końca, jak żołnierz na powierzonym mu posterunku. Liczne stosunki nawiązane z ludźmi, pokrewnymi duchem, wykazały mu potrzebę założenia nowego organu literackiego, który niebawem zaczął wychodzić— „Ateneum". Było to pod koniec 1875 roku. W lutym tegoż roku Pawiński został naczelnikiem Archiwum akt dawnych w Warszawie, w listopadzie zaś otrzymał nominacyę na profesora zwyczajnego w uniwersytecie; osiągnął tedy najwyższe stanowisko w obu instytucyach, będących główną areną jego działalności.

Brak miejsca nie pozwala nam iść krok w krok za szanownym autorem cennéj monografii o Pawińskim; umyślnie jednak, podobnież jak i on, przytoczyliśmy niejeden szczegół o młodych latach nieodżałowanego uczonego, dla wykazania, jak sumiennie przygotowywał się do zamierzonéj pracy, śród jakich wpływów i okoliczności urabiał się jego umysł i charakter i ile trudności zwalczyć musiał, nim stał się wreszcie tém, czém był przez resztę żywota. A przeszkód i trudności, stwarzanych przez ludzi złéj woli, nie brakowało mu nawet pod koniec

steranego w ustawicznéj pracy życia — one to mu przedwczesny grób zgotowały. Prof. Zakrzewski nie tai bynajmniéj, co podkopało zdrowie Pawińskiego; dotychczas zapewne niewiele osób zna właściwy powód katastrofy.

W r. 1893-im, kiedy się kończyła dwudziestopięcioletnia służba profesorska Pawińskiego, wydział filologiczny Uniwersytetu warszawskiego postanowił jednogłośnie prosić, aby go nadal na katedrze pozostawiono. Innego wszakże zdania była kuratorya. Jako emerytowi nie wolno byłoby mu być nadal naczelnikiem archiwum, a dla człowieka bez majątku było to odjęciem środków do życia, a co gorsza—pozbawieniem koniecznych materyałów do pracy zawodowéj. Przez pół roku trwał ustawiczny niepokój i denerwująca niepewność jutra. Na szczęście przeważyły w Petersburgu zabiegi uczonych rosyjskich, znających wartość Pawińskiego; w sprawie téj najwięcéj zasłużył się uniwersytetowi warszawskiemu p. A. Byczkow, niegdyś współpracownik Hubego, dyrektor cesarskiéj biblioteki publicznéj i członek rady państwa. Lecz te miesiące niepewności głęboko podkopały zdrowie pozostawionego nadal profesora. Zaledwie w rok potém przyszedł pierwszy atak mózgowy, zapowiedź nieuniknionéj katastrofy; a w niespełna dwa lata śmierć przerwała pracowity jego żywot.

W przedostatnim rozdziale cennéj pracy swéj prof. Zakrzewski określa miejsce zajmowane przez Pawińskiego w nowéj polskiéj krytycznéj szkole historycznéj. Pionierami jéj nazywa Helcla, Hubego i Bielowskiego, przewodnikami i twórcami stojących w pierwszym szeregu czterech uczonych, którzy wszyscy w mogile już spoczywają: Kalinkę, Szujskiego, Liskego i Pawińskiego. Liske nazywał siebie uczniem Kalinki, Pawińskiego z Szujskim łączy jeden i ten sam sąd historyczny. Lecz Kalinka i Szujski nie byli wstanie dać nowéj szkole ścisłéj metody umiejętnéj, którą w młodych latach systematycznie poznać trzeba. Tę metodę naukową wnieśli do szkoły inni dwaj: Liske i Pawiński, stanowiący w niéj wspólnie grupę drugą. Obadwaj od młodości systematycznie kształcili się na profesorów i na uczonych w najlepszéj szkole i z tego samego źródła zaczerpnęli znajomość najbardziéj wydoskonalonéj metody naukowéj, którą potém obadwaj starali się usilnie u nas rozpowszechnić. Liske wykształcił liczny zastęp zdolnych uczniów, którzy od niego przejęli historyczną metodę naukową i te same poglądy na cel, zadanie i warunki skutecznéj pracy na niwie historycznéj. Pawiński nie stworzył szkoły i uczniów po sobie nie pozostawia; wzamian za to pozostawia zdobyte przez siebie dla dziejopisarstwa rozległe nowe pola badania i szereg pomnikowych

idzeł. Liczbą i doniosłością prac swoich prześcignął on Kalinkę, Szujskiego i Liskego.

W zakończeniu pracy swéj prof. Zakrzewski rzuca godną poparcia myśl wydania zgromadzonych przez Pawińskiego obfitych materyałów historycznych, nad któremi od tylu lat się mozolił, słusznie twierdząc, że byłby to najgodniejszy sposób uczczenia jego pamięci; zaleca również zebranie razem drobniejszych prac Pawińskiego, a także ogło szenie wyboru jego uniwersyteckich prelekcyi, jak np. historyi parlamentaryzmu angielskiego, która podobno odznaczała się niepospolitem zaletami. Pragnąc zaś ułatwić wprowadzenie w czyn rzuconéj przez się myśli, dołącza w końcu książki szczegółową bibliografię wszystkiego, co napisał i wydał Pawiński.

Praca prof. Zakrzewskiego jest pięknym pomnikiem serdecznéj sympatyi i gorącego uznania dla człowieka, którego pamięci jest poświęcona. *Ar. Les.*

NOWOŚCI NAUKOWE I LITERACKIE.

= **Józef Korzeniowski.** Jego życie i działalność literacka. Zarys biograficzny przez *Piotra Chmielowskiego.* Petersburg. Nakładem K. Grendyszyńskiego, 1898, in 8-o str. 133. — W literaturze naszéj tak mało monografii posiadającéj, dotychczasowa luka zapełnioną zostanie dzięki pięknie zapowiadającemu się wydawnictwu „Życiorysów sławnych Polaków.” Księgarnia K. Grendyszyńskiego w Petersburgu zamierza wydać cykl życiorysów, z których każdy obejmie około sześciu arkuszy druku za cenę 30 kop. I dotychczasowa działalność wydawcy i szereg nazwisk „sławnych Polaków“, z których każde niespożytym jaśnieje blaskiem, pozwalają nam spodziewać się, że wydawnictwo to godnie spełni swoje zadanie, témbardziéj że przyjmą w niem udział tak wytrawne pióra, jak: P. Chmielowskiego, K. Bartoszewicza, Wł. Spasowicza, Wł. Smoleńskiego, St. Ptaszyckiego, St. Krzemińskiego, W. Zakrzewskiego, St. Tarnowskiego, M. Zdziechowskiego i wielu innych. Przystępna cena książki i popularna forma wykładu, jaką zapewne „Życiorysy” odznaczać się będą, pozwoli im rozpowszechnić się w sferach, dla których tego rodzaju duchowa strawa najbardziéj jest pożądana. — Już pierwszy tomik rozpoczynający wydawnictwo stoi najzupełniéj na wysokości swego zadania. Piotr Chmielowski, tak wytrawnie znający nasze piśmiennictwo, odtwarza literacką i społeczną działalnosć Korzeniowskiego. Wyczerpująca charakterystyka pisarza i sumienna ocena owoców jego pracy daje nam zupełny duchowy jego

postaci wizerunek, obszerne zaś streszczenie dzieł zapoznaje z niemi mniéj oczytanych czytelników i do bliższego poznania zachęca. Przy rozbiorze powieści „Krewni”, która jak wiadomo, wywołała słynną napaść Klaczki na Korzeniowskiego za jéj tendencyę, szanowny autor monografii uznaje wyprawę paryskiego krytyka za chybioną, stając po stronie pisarza „który przecież nie mógł odpowiadać ani za to, że nie był entuzyastą, lecz rozważnym spostrzegaczem, ani też za to, że w umyśle krytyka pojawiły się widma, które w myśli autora nie postały wcale.” —Zewnętrzna strona wydawnictwa w stosunku do niskiéj ceny nie pozostawia nic do życzenia. Książkę zdobi portret Korzeniowskiego.—Oczekując pojawienia się dalszych tomików, które w peryodycznych odstępach czasu wychodzić powinny, życzymy nowemu wydawnictwu najlepszego powodzenia, na co zresztą zupełnie zasługuje.

Ar. Les.

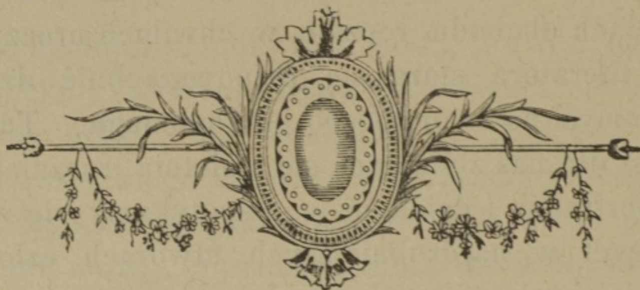
= „Tak, dostojni przodkowie moi!... prawda, ślepy byłem, alem drogi prawej szukał, zbawienia kraju pragnąłem... któż mógł wiedzieć, gdzie i z kim ono było... Dziś coraz gorzéj .. Dobrze, że wzrok straciłem, bym tego wszystkiego nie widział... Czemuż i nie ogłuchłem, abym strasznych rzeczy, które mię dochodzą nie słyszał ..” Z temi słowy konał w r. 1790 pan możny, pyszny magnat litewski, królik Nieświeski, książe Karol Radziwiłł. (*Józef Grajnert:* **Anegdoty księcia Radziwiłła Panie-Kochanku i ważniejsze wspomnienia z jego życia.**” Warszawa, 1898. Nakł. księgarni J. M. Bazewicza). — Zaraz przychodzą na myśl „Ostatnie chwile księcia Wojewody.” I zastanowisz się, zadumasz nad dziwném życiem księcia—i nie potępisz go ryczałtem. To życie niby wesołe, nierówne, hulaszcze było wynikiem złego wychowania i nieumiejętnego oświecenia. Stąd poszło, że po człowieku, który tak świetny i potężny wpływ mógłby był wywierać na otoczenie, została garść anegdot i kilka smutnych czynów. Bezwątpienia bywał Radziwiłł dzikim wodzem swéj drużyny, ale w chwilach równowagi i zadumy jest tak pożałowania godnym, tak biednym, że nie współczuć mu niepodobna. Złym nie był: wspomagał, ludzkim był dla poddanych, ale raz zadraśnięty w swéj dumie, wybuchał gniewem, którego nikt nie ośmielił się hamować: towarzysze pohulanek i łowów bali się swego przywódzcy; księża i zakonnicy swych tylko zysków pilnowali; chociaż dwa razy był żonatym—ani pierwsza, ani druga żona wpływu na męża nie miały. I tak jak założył „akademię” Smorgońską, jak zebrał towarzyszy Alby, tak samo starał się i o dobre uczynki według swych pojęć: „Dosyć wzorowo urządził swe wojsko, które późniéj podarował rzeczypospolitéj. Założył w Nieświeżu szkołę kadetów... Uporządko-

wał i rozszerzył ojcowską drukarnię... Uporządkował w Słucku i w Nieświeżu persyarnie czyli fabryki litych pasów... Założył hutę szklaną w Urzeczu, w Nalibokach rozszerzył, których wyroby dziś jeszcze gdzieniegdzie dochowane pięknym są zabytkiem..." (Str. 142). I trzeba się zgodzić, że to „dzikie serce było w gruncie dobrém, szlachetném, czułem na wyższe piękno..." Tylko marniało niestety. I jak rzekłem na wstępie—pod koniec życia, ociemniały, żałujący za popełnione winy książę Panie-Kochanku jest postacią obudzającą współczucie. Takich jak on „ślepych" było więcéj w tych czasach, a nie wszyscy mieli dobrą wolę *L. R.*

= Cześć jaką narody dla swych geniuszów mają, wyrazy uwielbienia, wdzięczności i niejako chęć zmazania win, jakie ciężą na każdém niemal społeczeństwie w stosunku do jego prowodyrów, potężnieją w chwilach obchodu rocznic, w chwilach uroczystosci narodowych. Wtedy literatura stara się rozpowszechnić dzieła lub czyny geniuszu, a przemysł na swój sposób jéj dopomaga. Taką chwilą zamyślenia się jest dla nas zbliżająca się stuletnia rocznica urodzin Mickiewicza. Z portretem i dziełami jego spotykamy się wszędzie. I dobrze jest: bo nawet w najdrobniejszych utworach człowieka wielkiéj myśli i olbrzymiego talentu zawsze widnieje potęga; poznać ją winien każdy, a uprzystępnieniem tego poznania jak w tym wypadku—jest popularyzowanie utworów poety. Do popularnych przybywają: **Bajki i powiastki, Sonety erotyczne i Sonety krymskie**—(Warszawa, 1897. Nakładem T. H. Nasierowskiego.) Do nich należy i **Co ojciec Kaziowi o Mickiewiczu opowiedział**. (Tamże). Szczęśliwy Kazio, który mógł poznać Zosię, „Trzech Budrysów," „Powrót taty" i inne. Wszystkie wspomniane książeczki wydane starannie. — Większych rozmiarów praca p. t. **Mickiewicz w Odesie i twórczość jego z tego czasu,** przez Aëra, (Warszawa, 1898. Skład główny w księgarni A. Rzążewskiéj) miała na celu „wynalezienie nici przewodniéj, którąby jak snujące się pasma z kłębka Aryadny, przeprowadziła czytelnika przez labirynt myśli"—w dziełach i życiu naszego poety. Jest to część studyum bardzo obszernego, znana już dawniejszym czytelnikom „Ateneum" (r. 1884). *L. R.*

= **Gutenberg**. Sein Leben, sein Werk, sein Ruhm. Von *Alfred Börckel*. Emil Roth. Giessen, 1897. — Nie dla wszystkich są dostępne wyczerpujące dzieła Lindesa i Schorbacha poświęcone Gutenbergowi. Autor pragnął spopularyzować postać wynalazcy sztuki drukarskiéj

w pięćsetną rocznicę jego urodzin. Jak wiadomo, rok przyjścia na świat Gutenberga nie jest ustalony; jedni głosują za ostatnim dziesiątkiem XIV w., inni znów za pierwszym dziesiątkiem XV stulecia. W każdym razie książka ta pojawia się na czasie i, jako rzecz napisana popularnie, lukę dotychczasową zapełnia. Autor, opierając się na faktach, w zwięzłém i barwném opowiadaniu kréśli wszystko to co wiedzieć należy o życiu Gutenberga i o dziejach jego wynalazku. Liczne ilustracye dają nam dokładne wyobrażenie o wyglądzie pierwszych dzieł sztuki drukarskiéj. Książka zasługuje na to, by ją przełożyć i u nas rozpowszechnić. *Ar. Les.*



KRONIKA MIESIĘCZNA.

Posunięcie dyskusyi.—Dwie metody i dwa stronnictwa.—Publicystyka i polityka.—Rola prasy.—Kto ma prowadzić politykę.—Zbawienna abstynencya.—Pole działalności politycznéj. — Pierwsze związki stronnictwa. — Wyższa szkoła politechniczna.

Dyskusya w sprawach politycznych, a raczéj w sprawie naszéj polityki polsko-rosyjskiéj, posunęła się o krok naprzód. Nie ma już sporów o zasady, o cele; różnice zachodzą teraz w poglądach na m e t o d ę i na o s o b y, które działać mają.

Metody mogą być dwie. Jedna — oddawna znana i praktykowana—metoda bierna, wyczekująca, obserwacyjna, przyjmująca z uznaniem wszelkie zmiany na lepsze, bądź w akcyi rządowéj, bądź w rosyjskiéj opinii publicznéj zachodzące, ale w gruncie rzeczy sceptyczna, podkreślająca i wyzyskująca wszelkie zjawiska niepomyślne, jako dowód, że zasadniczo nic się nie zmieniło, że więc sceptycyzm był usprawiedliwiony.

Takie stanowisko można wytłómaczyć i zrozumiéć. Ma ono w sobie pewne cechy, wytrawnéj polityce właściwe. Ostrożność, krew zimna, powściągliwość — to przymioty w stosunkach ludzkich, zarówno prywatnych jak publicznych, niezmiernie cenne. Kto te przymioty w temperamencie swoim posiada, może grać w polityce rolę bardzo ważną, rolę czynnika hamującego, ostrzegawczego.

Jeden tu wszakże szkopuł jest do ominięcia, którego ustrzedz się bardzo trudno. Trzeba uniknąć niekonsekwencyi, nie wypaść z roli

ani na jedną, ani na drugą stronę. To znaczy—trzeba zachować zimną krew i w dobréj i w złéj przygodzie; obniżając znaczenie faktów dodatnich, nie przeceniać objawów niepomyślnych, wyciągnąć z nich pewien wniosek i naukę, ale z zachowaniem właściwéj miary. Kogo gorycz i oburzenie unosi po za granice właściwe, kto przy lada niepowodzeniu, a choćby i klęsce, rozdziéra szaty i sypie popiół na głowę, ten okazuje, że spokój i ostrożność nie leżą w jego temperamencie, nie są wynikiem konsekwentnie przemyślanego stanowiska, lecz sztuczną maską, w pewnych tylko momentach nakładaną, a ukrywającą oblicze zwykłego nerwowca.

I jest metoda druga, właściwa mianowicie naturom czynnym, których nie zadawalnia rola ani współczującego widza, ani najostrzejszego krytyka. Natury takie same pragną działać w zakresie możliwym, jeżeli nie bezpośrednio w dziedzinie faktów, to przez propagandę, wywołującą czyny, przez wysnuwanie z zasad ogólnych, teoretycznych — konsekwencyi szczegółowych i praktycznych. I ci mogą przeceniać aktualne położenie — w sensie odwrotnym od tamtych, mogą wybiegać po za granice chwilowéj możliwości, narażając się na zawód bądź z jednéj, bądź z drugiéj strony, t. j. natrafiać na szkopuł już to w warunkach zewnętrznych, już to w usposobieniu ogółu. Ale przez to nie wypadają ze swéj roli. To mianowicie ich rola właściwa—prowadzić, kroczyć naprzód, narażać się na możliwość niepowodzenia.

Kto siadł wygodnie na krytycznym stolcu, ten pełnić może także służbę publiczną, pożyteczną, niezbędną. Jedno mu tylko grozi niebezpieczeństwo: gdy zapomina o swéj olimpijskiéj godności i przemawia głosem Kassandry. Wtedy traci swój wpływ zbawienny, miarkujący, bo po stronie przeciwnéj może znaléźć posłuch głos rozsądku, nie znajdzie go jednak wieszczy patos, a tém mniéj zgryźliwe szyderstwo.

Ale kto postanowił kroczyć naprzód, wśród wielu przeszkód i niebezpieczeństw, ten może daleko łatwiéj zrobić krok fałszywy. Cóż jeszcze, gdy zamiast głosów życzliwego ostrzeżenia, towarzyszy mu drażniący sarkazm, podstępnie rzucony kamień lub niegodna potwarz. Więc zdobyć się on musi na duży zasób krwi zimnéj, i za siebie i za tych, którzy stracili jedyny swój tytuł do głosu, tytuł krytyków bezstronnych.

W polityce potrzebne są obie metody, a ponieważ połączenie różnych przymiotów umysłu i temperamentu w jednéj i téj saméj osobie nie zdarza się, więc potrzebne, nawet niezbędne są dwa stronnictwa — jedno czynne, działające, postępowe i drugie bierne, ostrzegawcze, krytykujące działalność pierwszego, ale krytykujące z całą ży-

czliwością, dobrą wiarą i z wiarą w dobrą wiarę po stronie drugiéj. Gdyby chodziło o zwięzłą nomenklaturę, nazwałbym pierwsze—stronnictwem czynu, drugie stronnictwem krytyki. Odmienność metod w traktowaniu spraw politycznych, czujna a lojalna krytyka jest rzeczą nietylko pożyteczną—w sobie saméj, ale jest też niezbędną dla drugiéj strony, dla stronnictwa czynnego, które bez niéj straciłoby przeciwwagę i korektywę. Ale pamiętać zawsze należy, że w naszych stosunkach potrzebna jest nietyle walka stronnictw, ile skupienie całéj energii do przezwyciężenia niesprzyjających warunków. Gdybyśmy drobną część tego zapału i téj zawziętości, z jaką się cenzurujemy i oskarżamy pomiędzy sobą, zwrócili i zużyli na pracę dodatnią ku poprawie warunków bytu, na walkę z ogromem trudności i przeszkód życiowych, jużbyśmy może dłońmi swemi usypali niejedną groblę, zabezpieczającą prawidłowy bieg rzeki dobra publicznego.

Teoretycznie możliwe jest jeszcze trzecie stronnictwo — rewolucyjne, ale praktycznie, w naszych stosunkach, mogłoby to być tylko stronnictwo szaleńców, do których miary politycznéj przykładać nie sposób. Opowiadania o takiém stronnictwie w pewném pisemku lwowskiém są, dla znających stosunki tutejsze, bajką o żelaznym wilku.

Dwa pierwsze kierunki, powyżéj określone, wyrażały się u nas dotychczas przeważnie tylko w dziennikarstwie. Tak długo nie mieliśmy innych dróg i sposobności do wyrażenia nastroju i poglądów inteligentnego ogółu, albo też—jeżeli nawet były—tośmy je zaniedbali, że prasa z konieczności stała się u nas jedynym czynnikiem politycznym. To też dotychczas zazwyczaj dyskusya o stronnictwach sprowadza się do sporu o kierunek i taktykę pewnych pism peryodycznych. Pisma dają firmę, one stawiają programy, one podejmują pewną akcyę, one—jedném słowem—„robią politykę”.

Ponieważ myśl polityczna wyrażała się u nas dotyczas jedynie w prasie, więc przywykliśmy publicystów-dziennikarzy uważać za urodzonych i najbardziéj powołanych polityków. „Robić politykę” znaczyło u nas dotychczas pisać artykuły, „polityką” nazywało się podkréślanie w piśmie pewnych objawów, podnoszenie znaczenia jednych, obniżanie drugich — jedném słowem, robota, ograniczona do arsenału środków dziennikarskich.

Tkwi w tém oczywiście błąd logiczny, oparty na tém, że się przyjmuje *pars pro toto*. Dziennikarstwo może być niewątpliwie czynnikiem politycznym, najprzód jako środek agitacyjny, a późniéj jako

wyraz opinii tych działaczy praktycznych, którzy z daną redakcyą w stałéj styczności i porozumieniu pozostają. Ale u nas zaledwie parę pism może być uważanych za organy stronnictw, większość zaś jest tylko wyrazem poglądów pewnych kółek dzienikarskich, które „robią politykę“ w swoich dziennikach, t. j. propagują pewne myśli na — własną rękę. Ten brak łączności z jakąkolwiek akcyą życiową zapełnia publicyście wielką swobodę zdania, ale zarazem niewątpliwie obniża doniosłość praktyczną jego działalności.

Niedawno w jednym z tygodników warszawskich ubolewano nad tém, że do polityki biorą się u nas ludzie, odrywający się od swoich zajęć adwokackich, lekarskich, przemysłowych i t. d. Zarzut to niesłuszny, bo tak się dzieje wszędzie; byłby słusznym tylko wtedy, gdyby wykazano, że ci mianowicie lekarze, adwokaci etc., którzy się u nas polityką zajmują, nie mają do niéj odpowiednich kwalifikacyi, albo że są u nas ludzie, żadnego zawodu praktycznego nie sprawujący, a posiadający większe uzdolnienie polityczne.

Wśród polityków zachodnio-europejskich znajdujemy ludzi wszelkich zawodów. Najpoważniejsi i najdzielniejsi mężowie stanu stykali się z praktyką życia, jako zawodowi lekarze, adwokaci, inżynierowie. Najmniéj zaś ponętnym i pożądanym wydaje nam się — owszem — typ polityka-zawodowca, polityka z rzemiosła, który politykę uważa nie za środek do osiągnięcia poprawy bytu społecznego, lecz do zaspokojenia własnych ambicyi, polityka, który żyje jedynie dla polityki i z polityki.

Jeżeli więc adwokat, lekarz, przemysłowiec może posiadać przymioty, wymagane od dobrego polityka, może je miéć również i dziennikarz. Ale nie idzie za tém, by każdy dziennikarz, każdy publicysta, albo każdy kierownik pisma peryodycznego był *ipso jure* wykwalifikowanym politykiem. Utrzymywać taką zasadę, to znaczy właśnie stwarzać coś w rodzaju polityka z zawodu. Dziennikarz jest politykiem tylko o tyle, o ile się nie ogranicza do pisywania artykułów i manipulowania techniką dziennikarską, lecz o ile obok tego jest związany z życiem i umié działać praktycznie.

Słowo a czyn, publicystyka a polityka — to dwie rzeczy różne, wymagające różnych uzdolnień i różnych warunków działalności. A warunki, w jakich się odbywa praca dziennikarska, cała ta, że tak się wyrażę, papierowo-drukarska atmosfera, oderwanie od życia praktycznego, nałóg widzenia rzeczy w formie frazesu, gorączkowość pośpiechu, ekscytacye współzawodnicze — wszystko to nie sprzyja bynajmniéj wyrobieniu przymiotów dla politycznego działacza niezbędnych.

Dlatego to zapewne, chociaż wielu polityków uprawiało niwę dziennikarską, ale z dziennikarzy zawodowych wyrosło bardzo niewielu wybitnych mężów stanu.

Zawód dziennikarza nietylko u nas, ale wszędzie wyrabia pewne nałogi i właściwości, w zawodzie politycznym niezbyt pożądane. Więc najprzód świerzb językowy, niepowstrzymana chętka do wywlekania wszystkiego na arenę dyskusyi publicznéj, nieraz ze szkodą saméj sprawy. Powtóre, upodobania literackie, skutkiem których rzecz, wymagająca całéj jasności i trzeźwości sądu, tonie nieraz w potokach łatwéj swady, komunałów i efektownych zwrotów frazesowych. Nareszcie koteryjność, płynąca ze współzawodnictwa bądź publicystycznych ambicyi, bądź zgoła interesów wydawniczych, nie zawsze zgodnych z interesem publicznym.

Skutkiem tych nałogów i specyficznych właściwości dziennikarstwa, widzimy, jak nieraz najczystsza, najpoważniejsza sprawa schodzi do rzędu felietonowego „tematu”, staje się przedmiotem mniéj lub więcéj udatnéj „literatury”, aż w końcu, niechybnie, wybucha całą siłą zjadliwa i gorsząca kłótnia. I dziś, jak niegdyś w Dobrzyńskim zaścianku, o dobru pospolitém dopóki jest rada, nie można się rozmówić—wnet gotowa zwada.

Z uwag powyższych jakiż płynie wniosek? Oto ten, że społeczeństwo nie może, nie powinno kierownictwa spraw swoich powierzać dziennikarzom. Że nad przebiegiem tych spraw czuwać powinni nietylko polityczni rozprawiacze, lecz grupy działaczy praktycznych, nie deliberujące, lecz pracujące w sposób realny nad poprawą bytu społecznego. Że i wśród tych grup wytworzyć się powinni specyaliści nie do ogólnego politykowania, lecz do pewnych poszczególnych zagadnień i potrzeb społecznych. Takie grupy mogą się skupiać około pewnych pism—dopóki inne formy działania obmyśléć się nie dadzą. Ale bezwarunkowéj dyrektywy w ręku dziennikarzy pozostawiać nie należy.

Że sama prasa odczuwa niekiedy niebezpieczeństwo załatwiania spraw praktycznych w drodze rozpraw dziennikarskich, dowodem tego chociażby sprawa pomnika dla Mickiewicza. W samym początku zaczęło się od takiego sejmikowego rozstrzelenia głosów, od takiego mnóstwa zdań i projektów, że mieliśmy przedsmak tego, coby się było stało, gdyby i daléj cała sprawa w drodze dziennikarskiéj dyskusyi prowadzoną była. Na szczęście jednak, z chwilą rozpoczęcia działania komitetu, który uchwalił zawiadamianie ogółu o postanowieniach zapadłych i faktach dokonanych, prasa umiała nakazać sobie

wstrzemięźliwość, pozostawiając rzecz całą tym, którzy do działania powołani zostali.

Zebranie miliona rubli na upamiętnienie pobytu Najjaśniejszych Państwa, a potém organizacya uroczystego wjazdu i dekoracyi miasta odbyła się także bez udziału prasy. Organizacyę stanowili tu działacze praktyczni — adwokaci, kupcy, lekarze, przemysłowcy, nawet i literaci, ale dyskusyi ani propagandy dziennikarskiéj nie było. I znaleźli się działacze praktyczni — nie publicyści, którzy poprowadzili akcyę tak, jak nie wiem, czyby dziennikarze poprowadzić umieli.

Nie myślę obniżać znaczenia prasy, zwłaszcza u nas, gdzie ona zastępuje wszelkie instytucye deliberacyjne, témbardziéj teraz, gdy pozyskała właśnie większą swobodę głosu. Wolna prasa—to jawność, to krytyka, to trybuna. Prasa może być niezmiernie ważnym czynnikiem politycznym, o ile się wiąże z akcyą praktyczną pewnego stronnictwa,—jeżeli zaś tego związku nie ma, pozostaje luźnym głosem publicysty. I w pierwszym i w drugim razie nie powinna mieć ani monopolu polityki, ani jéj steru.

Publicyści powinni „robić" publicystykę, ale politykę — politycy.

Polityka prawdziwa, rzeczywista — to przecież nie te ćwiczenia dyalektyczne, które uprawiają w „przeglądach" i artykułach wstępnych specyalni referenci dziennikarscy. Ani ta nawet, o któréj nam podają codziennie telegramowe i pocztowe wieści z całego świata. To nie wynurzenia téj lub owéj gazety, po za któremi szukamy zawsze wpływowego inspiratora, ani ta gadanina parlamentarna, obliczona na efekt oratorski lub na skandal. Prawdziwa polityka zagraniczna — to tajne układy międzymocarstwowe, a w stosunkach wewnętrznych — o które nam na teraz wyłącznie chodzi — to zarząd kraju, wykonywanie ustaw i obmyślanie reform, to wreszcie wszelka robota praktyczna, ku poprawie stosunków społecznych zmierzająca. Taka polityka rodzi się i rozwija nie w prasie i nie na trybunie parlamentu, lecz w gabinetach mężów stanu, w komisyach złożonych ze specyalistów, w urzędach i instytucyach, wreszcie w czynach obywatelskich grup społecznych.

Politykę wykonywają nie bogowie i nie automaty, lecz ludzie, rządzący się pewnemi motywami, lepiéj lub gorzéj poinformowani, zależni od różnych względów. Działając więc na te motywy, dostarczając lepszych informacyi, biorąc na uwagę owe względy, można zawsze wywierać wpływ na politykę — chociażby tylko pośredni i daleki. W każdém więc położeniu znajdzie się pole, a choćby tylko drożyna,

po któréj dobra wola obywateli może zdążać ku poprawie warunków politycznego bytu—czasami z lepszym skutkiem, częstokroć wśród niepowodzeń.

Otóż my—zdawszy całą troskę polityczną na dziennikarzy, o takiéj praktycznéj polityce myśleliśmy dotąd bardzo mało. W tych nawet instytucyach, do których dopuszczono współudział pierwiastku obywatelskiego, nasi przedstawiciele nie zawsze fachową znajomością rzeczy, pracą i energią osobistą stali na wysokości zadania, ograniczając się w razie napotykanych trudności do rozkrzyżowania ramion i ustępując bez walki. A w samém dopominaniu się o ścisłe wykonywanie prawa czyśmy wyczerpywali wszystkie możliwe instancye?. Załatwienie mnóstwa najpilniejszych potrzeb społecznych odkładaliśmy do czasu poprawienia się warunków ogólnych, ale celem poprawy tych warunków robiliśmy zbyt mało. Wszyscy oglądali się na prasę, a że prasa musiała milczéć, więc obywatele opuścili ręce, nie mogąc się zdobyć na żadną samoistną inicyatywę. Dopiéro gdy chodziło o interes prywatny, niejeden umiał znaléść energię, wynajdywać drogi i środki. Sprawy publiczne popieraliśmy... wzdychaniem i narzekaniem.

Otóż z politycznego impulsu, nadanego naszemu życiu publicznemu w ostatnich czasach, odnieśliśmy między innemi tę wielką korzyść, że, obok zwiększenia swobody dyskusyi dziennikarskiéj, zakrzątnięto się także około właściwéj roboty p o l i t y c z n é j, że obok pracowników pióra, ludzi słowa, zarysowała się także pewna grupa ludzi czynu, o sprawie publicznéj myślących. Należy tu stwierdzić, że wyjazd delegacyi w początkach rządów obecnie panującego Monarchy był pierwszém ogniwem, pewną łączność ludzi tych zadzierzgającém. Organizacya 46-ciu członków komitetu do zbiérania składek była ogniwem drugiém. Po za nią stanęło ośmiuset delegatów, po za tymi 100 tysięcy ofiarodawców. Formacya zasadnicza była z konieczności dorywczą i luźną. Nie objęła wszystkich do kierownictwa spraw publicznych uzdolnionych, wśród powołanych zaś, zapewne, zachodziły różnice uzdolnienia. Ale w trakcie dyskusyi i roboty dokonało się samo przez się zróżniczkowanie żywiołów składowych, z pośród których sama siłą rzeczy i wartości osobistéj wybiły się jednostki, przeważające inteligencyą, powagą zdania lub pracowitością.

Organizacya ta już nie istnieje, ale pozostał po niéj zbawienny wpływ zetknięcia się ludzi o dobro publiczne dbałych. Pozostało zadowolenie spełnionego obowiązku publicznego i zachęta do dalszéj pracy. Zarysowały się poglądy i stanowiska, ludzie się poznali i wiele

zasadniczych punktów ustalili. Wytworzyły się więc kadry, wytworzył się materyał na pracowników życia publicznego.

Ten zawiązek pewnego stronnictwa, zawiązek bardzo luźny, bo w żadną organizacyę nie ujęty, raczéj duchowy niż formalny, powinien ożywić intencye pracowania dla sprawy publicznéj. Powinien zwłaszcza poruszyć lub wytworzyć ludzi fachowych, specyalnie z różnemi kwestyami społecznemi i stosunkami krajowemi obeznanych. Potrzeba takich ludzi daje się coraz żywiéj odczuwać, ilekroć w danéj sprawie zjawia się konieczność dostarczenia argumentów rzeczowych, liczbowych, faktycznych.

Przy takiém powołaniu nowych pracowników z pośród ludzi czynu, prasie naszéj bynajmniéj roboty nie ubędzie. Owszem, przybędzie jéj znacznie. Musi ona tém gorliwiéj pełnić swoją właściwą rolę informatora, dysputanta, krytyka i propagatatora, ale zdejmie z bark swoich ciężar wcielania w życie polityki praktycznéj, który przechodzi jéj siły i jéj zadanie.

Dziennikarze, za pomocą jawności, przez informowanie i dopominanie się, mogą oddać niepospolite, niezastąpione usługi sprawie publicznéj. Ale pozostawić tę sprawę ich wyłącznéj pieczy i staraniu znaczyłoby tyleż, co powierzyć ster nawy państwowéj parlamentarnym retorom. Dziennikarze powinni pisać i rozprawiać — działać powinni ludzie czynu.

W zakresie średniego wykształcenia technicznego otrzymaliśmy, dzięki obywatelskiéj inicyatywie i ofiarności pp. Wawelberga i Rotwanda, szkołę wzorowo urządzoną i hojnie uposażoną, któréj uroczyste otwarcie odbyło się w ubiegłym miesiącu.

Jako zaś uwieńczenie gmachu wykształcenia zawodowego, mamy pozyskać w kraju naszym wyższą szkołę politechniczną. W sferach rządowych sprawę tę w zasadzie już podobno zdecydowano. Podstawę materyalną nowéj instytucyi da może przeznaczenie na ten cel miliona rubli, zebranego na upamiętnienie pobytu w kraju naszym Najjaśniejszych Państwa. Fundusz ten miał być użyty na instytucye dobroczynne, mianowicie na domy schronienia dla starców i kalek; gdy wszakże założenie instytutu politechnicznego stało się możliwém i prawdopodobném, a postawione w zależności od dostarczenia przez społeczeństwo środków materyalnych, gdy nadto przekonano się, że kraj cały z upragnieniem otwarcia wyższéj szkoły zawodowéj wygląda, komitet, który się zbieraniem składek zajmował, zdecydował się powrócić

do pierwotnéj swéj myśli, w tém przeświadczeniu, że politechnika stanie się rzeczywistą instytucyą użyteczności powszechnéj.

Tu i owdzie w prasie rzucono pytanie, czy nie należałoby przyszłéj politechniki otworzyć raczéj w Łodzi, niż w Warszawie. Naszém zdaniem, poruszenie téj kwestyi świadczy tylko, że Łódź odczuwa także potrzebę szkoły zawodowéj. Gdy jednak chodzi o wybór pomiędzy Łodzią a Warszawą, pierwszeństwo należy się niewątpliwie Warszawie.

Argument, przytoczony przez korespondenta „Kraju", mianowicie „duże moralne znaczenie wyższego zakładu naukowego w takiém mieście jak Łódź", nie może być decydującym dlatego, że tu chodzi przedewszystkiém o samą politechnikę, o postawienie zakładu i jego wychowańców w warunkach możliwie najkorzystniejszych.

Za otworzeniem politechniki w Warszawie przemawiają: 1) lepsze warunki hygieniczne (Łódź nie posiada wody), oraz tańsze i łatwiejsze środki utrzymania dla studentów; 2) możność korzystania z laboratoryów, gabinetów, pracowni, bibliotek w Warszawie istniejących; 3) możność utrzymywania pewnego związku z istniejącemi w Warszawie szkołami technicznemi, niższemi i średnią, którym przyszła politechnika dostarczyć winna właściwego kontyngensu nauczycieli i 4) większa różnorodność zakładów fabrycznych w obwodzie warszawskim, podczas gdy przemysł łódzki rozwinął się jednostronnie, przeważnie w kierunku przędzalniczo-tkackim.

Łodzi należy życzyć wszystkiego dobrego, choćby i drugiéj politechniki w przyszłości. Ale tymczasem starać się ona winna o szkołę specyalną przędzalniczo-tkacką, na wzór téj, jaka istnieje w Mülhuzie, może jeszcze z dodaniem oddziału farbiarstwa.

Co się tyczy typu, wedle którego ma się ukształtować politechnika warszawska, najwłaściwszém wydaje się nam przyjęcie gotowego wzoru organizacyi, jaki posiadamy w politechnice rygskiéj. Organizacya ta w praktyce okazała się bardzo dobrą, praktyczną i elastyczną, nie ma więc potrzeby szukać czegoś nowego.

Jakie wydziały są najpilniejsze? oczywiście zasadnicze: mechaniczny i chemiczny, a nadto ze względu na brak u nas szkoły budownictwa, obok rozwoju miast i nowopowstających fabryk — wydział budowlany.

Po za tém, przy organizacyi przyszłéj politechniki należy mieć na względzie rolniczy charakter naszego kraju, niedostateczność wyższego wykształcenia agronomicznego, uznaną przez powagi naukowe wyższość studyów rolniczych przy zakładach ogólnych nad specyalnemi

akademiami rolniczemi (patrz artykuł p. Grabskiego we wrześniowym zeszycie „Ateneum"), wreszcie i tę okoliczność, że wśród ofiarodawców, którzy złożyli zakładowy ów milion, „jest znaczna część rolników. Te względy przemawiają za otwarciem przy politechnice, jeżeli nie osobnego wydziału agronomicznego (jak w Rydze), to przynajmniéj studyum rolniczego, z wykładami chemii rolniczéj, botaniki i fizyologii roślin, z pracowniami doświadczalno-przyrodniczemi, z uwzględnieniem wreszcie przemysłu rolnego i robót melioracyjnych, do których potrzebni są tak zwani „inżynierowie kultury".

Tak uorganizowana politechnika będzie potężną dźwignią ekonomicznego postępu kraju.

Ludomir Grendyszyński.



Wydawca: *W. Spasowicz.*
Za Redakt.: *W. Spasowicz* i *Stanisław Wydżga.*

Дозволено Цензурою. Варшава, 6 Ноября 1897 г. — Druk Jana Cotty.

„ATENEUM”

CZASOPISMO MIESIĘCZNE

POŚWIĘCONE

Sprawom społecznym, ekonomicznym, politycznym, nauce, literaturze i sztuce.



PROSPEKT NA ROK **1898.**

W roku przyszłym „ATENEUM” wydawane będzie w tych samych terminach jak dotychczas, objętość zaś zeszytów, w miarę pomyślnego rezultatu starań ku gromadzeniu liczniejszych prac i materyałów, będzie stopniowo powiększana.

Żywsze dziś niż dawniéj zainteresowanie się społeczeństwa sprawami publicznemi, oraz zmienione w pewnéj mierze warunki pracy publicystycznéj, skłaniają nas do usiłowań rozszerzenia pisma, celem poświęcenia pilniejszéj uwagi przedewszystkiém sprawom społecznym, a w szczególności praktycznym postulatom życiowym.

Warunki techniczne czasopisma miesięcznego wskazują nam jaki charakter powinny mieć prace w niém zamieszczane. Nie możemy tu zadość czynić żądaniom najnowszych sensacyjnych wiadomości. Natomiast przedstawia pismo miesięczne, w traktowaniu ważnych spraw bieżących, pewne dogodności specyalne. Mając na opracowanie przedmiotów więcéj czasu i miejsca, autorowie i sprawozdawcy, wolni od niezbędnego przy wydawnictwie codziennem pośpiechu, mogą gromadzić obficiéj i wyczerpywać dokładniéj materyał faktyczny, oświetlać go bardziéj krytycznie i wszechstronnie i mogą lepiéj uzasadniać swoje sądy i wnioski, oparte na studyach źródłowych i, o ile można, porównawczych. To też w miesięczniku różne sprawy poszczególne, różne zagadnienia chwili, ogół nasz obchodzące, znaléść mogą i powinny gruntowne opracowanie, uzasadnienie i obronę. Przy takiéj robocie nie ma pola na spory i waśnie koteryjne, lecz przeciwnie jest miejsce dla ludzi wszelkich stronnictw, wszelkich haseł i barw, chociażby między sobą w niejedném różnych, byle w dobréj wierze i z dobrą wolą i byle nie ku burzeniu, lecz ku budowaniu pracujących.

Mniemamy iż udzielając obszerniejszego miejsca praktycznym sprawom doby bieżącéj, nie stajemy w sprzeczności z tytułem naszego pisma, gdyż księga życia nie mniéj, ale więcéj jeszcze od wszelkich ksiąg pisanych dla badań naukowych przedstawia pola. Chodzi tylko

o to, żeby te zjawiska życiowe były w sposób z metodami i zadaniami nauki zgodnie traktowane. To też pragnęlibyśmy szczerze w rozstrząsaniu zagadnień chwili być jak najbardziéj od wszelkiej polemiki i od wszelkiéj namiętności dalecy, a jak najbardziéj ścisłości naukowéj bliscy.

Jeżeli na przyszłość,—a zwłaszcza od chwili, gdy wskutek zjednania współpracownictwa pisarzy poważnych i kompetentnych, zyskamy możność stopniowego rozszerzania objętości naszego pisma,—usiłowania nasze będą skierowane przedewszystkiém ku temu, żeby wszystkie przejawy i zagadnienia życia społecznego miały w piśmie naszém należyte uwzględnienie, to i inne działy, jakie dotychczas w „ATENEUM" znajdowały miejsce, ucierpiéć na tém nie powinny.

Rozprawy teoretyczne naukowe, studya, sprawozdania i krytyki z zakresu literatury i sztuk pięknych, wreszcie utwory belletrystyczne i poetyczne zostaną jak dawniéj w programie „ATENEUM".

Owszem, postaramy się o jak najlepszy dobór i urozmaicenie tego działu. Szczególną uwagę chcemy zwrócić na dział pamiętników polskich a nawet i obcych, jeżeli te naszych stosunków choćby tylko w pewnéj mierze dotyczą.

Sądzimy wogóle, iż ciekawém, a czasem i bardzo dla nas pożytecznem jest wiedziéć, co o naszém społeczeństwie mówią przedstawiciele innych narodowości. W niemieckich, francuskich, i wogóle zachodnich, a również w wielu słowiańskich, zwłaszcza zaś w rosyjskich wydawnictwach i czasopismach znajdują się nieraz ciekawe i ważne, a mało przez nas spożytkowane wspomnienia, opisy i mniemania o naszym kraju i narodzie.

Mamy też zamiar rozwinąć i usystematyzować dział sprawozdawczy i krytyczny, tak iżby wszelkie zasługujące na uwagę płody produkcyi umysłowéj, naszéj i obcéj, były w piśmie systematycznie referowane i oceniane, względnie do swéj doniosłości.

Kronika miesięczna dopełniać będzie ogólnego przeglądu faktów i myśli.

Takie są nasze zamierzenia na przyszłość. Ich wykonanie w całéj rozciągłości wymaga pewnego czasu. Nadchodzący rok wydawniczy pokaże o ile zbliżyć się zdołamy do ziszczenia sformułowanego powyżéj zadania.

Ludzi, oceniających potrzebę i pożytek poważnego organu myśli publicznéj, prosimy o poparcie naszych usiłowań.

Redakcya „ATENEUM".

Warunki przedpłaty:

Prenumerata „Ateneum" w Warszawie, w Królestwie, Cesarstwie i zagranicą wraz z przesyłką pocztową wynosi: **Rocznie rs. 12, półrocznie rs. 6, kwartalnie rs. 3.**

Prenumeratorów z prowincyi prosimy o nadsyłanie prenumeraty bezpośrednio:

Do Redakcyi „Ateneum" Warecka 10.

LISTY TREMBECKIEGO DO KRÓLA.

Listy St. Trembeckiego pisane do Stanisława Augusta, które tu po raz pierwszy w znamiennych przytaczam wyjątkach, obejmują lata 1774—1789 i przechowane w oryginałach, mieszczą się w zbiorze rękopiśmiennym biblioteki ks. Czartoryskich (opisanym w katalogu d-ra J. Korzeniowskiego pod l. 847).

Rzucają one gruby cień na charakter poety-dworaka, którego portret wyidealizował jego biograf L. Siemieński. Nie wychodzi z nich poeta po za ciasne granice spraw osobistych, te zaś maluje królowi w najczarniejszych kolorach ze względów materyalnych.

Znając słabostki króla, zwłaszcza jego śmieszną próżność, dostanie się do Walhali drogą pochwał poetów i uczonych, schlebiał aż do obrzydzenia swemu panu, a pochlebstwa te na wszystkie tony i sposoby zajmują lwią część jego korespondencyi. W kłębie tych dymów pochwalnych dla króla, piekł dworak nasz przedewszystkiém własną pieczeń. Za każdy udział w zebraniach czwartkowych, za każdy niemal list wystylizowany do „stóp tronu", u którego składał swoją głowę, żebrał jakiéjś łaski dla siebie.

Prośby te zwłaszcza o posady i pokrycie długów, w które zagrzązł po uszy, zajmują dalszą część listów. Zapełniłyby one w druku dobry tom, dlatego ograniczam się tutaj uwydatnieniem jedynie takich wiadomości, które w nowém ukazują świetle życie i osobę poety.

Korespondencya Trembeckiego rozpoczyna się właściwie listem, datowanym w Mławce 22 sierpnia 1765 r., który ze względu na treść w nim zawartą dostał się w ręce Stanisława Augusta. Przemawia w nim widocznie na wsi gospodarujący Stanisław za przyjęciem warunków, podanych przez biskupa kujawskiego, w sprawie dzierżawy dóbr Rogozińskich i podaje o stanie téj ekonomii swoje uwagi.

Był wówczas jeszcze młodzieńcem i mieszkał w swych dobrach dziedzicznych „województwie, graniczącém z Mazowszem", gdzie się urodził i wychował. Dowiadujemy się przytém, że pochodził z rodziny magnackiéj. Babka jego była rodzoną siostrą księcia Radziwiłła, a ta sama krew łączyła go z Masalskimi i książęty de Ligne. Ojciec— gdy go odumarł — pozostawił mu w roli i piéniądzach około sześciuset tysięcy złt.

W owym czasie, t. j. na początku panowania Stanisława Augusta, zajęty był cały gospodarstwem—nie marzył jeszcze o zaszczytach dworskich, ani o poetyckich wawrzynach. Świadczy o tém list jego, przytoczony tu w wyjątkach, a uzupełniający wiadomości podane o jego dzierżawach przez Wójcickiego („Cmentarz powązkowski", I, 242—4 i „Życiorysy znakomitych ludzi", I, 527).

Jak JWWMPan Dobrodziéj przyjedziesz do Warszawy — pisze tu Trembecki—chciéj remonstrować w kamerze przypisane moje przy podanéj informacyi *de statu bonorum* ekonomii Rogozińskiéj refleksye, na ostatku położone, że te dobra tyle czynić nie mogą, co ja wyniosłem onychże intratę, ekspens zaś może być większy, bo ja *praeter propter* oręż położyłem, a najbardziéj, iż oprócz drzewa oręż zachowałem. Bo kiedy drzewo trzeba kupować, jak w téjże namieniłem informacyi, to ledwo nie *in triplo* każde nowo stawianie i reparowanie budynków będzie kosztowało. Po trzecie, utrzymywanie administratorów, ekonomów, powinno być w konsyderacyi, że wyciąga znacznego ekspensu, aby przez tę miarę na wszystko uwagę intratę i ekspensę miarkując, propozycye JWW. Mci Ks. Biskupa Kujawskiego, który większą budowę, nad moją wyrażoną oświadczył uczynić i te dobra nadrujnowane do lepszéj przyprowadzić pory, nie odrzucali. Ażeby zaś JWW. M. Pan Dobrodziéj doskonaléj to wszystko oczyma swemi ilustrował, co ja podałem przez moją informacyę, chciéj pofatygować się, obrócić trakt swój na Rogozno i zobaczyć te pustki, abyś potwierdził relacye o tychże uczynione, o co jak najuniżeniéj suplikuję i łaski jego obliguję."

W dopisku prosi Trembecki o przyśpieszenie wydania mu przywileju na chorąstwo, o czém nic bliższego nie wiadomo, krom tego, co tu sam pisze:

„Jeszcze nie odebrałem przywileju na chorąstwo, lubo do mnie JWMci Pan Kanclerz W. Dobrodziéj pisał, że jest zapieczętowany i dany na ręce J. O. Ks. Generała Poniatowskiego Dobrodzieja. Chciéj kooperować, aby mnie był odesłany ten przywiléj, i podać sposób, jak mam go odebrać, bo większa dla mnie byłaby konfuzya, żeby to rozgłoszenie mnie chorążym miało się odmienić. Chciéj zaręczyć za mnie, jeśli jest jaki ekspens, a ja z obligacyą wrócę przez kogo rozkażesz JWW. M. Pan Dobrodziéj.”

W końcu wstawia się Trembecki za Jezuitami w Gdańsku:

„Chciéj JWW. M. Pan Dobrodziéj respekt swój wyświadczyć dla JMościów Księży Jezuitów gdańskich, trzymających włóki w Nitychu, na które mają przywileje, że *jure haereditario cum censu perdendo*, powinny zażywać, i chcą tém się eksplikować, aby przynajmniéj nie włożono ich *in tabellam pensitandorium censuum*, lecz ustawiono było do rezolucyi naszéj komisyi, czy mają być skopiowane ich przywileje albo nie, o co jak najuniżeniéj suplikuję.”

Ciężki, staroświecki sposób pisania tego listu nie zdradza postępowca, którego lekkie i wytworne pióro poznamy w późniejszych listach.

Na tym liście urywa się korespondencya Trembeckiego, tracimy go z oczu na lat dziewięć.

Koleje, jakie przebył w tym czasie, odbijają się w następującym liście, własnym niejako portrecie poety:

„W któréjkolwiek sferze umieszczały mię losy, zawsze moja organizacya *ad superlativum* zbliżać się nakazywała.

I tak pod przeszłém Augusta III panowaniem, byłem jednym z najzuchwalszych burdów, jeden z najognistszych pijaków, jeden z najzapamiętalszych miłośników.

Byłem potém jeden z najpiękniejszych (jak zowią) graczów, potém jeden z najobszerniejszych czytelników, a potém stałem się jeden z najgorliwszych sług W. K. Mci Stanisława Augusta. Ktoby był zgadł wtedy, że i na mnie przyjdzie koléj od W. K. Mci potrzebować odpuszczenia!

Teraz niczém nie jestem, przygody obcięły mi skrzydła, lotu wziąść niezdolny, czołgam się tylko dość nikczemnie z każdéj miary...”

Tak pisał 1776 roku do króla. Co było przyczyną téj ostatniéj odmiany losu?

Utrzymywano u nas, że gospodarz, na rok wyjeżdżający z domu, powinien być zdecydowanym, że za powrotem zastanie dom w zgliszczach, żonę uwiedzioną, majątek zrabowany, a dzieci zabrane w niewolę, powinien zaś Bogu dziękować, gdy go która z tych szkód ominie.

Nasz Stanisław po czterech leciech przymusowego z kraju oddalenia— domyślam się, że przebywał w latach 1765—1769 w Paryżu — zastał za powrotem podobne spustoszenia w swym majątku.

„Przeciwności, nieprzerwaném ciągnące się ogniwem, zdarzyły, że teraz—jak pisze do króla—w państwach Waszéj Królewskiéj Mości człowieka odemnie uboższego nie ma.” Nie wymieniając klęsk, które zbiegły się na jego zupełną ruinę, przytacza tylko—może przez żart— że mu „matkę sześćdziesięcioletnią uwiedziono.” Po téj katastrofie przyjechał do Warszawy zubożały, uciśniony przez „sędziów, będących oraz jego przeciwną stroną.” Najbliższi krewni, od których należało mu się spodziéwać pomocy i pocieszenia, zgodzili się na jego zgubę. W takiém położeniu, kiedy już wszystko miał za stracone, dostał się na dwór Stanisława Augusta, który go umieścił w poczet sług bliskich swego boku i zamianował szambelanem, a do tego „wysokiego urzędu” przywiązana była znaczna płaca, do 14,000 złt. rocznie wynosząca.

Domyślam się, że nastąpiło to w r. 1769 za pewne usługi, oddane królowi w czasie konfederacyi barskiéj, podobno za odkrycie jakowegoś niebezpieczeństwa grożącego królowi. Napomyka o tém Trembecki w „Memoryale do Najjaśniejszego Stanisława Augusta”, podanym dnia 16 grudnia 1774 r., z którego tu przytaczam wyjątki, charakteryzujące najlepiéj zadzierzgnięcie stosunku poety z królem.

„Jeszcze królewska cnota i najwyższéj czci godne przymioty W. Kr. Mci nie były mi tak zupełne, jak dzisiaj, znajome, kiedy znaczna liczba ziomków częścią od przeciwników osobistych W. Kr. Mci, częścią od miłośników anarchii podburzona, buntownicze podnosiła krzyki i oręże.

Tron W. Kr. Mci, który niech Opatrzność uwiecznić raczy, ledwie że nie był zachwiany. Słudzy obciążeni hojnością, senatorowie świéżo wyniesieni, słychać, że i niektórzy z powinowatych W. Kr. Mci cisnęli się na czoło tego tumultu.

Cóż azardował rokosz? Z cudzych majątków czyniąc zbiory, przegrawszy potém sprawę, od Najłaskawszego z królów łatwego spodziéwać się można było odpuszczenia, a gdyby wziąść górę udało, czekały niezmierne zyski, i burmistrzowanie w kraju. Dla pomnożenia winnych (co ubezpiecza bezkarność) i dla wzmocnienia niegodzących się związków pod imionami statystycznego pisma tysiące potwarzy były rozsiane, wszystkie chwalebne dzieła W. K. Mci czernione, wszystkie zbawienne przedsięwzięcia opacznie tłómaczone, znieważona powaga, siły udawane nie potężnemi.

Przez te sposoby większa podobno część narodu uwiedziona została.

Mnie ani blask zmyślonéj sławy, przeciwko swemu walczyć Monarsze, nie oćmił, ani nadzieje rzetelnych zysków nie poruszyły. Ufając mocno o mądrości W. K. Mci, mawiałem zawsze, że to wojowały chmury z słońcem. Aby zaś nie być poniewolnie wciągnionym do zbrodni, jechałem powtóre zagranicę, gdzie od wszystkich roztropniejszych słuszne pochwały W. K. Mci są powtarzane. W téj podróży traf błogosławiony o niechęciach moich do Rządcy sprawił u gardłowych nieprzyjaciół W. K. Mci mniemanie, które tém bardziéj starałem się potwierdzić, im większą ku obdarzonemu najcelniejszemi własnościami królowi pałałem gorliwością. Odkryło mi się wtedy niebezpieczeństwo W. K. Mci, z téj najgwałtowniejszéj przyczyny, iż Miłościwy Panie przewidzieć go nie mogłeś, przeświadczony wewnętrznie o sprawiedliwości czynów i zamysłów Twoich, i niespodziewający się, aby zamiast wzajemnéj i zasłużonéj od ludu Twego miłości, szalona ślepota tak daleko zaciekać się miała.

Należy mi więc przestrzedz Najlepszego z królów, aby się do pilnéj miał ostrożności... Czyniąc do Warszawy podróż musiałbym przebywać pięćdziesiąt mil kraju, środkiem nieprzyjaciela, który wszystkie po samą prawie stolicę obsiada szlaki. Możnaby więc stawić pięćdziesiąt przeciw jednemu, że w téj podróży zginę, a zginę śmiercią okrutną i haniebną, w ręce tylko nadzieja jedyna, która mniejszéj liczbie może obronić się zdoła, przed większą przynajmniéj od długiéj wybawi męczarni.

Majątku azard bagatela, ten się zawsze pozbyć i nabyć może; to jednak pewna, że do wszelkiego wzrostu na całe życie zagradzam sobie drogę; gdybym się stał bogatszym, stałbym się podlejszym. Chociażbym kiedy przez inne zasługi zarobił sobie na względy, zdawałoby się, że te tylko z pierwszéj wypływają.

Wiem, jakie mię czekają od nieprzyjaciół nazwiska, nad tém się nie zastanawiam; ale sam monarcha jakie mieć może o mnie zrozumienie?

Młodzian jestem, niedawno między męże policzony; dworowi dotąd prezentowany nie byłem.

Relacya moja jest ciężka, nie można jéj nagle wiary dawać i bez wielkich dowodów, jeżeli zbrodnia uknowana nie przyjdzie do skutku, moje słowa podległe być mogą wątpieniu, a jeżeli przyjdzie, zginęliśmy wszyscy; któż temu nakoniec uwierzy, że ja się sakryfikuję bez własnego mego interesu, trzeba być na to fenixowatym, a teraz już fenixy powszechnie są wzięte za chimeryczną istotę.

Moje sumienie mi świadczy — to dosyć, ale tylko dla mnie. Przyłączmy, że ten król ani jest pełnowładny, ani dziedziczny, i szacowne Jego życie...

Zaraza umysłów szerzy się tak dalece, że tych nawet, którzy go strzegą, powinienby się wystrzegać.

Jakże to wiele potrzeba rzeczy, aby pomyślnie poszło, żebym ja się nie stał najnieszczęśliwszym! z których, gdy jedna chybi, reszta za nic.

Kto w loteryi stawia na *Quinto secco*, nie jest miany za przezornego. Ja czyniłbym coś gorzéj, wszystko, co tylko rodzaj ludzki poważa, mogę oraz utracić, a zyskiwać co ani mi się godzi, ani mam żadnéj potrzeby.

Po tych i tym wielce podobnych przemaganiach, na tém stanęło, żem o sobie zapomniał.

W naturze jednak nie masz nigdy skutku bez przyczyny. Determinowało mię do zamrużenia oczu nad srogością przypadków rozważanie „czucia owéj niezmiernéj rozkoszy z przyłożenia się ku ocaleniu wiekopomnéj sławy godnego króla..."

Następują dalsze kadzidła dla króla i przesadne wynoszenie drobnych zasług Trembeckiego — co opuszczam. Wystarczą bowiem i te wyjątki do charakterystyki dworaka.

W czasie kilkuletniego pobytu w stolicy kraju szambelan nasz, przyzwyczajony do obcowania na wielkim świecie, roztrwonił życiem nad stan, grą w karty i miłostkami, wszystko, co posiadał i co się dało wydobyć ze skarbu królewskiego.

Zanosi więc w „Memoryale" prośbę do tronu, aby dla wybawienia go „od grubéj ohydy", spłacono długi honorowe tym dobrym ludziom, których „niechcący uszkodziłbym". Znając słabość swego mecenasa, apelował ciągle do jego kasy. Stosunek był zrazu taki, że prośby swe i żale mógł osobiście zanosić. Na co otrzymywał często zaspokojenia w postaci brzęczącéj monety, albo biletów do asygnaty.

Wówczas, jak gdyby się napił z niepamięci źródła, tak o wszystkich zabaczał przeciwnościach.

Z czasem jednak stawał się coraz natrętniejszym, coraz bardziéj wymagającym, wzbronił mu więc „Najprzystępniejszy i najmiłościwszy król" przystępu do siebie, tak, że wolno mu było przez pewien czas udawać się do monarchy tylko przez kasztelana, mającego dozór nad częścią dworu. W końcu przestrzegł go tenże w imieniu króla, aby „aż do przyszłego św. Jana (23 czerwca 1777 roku) głowę miał od niego spokojną."

Odczuwając niewłaściwość swego postępowania, zły i niezadowolony z siebie, że się „jeszcze gorzéj wydawał niż był“, wybucha poeta żalem i skargą w liście do króla, porównywując swoje położenie z Hiobem biblijnym.

„Najjaśniejszy królu, Panie mój Miłościwy!

Boję się pisać do W. K. Mci, Pana Naszego Miłościwego, aby mi się bolesny jaki nie wysunął wyraz.

Job, na którego Pan Bóg dla śmiechu dopuszczał przygody, i który jest za największy przykład cierpliwości podany, żalił się i czasem nieprzystojnie mruczał przed Panem w swoich goryczách. Ja lubo więcéj od tego Chaldejczyka cierpię: gdyż on swoje dobro utraciwszy, nikomu nie był dłużny, ani tak jak ja, nie był chory, ani tak długo, jak ja, w więzieniu (któremu tylko braknie tego imienia) zamknięty siedział—radbym jednak nie syknął.

Skarżył się daléj poeta na „zbyteczne siedzenie”, które „zupełną w temperamencie jego sprawiły odmianę i na tym podobne przykrości.

Dla ukrzepienia więc nadwątlonego zdrowia i wyrwania się z objęć zgryzot „suplikuje” pokornie—o pozwolenie wyjazdu za granicę, o co doprasza się kilkakrotnie w listach do króla i przez trzecie osoby—ustnie i piśmiennie. Zatrzymuje go tylko w Warszawie jego „w polityce pisanie“, które ma dokończyć. Król Stanisław August, który aż do słabości otaczać się lubił gronem uczonych, artystów i poetów, nie chciał pozwolić na wyjazd Trembeckiego z kraju — na pokrzepienie zaś zdrowia i sił szambelana przysłał mu królewskiego kordyału.

Zatonąwszy „w małmazyi“, rzucał poeta zasłonę na zguby swojéj powody. Ale po chwilach zapomnienia wybucha tém silniéj jego smutek i niezadowolenie.

Na mało jestem zdatny — pisze w liście do króla — a skarbowi W. K. Mci jestem uciążliwy, przez co się jednak los mój niezupełnie polepsza. Z ojczystości wyzuty i zdłużony będąc, nie widzę tylko smutek około siebie. Służący nie odziani, ja także, pieniędzy nic, a zatém rzeczy pierwszéj potrzeby często brakuje, i ten krzyczy, że u niego darmo stoję, ten, że mi jeść więcéj nie da, ten do prawa pociąga, a pod oświeconemi teraz rządy sprawiedliwość prędko przymusza do oddania, co się komu należy.“

Około nowego roku 1777, zasłaniając się natarczywości niektórych dłużników, obowiązał był kasyera Rudnickiego, że za niego bardziéj naglące wypłacił długi, a wziął na pensyę kwity.

Spodziéwając się mieć od niego znowu w czasie potrzeby „wygodzenie“, mało zostawił na życie. Tymczasem Rudnicki, nic nie odbié-

rając z kasy nadwornéj od nowego roku, nic mu już więcéj nie chciał pożyczyć.

Inny z wierzycieli, Żukowski, za dług kilkudziesięciu złotych, naliczywszy sobie pretensyi trzystakilkadziesiąt, sprowadził do mieszkania jego egzekucyę, zajął sprzęty i byłby go sprzedał za bezcen, gdyby się był poeta nie okupił.

Ten sam los groził szambelanowi Niewieścińskiemu, którego on za sobą pociągnął. Z trudem jednak ocalone przed Pawłem „ruchomości“ zagrabia Gaweł.

Przyzwyczajony do zbytku i wygód, skarży się szambelan królewski, że przez dwa lata (1776—7) na pościeli nie sypia, że jada obiad z dwu tylko potraw złożony i „zawsze jednakich“, a na wieczerzę mu nie staje. Żali się, że ma futro z białych baranów rosyjskich, a nie z soboli, garderoba zaś letnia jeszcze w opłakańszym stanie. Zaręcza, że nie bierze już w usta gorących napojów, chyba „na ułagodzenie jakiego natarczywego dłużnika.“ Ale nie wspomina, że do tego stanu doprowadziła go rozrzutność, pogrążając go w to położenie. Ile potrzebował na rok Trembecki i jakiego to rodzaju były jego wydatki, o tém przekonywa nas jego własnoręczna:

Expensa roczna warszawska:

Płacę od mieszkania dość niewygodnego . . .	dukatów	84	
Liberya dla dwóch lokai	„	32	
tymże strawne à flor. 40	„	53	złt. 4
Fryzyer à duk. 4	„	48	
Parobek à flor. 24	„	16	
Balwierz na rok	„	6	
Praczka na rok	„	24	
Pończoch jedwabnych tuzin na rok	„	24	
Niciaвych tyleż	„	5	złt. 6
Drwa na rok	„	24	
Świece woskowe	„	20	złt. 5
Świece łojowe	„	4	„ 1
Tytuń fatalny	„	24	
Obuwie skórzane na rok	„	12	
Karety najęcie 6 razy na miesiąc	„	72	
Napój ranny à 1 fl.	„	20	złt. 5
Stół à fl. 6 na dzień	„	120	
Sześć gwiazd na rok	„	15	
Cztery wstęgi na rok	„	6	
Suma ekspensy złotych polskich . . .		10.983	
Na to mam percepty złotych polskich .		10.050	
Więc jest ekspensy nad perceptę złotych		933	

Zjedzone anticipatiwe w tym roku duk. 100, które na dożywocie Rudnicki awansował	1,800
Więc do zrównania ekspensy przyszłego roku deficyt .	2,733 fl.

Prócz tego deficyt fundusz na bieliznę, z któréj zaczynam wychodzić	50
Na sukien przynajmniéj par trzy na rok	100
Futro	50
Gazeta, aby przecie wiedzieć, co się na ziemi dzieje . .	4
Journal, aby wiedzieć, jaki gust panuje w literaturze .	8
Książka / Papiér / Poczta listowa. — Lak	12
Jakiżkolwiek menu-plaisirs	24
Doktór / Apteka	24
i wiele innych nieprzewidzianych i zdarzyć się mogących rozchodów	24

Spis ten wydatków świadczy o wygodném, a nawet zbytkownem życiu szambelana i sprzeciwia się poniekąd stosunkom, odmalowanym czarnemi kolorami w listach jego do króla. Sam zresztą wyznaje, że gdyby nie długi, mógłby żyć dostatnio i spokojnie. Długi to „utrapienie" jego.

Gdy król upomniał szambelana o zapłacenie długu szatnemu i balwierzowi jego królewskiéj mości, L. Brunetowi — o którym na inném miejscu wspominam — odpisuje Trembecki, że gdyby miał co sprzedać, albo zastawić, gdyby mógł wynaléść wierzyciela, nie czekając powtórzenia rozkazu króla, zapłaciłby wszystko.

Ale gdy nie ma „całego dobra" — z wyjątkiem długów — tylko 13 dukatów, resztę zostawia sobie i służącym na życie.

Przyciśnięty do muru przez wierzycieli, zdobył się na krok stanowczy. Postanowił opuścić służbę królewską, wyjechać do Petersburga i tam starać się o umieszczenie w wojsku. Prosi więc króla o polecenie go cesarzowéj Katarzynie, któréj przymioty w szumnych wielbi wyrazach.

Skłania go do tego—jak powiada—„wzgląd, że Rosya na wszystkie europejskie, a czasem i azyatyckie wpływa wojny." Dodaje téż, że i „potrzeba, matka wszystkich wynalazków, wnetby mu napędziła biegłości w tém rzemiośle. Niebezpieczeństwa téż smakują osobliwie takiemu, który jest przymuszony zachować zgon między swoje lekarstwa."

W téj myśli opuszczenia na zawsze Warszawy i przesiedlenia się do Rosyi, pisze w kilka lat późniéj następujący o sobie panegiryk, w którym poniża siebie umyślnie, aby się wywyższyć.

ce 8 Octobre 1780.

„Najjaśniejszy Panie!

Traktowany z pogardą, odepchnięty z affektacyą prawie, od najmniejszych publicznych usług, upuszczony z protekcyi królewskiéj, w ten czas właśnie, kiedy jéj najpilniéj potrzebował, oddala się z niewzględnéj Warszawy Trembecki, nie mający już jéj więcéj oglądać.

Nie do Paryża, gdzie go łaskawsze losy trzykroć były zaniosły, ale jedzie między dzikie skały, bezludne stepy w godną kompanią Tatarów i Kozaków. Kontent i z tego, gdy dostać się między obyczajne narody nigdy nie mógł otrzymać pozwolenia — *perierunt tempora vitii, mors eat in tutum.*

Ten to sam jest, który polskiéj literatury od W. K. Mci rozszerzanéj, pokazanemi już próbkami nie zeszpecił, który po wielkiéj części oćmionemu uprzedzeniem narodowi najgłośniéj powiedział, jakim W. K. Mć jesteś i oczy mu przetarł, który niegdyś, w najprzykrzejszym razie... ale wiecznie zapomnijmy o tym, nie przystoi szczęśliwym Monarchom, o dawnych przypominać goryczach.".

Król poecie wybił ten szalony projekt z głowy i polecił kasztelanowi wiskiemu wybadać, ile też właściwie wynoszą długi Trembeckiego. Zapytany, zauważył poeta słusznie, że „na nic się nie zda spowiadać przed takim, który nie ma mocy dać rozgrzeszenia."

Aby się jednak nie narażać kasztelanowi, ani go swém wyznaniem „nie zgorszyć", postanowił jemu część, a królowi wszystko wyjawić.

Podaje przeto w liście z 26 września 1776 r. długi rejestr swych grzechów — przyznając sam, że dopuszczać do tego, aby je skarb królewski spłacał, byłoby rzeczą nieuczciwości i braku sumienia w takim „ucisku", znajdują się dochody króla.

Skarb królewski miał wprawdzie pilniejsze potrzeby, tym razem jednak z polecenia króla spłacono co naglejsze długi, a Trembeckiemu kazano wystawić rewers, że dostatnio zaopatrzony z kasy królewskiéj nie będzie nadal żadnych więcéj zaciągać długów. Oto dosłownie brzmienie tego ciekawego rewersu.

„Przez łaskę wspaniałą J. K. Mci Pana Naszego Miłościwego, mając podwójną pensyę naznaczoną, jedną, którą czerpam z kasy JWP. Bastyana: czerwonych złotych sześćdziesiąt i ośm na miesiąc,

drugą z kasy JMci Pana kasztelana wiskiego: czerwonych złotych 10 na miesiąc.

A takowe sumy, będąc mi arcy-wystarczające, nietylko na wygody życia, ale też i na spłacenie dawniejszych długów moich.

Przyrzekam zatém wiernemi usty przed Majestatem króla Pana Naszego, który opatrznym okiem w losy moje wglądać raczy, iż od dnia dzisiejszego żadnych nowych nie zaciągnę długów, mając tyle z Najłaskawszego Monarchy szczodroty, coby kilku uszczęśliwić mogło. Na to wszystko przy oświadczaniu, nie mającéj mieć granic wdzięczności, wierności i najgłębszego respektu. Dla trwalszéj pamięci podpisuję się

Dan w Warszawie, dnia pierwszego października 1776 r.

Stanisław Prus Trembecki.

Zobowiązania tego nie dotrzymał poeta. Nie minęło kilka miesięcy, jak przyciśnięty dawnemi długami zarywa kogo może, a gdy coraz trudniéj o pożyczkę, udaje się znów do „szczodrobliwości“ swego Najłaskawszego pana.

„Wielkie nieszczęścia—pisze w liście do króla — to przynajmniéj mają w sobie dobrego, że, wyostrzywszy dowcip, nowych duszy dodają sprężyn. Ale dobroć W. K. Mci nie dopuściła mi jeszcze zaginąć i winnego, a na piekielne ślepo narażającego się cierpienia w lekkiéj tylko dotąd zostawiła otchłani.

Otchłań, czy ma koniec albo nie, teologowie się nie zgadzają. I ja o mojéj mówić chciałem zaprzestać, gdyż od niemałego czasu nigdy mi W. K. Mć nie raczysz dać odpowiedzi, kiedy co w téj piszę materyi. Ale pewna okoliczność wymogła na mnie tę jeszcze odezwę.

Jest bajeczny po całym mieście rozgłos, że W. K. M. niedawno zawoławszy mię do siebie, długi moje przejąć raczyłeś; i już wiele osób tego mi winszowało szczęścia. Ah! gdyby ten głos ludu był głosem bożym, jeszcze W. K. Mć miałbyś wyśmienitego ze mnie sługę, jakim być podobno i mógłbym i powinienbym. Spóźniłem się nieco, to pewna. Za to też musiałbym się rozpędzać, abym dogonił tych, którzy się dobremi prześcignęli usługami.

Góra ta fatalna, leżąc na mnie, przyduszała mię i do wszystkiego czyniła niesposobnym. Czarne tylko oblały mię wały myśli, którym ledwie wszystkiemi obegnać się mogłem siłami. W. K. Mć tę górę ze mnie zdejmij, a ja wkrótce innym będę człowiekiem.“

Skargi te jednak nie odnosiły jakoś pożądanego skutku — stara się więc poeta na innéj popłynąć łódce.

Oto król Stanisław August przyrzekł mu kiedyś — w razie opróżnienia—starostwo nowomiejskie, a był to urząd wcale intratny. Trembecki miał go wrychle odprzedać, a tym sposobem zaspokoiwszy swych wierzycieli „wyjść na scenę“. Tymczasem — jak się wyraża dowcipnie — fantazya wzięła dawnego starostę (nowomiejskiego) żyć dłużéj i przez to zrujnował mi projekta niepomału.

Nie mogąc się doczekać z żadnéj strony zaspokojenia dłużników, mniemał nakoniec inny wynaléść sposób. Oto zaniechawszy wybryków dotychczasowego życia, pensye swe obrócić chce na powolne wypłacenie długów. Ułożył się w tym celu z szatnym Jego królewskiéj Mości, L. Brunetem, któremu za mieszkanie, stół i ubiór oddał swój arkusz.

Na kontrakcie, zawartym między szambelanem a szatnym J. K. Mci, dopisał się sam król, czyniąc Bruneta „panem i opiekunem Trembeckiego, nakazując temu ostatniemu, aby bez woli i wiedzy Bruneta nic się czynić nie ważył.“ Ale i ten środek nie prowadził do celu.

Po trzech latach nienaturalnego stosunku (1777 — 1780) Trembecki zerwał z Brunetem, nazywając go rabusiem i wyzyskiwaczem, a ten ostatni zarzucał poecie bezczelne kłamstwa i mianował go waryatem.

W tych opałach probuje jeszcze jednego środka, którymby mógł się z grzechów swoich oczyścić. Oto prosi króla o niebieską wstęgę dla swego wierzyciela (Ronikera), za co mu tenże przyrzekł odstąpić pretensyę swą, a była to na rejestrze jego długów największa suma.

Gdy i na tę propozycyę król nie przystał, poeta przedkłada mu następujący układ, mający ostatecznie uregulować jego stan finansów.

1-mo) Od dnia 1 stycznia w r. 1780. Trembecki wolen jest od wszelkich długów, które, po utracie majątku swego z różnych przyczyn, zaciągnął. Te na karcie zdawna podane skarb J. Kr. Mci przejmuje.

2-do) Na umorzenie onych, pensya, którą przez ręce P. Rixa ciągnął, kasuje się.

3-tio) Prócz tego, z tychże długów czerwonych złotych ośmset z własnéj kieszeni zapłacić powinien.

4) Tenże, jako mający wszystkie zmysły spełna, *à cura tutela* p. Bruneta szatnego i balwierza J. K. Mości uwalnia się.

5) Temuż, nie według jego drobnych zasług, a według wspaniałości królewskiéj, stara pensya konserwuje się, która mu wypłacana będzie dnia pierwszego każdego miesiąca, zaczynając od 1 stycznia 1780 r. regularne, przez wzgląd na jego niebogactwo.

6) Tenże, gdyby najwięcéj swoje pomnożył zasługi, żadnych honorów, dostojeństw, urzędów, magistratur, aż do zgonu pretendować nie będzie.

7) Tenże, nowych żadnych darów od J. K. Mci nigdy nie przyjmie, choćby do ich brania był przymuszony.

8) Tenże obowiązuje się zawsze i wszystko zrobić i wykonać cokolwiek od Tronu będzie zalecono, choćby go to, co ma i miéć może, zdrowie i życie kosztować miało.

9) A gdyby miał nieszczęście w czémkolwiek się J. K. Mci niepodobać, pensyę swoją utracać powinien.

10) Pensya ta na żaden przepisany czas nienaznacza się, ale J. K. Mć zostawia upodobaniu swemu odjąć ją każdego czasu, gdy mu się tak będzie zdawało, miesiącem jednak wprzód ostrzegłszy o tém Trembeckiego.

Czy te żądania, które pod stopy W. K. Mci wraz z głową moją składam, przyjąć czy odrzucić raczysz Najjaśniejszy Panie, więcéj Cię o to nie importunować poprzysięgam przez zdrowie W. K. Mci przez zawsze miłą pamiątkę Tyta, Trajana, Henryka i święte ich popioły. Koniec wszystkich końców w téj materyi.

Nie był to koniec końców, ale raczéj początek żądań naszego szambelana. Tym razem jednak zlitował się król i „niektóre z przedłożonych punktów akceptować raczył.” Uwolnił go przedewszystkiém od opieki Bruneta, a wszystkie długi Trembeckiego zobowiązał się sam spłacać. Z polecenia króla spisał więc Trembecki „specyfikacyę długów”, którą oddał królowi na ręce Wojny.

W owym czasie tak się przedstawiały:

Długi Stanisława Trembeckiego.

Odprawa służących:

Olszańskiemu, szlachcicowi, służącemu u mnie przez lat 14 należy się	120 dukatów
kamerdynerowi	40 „
Lokajom dwom, którzy przez siedm miesięcy nowéj barwy nie wzięli, przyszłaby jakaś nagroda.	

Długi naglące:

Szubertowi, metrykantowi litewskiemu, ten exekucyę sprowadzał	190 „
au Sieur Colignon (kupcowi), ten na weksel także, i pozwy już wydał	80 „
P. Geppertowi, ten by się mógł prowizyą kontentować, weksel dany mu wychodzi na dzień 30 maja .	600 „

Christoforowi, perukarzowi, weksel na ś. Jan, ale mógłby się prowizyą kontentować . . . . . . 150 dukatów
au Sieur Brunet, termin na ś. Jan . . . . 100 „
Traktyerowi jednemu za dwa miesiące . . . . . 20 „
— drugiemu za miesiąc, który się kończy 10 „

Długi mogące cierpieć zwłokę:

X-ciu biskupowi wileńskiemu . . . . . . 500 „
Dembowskiemu, kasztelanowi czechowskiemu . . 500 „
Potockiemu, podkomorzemu koronnemu . . . . 352 „
Witosławskiemu, oboźnemu pol. koronnemu . . 300 „
Tepperowi dla Wilhelma Korn, xięgarza wrocław. . 115 „
Michałowi Spört . . . . 150 „
Szambelanowi Corticellemu . . . . 65 „

3,292 dukatów

Długi z gry w karty pozostałe:

Ronikierowi, cześnikowi litewskiemu (ten ma weksel i proces przewiedziony, ale postrzegając, że już nic nie mam, czeka szczęśliwszych momentów, teraz zaś mógłby ten weksel za piątą część sprzedać przez szacunek gotowych pieniędzy) . . . 1,300 „
Kozłowskiemu, generał-majorowi . . . . 60 „
Falęckiemu, dworzaninowi J. K. Mci . . . . . . 30 „
Rembielińskiemu, sekretarzowi J. K. Mci . . . 16 „

Item. są niektóre zastawy, które już wykupować nie można dla wygórowanéj lichwy.
Item. Pensya, Rudnickiemu niebezpieczném prawem ustąpiona, aż do ostatniego dnia grudnia, za którą on długi niektóre przekazane już wypłacił.

Razem 4,698 dukatów

Już więcéj nie pamiętam.

Po przyjęciu wyszczególnionych tu długów na rachunek królewski, czuje się poeta „wolnym, odrodzonym, szczęśliwym" i przyrównywa swoje uczucia do radości, z niewoli algierskiéj wychodzącego jeńca", do rozbitka „wynoszącego życie swe z wody po zatonięciu okrętu" — ale zaraz dodaje, że na swoje i swoich obejście się za walor jednego dukata nie ma na swoim majątku, i że nie rad zaciągnąć będzie zniewolony nowe długi, których już nigdy nie będzie miał sposobności zapłacić.

Stanisław August częściami tylko spłacał długi swego szambelana, skarb królewski bowiem był tak nadwerężony, że nie był wstanie całéj wypłacić należytości. Przekonywa nas o tém między innemi na-

stępująca korespondencya Trembeckiego z królem w sprawie wykupna zastawionych kolczyków.

„Najjaśniejszy Panie!

Według rozkazu W. K. Mci byłem u Łyszkiewicza kilkakrotnie, którego przecież zastawszy, takową godną ust lichwiarskich odebrałem odpowiedź, iż on, nie mając nic do czynienia z JP. Rixem, nie znajduje przyczyny udawać się do niego, ale jeżeli mu według skryptu 150 dukatów złotem oddam, tedy on jeszcze gotów kolczyki mi powrócić, chociaż były zastawne pod przepadkiem do dnia tylko dwunastego kwietnia."

Na list ten odpowiada król 30 kwietnia 1781 r.:

„Wykupiłem u Łyszkiewicza kolczyki W. Pana i odsyłam je W. Panu. Resztę powoli Ryx będzie płacił, prócz tych 3 grubszych artykułów, które też W. Pana nie naglą.

Ale jak mi we czwartki nie będziesz bywał, to i zapłacić przestanę. Ja ciebie samego chcę mieć w prowizyi.

A więc się nie gryź i nowych długów nie rób.

Przyszlij mi kwit swój odebranych kolczyków.

St. August."

Tego samego dnia przysyła Trembecki żądany kwit na parę kolczyków, zastawionych za 150 dukatów.

Częściowe jednak spłacanie długów nie polepszało sytuacyi Trembeckiego, który z każdym rokiem w przykrzejszém znajdował się położeniu. Przejęcie długów tych na rachunek królewski ciągnęło się jeszcze przez trzy lata! Poczém składa Trembecki na żądanie króla następujące oświadczenie:

„27 Lutego 1783 r. Ponieważ W. K. Mć raczyłeść wziąść na siebie dawniéj (1780 r.) wszystkie insze długi moje, a j to dobrodziejstwo chcesz dokończyć, wyrażam więc według ro Pańskiego, żem jeszcze winien:

Xięciu Generałowi Podolskiemu	300	dukatów
Opalińskiemu Wdzie. Podlas.	150	„
Chłapowskiemu Staroście Kościan. . . .	100	„
Grocholskiemu Miecznikowi koron. . . .	200	„
Bizoarowi	100	„
Suma	850	dukatów

Oświadczam zaś i upewniam na honor, że żadnych innych długów nie mam i że zupełnie kontent jestem z téj pensyi czterdziestu pięciu czerwonych złotych na miesiąc, które ze szkatuły królewskiéj przez

pana Ryxa odbieram, oraz z tych pięciuset złotych, które JP. Blanc kasyer królewski co miesiąc mi wypłaca.

Dan w Warszawie dnia i roku jako wyżéj.

Stanisław Trembecki.

Załączając ten dokument, zaręcza królowi, że woli raczéj „wszystko cierpieć co skryte sądy boskie dopuściły na niego, aniżeli robić nowe długi"—tymczasem dowiadujemy się niebawem o nowych zobowiązaniach. Zaczęło się od tego, że jeden z dawnych dłużników (Bizonard) mniéj zamożny i mniéj do poczekania skłonny, otrzymawszy od Franciszka Ryxa, kamerdynera królewskiego, odpowiédź, że tenże nie ma rozkazu zaspokojenia go, upomniał się o swą należytość w drodze sądowéj.

Proces przewiedziony skończył się egzekucyą ruchomości Trembeckiego. Do licytacyi jednak nie przyszło, król bowiem wydał „deklaracyę przyśmierzenia tych, którzy go słusznie napastują." Dziękując za nią, powiada dowcipnie:

Troskliwy i o to, co po moim będzie zgonie, już dawno zamówiłem sobie z dobroci W. K. Mci sprawienie mi pogrzebu, już i kilkanaście tysięcy mszy św., mam sobie asekurowanych, jeszcze tylko o to pokornie supplikować mi zostaje, abyś Miłościwy Panie na kamieniu, który niegdyś przyciskać będzie moje zwłoki, to krótkie z pisma św. kazał mi wydrożyć *epitaphium*: *Et non cognoverunt eum.*

Ledwie odetchnął z téj przeprawy, zjawia się „zlecennik" wojewody podlaskiego z nową egzekucyą, a to z następującéj przyczyny: Kamerdyner królewski Ryx oświadczywszy mu, że będzie dług ten spłacać w miesięcznych ratach, dodał: teraz W. M. Panu daję 10 dukatów, drugie tyle późniéj, jeżeli taki odbiorę rozkaz, a tym czasem jeżeli P. Trembecki umrze, albo... to nic nie dostaniesz.

Rozżalony takiém traktowaniem poeta skarży się przed królem na Ryxa i prosi, aby interes przez niego „zepsuty" zechciał naprawić, bo egzekucya do dwóch dni tylko zawieszona.

Na list ten odpisuje król Trembeckiemu:

„Ani W. P. ani ja pokoju miéć nie będziemy nigdy, kiedy tym bajaczom i kłamcom wierzyć będziemy. Wierutny fałsz W. Panu powiedział ten z Podlaskiego człowiek i najlepszym dowodem tego fałszu będzie kwit jego za odebraniem pierwszéj kwoty miesięcznéj, za którą wszystkie poślednie następować będą."

Bizonard—pisze król na innem miejscu—w tém się z prawdą minął gdy powiedział, że mu Ryx kazał W. Pana pozywać. Tylko tyle prawdy było, że Ryx jemu i Molskiemu i od wojewody Podlaskiego

przysłanemu powiedział: Wasze długi do P. Trembeckiego przejął król, ale ja jeszcze nie mam rozkazu do aktualnéj płacy. Otoż dziś już ma rozkaz odemnie Ryx płacić tym trzem po 10 dukatów na miesiąc *usque ad extinctionem*. Więc W. Pan już bądź spokojny i względem tych trzech i względem drugich jeszcze pozostałych W. Pana dłużników w tejże ostatniéj W. Pana notacyi wymienionych, którzy, czyli który, gdy się W. Panu przykrzéć będą, do Ryxa ich W. Pan odeszlij.

Król miał najlepsze chęci — skarb królewski jednak był już w owym czasie w opałach. Zaledwie więc uporał się poeta z ostatnim „gwałtownikiem", aż tu nowy wyrastał mu nieprzyjaciel.

Oto wytoczył mu proces o zapłacenie długu Chłapowski, który miał być również zaspokojony przez skarb królewski, a którego odesłał z kwitkiem kamerdyner królewski. Tymczasem nie chciał Trembecki dopuścić do egzekucyi, zasłaniając się tém, że rzecz ta należy do skarbu. Wydano więc przeciwko niemu pomoc wojskową. Donosi o tém poeta w liście z 10 sierpnia 1783 r., prosząc o ułożenie się z dłużnikiem.

Z polecenia króla, który i tę sprawę jeszcze załatwić kazał, donosi szambelan Corticelli, że dopełnił rozkazu królewskiego. „Gumiński (Chłapowski) kredytor J. Pana Trembeckiego dzisiaj ułoży się z Panem Ryxem".

Ale król nie chciał i nie mógł wdawać się w układy z wszystkimi dłużnikami, których co rok przybywało więcéj.

Nie otrzymawszy żadnéj w tym względzie odpowiedzi, chwyta się poeta ostatniéj deski ratunku: postanawia zostać księdzem.

Listy pisane w téj sprawie do króla podaję tu w całości, rzucają bowiem jaskrawe światło na charakter poety, który nie wzdrygał się przed żadnym środkiem, prowadzącym do poprawy swego położenia.

„Postanowiłem—pisze do króla—o kontinuacyę przez rok jeszcze cały zwykłéj pensyi W. K. Mci upraszać, w tym zaś przeciągu miałem się starać o służbę u lepszego Pana, a ponieważ ich dwóch takowych nie ma, bez komentarza łatwo W. K. Mć wyrozumiałbyś, iż Bogu w służbę myśliłem się poświęcić, a tak wkrótce skarbowi W. K. Mci przestałbym być uciążliwym. Z najgłębszym respektem bardzo supplikowałbym, abyś W. K. Mć to moje przedsiewzięcie potwierdzić raczył. Odmiana stanu mego, przynajmniéj przez kilka dni dziwną by się zdawała tym, którzy znali moje do tolerancyi przywiązanie. I gdyby koniecznie wyciągano po mnie dowodów gorliwego katolicyzmu, podjąłbym się o wysoki zakład, do tutejszego ludu powiedziéć kazanie, po wysłuchaniu którego zarazby tłuszcza poszła burzyć kościół Ewange-

licki, niedawno kosztownie wystawiony. Za ten śmiały wyraz nieskończenie W. K. Mci przepraszam."

Do téj propozycyi na pół żartem przedstawionéj 1778 r. powróci wolteryanin za lat parę i przypuści szturm do duchownéj twierdzy o—tłuste beneficyum.

Po tylokrotnych naprzykrzaniach się nie ma już śmiałości apelowania do szkatuły królewskiéj, do któréj miałyby prawo bardziéj nad niego potrzebujące osoby — chce się więc poświęcić stanowi duchownemu.

Oto jak ten krok swój pozoruje w następującym liście do króla, przyrzekającym skruchę i poprawę.

Przedwieczna Opatrzność różne ma sposoby do naprowadzania grzesznych na drogę szczęśliwéj wieczności, tak i mnie błędnego niegdyś niedowiarka, przymusem na nie ciągnie. Po długim więc opieraniu się i rozmyślaniu, postanowiłem mundur kościelny na się włożyć. Wziąwszy sobie za niezłomną maksymę o rzeczach, nad pojęcie wyższych, nigdy prawie odtąd nie mówić, a powinności moralne jako najściślej dopełniając, zbudować tych, których dawniéj mogłem zgorszyć przykładem. Waszéj Królewskiéj Mości zaś suplikuję pokornie, abyś pensyą moję skasowawszy, beneficyum jakowe, gdy zawakuje *in aequivalenti* konferować mi raczył. W którymkolwiek ubiorze, aż do zgonu mego z całéj duszy służyć W. K. Mci mam ochotę, a może się i siły znajdą.

W czasie tych starań—około 1780—staje się poeta mniéj natrętnym i mniéj potrzebującym. Nie chce rzekomo przyjąć podwyższenia płacy ze skarbu królewskiego. Nawraca do skromności i wstrzemięźliwości, które „wiekowi jego przystoją." Mniéj czuje goryczy i żalu — więcéj chrześciańskiéj rezygnacyi. Wszystko to było udane, nieszczere, wymuszone. Spodziewał się szambelan na téj drodze złowić jakąś intratną prebendę.

Istotne pobudki tego kroku odsłania dopiéro list następujący:

„Czynię cnotę z potrzeby, wkładając na się liberyą Jezu-Chrysta. I po dopełnionych publicznie obrządkach macierzyńskiéj religii około Wielkiéj Nocy odziewam się w czarne suknie, już nie mając ich koloru odmienić. Supplikuję przy stopach W. K. Mości, aby to z przystojnością stać się mogło, gdyż strach mię przechodzi, abym się pociesznym nie uczynił, a dla wielu racyi właśnieby mi trzeba takim się zdawać, i owszem przeciwnie.

Nigdy wyroki z większym słuchane uczczeniem, ani pilniéj w pamięci ludzkiéj chowane nie były, jak są u mnie wszystkie W. K. Mci słowa. Gdy więc upraszałem pokornie i approbacyą moich zamie-

rzeń, przy jéj pozyskaniu takową jeszcze miałem honor usłyszéć przestrogę: „*Qui Episcopatum desiderat, bonum opus desiderat*—Ty się jednak tego nie spodziewaj, gdyż jest wielu przed Tobą zasłużonych, równie i tych, którzy byli prezydentami, trzeba naprzód kontentować, oficyałem, ani téż sufraganem być nie możesz, ponieważ jest wielu, którzy dawniéj od ciebie tę sukienkę noszą. Powiadam ci to wyraźnie, dla tego, abyś potém nie mówił, że ci król co obiecał, a tak się nie stało.”

„A gdy na on czas rzekłem, iż spodziewam się wyjednać sobie koadjutoryą od jednego z Opatów w Krakowskim, na to dana mi była odpowiédź, iż to więcéj od W. K. Mci, niż od opata zawisło, tego mi zaś dozwolić nie możesz tak dla mnogości pretendentów, jako i przeto, iż jest projekt przyłączenia tych Opactw *ad massam*.

Jednakże kanonii jakowéj dla *distinctorium* najdaléj za lat kilka mogę się spodziewać.

Należy ile możności przewidywać przyszłość, a że od więcéj daleko osób, niżbym sobie życzył, znany i wspominany jestem, moje przebranie się będzie bez wątpienia materyą kilkudniowéj tego miasta konwersacyi, którą chcąc sobie wyobrazić, zdaje mi się, że już słyszę mówiących: Otóż ów nasz T., któregośmy znali przez lat dwadzieścia generałem, przez lat jedenaście szambelanem Stanisława Augusta, starostą sądowym przez dni kilka, przez osobliwsze zdarzenie, Starostwo Nowomiejskie dwa razy było mi dane, a nigdy nie przyszedłem do niego. Senator najgórniejszego Województwa desygnowany w roku wieku swego 27, komisarz wojskowy, *voyageur* siedmioletni, bliski krewny książąt krajowych i zagranicznych udzielnych, kawaler orderowy, teraz w piątym lat swoich dziesiątku został klerykiem. A to dlaczego? Bo mu obiecano za lat kilka kanonią, nie wiemy jednak czy Inflantską, czy Smoleńską, czy inną; w téj tedy nadziei kazał sobie środek głowy ogolić—a czemuż nie całą. Dołożą może ci, którzy się lubią z przypadków bliźniego rozweselać.

Takowych ludzi zdanie nie wiele obchodzić mię powinno. Ale niktby się podobno temu nie zadziwił, gdybyś W. K. Mć człowieka nie ciemnego nie najszczuplejsze mającego pojęcie, a w najwyższych stopniach gorliwie sobie przywiązanego (jako się to już pokazało i pokaże) przez wzgląd na przeszłe zasługi, jeżeliby jeszcze świeżemi i niepospolitemi znacznie je powiększył, uczynił kiedyś potem biskupem.

Masz Najjaśniejszy Panie przykład tego w swojéj familii. Władysław Jagiełło, przodek W. K. Mci, mając pierś wdzięczną i sposób myślenia prawdziwie królewski, Zbigniewa Oleśnickiego, sędzica krak. z stanu żołnierskiego w duchowny przeniósł, a pomnąc, że ten Oleśnicki w złym razie go był poratował, nie tylko mu bardzo wysokie

dał biskupstwo, lecz i do kardynalstwa dopomógł. Od pretensyi do biskupstw, sufraganii, oficyalstwa, opactwa i wszelkich urzędów koronnych szczerze odstępuję na zawsze, Dawaj je W. Kr. Mć. tym, którzy przywiązanie swoje i wierność mają dopiéro do zamiany za nie.

Niechbym przez wielowładną protekcyą W. K. Mci był uczyniony koadjutorem dwóch probostw w Krakowskim, katedralnym, którym jest teraz Kicki arcybiskup lwowski, i świętego Michała, którym nie wiem, kto jest od W. K. Mci uczyniony, a choćby miał dwudziestą lat mniéj odemnie, to mi jest wszystko jedno. Te dwa beneficya wraz złączone przynoszą blisko tyle rocznego dochodu, co trzecia część probostwa Trockiego, taką przynajmniéj mam informacyę.

Jeżeliby zaś przypadek zdarzył, że którekolwiek z tych dwóch beneficyów w moje dostały się dzierżenie, na on czas pensya, którą mam z szczodroty W. K. Mci, stałaby mi się wcale nadpotrzebną, i ustaćby powinna.

Dopraszałbym się tylko w łasce W. K. Mci o przytulenie jakowe maleńkie w zamku lub jego okolicach, gdyż tego nadewszystko pragnę, abym W. K. Mci do zgonu mego służąc, ostatnie wspomnienia miał o łaskach W. K. Mci, ostatniemi słowy błogosławił imię najlepszego z monarchów, a siwą, łysą, i zmordowaną pracą, a nie mającą już się więcéj podnieść, głowę, blisko stóp pańskich położył, które z najgłębszym całuję respektem."

W parę miesięcy późniéj dnia 20 marca, jak się domyślam 1780 roku, wraca znowu do tego przedmiotu, usprawiedliwiając się przed królem, dlaczego nie odnosi się w téj sprawie do ks. Poniatowskiego, biskupa płockiego, do którego go odesłał król.

Książę ma serce szlachetne i wdzięczne, a może są tacy duchowni, którym on jakowe winien jest obowiązki, albo którym swoję dawniéj przyrzekł uczynność. Mnie zaś nic winien nie jest, ani mi co kiedyżkolwiek obiecał. Gdyby więc przez względy na tamtych swojéj odmówił mi pomocy, uczyniłby rzecz bez wątpienia sprawiedliwą. Ale ta sprawiedliwość mnie, człowiekowi osiwiałemu przed czasem, przez długie i wielkie niegdyś ucierpienia, zdawałaby się ledwie, że nie nakształt okrucieństwa. Nie godzi mi się więc hazardować prośby mojéj do Księcia JMci.

Wolę się w téj mierze spuścić jedynie na dobroczynność W. K. Mci, na której się nigdy nie zawiodłem. A jeżeli przyzwolenie księżęcia JMci biskupa jest koniecznie potrzebne, Panie! który za mordercami twemi mówiłeś do narodu tak wymownie i przekonywającym sposobem, racz nieżałować kilku słów za prawdziwie gorliwym sługą, gdy będziesz miał konwersacyą z bratem twoim.

Stopy W. K. Mci z najgłębszym całując respektem, supplikuję pokornie, aby ta rzecz koniec już wziąść mogła, przez co byłbym uwolniony od przykrości myślenia nad sobą samym.

Prosi więc króla „który za mordercami swemi" wstawiał się do narodu, aby przemówił za nim do księcia biskupa.

Po otrzymaniu odpowiedzi króla, że ks. Poniatowski przeciwny jest prośbie Trembeckiego, składa poeta swoje wyznanie wiary w następującym liście. Zaczyna od roztrząsań swego sumienia. „Jak długo w Warszawie żyjąc, niespodziewam się, aby kto przeciw moim obyczajom swoje przed W. K. Mcią nosił zażalenia, a zatém z téj strony napastować mię nie można. Pilny dopełniacz przykazań Dekalogu, które oraz i doczesną społeczności gruntują pomyślność, może tylko przeciw jednemu z nich zdarzało mi się wykroczyć. To pewna, że takowe przestępstwo w dawnym zakonie śmiercią ukarane bywało. Ale nasz Zbawiciel łagodniejsze stanowiący prawo, miłosierny w podobnéj sprawie wydał dekret: *Projiciat lapidem qui est sine peccato.*

Pozór tedy do szkodzenia mi ten tylko zostaje, iż niby mają mię niektórzy za niedowiarka, ale jakże to słusznie zadać można człowiekowi w osobności żyjącemu, który ledwie na trzech, albo czterech domach przez rok bywa, a w nich zapewne o wiarach nic nie mówi. Byłżem kiedy niedowiarstwa apostołem? gdzież są moi prozelyci? czy pisałem kiedy przeciw panującéj w kraju religii? gdzież są te druki? kto czytał te rękopisma? z myśli téż kogo sądzić na pamięć, byłoby przeciwko wszelkiéj znanéj sprawiedliwości, a zatém zarzut nie jest gruntowny.

Dajmy to, że o niektórych mniejszéj wagi artykułach mogłem mieć kiedy niepewność. To bynajmniéj do stanu duchownego przeszkadzać mi nie powinno, jak prędko się od téj wątpliwości usuwam. Jeżeli mi będą pokazane prawa kościelne broniące takowym wstępu, chcę być z pod ich wyłączonym surowości, ale pokazane być nie mogą. Gdyby był książę raczył swojéj poradzić się pamięci, znalazłby był inaksze wcale przykłady.

Ś. Paweł ognistym był chrześcian nieprzyjacielem, a któż potém więcéj nad niego nawrócił narodów!

Ś. Augustyn w Manichejskich wychowany błędach, najpierwszą OO. Ś. jest ozdobą. Mamy pod oczami Siestrzeńcewicza, urodzonego i wychowanego w herezyi, to jednak nieprzeszkodziło mu być potem kanonikiem wileńskim i arcybiskupem mohylowskim.

Kościół ś. jest to matka łaskawa, z otwartemi przyjmująca rękami powracające na swe łono dzieci. Byłby sobie książe przypomniał

i owego z Ewangelii Pasterza, który opuszcza dziewięćdziesiąt i dziewięć owieczek swoich, a idzie szukać jednéj zbłąkanéj.

Jeżeli jestem niedowiarkiem, powinność pasterska byłaby starać się o moje nawrócenie. A jeżeli wyznaję się nim nie być, tedy do jakiegożkolwiek ustanowienia się czynić mi przeszkody jest przeciwko fundamentalnemu religii prawu. *Quod tibi fieri non vis, alteri ne feceris.* Te racye byłyby nie najgorsze, gdyby tu co racye ważyć mogły. Lecz jak prędko niechęć księcia JMci, prawdziwie nie wiem skąd, ku mnie urosła, trzeba jéj ustąpić chociaż poniewolnie. Ja będąc świeckim, mogłem użyć czasem w pisaniu wolności, a to mi teraz za straszliwy kryminał jest poczytane. Mój zaś kolega czwartkowy, Naruszewicz, będąc od tylu lat zakonnikiem, tłumaczył z Woltera księgę „Ecclesiastic", gdzie jest cała religia atakowana: tłumaczył najswywolniejsze powieści i one daleko sprośniejszemi wyrazami niż są w oryginale upluskał, to jednak w duchownym i już wtenczas biskupie było nienaganne. Jakowe obejście się przywodzi mi na myśl, nad to wiele upokarzającą mię, ale jednę z najpiękniejszych bajeczkę [1]).

Kiedy więc tego koniecznie potrzeba „święte przyrzeczenie W.K. Mci, dane mi niedawno, z najwyższym powracam uczczeniem. Zostanę się jak jestem, z tego przynajmniéj cieszący się, że żadnéj a żadnéj w życiu moim nie dałem księciu JMci do nieukontentowania skargi, a zaś W. K. Mci o jedną tylko bagatelkę mam jeszcze jako najpokorniéj suplikować, abyś mię już na czas dalszy od bywania na czwartkach uwolnić raczył. Gdyż to zawsze odnawiałoby mi boleść i pamiątkę, iż przeto jedynie ściągnąłem na siebie prześladowanie, żem kiedykolwiek miał nieszczęście do literatury się mieszać.

Stopy W. K. Mci z najgłębszym całuję respektem.

Przy końcu 1783 r. wraca znów do tego samego przedmiotu. Widocznie leżało mu na sercu. Przypomina więc królowi z przekąsem jego przyrzeczenia, których nie ziścił: że 1) j u ż w c z a s i e d w ó c h lat dasz mi W. K. Mć w chlebie duchownym *aequivalens* mojéj pensyi, 2) iż ta pensya w miarę dawanéj *aequivalencyi* częściami być miała odejmana, 3) abym nigdy nie spodziewał się być biskupem, opatem, ani sufraganem.

Wszystkie te propozycye z prawdziwą przyjąłem chęcią, gdyż ja potrzebuję chleba troszkę nie biszkoktów. Lecz i wtedy pokazało się, iż mój kontrakt z W. K. Mcią, jest to kontrakt Sarny ze Lwem, to jest z najwyższą mocą nieudolności ostatniéj. Książę Imci biskup płocki

---

1) Voyez la fable de la Fontanie. Les animaux malades de la peste.

obwinił mię przed W. K. Mcią o jakowąś herezyę, a zatém wypadało i ten raz złamać przyrzeczenie pańskie, bo *hereticis non est servanda fides.*

Gdyby mi książę Imć dopomagać nie raczył, aż póty możnaby podciągnąć pod delikatność kapłańską. Ale czemu szkodzić człowiekowi względem siebie najniewinniejszemu? Starego i wiernego sługę królewskiego, na którego łonie, wśród zbójców możnaby się przespać, chcieć rozmyślnie przyprawić, o wielkie jakie nieszczęście, dla nie dość dobrze wyrozumianych skrupułów, nie jest że to do ruskiéj cokolwiek podobne maksymy: lepiéj Mazura zabić, niż we środę post złamać.

Tak to fanatykiem chciał mię książę znajdować? *Pater dimitte illi.* Trzebaby raczéj dzięki niebu czynić, że nim nigdy nie byłem, bo możeby inaczéj rzeczy chodziły, niż dziś idą. Świątobliwość i nabożność są bez wątpienia czci godne; ale przy nich godzi się i na to cokolwiek dać baczności, że jest podobno sędzia żywych i umarłych, nie bardzo lubiący czyny oddających złym za dobre.

Cóż tedy mam czynić ubogi karzeł z opprimującym mię olbrzymem? nic innego tylko cierpiéć. Będąc od księcia JMci prześladowanym bez przyczyny, (gdyż ja przeciw niemu ani myślą nigdy nie byłem zgrzeszył) przystałoby mi teraz żal do niego chować nieśmiertelny.

Jednakże od téj godziny zapominam o wszystkim, życząc Mu wszelkiego dobra nieskończenie więcéj, aniżeli mnie samemu, a to prawdziwie szczerze. W jego przeciwko mnie czynieniu widzę tylko instrument Opatrzności, zrywający ostatnie węzły mogące mię jeszcze przywiązywać do ziemi, na któréj gościem tylko znać się powinienem, i być zawsze do odejścia gotowym. Wreszcie książę JMć, pełnił może powinność swojéj ciemnéj sukni (która bodaj prędko w jaśniejszy zmieniła się kolor), ale W. K. Mć nosisz paludament, który inne podobno inspiruje zdania.

Zginie ufność między narodem ludzkim, nikomu na całéj ziemi zawierzyć nie będzie można, kiedy słuszne przyrzeczenia królów, nawet dobrych i łaskawych, nic nie będą znaczyły.

Nigdy ja przed W. K. Mcią hypokrytą nie byłem, i przed doniesieniem księcia JMci o mojéj mniemanéj herezyi, sposób mego myślenia był W. K. Mci zupełnie znajomy. Otwartość moja przed W. K. Mcią szkodzi mi, z niéj jednakże nie obiecuję się poprawić. Ale w tym miejscu należy mi przed W. K. Mcią Panem moim miłościwym z mojéj usprawiedliwić się religii, którą więcéj na uczynkach niż na słowach zasadzam. Urodzony z rodziców katolików rzymskich, od nikogo o apostazyą posądzany nie byłem; ktoby mi zaś czyją przypisywał he-

rezyą, musiałby mię nie znać dobrze, wstydziłbym się cudze kopiować błędy; a gdyby i na mnie przyszła kolej koniecznie błądzić, byłbym może herezyarchą, ale heretykiem nigdy. Mnie zmyślać, nie do twarzy jest.

Rzetelnie więc przed W. K. Mcią powiadam, iż nietylko szanuję wszystkie prawdy, które kościół święty do wierzenia podaje, ale też o żadnéj z nich nigdy w życiu moim nie wątpiłem.

A jeżeli będąc człowiekiem świeckim, człowiekiem ośmnastego wieku, żyjącym na dworze króla Filozofa, inaczéj zdawałem się myśléć niżli mniszy czternastego wieku, tego by mi za złe liczyć nie należało. Skłonność moja do tolerancyi nie była naganna, bo mieszkam w państwach W. K. Mci, gdzie dziewięć religii od dawnego czasu ustanowione są.

Wszakoż gdybym był duchownym, byłbym musiał obowiązki stanu mego dopełniać, kto czyim żołnierzem jest, za jego sprawą walczyć ma. Jeżeli zaś cokolwiek nabytych miałem wiadomości, to mi szkodzić nie powinno było. Mający wzrok dobry, ślepego wyśmienicie naśladować potrafi, ale ślepy widzącego nie wzajem.

Skąd zaś ta suppozycya o mojéj wynikła heterodoxyi, ledwie dojść mogę, że to ten fatalny czwartek pretekstów staréj mody przeciwko mnie dostarczył.

Przez jakoweś przeczucie, zawszem ja tego zgromadzenia unikał, na którym bywać W. K. Mć, swym powtarzanym przymuszałeś mię rozkazem. Przynaglany od W. K. Mci pisałem czasem, produkcye moje zawsze W. K. Mci najpierwéj prezentując, te jako prawdziwy literatury protektor nietylko czytać i aprobować, ale też swoją ręką i swoim niezawodnym gustem „poprawiać", miłościwy panie, raczyłeś. Więc jeżeli się tam co zdrożnego znajdowało, nie przystałożby raczéj na dobroć i łaskawość pańską wymazać to z mego pisania, aniżeli potém wynikające stąd, przeciw mnie przyjmować pozory?

Apostołem ja nigdy nie byłem, niechby każdy myślał, jak mu się podoba. To prawda, że nigdy nie faworyzowałem fanatyzmu, bo cierpiéć go nie mogę, a choć mię to bardzo wiele kosztuję dozgonnym jego nie przestanę być nieprzyjacielem. Czemu to? Sciągnij miłościwy panie rękę do swojéj świętéj głowy, a przy dzisiejszym anniwersarzu namacasz tam jego skutki i moję ekskuzę.

Cała ta sprawa miała akademiczne tylko znaczenie — ks. biskup Poniatowski nie mógł zezwolić, aby znany z swego rozpustnego życia i z swych wolnomyślnych poglądów poeta został bez żadnéj zmiany „duchownym." Trembecki zaniechał więc niebawem téj „szalonéj myśli." Nie przestał jednak w najdrobniejszéj sprawie udawać się na-

tychmiast do króla. Świadczy to o serdecznych stosunkach między nimi, a także o natręctwie poety, a słabości króla. Oto np. nie chce kasyer królewski wypłacić Trembeckiemu zaliczki 100 dukatów, tylko pod warunkiem, aby mu cztery kwity na tyleż miesięcy dał z pensyi po 500 zł. zaraz więc udaje się poeta w téj sprawie do króla. Aby godnie wystąpić na przyjęciach czwartkowych, prosi o letnią odzież; król kazał mu więc przysłać w prezencie piękny garnitur, za który dziękując, powiada szambelan, że go ku służbie Jego Królewskiéj Mości niechybnie zagrzeje."

Innym razem prosił o „haftowaną szatę", którą otrzymał, to znów błaga aby mu z wozowni królewskiéj wydano „jakowy stary i nadpotrzebny gracik", któryby go mógł po mieście przytoczyć, co mu przypomina przysłowie: „kto na czyim wózku jedzie" i t. d.

Kiedy książe biskup płocki miał się przenieść do pałacu biskupów krakowskich, prosi króla o kącik w apartamentach, które biskup w zamku zajmował. Niewiadomo jednak czy prośba jego wysłuchaną została.

Jakkolwiek z natury trochę leniwy, rzadko kiedy w cudze mięszał się interesy, to przecież przez wzgląd na pamięć stosunków przyjacielskich z Ogrodzkim, nie mógł odmówić prośbie jego krewnemu, i wstawił się za nim do króla.

Na prośbę kasztelana Trockiego za Czarnkiem miał król polecić kanclerzowi koronnemu, aby wybadał pannę Kubicką siedzącą w klasztorze, czy związki, które między nimi zaszły i przysięgi wzajemne (lubo jeszcze bez świadectwa kościelnego) mogą być rozstrzygnione i czyli obietnice, „pogróżki i klasztorne więzienie nie zmieniły chęci téj panny."

Kanclerz koronny powiada Czarnkowi, iż dopiéro w ten czas królowi opowié, gdy go się to zapytasz. Zanosi więc Trembecki prośbę do króla, aby „to pytanie dziś uczynił." Z innych podobnéj treści przytaczam list polecający komedyę Zabłockiego.

15 Aug. 1783.

Najjaśniejszy Panie!

„Zabłocki, człowiek niebogaty i literat do lepszéj klasy należący, który już wiele napisał i dosyć dobrze, obligował mię, abym komedyą Amphitriona imieniem Jego Kr. Mci prezentował.

Nie mogąc się takowéj prośbie odmówić, to dzieło jego wraz

z głową moją mam honor złożyć pod stopy W. K. Mci, które z najgłębszym całuję respektem.

St. Trembecki.

W całéj korespondencyi z królem, ten i zaledwie kilka jeszcze listów poświęconych jest sprawom nie osobistym. Poeta nasz bowiem pilnował przedewszystkiém własnéj skóry. Jeszcze mniéj w nich szczegółów odnoszących się do jego twórczości poetyckiéj. Pisał mało a jeszcze mniéj o tém wspominał. Kilka jednak wzmianek napotkać można w korespondencyi z lat dawniejszych.

Oto prosząc króla o usprawiedliwienie, że przez pewien czas nie będzie mógł bywać na czwartkowych zebraniach, powiada przy końcu roku 1776: „Nie pisząc nigdy dawniéj książek, nie wiedziałem jak wiele ta rzecz wyciąga czasu. Obawiam się bardzo, abym nie przyniósł musztardy po obiedzie, a tym sposobem utraciłbym i pracę i zasługę.” W przypisku zaś do tego listu dodaje ciekawy szczegół, odnoszący się do genezy przekładu „Syna marnotrawnego” Woltera.

P. S. „Syn marnotrawny” będzie poprawiony i objaśniony we wszystkich miejscach od W. K. Mci naznaczonych. Pójdzie on pod prasę zaraz po Nowym roku, pod dozorem podkanclerzego korony, który ten manuskrypt odemnie komedyantowi darowany, kupił. Ledwie się ośmieliłem z między moich papierów, ten na widok dobyć kawałek i to szczególnie dla tego, iż ma znaczną analogię z niektóremi zdrożnościami memi i łaskawością W. K. Mci. Gdyż kiedym był za winnego uznany, dobrotliwie Najjaśniejszy Panie odpuścić mi raczyłeś.

Przy sposobności wakansu, o który się ubiegał, a który odmownie został załatwiony, skarży się znowu przed królem — zapewniając o zupełnéj rzekomo rezygnacyi— że on „do żadnéj a żadnéj rzeczy nie jest wpisanym pretendentem”, przyczem wypomina królowi, że dla dopełnienia powinności wobec tronu większą część fortunki swojéj stracił. Zastrzega się, że nie wspomina o téj utracie, aby jéj miał żałować, owszem i dziś jeszcze chętnie miliony—gdyby je posiadał—poświęciłby ku usłudze Jego Królewskiéj Mości, wydaje mu się jednak zgodne z sprawiedliwością i miłosierdziem króla „aby miał cokolwiek wygodne życie, aby je mógł kochać, aby go sobie do reszty nie obrzydził.”

Wsparcie, które pobiera ze skarbu królewskiego, byłoby na inném miejscu więcéj niż wystarczające, ale w stolicy, gdzie wszystko dwa razy tyle kosztuje, on cierpi niedostatek. Zapewnia, że w zbyt-

kach upodobania nie ma, nie jest jednak cynikiem i baczyć musi na zachowanie „jakowéjś przystojności."

Oto np. danego mu od króla „kawalerskiego zaszczytu" (orderu św. Stanisława) nie godzi się po mieście nosić, ale „wozić"—potrzebuje więc powozu. W czasie uroczystości dworskiéj miał na dany rozkaz „aby się u dworu u sukni św. Stanisława stawił, w te dni największa w sercu poety była gala, ale „grzbiet jego nie mógł być tylko powszednim okryty ubiorem." Mniejsza o to że taksy, należącéj się od tego zaszczytu nie zapłacił, gorsza dla niego, że nie miał futra na zimę. Trzeci rok dopiéro temu, jak mu król darował piękne futro lecz myszy, których w mieszkaniu jego pełno, wierzch mu nadgryzły, a włóczące się za nim mole, tak włosy podcięły, że już téj odzieży używać niepodobna. „I te drobne stworzenia woła zgorżkniały poeta — przykładają się do moich klęsk."

Kiedy król Stanisław August skargi i prośby Trembeckiego lekko traktował i ze względu na jego „chorą" lub „poetycką" jak go delikatnie nazywał — głowę nie brał na seryo, dotknięty tém poeta robi obrachunek całego stosunku swego do króla, przyczém nie szczędzi mu ostrych przymówek: „Zgadnąć niepotrafię — powiada—czém się to dzieje, iż od początku dotąd, pod arcyłaskawym W. K. Mci dla wszystkich innych panowaniem wlokę życie smutne i nieprzestannie gorzkie, którego koniec może będzie bardzo dziwny.

Supplikowałem że kiedy W. K. Mci o dostojeństwa?

Czyniłem że jakie kroki do nabycia bogactw? Nigdy. Prośby moje zawsze były jednakie, a na tém się kończyły, abyś miłościwy panie albo obmyślić, albo dopomódz mi raczył do sposobów, którémibym subsistencyą moję mógł miéć upewnioną do zgonu.

Uznałeś był W. K. Mć kilkakrotnie słuszność tego żądania, approbowałeś sposoby, dałeś mi na nie swoje przyrzeczenia, lecz do ziszczenia ich nie przyszło. Jak wiele to było, powtarzane razy — opuszczam.

I tak, tedy miłościwy panie, nie tylko mi W. K. Mć w méj ojczyźnie, do niczego nie raczyłeś dopomódz, aleś mi wszelkie do wyjścia z niedoli, poprzecinał ścieszki. To jednak pewna, że W. K. Mć zawsze jakowe racye przyłączyć mi raczyłeś. Były racye, dla których mi W. K. Mć nie żenić się zaleciłeś; były, dla których nie mogłem być żołnierzem, były dla których nie mogłem być kapłanem, były, ażebym nigdy nic nie miał i nigdy niczém nie był.

Wszystkie te racye przekonywały mię wielce przeto, iż ich król i pan mój używać raczył. Trwało to nie tygodni, nie miesięcy, ale lat niezmiernych przeszło czternaście. Od tak długiego trzymania mię

nad bezdenną przepaścią, nie dziw, że głowa moja poczyna się zawracać, i stąd to idzie podobno, iż W. K. Mć znalazłeś ją poetycką.

Po tym wszystkim, podobało się W. K. Mci podyktować mi skrypt i kazać się podpisać, że jestem zupełnie kontent. Jeżeli miłościwy panie, bierzesz skrypta od tych, którycheś szczęśliwym uczynił, to niemi archiwa musisz mieć napełnione, lecz jeżeli odemnie tylko samego, to te uszczęśliwienie zupełne będzie troszkę podejrzane, komu zaś takowe pismo, czy sumieniu W. K. Mci czy mnie, czy sędziemu, czy potomności imponować ma, nad tym się nie zastanawiam. Nie jestem ja tak od Boga opuszczony, abym nie był w stanie innemi dowodami okazać W. K. Mci zupełność mego ukontentowania, nie zaś takim dyktowanym skryptem.

Ale sprawiedliwy królu i panie mój, obacz, z czego to ja mam być tak zupełnie kontent. Czy z tego, że będąc z równym do wszystkiego (z innemi poddanemi W. K. Mci) urodzony prawem, jestem od wszystkiego oddalony? Czy z tego, że skąd naturalnie pomocy należało mi się spodziewać, stamtąd właśnie wszystkie dla mnie wychodziły przeszkody? Czy z tego, że będąc z przyrodzenia najniezdatniejszym do prośby, przymuszany jednak jestem prośbami memi daremnie naprzykrzać się W. K. Mci, a może i narażać. Czy z tego, że mi tu zawsze nóż na gardle trzymają? Czy z tego, że mi już jest upewniona prawie śliczna ekspektatywa, gwałtowna śmierć, albo sto razy gorsza od niéj mizerya? Co jeżeli tak jest, zdaje się, iż mi W. K. Mć, na to kazałeś się podpisać co ani w myśli W. K. Mci, ani w sercu moim, ani w rzeczy naturze być nie może.

Aby osłodzić zbyt ostry wyraz owych skarg i żalów nie omieszka poeta dodać pochwały swemu Monarsze, przedewszystkiém za to, że „człowieka—jak się mieni—przez zbytnią odludność zdziczałego, przeciwnościami ustawicznemi draźnionego, nie umiejącego ani języka ani obyczajów dworskich”, na swoim jednak dworze „tolerował, długi płacił i utrzymywał, o czém gdyby zapomniał, byłby najpodlejszém ze zwierząt. Nie chce on w pałacach mieszkać, ubierać się w złotogłów, zamorskiemi karmić się potrawami, ale pragnie mieć zaspokojone najniezbędniejsze potrzeby do życia, aby deszczem, głodem i mrozem zabity nie był”, aby nie stał się urągowiskiem szyderców, którzyby mu wyrzucali w nieszczęściu: „Otóż tobie przyjacielu królów.” Po takiém nastrojeniu St. Augusta prosi go, aby mu pozwolił dożywocie t. j. pensyę którą pobiera ze skarbu „przelać na inną osobę.” Spodziewa się znaléść „chrześcianina”, którego mu dał za nią wartość jéj czteroletnią.

Takowa sumka byłaby procentem od kapitału, który miał wchodząc w służbę dworską, a którego nigdy nie pożyczył królowi. Nie naprzykrzałby się w takim razie żadnemi prośbami, na co ofiaruje „przysięgę, kaucyę, albo parol honoru" i przedkłada następujące pismo królowi do podpisu:

„Przez wzgląd na zasługi urodzonego Stanisława Trembeckiego podkomorzego naszego nadwornego, onegoż w przeciągu roku jednego od daty dzisiejszéj chlebem dożywotnym opatrzyć deklarujemy, *in aequivalenti* pensyi, którą z hojności naszéj królewskiéj ma. Jeżeliby jednak dla jakowych okoliczności, w czasie roku jednego, do tego nie przyszło: tedy temuż urodz. Trembeckiemu, pensyą, którą z łaski naszéj ma, na inną którążkolwiek osobę przelać dozwolemy i dozwalamy. Dan w gabinecie naszym dnia pierwszego grudnia 1783 roku."

Na niewłaściwe prośby król z razu nie odpowiedział, a owe „nieprzystojne wyrazy" skarcił, jak się dowiadujemy z następnego listu poety, w którym prosi króla o przebaczenie za to „niepotrzebne pisanie", usprawiedliwiając się „długiemi troskami skołataną głową." Nagabywany jednak prośbami szambelana, polecił król kanclerzowi koronnemu, aby przystał na wspomniany reces, a w bilecie do Trembeckiego wyraził nawet warunki tego przelewu. Chodziło tylko o wyszukanie osoby, na ktorąby pensyę przelać było można. Trembecki reflektował na księcia Stanisława Poniatowskiego, któryby tę cesyę kupił. Miał przytém nadzieję, że książe, mając dosyć włości około Warszawy mógłby mu jaką wioseczkę w dzierżawę w procencie puścić i w przydatku dać pokoik do mieszkania w ustroniu. Nie wymienił jednak osoby księcia. Dlatego król Stanisław August odpowiada Trembeckiemu:

Naznaczyć osoby ja nie mogę, bo nie wiem kto zechce uczynić W. Panu tę przysługę. Waćpan więc szukaj i wynajduj człeka. Mnie powiédz imię. Ja zezwolę, byle nie było przemagającéj jakiéj przeciwnéj racyi, któréj się nie spodziewam.

Za zezwoleniem królewskiém raczył się już ks. Stanisław Poniatowski przychylić do żądań Trembeckiego — ale gdy „całe miasto pełne było burzliwych zagranicznych wieści, nie chciał siebie ani drugich narażać na nieprzyjemności i od sprawy téj odstąpił. Natomiast na początku 1785 r. występuje z nową propozycyą: aby mu dotychczasową „pensyę w kapitalik zamienić." Rzecz to drobna dla króla, dla niego zaś wielkiéj wagi, w przeciwnym bowiem razie czeka go „kalectwo zasłużonéj ślepoty, i miejsce za furtą szpitalną. Przyrównywa się przy téj sposobności do owych koni bagdadzkich, co to chodzić nie

umiejąc „szłapią noga za nogą, albo lecą chyżéj wiatrów, gdy ich z munsztuków uwolnią.”

Wasza Królewska Mość — powiada pełen żalu -- masz ze mnie poddanego z całéj duszy przywiązanego sobie, którego stałą wiernością przewyższyć niepodobna, który lat kilkanaście służył, który w czasie okropnéj potrzeby dla ratunku W. K. Mci w ogieńby skoczył, i bardzo się popalił, który w swoim kraju ma troszkę imienia, a wkrótce całéj Europie jeszcze więcéj znajomym będzie.

Takiego jednak poddanego dozwalałeś W. K. Mć prześladować i sam bez przestania martwiłeś, nie dając mu żadnego do życia sposobu i przecinając wszystkie inne. Bez względu na to nawet, iż z kwitnącego stanu, przygodami W. K. Mci, wciągniony jest w stateczną ruinę.

Jesteś, Miłościwy Panie, od wszystkich uznany za filozofa większego z tych, którzy kiedykolwiek na tronie siedli, wiész zatém, iż na świecie nic się nie dzieje przypadkiem, i gdzie piołuny sieją, nie mogą stąd trzciny cukrowe wschodzić.

Znieś W. K. Mć przyczyny, w tym momencie znikną skutki, a głowy, które się czasem poetyckiemi zdały, nad mniemanie okażą się czyściejszemi.”

Wyrazy te dotknęły króla, który za tyle łask wyświadczonych szambelanowi, słuchać był zniewolony cierpkich i niesłusznych wyrzutów. Opiekował on się szczerze swoim szambelanem, posyłał nieraz do niego Wojnę z poleceniami dla uspokojenia jego „zbyt rozgrzanéj głowy”, wstrzymując go słowem i czynem od nieprzyzwoitych kroków.”

Ale „tak zapalonéj i w takim stopniu i w takim gatunku jeszcze jego głowy nie doznałem nigdy, jak wczoraj” (11 czerwca 1785 r.). Był tu u mnie—pisze król—nagadał mi takie rzeczy, których i powtórzyć nie chce, ale które mię zniewalają zlecić W. Panu Wojnie, abyś Trembeckiemu powiedział odemnie, żeby do mnie więcéj nie chodził, ani pisał; dodaj W. Pan, że mu wyraźnie zakazuję wyjeżdżać z Warszawy bez mego pozwolenia nigdzie, a mianowicie do Karlsbadu. Mam tego bardzo ważne racye i ważniejsze, niż sobie W. Pan możesz imaginować. Powiédz mu W. Pan, że jeżeli nie będzie mi w tém posłuszny, to pensyę traci, i że mu to jedynie pod kondycyą zostawię, żeby się stąd nie ruszał bez mego pozwolenia i żeby cicho siedział. Gdyby się Trembecki W. Pana pytał o przyczynę tego zlecenia, odpowiédz mu W. Pan, żeś odemnie więcéj nie słyszał, ale że się sam domyślić łatwo może.

„Jam dotychczas najwięcéj Corticellego wzywał do Trembeckiego z dawnéj jego z nim koneksyi, ale że Corticelli ma wkrótce wyjechać, właśnie tego trzeba, żeby ktoś strzegł tego Trembeckiogo, żeby

on szaleństwa jakiego nie zrobił, do którego i jego przyrodzenie poetyckie, a bardziéj może ta samotność i ciemna rozpusta mogą dać powód."

Po tych słowach umieścił król dodatkową uwagę:

„Wojna przyrzekł to wszystko wykonać i nazajutrz uczynił mi raport, że Trembecki odpowiedział, że będzie posłuszny temu rozkazowi."

W następnym więc liście usprawiedliwia się poeta z tego postępowania, ale niebawem, wybierając się dla poratowania zdrowia do Karlsbadu, prosi znowu o pokrycie nowo-zaciągniętych długów, wymienionych w następującym liście:

Krajewskiemu, który jest moim podskarbim, praczką, szwaczką, fryzyerem, kuchmistrzem, i żadnéj litery nieznającym bibliotekarzem, z generalnego rachunku winien jestem 123 dukatów. — Domagalskiemu komornego według kontraktu aż do św. Michała, choć tu mieszkać nie będę, przypada odemnie 69 dukatów.

Czekają mię jeszcze te nieuchronne przed wyjazdem expensy: Liberya już należąca się dawniéj; Dla mnie dwie albo trzy suknie gładkie, płaszcz, któregoby w drodze i w mieście użyć można.

Następuje potém takowy rozchód: podróż do Karlsbadu; podróż do Wiednia; przemieszkiwanie w Wiedniu świetniejsze; powrót do Włoch, albo powrót do Polski — *ad minimum* 1,000 dukatów.

Na to i na zwykłe codzienne expensy, mam tylko percepty od dnia pierwszego czerwca 45 na miesiąc; gdyż pięćset złotych podług mego, niewiem czyli chwalebnego zwyczaju, aż do Nowego Roku przedane i zjedzone są.

Do wyjścia więc z tych trudności nie widzę innego sposobu, jak tylko „udać się do tylekroć doświadczonéj W. K. Mci, która mię nigdy w przykrym nie opuściła i suplikować przy stopach Pańskich, abyś W. K. Mć tę pensyę, którą z wspaniałéj szczodroty przez ręce Bastyana czerpam, odkupić odemnie raczył i zamienił w kapitalik."

Do téj zamiany jednak nie przyszło, z rachunków bowiem Jego królewskiéj Mci kasy generalnéj dowiadujemy się, że pobiérał jeszcze do stycznia 1787 roku swą zwykłą płacę—z dodatkiem 64 dukatów na mieszkanie.

Poczém nastąpiła redukcya płacy „blisko do połowy". Przyczyną jednak obniżenia tego nie była rzucona nań „kalumnia"—jak sądził

poeta, ale po prostu względy oszczędności. Ale cios ten dotknął boleśnie poetę i spowodował do następującéj żalem i skargą skąpanéj prośby, w któréj aż do samochwalstwa wynosi swoją erudycyę.

„Za rzetelne i długie usługi, za największe hazardy i straty, nigdy tyle pozyskać nie mogłem względu, aby mi w tym kraju jakiżkolwiek sposób do dożycia był dopuszczony, a za mniemaną winę, bez pytania się o nią, pośpieszono się odjąć mi blisko połowę subsistencyi, która wspaniała szczodrota W. K. Mci dla mnie przepisała.

Za całe dobro posiadałem chałupkę na lodzie budowaną, i tę mi już obalono.

Jeżeli mię teraz moc W. K. Mci nie zasłoni, przyjdzie mi nikczemnie zaginąć i między innemi rzeczami, zaginie ze mną jeden rodzaj erudycyi krajowéj, w którym żaden uczeńszy Europejczyk nie jest mi równym, nie wyjmując ani W. K. Mci.

Sam Najjaśniejszy Panie zrobiłeś mię, czym jestem, sam znowu, gdy zechcesz, zniszczyć mię możesz. Nie byłoby stąd jednak ani sławy, ani pożytku, owszem coś nakształt szkody, któréj zreparować niepodobna, i między rzadkim a jedynym jest cokolwiek różnicy.

Kamera obcinając pensye — gdy to czyni osobom majętnym, albo od W.K. Mci z innéj strony ubogaconym, odejmuje im rzecz nadpotrzebną, obcina im paznokcie i włosy, ale mnie ubogiemu, który nic innego nie mam, obcina moje członki.

Przy dogorywaniu mojém, o nic więcéj upraszać nie chcę, tylko abyś W. K. Mć przez pamiątkę przeszłych i przez wzgląd na przyszłe rzeczy, z pod władzy kamery, któréj ja nigdy nie służyłem, raczył mię wyjąć, i sobie samemu zostawić, a wszelkie jéj dotąd przeciwko mnie czynienia za niebywałe osądzić.

Jeżeli zaś przemienienia téj kamery przemienionemi być nie mogą, nie zostaje mi tylko najpokorniéj suplikować W. K. Mci, abyś mi tę resztę pozostałéj pensyi przedać pozwolił, a ja zaspokoiwszy moich dłużników, znajdę dla siebie sposoby do niepotrzebowania wszelkich już więcéj piéniędzy."

Gdy prośbę tę pokrył król Stanisław wymowném milczeniem, a ci, z którymi się poeta miał zjechać u wód karlsbadzkich „odmienili zamysł" i gdzieindziéj swoje obrócili kroki, Trembecki zanosi prośbę do króla o pozwolenie podróży „po niektórych Hanseatyckich miastach". Nęcą go głównie Hamburg i Lubeka i spodziéwa, że „wojaż ta będzie mu użyteczną przez odkrycie niektórych kawałków, do starożytności narodu stosujących się."

A gdy i ta prośba nie została wysłuchana—odważa się więc najusilniéj prosić króla, „aby go na sejm teraźniejszy (1787) posłem swoim z Inflant miéć raczył.“

Nie było czasu na odmowną odpowiedź téj nowéj propozycyi — musiał bowiem poeta (na początku 1787 r.), zapadłszy ciężko na kamień i podagrę, wyjechać na kuracyę do Królewca. Zaledwie wyrwał się z rąk lekarzy, kiedy „okłamano“ go przed królem, że miał pisać „przeciwko interesom“ Jego królewskiéj mości. Aby się z téj czarnéj oczyścić potwarzy, musiał z Gdańska, gdzie wówczas bawił, przybyć na dwór królewski. Generał Komarzewski wziął był na siebie jego obronę i kazał mu pomyślnéj czekać rezolucyi, aż po ukończeniu sejmu. Tymczasem sejm się skończył, Komarzewski wyjechał do Petersburga, a Trembecki za pożyczone piéniądze, przybywszy z Gdańska, został na lodzie.

Z listów wnoszę, że go oskarżono przed królem, jakoby napisał broszurę „Głos Polaka“, tymczasem sam poeta i inni przyjmują autorstwo jéj marszałkowi Potockiemu.

W tém utrapieniu, i gdy „dawno tonącemu“ woda się przez usta leje, prosi i wywodzi nowe żale przed królem, którego zdanie w téj sprawie przytaczam:

„W pierwszych dniach maja 1788 r. Trembecki przez Komarzewskiego proponował mi się na posła z Inflant. Odpowiedziałem: nie może to być. W kilka dni potém prosił tenże Trembecki przez Komarzewskiego, abym mu pensyę 480 dukatów, którą Trembeckiemu daję, obrócił w kapitał. Odpowiedziałem: ani racyi, ani sposobności, ani chęci tak uczynienia nie mam.

Znowu w kilka dni potém Trembecki napisał do Komarzewskiego: czy wié, że on, Komarzewski, lubo czyni się jego przyjacielem, jest mu nieprzyjacielem, a mianowicie, że Komarzewski mnie powiedział, że Trembecki jest autorem niektórych paszkwilów mnie obrażających.

Komarzewski posłał do niego generała Byszewskiego z tém, że nigdy tego królowi nie powiedział, że prosi o delatora i tego kłamcą czarnym nazywa; z przypomnieniem przysług uczynionych Trembeckiemu i dobrodziejstw królewskich, przez ręce Komarzewskiego jemu uczynionych i za wstawieniem się tegoż Komarzewskiego. Trembecki delatora wymienić nie chciał.

Król kazał Trembeckiemu tak powiedziéć: Nigdy lepszego przyjaciela nie miałeś nad Komarzewskiego, nie chcę słyszéć o tym paszkwilu. Jeżeli oddaliłem Trembeckiego od częstego ze mną obcowania, to przyczyna tego nie inna, tylko owe pisma Trembeckiego, królowi przez niego samego oddane w r. 1785 w Łazienkach.

Na to wszystko Trembecki odpowiedział: Jabym gotów darować niesłuszne może urazy do Komarzewskiego, żeby tylko król tę sumę mi kazał wypłacić, którą ja żądam.

Kazał zatém król przez Byszewskiego powiedziéć Trembeckiemu, że na mojéj skórze Trembecki nie powinien wybijać pretensyi swoich do króla, tém nieprzyzwoitszych, że tylekroć popłaconych przez króla długach swoich i innych darowiznach, obiecał i na piśmie przyrzekł, żadnych już prośb nie czynić.

Dał zarazem do zrozumienia, że płaca 480 dukatów dla bezżennego jest wcale obfita. Sprawa tak się potém zawikłała, że mało nie przyszło do pojedynku. W końcu Popiel, kasztelan sandomierski, podjął się pośrednictwa, przyszedł do mnie z tém, że Trembecki gotów jest pogodzić się i przeprosić Komarzewskiego, bylem ja na piśmie dał świadectwo, że Komarzewski nigdy przedemną jego nie podejrzywał o owe paszkwile.

Dałem to świadectwo w ręce kasztelana do pokazania Trembeckiemu. Zaczém ten napisał do mnie przez kasztelana bilet niniejszy z 30 maja. A nazajutrz był u Komarzewskiego i w przytomności Byszewskiego generała i Hofmana uczynił Komarzewskiemu deprekacyę, i pogodzili się w dzień czwartkowy 5 czerwca 1788 r.

A w dzień przedtém był u mnie Trembecki za uproszeniem osobném posłuchania i prosił, abym ja jemu darował tę porywczość.

Jam od niego wyciągnął wyznanie osoby, która mu powiedziała, że Komarzewski czynił go przedemną autorem paszkwilu, abym ja sam wiedział kogo się strzedz. Trembecki uprosił u mnie słowo królewskie, że nie dam nigdy po sobie poznać, że wiem kto, i dałem słowo, on osoby nie wymienił. Jam mu spokojność zalecił. I tak się skończyło.“

Nie skończyła się jednak nieustająca żebranina szambelana. Oto przed owém zajściem, w odpowiedzi na jedną z tysiącznych prośb otrzymał poeta od króla przez generała Komarzewskiego pierścień brylantowy wartości 800 czerwonych złotych, na co wystawił poświadczenie 22 lutego 1787 r. Pierścień ten oddał poeta tegoż samego dnia Bachmińskiéj na pokrycie długów.

Prosił ją zarazem, ażeby się wstawiła za nim do króla o wypłacenie dawniéj jeszcze zaciągniętych długów, które ona przejęła na siebie.

W liście Bachmińskiéj przedstawia się Trembecki jako człowiek, który różnemi i to wcale skutecznemi środkami naciągał kogo mógł. Starą kobiétę straszył samobójstwem i śmiercią głodową, jeżeli mu nie da pieniędzy.

Oto list Bachmińskiéj do króla, z 28 września 1788 r.:

„Mój Najjaśniejszy Panie!

Cztery lat minęło nieszczęśliwéj mojéj przyjaźni dla p. Trembeckiego, która mnie tyle rozmaitego rodzaju kłopotów kosztowała. Wyjechał do Królewca, tam ciężko chorując tę mi dał wiadomość o interesach swoich: *Przyjaciółko, jestem bliski śmierci, uczyń mi ostatnią usługę. Winien jestem memu gospodarzowi 300 dukatów, i teraz widzącego mnie nad grobem ratuj mnie*, weź moje papiéry pisane i oddaj królowi, a proś, żeby ten dług zapłacił. Te zaś, co są przy mnie będą przez biskupa warmińskiego królowi odesłane, już je kazałem zapieczętować.

Pokazuje się, jak dawno długi zaczęte. I drugiéj podróży dopilnować nie mogłam, wyjechał do Gdańska, bez wiadomości mojéj; na kilka godzin przed swoim wyjazdem to do mnie mówił: „Ratuj mnie, przyjaciółko, bom bardzo nieszczęśliwy, od ludzi opuszczony, od fortuny prześladowany. Jutro będziesz tego żałować, żeś miała dla mnie tyle przyjaźni.“ Wyrwał się z rąk moich i wyszedł już do podróżnego pojazdu. Tę mi zostawił kartkę: „Przyjaciółko, źleś wybór swojéj przyjaźni zrobiła dla człowieka nieszczęśliwego, prześladowanego od fortuny, który za twoje przywiązanie smutkami cię codzień karmi, bądź zdrowa już na zawsze, póki Bóg przedłuży dni królewskich. Rozumiem, że mi tę pensyę zachowa, *a na resztę byle mi został pistolet nabity, to z nędzy nie umrę*.” Z rozpaczy śmierci żądałam, bez pomocy boskiéj i ludzkiéj znalazłam się na całéj ziemi, sto razy zapędziłam się do zamku, upaść do nóg W. K. Mci, sto może listów w tym sposobie napisałam, ale nie śmiałam do króla, dla którego mam serce pełne adoracyi, słabości i nieszczęścia, uczynić moim sędzią, nie oparłam się saméj sobie, jechałam do Gdańska. Zastałam go tak zamkiętego, że ludzi swoich widziéć nie chciał. Moje łzy, moje prośby nic na jego umyśle twardym nie zrobiły. Jak z letargu obudzony został, kiedy mu ktoś doniósł, że jest na niego porozumienie za książkę „Głos Polaka”, pisał, że W. K. Mość bardzo się o to gniewasz. Pisze do mnie: „Potrzeba mi było do kompletu mojego nieszczęścia, ażeby i takie supozycye w sercu królewskiém umieścić. Właśnie wtedy, kiedym pismo jedno na ręce Xcia prymasa posłał, bezimienne to pewna, alem rozumiał, że się domyśla, czyje to pismo.” Jako najlepszy Ojciec, który własne potrzeby oszczędza, tak W. K. M. żebyś nieszczęśliwych i tego prawdziwie marnotrawnego syna ratował, gdyż on w takim stanie powrócił z Gdańska obdarty, z długami tysiąca przeszło dukatów.”

List Bachmińskiéj kończy się prośbą o pokrycie długów Trembeckiego i o posadę dla niego w Radzie lub Komisyi.

Król wysłuchał prośby owéj Bachmińskiéj i jeszcze raz przyjął długi Trembeckiego w ilości 490 dukatów na swój rachunek.

Bachmińska jednak dziękując za to „miłosierdzie, które utrzymuje Trembeckiego przy życiu i szczęściu", przypomina królowi, że ulubieniec jego podał rejestr tych tylko długów, które się od podróży kijowskiéj zaczęły. A przed tą podróżą było długu czerw. złt. 1115, które ona przejęła i zapłaciła, oprócz długu p. Kalerego, któremu się należało 160 czerw. złt., prosi więc o wypłacenie wyłożonéj kwoty.

Na to odpisuje król—jak się domyślam — 4 października 1788 r.

„Pisała Bachmińska do mnie wczoraj i zabiła mi znowu ciężki klin w głowę. Oznajmia mi, że nad owe 490 dukatów, którem już przejął długów Trembeckiego, jeszcze zostaje 1275 dukatów... Jużci mi Bachmini żal, ale na honor upewniam, że nie moge teraz ani myśléć o tym nowym wydatku. Niech będzie cierpliwa.

Jak spłacę te pierwsze — 490 dukatów — wtedy pomówiemy o tych 1,275 dukatów. Tymczasem niech ten bilet, tu przyłączony, służy Jéj za respons.

St. August."

Zapokoiwszy z grubsza swoich wierzycieli, puszcza się dworak znowu na flukta łaski królewskiéj.

W liście z 11 marca 1788 r. wraca do poruszonéj przed rokiem myśli zostania posłem z ziemi Inflanckiéj. — Oto, jakie motywa podaje na uzasadnienie swéj prośby:

„Godzi mi się miéć nadzieję, iż w dwudziestym roku służby, i nigdy nieskażonéj wierności, nie raczysz W. K. Mć odmówić mi proszącemu o ziemskie p o s e l s t w o z I n f l a n t.

Mam przyczyny zdające mi się być słusznemi, dla których z tego, a nie innego miejsca, przez dobrotliwą względność W. K. Mci pragnąłbym być posłem.

Jestem teraz nazbyt ubogi do czynienia kosztów, które nieodbicie sejmiki za sobą ciągną.

Jestem z przyrodzenia, aż do nagannéj rozrzutności hojnym, świadkami całego wieku mego czyny, niedostatek powściąga moje wydatki, ale nie odmienia natury; jadąc gdzieindziéj na sejmiki, musiałbym się gorzéj niż dotąd zdłużyć, a tam według mego zwyczaju zapomniawszy o futrze, oddałbym ostatnią suknię szlachcicowi proszącemu o nią. Afektacya równości obywatelskiéj zniewoliłaby mię do nieskromnego z bracią używania napojów, a mnie się pić wcale nie godzi — ilekroć mi się kielich jeden więcéj nad szczupłą dostaje miarę, zaraz nie-

zawodnie, ów dawny we mnie odzywa się Trembecki, którego ja koniecznie zatrzéć pragnę, i nowym z gruntu uczynić się człowiekiem.

Duch W. K. Mci, który mię ożywia i na sejmie władać mną, jak zawsze, będzie, a przypadek zdarzyć może, iż W. K. Mć znajdziesz sobie we mnie instrument od wielu innych nie podlejszy, z którejkolwiek strony oglądać go zechcesz.

Upraszałem książęcia JMci Prymasa Michała Poniatowskiego, aby w téj mierze swoją interpozycyą wesprzéć mię raczył, który nietylko nie być przeciwnym chęci mojéj, ale dopomódz mi wstawieniem się za mną przed Majestat W. K. Mci przyobiecał.“

Do prośby téj dołącza dar w postaci książki księdza Lana, wynalazcy machin aerostatycznych, których wydoskonalenie zawdzięczamy Francuzom. Równocześnie wstawiał się za nim w téj sprawie książę podskarbi litewski, król jednak otwarcie powiedział, że w razie wakansu oddałby poselstwo ziemskie z Inflant jednemu z Badenich, Nieborowskiemu albo Starczewskiemu.

Na list zaś Trembeckiego odpisał król następujące słowa:

„Odpowiedziéć kazałem przez Ryxa, przez którego to przysłał, że miejsca nie zawakowane z Inflant.“

Pozbawiony nadziei zostania posłem, stara się dostać do Rady nieustającéj, malując znowu królowi swoje położenie w najjaskrawszych kolorach i nie bez ubocznych wyrzutów, że za długoletnie wierne usługi nie otrzymał odpowiedniego wynagrodzenia.

„Bardzo szanować zwykłem nieinteresowanych ludzi i sam takim być koniecznie chciałbym, ale nie wiem, czyli to nieinteresowanie należy mi aż do tego posunąć stopnia, ażebym tu kiedy od głodu umarł. Nie chcąc być ciężkim skarbowi W. K. Mci, pierwszy raz w tych latach postanowiłem sobie starać się o umieszczenie w Radzie nieustającéj, abym i wyżyć tu mógł, i W. K. Mci nieprzerwane czynić usługi. Tam ja z sobą woli mojéj nie przyniósłbym, ale znając W. K. Mć jako prawdziwego ojczyzny Ojca, najzbawienniejsze dla narodu mego zdania, do nich zawsze starałbym się stosować.

Jako najpokorniéj przy stopach W. K. Mci suplikuję o pomoc i protekcyą, która, ręczę, iż będzie wdzięcznością moją odpłacona.”

Nie mając nadziei otrzymania téj godności, prosi zgóry, aby mu król powiedział otwarcie, że miejsce to, o które się ma starać, już komu innemu przeznaczone. Po otrzymaniu odmownéj odpowiedzi, widzimy poetę dnia 22 czerwca 1789 r. na Litwie. Po ośmiu latach niebytności w tym kraju, zapamiętał go sobie z tego, że w dwunastomilowéj podróży ośm razy wywrócił się z powozem. Przyjechał do Wilna starać się o rektorstwo uniwersytetu tamtejszego. W korespondencyi

z królem donosi, że akademicy wileńscy, którzy mieli „prawo wybrania sobie rektorem kogo chcą”, pragnęli nadal mieć nim ks. Poczobutta. Obywatele zaś mieli im narzucić jakiegoś „plebana”.

Ta ostatnia wiadomość wielce mętna ma służyć Trembeckiemu za powód nowéj prośby, o wstawienie się za jego kandydaturą, na rektorstwo wileńskie. Pisze więc do króla:

Jesteś, Miłościwy Panie, nietylko wielkim protektorem, ale prawie twórcą nauk i umiejętności w państwach twoich; obacz W. K. M. czyli te *Monopolia*—Poczobutt był długoletnim rektorem — zachęcą do chwalebnéj emulacyi umysły poddanych W. K. Mci, czy je raczéj w bezczynność strącać będą.

Nie utraciemy przez to zacnego astronoma, choćby ten raz rektorem nie był, jest wiele innych złotych łańcuchów, które go przywiązują do miejsca.

Czy byłaby rzecz słuszna, mnie wzywanego od pierwszéj zacności obywatelów krzywdzić, zbyt wczesną dając mi exkluzyę i ustawy gwałcić; czynowi pamiętnemu pod panowaniem W. K. Mci przeszkadzać, i nie dopuszczać ku pożytkowi powszechnemu wszczęcia się, bez kosztu, biblioteki publicznéj, a to jedynie dlatego, aby już mającemu zbywające rzeczy, jeszcze więcéj zbywających Mu przydać!

Miłościwy Panie, mam honor od lat dwudziestu z nieskażoną nigdy wiernością i najżywszą gorliwością, być sługą W. K. Mci przez cały ten przeciąg czasu, względem W. K. Mci, nie popełniłem nigdy (jak teolodzy zowią) *peccatum omissionis*. Dni moje się kończą, jestem z dostatniego ubogi, może w ostatniéj umrę mizeryi, niechby mi przynajmniéj szlachetnego nie zazdroszczono nagrobku! o tę ostatnią zasług moich nagrodę suplikuję W. K. Mci, abyś powagą swoją teraz zachodzące spory rozstrzygnąć raczył, wszak nie moich szukam korzyści, ale publicznego pożytku z rozszerzenia sławy mądrego W. K. Mci panowania. Twoim to jest, Najjaśniejszy Panie, dziełem, jeżeli cóżkolwiek dobrego w życiu moim wykonać zdołam: jestem prawie wychowańcem W. K. Mci; na dworze W. K. Mci formowały się umysł i serce moje. Ale któryżby najlepszy muzykant zagrać potrafi, jeżeli mu wszystkie instrumenta odejmą?”

Widocznie zależało wiele Trembeckiemu na otrzymaniu tego miejsca, skoro kilkakrotnie dobijał się o to do łaski królewskiéj.

Przemawiał przeciw niemu przedewszystkiém brak kwalifikacyi, miał téż przeciwnika w osobie ks. podkanclerzego litewskiego. Nie zraża go to jednak i dnia 20 czerwca 1789 r. pisze znowu do króla w téj sprawie:

„Przygoda niosąca mi przykrość zdarzyła, iż od niektórych osób litewskich pierwszéj distinkcyi, rektorstwo wileńskie było mi proponowane, którego dłużéj bez przełamania ustaw JX. Poczobutt posiadać nie może. Lubo kocham spokojność, cichość i życie osobne, jednakowoż unikać takowéj przysługi nie zdało mi się rzeczą słuszną. Uczyniłem tedy do tego celu kroki, których przystojnie cofnąć nie mogę.

I tu znalazły się zawady, podkanclerzy litewski, dla którego ja tak wkorzeniony miałem szacunek, z przeszkodami przerznął mi drogę. Najprzód, zarzucając mi cudziemstwo, bo jestem Polak. Powtóre, ukazując list jakowyś podyktowany i wymożony od akademików, w którym proszą na daléj o JX. Poczobutta za rektora.

Na pierwszy zarzut rozumiem, iż byłoby dosyć, jeżeli od największéj części senatorów i ministrów litewskich ukażę moje zaświadczenie, iż moje cudzoziemstwo bynajmniéj ich obrażać nie będzie.

Na drugi (pominąwszy, że ten list jest pisany za rozkazem) możnaby replikować, iż sprawiedliwy minister żądającym przestępstwa prawa powinienby podobno odpowiedziéć *negativ.* Bardzobym ja nierad w żadnym punkcie walczyć z podkanclerzym litewskim, i ciężko zasmucony jestem, że Jego prawie jednego mam przeciwko mnie zdanie.

Przy stopach W. K. Mci jako najpokorniéj suplikuję, abyś Go od szkodzenia mi odwieść raczył.

Pod koniec składa przyrzeczenie, że „wszelkie z rektorstwa pożytki pieniężne, któreby mnie dostawać się miały, przez wszystek czas, w którym rektorem wileńskim byłbym, w całości ofiaruję na początkowe założenie w Wilnie Biblioteki publicznéj.“

W kilka dni późniéj wraca znowu do tego samego przedmiotu, podnosząc przytém siebie, a obniżając przeciwnika.

Jeżeli JX. Poczobutt, pod temiż samemi kondycyami na piśmie danemi rektorstwo przyjmie, schylam przed nim kapelusz i konkurentem Jego być przestaję; ale jeżeli się nad tym zastanowi, nie zdaje się rzeczą koniecznie potrzebną dla cudzéj chciwości obrażać słuszność. W tym przypadku zostawałoby mi o to przynajmniéj suplikować, aby według przepisów, w czasie nie skracanym umyślnie wolno było akademikom obrać, kogo się podoba i kogo się godzi.

Jak się zachowywał król wobec téj niczém nie uzasadnionéj kandydatury swego ulubieńca? Nie był zrazu przeciwny staraniom jego— tłómaczył mu, że podkanclerzy nie jest mu osobiście ani wrogiem, ani „sprawcą“ listu akademików za ks. Poczobuttem, ale nie polecał Trembeckiego uniwersytetowi.

Dowiedziawszy się bliższych szczegółów o stanie rzeczy od Chreptowicza i Potockiego, marszałka, odpisuje Trembeckiemu, że wcale nie stąd rzecz była nasadzona, ale że wszyscy profesorowie wileńscy, zszedłszy się i poprosiwszy Poczobutta, aby im pozwolił bez niego naradzić się, gdy wyszedł, umówili się, aby wspólnie wszyscy podali do komisyi edukacyjnéj, uwiadamiając, że się zrzekają prawa swego co do obierania na ten raz rektora, ale owszem proszą komisyi, aby im nominowała i na to trzecie *quadriennium* X. Poczobutta na rektora.

Profesorowie—dodaje król—akademią wileńską składający, mogliby sobie nawet cudzoziemca obrać za rektora. A zatém, Chreptowiczowi ani na myśl nie przyszło exkludować Trembeckiego, jako nie Litwina, albo nie Polaka, i wcale przeciw niemu żadnego nie czynił kroku.

Dowiedziawszy się o trudnościach i przeciwieństwach, nie zachęcał już szambelana do dalszych starań, w końcu zaś dał przez kasztelanową podlaską do zrozumienia, że od myśli téj musi odstąpić.

Trembecki jednak chciał dowiedzieć się o tém wprost od króla, prosił o jasną i stanowczą odpowiedź, i dał do zrozumienia królowi, że gotów zrobić huczek na sejmie z powodu téj sprawy. Na list ten odpowiada więc król Stanisław August dnia 21 czerwca 1789 r.:

„Zdawało mi się, żem dość jaśnie myśl moją wyraził. Kiedy jednak piszesz mi WPan wczoraj, że decyzyi mojéj jaśniejszéj żądasz, więc najwyraźniéj mówię, że żądam, abyś WPan nie czynił żadnych kroków do powzięcia hałasu dążących względem rektorstwa akademii wileńskiéj, i żebyś się osobiście rozmówił, o tém z JW. Panem podkanclerzym litewskim, i żebyś przestał na tém, co on W. Panu powié.“

Po otrzymaniu téj karty, pisze Trembecki po raz ostatni w sprawie rektorstwa, starając się usprawiedliwić swoje postępowanie, a właściwie obrzucając króla i jego ministra gradem wyrzutów.

Kilku przyjaciół moich i nieprzyjaciele podkanclerzego litewskiego (których każdy podobno minister miéć musi) obiecali mi pomoc i skuteczne wsparcie, a choćby się rzecz wytoczyła i przed sejmujących, ci nie mogliby nie aprobować mego zamysłu. Już tedy prawie pewna nadzieja wygranéj.

Wczora w późny wieczór, gdym już udał się do spoczynku, przyszła maleńka niepieczętowana kartka (najpokorniéj przepraszam, Miłościwy Panie, że tu ją przyłączam), w któréj kasztelanowa Podlaska pisze do mojéj sąsiadki, we dwóch interesach, niby równie wartych torby sieczki: względem kilku łokci muślinu i względem mojéj sprawy.

Ta kartka była mi pokazaną zaraz, ale jakąż we mnie zbudzić mogła sensacyę? Nie prędzéj piorun leci, jak ja zdecydowałem się po

poznaniu W. K. Mci być jéj posłusznym i wszystkiego zaraz odstąpić bez najmniejszéj rezerwy.

Bogdajbyś W. K. Mć mógł uczuć tę moją dla siebie ofiarę? bogdajbyś się mógł przekonać, aż do jakiego punktu w największych impetach, jedném skinieniem W. K. Mci rządzony jestem!

Przybędzie mi teraz niechętnych, i z tych, którzy mi się przeciwili, i ci, którzy mi swoją oświadczali pomoc, źle to znajdą, żem jéj nie przyjął.

A zaś od widzenia się i rozmowy z podkanclerzym litewskim suplikuję, abyś mię W. K. Mć dispensować raczył. Cóż on teraz mógłby mi powiedzieć? może obietnice, może nadzieje chciałby mi jakie czynić. tych ja nie potrzebuję, oszpeciłbym niemi powolność moją na rozkazy W. K. Mci, bez żadnéj a żadnéj kondycyi, a potém żal mam do niego podobno słuszny, i z gorącego jeszcze ciepły. Nic mu złego w życiu nie zrobiłem, distingowałem Jego wartość, brałem Go za ministra filozofa, ale widzę i Xiądz pleban człek; zepsuł mi akcyą sławną, dlatego żeby JX. Poczobutt miał większą kupkę pieniędzy, których nigdy użyć nie będzie umiał. Kalifa Omar spalil bibliotekę w Alexandryi; dla osłodzenia komparacyi muszę przyłączyć co jest mniéj wiadomo, że ś. Paweł ewangelista toż samo zrobił, pismo powiada, iż zebrawszy od pobożnéj prostoty wielkie sumy, nakupił za nie ksiąg, żeby je spalił. Trzeci, podkanclerzy litewski tak dobrze jak spalił teraz Bibliotekę publiczną w Wilnie. Mam nadzieję, że to zreparuje kiedyś, bo inaczéj reputacya Jego cierpiałaby w potomności.

Na list ten odpisuje król 25 czerwca na bilecie, aby zaniechał raz na zawsze starań o rektorstwo—dodając mu do zrozumienia, że nie uznaje owéj „ofiary” zrzeczenia szambelana, że sprawiedliwość jest po stronie podkanclerzego litewskiego, a po jego niesłuszność.

Ze wszystkich godności i urzędów, o jakie się ubiegał poeta, dostała mu się w udziale najnieprzyjemniejsza: Gdy konfederacya Targowicka ustanowiła cenzurę na pisma z druku wychodzące, powołano w skład jéj St. Trembeckiego, który w dwóch „Instrukcyach dla drukarzy i księgarni” wydanych, pod imieniem W. K. Mniszcha, z 1 lutego 1793 r. miał podobno czynny brać udział. Cenzura ta ograniczała niebywałemi dotychczas przepisami wolność słowa, a cenzorowie mieli obowiązek „rewidować” księgarnie, spisywać książki „podejrzane i szkodliwe”, i usuwać je z obiegu. Trembeckiemu przypadła w udziale cenzura sztuk teatralnych, tudzież pism polskich, sprowadzanych z zagranicy. Ale wykracza to już po za granice naszéj korespondencyi. Ostatni list Trembeckiego do króla, datowany 16 sierpnia 1789 r.,

zawiéra prośbę o pozwolenie wyjazdu poety w towarzystwie Bachmińskiéj—do Berlina.

„Bachmińska—pisze poeta—wyjeżdżająca po zdrowie, prosi mię, abym jéj w podróży trzymał kompanią, był życia jéj stróżem i poufałym przed lekarzami jéj dolegliwości tłómaczem, gdyż ona prócz ojczystego języka, innemi mówić nie przywykła.

Nie godzi się podobno, abym jéj prośbie odmówił, i jako chrześcianin, i jako kiedykolwiek obowiązany od niéj. Jeżeli za jéj drobne grzeczności dla mnie, bez żadnego mego interesu, jedynie przez wdzięczność, w obce mam jechać kraje, za któreż granice, za które morza, wywyższona wdzięczność chętnego mię nie powiedzie, gdy mi tak W. K. Mć rozkażesz?

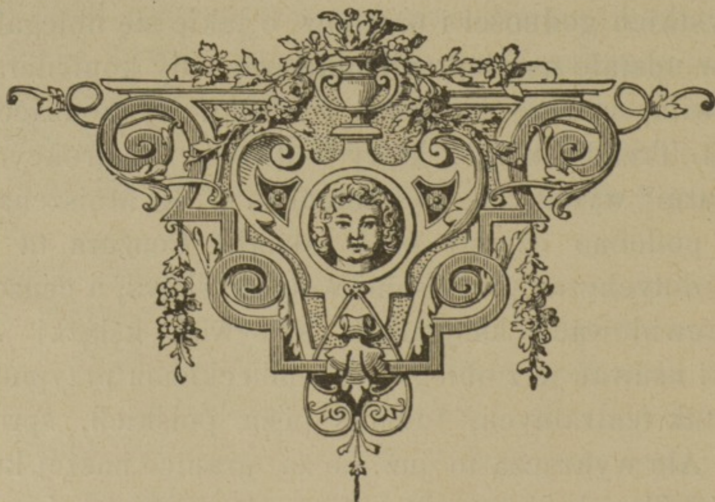
Teraz JP. Bachmińską nie daléj, jak do Berlina odprowadzićbym się podjął, byłbym bardzo fortunnym, gdybym i na tamtém miejscu jakie, choć z najmniejszych mógł uczynić W. K. Mci usługi."

Na list ten odpowiada król St. August 17 sierpnia 1789 r.:

„Wdzięczność i wzajemność afektu jednostajnie cenię. Więc wielce aprobuję WPanu zamysł towarzyszenia choréj Przyjaciółce, w podróży, któréj jest celem Jéj ozdrowienie, a któréj pomyślnego skutku z serca Wam życzę obu. Znajdziecie tam rezydenta mego, Zabłockiego, zawsze dla wszystkich rodaków usłużnego bardzo, a któremu Was jeszcze osobliwie polecę."

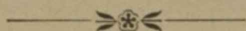
Na tém się kończy przechowana w bibliotece ks. Czartoryskich korespondencya St. Trembeckiego z królem St. Augustem.

H. Biegeleisen.



W ARKADYI.

(BALLADA).



Różowa Eos szafir nieb
Już w barwne zdobi tęcze,
I w szaty z wiotkich, sinych mgieł,
Przystraja się pajęcze...

W mirtowych gajach życie wre:
Ptaszęta i motyle,
Niby wiosennych kwiatów deszcz,
W słonecznym błyszczą pyle;

Ziół balsamiczna płynie woń,
Owady w słońcu brzęczą,
I cała ziemia w blasku zórz
Kąpie swą pierś młodzieńczą...

I nagle... głośny słychać gwar,
Ochocze płyną pieśni —
I zadziwiony milknie wiatr
I śpiewakowie leśni:

A z mroków, jak królewski dwór
Przepychem jaśniejąca,
Wybiega rzesza chłopiąt, dziew
W złotego fale słońca...

Za niemi, skroś gęstwinę krzów,
Skroś mirty i cyprysy.
Z perłowéj muszli ciągną wóz
Pokorne dwa tygrysy;

A w wozie dworu tego pan
Na świéżych wonnych kwiatach —
Sam Dyonizos, wina bóg
W bogatych spoczął szatach...

Za nim faunowie dążą w ślad,
Przy ustach dzierżąc fletnie —
I cały orszak płonie, lśni,
Barwami błyska świetnie...

Bóg skinął — w miejscu staje dwór,
Dryady tworzą koło,
Na wiatr rzuciły złoty włos
I śmieją się wesoło;

Różowych chłopiąt biegnie rój,
W zielone zdobnych bluszcze —
I miga złoto drogich czar
I śmiechem drgają puszcze...

Pląsają nimfy... Młody bóg
Pod mirtem w cieniu siada,
I płoni mu się ogniem żądz
Twarz od nadużyć blada;

W oczach niezdrowy błyska żar;
Rozchylił wargi wzdęte —
Ściga wejrzeniem mętnych ócz
Dziewiczych krąs ponętę...

A z po za gęstych puszczy drzew
Na dryad pląs figlarny,
Złoconą szerścią w blasku lśniąc,
Płochliwe patrzą sarny...

Wtém... drgnął nieznacznie wiotki liść;
Słychać czyjś krok nieśmiały;
Sarenki pierzchły, z trwogi drżąc,
I w gąszczy się schowały...

A na ścieżynie niby kwiat,
Niby zjawisko złudne,
Wykwitła nagle róża róż —
Dziewczątko, jak sen, cudne...

Stanęła cicho... patrzy w głąb'
Na tajemnicze grono,
Strzelistych piersi kryjąc biel
Zazdrosnych szat osłoną...

Bóg dojrzał dziewczę, skinął nań,
Więc zbliża się nieśmiało —
I wnet satyrów zmilkła pieśń,
Nimf grono pląs przerwało...

„Kto jesteś, piękna?..." „We wsi, tam
Za tym mirtowym gajem
Ja owce pasę; stado me
W dolinie nad ruczajem..."

„Gdzie idziesz?... Dziewczę schyli skroń,
Jak róża się zapłoni
I szepnie cicho: „Luby mój
Tam czeka mię w ustroni..."

„Twój luby?... Dziewczę!... Jakto — ty,
W tak świetne strojna wdzięki,
Pozwalasz, by cię brukać śmiał
Śmiertelnéj uścisk ręki?

O—rzuć tę miłość... Do twych stóp
— A nóżki masz tak ładne —
Ja — Dyonizos — wiosny bóg
Z rozkoszą sam upadnę...

Patrz!... Oto dwór mój, sługi me...
Pałace mam ze złota;
Klejnotów pereł — cały stos:
Pójdź, luba, w moje wrota!"

Zadrżało dziewczę... Myśli rój
Pod czołem jéj się tłoczy;
Rumieniec śnieżną oblał twarz,
Zabłysły czarne oczy,

I w duszy, w blasku wszystkich kras,
W młodości aureoli
Ujrzała tego, co miał być
Jéj towarzyszem doli...

Ujrzała go — więc pokus tłum
Od serca precz odpędza...
Lecz płochy demon szepce wciąż:
„Z nim nędza... nędza... nędza!..."

A tu, na łożu z wonnych róż,
Słuchając cudnych pieśni,
Niby rozkoszny, złudny sen,
Całe swe życie prześni...

Nęci ją złota świetny blask,
Woń kwiecia, dwór wspaniały,
I nawet... nawet — wstyd mi rzec —
Pijanych uciech szały...

Więc... dała bogu śnieżną dłoń
Na znak milczącéj zgody —
A tam, w ustroni, czekał wciąż
I tęsknił pasterz młody...

A gdy go straszna doszła wieść,
Z żalu mu pękło serce —
I poszedł, biedak w zimny grób —
O płochéj śnić pasterce..

A dziewczę?... Zwykły życia tryb:
W zatrutéj atmosferze
Straciła swój naiwny czar
I barwy swoje świeże;

Śród grona nimf rozpustny pląs
Dziś wiedzie już bez sromu,
I na kosmatą fauna pierś
Upada pokryjomu...

. . . .

O — jakże trudno znaléźć tu
Na biednym naszym świecie
Śród tylu pysznych wiosny róż —
Nie robaczywe kwiecię!...

Warszawa, d. 28/VIII 1897 r.

Leon Rygier.



SYSTEM
EKONOMII MATEMATYCZNÉJ.[1]

Gdy jakaś reforma naukowa staje się potrzebną i pożyteczną, zarysowuje się zwykle w kilku krajach jednocześnie. Prawda ta, często powtarzana, stwierdza się obecnie w ekonomii politycznéj. Wszystko, co powiedziéć było można w téj gałęzi wiedzy, opiérając się na zwykłéj dedukcyi, już powiedzianém zostało: dla każdéj kwestyi ważniejszéj postawiono dziesiątki hipotez i doktryn, często sprzecznych. Obecnie czuć się daje jakby pewne znużenie tą pracą dość bezowocną i, obok badań indukcyjnych, które postępują swoją drogą, dedukcya

[1]) Cournot: „Recherches sur les principes mathématiques de la théorie des richesses", 1838; Gossen: „Entwickelung der Gesetze des mennschlichen Verkehrs"; Braunschweig, 1854; Jevons: „The Theory of political Economy", London, 1871 L. Walras: „Eléments d'Economie politique pure", 3 ed., Lausanne, 1896; F. Y. Edgeworth: „Mathematical Psychics", London, 1882; Irwing Fisher: „Mathematical investigations in the theory of value and prices", 1892. Transactions of the Conn. Acad.; Auspitz und Lieben: „Untersuchungen über die Theorie des Preises", Leipzig, 1887; J. Lehr: „Grundbegrieffe und Grundlagen der Volkswirthschaftslehre", Leipzig, 1893; Marshall: „Principles of economics"; Wickstead: „Alphabet of Economic Science"; L. Winiarski: „La méthode mathématique dans la Sociologie et dans l'Economie politique", Paris, 1894; Tenże: „Deux théories d'equilibre économique" (Revue Internationale de Sociologie), Paris, 1896; Tenże: „Etude critique sur le III vol. du „Capital" (Revue d'Economie politique), 1897.

zaczyna przybiérać charakter bardziéj ścisły, matematyczny. W artykule niniejszym przedstawimy krytycznie rezultaty osiągnięte dotychczas w téj nowéj dziedzinie, opiérając się na przykładach arytmetycznych, ogólnie zrozumiałych. Udowodnień ścisłych szukać należy w dziełach specyalnych, które w odnośnikach wskazywać będziemy.

I. Użyteczność.

„Użyteczność" pojmowana jest przez nową ekonomię w sposób zupełnie podmiotowy. Dlatego niektórzy autorowie chcieliby na jéj miejsce wprowadzić do nauki wyraz *ophélimité* = żądzy [1]) (od greckiego *ophélimos* = pożądany). Użytecznemi są przedmioty, które pomyślnie wpływają na rozwój jednostki, narodu lub rasy, gdy przedmiotem żądzy lub potrzeby mogą być rzeczy nietylko nie użyteczne, ale i owszem szkodliwe. Tak alkohol jest pożądany dla pijaka, ale bynajmniéj nie użyteczny. Różnicę tę bardziéj jeszcze uwydatni kilka przykładów. Złoto jest przedmiotem pożądanym — to fakt! — ale nie wiemy, czy pożytecznym dla ludzkości, a dla pewnych jéj odłamów np. dla Indyan amerykańskich był szkodliwy, wzbudziwszy chciwość Hiszpanów. Brylant jest pożądany, ale bardzo trudno powiedziéć, czy użyteczny. Lekarstwa nie są pożądane dla dziecka, a jednak mogą mu być nader pożyteczne, podobnież nauka czytania. Wogóle mówiąc, żądza, potrzeba są faktami bezpośredniemi, danemi każdemu przez doświadczenie, natomiast użyteczność jest pojęciem nader złożonėm i nieokreślonėm. Wszak istnieją ludzie, jak Tołstoj, którzy zaprzeczają użyteczności kolei żelaznych, nauki i wogóle cywilizacyi? Należy przyznać, iż dotychczas nie posiadamy żadnych sposobów ścisłych rozstrzygnięcia téj kwestyi i ze sfery ogólników wyjść nie możemy. Inaczéj mówiąc, nie nastała jeszcze pora badania naukowego użyteczności. Natomiast badanie to jest zupełnie możliwe względem potrzeb i żądz, jako faktów doświadczenia bezpośredniego. Ekonomia matematyczna zajmuje się głównie, prawie wyłącznie nawet, niemi. I dlatego, gdy w danym wykładzie używać będziemy—w braku innego—wyrazu „użyteczność", to w znaczeniu czysto podmiotowém: termin „użyteczny" jest równoznaczny z „pożądanym".

Potrzeby ludzkie są nieskończenie rozmaite, można jednak klasyfikować je, jako materyalne, moralne, estetyczne, umysłowe i t. d. Potrzeby te rozwijają się stopniowo, w porządku, który Banfield starał się

[1]) Pareto: „Cours d'économie politique", 2 vol., Paris, 1896.

ująć prawem następującém: „zaspokojenie każdéj żądzy niższéj wywołuje żądzę charakteru wyższego.“ Gdy potrzeby najprostsze są zaspokojone, zjawiają się potrzeby pewnéj elegancyi w odzieży, mieszkaniu, pokarmie i t. d., następnie potrzeby pewnéj godności moralnéj, nareszcie potrzeby estetyczne i umysłowe, które wydają się nienasyconemi i mogą się rozwijać bez końca. Porządek ten może zresztą być znacznie zmieniony — ustalenie jego praw należy do psychologii, która jeszcze dokładnie ich nie określiła — ale jakikolwiek on jest, musi potężnie wpływać na rozwój gospodarstwa narodowego. Zapotrzebowanie towarów i ich produkcya zależą oczywiście od porządku, w jakim potrzeby się rozwijają. Popyt na wytwory wyszukane — od łatwości, z jaką potrzeby pierwotniejsze mogą być zaspokojone. W téj żądzy względnéj różnych przedmiotów, które chcemy nabyć, zawiera się—jak to daléj zobaczymy—istotna podstawa teoryi wartości.

Potrzeby i żądze mogą jednak być nietylko klasyfikowane, ale także mierzone. Potrzeby zaspokojone są źródłem przyjemności, niezaspokojone — przykrości. Gdy przyjemność i przykrość następują po sobie bezpośrednio u téj saméj osoby, neutralizują jedna drugą. Dodać przyjemności, znaczy zmniejszyć przykrość i odwrotnie. Możemy je traktować, jako wielkości dodatnie i ujemne. Gdy dana osoba przechodzi przez szereg przyjemności i przykrości, można dodać do siebie jednorodne i odjąć mniejszą sumę od większéj. Czyny człowieka skierowane są zwykle w stronę, gdzie suma przyjemności przewyższa sumę przykrości. Umysł ludzki nieświadomie dokonywa wciąż tego rachunku; jego rezultatem są czyny. Każda przyjemność i każda przykrość może trwać krócéj lub dłużéj i może być mniéj lub więcéj natężoną. Wrażenia te mają więc dwa wymiary: czas i natężenie. Z pomiędzy dwu wrażeń jednakowéj trwałości, to jest większe, które jest bardziéj natężone. I odwrotnie: dwa dni tych samych i jednakowo natężonych wrażeń sprawiają dwa razy więcéj przyjemności lub cierpień, niż jeden dzień. Zwykle jednak natężenie wrażeń, zmniejsza się z biegiem czasu, jak nas o tém doświadczenie bezpośrednie przekonywa. By utrzymać natężenie wrażenia wciąż na tym samym poziomie, trzeba, by siła pobudki wciąż wzrastała. Fechner ujął odpowiednie zjawiska w następujące prawo: pobudka musi wzrastać w postępie geometrycznym (1, 2, 4, 8, 16...), by wrażenie wzrastało w postępie arytmetycznym (1, 2, 4, 6, 8...). A to dlatego—jak to Delboeuf wykazał — iż każda pobudka wywołuje skutek podwójny: jest źródłem nietylko wrażenia, ale jednocześnie i wyczerpania, i to ostatnie zmniejsza wciąż poprzednie. Każda następna pobudka działa przeto na osobę o zmniejszonéj wrażliwości i dlatego musi pobudka wzrastać, jeżeli ma utrzymać wrażenie na tym

samym stopniu, a musi wzrastać daleko silniéj od niego, jeżeli i ono ma rosnąć w natężenie. Oto dlaczego natężenie naszych wrażeń wyczerpuje się z biegiem czasu, oto dlaczego wzrost majątku nie sprawia proporcyonalnego wzrostu przyjemności.

Praktyka codzienna pokazuje nam powszechność tego prawa. Natężenie potrzeb zmniejsza się w miarę tego, jak je zaspakajamy. W ten sposób dochodzimy nieznacznie do sytości. Człowiek głodny może zjeść jedną, drugą, trzecią bułkę: natężenie jego głodu wciąż opada i nareszcie staje się zerem, gdy jest syty. Możemy słuchać w ciągu godziny, dwóch—koncertu, jesteśmy jednak znużeni i mamy dość tego, gdy koncert nazbyt się przedłuża. Weźmy człowieka, który ma pragnienie i zaspakaja je szklanką wody, zawierającą 20 łyków. Gdybyśmy chcieli pozbawić go ostatniego (20-go) łyka, aniby się spostrzegł, również—względem przedostatniego (19-go), ale brak 16-go i wszystkich poprzedzających będzie mu już dotkliwym. Nazwijmy każdy łyk przyrostem; możemy powiedzieć, iż każdy przyrost odpowiada natężeniu żądzy mniejszemu, niż przyrost poprzedzający. Wogóle natężenie potrzeby względem jakiéjkolwiekbądź rzeczy zależy od ilości téj rzeczy już spożytéj przez daną osobę. Prawo to pozostaje niezmienném, jeżeli rozpatrywać będziemy części chociażby najmniejsze, np. jeżeli podzielimy powyższą szklankę wody nie na 20 części, lecz na 100, tysiąc lub więcéj: każda dalsza cząstka przedstawia natężenie potrzeby słabsze, niż poprzedzająca. Toż samo się dzieje nawet gdy cząstki są nieskończenie małe. Teoretycznie mówiąc, człowiek ma każdéj chwili tylko świadomość potrzeby względem cząstki nieskończenie małéj danego przedmiotu: tak, pijąc szklankę wody, mamy każdéj chwili świadomość jednéj tylko kropli, która najjaśniéj przedstawia się naszemu smakowi, reszta odczuwa się mniéj więcéj mglisto. Tak samo fizyka nas uczy, iż, spoglądając na rzecz, widzimy wyraźnie każdéj chwili tylko j e d e n j é j p u n k t.

Natężenie potrzeby względem cząstki nadzwyczaj małéj danego przedmiotu, gdy już pewną część jego spożyliśmy, nazywa się jego u ż y t e c z n o ś c i ą e l e m e n t a r n ą (Jevons nazywa ją *final degree of utylity*, Marschall—*marginal utylity*, Walras—*rareté*, Gossen—*Werth des letzten Atoms*, inni autorowie niemieccy—*Grenznutzen).*

Dodając użyteczność elementarną pierwszéj cząstki spożytéj, do drugiéj, do trzeciéj i t. d. aż do ostatniéj, otrzymujemy użyteczność całkowitą danego przedmiotu dla spożywcy. Ta ostatnia pozostaje dlań jednak zawsze mniéj więcéj nieznaną, gdyż nigdy nie zaspakaja on swych potrzeb w całéj ich rozciągłości, lecz zawsze tylko w pew-

nych granicach. Są inne jeszcze powody, dla których nie możemy znać użyteczności całkowitéj przedmiotu: wyłożymy je w dalszym ciągu.

II. Metoda.

Ekonomia polityczna może być rozpatrywana jako nauka matematyczna dlatego, że ma do czynienia z ilościami. Stosunki zjawisk ekonomicznych są z natury rzeczy ilościowe: tak stosunek między popytem, podażą, a ceną towaru. Można wprawdzie pisać i rozprawiać o tych zjawiskach zwykłym językiem. Niestety, gramatyka i słownik nie wystarczają dla wyrażenia stosunków tak złożonych, z jakiemi mamy do czynienia w zjawiskach ekonomicznych. Tymczasem matematyka jest logiką zmechanizowaną, ona uwalnia nasz umysł od wysiłków często niepotrzebnych, a zawsze nużących i nie wystarczających.

Przesąd istniejący przeciw użyciu matematyki w naukach moralnych pochodzi między innemi i z tego źródła, że ludzie mieszają zwykle nauki matematyczne z naukami ścisłemi. Powszechnie przyjęte jest zdanie, iż można liczyć tylko dane ścisłe, by otrzymać rezultat ścisły. Jestto jednak sąd całkiem nieuzasadniony. Można obliczać stosunki ilości zupełnie nieokreślonych—np. stad, nie wdając się w to z ilu sztuk bydła każde z nich się składa—zupełnie tak samo, jak obliczamy stosunki ilości ściśle określonych. Większy lub mniejszy stopień ścisłości zdobywany w naukach matematycznych jest rzeczą drugorzędną i nie zmienia natury tych nauk.

Otóż nie ulega najmniejszéj wątpliwości, iż użyteczność i szkodliwość, przyjemność i przykrość mogą być traktowane w sposób ilościowy. Można nawet powiedzieć, że wszystkie operacye handlu i przemysłu polegają na porównywaniu ilościowém korzyści lub strat. Wprawdzie niektórzy zarzucają, iż nie posiadamy tu pierwszéj zasady wszelkich obliczeń, jednostki wymiaru, iż nie możemy bezpośrednio mierzyć uczuć. To jednak bynajmniéj nie stanowi przeszkody dla rozwoju nauki: i siły ciężkości saméj w sobie mierzyć także nie możemy, lecz tylko według jéj skutków, według ruchów wahadła. Tak samo trzeba mierzyć siłę uczuć według postanowień umysłu. Wola jest naszém wahadłem i najmniejsze jego poruszenia są skrupulatnie zaznaczane w cenach towarów. Jednostka wymiaru staje się więc zbyteczną, gdyż możemy porównywać ilości bezpośrednio. Umysł ludzki jest wagą, która mierzy i porównywa uczucia. Z pomiędzy dwu uczuć to jest silniejsze, które wywołuje czyn i dlatego nauka wnioskuje według czynów o sile uczuć. Nie ma przyjemności, ani przykrości obiektywnych.

Są one zawsze tylko tém, za co je dana jednostka uważa. Nie trzeba jednak sądzić, by przyjemności lub przykrości mniéj więcéj grube mogły być rozpatrywane, jako pobudki dostateczne dla wytłómaczenia wszystkich czynów ludzkich. Jeżeli teorya utylitarna znajduje jedyne kryteryum dobra i zła w ilościach szczęścia, przyjemności, których one dostarczają, pojmuje takowe w znaczeniu najobszerniejszém. Człowiek ma potrzeby i przyjemności nietylko fizyczne, ale także moralne, estetyczne i umysłowe. Pobudka charakteru podniosłego może przeciwważyć w nim cały szereg potrzeb niższego porządku. Uczucia rodzinne lub przyjazne mogą kazać mu wyrzec się zadowolenia pewnych potrzeb materyalnych. Uczucia patryotyczne mogą pokonać w nim uczucia rodzinne. Otóż ekonomia polityczna zajmuje się tylko tym szeregiem przyjemności i przykrości, które posiadają charakter czysto samolubny. Rachunek ekonomiczny pokazuje, w jaki sposób jednostki, grupy jednostek i społeczeństwa mogą dopiąć *maximum* dobrobytu w zaspokojeniu tych potrzeb codziennych.

Rozwój każdéj nauki przechodzi zwykle przez trzy fazy, które prof. Pareto opisuje w sposób następujący. Wyobraźmy sobie kilka zjawisk *A*, *B*, *C*, *D*... Nasza wiedza o ich zależności wzajemnéj rozpoczyna się tak: 1) konstatujemy, iż pewna zależność istnieje, a mianowicie, że obecność zjawiska *A* lub zmiany w niém zachodzące, wpływają na *B*, *C*, *D*... albo też, że obecność *B* wpływa na *A*, *C*, *D*... i t. d. Nie wiemy wszakże nic jeszcze o charakterze tego związku. 2) Następnie zdobywamy pojęcie o charakterze zależności, jaka istnieje pomiędzy *A*, *B*. *C*... możemy np. wiedziéć, że gdy *A* rośnie, *B* i *C* zmniejszają się i t. d. Jedném słowem, możemy znać sens zmian zachodzących w *B*, *C*, *D*... za każdą zmianą, która zachodzi w *A*. 3) Nareszcie, możemy znać nietylko sens tych zmian, ale także obliczać ściśle ich wielkość. Doszedłszy do tego punktu, nasza wiedza o systemie zjawisk *A*, *B*, *C*, *D*... jest zupełną i doskonałą. Faza 1) jest czysto jakościowa, faza 2) jest już ilościowa, matematyczna, ale jeszcze nie ścisła i dopiéro faza 3) jest ścisłą. Astronomia doszła już, dla ruchu systemu słonecznego, do fazy 3-éj. Mechanika kontentuje się jednak w badaniu systemów materyalnych fazą 2-gą, nie posiada bowiem dostatecznéj masy danych ilościowych. Nauki społeczne znajdują się jeszcze dotychczas w fazie pierwszéj, tylko ekonomia polityczna zaczyna wchodzić w fazę drugą: spostrzega już ona zależność ilościową odnośnych zjawisk i rozumuje o nich w sposób matematyczny. Z tego jednak nie wypada, by mogła już dokładnie obliczać wielkość i natężenie sił działających, gdyż to wprowadziłoby ją do fazy trzeciéj. Może więc ona być nauką matematyczną, ale jeszcze nie ścisłą. Jeżeli je-

dnak ten stan ostatni jest ideałem poznania, to faza poprzednia, druga, bardziéj nas do niego zbliża, niż pierwsza. Z tego właśnie punktu powinna być sądzona doniosłość ekonomii matematycznéj. Przypuśćmy, iż mamy do rozstrzygnięcia zadanie tego rodzaju: określić dwie liczby na zasadzie warunków następujących: a) suma ich powinna być równa 10 i b) różnica powinna się równać 4. Nazwijmy liczby szukane x i y. Możemy zbudować dwa równania $x + y = 10$ i $x - y = 4$. Te dwa równania wystarczają do określenia obydwu niewiadomych: $x = 7$, zaś $y = 3$.

Natomiast zadanie to byłoby nie do rozwiązania w wypadkach następujących: 1) gdyby chciano określić obiedwie liczby na zasadzie jednego tylko warunku, iż suma ich powinna się równać 10; warunkowi temu czyni bowiem zadość nieskończenie wielka masa liczb; 2) gdyby oprócz dwu warunków powyższych postawiono trzeci jeszcze np. jedna z liczb szukanych powinna być dwa razy większa od drugiéj, niema bowiem liczb, któreby czyniły zadość tym trzem warunkom, wziętym razèm.

Jestto wogóle zasada elementarna, iż dla rozwiązania zadania trzeba, by suma warunków danych była równą ilości niewiadomych: nie powinno ich być ani mniéj ani więcéj. Ekonomia polityczna ogólna składa się właśnie z szeregu tego rodzaju zadań. Niewiadomemi tych zadań są ceny: towarów, środków wytwarzania i kapitałów. Otóż ekonomia matematyczna, stara się określić warunki powstawania tych cen. Studyum to dzieli się na trzy części: 1) na teoryę wymiany, która wskazuje warunki niezbędne do określenia cen towarów i środków spożycia, 2) na teoryę produkcyi, która wskazuje warunki niezbędne do określenia cen środków wytwarzania i usług wytwórczych i 3) na teoryę kapitalizacyi, która wskazuje warunki niezbędne do określenia cen kapitałów. W każdym z tych działów należy policzyć z jednéj strony ilość warunków danych, z drugiéj ilość niewiadomych: jeżeli dwie te ilości są równe, zadanie może być rozstrzygnięte. Jak w powyższym przykładzie, możemy w takim razie zbudować ilość równań takąż samą, jak liczba niewiadomych i w rezultacie określić wszystkie niewiadome. W ten właśnie sposób postępuje ekonomia matematyczna i dochodzi do rezultatów nadzwyczaj ważnych. W dalszym ciągu poznamy bliżéj, z przykładów, na czém postępowanie to polega.

III. Teorya wymiany.

Wystawmy sobie studenta, który posiada 100 fr. miesięcznie, co powinno mu starczyć na mieszkanie, pokarm, odzież i książki. Znaj-

duje się poraz pierwszy w mieście, którego warunków i cen jeszcze dokładnie nie zna. Wynajmuje pokój za 30 fr., wydaje na książki 20, kupuje laskę za 10 fr.; na pokarm zostaje mu więc tylko 40 fr. W ciągu miesiąca głód mu będzie potrosze dokuczać i postara się on oczywiście w miesiącu następnym inaczéj ułożyć stosunki pomiędzy swemi potrzebami i środkami. Pokój wyda mu się nazbyt „paradnym", wynajmie inny za 20 fr., na odnowienie jakiéjś części odzieży wyda już nie 10 fr. lecz tylko 5, i piętnaście franków w ten sposób zaoszczędzonych dołoży do wydatków na pokarm, które wynosić będą 55 fr. Ale nasz student jest człowiekiem żądnym nauki i przekonywa się, iż wydając tylko 20 fr. na książki, nie zaspakaja w sposób dostateczny swych potrzeb umysłowych i że to mu bardziéj dolega, niż skromność obiadu. Odejmie więc pięć franków z 55-u i dołoży je do wydatków na potrzeby umysłowe, które wynosić będą 25 fr. Nasz uczony manewrować będzie w ten sposób aż do chwili, gdy wszystkie jego potrzeby będą zaspokojone w równym stopniu, t. j. gdy nastąpi równowaga stała pomiędzy jego potrzebami a wydatkami. Równowaga tu dopiętą zostanie wówczas, gdy stosunek pomiędzy przyjemnością doznawaną z zaspokojenia któréjkolwiek potrzeby, a odpowiednim wydatkiem, będzie równy stosunkowi pomiędzy każdą inną potrzebą, a jej wydatkiem. Tego rodzaju budżetów „doskonałych" można ułożyć kilka. Zauważmy, iż chodzi tu nie o przyjemność całkowitą, płynącą z zaspokojenia każdéj potrzeby, lecz tylko o przyjemność („użyteczność") elementarną, czyli o natężenie ostatniéj potrzeby zaspokojonéj. Prawdę powiedziawszy, nie znamy nigdy przyjemności całkowitéj, jakiéj przedmiot może nam dostarczyć nie tylko w chwili obecnéj, ale wogóle, t. j. w teraźniejszości, w przeszłości i w przyszłości. Jaką jest użyteczność całkowita, którą teatr może wogóle przedstawiać dla mnie — tego nie wiem. Nie przypominam sobie nawet, ile razy byłem tam w roku bieżącym, a od tego zależy, że tak powiem, przyjemność chwilowa i konkretna, którą teatr obecnie dostarczyć mi może. A jednak mam pewną świadomość, mniéj więcéj jasną, o natężeniu ostatnio zaspokojonéj potrzeby względem teatru, w porównaniu z natężeniem każdéj innéj z mych potrzeb, i postaram się zastosować do tych natężeń obecnych me wydatki, nie troszcząc się ani o ich stan przeszły, ani o przyszły—od których także zależy użyteczność całkowita. Znamy więc tylko natężenia potrzeb ostatnio zaspokojonych, czyli użyteczności elementarne („rzadkości" jak je Walras nazywa) i możemy przedstawić budżet naszego studenta w sposób następujący:

$$\frac{\text{Uż. elem. pokarmu}}{50} = \frac{\text{Uż. el. pokoju}}{20} = \frac{\text{Uż. el. książek}}{25} = \frac{\text{Uż. el. odzieży}}{5}$$

Ten budżet „doskonały" może zresztą być kombinowany w sposób najrozmaitszy [1]). Wykonawszy działania zawarte w téj formule otrzymujemy, iż użyteczności elementarne różnych potrzeb, o ile mogą być zaspokojone za jednego franka każda, powinny być równe pomiędzy sobą. Inaczéj mówiąc, gdy człowiek wydaje pewną sumę pieniędzy na zaspokojenie kilku potrzeb, stara się, by każdy ostatni frank (lub każdy grosz), w jakikolwiek sposób użyty, dostarczył mu też samą użyteczność, lub przyjemność (elementarną). Jeżeli cel ten dopięty nie został, pieniądze nie były wydane w sposób najdogodniejszy dla jednostki, zmieniać ona będzie odpowiednio owe wydatki i dopiéro wówczas, gdy ustanowiona zostanie proporcyonalność doskonała między użytecznościami elementarnemi potrzeb a wydatkami, jednostka otrzymuje *maximum* korzyści lub przyjemności, jakie tylko wogóle zdobyć może.

Nie trzeba zapominać, iż powyższa formuła stosuje się do każdego z wymieniających z osobna budżetów i że ceny w niéj zawarte, są zupełnie dowolne. Należy więc przypuścić, iż student, o którym mowa, nie zrealizował wszystkich „doskonałych" budżetów, lecz tylko układał je sobie, jako możliwe, przed przyjazdem do miasta dlań nowego— np. znajdując się w wagonie—ale jest gotów do zrealizowania jednego z nich, według okoliczności.

Można przyjąć, iż każdy członek społeczeństwa posiada mnóstwo takich budżetów możliwych, przedstawiających najlepszy sposób zaspakajania potrzeb; inaczéj mówiąc, każdy z pomiędzy tych budżetów dostarczyć może *maximum* użyteczności.

Zauważmy nareszcie, iż każdy członek społeczeństwa jest wytwórcą pewnego przedmiotu, który ofiaruje, inni natomiast go żądają i na odwrót. W jego formułę (w jego budżet) wchodzą nie tylko przedmioty, których potrzebuje i ich ceny (dowolne), ale także przedmioty sprzedawane przezeń i ich ceny. Ustępując jakiś przedmiot, sprawiamy sobie przykrość, która musi być wynagrodzona odpowiednią zapłatą, tak samo, jak nabywając rzecz, sprawiamy sobie przyjemność, która musi być zrównoważona przykrością płacenia. Prawo zostaje więc ogólném, czy chodzi o rzeczy nabywane, czy też o sprzedawane: w obudwu wypadkach *maximum* użyteczności osiągnięte zostanie tylko wów-

---

[1]) Np. nasz student mógłby zdobyć *maximum* użyteczności, układając sobie jeszcze następujący budżet: 7 fr. (kapelusz) + 20 (pokój) + 13 (śniadanie) + 30 (obiad) + 10 (książki) + 20 (teatr) = 100 fr. Może on ułożyć sobie takich „doskonałych" budżetów kilka np. siedem. Natomiast istnieje sto takich, które nie są dlań odpowiednie.

czas, gdy istnieje proporcyonalność pomiędzy użytecznością elementarną każdego przedmiotu—nabytego, czy też sprzedanego—a jego ceną.

Dotychczas mieliśmy do czynienia tylko z cenami dowolnemi, zobaczmy teraz, jak można przejść od tych cen wyobrażalnych do rzeczywistych, do tych co ustanowione zostają na rynku i tam panują.

Wzięliśmy powyżéj spożywcę, mającego pewną sumę pieniędzy do rozporządzenia: chcąc zdobyć *maximum* użyteczności, układa on sobie budżet, w którym wydatki zastosowane są do napięcia potrzeb. Może on budżet ten ułożyć w sposób nader rozmaity, zmieniając ilości przedmiotów nabywanych, ich użyteczności elementarne i odpowiednie wydatki, pod warunkiem, iż każdy z tych budżetów dostarczy mu *maximum* użyteczności. Jeżeli jestto człowiek, mający sto franków miesięcznego dochodu, może wybrać dla kupna kapelusza cenę wahającą się naprzykład pomiędzy 4 a 10 frankami (4—5—6—7—8—9—10). Przy każdéj z tych cen będzie musiał zmniejszać lub zwiększać napięcia innych swych potrzeb i wydatki konieczne dla ich zaspokojenia. Może więc ułożyć sobie siedem budżetów maksymalnéj użyteczności, pod warunkiem iż w każdym z nich suma wydatków równa będzie ilości pieniędzy, którą rozporządza.

Przedstawmy sobie następnie innego spożywcę, który posiada 150 fr. dochodu miesięcznego. Dla niego wydatek możliwy na kupno tegoż samego kapelusza wahać się będzie w granicach trochę wyższych, gdyż jest zamożniejszy, np. pomiędzy 5 i 12 frankami (5—6—7—8—9—10—11—12). Ten więc posiada ośm budżetów możliwych. Dla trzeciego nareszcie spożywcy, mającego tylko 80 fr. dochodu, ten sam wydatek wahać się będzie pomiędzy 3 i 8 frankami (3—4—5—6—7—8) a zatém posiada on sześć budżetów możliwych. Zróbmy przypuszczenie hypotetyczne, iż na rynku istnieją tylko ci trzéj nabywcy i abstrahujmy zupełnie warunki podaży.

Obecnie należy wybrać pośród całości tych budżetów możliwych te mianowicie, w których wydatki czynione dla zaspokojenia téj saméj potrzeby, są też same u wszystkich trzech. Ta tożsamość ma miejsce w danym razie tylko na trzech cenach (6 fr., 7 fr. i 8 fr.), które wszyscy trzéj gotowi są płacić za ten sam kapelusz. Ale żaden towar nie może miéć na danym rynku trzech cen rozmaitych. By wiedziéć, która z tych cen będzie ostateczną, należy porównać inne pozycye różnych budżetów naszych trzech spożywców i szukać, czy niema takiego, w którym wydatki dla zaspokojenia wszystkich ich potrzeb są też same, inaczéj mówiąc, czy nie mają jednego budżetu wspólnego. Porównywając naprzykład notesy, w których oni zapisywali sobie możliwe swe budżety, znajdujemy, iż przy cenie sześciu franków za kapelusz

byliby gotowi płacić (odpowiednio do rozmiarów ich dochodów) za ten sam pokój: pierwszy 22 fr., drugi 23, trzeci—21. Zaś przy cenie ośmiu franków za kapelusz, pierwszy byłby gotów płacić za ten sam pokój 18 fr., drugi 19, trzeci—17. Przypuśćmy nareszcie, że przy cenie 7 fr. za kapelusz, znaleźlibyśmy w notesach naszych trzech spożywców, iż byliby gotowi płacić za tenże pokój po 20 fr. i żeby nie przedłużać téj ilustracyi przypuśćmy, że w tym punkcie ma miejsce tożsamość wszystkich innych ich wydatków. Inaczéj mówiąc, istnieje jeden wspólny dla wszystkich trzech budżet, np. następujący:

Pierwszy chce wydawać: 7 fr. (na kapelusz) + 20 (pokój) + 13 (śniadanie) + 30 (obiad) + 10 (książki) + 20 (teatr) = 100 fr. Trzeci ma ten sam budżet, tylko teatr jest dlan niedostępny: 7 + 20 + 13 + 30 + 10 = 80 fr. Nareszcie drugi, mając też same wydatki, co i pierwszy, kupi pewnych przedmiotów ilość dwa razy większą np. 7 + 20 + 13 + 2.30 + 10 + 2.20 = 150.

Wówczas te trzy budżety zrealizują się na rynku i ceny w nich zawarte z dowolnych, wyobrażalnych staną się rzeczywistemi, rynkowemi (jeżeli nb. rynek złożony jest tylko z tych trzech nabywców i abstrahując w zupełności warunki podaży: jestto przykład całkiem hypotetyczny, ale wyświetla bardzo dokładnie kwestyę—używamy go też nie jako dowód, lecz jako ilustracyę).

Widzimy więc, iż ceny sześciu i ośmiu franków za kapelusz, jakkolwiek wspólne wszystkim trzem, nie staną się cenami rynkowemi, gdyż inne ceny budżetów, którym odpowiadają, nie są też same u wszystkich trzech nabywców. Ta tożsamość ma miejsce tylko przy cenie siedmiu franków za kapelusz. W ten sposób otrzymana zostaje dla każdego przedmiotu jedna tylko cena, drogą realizacyi jednego z budżetów możliwych, który jest wspólny wszystkim trzem nabywcom.

Przypuśćmy teraz, że tożsamość wydatków ma miejsce, nie w całym budżecie naszych trzech osób, lecz tylko w połowie, w drugiéj zaś połowie uskutecznia się ona dla każdéj z nich z trzema innemi osobami, które swoją drogą także związane są z innemi grupami, a nic w naszém rozumowaniu nie będzie zmienione. Mamy tylko w takim razie do czynienia z ugrupowaniem licznéj masy osób. Nareszcie zbliżymy się jeszcze bardziéj do rzeczywistości, przypuszczając, że obok nabywców są sprzedawcy, a także iż każdy nabywca jest zarazem sprzedawcą — co, jakeśmy to powyżéj widzieli, bynajmniéj nie zmienia prawa proporcyonalności napięcia potrzeb (rzeczy nabywanych i sprzedawanych) i cen dowolnych — a także, iż tożsamość cen ma miejsce względem jednego towaru dla jednego szeregu osób, względem innego towaru tożsamość ta urzeczywistnia się dla téjże osoby z szeregiem

innych i tak daléj. Otrzymujemy w ten sposób rynek rzeczywisty z wielką liczbą osób wymieniających i towarów—i nasze rozumowanie początkowe w zupełności daje się zastosować do tego rynku. Uprościliśmy znacznie w powyższym wykładzie zjawiska, które w rzeczywistości są daleko bardziéj złożone. Ścisłe rozstrzygnięcie zadania może być uzyskane tylko za pomocą matematyki [1]). Ale nawet bez jéj udziału, drogą rozumowania i ilustracyi, w rodzaju téj którą przytoczyliśmy powyżéj, można się przekonać, że jeżeli dane są budżety hypotetyczne osób wymieniających, z cenami dowolnemi, lecz proporcyonalnemi do napięcia potrzeb, ceny rzeczywiste rynkowe, mogą być otrzymane.

Tu się kończy strona teoretyczna kwestyi i trzeba zobaczyć, w jaki sposób zadanie rozstrzyga się praktycznie, t. j., w jaki sposób w powyższym przykładzie pośród mnóstwa budżetów możliwych wybrany zostaje ten, który posiada ceny wspólne dla wszystkich osób wymieniających. Wystawmy sobie, iż istnieje instytucya społeczna, która zbiera od wszystkich tych osób notesy zawierające ich budżety możliwe: odrzucając z pośród nich te, których ceny nie są zgodne, natrafiłaby ona wreszcie na jeden, zawierający tożsamość wydatków i w ten sposób określiłaby ceny rzeczywiste towarów. Instytucyi takiéj specyalnéj niema, ale rolę jéj w zupełności wypełnia mechanizm zwyżki i zniżki cen. Dla wyjaśnienia téj sprawy weźmy przykład powyższy z kapeluszami. Cena najwyższa, którą nasi trzéj nabywcy zgadzają się płacić za ten sam kapelusz jest dla jednego 10 fr., dla drugiego—12, dla trzeciego—8 fr. Wszyscy trzéj mogą więc urządzić sobie takie budżety, przy których płacą za kapelusz po 8 fr. (tylko pierwszy który mógłby płacić za ten sam kapelusz 10 fr. a płaci tylko 8, zakupi dwa kapelusze, drugi który zamiast 12 płaci 8 fr. kupi trzy, trzeci który płaci tyle tylko, ile mógł, kupi jeden).

Przypuśćmy z drugiéj strony, że na tym samym rynku znajdują się trzéj sprzedawcy i że ceny najniższe, za które oddają swe kapelusze są u jednego 4 fr., u drugiego 5 fr., u trzeciego 6 fr. Wszyscy trzéj mogą więc sprzedawać po 6 fr. (tylko pierwszy, który chciał sprzedawać po 4 fr. a sprzedaje po 6 fr. zaofiaruje np. 4 kapelusze, drugi—trzy, trzeci—dwa.

W rezultacie otrzymujemy, iż sprzedawcy ofiarują 9 kapeluszy po 6 fr., a nabywcy żądają 6 kapeluszy po 8 fr. (zauważmy, iż chodzi tu o kapelusze tegoż samego gatunku). Obie partye spotykają się na rynku i dowiadują się wzajemnie o swych zamiarach i wówczas rozpoczyna się między nimi walka. Cena zaofiarowania (6 fr.) jest mniejsza

---

[1]) Zob. Walras „Elements d'éc. pol. pure.“ Théorie de l'échange.

od ceny popytu (8 fr.). Widząc to, sprzedawcy postarają się zmniejszyć podaż, by otrzymać wyższą cenę, nabywcy zwiększą popyt, gdyż mogą po niższéj cenie otrzymać więcéj kapeluszy. Obiedwie ceny popytu i podaży idą na spotkanie jedna drugiéj, jedna wzrastając, druga spadając, aż do chwili, gdy obiedwie będą równe, co się urzeczywistni wówczas, gdy popyt kapeluszy będzie równy podaży. W téj chwili walka między nabywcami a sprzedawcami ustaje, gdyż żadna strona na drugiéj nic już zyskać nie może. Np. przy cenie 7 fr. i popyt i podaż są równe ośmiu kapeluszom. Cena 7 fr. będzie ceną bieżącą, rynkową. Otrzymuje się ją przez szeregi wahań, zniżek i zwyżek ceny kapeluszy, z których każda zmienia wszystkie inne ceny (t. j. każe wybierać inne wciąż budżety, którym one odpowiadają). I gdy cena kapeluszy nareszcie się staje dla wszystkich jednakową, trzeba rozpocząć też same operacye np. dla ceny pokoju. Gdy równowaga téj ostatniéj ceny nareszcie otrzymaną zostaje, może ona naruszyć równowagę poprzednio ustanowioną dla ceny kapeluszy. Trzeba więc nanowo rozpocząć grę zwyżki i zniżki dla kapeluszy, aż do chwili, gdy dla każdego z nich ustanowi się jedna stała cena.' Wahania te rozpoczynają się dla każdego następnego towaru, naruszając wciąż równowagi już poprzednio ustanowione dla innych towarów, ale właśnie drogą tych wahań zbliżamy się coraz bardziéj do równowagi ogólnéj, t. j. do stanu, przy którym ilości żądane każdego towaru są równe podawanym i każdy towar ma jedną tylko cenę.

Rynek można więc sobie wystawić jako system równań, obejmujących budżety nabywców i sprzedawców (budżetów opartych na prawie proporcyonalności napięcia każdéj potrzeby do odpowiadającéj jéj ceny, dowolnéj) a także warunek, iż popyt każdego towaru musi być równy podaży. Co się tyczy gry zwyżki i zniżki, która ma miejsce na każdym rynku, to jest ona tylko praktycznym sposobem rozwiązania powyższego systemu równań i odpowiada w zupełności temu, co w matematyce nazywają „rozwiązaniem systemu równań drogą prób" (*solution par tentatives d'un système d'equations.*)

Z wysokości, na którą się tu wspięliśmy, wniknięcie w operacye odbywające się na ryku dostarcza rozkosz nie tylko naukową, ale artystyczną: to co z punktu widzenia życia codziennego wydaje się tak ohydną i bezmyślną gwarą, jest w rzeczywistości sposobem rozwiązania systemu równań matematycznych, sposobem, który pod względem ścisłości i elegancyi przewyższa wszystko, czegoby najbieglejszy rachmistrz w swym gabinecie zacisznym mógł dokonać. Zauważmy, iż równowaga wymiany powyżéj scharakteryzowana jest stanem idealnym, ku któremu siły walczące na rynku wciąż się zbliżają, nie urzeczywi

stniając jéj w zupełności. Otóż i teoretyczne rozwiązywanie zadań tak złożonych musi także zadawalać się tylko pewnym stopniem przybliżenia. Równowaga wymiany jest stanem idealnym, tyleż jednak uzasadnionym w nauce, co i stan idealny poziomu oceanu.

Ze wszystkiego, cośmy powyżéj mówili, wypada, że, jeżeli jest dane prawo proporcyonalności napięcia ostatnich potrzeb zaspokojonych do wydatków dowolnych, to ceny bieżące równowagi wymiennéj są zupełnie określone. Można więc w tym sensie powiedzićć iż—o ile rozpatrujemy wymianę — napięcia ostatnich potrzeb zaspokojonych, czyli użyteczności elementarne są przyczyną cen bieżących, czyli stóp wymiennych, czyli nareszcie wartości wymiennych.

Wyrazu „wartość" używać będziemy tylko w znaczeniu stopy wymiennéj, stosunku ilościowego, w jakim jeden towar wymienia się na drugi. Stosunek ten zależy od dwu czynników, od użyteczności i od ilości istniejącéj każdego towaru, które razem składają się na wytworzenie użyteczności elementarnéj. Wartość zależy od téj ostatniéj. Nie należy jéj mieszać z użytecznością wogóle. Użyteczność przedmiotu może być nieskończenie wielka, a jednak nie będzie on miał żadnéj wartości, jeżeli ilość istniejąca przewyższa potrzebę, np. powietrze, lub woda. By przedmiot miał wartość trzeba, by nie tylko był użyteczny, ale także by był ograniczony w ilości, tak powietrze w miejscach, gdzie go nie staje, natychmiast nabywa wartości. Z drugiéj strony są przedmioty bardzo małéj użyteczności, ale istniejące w ilościach nader ograniczonych i dlatego mające wielką wartość, np. niektóre przedmioty zbiorów muzealnych. Wszystkie te czynniki są objęte przez „użyteczność elementarną", lecz bynajmniéj nie przez „użyteczność" wogóle. Chciano także zrobić z „pracy" przyczynę wartości. Jestto słuszne o tyle, iż praca jest jednym z czynników za pomocą których można wpływać na ilość przedmiotów wytworzonych, a zatém i na ich wartość; ilość ta przecież zależy nie tylko od pracy, ale i od warunków naturalnych, np. od nieurodzaju, gradobicia i t. d., a zresztą wartość zależy nie tylko od ilości ale i od użyteczności. Otóż wszystkie rzeczy istnieją w ilościach ograniczonych i z właściwościami specyalnemi — i nie zawsze można właściwości te fabrykować jedynie nakładem większéj pracy—np. cygara hawańskie, wino szampańskie etc. Są rzeczy rzadkie i drogie jak posągi starożytne, a na wartość ich praca w żaden sposób wpływać nie może. Nareszcie praca nie jest czémś jednorodném, i niema stanowczo współczynników, któreby pozwoliły sprowadzić wszystkie rodzaje pracy do jednéj wspólnéj, ogólnoludzkiéj. Próbował to uczynić Marx, ale — niestety — w ostatnim tomie „Kapitału" poczynił w swéj doktrynie takie zmiany, iż ktoby chciał jeszcze obec-

nie twierdzić, iż towary wymieniają się według pracy społecznie niezbędnéj na ich wytworzenie, byłby większym papistą niż sam papież. Marx mianowicie dowodzi w III tomie swego dzieła, iż miara powyższa wartości panowała tylko w społeczeństwach pierwotnych i w średniowiecznych, opartych na gospodarstwie naturalném, w nowożytnych natomiast zamiana odbywa się na zasadach zupełnie innych. Nie chcemy tém bynajmniéj zmniejszać doniosłości dzieła Marxa, która jest olbrzymia pod innemi względami—ale nie o to nam tu chodzi.

Dawniejsza ekonomia, obierając za istotę wartości czy to użyteczność wogóle, czy to pracę, stawała na gruncie z zasady fałszywym. Wartość nie oznacza ani rzeczy, ani nawet własności wewnętrznéj rzeczy: jest ona stosunkiem ilościowym, proporcyą, według któréj jedna rzecz zamienia się na drugą—i niczém więcéj. Jeżeli na pewnym rynku 80 funtów żelaza zamienia się na jeden funt złota, to ani żelazo, ani złoto, ani téż ich właściwości naturalne, ani praca w nich zawarta nie stanowią wartości, gdyż jest nią tylko stosunek 1 do 80-ciu. Otóż, rozpatrując rynek widzieliśmy, iż jest on systemem równań (budżetów, o których powyżéj mówiliśmy i t. d.) i że ten system równań matematycznych zupełnie wystarcza dla określenia, czemu złoto zamienia się na żelazo w stosunku jednego do 80-ciu, również jak i dla określenia wszystkich innych stop wymiennych, czyli wartości. I to absolutnie wystarcza, naukowo mówiąc. Rozpatrując zarazem powyższy system równań (czyli budżetów) widzimy, iż w nich ceny (czyli stopy wymienne, lub wartości) są proporcyonalne do użyteczności elementarnych [1]). Oto dlaczego można te ostatnie uważać — o ile chodzi tylko o wymianę—za przyczynę bezpośrednią, ale nie za istotę, wartości. Same bowiem użyteczności elementarne nie są czémś niezależném. Zmieniają się one wraz z użytecznością przedmiotów i wraz z ich ilością. Użyteczność zaś i ilość przedmiotów zależą nie tylko od warunków smaku, spożycia i wymiany, ale także od warunków wytwarzania: postęp techniczny i ilość wytworzona produktów, wpływają na użyteczności elementarne, a także na wartości. A zatém, by poznać istotę wartości, musimy się jeszcze zastanowić nad wszystkiemi warunkami wytwarzania i gromadzenia bogactw. Wówczas téż będziemy mogli pojąć całą dziecinność określeń, które istotę wartości upatrywały w rzeczach lub ich własnościach, w pracy, lub w użyteczności.

Zanim jednak przejdziemy do rozbioru produkcyi i gromadzenia

---

[1]) Które nb. same przez się są także tylko stosunkiem matematycznym, nie zaś rzeczą ani własnością rzeczy: użyteczność elementarna jestto współczynnik różniczkowy użyteczności względem ilości danego przedmiotu.

bogactw, możemy już teraz zauważyć wpływ, jaki mają zmiany w smakach lub spożyciu na stopy zamienne, czyli wartości. Ponieważ rynek zamienny jest systemem równań, to wszystko, co zmienia w nich którąkolwiek bądź daną, zmienia natychmiast cały system wszystkich stóp zamiennych (wartości). Teoretycznie mówiąc, jeżeli zamiast jednego funta cukru — który zwykle codziennie kupuję — kupię pewnego dnia dwa funty, dzięki zmianie smaku i spożycia, to tym faktem—o ile rozpatrujemy tylko zamianę—zmieniam nie tylko cenę cukru wogóle, ale także cenę (wartość) [1]) wszystkich innych towarów. Jestto oczywistém dla wielkich aktów kupna. Jeżeli np. kupuję naraz kilka milionów funtów cukru, cena jego natychmiast wzrasta, gdyż ze zmniejszeniem ilości użyteczność jego elementarna wzrasta. Spożywcy, płacąc więcéj za cukier, będą musieli ograniczyć użyteczności elementarne innych swych potrzeb, ceny wszystkich innych towarów spadną. Zmiany te mają miejsce przy wzroście chociażby najnieznaczniejszym kupna, ale ceny nie są dość czułe, by je odrazu zaznaczać: tak termometr oznacza zmiany temperatury tylko w określonych granicach, teoretycznie jednak mówiąc, powinien byłby zaznaczać wszelkie, chociażby najmniejsze.

IV. Teorya produkcyi i kapitalizacyi.

Dotychczas zajmowaliśmy się wymianą produktów już gotowych, obecnie musimy zająć się wytwarzaniem. Naprzód jednak damy kilka określeń. Wogóle mówiąc, ta część ekonomii matematycznéj opracowana została głównie przez prof. Walrasa. Autor nazywa kapitałem wszelkie dobro ekonomiczne, które służy kilkakrotnie w procesie wytwarzania i dzieli je na kapitały osobowe, ruchome i gruntowe (*capitaux personnels*, *mobiliers et fonciers*). Kapitały osobowe są to istoty ludzkie, gruntowe — ziemie, do kapitałów ruchomych nareszcie autor zalicza wszystkie pozostałe t. j. budowle, narzędzia, kruszce drogocenne i t. d. Każdorazowe użycie kapitału nazywa się jego usługą (*service*). Usługi mające użyteczność bezpośrednią dla ich właściciela nazywają się spożywczemi, te zaś które posiadają użyteczność tylko pośrednią, udziałem przyjmowanym w produkcyi—usługami wytwórczemi. Każdy kapitał może dostarczać obadwa rodzaje usług.

---

[1]) Używamy wszędzie „cenę“ i „wartość“ jako wyrażenia równoznaczne, gdyż cena przedmiotu jest tylko jego wartością (użytecznością elementarną) wyrażoną w wartości (użyteczności elementarnéj) złota. Ale jedyną formą realną wartości są ceny, poza tém istnieją one tylko jako stany duchowe, jako użyteczności elementarne.

Człowiek próżnujący spożywa usługi swego kapitału osobistego, usługi zajętego—to praca. Usługi spożywcze kapitałów gruntowych to przechadzki w parkach, widoki i t. p., kapitały te dostarczają natomiast usług wytwórczych, gdy służą do posiewów, do budowania fabryk etc. Nareszcie usługi ruchome mogą także być spożywcze (przedmioty, które kupujemy dla własnego użytku za pieniądze zaoszczędzone) i wytwórcze (udział tych pieniędzy w produkcyi i t. p.).

Cena usług spożywczych może być określona narówni z ceną wszelkich towarów gotowych w teoryi wymiany, gdyż one przedstawiają pewną użyteczność elementarną bezpośrednią dla ich właścicieli. Co się tyczy cen usług wytwórczych, t. j. płacy roboczéj (ceny pracy), renty (ceny usług ziemi) i procentu (ceny usług kapitału ruchomego), to one nie mogą być ustawione w teoryi wymiany, gdyż usługi te nie posiadają użyteczności elementarnéj bezpośredniéj dla ich posiadaczy, lecz w teoryi wytwarzania. Tę ostatnią Walras przedstawia w sposób następujący. Przedsiębiorca jest osobą, która wynajmuje usługi wytwórcze kapitałów (pracę, rentę i usługi ruchome) i kombinuje je w sposób odpowiedni dla wytworzenia towarow gotowych. Stara się on przytém, by koszta wytwarzania były równe cenie tych ostatnich, a także używa każdéj usługi tylko ilość ściśle niezbędną przy stanie danym wiedzy technicznéj. Te ilości usług potrzebne dla wytworzenia jednostki danego towaru nazywają się współczynnikami wytwarzania (*coëfficients de fabrication*). Przedsiębiorca otrzymuje za swe zachody odpowiednią płacę, jak i każdy inny pracownik i płaca ta wchodzi w koszta wytwarzania. Jeżeli wkłada w przedsiębiorstwo oprócz swéj pracy jeszcze pewien kapitał otrzymuje zeń procent—i nic więcéj. Walras odrzuca w ten sposób specyalne źródło dochodu zwane zyskiem przedsiębiorczym (*bénéfice de l'entrepreneur*), któremu nie może odnaléźć odpowiedniego źródła. Jestto — jak to daléj zobaczymy— jeden z punktów słabych teoryi. Tymczasem jednak poprzestaniemy na jéj wykładzie. Bardzo prostym rachunkiem matematycznym można wykazać, iż wyliczone powyżéj warunki pozwalają ułożyć system równań w ilości téj saméj, co ilość niewiadomych [1]. Zagadnienie produkcyi jest więc zupełnie określone i w ten sposób znajdujemy ceny usług wytwórczych, a także ilości tych usług, które wymienione zostały. Praktycznie zagadnienie to rozstrzyga się w sposób następujący. Ceny towarów gotowych ustanowione zostają—jak widzieliśmy— na rynku wymiany, popytem i podażą. Przedsiębiorcy kombinują i przystosowują usługi wytwórcze do tych cen, w sposób taki, by koszta

[1] Walras: Elements—Théorie de la production.

wytwarzania były im równe. Jeżeli się zdarzy, iż koszta wytwarzania są wyższe od cen towarów, przedsiębiorcy ograniczają produkcyę i ilość użytych usług wytwórczych, w przeciwnym razie postępują odwrotnie. Zmieniając w ten sposób ilości towarów wytwórczych aż do chwili, gdy koszta wytwarzania równe są cenom towarów, wiedzą oni nareszcie, jaka ilość usług jest potrzebna i taki właśnie popyt stawiają. Popyt na usługi wytwórcze zależy więc w rezultacie od cen towarowych: jeżeli te ostatnie rosną, wzrasta popyt na usługi, w przeciwnym razie dzieje się odwrotnie. A od czego zależy podaż usług wytwórczych ze strony ich posiadaczy, właścicieli ziemskich, kapitalistów i robotników? Teoretycznie mówiąc, będą one ofiarowane w całéj ilości istniejącéj i za wszelką cenę, gdyż nie posiadają żadnéj użyteczności bezpośredniéj dla ich posiadaczy. Tak robotnik np. nie może żyć bezpośrednio ze swéj pracy, gdyż warunki współczesne wytwarzania wymagają narzędzi i materyałów surowych, których on nie posiada; musi więc koniecznie pracę swą sprzedać, zastosowując się do ceny i ofiarowanéj przez przedsiębiorcę. Toż samo powiedziéć można o usługach wytwórczych ziemi i kapitału ruchomego — z zastrzeżeniami, o których w dalszym ciągu wspomnimy. Znana więc jest podaż usług wytwórczych, również jak i popyt: a zatém znana jest ich c e n a, która jest właśnie stosunkiem popytu do podaży.

Stan idealny, w którym popyt każdéj usługi jest równy jéj podaży, w którym każda ma jedną stałą cenę, a suma cen trzech odpowiednich usług równa się cenie odnośnego towaru—nazywa się stanem równowagi wytwarzania. Jestto stan, który nigdy w zupełności się nie urzeczywistnia, lecz ku któremu gra wszystkich sił ekonomicznych dotychczas przez nas rozpatrzonych automatycznie dąży. I tu można użyć porównania z poziomem idealnym oceanu, który w rzeczywistości nigdy nie bywa osiągnięty — ale mamy zupełne prawo rozpatrywać go, jako możliwy teoretycznie.

Teorya wymiany dała nam sposób określania cen towarów, teorya wytwarzania—cen usług wytwórczych, w obudwu wypadkach opieraliśmy się jedynie na siłach psychologicznych, automatycznie działających. Ani razu nie zapytaliśmy się, czy rezultaty tych działań, ceny, są słuszne lub nie, gdyż pytanie tak postawione, wychodzi poza zakres ekonomii naukowéj. Widzieliśmy np. jak ustanawia się cena usług ziemi, czyli renta i cena usług kapitału, czyli procent, w zależności od wszystkich innych warunków zamiany (od ceny towarów) i wytwarzania, w sposób czysto mechaniczny. Wcale zaś nie stawialiśmy sobie pytania, jakie jest pochodzenie tych cen, czy one są nagrodą za „oszczędność" — gdyż niektórzy chcą uważać kapitał za owoc oszczę-

dzania—czy téż wprost łupiestwa, jak to inni utrzymują. Z kury kradzionéj można zrobić bardzo dobry rosół. Jakiekolwiek jest pochodzenie kapitału, bierze on pewien udział w ustanowieniu cen — w sposób czysto mechaniczny. Otóż chodzi nam jedynie o zbadanie téj mechaniki ekonomicznéj. I zdaniem naszem, ci z pomiędzy ekonomistów matematyków (jak np. Walras), którzy wychodzą po za to stanowisko i uważają procent np. za wynagrodzenie oszczędności, już znajdują się na drodze apologetyki pewnych stosunków, nie zaś na gruncie nauki. Ta ostatnia może nam tylko pokazać, w jaki sposób cena towarów, określona za pomocą wymiany, rozpada się na kilka części składowych, na ceny usług wytwórczych, odpowiednio do ich udziału w produkcyi [1]), który się wyraża w popycie na nie i w ich podaży; może także pokazać, w jaki sposób ceny samych towarów zależne są od cen tych usług—ale nic po za tém.

Widzieliśmy dotychczas jak się określają ceny towarów (w teoryi wymiany) i ceny usług wytwórczych (w teoryi produkcyi). Pozostaje nam jeszcze rozpatrzyć mechanizm, zapomocą którego ustanawiają się ceny kapitałów — i to stanowi przedmiot teoryi kapitalizacyi. Ceny ustanowione w teoryi wytwarzania są cenami *brutto* usług wytwórczych różnych kapitałów. Jeżeli od tych cen odciągniemy ratę amortyzacyjną (na odnowienie kapitału w miarę zużycia) i ratę asekuracyjną (zabezpieczającą od możliwych wypadków), to, co zostanie, stanowi cenę *netto* usług wytwórczych kapitału, która podzielona przez kapitał stanowi procent. Otóż wolna konkurencya, przerzucając kapitały do gałęzi produkcyi, gdzie dochód jest wyższy, prowadzi koniecznie do tego, by procent czysty wszelkich kapitałów — osobowych, ruchomych i gruntowych—był jednakowy. Mając zaś stopę precentu—która zależy od popytu i podaży kapitałów, czyli od ich nagromadzenia, od kapitalizacyi — a także mając cenę usług wytwórczych każdego kapitału ustanowioną, jak to wyżéj widzieliśmy w teoryi produkcyi, łatwo odnaléść można cenę samych kapitałów. Jeżeli np. cena usług pewnéj ziemi, czyli renta równą jest 300 fr., a stopa procentowa średnia jest 5%, to cena ziemi, która jest tylko skapitalizowaną rentą, będzie oczywiście $\frac{300.100}{5}$ czyli 6,000 fr. Zupełnie w ten sam sposób znaléźć można cenę kapitałów osobowych i ruchomych. Będzie ona tém wyższa im stopa procentowa (mianownik) jest mniejsza i odwrotnie. Ale cena kapitałów zależy oczywiście także od ceny usług wytwórczych, t. j. płacy ro-

---

[1]) Tą kwestyą zajmiemy się jeszcze w rozdziale następnym „o podziale bogactw.“

boczéj, renty i dochodu z kapitału (od 300 fr. renty w naszym przykładzie), te zaś ostatnie, jak powyżéj widzieliśmy, zależą od ceny towarów, ustanowionéj w teoryi wymiany, proporcyonalnie do użyteczności elementarnych. Z drugiéj jednak strony te ostatnie, a zatém i ceny towarów, zależne są od popytu i podaży usług wytwórczych i kapitałów t. j. od cen tych usług i kapitałów. Między cenami towarów, usług i kapitałów istnieje więc współzależność tego rodzaju, iż ze zmianą któréjkolwiek z nich pozostałe także się zmieniają. Nie jestto związek przyczyny i skutku, lecz współzależność wzajemna, jaka istnieje zwykle w każdym systemie. Niektórzy autorowie dużo rozprawiali o tém, czy należy uważać koszta wytwarzania (ceny usług wytwórczych) za przyczynę, czy też za skutek cen towarowych. Kwestya tak postawiona nie mogła być rozstrzygnięta, gdyż była postawiona fałszywie. Jedyna rzecz, którą twierdzić można jest następująca: w stanie idealnym równowagi ekonomicznéj, obejmującym trzy równowagi cząstkowe — wymiany, produkcyi i kapitalizacyi—koszta wytwarzania są równe cenom towarowym. Określaliśmy już poprzednio te równowagi cząstkowe: równowaga wymiany jest stanem idealnym, w którym popyt towarów jest równy podaży a każdy towar ma tylko jedną cenę, równowaga wytwarzania musi odpowiadać tym samym warunkom dla usług wytwórczych i nareszcie równowaga kapitalizacyi jest stanem, w którym popyt na kapitały jest równy ich podaży i stopa procentowa jest równa dla wszystkich kapitałów. Tylko więc w stanie idealnym, któryby urzeczywistniał wszystkie te trzy równowagi cząstkowo, miałaby miejsce ogólna równowaga ekonomiczna, przypominająca idealny poziom oceanu i tylko w tym stanie koszta wytwarzania towarów byłyby równe ich cenie. Każda jednak przyczyna, która narusza jedną z równowag częściowych, narusza zarazem i ogólną równowagę ekonomiczną i powoduje odchylenie ceny od kosztów wytwarzania. Ale jak w systemie materyalnym (czyli jakiémkolwiek bądź ciele) wyprowadzonym z równowagi zjawiają się natychmiast siły automatyczne, które starają się powrócić go do pierwotnego stanu, tak samo w systemie ekonomicznym każda przyczyna, naruszająca równowagę, wywołuje siły automatyczne, dążące do odrodzenia stanu idealnego. Zastanówmy się z tego punktu widzenia nad wytwarzaniem. Przypuśćmy, iż równowaga cząstkowa wymiany już ustanowiona została. Ceny usług wytwórczych zastosują się do nich za pomocą całego szeregu prób. Jeżeli przypadkiem są one odrazu takiemi, iż koszta wytwarzania są równe cenom towarowym, równowaga wytwarzania jest odrazu osiągnięta. W rzeczywistości jednak przypadek ten nigdy się nie zdarza. Niektóre ceny towarowe będą wyższe od ksztów wytwarzania i przedsiębiorcy

rozwijają te gałęzie, inne ceny będą niższe od kosztów odpowiednich i przedsiębiorcy ograniczają swe interesa. Ilości towarów ofiarowanych przez nich na rynku są w ten sposób zmienione, przez co naruszona zostaje równowaga początkowa wymiany i ceny towarowéj. Trzeba więc ustanowić nową równowagę wymiany przy nowych warunkach, co zmieni ponownie ceny towarowe i ceny usług. Próby te będą powtarzane aż do chwili, gdy dopięta zostanie równość cen towarowych z kosztami wytwarzania, a zarazem równowaga ekonomiczna. Nareszcie, ona będzie w ten sam sposób naruszana i odradzana przez wszystkie warunki kapitalizacyi, aż do ustanowienia jednéj ogólnéj równowagi ekonomicznéj.

Tylko w tym stanie idealnym ceny towarów byłyby równe kosztom wytwarzania. Ale ponieważ on nigdy urzeczywistnianym nie jest, więc istnieje zawsze pewne odchylenie między niemi. Wszystkie trzy równowagi cząstkowe — wymiany, produkcyi i kapitalizacyi — są najściśléj między sobą związane, i wszystko, co narusza jedną z nich, odbija się natychmiast naruszeniem dwu pozostałych. Przeto wartość ustanawiana drogą wymiany, zależy nie tylko od warunków wymiany, ale także od warunków produkcyi i kapitalizacyi. A zatém wartość, czyli cena przedmiotu jest faktem niesłychanie złożonym, zależnym od wszystkich warunków ogólnéj równowagi ekonomicznéj. Wartość danego przedmiotu, np. kapelusza, zależy nie tylko od popytu i podaży kapeluszy i wszelkich wogóle towarów, ale także od warunków produkcyi, t. j. od płac roboczych, od renty, od dochodu z kapitału, od współczynników wytwarzania t. j. od zmian zachodzących w technice i nareszcie od warunków kapitalizacyi, t. j. od popytu i podaży kapitałów, a także od stopy procentowéj. Wszelka zmiana, zachodząca w którymkolwiekbądź z tych warunków, odbija się natychmiast naruszeniem ogólnéj równowagi ekonomicznéj, równowagi wymiany, a zatém i wartości każdego towaru. Wartość każdego przedmiotu jest więc oznaką pewnego stanu ekonomicznego, stosunków nadzwyczaj skomplikowanych, o charakterze ilościowym, matematycznym, które w żaden sposób wyrazem praca lub użyteczność ujęte być nie mogą. Są to orzeczenia dobre dla życia potocznego, ale na nic nie przydatne w nauce. Tak temperatura przedmiotu wydaje się na zwykłe oko czémś bardzo powierzchownem, co wymierzyć można ręką lub termometrem, i na tém koniec, lecz dla fizyka temperatura oznacza nadzwyczaj głęboki stan molekularny ciała, oznacza pewną szybkość drgań cząsteczkowych i t. d. Tak samo wartość, cena: są to tylko oznaki zewnętrzne nader głębokich stanów wewnętrznych całego agregatu ekonomicznego. Można i należy badać odnośne stosunki, t. j. zależność, jaka istnieje mię-

dzy ceną a popytem i podażą towarów, między ceną a stanem płac roboczych, renty, stopy procentowéj lub warunkami technicznemi wytwarzania—wówczas teorya matematyczna równowagi ekonomicznéj zamieni się w naukę ścisłą, przebiegłszy zarazem wszystkie etapy, które poprzednio wskazaliśmy. Dużo jednak czasu jeszcze upłynie, zanim ekonomia polityczna do tego stanu dojdzie. Bądź co bądź, teorya matematyczna równowagi będzie stanem przejściowym, który nas zbliża ku temu ideałowi. Nic zresztą nie przeszkadza, by dotychczasowe teorye ekonomiczne, biorące za punkt wyjścia bądź pracę, bądź użyteczność, nie mogły rozwijać się niezależnie w dalszym ciągu, badając tymczasowo tylko czysto jakościowe stosunki rzeczy. I owszem, prace tego rodzaju mogą być pożyteczne, wykazując braki i słabe strony ekonomii matematycznéj, która będzie musiała uwzględnić te krytyki. Obiedwie metody mają więc tymczasowo prawo równoległego rozwoju: one nietylko nie przeszkadzają sobie w ten sposób, ale owszem, pomagają jedna drugiéj.

V. Podział bogactw.

Wyłożona powyżéj teorya równowagi ekonomicznéj pokazuje odrazu, iż wszystkie warunki wymiany, produkcyi i kapitalizacyi są ze sobą ściśle związane, tak np. płaca robocza, renta i procent, nie mogą być określone każda zosobna i niezależnie: są to trzy niewiadome tegoż samego zadania, które muszą być określone jednocześnie i wraz ze wszystkiemi innemi niewiadomemi równowagi ekonomicznéj. Chodzi tylko o dowiedzenie, iż ilość warunków danych, a zarazem i równań, które zbudowane być mogą, jest ściśle równa ilości niewiadomych. Otóż bardzo prosty rachunek matematyczny pokazuje, że tak jest [1]). Praktyczny jednak wniosek, który stąd wyprowadzić się daje, jest następujący: nie można postawić teoryi płacy roboczéj osobno, teoryi renty osobno i teoryi procentu osobno—jak to czynili dawniejsi ekonomiści. Podział bogactw wynika ze wszystkich warunków równowagi ekonomicznéj i po za nią w żaden sposób zrozumiany być nie może. Zauważmy, iż jedną z przyczyn gruntownych, które ją zmieniają, to monopol i on też najbardziéj narusza podział, któryby wypływał z wolnéj konkurencyi. Ta ostatnia ma dążność dostarczenia wszystkim uczestnikom wymiany *maximum* użyteczności, jaką tylko wogóle zdo-

---

[1]) Rachunek ten znaléść można w „Elementach" prof. Walrasa, albo téż w „Kursie" prof. Pareto.

być mogą. Natomiast monopol narusza to prawo i zapewnia monopoliście więcéj, reszcie społeczeństwa mniéj, niż otrzymaliby przy wolnéj konkurencyi.

Jak rzekliśmy, nie można zbudować teoryi płacy roboczéj niezależnie od teoryi renty i niezależnie od teoryi procentu. Walras dał znakomitą krytykę teoryi podziału bogactw ekonomistów angielskich, mającéj właśnie tę wadę. Rozumowali oni w sposób następujący: cena towaru jest niewiadomą, którą określić należy, dodając do siebie koszta wytwarzania (płacę roboczą + rentę + procent z kapitału). Należy więc naprzód określić te koszta. Płaca robocza zależy według nich od „funduszu pracy" dzielonego przez ilość robotników. Otóż fundusz ten—jak Walras słusznie powiada—jest czystym mitem, jeżeli ma on wogóle jakiekolwiek znaczenie, to tylko to, iż jest sumą płac realnie wypłacanych ludności pracującéj, a zatém nie płaca zależy od „funduszu płacy", lecz odwrotnie, on sam zależy od płacy. Właściwie więc mówiąc, szkoła angielska nie dała teoryi płacy roboczéj. Następnie wystawia teoryę renty, według któréj ta ostatnia nie wchodzi, jako część składowa do ceny towarów, albowiem cena ta ustanawia się w warunkach produkcyi najgorszych, na ziemi ostatniego gatunku, która wcale renty nie płaci. W ten sposób niewiadoma cena towaru = płacy roboczéj (nibyto już określonéj) + procent z kapitału. I wreszcie, by określić procent szkoła ta powiada, iż jest on równy cenie towaru (która wszak jeszcze jest niewiadomą!), od któréj należy odciągnąć płacę roboczą. W ten sposób określa jednę niewiadomą za pomocą drugiéj.

Jestto błędne koło, z którego wyjścia nie ma po za teoryą równowagi ekonomicznéj.

Ta ostatnia pokazuje, iż cena towaru, płaca robocza, renta i procent są to cztery niewiadome tegoż samego zadania, które muszą być określone jednocześnie, tylko matematyka pokazać może, iż jestto zadanie rozwiązalne, t. j. że można zbudować tyleż równań, ile jest niewiadomych.

Płaca robocza zależy więc nie od żadnego „funduszu pracy", który nie istnieje, lecz od wszystkich warunków systemu ekonomicznego i dowolnie ona zmienioną być nie może, lecz wzrasta lub spada odpowiednio do zmian zachodzących w warunkach, które określają równowagę ekonomiczną. Tak położenie wskazówki na barometrze zależy od wszystkich warunków wewnętrznych (budowy mechanizmu) i zewnętrznych (ciśnienia atmosfery). Wprawdzie mogą być przyczyny sztuczne, rdza, kurz i t. p., które odchylają wskazówkę od jéj naturalnego położenia, zawarunkowanego przez ogólną równowagę całego sy-

stemu. I dlatego dobrze jest od czasu do czasu potrząść barometr, by wskazówka zajęła położenie należyte. Toż samo system ekonomiczny: płaca robocza nie zawsze może należycie zastosowywać się do rozwoju wszystkich warunków równowagi i dlatego dobrze jest od czasu do czasu wstrząsnąć systemem, by należyte położenie klasy roboczéj wystąpiło na jaw. Tylko o tyle może ona miéć wpływ na stan płacy, którą otrzymuje. Tak samo zupełnie procent nie jest zależny od woli kapitalistów, ani téż od innéj jakiéjś cząstkowéj przyczyny, lecz od całości wpływów działających na system ekonomiczny. Nareszcie, co do renty, Walras słusznie wskazuje, wbrew teoryi Ricardo, że, przynajmniéj w państwach cywilizowanych, gdzie nie ma gruntów wolnych, ziemia, chociażby nawet najgorszego gatunku, daje pewną rentę, albowiem stanowi ona swego rodzaju własność monopoliczną. Z drugiéj strony Marshall, a w ślad za nim Pareto, wykazują, że renta nie jest zjawiskiem specyalnie właściwém ziemi, lecz że zjawia się wszędzie, gdzie oszczędności nie mogą być zamienione na kapitał, gdzie zatém ilość wytworów nie może być dowoli zwiększana. A zatém np. wszelki artysta o zdolnościach wyjątkowych otrzymuje rentę. Nareszcie Walras, a w ślad za nim i Weekstead, krytykują teoryę Ricardo z innego jeszcze punktu widzenia, a mianowicie: zdaniem angielskiego ekonomisty renta nie jest przyczyną, lecz skutkiem ceny. Walras i Weekstead odpowiadają na to, iż toż samo można powiedziéć poniekąd i o płacy roboczéj i o procencie, albowiem wszystkie te trzy źródła dochodu są częściami składowemi ceny towarów, od któréj zależą.

Opiérając się na téj uwadze, Weekstead, a także ekonomista włoski Barone formułują teoryę podziału bogactw w sposób następujący.

Nazywają oni czynnikami wytwarzania kapitały, których usługi zamieniają się, odpowiednio skombinowane, na produkty, a — wytwórczością krańcową (*marginal productivity*) wzrost produkcyi, wywołany zwiększeniem bardzo drobném jednego z czynników wytwarzania. Jeżeli np. używając téj saméj ilości pracy i kapitału, zwiększymy o trzy małe części przestrzeń ziemi uprawnéj i jeżeli dzięki temu ilość chleba otrzymanego zwiększa się o cztery jednostki, to wytwórczość krańcowa będzie $^4/_3$. Otóż oczywista rzecz, iż przedsiębiorca zwiększa lub zmniejsza ilość danéj usługi, użytéj odpowiednio do tego, czy wartość przyrostu téj usługi jest niższą lub wyższą od wartości odpowiedniego przyrostu produktu. Przedsiębiorca probuje, zastępuje jedną usługę przez drugą (np. pracę przez maszyny lub odwrotnie) aż dopóty, gdy nie ma dlań żadnéj różnicy, czy użyje nowego przyrostu jednéj lub drugiéj usługi. Punkt ten równowagi

otrzymany będzie wówczas, gdy cena produktu określona przez wymianę rozpada się pomiędzy czynnikami produkcyi proporcyonalnie do ich wytwórczości krańcowéj [1]). Jestto wniosek wyprowadzony z teoryi równowagi ekonomicznéj, którą poprzednio wyłożyliśmy. W każdym razie widzimy, iż podział bogactw zależy od ogólnéj równowagi ekonomicznéj i otrzymuje się w sposób zupełnie automatyczny pod wpływem wszystkich sił, stanowiących system gospodarczy. Podział bogactw odbywa się pod działaniem ogólnych praw mechaniki ekonomicznéj, tych samych, które rządzą wymianą, wytwarzaniem i gromadzeniem bogactw. Jest on ostatecznym ich wyrazem, ale i punktem wyjścia w formach własności.

Oczywista rzecz, że jeżeli społeczeństwo opiéra się na nierówności własnościowéj, to równowaga ekonomiczna przystosuje się tylko do istniejących nierówności, nic w nich nie zmieniając. Cząstkowe udowodnienie tego prawa znaléść można w IV-ym rozdziale *Theory of political economy* Jevonsa, gdzie autor pokazuje, iż w wypadku bezpośredniéj zamiany, odbywającéj się między dwiema osobami, mającemi majątki nierówne, obadwaj wymieniający doprowadzają zadośćuczynienie swych potrzeb do *maximum* względnego, zgodnego z warunkiem, iż każdy z nich zachowuje prawo własności na swój towar. Jestto podział indywidualistyczny, kierowany wolą jednostek i pozostawia nienaruszoną n i e r ó w n o ś ć bogactw, która istniała przed wymianą. Toż samo powiedzieć można o wszelkich rodzajach wymiany, z jakiekiemi dotychczas mieliśmy do czynienia: nietylko przedmiotów spożycia, ale usług wytwórczych lub kapitałów. Jeżeli zaś powyższa nierówność—w położeniu kapitału osobowego i rzeczowego — ma charakter monopoliczny, wówczas wymiana nietylko nie zostawia jéj nienaruszoną, lecz i owszem dąży do jéj zwiększenia z korzyścią monopolisty i z uszczerbkiem dla drugiéj strony, która jest wyzyskiwana. Okoliczność ta—do któréj w dalszym ciągu jeszcze powrócimy — zmienia poniekąd wyłożoną powyżéj teoryę podziału, opartą na przypuszczeniu doskonałego współzawodnictwa i pozwala wprowadzić obok trzech źródeł dochodu: płacy roboczéj, renty i procentu, przyjętych przez Walrasa, inne jeszcze, dochód przedsiębiorcy. Wypuszczenie tego ostatniego, jako źródła samodzielnego, był jednym z punktów słabych teoryi Walrasa, ale wypadał on koniecznie z przypuszczenia konkurencyi doskonałéj. Wogóle ta strona kwestyi, wpływ wyżéj wskazanego monopolu na ogólną równowagę ekonomiczną dotychczas jeszcze wcale przez ekonomistów-matematyków uwzględniony nie był. W rozdziale

---

[1]) Bliższych wyjaśnień szukać należy w Dodatku do „Elementu“ Walrasa.

następnym pokażemy, jak on, zdaniem naszém, zmienia teoryę ogólnéj równowagi ekonomicznéj i w jaki sposób powinien być badany. Tu tylko zauważymy, że jeżeli kapitał otrzymuje pewną nadwartość, to może ustąpić pewną jéj część przedsiębiorcy, jako „dochód przedsiębierczy”.

VI. Teorya ogólnéj równowagi ekonomicznéj.

Dotychczas wychodziliśmy z założenia ściśle naukowego, iż dana osoba może porównywać trwanie i natężenie różnych swych wrażeń, że natomiast dla osób rozmaitych porównania te są niemożliwe, albowiem nie ma dla nich wspólnéj jednostki miary. Niektórzy ekonomiści—jak np. Edgeworth—sądzą jednak, iż ewolucya społeczna coraz bardziéj zbliża nas do stanu, w którym porównania takie stają się możliwe. Ona czyni nas coraz podobniejszymi jednych do drugich, wytępiając jednostki nazbyt odskakujące od typu średniego. W takim zaś razie można już porównywać—w granicach jednego narodu—przyjemność danéj jednostki z przyjemnością innéj, można określić przyjemność lub użyteczność grupy, przyjemność średnią. Przypuszcza się tu, iż drobny przyrost użyteczności przedstawia wartość jednakową dla wszystkich członków danéj grupy. Suma przyjemności, którą pewien agregat społeczny odczuwa, zależéć będzie od ilości jednostek, od natężenia ich czucia i od czasu jego trwania. By zdobyć tę masę przyjemności, agregat społeczny i jego członkowie muszą się oddawać wysiłkom i przykrościom, związanym z wytwarzaniem i gromadzeniem bogactw. Otóż każdy system sił, działających czy to w agregacie materyalnym, czy w agregacie społecznym, dąży do równowagi. Równowaga ustanawia się w systemie ekonomicznym między dążeniem do przyjemności i między przykrościami w tém dążeniu napotykanemi. System ekonomiczny znajduje się w równowadze, gdy wszelkie naruszenie tego stanu wywołuje w samym systemie siły, które dążą do postawienia go ponownie w pozycyi pierwotnéj. Gra naturalna wymiany, produkcyi i kapitalizacyi dąży, przy wolném współzawodnictwie, wciąż do tego stanu idealnego, który bywa naruszany tylko przez monopole. Ta kwestya monopolów gra rolę pierwszorzędną, gdyż stosuje się nietylko do zjawisk wyjątkowych życia ekonomicznego, lecz wchodzi do jego podstaw.

Walras, a w ślad za nim i Pareto, przyznają ten charakter monopolu własności ziemskiéj. Nam jednak się wydaje, że to pojęcie monopolu może być rozszerzone na daleko większe zakresy. A mianowicie: czy kapitały osobowe (osoby ludzkie) mogą być rozpatrywane, ja-

ko znajdujące się w tych samych zupełnie warunkach, co i kapitały ruchome, jakby tego wymagała wolna konkurencya, pojmowana w sposób idealnie doskonały? Idealne współzawodnictwo wymaga zupełnéj równości stron przy zgadzaniu się, czego w danym wypadku bynajmniéj nie ma: usługi wytwórcze (czy to osób, czy kapitałów) nie przedstawiają żadnéj bezpośredniéj użyteczności dla swych posiadaczy i muszą dlatego być sprzedane za wszelką cenę; ale to jest ściśle obowiązkowém tylko dla usług osobowych, gdyż kapitały ruchome mogą ograniczyć podaż swych usług na rynku wytwórczym, umieszczając część zbyteczną dla produkcyi w rentach państwowych, czego uczynić nie można z usługami osobistemi. Głębsza jeszcze różnica występuje w czasach stagnacyi przemysłowéj: posiadacz kapitału ruchomego, nie otrzymując dochodów, może napocząć sam kapitał i czekać lepszych czasów, kapitał osobowy natomiast nietylko wówczas dochodów nie daje, ale napoczęty być nie może. Strony nie znajdują się więc w jednakowych warunkach przy ugadzaniu się: jedna może czekać, druga — nie. Ta niemożność czekania stawia kapitał osobowy w położenie niższości w stosunku do ruchomego, który korzysta dzięki temu z pewnego rodzaju monopolu i z wszystkich jego skutków naturalnych: otrzymuje więcéj, niż otrzymywałby przy doskonałém współzawodnictwie. Nie jestto monopol naturalny, lecz historyczny, który powstał wraz z społeczeństwem klasowém; do niego zastosowuje się — jak widzieliśmy poprzednio — ogólna równowaga ekonomiczna, odpowiednio zmieniona i podział bogactw, który jest nietylko rezultatem, ale i punktem wyjścia téj równowagi. Zauważmy także, iż doskonałe współzawodnictwo wymaga, by prawo dziedziczenia działało w sposób zupełnie jednakowy i dla kapitałów osobowych i dla kapitałów ruchomych. Otóż dziedziczność fizyologiczna zdolności osobistych jest daleko mniéj prawidłową, niż prawo sukcesyi majątków.

Geniusz Shakespeare'a lub Goethego daleko trudniéj przechodzi na dzieci, niż bogactwa milionerów. Zauważmy nareszcie, iż doskonałe współzawodnictwo wymaga, by posiadacze kapitałów osobowych sami mogli się zająć wytwarzaniem, gdy posiadacze kapitałów ruchomych mniéj im płacą za ich usługi, niż one są warte. Owóż przy dzisiejszych warunkach technicznych wielkiéj produkcyi jestto rzeczą niemożliwą. Monopoliczny charakter kapitału sprawia, iż teorya równowagi ekonomicznéj, wyprowadzona z założenia doskonałego współzawodnictwa, nie uskutecznia się w rzeczywistości. To ciągłe naruszanie równowagi, która bez zakłóceń ustanowić się nie może, przejawia się peryodycznie w formie kryzysów. Walras, który na tę przyczynę nie zwrócił należytéj uwagi, upatruje dla nich jedno tylko źródło: spóźnie-

nia w zastosowaniu się do siebie różnych czynników równowagi, t. j. zamiany, produkcyi i kapitalizacyi. Przeto szuka przyczyn jeszcze bardziéj powierzchownych, w t. zw. „naturze ludzkiéj". W rzeczywistości jednak istnieje przyczyna daleko głębsza, która systematycznie narusza równowagę ekonomiczną. Jest nią antagonizm pomiędzy wzrostem wydajności pracy i nagromadzania bogactw z jednéj strony, a środkami mas, które, dzięki wskazanemu powyżéj monopolowi, nie mogą wzrastać również szybko. Antagonizm ten przejawia się peryodycznie w formie kryzysów. Masa wciąż wzrastająca kapitałów, które w produkcyi umieszczenia znaléść nie mogą, musi być na wszelkie sposoby usuwana z rynku. Cel ten dopięty zostaje podatkiem z dochodu i systemem długów państwowych. Dzięki tym środkom, między kryzysami otrzymane zostają epoki względnego spokoju, który zresztą nie ma nic wspólnego z teoretyczną równowagą ekonomiczną, opartą na wolnéj konkurencyi. Ta ostatnia powinna była być skutkiem gry naturalnéj sił gospodarczych, którą miały naruszać podatek i długi państwowe. Tymczasem w rzeczywistości gra ta jest naruszana przez przeszkody wewnętrzne, przez monopole i trzeba przeciwdziałać zamieszaniom, które stąd powstają, środkami sztucznemi podatków i długów. Teoretycznie jednak mówiąc, pojęcie równowagi ekonomicznéj — opartéj na współzawodnictwie doskonałém — jest zupełnie uprawnione i tylko wychodząc zeń można będzie za pomocą całego szeregu odpowiednich poprawek zbliżać się coraz bardziéj do poznania rzeczywistości ekonomicznéj. Dlatego też matematycy-ekonomiści dzielą ekonomię na dwie części: ekonomię czystą i stosowaną, co odpowiada takiemuż podziałowi mechaniki.

Teorya równowagi ekonomicznéj jest najwyższém—ściśle naukowém uogólnieniem, które ekonomia polityczna dotychczas posiada. Rozpatruje ona agregat ekonomiczny, jako układ zamknięty i dobrze określony, gdyż objęty jest ilością równań takąż samą, jaką jest ilość niewiadomych—widzieliśmy to, mówiąc o wymianie, produkcyi i kapilizacyi. Zasadnicze formuły równowagi ekonomicznéj—formuły Walrasa—przedstawiają zadziwiającą analogię z formułami ruchu d'Alemberta i Lagrange'a. Bardzo być może, iż uda się w ten sposób podprowadzić ekonomię polityczną pod ogólne prawa mechaniki — takiém przynajmniéj jest zdanie prof. Edgewortha. Dotychczas jednak wszystkie tego rodzaju próby jeszcze poważnych rezultatów nie dały. Bądź co bądź, siły, które działają w układzie ekonomicznym, są siłami psychologicznemi: z jednéj strony dążenie do *maximum* przyjemności lub użyteczności, poruszające każdą molekułę agregatu, każdą jednostkę (są to siły czynne), z drugiéj strony siły przykrości rozwijające się w je-

dnostkach przy tém dążeniu i które odpowiadają mniéj więcéj siłom inercyi w układzie materyalnym. Przykrość ta obejmuje nietylko pracę potrzebną dla zdobycia odpowiedniéj użyteczności, ale wogóle wszelkie wysiłki i wydatki bądź materyalne, bądź umysłowe związane z niém, jak wyrzeczenie się w chwili obecnéj jakiéjś przyjemności, by po pewnym czasie otrzymać większą jéj ilość, t. j. zaoszczędzanie, tudzież zużycie stopniowe kapitałów osobowych, ruchomych lub ziemskich i t. d. Między przykrością, pojętą w sposób tak obszerny, a użytecznością (pojętą zresztą także w sposób jaknajobszerniejszy) istnieje dążność do zrównoważenia się, drogą przechodzenia jednéj w drugą. Wysiłki, przykrości, stosownie skierowane, zamieniają się na odpowiednią ilość przyjemności, użyteczności. Być może, iż na téj drodze da się zastosować do ekonomii ogólne prawo zachowania energii, jeżeli *nb.* będzie dowiedzioném, iż przyjemność i przykrość są zawsze subiektywnym wyrazem energii, są z nią współrzędne (*concomitant)* — jak utrzymuje prof. Edgeworth — jestto jednak tylko hipoteza. Wówczas być może uda się także zastosować na miejsce „przykrości" i „użyteczności" terminy „energii kinetycznéj" i „energii potencyalnéj", ale tu już jesteśmy w krainie czystych hipotez, literatury przyodzianéj w terminy naukowe. Myślenie ściśle naukowe kończy się w téj dziedzinie na teoryi równowagi ekonomicznéj, opartéj z jednéj strony na pojęciu użyteczności elementarnéj (jak ją wyjaśniliśmy w teoryi wymiany), a z drugiéj na przykrości (o ile ona może być utożsamiona z „kosztami wytwarzania" w wysiłkach, zużyciu i czasie). W tym sensie system ekonomiczny może być zrozumiany, jako agregat molekuł (osób), z których każda poruszana jest dążnością do *maximum* użyteczności i powstrzymywana przytém siłami (inercyi) przykrości, które przytém w nich się rozwijają. W ten sposób cały agregat wraca wciąż do stanu równowagi—tu mamy do czynienia ze statyką ekonomiczną. Ale z biegiem czasu wszystkie warunki téj równowagi — i użyteczności elementarne i koszta wytwarzania — się zmieniają. Zarazem i równowaga ekonomiczna, ustanawiając się przy nowych warunkach, jest odmienną od poprzedniéj. Szereg takich stanów równowagi, następujących po sobie w czasie, stanowi dynamikę ekonomiczną (zupełnie jak w mechanice, która rozkłada dynamikę układu na szereg stanów równowagi). Przy przejściu od jednego stanu równowagi do następnego, wszystkie części układu mogą się zmieniać nierównomiernie: np. koszta wytwarzania mogą spaść dzięki wzrostowi wydajności pracy, co wywołuje zwiększoną produkcyę. Gdyby system ekonomiczny był oparty na doskonałém współzawodnictwie, to zmiana równowagi w produkcyi wywołałaby natychmiast odpowiednie zmiany we

wszystkich innych dziedzinach systemu ekonomicznego. Płace byłyby wzrosły odpowiednio do wzrostu wydajności pracy; wzrostowi ilości produktów odpowiadałby wzrost środków zakupna i stosowne zmiany w użytecznościach elementarnych masy. W ten sposób przejście od pierwotnéj równowagi agregatu ekonomicznego do następnéj, wywołane przez wzrost wydajności pracy, odbyłoby się spokojnie, bez zakłóceń. Inaczéj jednak rzeczy miéć się będą, jeżeli przypuścimy, iż pomiędzy kapitałem osobowym, a ruchomym i ziemskim, istnieją nie stosunki wolnéj konkurencyi — idealny jéj stan byłby tylko wówczas urzeczywistniony, gdyby strony ugadzające się były gotowe każdéj chwili zamienić się miejscami, np. wyścigi są tylko wówczas doskonałe, gdy wszyscy wyścigowcy mają jednakowe prawa na każde miejsce u punktu wyjścia — bez monopolu. W takim razie jedna strona będzie brać więcéj, druga mniéj, niż powinna z masy wzrastającéj produktów. Płace nie będą wzrastać w tym samym stopniu, co wydajność pracy, nowa równowaga wymiany nie będzie zastosowana do nowéj równowagi produkcyi, ceny uchylać się będą od kosztów wytwarzania, ogólna równowaga ekonomiczna może się odbyć tylko drogą eliminacyi pewnéj części wytworów: przejście od jednego stanu ekonomicznego do drugiego odbywa się tu drogą kryzysu.

Studyując w ten sposób statykę i dynamikę ekonomiczną, znajdujemy się na gruncie czysto naukowym, gdyż mamy do czynienia z systemem zamkniętym i dobrze określonym, a charakter wszystkich funkcyi, użyteczności i przykrości (o ile ta ostatnia może być utożsamiona z kosztami wytwarzania w wysiłkach, zużyciu i czasie) jest nam dokładnie znany. Prawdopodobnie pod tą użytecznością i przykrością kryje się energia, ale tu już wchodzimy w sferę hipotez: naprzód dlatego, iż nie jest nam znany „most" między tamtemi, a tą. Następnie dlatego, że, przyjmując te nowe terminy, musielibyśmy się wyrzec systemu zamkniętego: o ile mamy do czynienia z empirycznemi wrażeniami przyjemności i przykrości (a raczéj kosztami wytwarzania), możemy zbudować — jak to poprzednio widzieliśmy — ogólny stan ekonomiczny, zawierający tyleż równań, co i niewiadomych; jeżeli zaś zamiast tych wyrazów subiektywnych energii — o ile użyteczność i przykrość niemi są! — chcielibyśmy podstawić samą energię, wchodzimy w nowy zupełnie układ o granicach całkiem nie określonych, istotnie nie wystarcza wprowadzić nową terminologię „energii kinetycznéj" lub „potencyalnéj" i tém się zadowolić, trzeba jeszcze dowiéść, iż funkcye te działają w systemie zamkniętym i ściśle określonym, który zawiéra tyleż równań, co i niewiadomych — inaczéj pod pozorem badania naukowego mamy zwykłą literacką frazeologię—określiwszy przedtém ściśle

już nie mówimy wartość numeryczną, ale przynajmniéj charakter tych funkcyi. Próbowano np. określić „energię kinetyczną", jako pracę. Otóż najmniejsza znajomość ekonomii matematycznéj pokazuje, iż np. „energia kinetyczna" w żaden sposób utożsamioną być nie może z pracą, chociażby nawet pojętą, jako praca społecznie niezbędna: system równań produkcyi nie utrzymałby się ani chwili, gdyby w nich na miejsce „kosztów wytwarzania" chciano postawić „pracę", która jest tylko ich częścią, chociażbyśmy nawet pojmowali pracę nie w zwykłém znaczeniu, lecz jako pracę społecznie — niezbędną. Przyklad Marxa pokazuje, iż to utożsamienie było dotychczas nieusprawiedliwione. On, który w pierwszym tomie swego dzieła brał za punkt wyjścia pracę społecznie niezbędną, w trzecim porzuca ten punkt widzenia i powraca do kosztów wytwarzania. Wprawdzie stara się zrównać je całym systemem kompensacyi, ale próba ta, zdaniem naszém, nie wypadła pomyślnie, być może dlatego, iż pojął pracę w sposób nazbyt wyłączny [1]).

Leon Winiarski,
privat-docent uniwersytetu Genewskiego.

---

[1]) W kwestyi téj por. pracę naszą p. t. „Etude critique sur le III vol. du Capital de Marx" w „Revue d'Economie politique", 1897.



Rynek Staromiejski w Warszawie.

Domy i ich historya.

We wszystkich dotychczasowych opisach Rynku Starego Miasta, poprzestawano na wzmiance o kilku najwydatniejszych jego domach. Reszta wydawała się opisującym niegodną bliższéj uwagi. My sądzimy o tém inaczéj. Dla nas Rynek Staromiejski jest księgą, któréj wszystkie bez wyjątku karty powinny być odczytane. Jedne z nich zajmują więcéj, inne mniéj — nie wynika stąd jednak, aby którakolwiek bez szkody dla całości, mogła być wydarta.

Z czterech boków Rynku, każdy miał niegdyś swą nazwę urzędową. Nazwy te dla dzisiejszego czytelnika byłyby już niezrozumiałe. Zamiast nich postawimy inne, prościejsze i wskazujące zarazem stronę, w któréj się każdy z boków znajduje.

Szczegółowy przegląd domów odbywać się będzie koleją dzisiejszych numerów policyjnych; tuż obok nich wskażemy numery hipoteczne.

A. Bok Południowy.

(Pomiędzy Jezuicką i Świętojańską).

O boku tym ksiądz Kurowski napisał, że „nie posiada żadnego domu, do którego-by przywiązana była pamiątka głośnego czynu lub w dziejach wspomnianéj osoby.” Zobaczymy zaraz o ile to jest prawdą.

Pierwszy opis należy się domowi dziś już nieistniejącemu. Stał on na rogu Rynku i ulicy Jezuickiéj, tam, gdzie znajduje się obecnie przedłużenie gmachów po-Pijarskich.

W wieku XVII dom ten był własnością rodziny Gizów (albo Gissów), liczącéj się do patrycyatu Staréj Warszawy. Rodzina ta posiadała również dom oboczny.

O Gizach mówi Jarzembski:

Gizowie od czasów dawni
W urzędach są różnych sławni...

Potwierdzają to fakta.

Uczony biskup warmiński Tydeman Giza, żyjący w pierwszéj połowie XVI-go w. z tego rodu pochodzi. Niejednostajność pisowni już przy jego nazwisku występuje wyraźnie. Nazywany jest naprzemian: Giza, Gissa, Gize (ta forma ustaliła się), Ghize, Ghise a wreszcie Gisius i Gizjusz. Łączyła go przyjaźń z Kopernikiem i Erazmem z Rotterdamu; cieszył się też wielkiem zaufaniem Zygmunta Starego.

Prawie współcześnie z biskupem występuje Balcer albo Baltazar Giza, który jest rajcą Staréj Warszawy.

Syn Balcera Paweł jest księdzem († 1624). Napis na jego nagrobku, dziś już nieistniejącym, utrwalił w swych „Monumentach" Starowolski.

Mieli też Gizowie w rodzie swym i poetę. Na imię mu było Jan. Żył on i pisał ku końcowi wieku XVI-go, modą zaś ówczesną przezwał się *Gysaeus*. Bentkowski wspomina za Janockim (*Janociana* I, 105) o dwóch jego wierszach, w młodym wieku napisanych, które się w Bibliotece Załuskich znajdowały. Otc ich tytuły: 1-o *In obitum Sereniss. Stephani Regis Pol. etc.* (Kraków 1588, in 8-vo); 2-o *Charites Serenissimam Annam Reginam Pol. etc. in ingressu Cracoviam anno 1588 salutant. Joanne Gysaeo Varsavien. ad lyram tenero aetatis plectro praecinente.* (Kraków 1588 in 4-to).

Jedna z Gizanek (nazywana zwykle „Giżanką") odgrywa nieciekawą rolę w erotyczno-melancholijnych fantazyach Zygmunta Augusta. Poślubił ją Michał (syn Jerzego) książe Wiśniowiecki. Inna (Anna) jest matką dziejopisa Rudawskiego. Rudawski nazywa ją „baronessą z przesławnego rodu Gissów we Frankonii." Jest w tém przesada, ale częściowa tylko. Gizowie—jak niemal wszystkie rody mieszczańskie Staréj Warszawy — byli pochodzenia niemieckiego; gniazdem też ich była podobno naprawdę Frankonia.

W początkach XVII-go w. Aleksander Giza piastuje urząd administratora komór solnych Mazowieckich. Z lustracyi 1620 r. dowiadu-

jemy się, że miał spór z mieszczanami Nowomiejskimi. Przedmiotem sporu była jego posiadłość sześciowłókowa, w obrębie Nowéj Warszawy leżąca. Gizowie otrzymali przywiléj na nią od Bolesława księcia Mazowieckiego. Nowomieszczanom nie było to na rękę, wystąpili więc energicznie przeciw libertacyi — któréj wszakże prawomocności pozbawić nie mogli.

W r. 1652 Mikołaj Konstanty Gize otrzymuje indygenat. Jednocześnie król Jan Kazimierz obdarza go przywilejem, uwalniającym od czynszów z folwarku we wsi Wielka Wola i z gruntów, półtrzeciéj włóki obejmujących.

W epoce pierwszéj wojny szwedzkiéj wsławia się Jan Aleksander Giza (syn administratora). Akta Staréj Warszawy nazywają go naprzemian Janem, i Aleksandrem. Wprowadza to zamieszanie do genealogii Gizów, wśród których znajduje się współcześnie inny Aleksander, kanonik warszawski. Jest to zapewne młodszy brat tamtego.

Jan Aleksander Gize jest w r. 1655 właścicielem domu, o którym mówimy. Piastuje on wówczas zaszczytną godność burmistrza Staréj Warszawy. Na urząd ten wraca kilkakrotnie, co dowodzi jak wielkiém zaufaniem darzony był przez współobywateli.

W czasie najazdu szwedzkiego, gdy popłoch ogarnął całe miasto, on jeden głowy nie traci, i stanąwszy na czele obrony, umiejętnie nią kieruje. Zjednywa mu to przydomek: „Rząd Warszawy."

Dwaj bracia Jana-Aleksandra służą wojskowo. Jakób jest rotmistrzem rajtaryi, Franciszek—kapitanem. Męstwo Jakóba, okazane przy wzięciu Torunia w r. 1658, zapisano w konstytucyach.

Ksiądz Aleksander Giza, kanonik warszawski, jest sekretarzem królewskim. W „Rewizyi gospód" z r. 1669 występuje on jako właściciel opisywanego przez nas domu. W tejże Rewizyi opisano i sam dom, jako posiadający „izb 5, sklepów 4, piwnic 3, kuchni 2." Stawał w nim gospodą Biskup Warmiński.

Ksiądz sekretarz posiada grunta libertowane w Brudnie pod Warszawą.

Na początku wieku XVIII-go, dom Gizów przeszedł na własność Franciszka Witthoffa, burmistrza Staréj Warszawy. Witthoffowie to również patrycyusze staromiejscy.

Franciszek nosił przezwisko: „Bogacz", liczył się bowiem do najzamożniejszych obywateli miasta. Miał on szczególne upodobanie w nabywaniu domów, których posiadał kilkanaście. Może czynił to w nadziei, że tym sposobem utrwali się w mieście na długo, jeśli nie na zawsze, potęga jego rodziny.

Stało się jednak inaczéj.

„Bogacz” miał jedynego syna Stanisława, któremu, umierając (w r. 1719) pozostawił olbrzymi majątek. Nie spodziewał się, niestety, że ten syn będzie — ostatnim z rodu. Stanisława wzięli w opiekę Jezuici i tak długo mówili mu o marności dóbr doczesnych, że przywdział ich sukienkę i bogactwa swe zapisał zakonowi.

Wówczas też przeszedł do rąk Jezuitów i dom, który opisujemy.

Dom ten wcielony do gmachów klasztornych, uległ zupełnej przeróbce i byt samoistny utracił. Od r. 1729, pozbawiony frontu i oddzielnéj pozycyi hipotecznéj, nie liczy się już do posesyi staromiejskich.

O przeszłości domu jedno jeszcze zapisać trzeba. Zanim został własnością Gizów, nazywano go „Zygmuntowskim.” Skądby ta nazwa powstała, dojść nie mogłem.

№ I (35).

Na domu tym znajdowała się dawniéj tablica marmurowa z takim napisem:

D. O. M.

Nie dziw, że tak ta struktura wspaniała,
Gdyż dwakroć Polskich tronów respekt miała.
W ręku Walbachów wprzód libertowana,
Z tym przywilejem w moc Gizom podana,
Andrychiewiczów z Gizowskiéj została,
Których się kosztem tak reformowała.
Roku Pańskiego 1707, dnia 18 Października.

Jest to w streszczeniu kronika téj posesyi.

Pierwszy jéj właściciel Melchior Walbach, żyjący w wieku XVI był bogatym kupcem, a zarazem podwojewodzim warszawskim. Musiał on położyć ważne zasługi dla miasta, skoro obdarzono jego dom libertacyą oraz innemi przywilejami. Jedno i drugie zostało aprobowane w r. 1677, gdy już dom był własnością Gizów.

Jak przeszłość całéj Warszawy, tak i przeszłość tego domu, trudno odbudować z tego, co się widzi obecnie. Kilka zaledwie pozostałości stanowi ślad niewyraźny i zatarty, po którym postępując ostrożnie, z dowodami archiwalnymi w ręce, dochodzi się do ułamkowego obrazu doby wczorajszéj.

Samo rozejrzenie się w planie sytuacyjnym domu poucza, że był on siedzibą rodziny możnéj, prawie magnackiéj. Jest to jakby trójca budynków, w jedną całość złączonych. Każdy budynek posiada trzy lub cztery piętra oraz obszerne, oszklone poddasze. Komunikacyę po-

między budynkami stanowiły niegdyś korytarzyki wązkie, półciemne i tak zręcznie w ścianie sieni ukryte, że nieświadomy nawet się istnienia ich nie domyślał.

Dom frontowy o czterech piętrach służył za mieszkanie gospodarzowi i jego rodzinie. Komnaty są tu po pańsku obszerne i widne. Ale napróżno szukalibyśmy ich najpiękniejszéj z późniejszych czasów ozdoby: malowanych przez Bacciarellego plafonów. Zachowały się tylko piękne poręcze schodów, z kutego, misternie wyginanego żelaza.

W sieni stoi jeszcze ława kamienna dla służby, a nad drzwiami zamurowanemi widać tablicę z zatartym do szczętu napisem.

Część druga, znacznie skromniejsza, stanowiła pomieszczenie służby. Od budynku frontowego oddziela ją maleńkie, typowo staromiejskie, podwórko, do studni podobne.

Część ostatnia obrócona była na składy. Okna są tu po większéj części kratami żelaznemi opatrzone.

„Rewizya gospód" utwierdza nas w przekonaniu, że posesya ta miała ongi charakter dworu w pełném znaczeniu tego słowa. Nie brakło w niéj nawet tego, co w domach staromiejskich stanowi największą osobliwość, mianowicie: stajen. Rewizya wymienia „stajenkę na tyle" oraz „stajnię wielką."

Po Gizach, właścicielami domu stali się Andrychiewiczowie.

Rodzina ta dopiéro w drugiéj połowie XVIII-go w. na widownię występuje. W roku 1781 Ignacy Andrychiewicz *v.* Andrychowicz jest ławnikiem Staréj Warszawy i asesorem urzędu ekonomicznego; w trzy lata późniéj spotykamy go wymienionego pomiędzy rajcami.

Andrychiewiczowie kamienicę, nadrujnowaną już nieco, odnowili i upiększyli, pozostawiając pamięć tego w tablicy, o któréj wspomniałem na wstępie.

Taryfa z r. 1784 wymienia jako właścicielkę domu „urodzoną" Antoszewską. Potém przechodzi on kolejno do Majewskich, Voglów i Gołembiewskich. W ręku ostatniéj rodziny dotąd (od lat stu) pozostaje.

Znajdujący się na czole tego domu wizerunek Matki Boskiéj Częstochowskiéj za szkłem nie jest zabytkiem dawnym. Umieszczono go dopiéro w r. 1853.

Obecny właściciel domu objaśnił mię, że ze starych pamiątek nieruchomość jego posiada jeszcze: drzwi dębowe rzeźbione w stylu „kościelnym" (gotyckim, ostrołukowym), takież okiennice i boazerye oraz belki modrzewiowe snycerskiéj roboty, napuszczane farbami. Te ostatnie są w części zabielone wapnem, w części deskami oszalowane. Należy je koniecznie odsłonić i oczyścić.

Jeden z mieszkańców domu niegdyś „Gizowskiego“ uczynił się sławnym, a przynajmniéj popularnym. Był nim Patz, dyrektor policyi za rządów pruskich.

Musiał to być człek energiczny i zwolennik doraźnego wymierzania sprawiedliwości. Dowcip uliczny zamknął charakterystykę jego w dwuwierszu, który się dotąd w pamięci ludu warszawskiego przechował:

Chodźmy do pana Paca,
Co bije kijem i obraca.

Skończywszy z faktami, wspomnieć musimy o—bajkach.

Podanie ustne, dowodami nie poparte, czyni dom opisywany miejscem zamieszkania Urszuli Meierin, głośnéj ochmistrzyni synów Zygmunta III-go. „Panna Urszula“ miała tu mieszkać zaraz po przybyciu do Polski, przyczém skryte, podziemne, przejście łączyło jéj dom z Zamkiem królewskim...

Twórcy téj romantycznéj fantazyi nie biorą pod uwagę faktu, że towarzyszka królowéj, a następnie dozorczyni jéj dzieci, nie mogła przemieszkiwać gdzieindziéj, jak tylko—przy królowéj i przy jéj dzieciach. Nie zastanawiają się też nad tém, że nikt nie potrzebuje dostawać się drogą skrytą tam, gdzie ma każdéj chwili, jak mówią Francuzi, *ses grandes et petites entrées*.

Postanowiłem wykryć źródło, z którego bajka powstała, i zdaje mi się, żem dopiął celu.

Przedewszystkiém, istnieją wskazówki (jeśli się nie mylę w Pamiętnikach ks. Albrychta Radziwiłła), że panna Urszula pokumała się z mieszczaństwem warszawskiém, i w Rynku czy też w któréjś z przyległych ulic nabyła na własność kamieniczkę. Rozumié się, że tą kamieniczką nie była i być nie mogła wielka posesya Walbachowska, zajmująca miejsce tak wydatne w kronice Staréj Warszawy.

Następnie jeden z domów na téj właśnie, południowéj stronie Rynku, zwał się „Majeranowski“ (od Majerana, burmistrza St. Warszawy)—co brzmiało tak samo prawie, jak „Majerinowski“.

Wreszcie w kamienicy Walbachowskiéj istniały rzeczywiście przejścia, któremi można się było dostać — nie skrycie jednak i nie pod ziemią — najpierw do kościołów: Jezuickiego i Ś. Jana, a następnie do Zamku.

Wiadomo, jaka tajemniczość okrywała (i dotąd okrywa) osobę wpływowéj Niemki, przyjaciółki i opiekunki Jezuitów. Nawet na-

zwisko jéj podawane jest w wątpliwość [1]). Ruchliwa fantazya ludu warszawskiego, tajemniczością tą podniecona, wysilała się, aby „pannę Urszulę“ uczynić bohaterką jakiéjś, w stylu staromiejskim, legendy. W tym celu, trzy odosobnione fakta, które przytoczyłem, złączone zostały w jedno, i po odpowiedniém przekształceniu zmieniły się w efektowną — bajkę.

№№ 3 i 5 (36 i 37).

Dwa te numery łączę w jeden, posiadają bowiem bardzo mało treści historycznéj i pamiętnikowéj.

Jako właściciel domu № 3, wymieniony jest w lustracyi 1655 r. Jerzy Jucht v. Juch, „cyrulik J. K. Mości“. Dom ten był libertowany, co zapisano znów w lustracyi z r. 1660.

Zdaje się, że tylko przez czas krótki znajdowała się ta kamienica w posiadaniu Juchta, bo już w roku 1669 właścicielem jéj jest Marcin Ginter, akta zaś owoczesne piszą o niéj: *ante* Kosińskiego.

W dziejach Staréj Warszawy nazwisko Ginterów często się spotyka. Była to rodzina kupiecka, można i zasłużona. Napiszę o niéj obszerniéj w kronice domu zwanego „pod Murzynkiem“, który przez długie lata był własnością Ginterów, a prawdopodobnie przez nich téż został wybudowany.

W końcu zeszłego i na początku bieżącego stulecia kamienica № 3 należała kolejno do Flaczkiewiczów i Izdebskich.

O domu № 5 mniéj jeszcze jest do powiedzenia.

W wieku XVII dom ten był własnością najpierw Jeleniów, następnie Kotyńskich. Ani pierwsi, ani drudzy nie zajęli w dziejach miasta miejsca wydatnego. Pomiędzy członkami magistratury nazwisk tych napróżno szukałem.

Breza, Kwiatkowski, Choromański, Sarnowicz— oto nazwiska późniejszych właścicieli tego domu.

Na jego czole, ponad środkowém oknem pierwszego piętra znajduje się w płaskorzeźbie medalionowéj portret mężczyzny.

№ 7 (38).

Ta kamienica nazywała się niegdyś „złocistą“. Dlaczego? Bo czoło jéj było wyzłacane. W bardzo dawnych opisach Warszawy,

---

1) Sobieszczański twierdzi, że Meierinn albo Majerinn nie jest nazwisko, lecz znaczy poprostu: ochmistrzyni. W staréj niemczyźnie wyraz ten jednoznaczny był z Meisterinn (Hofmeisterinn).

zwłaszcza w relacyach cudzoziemców, znajdują się wzmianki o polichromicznem przyozdabianiu domów staromiejskich. A w polichromii i dla złota jest miejsce.

Stwierdza to zresztą i późniejszy Jarzembski:

Bardzo kamienice śliczne
W Rynku; także i uliczne.
Błyszczą się od złota prawie;
Niemasz takich w Czersku, w Rawie.
Na nich dziwne rysowanie,
Farbami ukształtowanie.

Wogóle, z dzisiejszéj powierzchowności domów staromiejskich nie można powziąć pojęcia o tém, jak wyglądały przed dwoma, trzema wiekami. Dziś to tylko zeschłe, poczerniałe łupiny, otłuczone i wypłowiałe konchy, — w których nie ma ani owocu, ani zwierzęcia. Niegdyś miały własne, osobiste życie, miały duszę, która im pewien wyraz indywidualny nadawała; dziś, jak owe konchy i łupiny, poniewierają się wśród wielkomiejskich odpadków, służąc to tym, to owym, za przygodne schronisko...

O pierwszych właścicielach kamienicy mówią wyraźnie: herb i cyfra, wykowane misternie z żelaza i nad wejściem umieszczone. Herb, wyobrażający krzyż podwójny z dwiema podpórkami, jest herbem „Baryczka"; cyfra *S. B.* oznacza Stanisława Baryczkę.

Nazwa kamienicy musiała pozostawać w związku i z herbem, ten ostatni bowiem, w opisaniu heraldycznem, ma barwę złotą „Widziéć takich herbów siła w Warszawie, w kościele Ś. Jana" — mówi Niesiecki. Odnosi się to do czasów, poprzedzających ostatnią przeróbkę kościoła.

Baryczkowie, także i ci
W konsyliach znamienici —

rymuje wspomniany przed chwilą wierszopis. Pochwała to zbyt skromna. Najpierw, nie można Baryczków kłaść na drugiém miejscu, skoro zawsze zajmowali pierwsze; następnie „konsylia" nie były nigdy wyłącznem polem popisu dla tych, co różnorodnemi, a prawie bez wyjątku samodzielnemi, odznaczyli się zasługami.

Ród Baryczków wywodzi się z Węgier.

Wojciech Tymowski, uczony jezuita żyjący w w. XVII, pisze, że pierwszym z Baryczków, co kraj rodzinny opuścił i przybył najpierw na Ruś, a potém do Polski, był Iwo, czyli Jan. Stało się to jeszcze na początku wieku XIII-go, mianowicie w r. 1207.

Powód, dla którego Iwo Baryczka został wychodźcą, był ten, że

„urodzonym na wolności, nie chciało się jęczéć pod jarzmem bisurmańskiém".

Dziedzic głośnego i poważanego imienia, dziesiąty z rodu, pozostawił w ręku pogan rozległe majątki i przeniósł się na Ruś, przekładając wolność nad bogactwa. Na Rusi poślubił równą sobie urodzeniem Jadwigę Różycównę, ale mimo to na stałe w kraju tym nie osiadł.

Gdy Ruś zawrzała wojną domową, Iwo z młodą małżonką zapragnęli zaciszniejszego dla siebie gniazda i udali się na Mazowsze. Panował w niém wówczas książę Konrad, któremu Baryczka dziwnie przypadł do serca. Młody wychodźca węgierski, przypuszczony do przyjaźni panującego, zajął na dworze miejsce wydatne i osypany został zaszczytami. Gdy nadto otrzymał w darze od księcia dwie wioski, związało go to ostatecznie z ziemią, któréj już ani on, ani najdalsi jego potomkowie, nigdy opuszczać nie mieli.

Opowieść księdza Tymowskiego opatruje Niesiecki uwagą krytyczną. Twierdzi on, że Iwo Baryczka nie mógł uchodzić z ojczyzny przed Turkami, gdyż ci dopiéro w całe stulecie późniéj do Węgier zawitali. „Raczéjby tedy (słowa Niesieckiego) miał mówić, że z Kolomanem, królem Halickim na Ruś Iwo przyszedł."

Cokolwiekbądź, protoplastą polskiego, a ściśléj mówiąc: mazowieckiego domu Baryczków, był ów Iwo czyli Jan.

Przypatrzmy się teraz dalszym dziejom tego rodu, ściśle związanym z dziejami Mazowsza i jego stolicy.

Iwo miał trzech synów: Bartłomieja, Henryka i Jana. Ci antenaci późniejszych mieszczan odznaczali się duchem rycerskim, mieszczańskiemu krańcowo przeciwnym. Bartłomiéj bronił Mazowsza od Litwinów i w jednéj utarczce z nimi poległ. Henryk walczył szczęśliwie z Henrykiem Brodatym i jak się zdaje w stanie bezżennym życia dokonał. Jan spłacił również dług obowiązkom publicznym, pomyślał jednak następnie o obowiązkach rodu i pojął żonę z rodu Grzymałów.

Po Janie Baryczce pozostało trzech synów: Marcin, Jerzy i Henryk.

Z téj trójcy najgłośniejszym stał się Marcin, doktór Ś. Teologii, wikaryusz i kaznodzieja katedry krakowskiéj. Osobistość to historyczna—w któréj rodowodzie Tymowski widocznie błąd popełnił. Marcin Baryczka nie mógł być wnukiem Iwona, gdyż dzielił go odeń półtorawieczny okres czasu. Z ledwością uważać-by go można za jego prawnuka...

Ten Marcin Baryczka padł ofiarą starcia się władzy świeckiéj z duchowną za Kazimierza Wielkiego.

Ksiądz Tymowski widzi w królu tylko rozpustnika, oraz wyłamującego się z pod władzy Kościoła odstępcę, a w Baryczce — tylko pokornego sługę kościelnego. Historya nieco inaczéj obu ich charakteryzuje.

Król Kazimierz nazwany został Wielkim głównie dla wielkich zasług na polu wewnętrznego urządzenia kraju położonych. Dążył on do zaprowadzenia równowagi pomiędzy klasami społecznemi, do równomiernego rozłożenia przywilejów i ciężarów. Duchowieństwo ówczesne, które zapewniwszy sobie przywileje największe, dążyło jeszcze do wyłamania się od wszelkich zgoła ciężarów, tym zamiarom monarszym w poprzek stawało.

Stąd gniewy obustronne i stąd gwałtowne starcie, które doprowadziło aż do zbrodni. Ofiarą padł ksiądz Baryczka, którego utopiono w przeręblu. Stało się to 8 stycznia 1349 roku.

Bezpośrednią przyczyną katastrofy była klątwa, rzucona na króla przez biskupa krakowskiego, Bodzantę; bezpośrednim powodem klątwy —upominanie się u tegoż Bodzanty o należne skarbowi koronnemu podatki. Powód jednak właściwy zamaskowano czém inném, mianowicie: niemoralném życiem Kazimierza. Z klątwą poszedł na zamek Marcin Baryczka i śmiałość swą życiem przypłacił.

Okrutna śmierć młodego księdza, który, mimo zaciekłości stronniczéj, był człowiekiem czystym i w dobréj wierze działającym, rzuciłaby plamę na charakter króla, — gdyby go historya w obronę nie brała. Okazano, że utopienie Baryczki nie od Kazimierza wyszło, lecz od gwałtowników świeckich, z duchowieństwem wojujących.

Kraszewski, który w każdym sądzie swym o ludziach i faktach, starał się być beznamiętnym i sprawiedliwym, tak w krótkich słowach rzecz tę przedstawia:

„Zajście z Bodzantą, biskupem krakowskim, o dziesięciny doprowadziło aż do tego, że na króla klątwę rzucono. Słudzy i dworactwo Kazimierza najczynniejszego w téj sprawie ks. Marcina Baryczkę, mszcząc się za pana, utopili. Zrzucono winę morderstwa na króla, aby go zohydzić, bo dowiedzioną mu być nie mogła."

Cokolwiekbądź, dom Baryczków w rzędzie innych luminarzów pozyskał męczennika. Starano się nawet tego, zbyt żarliwego, sługę Kościoła otoczyć urokiem cudów i świętości. Stworzona została legenda o „głosach anielskich", odzywających się w miejscu jego męczeństwa, o „światłości niezwyczajnéj", która płonęła tam dopóty, aż lód roztopniał. Ciało kaznodziei miało w górę Wisły, przeciw wo-

dzie, płynąć „bez najmniejszego uszkodzenia, jakby świéżo do wody wrzucone", przyczém „wonność jakąś wdzięczną z siebie wydawało."

Ks. Marcin Baryczka pochowany został w Krakowie, w kościele Ś. Katarzyny u OO. Augustyanów, w kaplicy brackiéj Ś. Mikołaja z Tolentynu.

W warszawskim kościele Panny Maryi na Nowém Mieście, znajduje się nad stallami w prezbiteryum jego portret, zapewne staraniem rodziny umieszczony. Portret przedstawia księdza Baryczkę stojącego przed Kazimierzem Wielkim. Poniżéj następujący napis:

Martinus Bariczka Varsaviensis Doctor Vicarius Concionator Cathedralis Cracoviensis vitae integritate mundi contemptu, DEO ZELO celebris quod in Casimiro 11 Rege Poloniae audacter vitia palam argueret eundemque jussu S. Sedis excommunicaret in Vistula sub glacie A. 1349. 8. Januarii submersus obiit, vitam ejus et mortem sanctam Angelicus diu usuque ad obitam glaciem audius prodidit conceptus.

Drugi z synów Jana Baryczki, Jerzy, nie odznaczył się niczém takiém, coby aż do naszéj pamięci doszło. Żonaty był z Barbarą z Wyszkowic i umarł w Czersku, gdzie mu żona nagrobek wystawiła.

Jerzy Baryczka zeszedł ze świata bezpotomnie, a dziedziców imienia i zasług pozostawił najmłodszy z braci, Henryk. Ten ostatni, poślubiwszy Barbarę z Domniewa, herbu Dołęga, miał z nią dwóch synów: Wacława i Wojciecha.

Każde prawie pokolenie Baryczków dostarczało sługę Kościołowi, i z tych zatém dwóch braci jeden poświęcił się służbie Bożéj. Był nim Wacław, późniejszy kanonik wrocławski.

Wojciech Baryczka wiódł żywot świecki i rycerski. Już jako człowiek żonaty i ojciec kilkorga dzieci, udał się z królem Władysławem na nieszczęśliwą wyprawę pod Warnę, gdzie „życie na placu położył".

I po Wojciechu dwóch pozostało synów: Szymon i Piotr.

Wierni tradycyi, poszli oni w życiu odmiennemi drogami, aby — jak to zwykle u Baryczków bywało — spłacić w równéj mierze dług ojczyźnie i rodowi.

Śmierć ojca nie zniechęciła starszego z synów do wojennego rzemiosła. Szymon Baryczka mężnie wojował i w Polsce i w Czechach, mówi téż o nim Niesiecki, że „zdał się być do wojny urodzonym."

Młodszy z braci, Piotr, poświęcił się życiu dworskiemu i mieszczańskiemu. Przebywając przez czas długi na dworze Konrada III (Niesiecki błędnie pisze w t ó r e g o, dzielą bowiem tych książąt dwa

całe stulecia), księcia Mazowieckiego, osiadł następnie w Warszawie, któréj już potomkowie jego nie opuszczali.

Piotra uważać można za właściwego protoplastę i głowę rodu Baryczków-mieszczan, którzy przez kilka wieków stanowili *lumen* Staréj Warszawy.

Synów tego Piotra było trzech: Piotr *junior*, Jerzy i Jan.

Piotr, posłuszny tradycyi, poszedł w służbę Kościoła i został kanonikiem warszawskim.

Jan bawił przez czas niejaki na dworze Ludwika, króla węgierskiego, poczém wrócił do ojczyzny i w Warszawie zamieszkał.

Jerzy uprawiał w równéj mierze naukę i pobożność, starając się na wszelki sposób być użytecznym miastu rodzinnemu. „W różnych cudzoziemskich językach przećwiczony", odbywał częste podróże, nigdy w nich jednak Warszawy z serca i pamięci nie wypuszczając. Jemu to zawdzięcza katedra warszawska „cudownego" Pana Jezusa, rzezanego z drzewa i umieszczonego w oddzielnéj kaplicy, na lewo od wielkiego ołtarza. Rzeźbę tę przywiózł Jerzy Baryczka z Norymbergi, gdzie przez heretyków, wraz z innemi świętościami była na stos rzucona do spalenia.

Ksiądz Tymowski, zaraz po tych trzech braciach, umieszcza Stanisława, „syna Bartłomieja", co do genealogii Baryczków wprowadza pewne zamieszanie.—Któryż to Bartłomiéj? — pyta czytelnik — i skąd się wziął w tém miejscu?...

Niesiecki, przypuszczając, że tu mowa o Bartłomieju, synu Iwona, zauważa ironicznie, że autor „od roku 1280 prędko poskoczył do roku 1500!"

Wątpliwość tę wyjaśnia najzupełniéj—tablica marmurowa, na innym, niegdyś Baryczkowskim domu, umieszczona. O tym domu i o téj tablicy będzie mowa późniéj, przy opisie południowego boku Rynku. Tymczasem wyjmujemy z tablicy owéj wiadomość, że Bartłomiéj Baryczka, o którego tu idzie, był synem Jerzego, burmistrza Staréj Warszawy i Jadwigi Baltolorówny, a wnukiem Piotra i Anny. Nie przerywa się przeto w tém miejscu bynajmniéj łańcuch genealogiczny.

Otóż ten Bartłomiéj, ożeniony z Krystyną Fukierówną, miał syna Stanisława, w którym odżył rycerski duch przodków. Walczył on i w kraju i na obczyźnie, a wszędzie—jak mówi jego biograf—„odważnego serca dawał dowody".

Ten to Stanisław Baryczka wzniósł dom, który opisujemy i na którym cyfra jego widnieje. Był on nie lada potentatem, choć, jak się zdaje, skończywszy rycerski okres swego życia i osiadłszy w Warszawie, zajmował się głównie, jeśli nie jedynie, robieniem fortuny.

Dzierżawił wieś Kamień pod Warszawą, był administratorem Żup solnych w Mazowszu, skupował place, domy — ba, jurydyki całe. Od niego jedna z ulic Staréj Warszawy otrzymała nazwę „Baryczkowskiéj" (poprzednio, t. j. do roku 1619, zwała się „Żydowską" albo „Abrahamowską").

Kilkakrotnie obierany był przez współmieszczan starszym ławnikiem, Weinert zaś twierdzi, że „prawością swą dla dobra miasta jako jeden z najgorliwszych urzędników słynął i w całém Mazowszu odznaczał się powagą". Jednak i własnego dobra z oka nie spuszczał, umiejąc w potrzebie energicznie się o nie upominać. Około r. 1600 miał jakiś zatarg z magistratem Staréj Warszawy o bezprawne wycinanie drzew na Kawczéj (dziś Saskiéj) Kępie. Z tą pewnością, jaką dają w równym stopniu: czyste sumienie i bogactwo, wystąpił wówczas z obroną, w któréj nazywa siebie „człowiekiem da Pan Bóg nietylko z wieku swego, ale i z przodków swych spokojnym i w niczém nienagannym." Nawiasem dodaję, że w téj obronie godne jest uwagi jedno wyrażenie znamienne; brzmi ono: „Rzeczpospolita Warszawska".

Stanisław, poślubiwszy Jadwigę Kulską (ksiądz Tymowski nazywa ją Kulińską, herbu Odrowąż), miał z nią trzech synów: Wojciecha v. Alberta, Stanisława i Jacka. Wszyscy trzéj trwałą pamięć po sobie zostawili.

Jacek Baryczka, doktór Ś. Teologii, mąż pobożny i światły, był jednym z założycieli i głównych dobrodziejów klasztoru Domininikanów przy ulicy Freta. W uznaniu zasług, obierano go czterokrotnie przeorem tego zakonu.

Ksiądz Tymowski pisze o nim: „Theologia i Philozophia dla swoich w Warszawie fundował." Znaczy to, że staraniem i kosztem uczciwego przeora powstał przy klasztorze Dominikanów rodzaj Akademii duchownéj, czyli tak zwane *Studium formale*, któremu na cześć fundatora dano przydomek *Baricianum*. Trzy katedry profesorskie opłacane w niém były ze szkatuły Baryczki.

Prócz tego, ojciec Jacek energicznie zajmował się budową kościoła i klasztoru, na co szło niemało pieniędzy jego i całéj rodziny Baryczków. Jedną obszerną izbę w klasztorze przeznaczył na bibliotekę, obdarzywszy ją na początek własnym bogatym zbiorem ksiąg i rękopisów. Doprowadziwszy do końca ukochane swe dzieło, to jest ukończywszy budowę kościoła (1638 r.) i klasztoru (1649 r.), umarł spokojnie w r. 1650, podniesiony do godności „wikarego jeneralnego" wszystkich klasztorów Dominikańskich w Koronie.

Brat Jacka, Stanisław, słynął z nauki, a zwłaszcza z biegłości w językach i talentu krasomówczego. Był to człowiek do tańca i do różańca — co zresztą w rodzie Baryczków nie należało do rzadkości. Na dworze papieskim błyszczał zaletami duchowemi, pod buławą Żółkiewskiego zdumiewał żołnierską bitnością. Wiele dobrodziejstw świadczył kościołom i klasztorom. W Warszawie, kościoły: Ś. Jana, Ś. Krzyża i Ś. Józefa, oraz klasztory OO. Dominikanów i PP. Karmelitanek wiele mu zawdzięczały.

Ma on w katedrze kamień nagrobny z portretem, przez bratanka fundowany, na którym cnoty jego i zasługi szeroko są opisywane. Dowiadujemy się z tego źródła (co w części przytacza i Niesiecki), że był sekretarzem królewskim Zygmunta III i Władysława IV-go, a doradcą zaufanym cesarza Ferdynanda II-go, że cieszył się uznaniem i życzliwością papieża Klemensa VIII-go, że podróżował wiele po Niemczech, Włoszech i Hiszpanii, że pod Żółkiewskim Marsowi dzielnie służył, że więcéj niż 30,000 florenów na wsparcia i zapisy pobożne wydał i t. d.

Umarł w r. 1651.

Ostatni z braci Wojciech, starosta ujazdowski, w kronikach rycerskich imię swe zapisał. Pod Strygoniem walczył z Turkami i tam też, jak mówi Niesiecki, „na harcu, tureckiego olbrzyma i wzrostem i siłą strasznego zabił.” W nagrodę męstwa, cesarz Rudolf II nobilitował go na szlachcica niemieckiego (w r. 1590). Powróciwszy do ojczyzny, był pod Smoleńskiem i pod Kircholmem. Za wyświadczone krajowi zasługi, został sekretarzem królewskim i koniuszym nadwornym.

O tym Baryczce piszą biografowie, że nosił niezagojoną do śmierci ranę, którą był w jednéj z wypraw wojennych otrzymał.

Zmarł w roku 1649-ym, licząc lat 66. U Ś-go Jana, w kaplicy Pana Jezusa, na prawo od wejścia, ma pomnik przez synów wystawiony.

Rzecz dziwna, że mimo tylu czynów znamienitych, dopiéro w roku 1658 przyznano indygenat rodzinie Baryczków, w osobach: Stanisława (bratanka Stanisława, wyżéj wymienionego), oraz jego braci: Wojciecha i Jana. Ten Stanisław był znamienitym strategikiem, budowcą machin wojennych, zakładaczem min i t. p. Popisywał się z umiejętnością swą pod Beresteczkiem i Żwańcem, przyczynił się też w znacznym stopniu do odebrania Szwedom Torunia, Krakowa i Warszawy. Był sekretarzem Jana Kazimierza i zajmował urząd „owiesnego”, to jest urzędnika do wydawania obroków na dworze królewskim. Na tablicy marmurowéj, którą pamięć stryja uczcił, nazwany jest: *generosus*

Stanislaus in Molocice Baryczka." Jak wszyscy niemal Baryczkowie, i on hojnie wspomagał klasztory. Między innymi, Dominikanie warszawscy otrzymali od niego w darze zasobną bibliotekę. U Dominikanów też ma kamień nagrobny.

Bracia tego Stanisława wczesną śmiercią pomarli. Jan, jako kanonik płocki i pułtuski oraz probosz koleński, Wojciech jako młodzieniec niedojrzały jeszcze, a rokujący piękną przyszłość w naukach.

Stanisław Baryczka, który zmarł bezpotomnie (w r. 1682), a podobno wcale w związki małżeńskie nie wstępował, był właściwie o s t a t n i m z r o d u.

Tylkowski wymienia dwóch jeszcze Baryczków: Michała i Jędrzeja. Michał był kapitanem; on też wydał w r. 1658 książkę p. t.: „*Quantum Poeticum accurata, authoritate Poetarum recognitum.*" Jędrzéj był Łowczym Sochaczewskim i podpisał elekcyę Augusta II.

Na schyłku XVII-go w. Baryczkowie znikają z powierzchni naszéj ziemi bez śladu. Liczne ich domy i grunta przechodzą w cudze ręce, kolegium ich oraz ulica, jako rzecz i jako nazwa, istnieć przestają; nawet pamięć nazwiska, które niedawno jeszcze na każdéj karcie kroniki warszawskiéj występowało, zaciéra się.

Rodzina, przez pięć wieków blisko świecąca blaskiem nieprzyćmionym, gaśnie w jednéj chwili, jak lampa zdmuchnięta.

I tylko, jako pamiątka po Baryczkach, na czołach starych kamienic i na ścianach starych świątyń błyszczy „siła ich herbów" — mimo których warszawianin dzisiejszy obojętnie przechodzi, nie rozumiejąc znaczenia tych krzyżujących się linii, ani się też na zrozumienie ich nie siląc...

Dalsze dzieje kamienicy, niegdyś „złocistéj" a dziś spłowiałéj i szaréj, nie przedstawiają nic ciekawego. Jakiś „sławetny" Ekendorf posiada ją około r. 1780-go i późniéj; następnie przez czas długi, prawie aż do dni naszych pozostaje ona w ręku rodziny Kuśmierskich.

№ 9 (39).

Jest to jeden z tych kilku starych domów, w których dochowały się jeszcze dawne „sklepy", to jest piwnice, o kilka łokci niżéj poziomu ulicy położone, z wejściami od czoła. „Sklep" znajdujący się w tym domu zajmuje obecnie przekupień pieczywa. Niezwykłość tego sklepu stanowi to, że właściwie sprzedaż chleba i bułek odbywa się na straganie ustawionym na ulicy, tuż przy domu; skład zaś pieczywa mieści się w piwnicy. Sprzedaż, dokonywana w budce płóciennéj, wieczorami w oświetleniu kolorowéj latarki, tworzy bardzo wdzięczny obrazek ro-

dzajowy. Dziwię się, że uszedł on dotąd uwagi artystów ze szkoły Piwarskiego i Kostrzewskiego.

Sama kamienica mało ma wspomnień ciekawszych. Nazywano ją niegdyś od imienia właścicieli „Długoszową.” Odkąd i dokąd przysługiwała jéj ta nazwa, określić trudno. Wszakże już w r. 1669 piszą o niéj: „*ad praesens* Gizego.”

Czy warszawscy Długosze pokrewni byli owym, herbu Wieniawa, z których wyszedł Jan, historyk,—nie mogłem wyśledzić. W r. 1580 Stanisław, a w trzydzieści lat późniéj Paweł (zapewne syn tamtego) są starszymi ławnikami (*archiscabini*) M. S. Warszawy.

Przy końcu zeszłego wieku kamienica przechodzi na własność sławetnych Kostki i Flaczkiewicza. Późniéj jest własnością sukcesorów tego ostatniego. Około r. 1850 posiada ją Dąbkowski.

№ 11 (40).

Czoło téj kamienicy, mimo wielu późniejszych przeróbek, piękne jest i ciekawe. Zwracają zwłaszcza uwagę znamienne głowy (gigantów?) nad oknem drugiego piętra.

Ładna ślusarszczyzna zdobi otwór nad głównèm wejściem. W samym środku ornamentów widzi się misternie związane litery *J. R.*

Jadalnia, która zajęła dół kamienicy, jest zupełnie nowoczesna. Za to ocalał w dawnym kształcie sklep czyli loszek niewielki, w którym mieści się kram spożywczy. Wejście do loszka osłania piękny, stary daszek. Dla tych, co w dół schodzić nie chcą lub nie mogą, ustawiono stragan.

I ta kamienica miała w dawnych wiekach swe miano odrębne. Zwała się „Majeranowska.” Wystawił ją przy końcu XVI-go w. Mikołaj Majeran *vel* Marian, aptekarz królewski (*pharmacopola*), który musiał dla miasta zasługi jakieś położyć, gdyż obrano go burmistrzem Staréj Warszawy. Na stanowisku tém widzimy go jeszcze w r. 1607.

W drugiéj połowie XVII-go w. dom ten należał w równych częściach do Gizów i do Gutakowskiego. Podług „Regestru Gospód” z r. 1669, posiadał on: izb 7, *kownatę* (tak) z sionką i kuchenką, sklepów 2, piwnic 2, kuchni 4. W czasie sejmu, stawał w nim gospodą biskup Chełmiński.

W liczbie późniejszych właścicieli domu spotykamy Ekersdorfa i Kopkego.

№ 13 (8).

Téj kamienicy, któréj ściany narożne zdobi podwójne wyobrażenie lwa z tarczą, półtrzecia wieku temu zdarzył się brzydki *casus*. Oba-

liła się. Ani właściwego powodu, ani dokładnéj daty tego osobliwego zdarzenia nie znamy; katastrofa wszakże musiała nastąpić w samym środku XVII-go wieku.

Odbyta w r. 1636 rewizya domów staromiejskich znalazła w kamienicy téj kilka izb „grożących zawaleniem;" w rewizyi zaś z roku 1669 zapisano o niéj: „teraz restaurować zaczęto."

Miała niegdyś dwie nazwy: „Budzyńska" i „Plerowa." W połowie XVII-go w. była własnością „Claudego" czyli Klaudiusza Henrieta, rajcy warszawskiego. Znajdowało się w niéj wówczas: izb 4, „kownat" 3, sklepów 2, piwnic 2, na tyle izdebek 2. Stawał tu kasztelan krakowski.

W ostatnich latach zeszłego stulecia właścicielem téj kamienicy był doktór Czempiński, dziadek Klementyny Hoffmanowéj. O doktorze tym, zajmującym miejsce wydatne wśród mieszczaństwa warszawskiego przedostatniéj doby, powiemy obszerniéj przy opisie kamienicy „pod Fortuną", która również do niego należała.

Zmieniając często właścicieli, dom, o którym mówimy, znajdował się kolejno w ręku Karasiów, Piaskowskich, Ilnickich i t. d.

Wracając do katastrofy, na wstępie wymienionéj, zapisać musimy, że dziwnym trafem, w połowie bieżącego wieku, takiemuż samemu wypadkowi uległa kamienica, w bliskiem sąsiedztwie, bo po przeciwnéj stronie ulicy położona. Czy nie możnaby dopatrywać się w tém jakichś szczególnych właściwości gruntu? Tą drugą kamienicą (dziś już nieistniejącą) była posesya niegdyś Lelewelów, następnie Wagnerowéj, na rogu Świętojańskiéj i Zapiecka. Posesya ta, oznaczona numerem hipotecznym 9, runęła w r. 1831. Plac pozostały po niéj a sprzedany miastu posłużył do rozszerzenia Zapiecka.

Wiktor Gomulicki.



STANOWISKO KRÓLESTWA POLSKIEGO

w PAŃSTWIE ROSYJSKIÉM

co do produkcyi ziarna i transportów zbożowych.

Z powodu ostatniego zjazdu przedstawicieli rolnictwa i dróg żelaznych, dla narad w sprawie reformy taryf zbożowych, ministeryum finansów i ministeryum komunikacyi wydały kilka dzieł statystycznych, dotyczących uprawy i zbiorów zboża w całém państwie, a także ruchu zboża na kolejach żelaznych. Dane w nich zawarte pozwalają ocenić stanowisko naszego kraju w produkcyi, spożyciu i ruchu handlowym produktów zbożowych całego państwa i dlatego zamierzamy podać czytelnikom naszym ostateczne wnioski, do których te dane prowadzą.

Wprawdzie, w zeszycie lipcowym r. b., podaliśmy szereg cyfr statystycznych, dotyczących rolnictwa kraju naszego; obecnie jednak podajemy niektóre z nich wedle świeższych źródeł i w zestawieniu z takiemiż danemi, odnoszącemi się do całego państwa; chodzi nam bowiem przedewszystkiém o stosunek, jaki między temi danemi zachodzi.

I.

Pierwszém z dzieł, które mamy przed sobą, jest wydana przez departament dróg żelaznych ministeryum komunikacyi, a ułożona przez

inżyniera A. Radcyga „Statystyka rolnictwa gubernialna" (Sielskochozjajstwiennaja Statistika po guberniam) za r. 1893, 1894 i 1895. Obejmuje ona dane, dotyczące uprawy, zbiorów i spożycia ziarna, ułożone guberniami, ugrupowanemi w okręgi i podzielonemi na dwa wielkie działy (strefy) gubernii czarnoziemnych i nieczarnoziemnych. Zawiéra też ona dane dotyczące uprawy zboża w 3-ch okręgach północnego Kaukazu (Terskim, Kubańskim i w gub. Stawropolskiéj) nie obejmuje jednak gub. Archangielskiéj, Ołonieckiéj, Wiatskiéj i Permskiéj.

Jak wiadomo, państwo Rosyjskie w Europie zajmuje przestrzeń do 4,408,000 wiorst kw., t. j. 458 do 459 milionów dziesięcin. Po odtrąceniu przestrzeni pod wodami, drogami, miastami etc., pozostaje jeszcze prawie 407 milionów dziesięcin ziemi w obrębie wsi, z których:

106,666	tys.	dzies.	czyli	26.2%	zajmują	pola orne
64,806	„	„	„	15.9%	„	łąki i pastwiska
157,617	„	„	„	38.8%	„	lasy
77,808	„	„	„	19.1%	„	nieużytki.

W ogólnéj téj przestrzeni Królestwo Polskie stanowi 111,875.4 wiorst kw., t. j. 11,620,157 dziesięcin, z których: pól ornych 53.2%, łąk i pastwisk 15.4%, lasów 22.6%, nieużytków 5.4% [1]). Dla porównania przytaczamy tu jeszcze, że w państwie Niemieckiém z ogólnéj przestrzeni 54 milionów hektarów 27.3 mil. h., t. j. 50.5%, zajmują pola orne i łąki, a prawie 14 mil. h., t. j. 25%, lasy. Królestwo Polskie na przestrzeń stanowi zatém 2.5% całéj przestrzeni Rosyi europejskiéj;—co do ludności stosunek jest inny, wynosi 8.5%.

Z punktu widzenia rolnictwa, najważniejszym jest podział państwa na strefę czarnoziemną i nieczarnoziemną;—w téj ostatniéj jednak należy jeszcze odróżnić gubernie północne od środkowych: różnią się one bowiem znacznie tak co do stosunku ludności do przestrzeni, jak i co do stosunku przestrzeni ogólnéj do przestrzeni pod uprawę zbóż zajętéj — zarówno od gubernii czarnoziemnych, jak i nieczarnoziemnych. Są to gubernie (Petersburska, Pskowska, Nowogrodzka, Ołonecka, Wołogodzka i Archangielska) nie produkujęce nigdy dostatecznéj ilości ziarna na wyżywienie ludności, — gubernie sprowadzające ziarno z południa stale, od czasów niepamiętnych. Z gubernii zaś południowych, czarnoziemnych wyłączyć należy gub. Astrachańską, mającą w większéj swéj części charakter nieurodzajnego stepu.

---

1) Dane te bierzemy z artykułu p. Fortunatowa „Statystyka 10 gubernii Królestwa Polskiego“ w miesięczniku „Ruski przegląd ekonomiczny“, wrzesień, 1897 roku.

Ogólne stosunki ludności, przestrzeni ogólnéj i przestrzeni pod uprawę zbóż zajętéj, w latach 1893 i 1895 wyrażają się w następujących cyfrach:

I. Gubernie czarnoziemne — południowe:

Gubernia:	Ludność	Przestrzeń Ogólna wiorst kw.	Przestrzeń Ogólna dziesięcin	Pod uprawą zbóż dziesięcin 1893	Pod uprawą zbóż dziesięcin 1895	Ilość dziesięcin uprawnych na 1 głowę ludności	Stosunek przestrzeni uprawnéj do przest. wogóle
	w tysiącach głów, wiorst i dziesięcin						
Centralne rolnicze	13,622	262	27,248	9,225	9,190	0.67	34%
Nadwołżańskie środkowe	9,472	253	26,314	6,794	6,922	0.71	26%
„ południowe (bez Astrachańskiéj)	4,038	300	31,408	4,005	3,730	0.91	12%
Noworosyjskie	9,130	359	37,336	11,969	11,920	1.30	32%
Południowo-zachodnie	8,151	149	15,080	4,503	4.533	0.55	30%
Małoruskie	7,592	137	14,352	4,911	4,391	0.58	30%
Gubernia Ufimska	2,039	107	11,128	1,709	1,334	0.65	12%
Razem	54,044	1,567	162,866	43,116	42,020	0.77	26%

II. Gubernie nieczarnoziemne — środkowe:

Centralne przemysłowe	9,197	262	27,248	3,706	3,615	0.40	14%
Przyuralskie (bez Ufimskiéj)	6,230	426	44,397	5,505	5,505	0,88	12%
Nadbaltyckie	2,350	83	8,655	898	1,175	0.50	14%
Białoruskie	5,921	211	21,944	3,186	3,215	0.54	15%
Litewskie	4,369	107	11,152	2,449	2,303	0.53	21%
Królestwo Polskie	8,256	112	11,648	3,827	3,563	0.43	30%
Razem	36,323	1,201	125.044	19,569	19,376	0,53	15%

III. Gubernie północne:

Nadjeziorne (Peters., Nowogr., Ołonec., Pskowska)	4,342	324	33,728	1,492	0.34	4%
Północne (Archangielska, i Wołogodzka	1,642	1,108	115,297	610	0.37	0.5%
Razem	5,984	1,432	149,025	2,102	0.35	1%

IV. Gubernia stepowa:

Astrachańska	515	208	21,528	267	326	0.70	1%
Razem w całém państwie	96,866	4,408	458,463	65,149	63,825	0.66	14%

Powyższe cyfry dowodzą: że przestrzeń zajęta pod uprawę zbóż w całém państwie wynosi 14% ogólnéj przestrzeni i około $^2/_3$ dziesięciny na głowę ludności. W guberniach czarnoziemnych pod uprawę zbóż zajęto średno 26% ogólnéj przestrzeni, — jeśli zaś pominiemy świéżo zaludnione gubernie: Ufimską, Saratowską i Orenburską, to procent ziemi zajętéj pod uprawę zbóż wyniesie 30%, a w okręgu czarnoziemnym centralnym procent ten wynosi do 34%.

W guberniach strefy nieczarnoziemnéj procent przestrzeni zajętéj pod uprawę zbóż wynosi średnio 15%. Królestwo Polskie w tym względzie stoi na granicy strefy czarnoziemnéj i nieczarnoziemnéj, co tém jest ważniejszém, że w przestrzeni swéj posiada 22.6% lasów, których w okręgach czarnoziemnych nie ma prawie zupełnie. Po Królestwie Polskiém idą gubernie litewskie z 21% zajętemi pod uprawę zbóż; dla pozostałych okręgów nieczarnoziemnych procent przestrzeni zajętéj pod uprawę zbóż waha się od 12 do 15.

Ilość dziesięcin, zajętych pod uprawę zbóż, na głowę ludności ulega mniéj silnym wahaniom między strefami, a silniejszym między pojedyńczemi okręgami: przy średniéj dla całego państwa 0.66 dziesięciny na głowę, wynosi ona w strefie czarnoziemnéj 0.77, w nieczarnoziemnéj 0.53; w północnym okręgu 0.35, w stepowéj gubernii Astrachańskiéj 0.70. Nie natura gruntu, ale dawność zaludnienia gra tu przeważną rolę. W strefie czarnoziemu najwyższą ilość dziesięcin na głowę mają gubernie noworosyjskie, bo 1.30 dziesięciny, najniższą gubernie południowo-zachodnie 0.55, gdzie uprawa buraków wpływa silnie na zmniejszenie przestrzeni zbóż.

W strefie nieczarnoziemnéj najniższą ilość wykazują gubernie centralne przemysłowe, — wskutek objęcia w cyfrze ludności miasta Moskwy i fabryk tego okręgu, a zaraz przy nich Królestwo Polskie, obejmujące okręgi fabryczne warszawski i łódzki. Najwyższą mają z natury rzeczy gubernie najbardziéj ku wschodowi posunięte, przyuralskie (Permska i Wiacka), 0.88 dzies. na głowę.

W gub. północnych ilość dziesięcin, zajętych pod uprawę zbóż, spada poniżéj 0.40 na głowę—wynosi 0.34, 0.37, średnio 0.35.

Cyfry te wykazują dokładnie stanowisko Królestwa Polskiego w produkcyi zboża państwa. Mimo gruntów nieczarnoziemnych, uprawia ona zboże na przestrzeniach tak wielkich, jak gubernie czarnoziemne, — a co do stosunku na głowę ludności uprawia ziemi więcéj, niż gubernie przemysłowe centralne, a nieco mniéj niż gubernie południowo-zachodnie.

Drugi jeszcze ważny wniosek możemy wyprowadzić z tych cyfr. Przestrzeń zajęta pod uprawę zbóż w całém państwie wynosiła:

w roku 1893	dziesięcin	65,149 tysięcy
„ 1895	„	63,825 „
zmniejszyła się zatém o dziesięcin		1,324 tysięcy

Cyfra ta jednak wymaga poprawki.

W ilościach przestrzeni zajętéj pod uprawę zbóż, w r. 1895-ym wprowadzono po raz pierwszy nieobjęte poprzedniemi wykazami przestrzenie pod uprawą zbóż na t. zw. ziemiach Baszkirów:

w gub. Orenburskiéj, t. j. dziesięcin	560 tysięcy
i przestrzenie dotąd nieobjęte statystyką urzędową w guberniach Liflandzkiéj i Estlandzkiéj	337 „

Wskutek tego właściwe zmniejszenie przestrzeni pod uprawą zbóż wynosi:

w Rosyi Europejskiéj dziesięcin	2,221 tysięcy
ponieważ zaś w trzech guberniach kaukazkich północnych przestrzeń tę powiększono w ciągu lat 1893 — 1895 o dziesięcin	300 „
Dlatego właściwe zmniejszenie przestrzeni oblicza się na dziesięcin	1,921 tysięcy

czyli na 3%.

Na uwagę zasługuje to, że prócz północnego Kaukazu, na którym uprawa zbóż zajęła w ciągu 3-ch lat ostatnich nowe 300,000 dziesięcin, — znaczniejsze rozszerzenie uprawy wykazuje tylko okrąg: średniéj Wołgi (122,000 dzies.); w pozostałych okręgach wszędzie prawie przestrzeń pod uprawę zbóż zajęta uległa zmniejszeniu. Największe zmniejszenia wykazują okręgi: nadwołżański południowy (265,000 dzies.), małoruski (510,000), gub. Ufimska (365,000), a z nieczarnoziemnych: Królestwo Polskie (264,000), gubernie litewskie (146,000) i centralne przemysłowe (91,000 dzies.).

II.

Średni zbiór zbóż za ostatnie 13 lat oblicza nasze źródło w całém państwie na 288 milionów czetwierti przeszło, z których 69.7 mil czet. zużywa się na siewy, 179.4 mil. czet. spożywa się w państwie, a 39 mil. wywozi zagranicę. Siew stanowi więc 24%, spożycie 63.5%,

a wywóz 13.5% ogólnéj ilości. W pojedyńczych gatunkach ziarna stosunek spożycia i wywozu, ulega silnym zmianom. Zbiory, spożycie i wywóz średnie co do 4-ch najgłówniejszych gatunków ziarna w cyfrach absolutnych stanowiły (w tysiącach czetwerti):

	Żyto	Pszenica	Jęczmień	Owies
Zbiór	112,349	37,423	22,547	89,014
Siew	24,168	8,376	5,044	26,627
Spożycie	80,707	15,100	12,629	53,096
Wywóz	7,474	13,947	4,874	9,291

w procentach zaś stanowią:

zbiór	100	100	100	100
siew	22	72	22	30
spożycie	72	41	56	60
wywóz	6	37	22	10

Z porównania ogólnéj sumy zbiorów ze spożyciem wewnętrznem pojedyńczych gatunków zboża i ogólnéj sumy wywozu ziarna z pojedyńczemi gatunkami ziarna wywiezionego wypada, że w ogólnych sumach spożycia i wywozu stanowią %:

	Żyto	Pszenica	Jęczmień	Owies	Inne gatunki ziarna
spożycie	39	13	8	31	9
wywóz	19	36	12	24	9

Nie możemy jednak w tém miejscu pominąć milczeniem, że tak zwane cyfry spożycia są czysto teoretyczne. Obliczone są na podstawie średniego spożycia na głowę ludności 17.19 pudów rocznie, w których przyjęto 8.88 pudów żyta, 1.19 pud. pszenicy, 3.89 pud. owsa i t. d. Czy są one prawdopodobnemi—orzec trudno; w każdym razie, w pojedyńczych okręgach wahają się one silnie, jeśli nie w ogólnéj sumie, to w sumach szczegółowych gatunków ziarna, tém więcéj, że spożycie kartofli w różnych okręgach rolnych bardzo różne ma zastosowanie, a ze średniém spożyciem ziarna w bardzo ścisłym stoi związku. Dodać tu musimy, że podane przez nas cyfry ludności są — jak to ostatni spis ludności wykazał — znacznie niższe od rzeczywistych, przez co całe obliczenie p. Radcyga ma charakter hypotetyczny, mogący służyć tylko za podstawę do określenia stosunku różnych okręgów państwa do całości. Poniżéj podajemy dane o cyfrze zbiorów w pojedyńczych okręgach za r. 1893 i 1895 — w sumach ogólnych, po potrąceniu ilości na siew potrzebnych — ilość zboża spotrzebowanego na miejscu w każdym okręgu—ilość zatém teoretyczną — i sumy wynikłe z porównania tych ilości, t. j. nadmiary ziarna (+), w okręgach produkujących wię

céj ziarna, niż go spożywają — i niedobory ziarna (—) w okręgach, które ziarna produkują, mniéj, niż go potrzeba na wyżywienie ludności okręgu. — Przytoczone cyfry wyrażają tysiące pudów. Odnośnie opuszczonych w wydawnictwie naszém gubernii, wzięliśmy cyfry średnie z innych źródeł:

I. Strefa czarnoziemna — południowa:

Okręgi	Zbiór 1893	Zbiór 1895	Spożycie 1893/5	Nadmiar i brak 1893	Nadmiar i brak 1895
Centralny rolny	383,436	420,872	238,385	+145,051	+182,487
Nadwołżański średni	231,593	242,302	165,757	+ 65,836	+ 76,546
„ dolny	98,219	114,417	79,683	+ 18,536	+ 34,734
Noworosyjski	676,563	399,754	159,775	+516,788	+239,979
Południowo-zachodni	218,201	207,234	142,651	+ 75,550	+ 64,583
Małoruski	208,398	173,583	132,863	+ 75,534	+ 40,719
Gubernia Ufimska	63,786	53,439	35,687	+ 28,099	+ 17,752
Razem	1,880,196	1,631,601	954,801	+925,394	+656,800

II. Strefa nieczarnoziemna — środkowa:

Centralny przemysłowy	115,429	98,876	160,952	—45,523	—62,076
Przyuralski (bez gub. Ufimskiéj)	108,846	108,846	75,815	+33,031	+33,031
Nadbaltycki	42,259	62,976	41,134	+ 1,125	+21,842
Białoruski	96,885	78,699	103,615	— 6,730	—24,916
Litewski	78,697	65,787	76,454	+ 2,243	—10,667
Królestwo Polskie	162,487	147,019	144,489	+17,998	+ 2,530
Razem	604,603	562,203	602,459	+54,397	+57,403
				—52,253	—97,659

III. Strefa północna:

Przyjeziorny	47,346	39,536	73,920	—26,574	—34,384
Północny	22,350	21,351	26,648	— 4,298	— 5,297
Razem	69,696	60,887	100,568	—30,872	—39,681

IV. Strefa stepowa:

Gub. Astrachańska	2,200	4,785	9,016	— 6,816	— 4,231

Zestawienie tych sum daje następujące rezultaty:

Ogólny zbiór wynosił w 1893 roku 2,556,695 tysięcy pudów
„ „ „ w 1895 „ 2,239,476 „ „
Spożycie obliczono w 1893 i 5 r. na 1,666,844 „ „
Nadmiar w całém państwie w 1893 r. 889,850 „ „
„ „ „ w 1895 r. 572,632 „ „

Oddzielając zaś okręgi, mające nadmiar i brak ziarna, otrzymujemy następujące ogólne sumy:

	1893	1895
nadmiar w tysiącach pudów	979,791	714,203
brak „ „	89,941	141,571

Dodać przytém musimy, że w trzech północnych okręgach Kaukazu obliczano:

	1893	1895
ogólny zbiór	163,563	170,476
spożycie	53,931	
nadmiar	109,631	116.544

przez co nadmiar—*netto*—ziarna za te dwa lata należałoby obliczać:

za 1893 rok na 999,481 tysięcy pudów
„ 1895 „ „ 689,176 „ „

Podając te cyfry, uważamy za konieczne raz jeszcze powtórzyć, że oparte są one na cyfrze teoretycznego spożycia i niedokładném obliczeniu ludności, przez co mają one charakter wielce hypotetyczny i mogą wykazać tylko stosunek okręgów między sobą i do całości państwa.

Praca p. Radcyga, oprócz cyfr dotyczących ogólnéj przestrzeni pod uprawę zbóż zajętéj i ogólnéj sumy zbiorów ziarna za lata 1893, 1894 i 1895, obejmuje jeszcze przestrzenie i zbiory kartofli i przestrzeń i zbiory poszczególnych gatunków ziarna: żyta, pszenicy, jęczmienia, owsa i pozostałych innych gatunków ziarna. Tutaj zrobimy użytek tylko z cyfr, dotyczących ilości plonów żyta i pszenicy, i zastanowimy się nad stosunkiem, w którym oba te najważniejsze gatunki ziarna są uprawiane w różnych okręgach państwa. Przecięciowo od r. 1881 do 1890-go zbiérano:

Żyta 112,350 tysięcy pudów } a po potrąceniu ilości potrzebnych
Pszenicy 37,423 „ „ } do siewu

{ żyta 88,181 tysięcy pudów
{ pszenicy 29,047 „ „

zbiór więc pszenicy stanowi w całém państwie średnio 33% zbiorów żyta.

W pojedyńczych okręgach jednak procent ten ulega silnym wahaniom, jak to pokazuje niżéj podane zestawienie zbiorów żyta i pszenicy w pojedyńczych okręgach i niektórych guberniach, ułożone w porządku, w jakim procent ten, poczynając od najwyższych ilości pszenicy, maleje prawie do zera.

Okrąg	Zbiór średni za 1893/5 w tysiącach pudów żyta	pszenicy	Stosunek procentowy, biorąc żyto za 100
Noworosyjski	81,386	282,563	350%
Nadwołżański południowy	44,584	70,894	160%
Południowo-zachodni	69,169	64,710	93%
Małoruski	89,952	58,561	65%
Królestwo Polskie	84,642	31,413	37%
Nadwołżański średni	188,512	26,609	14%
Nadbaltycki	22,907	2,875	12.5%
Centralny rolniczy	268,572	26,912	10%
Litewski	51,474	5,005	10%
Białoruski	63,995	2,860	4.5%
Przemysłowy Moskiewski	87,162	2,205	2.5%

Powyższe zestawienie wykazuje, że pod względem ilości produkowanéj pszenicy Królestwo stoi w szeregu gubernii czarnoziemnych i w szeregu tym zajmuje miejsce przed okręgiem średniéj Wołgi. Fakt ten w zestawieniu z wykazaném wyżéj (str. 485) stosunkiem przestrzeni, zajętéj pod uprawę zbóż do ogólnéj przestrzeni dowodzi: że Królestwo Polskie, nie będąc z natury okręgiem czarnoziemnym długoletnią kulturą podniosło przyrodzone własności gruntu o tyle, że dziś tak ze względu na ilość, jak i na jakość produkcyi rolnéj w stosunku do reszty państwa, gra rolę okręgu czarnoziemnego. Stanowiska tego dowodzi także uprawa buraków cukrowych w Królestwie, — i dlatego, w kwestyach polityki taryfowéj, nie powinno być ono uważane za okrąg nieczarnoziemny, potrzebujący przedewszystkiém taniego dowozu produktów zbożowych.

Korzystamy jeszcze z naszego wydawnictwa, ażeby wyjaśnić kwestyę dotąd mało wyjaśnioną: w jakim stosunku znajdują się do siebie przestrzenie pod uprawą i plony żyta i pszenicy na gruntach włościańskich i folwarcznych w Królestwie.

Podług danych, które mamy przed sobą, przestrzenie zajęte pod uprawę żyta i pszenicy wynosiły średnio w ciągu lat 1893 — 1895 dziesięcin:

na gruntach	żyto	pszenica
włościańskich	946,702	141,427
folwarcznych	653.797	292,013
razem	1,600,499	433,440

W ogólnéj zatém sumie przestrzeń, zajęta pod pszenicę, stanowi 27% przestrzeni zajętéj pod uprawę żyta; na gruntach jednak włościańskich stosunek ten wynosi 15%, na folwarcznych 45%. Różnica tych stosunków zwiększa się jeszcze bardziéj w plonach, wskutek większéj wy-

dajności z morgi, na gruntach folwarcznych niż na gruntach włościańskich.

Średnie plony za 3 lata żyta i pszenicy stanowiły:

na gruntach	żyto	pszenica
	w tysiącach pudów	
włościańskich	47,103	9,407
folwarcznych	37,539	22,006
razem	84,642	31,413

W ogólnéj zatém ilości zbiorów pszenica stanowi 37% żyta; na gruntach włościańskich 20%, na folwarcznych 60% zbioru żyta.

III.

W kwestyi danych, dotyczących przewozu ziarna i produktów zbożowych kolejami żelaznemi za 1895 r., posiadamy dwa cenne wydawnictwa statystyczne. Departament dróg żelaznych przy ministeryum finansów wydał „Materyały do rewizyi taryf zbożowych na drogach żelaznych rosyjskich w r. 1895; zaś ogólny taryfowy zjazd przedstawicieli dróg żelaznych rosyjskich wydał „Dane statystyczne o ruchu transportów zbożowych na drogach żelaznych rosyjskich", ułożone guberniami. Oba te wydawnictwa w wielu kwestyach podają dane, dotyczące tych samych faktów, dopełniają się jednak wzajemnie w tém mianowicie, że gdy ministeryum finansów zwróciło główną uwagę na kierunek, w którym transporta dążyły, na stacye otrzymujące, Zjazd dr. żel. układał swe dane z uwzględnieniem przedewszystkiém stacyi i okręgów wysyłających. Matematycznéj zgodności między temi wydawnictwami szukać nie można, różnice jednak są nieznaczne: ogólna suma pudów zboża i produktów zbożowych, przewiezionych na drogach żelaznych w r. 1895, podaną została przez ministeryum finansów na 710,314,000, przez zjazd na 702,032,000 pudów. Różnica więc wynosi 8,282,000 pudów, t. j. około 1.2% całéj ilości. W dalszym ciągu opiérać się będziemy na cyfrach obu wydawnictw, oznaczając cyframi M. F. dane ze zbioru ministeryum finansów, a cyframi Zj. — dane ze zbioru zjazdu. Ogólna ilość przewozów na drogach żelaznych w ciągu lat 3 ostatnich wynosiła (Zj.) w tysiącach pudów:

w roku 1893	556.640
„ 1894	722,198
„ 1895	702,032
a średnio	660,290 tysięcy pudów

w czém ziarno stanowiło 70%, t. j. 459,676. Z téj ostatniéj cyfry przypada na:

żyto	16%	t. j.	73,515	tysięcy	pudów
pszenicę	35%	„	162,836	„	„
owies	23%	„	105,713	„	„
jęczmień	14%	„	66,703	„	„

W pozostalych 12% stanowią: proso (1%), gryka (1%), kukurydza (7%), groch (3%).

Prócz ziarna przewieziono:

mąki i krup	134,890	tys.	pudów	t. j.	20%
otrąb, plew etc.	32,057	„	„	„	5%
nasion oleistych	33,658	„	„	„	5%

Ogół dochodu, jaki koleje żelazne osiągnęły za te transporty (bez nasion oleistych) wynosił 74,423,864 ruble (Zj.). Z sumy téj zboże wysłane przez gubernie czarnoziemne przyniosło drogom 63,227,230 rubli, a transporty wysłane ze wszystkich pozostałych gubernii 11,196,634 rs. Transporty zbożowe, wysłane przez Królestwo Polskie, stanowią w téj ostatniéj sumie cyfrę 704,531 rubli, t. j. mniéj niż 1% ogólnego dochodu (Zj.). Poniżéj podajemy zestawienie: ilości transportów zbożowych, wysłanych przez pojedyńcze okręgi, podzielone na strefy czarnoziemną i nieczarnoziemną i sumy dochodu otrzymanego za te transporty, uszykowane co do wielkości dochodu, jaki dają drogom żelaznym. Zestawienie to może służyć za wskazówkę co do stopnia ważności, jaką pojedyńcze okręgi mają dla władz taryfowych z punktu widzenia finansowego.

I. Gub. czarnoziemne:	Ilości przewiezione tys. pudów	Dochód w tys. rubli
Okrąg Centralny rolny	153,854	21,840
„ Noworosyjski	183,222	12,268
„ Nadwołżański średni	61,913	9,433
„ Południowo-zachodni	60,845	6,917
„ Małoruski	53,292	6,887
„ Nadwołżański dolny	36,774	5,882
Razem	549,900	63,227
II. Gub. nieczarnoziemne.		
Okrąg Centralny przemysłowy	40,424	3,226
Królestwo Polskie	13,681	705
„ Białoruski	8,573	688
„ Przyuralski	6,830	442
„ Litewski	6,979	324
„ Nadbaltycki	7,757	217
„ Przyjeziorny	3,746	95
„ Północny	44	1
Razem	88,034	5,698

Zebranie		
Strefa czarnoziemna	549,900	63,227
„ nieczarnoziemna	88,034	5,698
Kaukaz (3 gub. północne)	57,873	4,759
Gub. Azyatyckie	6,225	739
Razem (Zj.)	702,032	74,423

Interesującem jest jeszcze obliczenie dochodu kategoryami na odległości, jaką przebiegają transporty zbożowe wogóle, a ziarno, mąka i otręby w szczególe; obliczenie to daje następujące rezultaty:

z transportów	Dochód w tysiącach rubli z przewozu				
	Ogółu transportów	Ziarna w ruchu wewnętrz.	Ziarna w ruchu wywozowym	Mąki	Otrąb
od 0— 500 wiorst	24,415	5,965	13,195	4,631	624
500—1,000 „	14,795	3,386	4.886	5,619	904
1,000—1,500 „	24,305	3,690	12,597	5,678	2,340
1,500—2,000 „	8,572	1,039	4,068	1,938	1,527
2,000—2,500 „	2,138	372	980	433	353
2,500 i wyżéj	198	29	65	45	59
	74,423	14,481	35,791	18,344	5,807

Gdyby w tym wykazie transporty mąki i otrąb podzielone zostały tak jak przewozy ziarna na kierunki wywozowy i wewnętrzny, widzielibyśmy wyraźnie, że dochód z transportów wywozowych stanowi o wiele więcéj niż połowę ogólnego dochodu; sam wywóz ziarna stanowi prawie połowę ogólnéj sumy, a ogólna suma dochodu z kierunku wywozowego stanowi jak to zobaczymy niżéj przeszło 49 milionów rubli. Zauważymy tu jeszcze, że w transportach ziarna największy dochód dają zarówno w komunikacyi wewnętrznéj jak i wywozowéj odległości 0—500 i 1,000—1,500 wiorst, w transportach mąki i krup przewozy na odległość 500—1,000 i 1,000—1,500, a w przewozach otrąb przewozy na odległości 1,000—1,500 i 1,500 do 2,000 wiorst. Ta wielka wytrzymałość transportowa odpadków młynarstwa jest wymownym dowodem niesłychanego spadku ich ceny w guberniach południowo-wschodnich i anormalnych stosunków młynarskich w całém państwie.

Pozostaje nam tu jeszcze dotknąć danych, dotyczących pojedynczych gatunków ziarna i wogóle produktów zbożowych wysyłanych przez rozmaite okręgi rolne. W załączonym wykazie podajemy te dane w cyfrach procentowych do ogólnych ilości wysłanych, w których najprzód oddzielono od ogólnéj sumy wysłanych ilości ziarno od mąki i odpadków młynarskich, a następnie ilości ziarna podzielono na jego gatunki.

	Ziarno Razem	Żyto	Pszenica	Owies	Mąka	Otręby
		w procentach do ogólnéj ilości ziarna.				
I. Strefa czarnoziemna						
Okręg centralny rolny	65%	27%	8%	61%	27%	4%
„ Nadwołżański średni	51	42	23	24	38	8
„ „ dolny	57	28	56	9	37	3
„ Noworosyjski	84	17	51	3	9	2
„ Połud. Zachodni	70	15	53	4	16	6
„ Małoruski	70	23	39	22	21	5
Średnio strefa czarnoziem.	70	23	39	22	21	5
II. Strefa nieczarnoziemna						
Okr. Centralny przemysł.	33	16	9	68	53	9
Białoruski	31	3	9	85	58	9
Północne gubernie	48	5	—	38	16	—
Przyjeziorne „	42	19	5	68	42	8
Litewskie „	54	20	2	43	19	7
Nadbaltyckie „	68	11	5	33	11	3
Królestwo Polskie	50	26	20	13	27	19
Kaukaz	74	4	75	14	6	1
Średnio strefa nieczarnoz. i Kaukaz	54	10	45	24	26	7
Azya	67	20	39	22	22	5
Średnia dla całego państwa	67	20	39	22	22	5

Cechą stale różniącą transporty strefy czarnoziemnéj od transportów strefy nieczarnoziemnéj—(do téj ostatniéj nie właściwie zaliczono Kaukaz) jest stosunkowa wielkość transportów owsa. W strefie nieczarnoziemnéj owies stanowi 33 do 85% przewozów ziarna; w strefie czarnoziemnej 3—24 i tylko w jednym okręgu centralnym rolnym stanowi 61%. Królestwo Polskie śród całéj strefy nieczarnoziemnéj wyróżnia się procentowym stosunkiem przewozów pszenicy (20) którym zbliża się do gubernii czarnoziemnych i zajmuje w nich drugie miejsce między gub. Centralnemi rolnemi i Nadwołżańskiemi średniemi.

Na zakończenie charakterystyki ruchu ogólnego towarów zbożowych w całém państwie podajemy poniżéj podział tych transportów na strefy 500 wiorstowe, obliczone według danych zjazdu—oddzielnie dla ziarna, mąki, krup i otrąb wysłanych z ważniejszych miejscowości.

	Ziarno		Mąka		Otręby		Razem	
0— 500	308,614.5	66%	77,238.6	51%	9,869.5	29%	395,722.6	61%
500—1,000	54,555.9	12%	37,338.7	25	5,688.8	17	97,583.4	15
1,000—1,500	77,967.6	17%	26,632.6	18	10,933.8	32	115,534.0	18
1,500—2,000	20,605.9	4%	7,730.9	5	6,183,3	18	34,520.1	5

2,000—2,500	4,646.9	1%	1,516.6	1%	1,232.4	4%	7,395.9	1%
2,500—3,000 i wyżéj	1,160.4	—	139.4	—	178.8	—	608.6	—
	467,551 2		150,596.8		34,086.6		651,364.6	

Dodać tu musimy, że na odległościach 0—200 wiorst wysłano w tysiącach pudów:

	ziarna	mąki	otrąb	razem
	167,375.4	42,004.7	5,518.2	214,898.3
t. j.	36%	27%	17%	33%

Przewozy na odległości 1,000 — 1,500 wiorst i tu mają przewagę nad przewozami od 500 do 1,000 — w żadnym jednak gatunku transportów przewaga ta nie występuje tak wyraźnie, jak w transporcie otrąb i objaw ten jest tém dziwniejszy że w transporcie mąki przewozy na odległości 1,000 do 1,500 wiorst są mniejsze od transportów na odległości 500—1,000. Mąka idzie w jedną stronę, otręby w drugą i jak to zobaczymy poniżéj w bardzo znacznéj części za granicę. Jest to okoliczność dla ekonomii rolniczéj państwa bardzo niekorzystna.

IV.

Stosunek przewozów zbożowych wewnętrznych do wywozu w ciągu ostatnich lat 8-iu niewielkiéj uległ zmianie. Z ogólnéj ilości przewozów—w milionach pudów (M. F.).

	Ilość ogólna	wywieziono		przewieziono w granicach państwa	
w 1889	498	300	t. j. 60.3%	198	t. j. 39.7%
1890	485	298	61.5	187	38.5
1891	517	277	53.6	240	46.4
1892	449	176	39.2	273	60.8
1893	567	308	45.6	259	54.4
1894	732	445	60.8	287	39.2
1895	710	404	57	305	43

Wyłączywszy trzy lata 1891—3, okazujące wyjątkowe zmniejszenie wywozu pod wpływem nieurodzajów 189$^1/_2$, zwiększenie się stosunkowe przewozów wewnętrznych stanowi około 4% za całe lat 8.

Jakkolwiek dla nas kwestya przewozów wewnętrznych stanowi główny interes, nim jednak przejdziemy do nich, chcemy poświęcić słów parę zagranicznemu wywozowi ziarna i produktów mącznych mającemu dla nas poważne znaczenie.

Porty morza Czarnego są głównemi punktami wywozu, w ostat-

nich latach 8-iu wywóz odbywał się głównie w następujących kierunkach (M. F.) (w tysiącach pudów).

	Granica lądowa	Morze Baltyckie	Morze Czarne
1889	52,192	105,588	142,166
1890	40,883	109.089	149,453
1891	47,003	98,459	191,323
1892	20,895	63.371	91,871
1893	35,285	95,107	178,210
1894	59,521	123,787	262,086
1895	51,790	122,909	230,025

Wywóz drogą lądową w ciągu lat 8, prawie że zmianie nie uległ; wywóz z portów morza Baltyckiego powiększył się o 15%; wywóz z portów m. Czarnego powiększył się przeszło o 40%.

W wydawnictwie Min. Finansów znajdujemy bardzo szczegółowe dane, dotyczące wywozu przez najgłówniejsze porty i komory graniczne (26 punktów), przez które wywieziono w 1895 roku 374,704 tys. pudów t. j. przeszło 92% ogólnego wywozu. W ogólnéj téj ilości zawiera się:

Pszenicy	109,229
Żyta	47,468
Owsa	64,222
Jęczmienia	41,051
Mąki i krup . . .	24,559
Otrąb, plew etc. . .	27,280

Ogólny dochód dróg żelaznych za wywóz transportów zbożowych wynosił 49,240,401 rubli, średnia odległość przewozu 670 wiorst, średni dochód z przewozu jednego puda 13.14 kop. średnia stawka $^1/_{51}$; dla pojedyńczych portów i punktów granicznych średnie odległości dostawy, średnie opłaty i średnie stawki wahają się od 250—1,400 wiorst od 8 kop. do 24 kop. i od $^1/_{30}$ do $^1/_{65}$ kop. od puda i wiorsty. Poniżéj podajemy kilka danych najbliżej nas obchodzących.

	Średnia odległość przewozu wiorst	Średnia opłata od 1 puda kopiejek	Średnia stawka od puda i wiorsty kopiejek
Petersburg	1053	17.71	$^1/_{59}$
Rewel	1394	21.95	$^1/_{64}$
Libawa	1231	20.56	$^1/_{60}$
Królewiec	1153	19.41	$^1/_{59}$
Gdańsk	1250	20	$^1/_{63}$
Granica	1532	23.52	$^1/_{65}$
Mława	653	12.91	$^1/_{51}$
Aleksandrów	1263	20.83	$^1/_{61}$

Sosnowice	1263	20.83	$^1/_{61}$
Odessa	279	8.15	$^1/_{34}$
Nikołajew	257	7.65	$^1/_{34}$
Rostów n. D.	246	8.16	$^1/_{30}$

Średni przebieg dla pojedyńczych gatunków przewozów jest różny: dla pszenicy stanowi on 355 wiorst, dla żyta 803, dla owsa 1,005, dla mąki i krup 1,025, dla otrąb, makuch etc. 1,168. Ten maksymalny przebieg dla najmniéj cennego produktu stwierdza tylko naszą poprzednią uwagę o anormalnéj obniżce jego ceny na miejscach przemiału mąki.

Główněmi punktami wywozu odpadków mącznych są: Petersburg (3,859 tys. p.), Ryga (1,965), Libawa (3,955), Królewiec (3,490), Gdańsk (2,296), Aleksandrów (5,886), Sosnowice (3,059) t. j. porty baltyckie i komory lądowe przez które przechodzi 26,650 tys. pudów z ogólnéj sumy 27,280 tysięcy pudów. Pszenica wywozi się głównie przez porty morza Czarnego, owies podąża do portów morza Baltyckiego. Żyto rozkłada się dość równomiernie między portami baltyckiemi (42%) morza Czarnego (42%); przez granicę lądową idzie 16%.

Poniżéj podajemy obliczenie podziału transportów wywozowych i dochodu dróg żelaznych na 500 wiorstowe strefy przewozu.

z przewozów	przewieziono pudów w tysiącach pudów		otrzymano dochodu w tysiącach rubli	
od 0—500 wiorst	203,160	54 %	15,109	30.7
500—1,000	51,793	13 %	7,617	15.5
1,000—1,500	85,956	22.9%	17,903	36.3
1,500—2,000	27,392	7.3%	6,723	13.7
2,000—2,500	5,700	1.7%	1,656	3.3
2,500 i wyżéj	703	0.3%	232	0.5
	374,704	100%	49,240	100%

Cyfry te dowodzą jak ważnemi dla finansów dróg żelaznych są transporty z odległości 1,000—1,500 wiorst: stanowią one prawie 40% ogólnego dochodu z transportów zbożowych wywozowych.

V.

Przystępując do charakterystyki ruchu zbożowego w Królestwie Polskiém musimy przedewszystkiém przypomnić, że gub. Kaliska dotąd nie posiada ani wiorsty dróg żelaznych, że zatém w wykazach tego ruchu guberniami Królestwo Polskie posiada tylko 9 gubernii.

W ciągu ostatnich trzech lat stacye kolejowe w granicach Królestwa położone wysłały: (Zj.)

	1893	1894	1895
	w tysiącach pudów:		
Ziarna różnego gatunku	11,184	8,159	6,819
Mąki, kaszy, słodu etc.	3,906	3,918	3,739
Otrąb, plew, makuch etc.	3,244	3,534	2,582
Nasion oleistych	712	668	541
Razem	19,046	16,279	13.681

Stanowi to 3.4—2.2 i 2% ogólnego ruchu transportów zbożowych na drogach państwa. Średnio w ciągu tych trzech lat wysyłano 16,335 tys. p., w których ziarno stanowiło 53%, mąka i krupy 24%. Otręby, plewy, makuchy 19%, nasiona oleiste 4%.

Co do gatunków wysyłanego ziarna dane za ostatnie 3 lata wyrażają się w następujących cyfrach:

	1893	1894	1895	Średnio	
Żyto	3,808	2,312	1,777	2,633	30%
Pszenica	2,217	1,611	1,378	1,735	20%
Owies	2,092	891	898	1,294	15%
Proso	91	1	6	33	—
Tatarka	128	114	113	118	1%
Jęczmień	2,041	2,642	2,050	2,244	26%
Kukurydza	54	31	27	37	—
Groch	753	557	570	627	7%

Co do przetworów młynarstwa, to zauważymy tylko, że w ogólnych ilościach tych transportów wysłanych ze stacyi Królestwa:

	w r. 1893	1894	1895
w sumach	3,906	3,918	3,739
było: mąki pszennéj	2,269	1,974	1,951
„ żytniéj	963	1,090	1,031

Przeto procent mąki żytniéj stosunkowo zwiększył się, zapewne wskutek większego dowozu mąki pszennéj z odległych gubernii. Ta sama przyczyna wpłynęła prawdopodobnie i na obniżenie się transportów owsa.

Dzieląc ilości ogólne na pojedyńcze gubernie przekonywamy się, że w 1895 r. wysłały

Gubernie:	Żyta	Pszenicy	Owsa	Jęczmienia	Razem ziarna	Mąki, krup etc.	Otrąb, plew, makuch	Nasion oleistych	Razem
			w tysiącach pudów:						
Kielecka	7	67	19	182	296	223	157	126	802
Radomska	275	222	100	223	915	192	279	75	1,461
Lubelska	65	334	18	146	706	1,439	750	103	2,998
Siedlecka	523	94	92	35	841	265	129	14	1,249
Piotrkowska	131	51	41	317	560	489	247	40	1,336

Warszawska	354	232	484	593	1866	988	790	37	3,681
Płocka	374	233	41	90	819	109	165	18	1,111
Łomżyńska	42	28	95	15	226	28	53	35	342
Suwalska	6	117	8	449	590	6	12	93	701
Razem	1,777	1,378	898	2,050	6,819	3,739	2,582	541	13,681

W liczbach procentowych pojedyńcze gatunki ziarna stanowią w stosnnku do ogólnéj ilości transportów zbożowych:

	Żyto	Pszenica	Owies	Jęczmień
Kielecka	5%	27%	16%	49%
Radomska	36	23	14	19
Lubelska	18	38	10	16
Siedlecka	69	9	10	3
Piotrkowska	21	5	30	35
Warszawska	27	20	15	30
Płocka	49	31	4	4
Łomżyńska	30	21	23	3
Suwalska	1	15	2	79

Co do odległości na jakie wszystkie te transporty były wysłane, podajemy tablicę ułożoną strefami 500 wiorstowemi.

	Ziarno		Mąka		Otręby		Razem	
0— 500	5,580.5	87%	3,417.6	97%	2,375.9	98%	11,374	91%
500—1,000	134.4	2%	2.5	—	45.3	2%	182.2	2
1,000—1,500	650.8	10%	130.2	3%	1.9	—	790.7	6
1.500—2,000	8.1	—	0.1	—	—		8.2	—
2,000—2,500	50.8	1%	4.8	—	—		55.6	1
2,500—3,000	26.4	—	6.7	—	—		33.1	—
	6,458.8	—	3,561.9		2,423.1		12,443.8	

Transporty na odległość 0—200 wiorst stanowią:

	Ziarno	Mąka	Otręby	Razem
tys. pudów	4,809.2	2,694.8	1,266.2	8,770.2
t. j. w %	75	77	53	70

Jeśli te dane zestawimy z takiemiż danemi dla całego państwa, któreśmy poprzednio podali, przekonamy się dopiéro, jak różnym jest ruch zbożowy w Królestwie od ruchu zbożowego w całém państwie z punktu widzenia wysyłającego.

Na odległości od 0—200 wiorst przypada procentów:

	Ziarno	Mąka	Otręby	Razem
w całém Państwie	36	27	17	33
w Królestwie	75	77	53	70

Na odległości 0—500:

	Ziarno	Mąka	Otręby	Razem
w całém Państwie	66	51	29	61
w Królestwie	87	97	98	91

na odległości 500—1,000

w całém Państwie	12	25	17	15
w Królestwie	2	2.5	2	2

na odległości 1,000—1,500 wiorst

w całém Państwie	17	18	32	18
w Królestwie	10	3	1.9	6

na wszystkie odległości powyżéj 1,500 wiorst w całem

Państwie przypada	5	6	22	6
dla Królestwa			0 — 1	

Królestwo, jako wysyłający, jako producent ziarna zainteresowane jest tylko w stosunkach kolejowych do 500 wiorst odległości i w interesie jego leży możliwe ich obniżenie. W stawkach na odległości powyżéj 500 wiorst zainteresowane ono jest już tylko jako konsument ziarna.

Byłoby bardzo pożądanem obliczyć jeszcze jaka ilość transportów zbożowych wysyłanych przez Królestwo Polskie wychodzi za granicę i wykaz ten rozdzielić na pojedyńcze gatunki ziarna. W obu jednak wydawnictwach, które mamy pod ręką brak do tego odpowiednich danych. Tablice Ministeryum Finansów podają tylko podział transportów zbożowych z gubernii czarnoziemnych na wewnętrzne i wywozowe i to tylko za rok 1894. Dane Zjazdu w obliczeniu transportów wysłanych do różnych portów i komór lądowych podają następujące cyfry ogólne:

Wysłano z gubernii	do portów morza Baltyckiego	Komory lądowe	Razem
Warszawskiéj	230	62	292
Kieleckiéj	—	118	118
Łomżyńskiéj	75	14	89
Lubelskiéj	278	598	876
Piotrkowskiéj	228	179	407
Płockiéj	261	221	482
Radomsiéj	—	107	107
Suwalskiéj	188	186	374
Siedleckiéj	—	99	99
Razem	1,260	1,584	2,844

Dane szczegółowe guberniami nie zgadzają się z témi ogólnemi cyframi. W wykazie zaś ogólnym transportów zbożowych wysłanych z Królestwa znajdujemy, że z ogólnéj ilości wysłanego ziarna wysłano:

w komunikacyi wewnętrznéj	4,823	tys. pudów
w komunikacyi zagranicznéj	1,635	„ „

Wnioskować zatém wolno, że w ogóle z Królestwa wysłano za granicę drogami żelaznemi 2,844 tys. pudów, z czego 1,635 tys. p.

ziarna a 1,209 tys. p. przetworów młynarstwa i nasion oleistych, przyczém zastrzédz musimy że w ilościach tych niema wywozu zboża za granicę wodą i przez komory lądowe nie leżące na stacyach dróg żelaznych, nie ma zatém ani jednego puda ziarna, wywiezionego do Prus z gub. Kaliskiéj, która jednak jak wiadomo zboże do Prus wywozi.

VII.

Z zestawienia danych o ilościach przewozów zbożowych, które każda z gubernii Królestwa Polskiego wysłała w obrębie własnym, tych które wysłała po za granice swoje i tych które z po za granic swoich otrzymała, otrzymujemy następującą tablicę, która obok znaczenia Królestwa, jako producenta zboża, objaśnia nam jeszcze jego znaczenie jako spożywcy zboża.

Gubernie:	Wysłano w granicach gubernii	Wysłano po-za granice gubernii	Otrzymano z innych gubernii	Suma ilości wysłanych 1 + 2	Suma ilości otrzym. 1 + 3
	w tysiącach pudów:				
Warszawska	1,761	1,586	15,209	3,347	16,970
Kielecka	105	475	712	580	817
Łomżyńska	11	241	1,134	252	1,145
Lubelska	330	2,370	1,097	2,700	1,427
Piotrkowska	776	346	11,758	1,122	12,534
Płocka	29	984	243	1,013	272
Radomska	212	990	688	1,202	900
Suwalska	57	613	127	670	184
Siedlecka	32	1,031	601	1,063	633
Razem	3,313	7,636	31,569	10,949	34,882

Cyfra ilości wysłanych przez gubernie Królestwa Polskiego nie zgadza się tu z cyfrą wykazów ogólnych Zjazdu, w których przewozy wysłane z Królestwa obliczono na 13,681 tys. p.

Wydawnictwo Ministeryum Finansów obejmuje dane o ilościach transportów zbożowych tylko dla 7 gubernii (bez Kaliskiéj, Kieleckiéj i Siedleckiéj). Według tych danych gubernie Królestwa Polskiego otrzymały transportów zbożowych w 1895 r.:

	(Zjazd)	(M. F.)
Warszawska	16,970	16,716
Łomżyńska	1,145	1,064
Lubelska	1,427	1,054
Piotrkowska	12,534	13,280
Płocka	272	922

Radomska	900	884
Suwalska	184	729
Razem	33,432	34,649
dodając do tego przewozy otrzymane przez gubernie Kielecką i Siedlecką według danych Zjazdu	1,450	1,450
otrzymamy sumę przewozów otrzymanych przez gubernie Królestwa Polskiego w przybliżeniu	(34,882)	36,099

35 do 36 milionów pudów, która stanowi 5 do 5,15 % ogólnych przewozów zbożowych w całém Państwie za rok 1895 (702,032,000).

Według danych Min. Finansów średnie odległości, średnie opłaty za transport 1 puda i średnie stawki transportowe dla tych przewozów, otrzymanych przez gubernie Królestwa Polskiego były następujące:

	Średnia odległość wiorst	Średnia opłata za 1 pud kopiejek	Średnia stawka taryfowa kopiejek
dla transportów przybyłych			
do gub. Piotrkowskiéj	1,079	18.35	1/59
Warszawskiéj	1,056	17.94	1/59
Łomżyńskiéj	775	15.40	1/50
Suwalskiéj	729	13.66	1/53
Płockiéj	653	12.91	1/51
Lubelskiéj	523	11.24	1/51
Radomskiéj	428	9.21	1/46

Z ogólnéj ilości produktów zbożowych otrzymanych przez Królestwo—35,000,044 pudów 86%, t. j. 30,000,000 p. przypada na dwie tylko gubernie przemysłowe: Warszawską i Piotrkowską, w dalszym téż rozbiorze naszych danych ograniczymy się już tylko do tych dwóch, jako miarodajnych, gubernii. Gubernie te otrzymały z odległości:

	Warszawska Ilości w tys. p.	%	Piotrkowska Ilości w tys. p.	%	% średni w całém państwie dla ruchu wewnętrz.
0 - 500	3,747	23	2,824	21	30.7
500—1,000	2,520	15	1,834	14	15.5
1,000—1,500	7,024	42	5,933	45	36.3
1,500—2,000	2,521	15	2,531	19	13.7
2,000—2,500	687	4	125	1	3.3
2,500—i wyżéj	217	1	33	—	0.5
	16,716		13,280		

Dane te przekonywują, że w zaopatrzeniu rynków warszawskiego i piotrkowskiego, okolice najbliższe tych rynków przyjmują udział mniejszy niż np. gub. centralne w zaopatrzeniu rynku zbożowego mo-

skiewskiego; że gubernie oddalone o 1,000 do 2,000 wiorst dostarczają na te 2 rynki 57 do 64 % ogólnéj ilości spożywanego zboża, kiedy na inne rynki państwa okręgi oddalone o 1,000 — 2,000 wiorst dostarczają tylko 50 % ogólnego spożycia. Fakt ten potwierdzają dane odnoszące się do pojedyńczych ważniejszych miast zawarte w wykazach Ministeryum Finansów. Tutaj, dla porównania zaznaczymy tylko, że średnie odległości przewozu, średnie opłaty i średnie stawki taryfowe wynoszą dla transportów otrzymanych przez gubernie przemysłowe centralne:

Moskiewską	471	wiorst	10.03	kop. za pud	$^1/_{49}$	z puda	i wiorsty
Władimirską	432	„	9.24	„ „	$^1/_{47}$	„	„
Kałuską	462	„	10.96	„ „	$^1/_{42}$	„	„
Kostromską	534	„	90.3	„ „	$^1/_{59}$	„	„
Warszawska	1,056	„	17.94	„ „	$^1/_{59}$	„	„
Piotrkowska	1,079	„	18.35	„ „	$^1/_{59}$	„	„

Porównanie to témbardziéj zwraca uwagę, że, jak to podaliśmy poprzednio, gubernie przemysłowe środkowe uprawiają tylko 14% swéj przestrzeni i 0.40 dziesiatiny na głowę ludności, zaś Królestwo Polskie uprawia 30% przestrzeni ogólnéj i 0.43 dzies. na głowę ludności, że okręg przemysłowy ma stały niedobór ziarna, wynoszący 45 — 62 milionów pudów ziarna, a Królestwo Polskie ma nadmiar ziarna, który wynosił w 1895 roku 2.5 milionów, a w r. 1893 prawie 18 milionów pudów.

Według wykazów ministeryum finansów, obejmujących 131 najważniejszych rynków wewnętrznych, na które w r. 1895 drogi żelazne dowiozły 219.5 mil. pudów dostarczono:

z odległości	na wszystkie 131 punktów: ilości absolutne w tys. pudów	%	do Moskwy: ilości absolutne w tys. pudów	%
0 — 500	141,963	65	24,119	68
500 — 1,000	40,887	19	9,110	26
1,000 — 1,500	27,827	13	2,077	6
1,500 — 2,000	7,053	3	191	—
2,000 — 2,500	1,653	—	—	—
2,500 i wyżéj	104	—	—	—
	219,487		35,497	

Do Warszawy zaś i do Łodzi przybyło w roku 1895-ym z odległości:

	Warszawa ilości	%	Łódź ilości	%	Procent Ogólny	Moskwy
0 — 500	2,594	25	1,354	34	65	68
500 — 1,000	1,889	18	631	15	19	26
1,000 — 1,500	4,808	48	1,720	44	13	6
1,500 — 2,000	823	8	192	4	3	—
2,000 — 2,500	183	1	3	1	—	—
2,500 i wyżéj	64	—	5	2	—	—
	10,361		3,905			

Z odległości zatém od 1,000 — 2,000 wiorst przybywa na ogół rynków zbożowych 16%, do Moskwy 6%, do Warszawy 56%, a do Łodzi 48% ogółu dostaw. Różnice są zbyt wyraźne, abyśmy do nich dodawali komentarze.

Średnie odległości przewozu, średnie opłaty i średnie stawki taryfowe zestawiamy poniżéj:

	wiorst	kop. za pud	z puda i wiorsty
wszystkie 131 rynków	492	10.33	1/48
Moskwa	460	10.91	1/42
Warszawa	930	16.53	1/56
Łódź	846	15.29	1/55

z pozostałych rynków Królestwa przytoczymy jeszcze:

Dąbrowa	884	15.68	1/56
Częstochowa	913	16.40	1/55

Dąbrowa otrzymała z odległości 1,000 — 2,000 wiorst 55%, Częstochowa 57% swoich dostaw zbożowych.

Na zakończenie podajemy szczegółowy wykaz transportów zbożowych, otrzymanych przez gubernię Warszawską i Piotrkowską z różnych okręgów państwa i z podziałem ogółu przewozów na różne ich gatunki.

Gubernia Piotrkowska otrzymała:

Z okręgu	W ziarnie Żyta	Pszenicy	Owsa	Jęczmienia	Wogóle ziarna	Mąki	Odpadków	Nasion oleistych	Razem
Centralnego	520	7	1,569	—	2,133	114	763	19	3,029
Połud.-zachodn.	649	463	85	60	1,411	842	312	80	2,645
Małoruskiego	378	57	129	1	739	357	543	48	1,687
Połud.-stepowego	138	15	4	31	236	333	531	6	1,106
z g. Saratowskiéj	482	—	7	—	493	2	117	1	613
Central.-przemysł.	—	—	—	—	—	—	208	—	208

Białoruskiego	—	—	—	—	—	—	164	1	165
Kaukazu	—	—	—	—	—	—	16	—	16
z gub. Samarskiéj	2	—	2	—	5	—	—	—	5
Litwy	2	—	—	—	23	—	15	—	43
	2,171	542	1,796	92	5,040	1,653	2,669	155	9,517
przewozy wewnątrz gubernii	86	38	17	71	217	377	168	14	776
z innych gubernii Królestwa Polsk.	219	219	290	129	939	1,069	162	71	2,241
Razem	2,476	799	2,103	292	6,196	3,099	2,999	240	12,534

Gubernia Warszawska otrzymała:

Z okręgu	Zboża w ziarnie: Żyta	Pszenicy	Owsa	Jęczmienia	W ogóle ziarna	Mąki	Otrąb, makuch, plew, etc.	Nasion oleistych	Razem
Centralnego	490	5	2,609	—	3,132	155	1,265	7	4,579
Połud.-zachodu.	90	108	74	50	386	893	815	54	2,148
Noworosyjskiego	22	8	1	17	57	1,377	677	5	2,116
Małoruskiego	47	34	420	7	559	313	732	21	1,625
Nadwołż. średn.	479	—	45	1	527	17	723	4	1,271
„ dolnego	73	—	6	—	80	101	177	—	358
Przemysłowego	3	—	—	—	3	112	175	—	290
Białoruskiego	—	—	52	—	58	11	135	—	204
Kaukaz	—	—	—	—	—	—	87	—	87
Litwa	—	—	—	—	13	—	70	3	86
Przyuralski	—	—	—	—	—	70	—	—	70
Razem	1,204	155	3,209	75	4,815	3,048	4,856	94	12,833
z gubernii warszawskiéj	167	117	182	148	731	302	699	29	1,761
z innych gubernii Królestwa Polsk.	602	266	162	225	1,329	678	323	46	2,376
Razem	1,973	538	3,553	448	6,875	4,028	5,878	169	16,970

Cyfry te dowodzą: że z dostawionych na te rynki drogami żelaznemi ziarna, mąki i otrąb przypada w procentach:

z dostawionych do gub. Piotrkowskiéj:

	ziarna	mąki	otrąb	razem
na Królestwo Polskie	19	47	11	24
na inne okręgi państwa	81	53	89	76

z dostawionych do gub. Warszawskiéj:

	ziarna	mąki	otrąb	ogółem
z Królestwa Polskiego	30	24	17	24
z innych okręgów państwa	70	76	83	76

Prócz niezwykle małego procentu, jaki wyraża udział Królestwa w zaopatrywaniu drogami żelaznemi obu tych gubernii w ogólnéj sumie dostaw kolejowych, zadziwiającym jest stosunek otrąb, których 8.5 miliona pudów dostarczono z Cesarstwa do Królestwa ze wszystkich prawie okręgów. Odpadki te wytrzymały koszt przewozu równie wysoki, jak mąka i pszenica, dzięki tylko niesłychanemu obniżeniu ich ceny na miejscach przemiału, wywołanemu nienaturalnym stosunkiem taryf zbożowych do taryf mącznych, zrównaniu stawek przewozowych na materyał surowy i pół-produkt, jakim jest mąka.

VIII.

Reforma taryf zbożowych w r. 1893 miała na celu zabezpieczenie interesów rolnictwa środkowego czarnoziemnego okręgu przez zapewnienie mu zbytu ziarna na rynkach środkowych, przemysłowych gubernii; jako środek do tego celu posłużyć miały: rozdzielenie na krótkich (do 320 wiorst) odległościach taryf wywozowych od taryf wewnętrznych i obniżenie tych ostatnich. Po trzech latach możemy już dziś ocenić skutki téj reformy, zestawiając dane dotyczące przewozów wewnętrznych na różne odległości do ważniejszych miast w państwie w ciągu lat ostatnich. Było tych przewozów z odległości:

	w r. 1890		w r. 1893		w r. 1895	
	wagonów	%	tys. pudów	%	tys. pudów	%
0 — 400	168.434	68	113,420	62.5	127,396	58
400 — 1,000	60,056	24.2	47,370	26.1	55,454	26
1,000 — 1,500	17,453	7	17,029	9.3	27,827	13
1,500 — 2,000	1,309	0.6	2,992	1.7	7,053	3
2,000 i wyżéj	449	0.2	626	0.4	1,757	—
	247,701		181,437		219,487	

Jak widzimy z tych cyfr, udział okręgów najbliższych w dostawach kolejami na rynki wewnętrzne coraz się zmniejsza; z 68% w roku 1890 spada on w r. 1893 do 62.5, a po reformie r. 1893, w r. 1895 obniża się jeszcze do 58%.

Jeśli zestawimy cyfry, dotyczące rynku moskiewskiego, za te same lata, to wyrażą się one w następującéj tablicy:

dostawiono do Moskwy (w tysiącach pudów):

	w r. 1890		w r. 1893		w r. 1895	
z odległości	ilości	%	ilości	%	ilości	%
0 — 400	36,401	68.1	14,309	46.4	18,675	52.7
400 — 1,000	16,335	30.5	15.328	49.4	14,554	41.

1,000 — 1,500	719	1.3	1,170	3.8	2,077	5.8
1,500 — 2,000	37	0.1	217	0.7	191	0.5
2,000 i wyżéj	—	—	6	—	—	—
	53,572		31,030		35,497	

Jak widzimy, reforma odniosła pewien skutek: dostawy z odległości do 400 wiorst, zwiększały się o 6.3% kosztem dostaw od 400—1,000 wiorst, które zmniejszyły się o 8.4%, z czego pewna jeszcze część poszła na korzyść dostaw z odległości 1,000 do 1,500 wiorst (2%). Mimo to jednak, okrąg centralny w porównaniu z rokiem 1890-ym stracił 16% dostaw kolejowych zboża do rynku moskiewskiego, tak, że w porównaniu z r. 1890 sytuacya rolników okręgu centralnego na rynku moskiewskim uległa silnemu pogorszeniu.

Poniżéj podajemy tablice takich samych zestawień dla Warszawy i Łodzi:

do Warszawy dostawiono (w tysiącach pudów):

	w r. 1890		w r. 1893		w r. 1895	
z odległości wiorst	ilości	%	ilości	%	ilości	%
0 — 400	4,043	31.5	4,331	50.9	2,553	24
400 — 1,000	3,443	26.8	1,778	20.9	1,930	19
1,000 — 1,500	5,031	39.1	2,332	27.4	4,808	48
1,500 — 2,000	139	1.1	57	0.7	823	8
2,000 i wyżéj	193	1.5	7	0.1	247	1
	12,849		8,505		10,361	

do Łodzi dostawiono (w tysiącach pudów):

	w r. 1890		w r. 1893		w r. 1895	
z odległości	ilości	%	ilości	%	ilości	%
0 — 400	1,188	36.3	1,067	60.5	1,344	34
400 — 1,000	690	21.1	221	12.5	641	15
1,000 — 1,500	1,310	40	470	26.6	1,720	44
1,500 — 2,000	80	2.5	6	0.4	192	4
2,000 i wyżéj	3	0.1	1	—	8	3
	3,271		1,765		3,905	

Na rynkach zatém naszych, reforma miała wpływ stanowczo niekorzystny dla miejscowego producenta: zmniejszyła ona ilości dostawiane z odległości 0—400 wiorst do Warszawy z 50.9% na 24; do Łodzi z 60.5% do 34; powiększyła zaś ilości z odległości 1,000 — 1,500 wiorst dostawiane kolejami do Warszawy z 27 na 48%, do Łodzi z 26.6 na 44%.

St. Piotrowski.

IRONIE ŻYCIA.

Nowele z Albionu.

I. Czterolistna koniczyna.

I.

Ubiegał trzeci miesiąc od czasu, gdy Miss Kate Frampton przybyła do Londynu w celu wystarania się o posadę nauczycielki, a mimo skromne wymagania i pochlebne świadectwo wyniesione z domu pastora, którego dwie córeczki przysposobiła na pensyą, ubiegał na bezowocnych zabiegach i płonnych oczekiwaniach. Nie sprzyjało jéj szczęście i zewsząd piętrzyły się zapory. Coraz więcéj napływało wychowawczyń z kraju i zagranicy, coraz więcéj życiowych rozbitków stukało do wrót stanu nauczycielskiego, często osób niepowołanych, odpowiednio nieuzdolnionych, a żądania chlebodawców wzrastały niezmiernie. Zwłaszcza ludzie z przeciętném wykształceniem, stojący zdala od ruchu umysłowego, w których płytkiém pojęciu wiedzę znajduje się mimochodem na miejskim bruku i da się przeszczepić równie łatwo jak latorośl, wymagali od nauczycielki posiadania wszelkiéj możliwéj i niemożliwéj do zdobycia wiedzy, poczytując samych siebie za wszechwiedzących i nieomylnych, aczkolwiek w gruncie rzeczy nie cenili wykształcenia, uważając je niejako za szatę, którą obyczaj każe

przywdziewać niekiedy od święta, spoglądając na ludzi, życie nauce poświęcających, z odcieniem wpółlitościwéj pobłażliwości czy pogardliwéj obojętności, jakby na nieszkodliwych szaleńców. Bo ogół nie zdawał sobie sprawy z doniosłości wiedzy, widział w niéj jedynie środek do zarobkowania, a postawa, pełna szacunku, jaką zdał się wobec niéj przybierać, po ściślejszém zbadaniu okazywała się afektacyą, pozorem, konwencyonalném kłamstwem.

Nadzieje młodéj guwernantki nie przekraczały granic prawdopodobieństwa; wejść w grono światłych osób, gdzie nie traktowano-by jéj na równi ze służbą i nie wynagradzano znacznie gorzéj od stangreta lub lokaja, było jedyném jéj marzeniem. Ale i te pragnienia wydały jéj się teraz wygórowane; zastanawiała się przeto, czy nie było-by korzystniéj przy nastręczającéj się sposobności odpłynąć na południe Afryki, téj młodéj kwitnącéj ziemi, mlekiem i miodem płynącéj, gdzie praca obfite przynosiła plony i gdzie nie trudno było o męża.

W czasie swego pobytu w mieście, mieszkając pod dachem *home*'u dla guwernantek, Kate nasłuchała się wykładów o wyższych celach i zadaniu kobiéty w społeczeństwie. Swada rej wodzącéj nauczycielki wzbudzała jéj podziw, erudycya zaś nakazywała uchylić czoła i Kate wywodom „nowéj kobiéty" przyznawala słuszność; w cichości serca jednak nasuwały się jéj poważne wątpliwości: czy natura przeznaczyła ją na kobietę wyższą. Teorye bowiem nie zabarwiały jéj myśli, poglądów na ludzi nie normowała według właściwości przypisywanych z góry ich płci, wojownicze zakusy i zaborcze hasła nie odpowiadały jéj pokojowemu usposobieniu; wierzyła, iż ewolucya społeczna naturalnym biegiem rzeczy stworzy korzystniejsze warunki bytu dla kobiet. Przedewszystkiém zaś nie umiała wcale wznieść się do wyżyn lekceważenia i pogardy rodzaju męskiego. Towarzystwo mężczyzn przenosiła nad ożywione zebrania niewiast, nad najweselsze *tea-fights* [1]), a na widok kobiét otoczonych dziatwą zakradała się do jéj serca niepohamowana zazdrość. Utożsamiając się z szczęśliwą matką, nadawała swym dzieciom ładnie brzmiące imiona, przyodziewała je w piękne ubiorki, a teorye i hasła pierzchały w oka mgnieniu, jak senne mary w blaskach jasnego słońca. Stanowczo właściwém jéj powołaniem było poprostu wyjść za mąż i wychowywać własne dzieci.

Dlaczegóż wszakże nie miałby los zawieść jéj do ołtarza? Posag nie odgrywał prawie żadnéj roli, w razie potrzeby była zdolną praco-

---

[1]) „Potyczkami herbacianemi" nazywają się zebrania mieszczanek w popołudniowych godzinach, które mają tę samą reputacyę, co *Kaffeeklatsch* w Niemczech.

wać, powtóre liczyła dopiéro dwadzieścia pięć wiosen, posiadała dobry układ, zgrabną postawę, doskonałą figurę, płeć świéżą bez skazy, ładne ciemno-blond włosy i niezamąconą pogodę umysłu, która przychylnie uprzedza i ujmuje ludzi, jakby rozsiewając wokoło balsamiczną woń zdrowych ziół.

Niestety, rzadko widywała młodych mężczyzn. W domu pastora widywała wprawdzie dwóch wikarych, ale jeden z nich był zaręczony, drugi *curate* zaś wcale nieponętny i tak nieśmiały, że w obecności pani pastorowéj nie ośmielał się podnosić oczu na Kate. Jednakże nie zbywało jéj na wymownym dowodzie, że może się podobać, dowodzie, który pozbawił ją korzystnego stanowiska w początkach zawodu nauczycielskiego. Gdy objęła obowiązki w zamożnéj familii na wsi, pan domu, przystojny *squire*, począł spotykać ją sam na sam w ogrodzie daleko częściéj, aniżeli podobało się to jego żonie i guwernatce saméj.

Na wspomnienie to, zadowolenie opromieniało Kate, cicha nadzieja budziła się w sercu i w ślad za nią wynurzał się zamiar wyjazdu do obiecanéj ziemi afrykańskiéj, która nabierała tém większego uroku przez to, że brat jéj przebywał tamże od lat kilku. Łączył ją bowiem z bratem serdeczny węzeł. Phil nie zapominał o niéj, przesłał jéj nawet na urodziny datek pieniężny, ale w tym roku upłynęły dwa tygodnie od dnia jéj urodzin bez wieści od niego. Kate niepokoiła się o brata, na domiar liczyła właśnie na pomoc z jego strony, gdyż wspaniałe magazyny londyńskie, wystawiając ją nieustannie na pokuszenie, uszczupliły znacznie jéj oszczędności.

Wszystkie nadzieje ją zawodziły...

Z cieniem zamyślenia w oczach i poczuciem osamotnienia w piersi, siedząc na ławce w „ogrodach kensyngtońskich”, kréśliła machinalnie końcem parasolki zygzaki i arabeski na żółtym zwirze.

Wyniosłe kasztany szumiały na jesienną nutę i pusto było wokoło, bo ołowiane niebo i niezwykle chłodny dzień kwietniowy odstraszały od parku.

Naraz pojawił się przed nią duży, czarny pies z żółtémi kończynami i przybliżył się, patrząc w jéj oczy poczciwie. Położyła rękę na miękkim, jedwabistym jego łbie, pies zaś, przyjmując kares łaskawie, wsparł łapy na jéj kolanach, wyciągając pysk ku różowym jéj licom i wachlując puszystym ogonem na znak radości. Zajęta przygodnym przyjacielem, nie spostrzegła mężczyzny stojącego opodal, za krzewami bzów, nad sadzawką przecinającą podłużną błękitną plamą zielone kobierce trawników i z rzadka rozsypane po nich drzew szlaki.

I dżentelman bodaj nie zauważył młodéj kobiéty, bo wodził okiem po „Serpentynie”, po pływających z powagą łabędziach, które przywo-

dziły mu na pamięć szeregi mieszczanek, prezentujących swe odświętne stroje po niedzielném nabożeństwie w alei parkowéj. Niebawem wszakże—zoczywszy może ukradkiem, iż pies pochłaniał uwagę młodéj kobiéty — odwrócił się i objął jéj postać ciekawém spojrzeniem. Wreszcie podszedł ku ławce.

Gdy żwir zaskrzypiał i wysoka sylwetka ukazała się na chodniku, ręce nauczycielki zsunęły się z grzbietu psa, a gdy dżentelman zajął miejsce na drugim końcu ławki, stanęła w ogniu.

Tymczasem rozochocony pies począł biegać szalonym pędem wokoło ławki, warcząc radośnie i zawadzając raz po raz o jéj nogi, jakby wzywając w ten sposób do gonitwy.

— Niech pani wybaczy poufałość... ze strony mego psa, który nie krępuje się konwenansami, idąc ślepo za głosem instynktu, zdradzającego mu w pani przyjaciółkę—ozwał się dżentelman zwolna, niby od niechcenia...

Zapłoniona Kate chciała coś odrzec, ale zapomniała zażenowana, co miała na ustach, i pochyliła głowę.

— Niezwykle zimny kwiecień — zauważył po długiéj pauzie nieznajomy, jakby powierzając tajemnicę.

Pomimo chłodnego powietrza rozpiął palto i ważąc w myśli słowa, szarpał złoty łańcuszek od zegarka i wiszące przy nim breloki.

Wiedziona ciekawością a onieśmielona Kate zerknęła nań z boku; czując na sobie jego wejrzenie, miała ochotę oddalić się, jednakże nogi odmówiły jéj posłuszeństwa. Dżentelman, niezrażony milczeniem rzekł:

— Uprzejmość, jaką pani okazuje memu psu, wzbudza we mnie nadzieję, że nie weźmie pani mi za złe, jeśli się przedstawię. Jestem...

Nareszcie Kate śmiało uniosła głowę, zmierzyła go okiem i przerwała głosem, w którym przebijało oburzenie:

— Myli się pan; nie zwykłam zawierać znajomości na spacerze...

Zanim powstała, nieznajomy uprzedził ją.

— Przepraszam stokrotnie, nie chciałem pani uchybić. Niechaj pani nie odchodzi i wybaczy mą śmiałość. Bardzo żałuję...

To rzekłszy, uchylił kapelusz i odszedł.

Wzburzona Kate padła na siedzenie, oddychając w przyspieszoném tętnie. Na jéj twarzy malował się gniéw, który wszakże, w miarę jak nieznajomy oddalał się, topniał, ustępując miejsca zdziwieniu i ciekawości. Nie mogła się powstrzymać od przesłania długiego spojrzenia „bezczelnemu natrętowi.”

Impertynent z wytartém czołem,—myślała—lubo nie pozbawiony poloru towarzyskiego. Jak on śmiał ją zagadnąć!.. Było trochę winy

po jéj stronie, bo czemu bawiła się z jego psem? Chciał się przedstawić, przepraszał, widocznie wpadła mu w oko, ale... nie wypadało w publicznym ogrodzie. Nie zupełnie młody, z pewnością wdowiec, lecz rzeczywiście przystojny, wysoki, z miłym wyrazem twarzy, być może wojskowy... Niezawodnie czuł się teraz zawstydzony niestosownem, gminnem zachowaniem. Musiała mu się bardzo spodobać, jeżeli się zapomniał... tak dobrze wychowany człowiek... No, dała mu przecież nauczkę...

Gdy dżentelman znikł na skręcie, ochłonęła z gniewu, będąc z natury popędliwą trochę, ale skłonną uniewinniać i przebaczać. Oblicze jéj rozchmurzyło się, uśmiéch zaigrał wokoło mięsistych warg, bo trzymała się zwykle jasnéj strony życia, potém jednak zakradł się do jéj serca cień nieokreślonego żalu, chociaż gdyby drugi raz przytrafił jéj się podobny wypadek, nie postąpiłaby sobie inaczéj.

Szkoda, że nie nastręczyła się sposobność w towarzystwie do zawarcia z nim znajomości! Nie miała szczęścia...

W téj chwili łysnęło przed jéj oczyma świecidełko i tuż przed ławką, gdzie zajmował miejsce nieznajomy, ujrzała pomiędzy kamyczkami okrągłe szkiełko, objętości szylinga, ujęte w złotą obrączkę, na którém igrał i palił się promień słoneczny.

Między dwoma szklanemi krążkami mieścił się maleńki, zielony listek koniczyny, *a lucky shamrock* [1]).

Naturalnie „on" był właścicielem czterolistnéj koniczyny; targając łańcuszek od zégarka, niepostrzeżenie zerwał brelok i zgubił... szczęście. Gdyby zamiast tego zgubił serce?!...

Westchnęła i schowała do kieszeni amulet, mając niewytłómaczone, ale nieprzeparte przeczucie, iż przyniesie jéj szczęście.

I w rzeczy saméj, zastała] w domu dobre wieści i upominek od brata, oraz list z ajencyi stręczeń, a w tydzień późniéj wyjechała o kilkanaście mil od Londynu na miejsce swego przeznaczenia, do domu wzbogaconego ogrodnika.

Ot, wszystko to sprawiła ta czterolistna koniczyna!

II.

Nad zapomnianą dróżyną, która wije się wśród ogródkowych pól, obramowanych żywopłotami, osiadły na wzgórzu dwa nizkie domostwa.

---

[1]) *Shamrock*, gatunek koniczyny, rosnącéj dziko w Irlandyi, jest małych rozmiarów i nie rozkwita. Służy za godło narodowe na cześć patrona Zielonéj wyspy, św. Patrycyusza, i stał się dość popularnym amuletem, nawet po za granicami Irlandyi.

Potężne klony i potulne bzy chroniły przed wiatrami boki milczącéj karczmy, która ponure oblicze zwracała ku wiejskiéj przestrzeni, gdzie się rozsiadły fermy, zaznaczone na zielonéj płaszczyznie ciemnemi grupami drzew. Raz na dzień tylko domostwo budziło się ze snu, gdy z targu wracające wozy ogrodników zapełniły niewielki dziedziniec. Zresztą wstępował tu czasem robotnik z pola lub przystawał woźnica, by napoić konie i wypalić fajkę przy kieliszku. Zwykle oberża spoczywała pogrążona w posępném zamyśleniu.

Natomiast opodal stojący domek, schludny i świąteczny, wesoło spozierał przed siebie, mimo, że bluszczowe węże, czołgające się w górę, przysłaniały część śnieżnych ścian. Uwagę rzadkich przechodniów musiały zwrócić również klomby jaskrawych tulipanów na frontowym trawniku. A ponieważ z po za domku ukazywały się rzędy szklanych cieplarni, zbytecznie było odczytywać złocisty napis, który zakréślał półkole ponad wejściem do wązkiego przedsionka i oznajmiał, że mieszka tu ogrodnik, Mr. Adams.

W to wiejskie zacisze los zawiódł młodą nauczycielkę, a nie miała ona powodu skarżyć się na *shamrock*, znalazłszy wbrew oczekiwaniu względnych i dobrych chlebodawców, prostoduszne istoty i niemal rodzicielskie serca. Państwo Adams, nie powołani do kierowania naukami córek, nie narzucali jéj wskazówek i pokładali w niéj nieograniczoną ufność, że obowiązki swe spełni według możności jaknajlepiéj, tak jak oni pełnili je w zakresie swéj działalności. Ogrodnik, który przebywał w bawialnym pokoju jedynie w święta i, wierny przyzwyczajeniu, jadał w kuchni, okazywał jéj głęboki szacunek, objawiający się mianowicie w tém, że w obecności miss Frampton nie zdejmował surduta i nie zapominał myć rąk przed wspólną wieczerzą. A gdy Kate zagrała popularne piosenki na odstrojonym fortepianie, poczciwi państwo Adams nie mogli dość nacieszyć się muzyką i wyjść z podziwu nad jéj talentem, poczytując sobie za zaszczyt, że tak wysoce edukowana osoba zagościła pod ich strzechą. Gdy ich córki, w których oczach Kate wyrosła odrazu na wyrocznię, wzór mód i naczynie wszechdoskonałości, poczęły robić postępy w grze na fortepianie i wygrywać dżiga, Mr. Adams nie posiadał się z radości i nie przestawał rozpowiadać o tém w sąsiedniéj gospodzie. A zatém dobrze było guwernantce w tym *home*'ie.

Lecz czasami niesforne myśli wykradały się z ciasnego obrębu zajęć, porzucały senne ustronie i biegły w wir miejskiego życia. W braku stosownego towarzystwa, chętnie dawała się im porwać i unosić; pusta droga i ciche pokoje zaludniały się wonczas znanemi osobami, a pomiędzy niemi pojawiał się ów nieznajomy właściciel amuletu.

Przydybała się kilkakrotnie na rozpamiętywaniu sceny w parku i wpatrywała się w amulet z zapytaniem, czy nie przyniesie jéj on nic więcéj.

Spływały na nią ożywcze promienie nadziei, a ona poddawała się im z lubością, nie rozpraszając zrazu ciepła podmuchem chłodnego rozsądku, gdy o zachodzie słońca spoczywała w biegunowém krześle przed domem, z gazetą, która zsunęła się na trawę. Drzewa i zieleń przypominały jéj żywo ogrody kensyngtońskie, widok nabrał nowego uroku i przymknęła oczy, zanurzając się w tym obłoku nadziei, niejasnéj, nieskrystalizowanéj w myśl, ale dlatego może tém milszéj. W tym nastroju umysłowym, czując się w zupełnéj harmonii z otoczeniem, nie pojmowała, jak zamiar wyjazdu mógł znaléść do niéj przystęp. Porzucić kraj—znaczyłoby pożegnać się z nadzieją, przykuwającą ją do miejsca, a najrozrzutniejsi nawet i lekkomyślni ludzie z przykrością biorą rozbrat z nadziejami.

Lecz czyliż trywialne zdarzenie w parku mogło wpłynąć na koleje jéj życia? Czyż ów amulet mógł zbliżyć dwoje nieznajomych sobie osób, rozdzielonych przez nieodgadnione przestrzenie, rzuconych w odmęt nieprzeliczonych istot, w inne światy?... Co za szaleństwo oddawać się tak bezpodstawnym nadziejom, wysnutym z życzeń!

Atoli pasmo życia ludzkiego jest utkane z błahych, trywialnych czynności i wydarzeń; nie ma takiéj drobnostki, która nie mogłaby zaważyć na szali losu. I gdyby wyśledzić zarodek faktów, które stają przed nami w formie dokonanéj, rozwikłać nić aż do kłębka, okazałoby się, że panna X. wyszła dobrze za mąż dzięki temu, iż pewnego dnia włożyła zgrabne buciki, arcybiskup Y. dlatego został mianowany arcybiskupem, iż z powodu niestrawności nie stawił się pewnego razu na *meeting* konsystorza, a skrzypek Z. zdobył europejską sławę wskutek tego, iż jego długie włosy zrobiły głębokie wrażenie na pewnéj hrabinie. Wszystko na świecie posiada wartość, jeśli jéj się dopatrzéć zdołamy, nawet taki mały listek koniczyny. A czy dla czarodziejskiego amuletu istniała trudność lub zapora?

Dlaczegoż jednak odepchnęła „go" szorstko od siebie? Przemawiał do niéj uprzejmie. Wskutek wygórowanego przestrzegania form towarzyskich ominęła sposobność, która może nie nastręczy się więcéj. Oby tylko życie jéj nie złożyło się na mozajkę z niepochwyconych sposobności. Dzisiejsi ludzie nie krępują się tak dalece konwenansami. Zresztą, jako dojrzała, pełna samowiedzy kobiéta, była przecież zdolna zaopiekować się sobą w każdym wypadku...

Nie, bądź co bądź, postąpiła sobie właściwie, bo jakie wyniosłby „on" mniemanie o niéj, gdyby, wiedząc co za nizkie zakusy kryją się

pod maską kurtuazyi, była wdała się z nim w rozmowę. Mężczyźni o wiele od kobiét konserwatywniejsi, ściśle przestrzegają form i pozorów, chociaż czasami wygodnie im zapiérać się tego. Jeżeli „on” teraz wspominał ją sobie, to tylko dlatego, że dała mu ostrą odprawę, postawiła się w korzystném świetle. Ale najpewniéj zapomniał o niéj...

Wieczorny wiatr powiał, konary klonów zaszemrały żałośnie, przynosząc od strony oberży podźwięki głosów. Po chwili koń zarżał i pasmo dumań samotnéj kobiéty przerwał jeździec, który, przesuwając się zwolna przed domkiem ogrodnika, przesłał jéj długie spojrzenie i widocznie się zawahał, czy nie ukłonić się.

Poprzednio już spotkała go Kate raz czy dwa razy, a uczenice jéj mówiły, że był dzierżawcą w sąsiednich dobrach bogatego lorda. Przez chwilę piękny, skarogniady wierzchowiec zwrócił jéj uwagę, poczém szybko podjęła gazetę, by zasłonić twarz przed pociskami inkwizytorskich oczu jeźdzca. Przeglądając kolumny ogłoszeń, któremi była wypełniona pierwsza stronica „Standardu”, zatrzymała się przy ciekawym dziale inseratów „osobistych”. Za pośrednictwem dziennika przesyłano sobie lakonicznie i tajemniczo zredagowane odezwy, ktoś inny wyznaczał nagrodę za odnalezienie bransoletki.

Kto wié, czy „on” nie poszukiwał tą drogą swego breloku! Wprawdzie przedmiot nie przedstawiał żadnéj wartości realnéj, ale może uważał go „on” za jedyny most wiodący do niéj... O, gdyby tak było w istocie, toż ten kochany *shamrock* byłby nieoszacowanym skarbem!

Uderzona tém przypuszczeniem, napisała natychmiast z prośbą o nadesłanie kilkunastu numerów dziennika, datowanych od dnia pamiętnego ich spotkania nad sadzawką.

I przeczucie nie omyliło. Zaledwie wierząc własnym oczom, odczytywała z wzrastającą uciechą ogłoszenie, w którém pan E. R. upraszał o zwrot breloku z *shamrock*'iem, zgubionego w połowie kwietnia w parku kensyngtońskim. Podawał adres jednego z pierwszorzędnych klubów londyńskich, nie ulegało przeto wątpliwości, że należał do najlepszego towarzystwa. I ten świetny dżentelman pragnął zawrzéć z nią znajomość, może nawet... O! czarodziejski, najdroższy listek koniczyny!

III.

Z zapachem siana i kwiatów wtargnęła nadzieja, żywych i żyjących dobra towarzyszka, do wnętrza domu, do serca młodéj kobiéty.

Dotąd przekradała się szparami nieśmiała, instynktowna, teraz wkroczyła jasna i dumna, bo otwarto jéj na rozcież podwoje.

Kilka dni, które dzieliły Kate od zapowiedzianych odwiedzin pana Edwina Rogers, minęły jéj w zaklętém kole z zielonych uwitém wieńców, w którego obrębie panowała słoneczna atmosfera. Owiana wonią nawpół ziszczonych marzeń, nie odważała się sięgać myślą daleko w przyszłość, uprzedzać wypadków ni radować się, lubo prąd radosny przenikał ją i upiększał.

Jeśli potém, co między nimi zaszło, życzył sobie poznać ją, a więc myślał o niéj na seryo.

Wydało jéj się czémś niepojętém, że pewnego dnia prócz korpulentnéj pani Adams, jéj córek w krótkich sukienkach i szarego kota, zasiadł do popołudniowéj herbaty wysoki, jasnowłosy dżentelman, zabłąkany w te skromne progi.

Każdy ruch, każde słowo zdradzało w nim pana z panów, o sportsmeńskich zamiłowaniach, z wrodzoném i wyhodowaném poczuciem swéj wartości i wyższości rasowéj, z jakiém Anglik spogląda z wysokości banku angielskiego na pięć części świata. Lubo nie pierwszéj młodości, pan Rogers, dobrze zbudowany, z twarzą czerstwą, o rysach śmiałych, wywierał bardzo korzystne wrażenie, które potęgowały miły wyraz twarzy, sympatyczne spojrzenie i wielkomiejska ogłada. Uśmiéch błądził po zarumienionych licach miss Frampton, gdy zniżywszy się do poziomu żony ogrodnika, przybysz wysypał na obrus cały, szczupły zasób swéj wiedzy botanicznéj, by podtrzymać rozmowę.

Jakoż przezacna pani Adams czuła się podbitą i zaraz po herbacie uznała za stosowne pozostawić nauczycielkę sam na sam z „jéj młodym człowiekiem", albo raczéj z „prawdziwym i skończonym dżentelmanem", który zamierzał się zaręczyć z guwernantką jéj córek. Nie mógł sobie postąpić rozsądniéj, sądziła, bo natura przeznaczyła miss Frampton na książęce salony. Niezaprzeczenie była to dzielna i smaczna dziewczyna, *a bonny girl.*

— Nie przypuszczałem, że uda mi się odnaléść... *shamrock.* List pani ucieszył mnie serdecznie—rzekł pan Rogers po wyjściu gospodyni, nie spuszczając oka z postaci dziewczyny, która w białym stroju zdała się świéżo rozkwitłą różową różą.

— Czy pan przywiązuje do niego wagę.

— Do amuletu? Poniekąd — odparł z nieznacznym uśmiechem i po namyśle dorzucił:

— Może wróci mi on spokój, który mnie opuścił odkąd straciłem go z oczu... Jak mam się pani odwdzięczyć za zwrot breloka? Proszę, niechaj pani rozkazuje.

Wzbraniała się, on nalegał.

— A więc proszę wzamian o inną czterolistną koniczynę—rzekła wreszcie.

— Czy pani istotnie sądzi, że to cacko przynosi szczęście?

Zawahał się, czy nie pozostawić w jéj rękach amuletu, z którym bodaj niechętnie się rozstawała, ale wreszcie włożył go do kieszeni, bo może on rzeczywiście zaskarbiał łaski swawolnéj Fortuny.

— Przyślę pani wszystką irlandzką koniczynę, chociaż pani posiada tyle innych cenniejszych talizmanów szczęścia... I cóż życzy sobie pani prócz tego?

Odparła wymijająco, onieśmielona jego pewnością siebie. Podobał jéj się, nie odstręczał jéj odcień szorstkości, czy brutalności, który zdał się wyzierać teraz z pod wielkopańskiéj powłoki, zwłaszcza że łagodziła go szczera męzka nuta, ale było coś w jego spojrzeniu, co ją raziło. Trzymała się przeto na wodzy jakby wobec niebezpieczeństwa, stąpała ostrożnie jakby wpośród zdradliwych zarośli. Gdy w toku rozmowy pan Rogers powstał, zrobiło jéj się ciemno przed oczyma i cofnęła się, bo wydało jéj się, że chce pochwycić ją w ramiona.

— Na tém pustkowiu czas upływać musi ślimaczym krokiem. Czy nie nuży panią codzienne udzielanie lekcyi?—mówił z pewną niecierpliwością.—Zapewne bywa pani często w Londynie?

— Nie byłam w mieście od czasu zajęcia méj posady.

— I nie wybiéra się pani za sprawunkami?

Miała poczucie, iż nie przystało wybiérać się do miasta.

— Szkoda — rzekł pan Rogers zwolna. — Pragnąłbym zobaczyć panią, uprzyjemnić jéj pobyt. Niechaj mi pani przyśle wieść do klubu o swym przyjeździe, uważając mnie za swego wuja, ale nie za starego.

Kate nie obiecywała.

— Niepodobna, abyśmy odepchnęli rękę przeznaczenia, które zbliżyło nas wyraźnie...

— Mam nadzieję, że wkrótce nas pan odwiedzi znowu.

— Z przyjemnością.

Zamyślił się i patrząc w spoważniałą twarz młodéj kobiéty, począł zniżonym głosem:

— Myślałem o pani bardzo często... Niedawno spędzałem dwa dni na rzece, bo sezon wioślarski rozpoczął się i Tamiza roi się od łodzi. Zatrzymaliśmy nasz *house-boat* niedaleko od Richmond'u, uderzeni widokiem prześlicznéj willi, będącéj do wynajęcia, skąd rozciąga się szeroka, wspaniała panorama na Tamizę i przyległe osady. Dom niewielki, ale wygodnie rozłożony, ogród tarasami zniża się ku brzegowi

rzeki, a po murach, okalających go, pną się dzikie róże i powoje. Cudowne to gniazdko, przytulne, usłane na łożysku kwiatów... Przyszło mi na myśl, coby pani o téj willi sądziła.

Kate rzuciła mu szybkie spojrzenie i łzy zakręciły się jéj w oczach.

— Dlaczego mi pan to mówi?... Jak pan śmié! Uważałam pana zą dżentelmana...

Zapanowało przykre milczenie.

Pan Rogers przygryzł wargę i gładził dłonią włosy. Ugodzony w czułą strunę, uznał się pokonanym, rozbrojonym. Wprawdzie wyrażenie: „uważałam pana za dżentelmana" słyszał kiedyś poprzednio, lecz odczuwał, że w tym wypadku nie było frazesem.

— Wybacz mi pani — ozwał się łagodnym tonem. Zachowałem się niewłaściwie, wyznaję. Cóż mogę powiedziéć na me usprawiedliwienie więcéj nad to, że serdecznie żałuję?.. Posłuchaj pani słów kilku, prosto z mostu, bez osłony: oczarowała mnie pani. Dość spojrzéć na nią, by mnie zrozumiéć i poniekąd może uniewinnić. Straciłem głowę tak, iż zamiast cofnąć się w czas, jak młokos szalony spiąłem konia ostrogą, rzuciłem się naprzód i ot, wyniosłem drugiego zasłużonego guza. Lecz jak głupim musi być mężczyzna, niezdolny zrobić głupstwa dla pięknéj kobiety! Nie chcę przedstawiać się mniéj złym aniżeli jestem, chociaż może jestem mniéj złym aniżeli się pani przedstawiam. Nie będę tail przed panią, że jestem żonaty, lecz gdybym nie był... Bądź co bądź, ożywiały mnie szczere zamiary, nie chciałem wyrządzić jéj krzywdy, chciałem kochać... Na honor mam tę pewność, że pokochałbym panią bardzo...

Nie odwracając ku niemu twarzy, szarpała chusteczkę w bezsilnym gniewie.

— Czy zechce mi pani przebaczyć wszystko i uważać mnie za oddanego sobie, pełnego szacunku przyjaciela, który będzie się czuł szczęśliwym, jeśli okoliczności pozwolą złożyć tego dowody, i zadowolonym, uchodząc w jéj oczach za... wuja, starego wuja, chociaż z tém nie do twarzy?...

Milczała. Gniéw i zawód pochłaniały ją do tego stopnia, że słowa jego przebrzmiewały niemal bez wrażenia; zamiast ból koić drażniły ją raczéj, bo pomimo skruchy ton żartobliwy wplatał się w jego wyznanie. Pojmował, że ją ciężko obraził, lecz zepsuty światowiec nie odczuwał, jak brutalnie rozproszył błogie marzenie, które żyło w niéj, jak prąd elektryczny przyspieszało tętno jéj życia, nastrajało ducha na podnioślejszą i tkliwszą nutę a zniszczone, wyrwane zaznaczało swój koniec ostrym bólem.

Był żonatym! Fakt ten zdał się jéj urągać. Kusiła się odgadnąć jego stosunki, a nie przewidziała właśnie téj jednéj, tak prostéj, najbliżéj leżącéj okoliczności. Uniesiona bowiem na skrzydłach życzeń myśl przesunęła się ponad tém naturalném przypuszczeniem. Będąc do niego korzystnie uprzedzoną, gotową przelać nań zasób swych uczuć, nie sądziła ani na chwilę, aby pan Rogers, mając żonę, mógł sobie tak postępować. Gdy umysł pocznie odgadywać zagadki, zwykle popełnia omyłkę, która później zdaje się niepojętą, ile razy bodźcem do rozmyślania są osobiste życzenia, nie wywierające wpływu na bieg wypadków. Nic się tak nie zdarza, jak nam się wydaje, że zdarzyć się było powinno. Życie własnym kroczy szlakiem i inscenizuje wszystko samodzielnie, a myśl usiłuje się zaczepić i obwinąć w koło niego i, zespoliwszy z niém, poszybować w przyszłość — napróżno. I tak życie płata nam figle.

Chwila ciszy i spokoju uśmierzyła nieco jéj ból; przyszła do siebie i na pożegnanie wyciągnęła do niego rękę.

Nazajutrz otrzymała prócz drogocennych podarków, inny brelok z czterolistną koniczyną oraz list, z którego wiało szczere uwielbienie i trochę tęsknoty.

Prześwietna, z konwennusów ulepiona przyzwoitość, owa do dogmatu wyniesiona *respectability*, czczona w teoryi, w praktyce tylko dopóty bywa znośną i tolerowaną, dopóki nie napotka oporu ze strony skłonności. Uznając jéj potęgę, pan Rogers nie śmiał uderzyć na tę fortecę, lecz chciał ją obejść, oszukać. Ale zginając kolano przed nauczycielką, nie oddawał hołdu téj bezdusznéj świata mistrzyni, która nie święci takich tryumfów, nie szanował Kate dlatego, że ściśle przestrzegała konwenansów, lecz, że odepchnęła od siebie wielką pokusę i nie chciała innéj kobiecie odbierać męża. Pisał: „muszę w tém znaléść pociechę, że ujrzałem w całym blasku bardzo dobrą kobietę.”

. . . .

Czterolistna koniczyna zawiodła nadzieje młodéj kobiety, zadrwiła z niéj bezlitośnie, przywiódłszy ją do bramy szczęścia, by odtrącić od niéj brutalnie. Straciła wiarę w nadesłany amulet, zdał się on innym, pozbawionym magicznéj władzy, bo nadzieja zgasła. A ironia losu tém boleśniéj dała się odczuć, że gdy bez urazy do niego przywodziła sobie na pamięć jego postać, zdał się odpowiadać zarysowi mężczyzny, jaki natura złożyła na dnie jéj duszy, że czuła się zdolną pokochać takiego mężczyznę gorąco. Bo pan Rogers, przystępny dla szacunku i miłości, o wiele mniéj był złym niż się przedstawiał, a kochany i kochający, uzbrojony przeciwko światowym wpływom, mógł stać się bardzo dobrym. Lecz niestety należał do innéj kobiety...

Przejście to pozostawiło na licach i usposobieniu nauczycielki pewien ślad, który wszakże zatarł się wkrótce, zatonął przykryty falą młodości i codziennych zajęć nawałem. Zaglądała teraz często do ogrodu, który począł ją żywo zajmować i stał się źródłem nieoczekiwanych przyjemności. Atoli narzucił się jéj znowu projekt wyjazdu do Afryki, bo przecież niepodobna, aby uwiędła na tém pustkowiu!

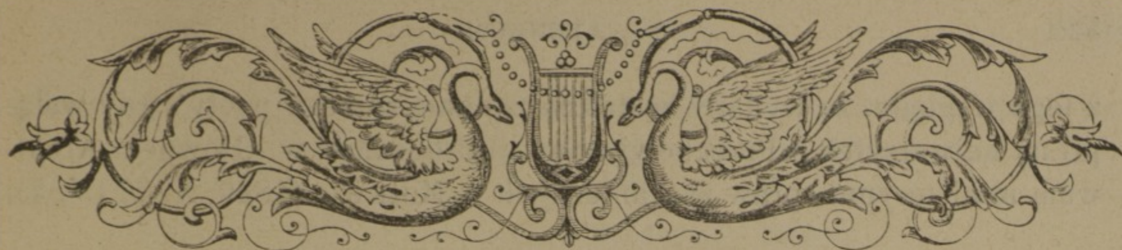
Ale gdy pewnego dnia siadła przy biurku, aby rozpisać listy, doszło jéj uszu parsknięcie konia i po za płotem ujrzała skarogniadego wierzchowca i młodego dzierżawcę, który zerkając w okno, przywiązywał, uzdę do furtki. Widocznie zamierzał wstąpić do nich... po kwiaty.

Czy miała szukać chleba w nieznanéj, dalekiéj stronie, rzucić to miłe zacisze, gdzie ludzie otaczali ją przywiązaniem, gdy lato było w całéj pełni, ogród w rozkwicie, słońce świeciło tak jasno i bukiety tulipanów śmiały się do niéj radośnie?.. Zresztą posiadała talizman szszęścia. A uderzyło ją teraz, że *shamkock* nic nie zawinił, bo szczęście opuściło ją dopiéro z chwilą, gdy wyszła z jego posiadania. Dlaczegóż zaś ten listek koniczyny nie miał być wyposażony równie czarodziejską mocą?...

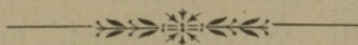
Odłożyła na stronę papiér listowy i wsunęła amulet do kieszeni. Po chwili poszła otworzyć drzwi, do których właśnie zastukano.

Maciéj Wierzbiński.





LUŹNE DOKUMENTY
DO ŻYCIORYSU
ADAMA MICKIEWICZA.



W osnowie kilku artykułów, poświęconych Mickiewiczowi, podałem w dosłownem brzmieniu kilkanaście nowych dokumentów. Oprócz nich pozostało mi jeszcze kilkanaście innych, pochodzących z różnych czasów i z rozmaitych zbiorów. Nie wiążą się one w jednę całość, ale pomimo tego dla przyszłych biografów poety nie będą pozbawione wartości, więc je oddaję do publicznego użytku, poprzestając na dołączeniu niezbędnych objaśnień co do pochodzenia ich i co do saméj treści lub wypadku, dzięki któremu powstały.

1.

Metryka chrztu Adama Mickiewicza znaną nam jest z tekstu, wydrukowanego w zbiorze Korespondencyi jego (IV, 40), ze wzmianką, że tekst pochodzi z ksiąg kościoła rzymsko-katolickiego w Nowogródku. Kto jednak zna sposób albo raczéj szemat, według którego piszą się metryki, i umié rozwiązywać łacińskie skrócenia, przekonać się łatwo może, że ów tekst podany został nieudolnie i nieumiejętnie. Poniższy tekst jest w każdym razie dokładniejszy i następnie ciekawy

z tego względu, że wydany został na żądanie samego poety, gdy wstąpił na uniwersytet. Przechowywany jest obecnie w Główném Archiwum ministeryum spraw zagranicznych w Moskwie (1829, N. 7, IV, 1):

Ad affectationem licitamque requisitionem generosi domini Adami Mickiewicz, postulantis sibi metricam ortus sui ex libro baptizatorum extradere, ego infrascriptus, uti in iisdem libris reperi, extradidi de tenore sequenti:

NOVOGRODEK.

Anno Domini millesimo septingentesimo nonagesimo nono, die decima secunda mensis Februarii, ego Antonius Postlett, canonicus Livoniensis, baptizavi infantem nomine Adamum Bernardum, filium generosorum dominorum Nicolai Mickiewicz, camerarii Minscensis, causidici Novogrodensis, et Barbarae de domo Maiewska, coniugum legitimorum ac nobilium. Patrinus fuit perillustris magnificus dominus Bernardus Obuchowicz, iudex terrestris Mozyroviensis, cum generosa domina Aniela Uzłowska, iudicis terrestris Novogrodensis coniuge. In quorum fidem cum appositione Suae Imperatoriae Maiestatis sigillo manu mea subscribo. Datum in residentia mea plebanali Novogrodensi, anno Domini millesimo octingentesimo decimo quinto, die 30 Septembris. Antonius Olszewski, canonicus Livoniensis, decanus et praepositus Novogrodensis.

L. S.

2.

Postanowieniem komitetu szkolnego przy uniwersytecie Wileńskim (Korespondencya, IV, 45) Mickiewicz jeszcze 23 lipca (starego stylu) roku 1819 przeznaczony został na nauczyciela szkoły Kowieńskiéj. Na miejsce przeznaczenia wyjechał dopiéro w pierwszych dniach września, gdyż poniższe świadectwo dla dostania koni pocztowych otrzymał od rektora uniwersytetu 3 lub 4-go września. Oryginał jego znajduje się w archiwum ministeryum oświaty w Petersburgu (fascykuł akt N. 127,219, fol. 11) i brzmi, jak następuje:

ŚWIADECTWO.

JP. Adam Mickiewicz, magister filozofii, przeznaczony na nauczyciela do szkoły powiatowéj Kowieńskiéj, któremu na uzyskanie podorożnéj na parę koni pocztowych z Wilna do Kowna, jako w interesie skarbowym jadącemu, wydano niniejsze świadectwo z rządu

Imperatorskiego Uniwersytetu Wileńskiego za należnym podpisem i przyłożeniem uniwersyteckiéj pieczęci. Dan w Wilnie dnia 3 września 1819 roku.

Symon Malewski Rektor.

L. S.

Sekretarz Feliks Mierzeiewski.

Na pieczęci elipsowatéj herb państwowy i w otoku napis: „*Sigillum Imperatoriae Universitatis Vilnensis*"

3 — 4.

W korespondencyi Mickiewicza (IV, 46) wspomniany jest raport dyrektora szkół w gubernii Wileńskiéj, Jana Budziłowicza, w którym zawiadamia uniwersytet, że Mickiewicz do dnia 14 września nie stawił się w Kownie dla pełnienia nauczycielskich obowiązków. Dosłowne brzmienie jego jest następujące:

Ministeryum Spraw Duchownych i Narodowego Oświecenia. Departament Narodowego Oświecenia. Dyrekcya szkół gubernii Wileńskiéj. Nr. 369. Dnia 14 miesiąca Września 1820-go roku. Z Wilna.

Do Rządu Imperatorskiego Uniwersytetu.

Mam honor Rządowi Imperatorskiego Uniwersytetu donosić, że dozorca szkoły powiatowéj Kowieńskiéj z datą 13 września uwiadomił, iż nauczyciel wymowy prawa i historyi P. Mickiewicz do téj daty nie przybył jeszcze do Kowna i że JP. Nieławicki dnia 7-go września z Wilna przybywszy do Kowna doniósł, jakoby przy wyjeździe swoim miał zostawić w Wilnie chorego P. Mickiewicza i że powrót jego do Kowna ma nastąpić za polepszeniem zdrowia.

Jan Budziłowicz Dyrektor.

Oryginał tego raportu znajduje się w archiwum Okręgu Naukowego w Wilnie (N. 72/525, fol. 102). Tamże (fol. 103) znajduje się następny raport tego samego Budziłowicza z 17 września, za Nr. 372, w którym o Mickiewiczu powiedziano tylko: „Nauczyciel szkoły Kowieńskiéj JP. Mickiewicz dnia 15 września udał się z Wilna do pełnienia swoich obowiązków."

Stosownie do decyzyi Zarządu uniwersyteckiego (Korespondencya, IV, 46 — 47), Mickiewicz musiał dać na piśmie wyjaśnienie przyczyn spóźnionego powrotu do Kowna po wakacyach roku 1820-go.

Powyższe wyjaśnienie z autografu, znajdującego się w archiwum wileńskiego Okręgu Naukowego, w tym samym fascykule na str. 112, wydrukowałem w „Bibliotece Warszawskiéj" (1888, II, 44). Mickiewicz przesłał je na ręce Budziłowicza, a ten zakomunikował je uniwersytetowi przy następującym raporcie:

(Nagłówek jak w poprzednim dokumencie). Nr. 382, dnia 21 miesiąca Września 1820 roku. Z Wilna.

Do Rządu Imperatorskiego Uniwersytetu.

Przysłany raport od doktora przy szpitalu Johaniszkielskim JP. Abichta o chorych leczonych w tercyale Majowym r. t. w szpitalu i włości Johaniszkielskiéj, jakotéż tłomaczenie się nauczyciela wymowy i prawa w szkole Kowieńskiéj P. Mickiewicza względem spóźnionego przybycia jego do pełnienia obowiązków, mam honor przesyłać Rządowi Imperatorskiego Uniwersytetu.

Dyrektor Jan Budziłowicz.

5 — 9.

W dodatkach do rozprawy „Mickiewicz w Wilnie i Kownie" („Biblioteka Warszawska", 1888, II, 46) wydałem prośbę Mickiewicza, wniesioną do Zarządu uniwersyteckiego o czasowe uwolnienie go od obowiązków nauczycielskich i przytoczyłem (str. 36) wyjątek z lekarskiego świadectwa, załączonego do prośby. Podaję obecnie to świadectwo w całéj osnowie, według autografu, znajdującego się w archiwum Okręgu Naukowego w Wilnie (N. 91/730, fol. 42):

ŚWIADECTWO.

Roku 1823 dnia 24 lutego ja niżéj na podpisie wyrażony czynię wiadomo niniejszém mojém urzędowém poświadczeniem, iż JPan Adam Mickiewicz, nauczyciel szkoły powiatowéj Kowieńskiéj, zostając w mojéj kuracyi i będąc ciągle cierpiącym na ból piersi i boku prawego, z częstém pluciem krwi (haemophtysis) połączonym, które się zwyczajnie po każdéj deklamacyi mocniejszéj ponawia, zwłaszcza gdy mało ruchu poprzednio używa, po ścisłém wybadaniu choroby nie inną znajduję przyczynę, jak przypływ krwi hemoroidalny do piersi i przeszkodzoną cyrkulacyę w wątrobie, przez co lekki stopień stwardzenia (induratio hepatis) coraz się staje widoczniejszym, do czego się ciągła sedenterya i dawanie lekcyi publicznych przykłada i do pogorszenia stanu zdrowia coraz bardziéj uspo-

sabia; gdy zaś przepisywane lekarstwa skutku nie biorą, nie inaczéj przeto takowa słabość poskromioną być może jak uwolnieniem się na czas niemały od obowiązków nauczyciela, udaniem się w kraje cieplejszego klimatu i użyciem wód Piremontskich. Dan jak wyżéj w Kownie przy wyciśnieniu pieczęci herbu mojego.

Józef Kowalski
M. P. medyk powiatu Kowieńskiego,
radzca dworu, doktór medycyny i chirurgii.

Świadectwo pisane jest na papierze stęplowym ceny jednego rubla i ma adnotacye: „do Nr. 765" i „r. 1823."

Wspomnianą prośbę wraz z tém świadectwem zastępca dyrektora szkół w guberni Wileńskiéj przesłał do Uniwersytetu przy raporcie na, stępującéj osnowy (archiwum Okręgu Naukowego w Wilnie, 91/730, fol. 39):

M. S. D. i N. O. Departament Narodowego Oświecenia. Dyrekcya szkół guberni Wileńskiéj. Nr. 138. Dnia 29 miesiąca Marca 1823 roku. Z Wilna.

Do Rządu Cesarskiego Uniwersytetu Wileńskiego.

Prośbę nauczyciela wymowy i historyi w szkole Kowieńskiéj JP. Adama Mickiewicza, mocno się żalącego na stan słabego swego zdrowia, przy któréj zyskuje opinię sobie przychylną dozorcy szkoły i nadto jeszcze dołącza świadectwo medyka powiatu Kowieńskiego P. Kowalskiego, wydane mu pod dniem 24 Lutego t. r. za Nr. 26, mam zaszczyt przedstawić Rządowi Cesarskiego Uniwersytetu Wileńskiego, w celu uwolnienia go na dwa lata od nauczycielskich obowiązków i razem wyjednania mu u Krajowéj Zwierzchności paszportu na wolny przez tenże czas dwuletni wyjazd za granicę do wód Pirmontskich, Włoch i Francyi dla poprawienia zdrowia.

Józef Skoczkowski, Zastępca Dyrektora

Raport odebrano w Wilnie 29 marca i położono na nim Nr. 765 rektor zaś Twardowski ołówkiem napisał na nim rezolucyę: „przedstawić księciu kuratorowi."

Książę Czartoryski na odwołanie się Uniwersytetu odpowiedział następującym reskryptem:

Ministeryum Spraw Duchownych i Narodowego Oświecenia. Departament Narodowego Oświecenia. Kurator Szkół Wileńskiego Wydziału. Nr. 236. Dnia 11/23 maja 1823. W Puławach.

Do Rządu Imperatorskiego Wileńskiego Uniwersytetu.

Zważywszy zły stan zdrowia JP. Mickiewicza, dla którego on nie może się ciągle zatrudniać dawaniem lekcyi, zważywszy także jego zdatności, obiecujące wiele pożytku, jeśliby mu zdrowie pozwoliło je rozwinąć, nie widzę nic takiego, coby mogło się sprzeciwiać uwolnieniu go od obowiązku dla polepszenia zdrowia. Że zaś JP. Mickiewicz edukował się kosztem funduszu w Seminaryum Nauczycielskiém i za koszta w Instytucie nań łożone nie odsłużył jeszcze naznaczonych lat sześciu, przeto przy uwolnieniu go tymczasowém od obowiązków Rząd Uniwersytetu weźmie od niego na piśmie zaręczenie, że powróciwszy z wód znowu wejdzie do służby dla przepisanéj liczby lat dopełnienia.

A. Czartoryski.

Oryginał tego polecenia (archiwum Okręgu Naukowego w Wilnie, 91/730, fol. 40) otrzymano w Wilnie 18/30 maja (Nr. dziennika 1241) i rektor Twardowski napisał na nim, „Uwiadomić zastępcę dyrektora i potém wziąć submisyę". Wykonano to, ale sprawa wyjazdu za granicę załatwioną przez to nie została. Niezbędnego paszportu udzielić mógł tylko Wielki Książę Konstanty, a ten przez wojennego gubernatora Wileńskiego ks. Rzymskiego Korsakowa zażądał informacyi o konduicie Mickiewicza i środkach na podróż zagraniczną. Rektor Twardowski, nie wiedząc, jaką dać odpowiédź, „po sekrecie" wystosował 2 września roku 1823 następujące polecenie (koncept w Bibliotece Publicznéj w Wilnie, rękopis Б. XIX, 7, fol. 22):

„Do Dozorcy Szkoły Powiatowéj Kowieńskiéj Kolegialnego Asesora JP. Dobrowolskiego.

Z powodu żądanego paszportu dla nauczyciela Mickiewicza na wyjazd za granicę P. Litewski Wojenny Gubernator uczynił zapytanie: 1), czyli w nim nie spostrzeżono co nagannego?, 2) z jakiego funduszu będzie się utrzymywał za granicą przez dwa lata? Poruczam przeto WWPanu, ażebyś po należytém wywiedzeniu się, tak co się tyczé jego sprawowania się w czasie pełnionych obowiązków nauczycielskich w Kownie, jakotéż o sposobach, jakiemi ma się utrzymywać za granicą przez dwa lata, pierwszą pocztą mnie o tém doniósł."

Prędko, gdyż 7 września, nadeszła z Kowna następująca odpowiédź (autograf, tamże, fol. 23):

M. S. D. i N. O. Departament Narodowego Oświecenia. Szkoła Powiatowa Kowieńska. W Kownie, września 6 dnia 1823 roku, Nr. 64. Względem nauczyciela Adama Mickiewicza.

Do Rektora Cesarskiego Wileńskiego Uniwersytetu Jaśnie Wielmożnego Twardowskiego, radcy dworu.

Na dwojakie zapytanie, uczynione mi od JWPana względem nauczyciela Mickiewicza: 1) czyliby ten przez ciąg służby swojéj w tutejszéj szkole nie okazał w sobie cokolwiek nagannego, 2) jakiby on miał fundusz do utrzymania się za granicą przez dwa lata: mam zaszczyt odpowiedziéć co do 1-go, iż pomieniony nauczyciel, ile mu słabe zdrowie dozwalać mogło, zawsze z usilném staraniem lekcye szkolne odbywał; pozostałe od obowiązku godziny własnym naukom w samotności oddawał; nic nagannego, a wszelkie godne przymioty powołania swojego w ciągu trzyletniéj tutaj bytności jednostajnie w sobie widziéć dawał. Co do 2-go, to tylko JWPanu mogę objaśnić z pewnością, iż tenże nauczyciel, mając naukowe talenta, od kilku lat pracował nad dziełkiem, które teraz wychodzi z druku, jedynie aby mógł złożyć sobie jakiś zbiorek pieniędzy z prenumeraty na sposób poratowania swojego zdrowia w ciepłych krajach za granicą. Zbiorku tego za prenumeratę spodziewał się miéć do kilkuset rubli srebrem, a nie mając innych potrzeb, jak tylko podróż i wyżywienie się, rokuje sobie, iż mu to na dwa lata wystarczy.

Stanisław Dobrowolski Dozorca.

10 — 12.

Po ukończeniu śledztwa nad filaretami, na wiosnę roku 1824, zaczęto ich wypuszczać z więzienia za poręczeniem profesorów lub osób ze stanowiskiem. Jak wiadomo za Mickiewicza Lelewel dał poręczenie. Podał on w tym celu następującą prośbę:

Do Jaśnie Wielmożnego Aktualnego Tajnego Radcy, Senatora Imperium, wielu Orderów Kawalera Mikołaja Mikołajewicza Nowosilcowa.

Od profesora historyi w Uniwersytecie

Najpokorniejsza prośba.

Gdy pomiędzy aresztowanymi znajduje się Pan Adam Mickiewicz, upraszam najpokorniéj Jaśnie Wielmożnego Pana o wydanie pomienionego Pana Adama Mickiewicza na moję porękę.

Joachim Lelewel.

Wilno, dnia 19 kwietnia 1824 roku.

Na skutek powyższéj prośby dano Lelewelowi do podpisania następujący rewers:

Niżéj podpisany tym moim rewersem, w komisyi śledztwiennéj składającym się, daję porękę pod odpowiedzialnością osobistą i z majątku mojego za JMci Panem Adamem Mickiewiczem, uręczając, iż on na każde Komisyi zapotrzebowanie stawić się będzie, a dopóki nie uzyszcze pozwolenia wyjazdu, w mieście tutejszém zostanie, oraz że unikając wszelkich zabronionych towarzystw, wszelkich wyjawień, o co był badany, a co na pytania odpowiadał, nigdy przed nikim wyjawiać nie będzie.

Dan w Wilnie, dnia 19 kwietnia 1824 roku.

Joachim Lelewel.

Formuła poręczenia była napisana przez kogo innego, historyk stosownie do wymagań, podpisał ją tylko. Oryginał prośby i poręczenia znajduje się w Bibliotece Publicznéj w Wilnie (rękopis B. XIX, 11). Tamże jest i oryginał zobowiązania, które Mickiewicz wzajemnie podpisać musiał według ułożonéj przez Komisyę Śledczą formuły:

Ja niżej podpisany, stosownie do rezolucyi JW. Rzeczywistego Tajnego Radcy, Senatora i Kawalera Nowosilcowa, na dokład Komisyi Śledztwiennéj, w dniu dzisiejszym nastały, daję ten rewers na to, iż jeżeliby wypadła potrzeba stanności mojéj w téjże Komisyi, wówczas na każde jéj zapotrzebowanie, mam się jawić bez najmniejszéj zwłoki, oraz że tego wszystkiego, o czém przez Komisyę badany byłem, i co na pytania odpowiedziałem, nigdy i przed nikim rozgłaszać i wyjawiać nie będę, pod obawą odpowiedzi wedle prawa za wydanie sekretu; nadto że nie tylko sam nie będę należéć do żadnego towarzystwa bez dozwolenia Rządu ustanowionego, lecz i donosić będę gdzie należy, podług przysięgi wiernopoddanego, gdy się dowiem, iż gdziekolwiek takowe zabronione towarzystwo otwarte zostało.

Dan w Wilnie roku 1824 kwietnia 20 dnia.

Adam Mickiewicz.

Ja niżéj wyrażony zaświadczam, iż mi papiery zabrane, do sprawy nie należące, zwrócono w całości.

Adam Mickiewicz.

Dan roku 1824 kwietnia 21.

13.

Kiedy wniosek specyalnéj Komisyi, złożonéj z admirała Szyszkowa, jenerała Arakczejewa i kuratora Nowosilcowa, co do ukarania filo-

matów i filaretów wysłaniem na służbę państwową do wewnętrznych gubernii Cesarstwa uzyskał Najwyższą sankcyę, wysłano ich wszystkich najprzód do Petersburga. Mickiewiczowi polecono odbyć tę podróż wraz z Janem Sobolewskim i obudwóm, oprócz dwóch koni pocztowych, wydano na koszty podróży 130 rs. 8 kop. W wigilię wyjazdu z Wilna obaj pokwitowali wileńskiego policmajstra Szłykowa z odbioru powyższéj sumy następującym skryptem, którego oryginał znajduje się w Bibliotece Publicznéj w Wilnie, rękopis Б. XIX. 7, fol. 267:

Roku 1824 miesiąca Oktobra 24 dnia.

Kandydaci filozofii Adam Mickiewicz i Jan Sobolewski własnoręcznie podpisujemy ten rewers w tém, 1-o że do przeznaczonéj nam podróży do S. Petersburga przyjęliśmy od wileńskiego policmajstra radzcy stanu Szłykowa podorożne za Nr. 619 i prohonne pieniądze na dwa konie sto trzydzieście rubli kopiejek ośm Nr. 130 r. 8 k. 2-o że za odebraniem téj podorożnéj i prohonów, opuszczając natychmiast Wilno, będziemy jechać do przeznaczonego nam miejsca bez zamitrężenia siebie.

Adam Mickiewicz kandydat filozofii.
Jan Sobolewski kand. fil.

14.

W Marcu roku 1829 Mickiewicz starał się o posadę tłomacza przy ministeryum spraw zagranicznych w Petersburgu, albo o wysłanie go w charakterze urzędnika do któregokolwiek konsulatu rosyjskiego w południowéj Europie. Dokładniéj wyjaśnię tę kwestyę w osobnym artykule, tymczasem zaś drukuję poniżej krótkie *curriculum vitae*, napisane przez poetę w języku francuzkim i dołączone przezeń do prośby, podanéj na Najwyższe Imię, o jednę z powyższych posad. Autograf tego dokumentu znajduje się w Główném Archiwum Ministeryum Spraw Zagranicznych w Moskwie (1829, N. 7, IV, 1):

Adam Mickiewicz, en 1815 reçu bachelier à l'Université de Vilna, nommé en 1819 professeur de belles lettres au Gymnase de Kowno, demanda et obtint alors sa démission pour cause de mauvaise santé. Ayant été mandé et pleinement acquitté en 1824, par le Comité chargé d'examiner les sociétés secrètes des etudians de Vilna, il fut attaché, par ordre du Gouvernement, d'abord au lycée Richelieu, ensuite, sur sa propre requête, à la chancellerie de Son Exceli lence Mr. le Gouverneur-Général de Moscou. Sa santé mineé depus-

longtems, s'est encore alterée pendant son séjour en Russie. Les médecins, dont il se fera un devoir de présenter les témoignages, s'accordent à lui prescrire le séjour dans un climat plus doux. Incapable de continuer son service actuel et étant à même de pouvoir se passer d'appointemens, il ne sollicite que la grâce d'étre attaché à une de nos missions ou consulats d'Italie, de France ou d'Espagne, et en cas ou cette faveur ne lui fût point accordée, il réclame celle de pouvoir être admis à l'examen, pour la place de translateur, vacante en ce moment au Collège des affaires étrangères.

15.

Berlińska biblioteka królewska posiada w swych zbiorach nieznany dotychczas następujący liścik Mickiewicza:

Szanowny Panie! Ziomek nasz pan Kurylski pragnie być członkiem instytutu historycznego, którego jesteś członkiem. Prosił mię o rekomendacyą do Ciebie. Potrafisz zapewne sam lepiéj go ocenić. Ja w naukach, któremi zajmował się pan Kurylski, nie jestem sędzią. Słyszałem tylko o nim, że jest uczciwym człowiekiem i ciągle zajmuje się naukami.

Szczerze życzliwy

Adam Mickiewicz.

List nie ma ani daty, ani adresu. Data na podstawie treści nie da się ściśle oznaczyć, gdyż nazwisko Kurylskiego nie jest znane w literaturze, a z innych źródeł nie posiadam o téj osobistości żadnych danych. List pochodzi ze zbiorów Varnhagena, który oznaczył datę na początek roku 1844. Ponieważ Varnhagen był w stosukach osobistéj znajomości z Augustem Cieszkowskim, przypuszczam więc, że powyższy list pisany był do Cieszkowskiego i że Cieszkowski podarował go Varnhagenowi. Ten ostatni dopisał do listu komentarz następującéj osnowy:

„Mickiewicz. Der polnische Dichter lebte schon unter strenger Aufsicht der Polizei, als nach der Juli-Revolution in Frankreich und der steigenden Gährung in Polen seine Lage mit jedem Tage gefährlicher wurde. Caroline von Jaenisch, seine Braut, fühlte die Notwendigkeit ihn um jeden Preis aus Russland fortzuschaffen, aber ein Reisepass für ihn war damals unmöglich zu fordern. Einige Zeit vorher hatte sie einer Dame einen Dienst geleistet, für den diese sich zu grösster Dankbarkeit verpflichtet erklärte; sie nahm diese jetzt beim Wort; die Dame hatte grosse Macht bei dem Beamten, der Benkendorff's rechte

Hand war; der Pass wurde gegeben, und Mickiewicz konnte ins Ausland reisen. Bald nachher brach der polnische Aufstand aus; Mickiewicz in der Gewalt der Russen würde sofort nach Sibirien gebracht worden sein und nie wieder die Rückkehr gesehen haben. Durch die Ereignisse mehr und mehr von ihm getrennt, ohne Hoffnung des Wiedersehens, liess die Braut sich später zur Heirath mit Pawloff bewegen; den Trauring des Dichters aber trug sie noch 1858 am Finger."

Są niedokładności w tém opowiadaniu, ale relacya o otrzymaniu przez Mickiewicza paszportu godną jest uwagi. Karol August von Ense Varnhagen (1785—1858), poeta, historyk, literat i zapalony zbieracz autografów, służył w dyplomacyi pruskiéj i ożeniony był także z literatką Rachelą Levin. Salon ich w Berlinie, gdzie najczęściéj przemieszkiwali między 1820 a 1858 rokiem, słynął z gościnności: spotkać w nim można było wszystkie współczesne znakomitości naukowe, literackie i artystyczne. Karolina Jaenisch opuściła Rosyę w roku 1855-ym („Żywot Adama Mickiewicza", I, 270), więc bardzo możebném jest, że Varnhagen mógł to opowiadanie słyszéć od niéj saméj, skoro powiada, że pierścionek Mickiewicza nosiła na palcu — fakt ten potwierdza też i pani Pawłow w liście pisanym do Władysława Mickiewicza w roku 1890-ym (tamże, I, 269).

16.

Ciekawym bardzo jest i poniższy list Adama Mickiewicza, zupełnie dotychczas nieznany, pisany do hr. Oresta Pucicza, słoweńskiego patryoty. List znajduje się obecnie w zbiorach Akademii nauk w Belgradzie (Nr. 233, według katalogu z roku 1880); z autografu przepisał go i kopję łaskawie mi udzielił profesor P. A. Kułakowskij.

Orest Pucicz (1821—1882), nauczyciel króla Milana, nazywał się po włosku Orsatto Pozza i pod tém nazwiskiem wydał włoski przekład prelekcyi Mickiewicza o chorwackich pieśniach ludowych (*Dei canti popolari illirici*, Zara, 1860); tłomaczył także na język włoski ustęp z „Dziadów" (i ustęp z „Ducha od stepu" Zaleskiego), po słoweńsku zaś napisał na cześć Mickiewicza odę [1]), po poznaniu się z nim we Florencyi w roku 1848, gdy Mickiewicz tworzył legion polski i powoływał do niego innych także słowian. Rad więc był znajomości z Puciczem i, jak widać z listu, szukał pomocników takich, którzyby i wśród sło-

---

[1]) F. Marković, Knez Medo Pucić (Rad jugoslovenske akademije znanosti i umjetnosti, tom LXVII).

wian południowych prowadzić mogli agitacyę na korzyść tych celów, o jakich poeta w liście robi wzmiankę.

Monsieur!

Pendant mon séjour à Florence, il m'a été materiellement impossible de profiter de notre rencontre si heureuse pour moi. J'aurais à vous consulter sur des choses de la plus haute importance. Il s'agit, vous le sentez — de la cause de liberté slave et polonaise. Voyez, si vous ne pourriez pas venir à Milan pour quelques jours. Si c'est possible, ne tardez pas un moment.

En attendant dites, si vous ne connaissez pas à Milan un dalmate ou un illirien patriote et capable d'écrir en langue nationale. Repondez moi le plus tôt possible.

Croyez à mon sincère affection

Adam Mickiewicz.

1848, 4 Mai, Milan, Contrada de Bossi, casa Frotti.

List nie ma adresu.

Teodor Wierzbowski.



Działalność Sekcyi Rolnéj

WARSZAWSKIEGO ODDZIAŁU

Towarzystwa popierania rosyjskiego przemysłu i handlu,

według „Prac sekcyi" za rok 1895 i 1896-ty, wydanych przez redakcyę „Gazety Rolniczéj" w Warszawie.

Od czasu zniesienia „Towarzystwa rolniczego", które odegrało tak ważną rolę w życiu ekonomiczno-rolniczém Królestwa Polskiego, rolnicy nasi przez długie lata nie mieli możności publicznego wyrażania swych potrzeb, ani omawiania spraw dotyczących praktyki gospodarstwa wiejskiego: byli zatém pozbawieni jednéj z potężniejszych dźwigni rozwoju ekonomicznego.

Przez lat blisko trzydzieści dolegliwości rolnictwa, projekty co do działalności w kierunku jego podniesienia znajdywały ujście jedynie w dziennikach, lub też na zebraniach wyborczych i przedwyborczych do władz Towarzystwa kredytowego ziemskiego. Tu, często w formie wniosków, słusznie łączących interesy instytucyi finansowéj — wierzyciela z interesami pojedyńczych rolników—dłużników, spotykamy się niejednokrotnie z pracami ekonomicznemi, na swojskim gruncie wyrosłémi. Korzyści, które przyniosły one, o ile wiemy, są małe, gdyż zazwyczaj rozbijały się o strasznie nie elastyczny w tym względzie pancerz przepisów Towarzystwa i zbyt formalistyczne usposobienie jego kierowników.

A dziennik?... Gdzie chodzi o akcyę szybszą, wyświetlenie sprawy spornéj i niejasnéj, tam dziennik, gazeta, najlepiéj prowadzona nie

zastąpi żywego słowa, nie przyniesie tego pożytku co publiczne zebranie, dyskusya ustna, spór, jaki za sobą różnica zdań prowadzi. A cóż dopiéro w sferach jak ziemiańskie, gdzie pióro do najpopularniejszych nie należy.

Wobec tego musimy uznać za fakt pierwszorzędnéj wagi dla rozwoju rolnictwa krajowego, założenie „Sekcyi rolnéj," która od lat pięciu rozwija swoją działalność jako wyosobniona część warszawskiego oddziału towarzystwa popierania rosyjskiego przemysłu i handlu.

Mamy przed sobą dwa roczniki „Prac sekcyi rolnéj", wydawanych przez „Gazetę rolniczą." Na téj podstawie możemy sobie wyrobić dokładny obraz jéj działalności, a zarazem mamy wskaźnik, o ile nasze społeczeństwo ziemiańskie, korzysta z jedynego swego stowarzyszenia zawodowego. Zanim to jednak uczynimy, musimy sobie przypomnieć zasadnicze punkta ustawy dla towarzystwa popierania przemysłu i handlu, Najwyżéj zatwierdzonéj w r. 1867-ym:

§ 1. Towarzystwo zakładane pod powyżéj podaną nazwą ma na celu dopomaganie rozwojowi wszystkich gałęzi krajowego przemysłu i rozszerzania wewnętrznego i zewnętrznego handlu Rosyi.

§ 2. Dla osiągnięcia tego celu Towarzystwo zajmuje się:

a) badaniem i roztrząsaniem wszystkich kwestyi odnoszących się wogóle do handlu i przemysłu Rosyi;

b) drukowaniem na koszt towarzystwa opracowanych materyałów i wniosków, tak w oddzielnych dziełach jako téż i wydawnictwach peryodycznych, i

c) spółdziałaniem przy zawiązywaniu w naszym kraju przedsięwzięć powszechnéj użyteczności.

§ 3. Towarzystwu nadaném zostaje prawo odnoszenia się do rządu we wszystkich kwestyach tyczących się przemysłu i handlu Rosyi.

§ 7. Członkowie rzeczywiści opłacają rocznie po rs. 15. W Petersburgu zasiada komitet Towarzystwa, składający się z osób stale tam zamieszkałych. W miastach, gdzie się znajdzie nie mniéj jak 10 członków towarzystwa, mogą być zakładane oddziały za zezwoleniem p. ministra finansów.

Oddziały te mają na zasadzie ustawy z r. 1869 § 4, badanie kwestyi tyczących się potrzeb i interesów miejscowego przemysłu i handlu. Jak widzimy, ustawa ta daje możność rozwinięcia pożytecznéj działalności na bardzo szeroką skalę.

Warszawski oddział uzyskał odrazu gościnność w murach Muzeum przemysłowego, znalazł się więc w korzystnych warunkach, nie

tylko co do strony materyalnéj, ale i przez związek z organami tegoż Muzeum.

Po 13-letniéj egzystencyi warszawskiego oddziału nie moglibyśmy nabrać wysokiego wyobrażenia o zdolnościach zrzeszania się naszego społeczeństwa. Sekcye techniczne nie wytworzyły ogniska dla niezawodnie potężnego świata techników warszawskich, o sekcyi dla handlu i pokrewnych gałęzi tak mało słyszymy, że skłonni jesteśmy do mniemania, jakoby handel nasz opływał w same roskosze. A przecież, nawet gdyby rozprawy towarzystwa i jego sekcyi, dla przyczyn od niego niezależnych, nie były w stanie zmienić zapatrywań władz na wiele kwestyi ekonomicznych dotyczących Królestwa, to już samo zajęcie się sprawą, zwrócenie uwagi ogółu na rzeczy mogące mu przynieść pożytek przez grono ludzi poważnych i znanych, może krajowi oddać nieocenione usługi.

Bezwarunkowo najruchliwszą okazała się sekcya rolna, zarówno ilością zebrań, jak i poruszanemi kwestyami, a jako jeden z punktów, podnoszących jéj zasługi, przypomniéć sobie należy to, że większość jéj członków zamieszkuje Warszawę tylko czasowo.

W r. 1895-ym sekcya przemysłu rolnego liczyła 149 członków. Prezesem jéj był Feliks hr. Czacki, wiceprezesami pp. Józef Jeziorański i Władysław Habdank-Korzybski, sekretarzami pp. Stanisław Chaniewski i Stanisław Dzierzbicki.

W r. 1896-ym sekcya liczyła 270 członków. Prezesem był dr. Tadeusz Kowalski, wiceprezesami pp. Józef Jeziorański i Stanisław Dzierzbicki, sekretarzami pp. Stanisław Chaniewski i Ignacy Jórski.

Posiedzenia odbywają się w pierwszy poniedziałek każdego miesiąca. W obudwu latach, o których tutaj mówimy, sekcya odbyła po dziesięć posiedzeń. Podstawą zebrania jest zwykle referat odczytywany przez jednego z członków, nad którym następnie wywiązuje się dyskusya.

Prawie wszystkie prace przedstawiane na zebraniach w dwóch latach ostatnich ukazały się w druku w „Pracach sekcyi rolnéj.” Ze względu na temata poruszane, rozpadają one na dwie kategorye: jedne ekonomiczno-rolnicze—agrarne, drugie techniczno-rolnicze — praktyczne. Z tém wszystkiém łączy się omawianie wspólnych przedsięwzięć członków sekcyi, więc doświadczeń nawozowych, prób z uprawą rozmaitych odmian zbóż, sprawy wystawy nasion, projekty założenia syndykatu rolnego, jedném słowem w „Pracach sekcyi” rolnéj koncentruje się cały ruch rolniczy, jaki się objawiał w Warszawie w ostatnich czasach.

Z dziedziny spraw agrarnych spotykamy najpierw obszerną pracę pp. D. Rozenbluma i L. Grendyszyńskiego nad t. zw. „dewastacyą” dóbr ziemskich. Autorowie w wyczerpujący sposób rozbierają istniejące przepisy Towarzystwa kredytowego ziemskiego, wydane w celu zabezpieczenia interesów wierzycieli, przez rozciągnięcie nadzoru nad majątkami wystawionemi na licytacyę, a które często bywają niszczone przez niesumiennych, a już tylko krótki przeciąg czasu władających niemi posiadaczy. Przepisy te, krępujące swobodę i najuczciwszych dłużników Towarzystwa, są z tego powodu niejednokrotnie silnie atakowane przez stowarzyszonych. Powstanie ich wywołały fakta dowodzące, że w naszém społeczeństwie ziemiańskiém są one tak samo potrzebne, jak i w innych krajach. Jest jeszcze jednak jeden punkt, na który autorowie omawianéj pracy nacisk kładą, jak o tém świadczy wniosek drugi, którym kończą swe wywody.

„Usiłowania wyciągnięcia z majątku ziemskiego korzyści doraźnych, rujnujących rozmyślnie warsztat rolny, jak również dopomaganie w czynnościach, na obejście prawa i szkodę wierzycieli obliczonych, jest rzeczą ze stanowiska moralnego godną bezwarunkowego potępienia i przez opinię publiczną tolerowane być nie powinno.”

Dla człowieka, nie znającego naszych stosunków i rzeczywistéj wartości moralnéj naszego społeczeństwa ziemiańskiego, wniosek ten, bez szerszych objaśnień, byłby świadectwem niezbyt pochlebném. Faktem jest jednak, że w opinii ziemian naszych, do niedawnego czasu, pewne pobłażanie w ocenie dewastatorów majątków, mających być wystawionémi na licytacyę, było rzeczą dość często spotykaną. Dewastacya nie była podciągana pod rubrykę przestępstw przeciwko cudzéj własności, wskutek złego pojmowania praw właściciela w stosunku do obdłużonego majątku.

Z tych powodów wyżéj przytoczony wniosek pp. Rosenbluma i Grendyszyńskiego jest zupełnie umotywowany.

W piękny i treściwy sposób przedstawił p. L. Krzywicki stosunek bimetalizmu do rolnictwa, a p. Suligowski sprawy taryfowe państwa rosyjskiego na podstawie całego szeregu danych, zebranych co do Rosyi i innych krajów eksportujących zboże. Kwestya taryfowa jest może najżywotniejszą sprawą agrarną Rosyi. Z jednéj strony, zjednoczenie w rękach rządu prawa stanowienia taryf (w r. 1887 opublikowaném zostało Najwyżéj zatwierdzone zdanie rady państwa, że kierownictwo w czynnościach dróg żelaznych w przedmiocie ustanawiania taryf celem zabezpieczenia interesów skarbu, potrzeb ludności, jako też potrzeb przemysłu i handlu należy do rządu), daje możność państwu rozwinięcia działalności dobroczynnéj dla poddanych, stawiając ich pod opie-

kuńcze skrzydła władz przeciwko wyzyskowi i nienormalnościom, jakie może wytworzyć prywatna gospodarka kolejowa. Lecz z drugiéj strony, szczególniéj w państwie tak obszerném, jak Rosya, rząd ma w uregulowaniu taryf kolejowych trudności nie małe. Każda zmiana najdrobniejsza wywołuje przewroty ekonomiczne, sztuczny dopływ towarów z dalekich stron, obniżenie cen, może zatém sprowadzić ruinę przemysłu w innych miejscach.

Do powolnych zmian warunków, choćby niekorzystnych, każdy przemysł się przystosuje. Raptownie podcinają mu nogi na zawsze. To téż kierujący sprawą taryfową, oprócz poczucia wielkiéj sprawiedliwości, łączyć muszą w sobie niepospolitą wiedzę ekonomiczną ze znakomitą znajomością stosunków odległych części państwa. W tém znajdujemy wyjaśnienie dlaczego młodociana polityka taryfowa państwa rosyjskiego jeszcze się nie skrystalizowała kompletnie, a świadczą o tém najwymowniéj zarówno częste zmiany, jak i narzekania ujawniające się choćby na zjazdach, zwoływanych przez ministeryum w latach ostatnich. Przemysł rolny Królestwa Polskiego, znajdujący się w zupełnie odmiennych warunkach niż w Cesarstwie, ponosił dotychczas wskutek zmienionych taryf, wspólnie z zachodniemi częściami państwa, wielkie straty na korzyść gubernii wschodnich i nowopowstających producentów zboża za Wołgą. Taryfy różniczkowe wywołały zmianę gospodarstw w tych okręgach. Step i jego bogate pastwiska popruł pług, miejsce hodowli zajęła forsowna uprawa zbóż.

Wykazywanie tych nienormalności, tamujących prawidłowy rozwój ekonomiczny państwa, nie w postaci gołosłownych narzekań, lecz armią liczb — jest bezsprzecznie jednym z pierwszorzędnych obowiązków Towarzystwa popierania przemysłu i handlu i jego oddziałów.

Sekcya rolna żywo się interesuje sprawą taryf. W r. 1896 na posiedzeniu z 15 czerwca p. Suligowski w dalszym ciągu przedstawiał projekty rządowe w téj mierze, a „Sekcya" uprosiła go, aby reprezentował jéj interesy na zjeździe taryfowym.

Pokrewną z taryfami kwestyą zajmowało się posiedzenie Sekcyi z d. 9 listopada 1896 r., na którém p. Tadeusz Jentys odczytał pracę o zjazdach młynarskich. Z pracy téj należy kilka zdań wymienić, z naciskiem jako, mojém zdaniem, programowych dla naszego społeczeństwa w stosunku do spraw ekonomicznych ogólno-państwowych. Prądem obecnego rządu jest wytworzenie dla odpowiednich gałęzi wielkiego przemysłu specyalnych organów, któreby mogły służyć jako doradcze dla rządu. Ustanowiono rady: rolniczą, górniczą, a wkrótce ma powstać i cukrownicza. Rady te są uzupełniane zjazdami, które się odbywają według pewnego ogólnego postanowienia. Jakkolwiek znaczenie tych

rad jest wyłącznie doradcze, a interesy przemysłu i rolnictwa Królestwa Polskiego są często sprzeczne z interesami przemysłu i rolnictwa reszty państwa, to jednak, jak to słusznie zaznacza p. Jentys, „pola tego zresztą przy najpesymistyczniejszym poglądzie zaniedbywać nam nie wolno, tak jak żołnierzowi nie wolno jest porzucać stanowiska nawet w przewidywaniu przegranéj bitwy."

Wybrane delegacye, chmielarska i dla uregulowania handlu mięsem i bydłem zdawały sprawę z poruczonych im zadań, wyświetlając braki panujące u nas w tym kierunku. Jedna zachęca do założenia spółki chmielarskiéj, którąby mogła nabywać od producentów chmiel w większych ilościach i tém usunąć pośrednictwo kupców, którzy sobie każą drogo płacić za swe usługi. Druga dochodzi do przekonania, że na targowicy warszawskiéj, miarodajnéj dla całego Królestwa, należy starać się o wyemancypowanie rzeźników z pod wpływu kupców przez udzielanie im kredytu, zaprowadzić dokładne notowanie cen bydła oraz rozciągnąć opiekę nad dowożeniem mięsa, które często pochodzi ze sztuk chorych.

Obok tych prac, będących wynikiem odczutych doraźnych potrzeb rolnictwa, zaznaczyć musimy w „Pracach sekcyi" dwa poruszane tematy ogólno-ekonomicznego znaczenia, a polegające na wskazaniu doniosłości nowych rozporządzeń rządowych, wydanych dla całego państwa. P. J. Jeziorański omawiał ustawę normalną ministeryum rolnictwa dla stowarzyszeń rolniczych, a p. M. Malinowski — sprawę towarzystw kredytu drobnego, zakładanych na podstawie przepisów z dnia 1 czerwca 1895 r.

Jakkolwiek co do nowszych instytucyi społecznych jesteśmy często na prawach wyjątkowych, to jednak zaznajomienie się z dotyczącemi rozporządzeniami jest dla nas rzeczą wielkiéj doniosłości i posiedzenia sekcyi rolnéj dzielnie temu dopomagają.

Naturalną zupełnie jest to rzeczą, że wydane dwa roczniki „Prac sekcyi rolnéj" zawierają znacznie więcéj prac charakteru techniczno-praktycznego, niż rozbierających szersze kwestye ekonomiczne. Ale co nas w tym kierunku uderza to to, że na 21 prac dotyczących uprawy roślin spotykamy ledwie 5 z zakresu hodowli zwierząt. Licuje to poniekąd z ogólnym stanem gospodarstw Królestwa, gdzie hodowla odgrywa rolę podrzędną.

Kwestya nawozów sztucznych jest jedną z najżywiéj interesujących sekcyę, co się wyraża nietylko w tematach poruszanych, ale i w organizowanych próbach przez członków.

Nie rozporządzając stacyą doświadczalną, którąby z natury rzeczy wzięła tego rodzaju zadanie w swoje ręce, delegacya nawozowa

zainicyowała w r. 1894-ym próby z nawożeniem pszenicy w 105 miejscowościach, z których otrzymano 82 sprawozdania. W roku 1895-ym organizują się próby z nawożeniem jęczmienia i kartofli. Tu delegacya spotyka się z małém poparciem ze strony interesowanych; lecz to jéj nie zraża i pomimo niepomyślnych wyników na r. 1896—7 proponuje doświadczenia z łubinem na zielony pognój i mającym po nim nastąpić owsem, a na rok 1897 znowu próby z oziminą, w tém słuszném przekonaniu, że sprawa roztrzygnięcia, czy w naszych warunkach ekonomicznych, więc przy niskich cenach zboża, a stosunkowo wysokich cenach nawozów, mogą się one opłacać, czy też nie, jest jedną z ważniejszych na czasie. Stwierdziwszy opłacanie się — otwiéramy nowe źródło dochodów dla rolników. Przekonywując się o ich niedziałaniu—ostrzegamy przed stratami.

Następnie, tematami często poruszanemi są: uprawa rozmaitych roślin i porównawcze próby z nowemi odmianami.

Dr. M. Natanson porusza sprawę jęczmienia browarnego, który ma stale dobrą cenę i widoki wywozu do Cesarstwa. Przy suchym klimacie kontynentalnym i niskim stopniu, na którym stoją gospodarstwa tameczne, nie da się wyprodukować dobry jęczmień browarniany, a konsumcya piwa szybko tam wzrasta.

P. A. Janasz przedstawił wyniki prób wykonanych w Dańkowie z rozmaitemi odmianami kartofli, p. S. Chełchowski takież z owsem, p. G. Mazurkiewicz znów porusza kwestyę uszlachetniania zbóż i zachęca, aby każdy rolnik, każda okolica zajęła się wyszukaniem dla siebie najodpowiedniejszych odmian, a następnie uszlachetnieniem tychże. Przez to małym nakładem można otrzymać duże zyski.

Osobna delegacya kultury torfowisk, powołana do życia z inicyatywy p. S. Dzierzbickiego, zajmowała się tą zaniedbaną u nas sprawą. Postanowiono rozesłać kwestyonaryusz do właścicieli torfowisk, ażeby z jednéj strony zebrać dane co do rozprzestrzenienia murszów w Królestwie, z drugiéj zaś — uzyskać na téj podstawie możność udzielania rady i wskazówek, w jaki sposób je zużytkować. Według danych statystycznych, przestrzeń torfowisk Królestwa wynosi do 200,000 morgów, głównie rozłożonych na północ Wisły i Bugu. Obszary te, do téj pory, są przeważnie nieużytkami.

Ciekawemi i pouczającemi tematami wzbogacają stale program posiedzeń sekcyi stacya doświadczalna w Sobieszynie komunikatami swego kierownika d-ra A. Sempołowskiego i warszawska stacya oceny nasion przez swego kierownika p. Zdzisława Zielińskiego. Pożyteczne te instytucye, sumiennie i wytrwale pracujące dla naszego rolnictwa,

nie są niestety jeszcze dosyć popularnemi w kołach rolniczych. Miejmy nadzieję, że sekcya rolna przyczyni się do poruszenia ogółu, aby należycie oceniał ich znaczenie, a przedewszystkiém pomyślał o tém, aby im dostarczyć większych środków. Kto zna bliżéj budżety tych stacyi, ten podziwiać musi żelazną wolę jéj kierowników, walczących z wielkiemi trudnościami braku grosza. Społeczeństwo nasze jest dość skłonne do ofiar na cele publiczne, może téż wkrótce dojdzie do tego przekonania, że nie ma większego dobrodziejstwa dla rolnictwa, jak stacye doświadczalne dobrze wyposażone, i zwróci swój grosz w tym kierunku.

Przechodzimy obecnie do drugiego szeregu prac charakteru praktyczno-rolniczego, a mianowicie do prac z zakresu hodowli. Jakeśmy to już zaznaczyli, warunki niepomyślne dla hodowli wpływają ujemnie na ożywienie sekcyi rolnéj w tym kierunku. A jednak wydaje nam się, że i na polu hodowli jest wiele do zrobienia w Królestwie i błędem jest jeśli rolnicy małą na nią zwracają uwagę. Racyonalniejsze żywienie, wyświetlenie pytania, czy lepiéj utrzymywać mniéj a dobrego inwentarza, czy téż, jak się to dotychczas u nas praktykuje, dużo a lichego, sprawa uregulowania mleczarstwa, zawsze jeszcze zmonopolizowanego przez niedbałych pachciarzy, wszystko to są kwestye doniosłe, a mogące być wyświetlonemi tylko przez zbiorowe usiłowania.

Najważniejszą bodaj potrzebą hodowli w Królestwie jest sprawa poruszona przez p. St. Dłużewskiego w r. 1896-ym: „Ujednostajnienie hodowli inwentarza w zależności od warunków miejscowych.“ Żałować niepomiernie należy, że praca tak pierwszorzędnego znaczenia nie została pomieszczoną w całości w „Pracach sekcyi.” Kto miał sposobność zwiedzania wystawy inwentarza, urządzonéj w Warszawie w roku 1897-ym, tego uderzyły niezawodnie, specyalnie w dziale bydła, pstra rozmaitość ras, obok stanu bydła, któren podciągnąć można pod kategoryę skutków złego żywienia. Ujawniało się to i w budowie zwierząt i w liczbach przedstawiających wydatki mléka większości obór. Rozmaitość ras dowodzi, że nasi ziemianie poszukują ciągle czegoś lepszego, kładąc główny nacisk na rasę, przypuszczając, że główne niepowodzenia wypływają z nieodpowiedniéj rasy.

Zasada to jednak zawodna: bydło z zachodu Europy sprowadzane znajduje u nas gorsze warunki utrzymania i każda rasa prędko się wyradza. Najpierw więc trzeba pomyśléć o odpowiedniéj paszy co do ilości i jakości, o wyborze indywiduów, a już kwestya rasy będzie dla nas wówczas drugorzędnego znaczenia.

Różnorodność ras utrudnia niezmiernie hodowlę w kraju, utrudnia nabywanie odpowiednich rozpłodników. Rolnik obeznany z wła-

ściwościami pewnéj rasy potrafi lepiéj pojedyńcze sztuki ocenić. Przytém, jeśli w pewnéj okolicy produkuje się bydło, konie i t. p. jednéj rasy, to kupiec tam chętniéj zagląda w tém przekonaniu, że dostanie znaczniejszą ilość towaru jednolitego.

Wiele miejscowości niemieckich może służyć za przykład zachęcający. Dzięki zorganizowaniu hodowli w jednym kierunku, Badeńskie produkuje tak piękne siementhalery, że wielu pomija Szwajcaryę i tam zaspakaja swe potrzeby. Dzięki przestrzeganiu téj zasady niewątpliwie i Galicya, a szczególniéj jéj Podkarpacie będzie mogło wkrótce zadowolnić nawet wymagającego hodowcę okazami téjże rasy, jak o tém świadczą wystawy przeglądowe, urządzane tego roku w Rymanowie i Nadwórnéj.

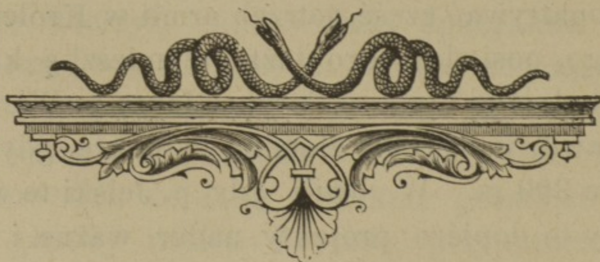
W niekorzystniejszych jeszcze warunkach od hodowli bydła, znajduje się u nas hodowla owiec. Jest to zwierzę domowe coraz mniéj popularne w Europie zachodniéj. Wełna, towar nieulegający zepsuciu i dający się łatwo przewozić, przychodzi z Ameryki i Australii i wycieśnia produkt miejscowy, europejski, a ulepszone sposoby fabrykacyi umożliwiają wyrób delikatnych tkanin nawet z pośledniejszych gatunków wełny, do jakich się zamorskie przeważnie zaliczają. Szczególniéj w ostatnich latach liczba owczarni u nas zmniejszyła się bardzo znacznie. Że jednak w warunkach gospodarstw ekstensywnych i dziś owca nie jest bez znaczenia, i że zastosowawszy tańsze żywienie i mniéj wybredne utrzymanie, dać może zysk, to przedstawił p. Fr. Górski w barwny sposób, na posiedzeniu z d. 18 czerwca 1896 r.

Według „Prac sekcyi", różowiéj przedstawia się nam przyszłość hodowli konia w Królestwie. Komisya remontowa wyraziła się bardzo pochlebnie o staranności, z jaką hodowla ta jest u nas prowadzona i postanowiła zaopatrywać część potrzeb armii w Królestwie, uważając konia miejscowego, posiadającego dużą przymieszkę krwi szlachetnéj, za bardzo odpowiedniego dla kawaleryi. Jakto p. Wł. Jelski w swym odczycie przedstawił, widoki dla ziemian są dobre, gdyż przeciętna cena konia wyniesie 300 rs. W chwili gdy p. Jelski te wiadomości sekcyi podawał, były to dopiéro projekty, nader ważne i ciekawe dla zebranych. Dziś zostały one w pomyślny sposób dla Królestwa roztrzygnięte i otworzył się przez to stały zbyt przynajmniéj dla 1,000 koni rocznie, co z konieczności wpłynie dodatnio na podniesienie ceny koni wogóle.

W powyższém zestawieniu przedstawiliśmy najgłówniejsze punkta działalności sekcyi rolnéj, zatrzymując się nieco dłużéj nad pracami związanemi z żywotniejszemi kwestyami rolnictwa naszego. Obok tego znajdujemy w dwóch wydanych rocznikach wiele innych ciekawych

i cennych prac jak „Bakteryologya i rolnictwo" dr. W. Kleckiego, „O zarazie trzody chlewnéj" p. Żórawskiego i t. p. Z téj bogatéj treści, ogarniającéj wszystkie gałęzi rolnictwa, widzimy, że wszystko, co na dobie, co obchodzi nasze ziemiaństwo, zostało tu poruszone. Na podstawie tych „Prac" stwierdzić możemy żywotność naszego społeczeństwa ziemiańskiego, zapał i dobrą wolę grona ludzi, którzy nie szczędząc trudów i zabiegów potrafili „Sekcyi" nadać ruch, który już dzisiaj się zapisał dodatnio w historyi naszego rolnictwa. Nie wątpimy, że ruch ten nieosłabnie, ale się pogłębi i rozszerzy. Na to jednak, aby móc w dalszym ciągu podołać pracom, których liczba i zakres zwiększać się muszą, sekcya winna dążyć do wytworzenia stałych organów wykonawczych, któreby, według jéj inicyatywy, zamiary w czyn wprowadzały. I w tym kierunku znajdujemy w „Pracach" wyraz dążeń sekcyi. Poruszano myśl założenia przez sekcyę pod Warszawą stacyi doświadczalnéj. Projekt ten jednak się nie urzeczywistnił ze względu na wysoką cenę czynszu dzierżawnego, jaką administracya dóbr Wilanowskich postawiła. Może dziś ten zamiar znajdzie warunki pomyślniejsze wobec uchwały sekcyi cukrowniczéj, która postanowiła otworzyć stacyę doświadczalną w Warszawie.

Józef Mikułowski-Pomorski.



Odrębność etniczna i cywilizacya.

1.

Każdy kto, zwiedzając zbiory antropologii przedhistorycznéj, staje po raz pierwszy przed kamiennemi toporkami, strzałami i nożami naszych praojców,—dziwnego zwykle doznaje wrażenia.

Nie chce się wierzyć że był okres w historyi ludzkości, w którym te pierwotne narzędzia stanowiły jedyny środek obrony i pomocy w życiu.

Mogłoby się to wydawać niemal bajeczném, nieprawdopodobném, tym, których obsługują potężne motory parowe i elektryczne, tym, którzy na rozkazy swoje posiadają te setne zdobycze dzisiejszéj techniki i przemysłu, urzeczywistniające to, co wieki dawne za fantastyczne utopje uważały...

Zwróciwszy się więc myślą w te minione wieki, kiedy pierwotni ludzie epok kamiennych uganiali się po przepastnych puszczach za olbrzymami państwa zwierzęcego i spojrzawszy późniéj na współczesnego Europejczyka, przyznać musimy, że niezmierzona przestrzeń dzieli ich od siebie.

Nie trzeba długiéj i głębokiéj analizy, aby wywnioskować, że potęgą która wydźwignęła człowieka na jego dzisiejsze stanowisko, jest ta długa, powolna ewolucya o bardzo złożonych czynnikach, którą na-

zywamy—cywilizacyą. Wśród ras, z których rodzaj ludzki się składa, proces kulturalny na szczyt wysunął naszą rasę białą.

Jest to fakt pewny i niezaprzeczalny; rozpatrując jednak bliżéj mechanizm postępu cywilizacyi, musimy się już *a priori* zgodzić, że wpływ jéj, tak potężny, w czémśkolwiek odbić się musiał na fizycznéj i psychologicznéj sferze tych ludów, które od wieków pod jéj działalnością zostają. Istotnie, przypuszczać należy że proces kultury musi miéć jakiś swój specyficzny wpływ zarówno na ustrój cielesny jak i myślowy dzisiejszych Europejczyków.

Byłoby więc, sądzę, rzeczą ciekawą naszkicować przypuszczalny obraz tego wpływu na narody europejskie, a w szczególności na te klasy społeczne wszystkich grup etnicznych, które przez swoją wysoką kulturę najwięcéj tym przypuszczalnym wpływom ulegać powinny.

2.

Jeśli mamy do rozstrzygnięcia pytanie, jakie są czynniki, które dzisiejszy stan kultury wytworzyły, daléj, jaki jest wpływ téj kultury, oraz czy jest on tak potężny, że mocą jego ludy rasy białéj potrafią i nadal utrzymać berło pierwszeństwa śród ras innych, to przedewszystkiém musimy zastanowić się nad kwestyą, jakie czynniki etniczne wchodzą w skład téj najwydatniejszéj rasy, oraz jaki jest najogólniejszy wpływ kultury na te właśnie czynniki.

Z pomiędzy wszystkich istot organicznych na pierwsze miejsce ewolucya wydźwignęła człowieka.

Gdybyśmy starali się teraz poznać jedną z najważniejszych sprężyn tego postępowego procesu doskonalenia się, to, zwróci naszą uwagę ten fakt, że historya ewolucyi rodzaju ludzkiego, po przez hierarchie istot organicznych, idzie równolegle z dziejami filogenetycznego rozwoju systemu nerwowego.

I zdaje się, że tak być musiało.

Z chwilą, kiedy w organizmie wyspecyalizował się przyrząd, służący za przewodnika i rozkładacza wrażeń przychodzących ze świata zewnętrznego,—stał się on ową nicią łączną, drogą porozumiewawczą, po któréj wrażenia ze środowiska życia przechodzą do organizmu i tam są przyjmowane, zapisywane i kompensowane przez odpowiednią jego reakcyę.

Stając się najważniejszym łącznikiem pomiędzy światem zewnętrznym a jednostką żyjącą, zagarnąwszy zaś w samym jego ustroju najdonioślejszą część administracyi organicznéj: — porozumiewanie się

jego z otaczającém środowiskiem, odczuwanie wpływów tego środowiska i reagowanie nań, — rzecz prosta, że rozwój i doskonalenie się systemu nerwowego stało się warunkiem ewolucyi całego organizmu.

Te więc istoty, które w szeregu postępujących coraz wyżéj form organicznych, coraz więcéj różniczkowały i rozwijały swój system nerwowy, powiększając jakościowo i ilościowo reakcye, zamieniane pomiędzy organizmem a środowiskiem, te, rzecz prosta, zajmowały naczelne, najwybitniejsze stanowisko i prowadziły, że się tak wyrażę, pochód ewolucyi.

Z chwilą, gdy okazuje się samowiedza, gdy dzięki odpowiedniéj organizacyi systemu nerwowego pojawiają się pierwsze oznaki umysłowości, kwestya rozwoju mózgu staje się kwestyą zwycięstwa dla wszystkich istot organicznych.

Zaczynając od rozrzuconych po całym ciele komórek nerwowoczuciowych (jak u *Leuconides*), przechodząc przez układ węzłowy jak u stawonogich, kończąc na zupełnie zróżniczkowanym systemie nerwowym wyższych kręgowców, wszędzie widzimy wysiłek przyrody do jak najwyższéj doskonałości i rozwoju tego systemu.

I gdy układ nerwowy rozdziela się na sympatyczny i rdzeniowomózgowy, widzimy nową specyalizacyę wewnętrzną, zachodzącą już w samym mózgu: rozwój coraz większy przednich jego części, rządzących wyższemi funkcyami psychicznemi i tendencyę stałą do przewagi tychże funkcyi nad życiem roślinném organizmu.

Rozwój nadmierny przednich części mózgu, ewolucya przyśpieszona w wewnętrznéj budowie i masie materyi szaréj mózgu, coraz więcéj wzrastająca jéj ilość, a przez to samo możność nabywania i zatrzymywania coraz to bogatszéj i różnorodniejszéj sfery wrażeń, — warunkuje oddzielenie się od rzędu Naczelnych (*Primates*) najdaléj posuniętego w ewolucyi mózgowéj typu, którym jest człowiek.

Z pomiędzy zaś wszystkich ras ludzkich, najwyżéj w dalszym ciągu poprowadziła ewolucyę mózgu rasa biała; jak pomiędzy ogółem istot ożywionych człowiek dosięgnął najwyższéj doskonałości i najszczytniejszego miejsca w hierarchii istot organicznych, tak wśród ras ludzkich najwyższe miejsca zajęła rasa biała.

I nietylko apriorystyczne przemawiają za tém przypuszczenia, badanie anatomiczno-fizyologiczne potwierdza to zdanie.

Jakkolwiek z wielką ostrożnością przyjmować należy wszelkie rezultaty poszukiwań nad pojemnością czaszki, absolutną wagą mózgu, jéj stosunkiem do wagi ciała i t. d., odnośne do określenia wysokości

siły intelektualnéj [1]), przyznając może największą wagę wewnętrznemu ukształceniu mózgu, bogactwu zwojów materyi szaréj, która to cecha stanowczo przeważa u rasy białéj w porównaniu z innemi rasami, jednakże i pozostałe badania nad mózgiem i czaszką na korzyść białych zdają się przemawiać.

Według badań Mortona nad pojemnością czaszkową u ras ludzkich, otrzymujemy następujące dane:

Rasa		Ilość zmierzonych czaszek	Średnia pojemność w centymetrach sześciennych	Najwyższa pojemność	Najniższa pojemność
Biała		52	1,422	1,667	1.229
Żółta	Mongolskie typy	10	1,360	1,524	1,131
	Malajskie „	18	1,327	1,425	1,049
Czerwonoskórcy		147	1,344	1,638	983
Murzyni		29	1,278	1,540	1,065

Według Broca: dla Paryżan XIX wieku pojemność czaszkowa wynosi 1,559 centymetrów sześciennych, u Chińczyków i Mongołów 1,518, Polinezejczyków 1,500, Negrów afrykańskich 1,437, Hotentotów i Buszmenów 1,317, Australczyków 1,347, Pariasów (Kalkuta) 1,336.

Cyfry powyższe pokazują dość jasno zmniejszanie się pojemności u ras niższych.

Co się tyczy wagi mózgu to trudno jest w tym względzie powiedzieć coś pewnego, wszystkie bowiem dane są niepodatne do wyciągnięcia z nich ogólnych przeciętnych, z powodu, że są rozmaitemi metodami badane [2]). Z pewném przybliżeniem oznaczyć jednak można przeciętną wagę mózgu dla 1,669 Europejczyków na 1,357 gramów, dla 46 przedstawicieli rasy żółtéj na 1,309, 4 grama i dla 29 Murzynów na 1,234 gramy.

Dane te są jednak dalekie od prawdy, pochodzą bowiem z połączenia rezultatów badań przeróżnych autorów, niejedną metodą mierzących swoje serye. Bądź co bądź, ponieważ omyłka istnieje zarówno dla rasy białéj, jak żółtéj i czarnéj, możemy stwierdzić ogólnikowo fakt, że i pod względem wagi mózgu biali przodują zawsze.

---

[1]) Patrz w tym względzie szkic: „Mózg Bismarcka i mózgi wielkich ludzi“ „Tygodnik Ilustrowany“ N. 29 i 30 z lipca 1895.

[2]) Raz jeszcze uwydatnia się tutaj konieczność ujednostajnienia systemów pomiarowych w antropologii, gdyż różnorodność metod nie pozwalając przyrównywać wzajemnie seryj kilku badaczy, czyni ich pracę zgoła nieprodukcyjną.

Ponieważ zaś w każdym organizmie postęp, specyalizacya narządowa odbywa się zawsze z korzyścią danego organu na niekorzyść organów innych, gdyż podwojona, wzmożona praca specyalizującego się narządu wymaga też wzmożonego odżywiania się tego organu ze szkodą innych, zużywanie przezeń zdwojonéj ilości energii życiowéj na niekorzyść pozostałych organów,—to ewentualnie przypuszczać należy, że ewolucya psychiczna, łączna z ewolucyą mózgową, rozwinięte nadmiernie w rzędzie Naczelnych, odbić musiała swe piętno już na pierwszych antropopithekach.

Ewolucya mózgu szła na niekorzyść ewolucyi muskularnéj i ciągnąc się daléj poprzez wykształtowanie się rodzaju ludzkiego w kilka odrębnych ras, w białéj, przeważającéj ewolucyę umysłową, uwydatniła się w dalszym ciągu zubożeniem fizyczném, muskularnem, téj rasy w porównaniu z rasami innemi.

Wyższe intelektualnie, niższe swą siłą fizyczną, kierujące kulturą świata narody Europy, potrafiły tą jedną tylko mocą rozumu, przebiegłością i umiejętnością roztoczyć swój wpływ na całą kulę ziemską, podbijając stokroć silniejsze fizycznie narody ras innych.

Widzimy więc, że ewolucya systemu nerwowego, szczególnie od chwili powstania najważniejszego tego układu narządu — mózgu, idzie równolegle z ewolucyą istot organicznych, warunkując ją i poniekąd właśnie o owéj ewolucyi decydując.

W rodzaju ludzkim, począwszy od rzędu Naczelnych, ewolucya mózgu z jeszcze większą przejawia się siłą, decydując bezwględnie o berle hegemonii i przewagi najwyższéj wśród wszystkich istot organicznych.

Tu spotykamy się po raz pierwszy ze zjawiskiem podwójném: z rozwojem niezmiernie silnym mózgu i czynności psychicznych, ale z jednoczesném zubożeniem układów mięśniowych. Zdaje się, że mózg zająwszy naczelne w organizmie stanowisko, rozwija się kosztem wszystkich innych narządów, przemyślnością swoją mając im dostarczyć odpowiedniéj kompensaty.

3.

Zanim przystąpimy do zanalizowania jakości wpływu i istoty cywilizacyi w stosunku do ras zamieszkujących Europę, zobaczmy pokrótce czém są te szczepy rasy białéj.

Nie wchodząc bynajmniéj w rozstrzyganie kwestyi monogenetycznego czy też filogenetycznego pochodzenia człowieka, oraz w rozpa-

trywanie całego ogromu faktów z kwestyą tą wiążących się, przyjmujemy narody Europy jako rodową całość z trzech zasadniczych typów powstałą: z bruneta podłużno-głowego (*homo Mediterranaeus*), z blondyna podłużnogłowego (*homo Europaeus*) i z bruneta krótkogłowego (*homo Alpinus*) zamieszkujących Europę, zróżniczkowanych następnie na przeróżne szczepy.

Rozsiadłszy się w téj części świata, któréj umiarkowany klimat najlepiéj wpływał na ich ewolucyę, typy białe jakby w przewidywaniu przyszłych zaborów przygotowywały swe usposobienie fizyczne tak, że w każdéj strefie zaaklimatyzować i rozwijać się mogą.

Jak najdaléj sięgnąwszy w mrok dziejów rodzaju ludzkiego, zawsze spotykamy typy o dwu rodzajach czaszki: podłużnogłowéj i krótkogłowéj, daléj typy ras tak między sobą zróżniczkowanych, o tak odległéj konformacyi fizycznéj, że stanowczo przychylić się trzeba do teoryi przypuszczającéj powstanie człowieka od kilku typów pierwotnych.

Przypatrzywszy się baczniéj, możemy, zdaje się, owe różnice krańcowe w konformacyi czaszki, a dzielące ludzkość w łonie każdéj rasy na typy krótko- i długogłowe, odnaléść już u małp antropoidalnych. Przedewszystkiém należy tu ustalić to zasadnicze pojęcie, dowiedzione przez ogólny wynik badań ostatniéj doby, że żadna z współczesnych małp antropoidalnych nie może być uważana za bezpośredniego protoplastę człowieka.

Pomiędzy temi typami, które dziś znamy (goryl, szympans, orangutang) a człowiekiem na najniższym nawet stopniu jego rozwoju znajduje się luka, którą miał wypełniać *anthropopithecus* Mortillet'a, ten, którego niezręczną dłonią zostały jakoby obrobione krzemienie i kwarcyty z doliny Tagu [1]), oraz krzemienie znalezione przez Bourgeois w Thenay, a którego wyższą formą, już niemal zupełnie człowieczą, ma być świéżo odkryty *Pithecantropus erectus*, znaleziony w nowéj trzeciorzędowéj lub może najstarszéj czwartorzędowéj warstwie, na Jawie, przez dr Dubois [2]).

Z tych czy im podobnych form rozwinął się właściwy rodzaj ludzki, pierwszy śród rzędu Naczelnych.

Gdy spojrzymy na dzieje tworzenia się narodów Europy, widzimy ciągle następujące po sobie uwarstwienia bądź to długogłowców, bądź to krótkogłowców, którzy łączyli się ze sobą, dawali życie typom mieszanym, do których dochodziły znowu zastępy szczepów jednego lub drugiego typu.

---

1) Dictionnaire des Sciences Anthropologiques str. 840.

2) Patrz w téj mierze moje „Notatki antropologiczne“ „Wisła“ tom X zeszyt 3, 1895 r. (str. 630 i następne).

Dzisiaj dzięki paletnologii, nauce o człowieku kopalnym, mamy coraz dokładniejsze wiadomości o typach ludzkich, które od najdawniejszych epok geologicznych zaludniały ląd naszéj staréj Europy.

Badamy je bądź to w narzędziach, których używały, bądź to w pozostałościach kostnych: czaszkach, kościach długich, bądź to nakoniec w cyklopowych budowlach (dolmenach, menhirach, budowlach nawodnych), w grobowcach rzędowych, lub nawet w nagromadzeniach odpadków, w smieciskach, które dziś nieoszacowaną dla nauki mają wartość (*Kjoekkenmoeddings*).

Tu staje przed nami słynna, nieskończona, może po wieczne czasy sporna kwestya człowieka trzeciorzędowego, o ile się zdaje, na korzyść tych, co przypuszczają istnienie rodzaju ludzkiego w epoce trzeciorzędowéj, rozstrzygnięta, od czasu stwierdzenia odkryć Bourgeois przez Ribeirę i Ramesa.

Jeśli więc rzucimy okiem na dzieje tych szczepów, które kolejno władały Europą, to zaczynając od spornych czasów istnienia człowieka trzeciorzędowego, widzimy następujące po sobie poniższe typy.

Od problematycznéj epoki, kiedy praojciec rodu ludzkiego ciosał krzemienie z Thenay i doliny Tagu, epoki w któréj dotychczas nie znaleziono stanowczo zdefiniowanych pozostałości kości ludzkich, musimy przejść odrazu do epoki czwartorzędowéj.

W pierwszym jéj peryodzie, w epoce szelleeńskiéj widzimy słynną czaszkę z Neanderthal, wyraźnie długogłową, ze wskaźnikiem głównym 72. Obok niéj, z téjże epoki pochodzi niemniéj znana szczęka z Naulette (Belgja), tém się wyróżniająca, że brak w niéj małego kościstego wyrostka (*apophysis geni*), do którego przyczepia się mięsień języka.

Ponieważ wyrostek ten wyrobił się wskutek wzmożonéj czynności języka przy posługiwaniu się mową członkowaną, można przypuszczać albo brak zupełny, albo nader słabe rozwinięcie mowy u rasy Neanderthalskiéj.

Pomijam inne, późniéj odkryte czaszki (z Eguisheim, Brüx, z Denise około Puy...) i przechodzę do epoki następnéj zwanéj Mustjerską (od stacyi krzemiennéj Le Moustier w Dordogne). W epoce téj obok charakterystycznych narzędzi spotykamy czaszkę z Olmo (w Toskanii) o wskaźniku 71, a więc również dolichocefaliczną.

Następna epoka Solutreńska nie posiada szczątków ludzkich, widzimy tylko pewne udoskonalenie formy narzędzi krzemiennych. Ostatnia tego okresu epoka Magdaleńska oprócz bogatéj liczby czaszek daje nam szkielet znaleziony w Laugerie-Basse, którego czaszka posiada znowu długogłowy wskaźnik 74,8.

Niektórzy autorowie, jak Hamy, Quatrefages [1]), chcą do téj epoki zaliczyć pewne czaszki krótkogłowe (z Furfooz). Mortillet dowiódł jednak, że narzędzia wraz z czaszkami temi znalezione należy odnieść do epoki późniejszéj, są to bowiem typy magdaleńskie, przerabiane (t. j. poprawiane przez tych, co je znaleźli jako pozostałości poprzedników) i odnoszące się do następnéj ery, zwanéj Robbenhauzeńską. Do téj więc epoki odnoszą się czaszki krótkogłowe z Furfooz, Aurignac i Cro-Magnon.

Cały więc pierwszy okres krzemienny, tak zwany paleolityczny, ze swemi czterema epokami: Szelleńską, Mustjerską, Solutrenską i Magdaleńską zajmują rasy długogłowe.

Krótkogłowcy pojawiają się istotnie z nastaniem drugiéj epoki krzemiennéj, zwanéj neolityczną.

Z początkiem tego okresu zjawiają się krótkogłowi przybysze [2]); rasa ta przynosi z sobą zwyczaj gładzenia kamienia, garncarstwo, rolnictwo, praktyczniejsze metody hodowli zwierząt domowych, zwyczaj grzebania umarłych i budowania pomników megalitycznych. Z nią zaczyna się życie osiadłe.

Badając pozostałości ludzkie z epoki neolitycznéj, widzimy przed sobą długogłowców i krótkogłowców.

Pierwsi są potomkami dolichocefalów epok paleolitycznych; typem ich jest czaszka starca z Cro-Magnon i jéj podobne, których wskaźnik główny wynosi 73.4.

Ale niezadługo zjawia się nowa imigracya ludności o czaszkach okrągłych, wyraźnie brachycefalicznych, poprzedniczka późniejszych Celtów, która, pchając przed sobą dawniejszą rasę długogłową ku zachodowi, łączy się z nią, daje znowu typy mieszane, ulegając ostatecznie wpływowi ostatniéj imigracyi, rasy dolichocefalicznéj, idącéj od północo-wschodu, wysokiéj o jasnym typie.

Nakoniec, w czasach historycznych widzimy w Europie zachodniéj idące po sobie trzy typy.

Pierwszy zwany iberyjskim, po którym nastąpił celtycki, różniący się od poprzedniego, długogłowego, swoją krótkogłowością, uwłosieniem ciemném, chociaż nie tak ciemném jak Iberyjczyków. Nakoniec ostatni przybyli Gallowie, dolichocefale, o włosach i oczach jasnych, wzroście wysokim.

Wszystkie te typy mieszały się ze sobą, dawały życie coraz to bardziéj skomplikowanym etnicznie jednostkom, dzieląc się między sobą

---

1) Hamy et Quatrefages. „Crania ethnica.“ Paris, 1873.

2) A. Hovelacque et G. Hervé. „Precis d'Anthropologie“, str. 367. Paris, 1887.

coraz daléj różniczkującemi się językami i zwyczajami, grupując się w różnych dzielnicach, gdzie zaczynając każdy swój historyczny żywot, wytwarzały tak zwane narodowości, podziały dowolne, oparte jedynie na historycznych i lingwistycznych różnicach, nie zaś na podstawach anatomo-fizyologicznych podobieństw.

Jeśli przejrzymy teraz wskaźniki główne ważniejszych współczesnych typów etnicznych rasy białéj, to zobaczymy, z jakiéj mieszaniny, z jakiéj metysacyi szczepowéj powstały one, jak plączą się i mieszają charakterystyczne cechy odróżniające.

Wskaźniki te przedstawiają się jak następuje:

Gallowie (z epoki żelaza)	77
Normandowie	79
Baskowie francuscy	80
Skandynawowie	74
Szkoci	76
Anglicy	77
Brukselczycy	77 do 78
Prusacy	79
Finnowie północni	77 do 80
Rosyanie	81
Włosi	81 do 83
Polacy galicyjscy	84.4
Hiszpanie	78
Grecy	82
Turcy	79 do 83
Holendrzy	79

Jak więc widzimy, krótkogłowcy łączą się z długogłowcami w przeróżnych stosunkach.

Te różnice są łatwe do zrozumienia, jeśli weźmiemy pod uwagę, że podczas formowania się etnicznego składu Europy w pewnych jéj częściach osiadały typy bardziéj podłużnogłowe, w innych przeciwnie krótkogłowe. Ciekawszém atoli jest spojrzéć chociażby bardzo powierzchownie na wskaźniki jednéj politycznie całości, jaką przedstawiają przypuśćmy Francuzi, na pozór dość jednolici etnicznie:

Celtowie (departamenta środkowéj Francyi)	84.9 (Collignon)
Kymrowie (departamenta północnéj Francyi)	79.7 (Collignon)
Lotaryńczycy	85.3 (Collignon)
30 południowców (Basses-Pyrénées)	78.2 (Collignon)
309 Owerniaków	84.5 (Durand de Gros)
423 Bretonów z pobrzeża	83.9
443 „ z wnętrza kraju	84.9 (Guibert)
47 Basków francuskich	83.1 (Velasko)

Tymczasem 1,000 paryskich czaszek z katakumb, z końca wieku XVIII-go daje przeciętną 79.6. Jeśli jednak rozłożymy tę cyfrę na jéj składowe części, otrzymamy wskaźniki idące od 68 (1 przypadek), 100 czaszek z wskaźnikiem 78, 94 z wskaźnikiem 80, 61 z wskaźnikiem 83 i 25 z wskaźnikiem 87.

Jak więc widzimy, bardzo dużo elementów składa się na ową mesaticefaliczną przeciętną, która sama przez się mówi już o tém, że na powstanie jéj zarówno typy krótko-, jak i długogłowe złożyć się musiały.

Druga ważna cecha charakterystyczna: kolor oczu i włosów, zarówno jak i wskaźniki czaszkowe, przeróżne skupienia w każdéj grupie narodowéj wskazują:

	Blondyni	Bruneci
Anglia	70.5	29.5
Irlandya	70.3	29.7
Niemcy	69.5	30.5
Austrya	19.79	23.17
Szwajcarya	11.1	25.7
Polacy w Galicyi . .	70.2	29.8
Polacy w Królestwie .	67.9	32.1 (według moich badań)

I barwy włosów są więc zmieszane. Typów czystych nie ma, w każdéj narodowości widzimy typy tak długogłowe, jak i krótkogłowe, typy jasne zarówno jak i ciemne.

Szczepy etniczne, które dziś zaludniają Europę, są więc w najwyższym stopniu zmieszane. I tak być musiało. Idące po sobie napływy ras przeróżnych, zwalczając jedne drugie łączyły się ze sobą, zwyczaj exogamii dopomagał także do krzyżowań.

Jest to zresztą konieczne i powszechne prawo przyrody; endogamia wytwarzałaby w końcu zubożenie rasowe, z drugiéj strony jest niemożebną dla hord podbijających, które chcąc nie chcąc krew swą z zawładniętemi łączyć muszą.

Świéżo F. Regnault doskonale rozwinął i uzasadnił powyższe twierdzenie w prawie, któremu, jak najliczniejsze fakta okazują, podlega cały świat istot organicznych.

Prawo to głosi [1]):

1) Wszystkie organizmy dążą do niepodobieństwa wzajemnego płodzących.

2) Im wyżéj stoi organizm, tém różnice między płodzącemi są większe.

---

1) F. Regnault. „Les effets de la consanguinité“ w „Revue scientifique“. Tom LI; I sémestre, N. 8 i 9, Fevrier, Mars 1895.

3) Im wyżéj stoi organizm, tém więcéj krzyżowanie i exogamia topograficzna stają się prawem konieczném i poszukiwaném, endogamia zaś wyjątkiem coraz rzadszym.

4) Jeśliby endogamia była prawidłem, to wskutek, z jednéj strony, podobieństwa rodziców, a ewentualnie wskutek pochodzenia obu z jednego terytoryum życia, podobnych cech i własności, z drugiéj strony wskutek nadmiernego rozwoju tychże cech przystosowanych jedynie do danego miejsca i środowiska bytu, wynikałoby to, że dana istota przeniesiona bądź przypadkiem, bądź z konieczności w inne środowisko, albo-by odrazu zginęła, albo-by nie mogła walczyć o byt z istotami zamieszkującemi to nowe środowisko.

W interesie więc organizmu, w konieczności przystosowywania się do różnych środowisk leży exogamia topograficzna, która przeléwa w organizm możność przebywania w kilku środowiskach (ojca, matki, dziadków i t. d.).

Krzyżowanie zaś takie jest zawsze płodném i typu zwanego hybrydyzmem eugenezycznym, t. j. płodnym bezgranicznie (Broca).

Europa była więc niejako takim polem próbném wszelakich rasowych skrzyżowań, miejscem, na którém mieszali się przedstawiciele częstokroć wrogich sobie szczepów, ulegając bezwiednie prawom „amalgamacyi rasowéj" [1]).

Nasze dzisiejsze narody Europy, to metysy w najróżnorodniejszych stopniach, bezrasowe (w ścisłém tego słowa znaczeniu), zbiorowe typy o osłabionych przez ciągłe krzyżowania tendencyach przechowania cech rasy.

Wzajemna metysacya dwóch ras, ciągłe mieszanie się wywołuje w końcu zjawisko pierwszorzędnego znaczenia. Oto łączenie się wielorasowe daje typy pośrednie, u których wszelkie wybitne, znamienne najważniejsze cechy fizyczne, odróżniające każdą rasę, w zmieszaniu znoszą się wzajemnie i zanikają powoli. Metys jest zawsze przeciętną obu ras wytwarzających go i najwybitniejsze nawet cechy właściwe każdéj z obu ras rodzicielskich występują w nim słabiéj wskutek wzajemnego antagonizmu.

Rezultatem tego zjawiska jest zobojętnienie typu fizycznego danéj rasy i wytwarzanie się typów nowych, bezbarwnych, pośrednich.

W rasie białéj fakt ten uderza przedewszystkiém, jak to zaraz bliżéj rozpatrzemy.

Zauważyć jednak należy, że rasa biała, wybiwszy się na naczelne miejsce wśród wszystkich ras ludzkich siłą swéj ewolucyi mózgowéj,

---

[1]) Gumplowicz. „La lutte des races." Paris, 1893, str. 258—9.

specyalizując się w rozwoju nadmiernym tego organu, wydatkowała i wysilała cały zasób swych sił żywotnych w tym tylko kierunku, dążąc do otrzymania jaknajwiększéj ilości osobników o najwięcéj rozwiniętym mózgu, a przez to najbogatszych umysłowo. Proces ten wytwarzał hyperprodukcyę jednego organu ze szkodą drugich. Istotnie, okazuje się tu nadmierna praca fizyologiczna w kierunku wzmożenia i rozwinięcia systemu nerwowego, a wśród niego mózgu głównie, przy zastoju ogólnych cech fizycznych, ujawniających się pewném zmniejszeniem wzrostu, uboższym systemem mięśniowym, cieńszym i delikatniejszym kośćcem i t. d.

Z jednéj więc strony przez metysacyę, z drugiéj przez nadmierną jednostronną ewolucyę organizmu, co cały nakład pracy i energii życiowéj wkłada w rozwój jednego tylko organu, narody europejskie rasy białéj zobojętniały w swéj fizycznéj sferze, zatraciły powoli swe charakterystyczne cechy etniczne, dając typy nieokreślone, których cała energia zwróciła się na sferę intelektualną.

Ten proces ewolucyi wewnątrz organicznéj, zużywający wszystkie najlepsze siły istoty, musi wytworzyć powolne zobojętnienie cech rasowych zewnętrznych, nie służących już w doborze, ani decydujących w walce o byt.

I cała energia, cały zasób sił organizmów zwrócił się w tym jednym kierunku,—dobór niegdyś mięśni, wartości siły i szerokości bark, zamienił się na dobór najwyżéj uzdolnionych umysłowo.

O ile kiedyś zwyciężali w walce o byt ci, co największemi mogli poszczycić się mięśniami, o tyle dziś wygrywają tylko ci, co najwyżéj są intelektualnie rozwinięci.

A taki właśnie dobór w sferze umysłowości, dobór, w którym nie siłą indywidualną mięśni, ale pośrednio, przez wytworzone sztuczne środki, wypracowane potęgą umysłowości, jednostka zwycięża jednostkę, taki dobór w sferze intelektualnéj zachodzący, jest zjawiskiem, które warunkuje istotę cywilizacyi.

4.

Nie wchodząc bynajmniéj w analizowanie przyczyn i dróg, jakiemi rozwijała się i kształtowała cywilizacya europejska, taka, jaką dzisiaj widzimy, zobaczmy jedynie, jaki wpływ wywrzéć ona może jako środowisko życia, na sferę czysto fizyczną przedewszystkiém, a następnie i psychologiczną jednostek i tłumów żyjących pod jéj panowaniem. Cywilizacya dzisiejsza, pomimo całego bogactwa swych udoskonaleń

i udogodnień życia, przedstawia się prawie jako środowisko sztuczne, anormalne, równoważne kulturze forsowanéj roślin cieplarnianych.

Normalném jest życie dzikiego, życie wśród puszcz i lasów, życie wieśniaka na niwie, na łonie przyrody, bez tych ograniczeń i skrępowań, jakie narzuca cywilizacya.

I od tych właściwych ustrojowi naszemu warunków życia do bytu człowieka wśród zgiełku miast, jakie cywilizacya wytworzyła — przepaść cała.

Tam szerokie przestrzenie pól i lasów, życie wśród najrozmaitszych środowisk, pod wpływem bezpośrednim, natychmiastowym przyrody w jéj tak różnorodném zróżniczkowaniu się fizyograficzném.

Co robi tymczasem cywilizacya?

Powolne, coraz daléj idące zmniejszanie się przestrzeni wolnéj, wycinanie drzew, kultura ziemi, z rolnéj stająca się coraz bardziéj przemysłową, zrównoważenie się warunków klimatycznych i fizycznych życia przez coraz większy zanik przestrzeni wolnéj, coraz gęściéj zabudowywanéj, w coraz silniejszéj tendencyi do przekształcenia całéj Europy w jedno wielkie, potworne miasto; ciągłe zmniejszanie się ilości czasu zużywanego na wytwórczość przemysłową przez coraz doskonalszą technikę pracy.

Dziś, dzięki jéj, maszyny skracają czas wytwórczości do niebywałych granic.

Dziś człowiek naszéj cywilizacyi jest, jak powiada prof. Janżuł, „człowiekiem ekstensywnéj ekonomii czasu [1]), wykonywającym wszystko błyskawicznie, dzięki setnym wynalazkom, co długotrwałą pracę ręczną zastępują.

I jako wynik tego udoskonalenia, pojawia się także zmniejszenie obszaru przestrzennego pracy. Dzisiaj fabryki (np. przędzalnie) zajmują o dziesiątą część mniéj miejsca, niż przy dawniejszych metodach produkcyi. Domy dawniéj parterowe, a stąd na ogromne rozciągane przestrzenie, dziś pną się w górę. A zatém idzie, z jednéj strony, coraz większe zacieśnienie, coraz gorszy stan warunków życia, przeciwko którym nie zawsze zwycięsko walczy hygiena, z drugiéj — przy ciągłéj konkurencyi powstawanie coraz większéj ilości fabryk i zakładów przemysłowych, wydzierających cal po calu pole z pod pługa i tam, gdzie niegdyś lasy były, stawiając szeregi dymiących kominów fabrycznych.

Rezultatem tego stanu rzeczy jest przedewszystkiém gorączkowe, wycieńczające życie w ujednostajnionych sztucznie środowiskach, które bez względu na szerokość geograficzną miejsca coraz więcéj jedno-

---

[1]) Prof. I. I. Janżuł. „Iz psichołogii narodow". Odesa, 1895.

licie na zamieszkujące w nich osobniki wpływać poczynają, daléj zaś już jako rezultat tych właśnie jednolitych środowisk pojawia się ujednostajnianie powolne istoty fizycznéj, a może i psychologiczniéj żyjących w nich osobników.

Zwierzę różniczkuje się i przystosowuje do środowiska, które nań przedewszystkiém swój wpływ wywiéra, człowiek zaś zmieniwszy i ujednostajniwszy swe środowisko, zastosowuje się do niego późniéj.

Ujednostajniwszy warunki bytu, ujednostajnia się dopiéro teraz.

I tu tkwi cała różnica pomiędzy wpływem środowiska normalnego na zwierzę, a wpływem środowiska kulturalnego na człowieka. „Środowisko przetwarza zwierzę, człowiek przetwarza przedewszystkiém środowisko” [1].

Zastanówmy się chwilkę nad terminem, „ujednostajnione środowisko”. Przez powyższe określenie rozumiéć należy całokształt tych sztucznych warunków życia, jakie cywilizacya dzisiejsza stwarza i stwarzać będzie coraz daléj. Jest to więc przedewszystkiém ustrój miejski, osadowy, miasteczkowy nawet. Życie Anglika, mieszkańca pierwszéj lepszéj osady fabrycznéj, nawet wśród wsi położonéj i mieszkańca naszego Zawiercia lub Sosnowca nie wiele się różni. Ten sam świst maszyn i stuk młotów go budzi, temi samemi dymami i wyziewami oddycha, taka sama zubożała krew w żyłach jego płynie, takież same anemiczne ma dzieci. Nawet wygląd nie wiele się różni: w bluzie robotniczéj, zasmolony, spracowany, wybladły Anglik i Polak są tylko robotnikami.

Toż samo powiedziéć można o proletaryacie miejskim, o sferach urzędniczych i inteligencyi miejskiéj.

Wszędzie i zawsze miasto, świetniéj czy gorzéj zabudowane, jest zawsze miastem, daje te same mniéj więcéj impulsy i te same wrażenia.

Miasto japońskie, do którego dotarła z całym swym hałasem i wrzawą cywilizacya europejska i te typowo miejskie osady robotnicze Ameryki północnéj, Anglii i Belgii niewiele różnią się między sobą.

Cały ten ruch współczesny dąży do coraz szerszego ugruntowania życia miejsko-osadowego. Rolnictwo jest niemal w przesileniu, przemysł i handel jedynie króluje.

Można więc z zupełném prawdopodobieństwem prorokować coraz szerszy wzrost ustroju miejskiego w świecie cywilizowanym dni dzisiejszych, a co zatém idzie, coraz większe ujednostajnianie się sztucznych warunków bytu.

---

[1] Lester F. Ward. „The psychic factors of civilisation.“ Boston, 1893.

Ujednostajniwszy zaś środowisko, człowiek coraz więcéj uczuwać zacznie, jak już może uczuwa, tendencye do fizycznego równoległego temu zjawisku ujednostajnienia, a tendencya funkcyonalna jest pierwszym stopniem na drodze do asymilacyi.

Owo ujednostajnienie fizyczne będzie zresztą prostém przystosowaniem się do nowych warunków bytu, w których coraz mniéj mięśni, a coraz więcéj mózgu będzie potrzeba. Mięśnie zastąpią stal, para i elektryczność, a kierować będzie niemi jedyny władca cywilizacyi dzisiejszéj—rozum, tak jak niegdyś w puszczach epoki krzemiennéj kierował instynkt i siła fizyczna, brutalna.

W tych więc dalekich dniach przyszłości, mięśnie jako organy szczątkowe coraz więcéj będą zanikać, a rozwijać się będzie ciągle najwięcéj funkcyonujący organ—mózg.

Owo zaś osłabienie rozwoju systemów mięśniowych i kostnych, które zawsze wspólnie kroczą, pociągnie za sobą zanik większości tych cech charakterystycznych, które dziś za klasyfikacyjne nawet służą cechy.

Jednocześnie ujednostajnienie fizyczne i jednolitość środowiska wywołują też zdwojoną poniekąd potrzebę metysacyi. Wobec ogólnego zrównoważenia się środowisk życia, najmniejsze różnice mogące wpłynąć na wzmożenie rasy, na wzmocnienie coraz biedniejszéj krwi, wpłynęły na powiększenie się exogamii, które ma to jeszcze dobre do siebie, że pozwala wytworzonym wskutek krzyżowania istotom aklimatyzować się w kilku naraz środowiskach bytu [1]).

Z jednéj strony wzmożona metysacya, z drugiéj—rezultat jéj pójście metysów po drodze pośredniéj, zanik wybitnych rasowych cech fizycznych, coraz więcéj rozprzestrzeniający się pod wpływem zrównoważenia powszechnego środowiska życia, — wszystko to wytwarza osobniki, w których zanikają stanowcze cechy charakterystyczne, — a pozostaje zobojętnienie rasowe, którego bezpośrednim wynikiem będzie łatwość przystosowania się do każdego środowiska, płodność i życie w każdém skrzyżowaniu.

A rezultatem znowu téj wielkiéj łatwości przystosowywania się pojawia się możność życia na wszystkich szerokościach, możność konkurencyi z przystosowanemi w danych okolicach od setek wieków rasami autochtońskiemi.

Zresztą, dzięki olbrzymim postępom naszéj cywilizacyi, człowiek ras europejskich, gdy nie może zwalczyć — „pomaga przyrodzie", nie

---

[1]) Regnault. „Les effets de la consanguinité." Rev. Scient. Mars, 1893, N. 9, I sem., str. 267.

mogąc przystosować się do środowiska, zmienia go radykalnie, przetwarza zaś do tego stopnia, że formuje zupełnie nowe warunki życia dla siebie dogodne, a które mogą stać się zabójczemi, w swéj nagłéj nowości i różnicy z dawnemi dla ras autochtonów, od wieków tam przebywających.

Za przykład służyć może Algier.

Przed dziesięciu laty wszyscy koloniści wymierali w krótkim czasie po osiedleniu się. Gdy jednak nie mogli przystosować się do zabójczych dla nich warunków życia, zmienili grunt, zmienili klimat [1]), niwelując, to znowu podnosząc poziom, wycinając, to znowu zasiewając lasy, tak dalece, że kiedy dawniéj śmierć dziesiątkowała ich szeregi, dziś liczba urodzeń znacznie przewyższa liczbę zgonów, ale za to krajowcy giną, wymierając z roku na rok [2]).

Dzięki więc postępom techniki, dzięki postępom nauki, hygieny i medycyny, rasy białe będą mogły w niedalekiéj przyszłości żyć zupełnie bezpiecznie i z pożytkiem dla siebie na wszystkich szerokościach, pod wszystkiemi strefami [3]).

Warunki bytu dni dzisiejszych i przyszłości wytwarzają więc, powoli osobniki, metysy z ras dzisiejszych powstałe, mające we krwi swéj ślady najprzeróżniejszych skrzyżowań, pod wpływem warunków środowiska dające typy zupełnie nowe, przeciętne, wytwarzające się równocześnie we wszystkich całościach politycznych, zwanych narodami współczesnemi, a które wytworzone w łonie przeróżnych narodów, mają więcéj wzajemnych podobieństw, aniżeli istnieje podobieństw między niemi i ich najbliższemi rodakami. Są to te typy nieokréślone ludności miejskiéj miast całego świata cywilizowanego.

Każdy, kto się bezpośrednio stykał z badaniami antropologicznemi, wié aż nadto dobrze, jak ludność miejska wcale nie maluje charakteru etnicznego danego narodu. A ta ludność staje się coraz powszechniejszą i do niéj przyszłość należy.

Rozpatrując statystyki antropologiczne, jeśli tylko trafimy na badania dokonywane w mieście, osadzie lub miasteczku, jakkolwiek i wieś coraz więcéj traci swe mniéj więcéj czysto rasowe cechy w większych tylko ilościach przeważające, — zastanawia nas fakt olbrzymiego procentu typów mieszanych.

Nie mówiąc już o kształcie czaszki, do któréj późniéj wrócę, wi-

---

1) Zaborowski. „L'avenir des races humaines". Rev. Scientif., tom L, N. 25 i 17. Décembre, 1892, str. 781.

2) Ricoux. „Le démographie figurée de l'Algérie." Paris, 1880.

3) A. Fouillée. „L'avenir de la race blanche."

dzimy włosy ciemne, lub jasne przy ciemnych oczach i odwrotnie, oczy nader często mieszane, t. j. jedno oko inne, drugie inne, lub zielone, wzrost mierny, wskaźnik piersiowy (objętość klatki piersiowéj w stosunku do wzrostu) niewielki.

Człowiek dni przyszłych będzie typem, na którego wytwór złożyło się nietylko krzyżowanie, ale przystosowanie do środowisk, dające niemal nową rasę, którą, jak to wkrótce zobaczymy, będziemy mogli nazwać: „brachycefalami-mieszańcami cywilizacyi".

Rezultatem więc najważniejszym wpływu cywilizacyi na cechy fizyczne ludów europejskich jest: „zastój charakterystycznych cech rasowych, ginących wskutek ujednostajnienia warunków bytu z jednéj strony, metysacyi — z drugiéj, pójście organizmu po drodze pośredniéj, a stąd płynąca tendencya i łatwość do wszechmiejscowéj aklimatyzacyi."

5.

Znajdując się w daném środowisku, każdy organizm żyjący zamienia się z tém środowiskiem w pewną ilość bodźców i reakcyi, mówiąc najogólniéj i sprowadzając zjawiska życiowe do najprostszego szematu. Te zamiany, wywołane działaniem środowiska na jednostkę i odpowiedzią téj jednostki na owe bodźce, w grupie etnicznéj (czy organicznéj) wywołują pewne ustalone procesy zamienne, uwarunkowane rodzajem środowiska i fizyczną (a późniéj i psychologiczną) konsystencyą organizmów.

Znajdując się w mniéj więcéj jednolitych warunkach bytu, dana grupa etniczna reaguje na wpływ owego wspólnego środowiska, w mniéj więcéj jednolity sposób.

Istotnie, jeśli osobnik *A*, otrzymawszy z danego środowiska bodziec *b*, odpowie nań przez reakcyę *c*, zależną od siły bodźca, natury środowiska i siły indywidualnéj osobnika, to osobniki *B*, *C*, *D*, *E*...., które będą jednocześnie z tegoż środowiska otrzymywać bodźce równoważne z *b*, a więc b_1, b_2, b_3... odpowiedzą nań reakcyami c_1, c_2, c_3..., w których wyznacznik natężenia, t. j. $_1$, $_2$, $_3$ ... będzie wyrazem indywidualnéj siły jednostki, treść zaś ogólna reakcyi będzie podobną...

Żyjąc więc w sferze danych podobnych warunków życia, dana grupa etniczna podlega mniéj więcéj równomiernym wpływom wspólnego środowiska, wpływom, które, wywołując podobne działanie, wywołują też mniéj więcéj równomierne oddziaływanie, wchodząc w psy

chologiczną istotę każdéj z jednostek, daną etniczną grupę składających, w sposób, w ogólnych, najszerszych swych zarysach, równomierny i równosilny.

Owe równocześnie i równomiernie działające wpływy wywołują wskutek swéj, dla wszystkich ogólnéj jednolitości, pewien wspólny, zasadniczy dla wszystkich, sposób przyjmowania i reagowania na dane wpływy, z różnicami, zachodzącemi jedynie w granicach indywidualności każdéj jednostki.

Przez powyższe rozumiem to, że wpływy, idące ze środowiska do danéj grupy etnicznéj w środowisku tém żyjącéj, mają swoje wspólne tło, które wchodzi w istoty wszystkich tych współżyciowców jednocześnie i mniéj więcéj jednolicie; różnice zaś pojęcia tego wpływu i reakcyi nań powstają jedynie w granicach indywidualności jednostek i różnią się jedynie indywidualnemi wyznacznikami; przenosząc to na wzór powyżéj cytowany, możemy powiedziéć, że ze środowiska, w którém żyją osobniki *A*, *B*, *C*, *D*... wpływ *b* wejdzie w ich istoty w równém, wspólném wszystkim pojęciu *b*; różnice będą zachodzić jedynie co do siły tego wpływu, który nie wszędzie może jednolicie działać (wskutek może warunków klimatycznych, topograficznych), a które to zmiany będą uwidocznione wyznacznikami $_1$, $_2$, $_3$..... Reakcya zaś na ten bodziec *C*, będzie u wszystkich znowu mniéj więcéj podobną, tylko indywidualne różnice odzwierciedlą się w natężeniu wyznaczników c_1, c_2, c_3.....

Temi wspólnemi bodźcami są w ludzkości te wszystkie wspólne idee (niegdyś przesądy), poglądy i wierzenia. One są powodem, że na dwóch krańcach Europy pod wpływem podobnych bodźców ludzie mniéj więcéj podobnie reagują.

Cywilizacya dąży do jaknajwiększéj ilości idei wspólnych, przez rozpowszechnienie się coraz większe zasad wiedzy, zasad, które nie mogą się zmieniać dla żadnego narodu.

Dla danéj grupy etnicznéj, reakcye, pochodzące od takich ogólnych, powszechnych impulsów, odczuwanych w swéj zasadniczéj istocie wspólnie i niemal podobnie przez wszystkich, stanowią wyznaczniki ogólnéj psychologii danego narodu, jak pewną ustaloną formą odczuwania danych impulsów przez daną grupę etniczną.

Nazwać je przeto ośmielam się: psychologicznemi determinantami danego narodu.

Są one sumą indywidualnych reakcyi każdéj jednostki, przeciętną, że się tak wyrażę, charakterów wszystkich jednostek, daną grupę etniczną składających.

Jeżeli bowiem nazwać charakterem jednostki pewną zgodność i jednolitość w jéj reakcyach na wpływy zewnętrzne, to suma owych reakcyi mniéj więcéj jednolitych będzie charakterem narodu.

Będzie to owa reakcya *C*, w któréj c_1, c_2, c_3, będzie reakcyą jednostek; *c* zaś będzie determinantem psychologicznym osobników *A*, *B*, *C*, *D*, *E*....

Przebywając więc przez dłuższy czas w daném środowisku bytu, związawszy się wspólném życiem, jednolitemi instytucyami społecznemi, każda grupa etniczna raz przez wpływy zewnętrzne, bezpośrednie środowiska, drugi raz przez wpływy dziedziczności natychmiastowéj (od rodziców), daléj pośredniéj, po przodkach (atawistycznéj) otrzymuje w rezultacie pewien zbiorowy szczepowy determinant psychologiczny, znamionujący psycho-fizyologiczną charakterystykę danéj grupy etnicznéj. Jako wytwór powolnego działania wszystkich zbiorowych wpływów najogólniejszych danego środowiska na zamieszkującą go grupę etniczną (bez różnic indywidulnych interpretacyi), taki szczepowy determinant psychologiczny stanowi wskaźnik, miarę i wykładnik reakcyjności psychologicznéj, intelektualnéj całéj danéj grupy etnicznéj na te warunki bytu, w których żyje, rozmnaża się i do których powoli przystosowała się.

Na taki determinant szczepowy składają się determinanty rodzinnych grup, szczepowe zaś determinanty składają się znowu na wytwór jeszcze wyższych, jeszcze ogólniejszych determinantów rasowych, które, tak jak pierwsze malowały psychologię narodowościową, malują same jeszcze ogólniejsze zarysy charakteru całéj rasy.

Niejasno, z metafizycznego nieco punktu widzenia pojmując te osiowe, zasadnicze, kolektywne prądy pojęciowe, G. Le Bon, nazywając je „rasowemi duszami" [1]), powstałemi z nagromadzonych przez tradycyę pojęć ogólnych, powiada daléj, wyraźniéj: „Zbiorowisko ludzkie o różném etniczném pochodzeniu dochodzi do ustanowienia jednéj rasy (?), to jest do posiadania jednéj „kolektywnéj duszy" tylko wtedy, kiedy przez powtarzane przez wieki krzyżowania się i jednolite życie w jednolitych środowiskach, przyjmie wspólne uczucia, wspólne cele i wierzenia. U ludów cywilizowanych nie ma już dzisiaj ras przyrodzonych. Są one po większéj części sztuczne i wytworzone przez warunki historyczne" [2]).

---

1) G. Le Bon. „Les lois psychologiques de l'evolution des peuples." 2 ed. Paris, 1895.

2) G. Le Bon. „Le rôle du caractère dans la vie des peuples." Revue Scientifique, N. 7. Tom I, 17 Fevrier, 1894.

Zanim rozejrzemy się we wpływie, jaki wywiera metysacya na wspólność pojęciową, należy zauważyć, że wpływ jednolitości środowiska życia, daléj mniéj więcéj ujednostajniony system wychowania i wykształcenia składa się na wytworzenie wśród przeróżnych szczepów etnicznych całych warstw społecznych, mających pewne wspólne pojęcia i myśli, pragnienia i aspiracye.

„W narodach europejskich w szczególności, powiada Zaborowski [1]), do wspólnych dziedzicznych cech fizycznych, dołączają się jeszcze te, które się rozwinęły pod wpływem jednostajnéj kultury, którą zachowuje wychowanie coraz bardziéj wyszukane, ujmując wszystkie umysły w jedną i toż samą formę. Wystarczałoby to do utrzymania pomiędzy niemi, jakiekolwiek zdarzyłyby się w przyszłości klęski, więcéj podobieństw wzajemnych, aniżeli różnic" [2]).

I w istocie, wyżéj wyliczone wpływy urabiają inteligencye współczesne jednolito, na jedną modłę. O ile masy, tłumy różnią się między sobą, o tyle ci, których dobór intelektualny wysunął naprzód i wyłonił z tłumów, wykształceni w jednaki mniéj więcéj sposób, myślą i działają podobnie, stanowiąc jednostki niejako kosmopolityczne w psychologicznéj swéj sferze. Kosmopolityzm uważa się zwykle za pewien powierzchowny termin, czasami przeciwstawiany pojęciu o narodowości, sam przez się mający malować typ człowieka, żyjącego w ciągłych podróżach, bez ojczystéj siedziby.

Analizując jednak bliżéj pewne klasy społeczne każdego narodu, dochodzi się do przekonania, że ów termin „kosmopolita" zaczyna w dni dzisiejsze nabiérać coraz ściślejszego znaczenia, stając się, powiedzmy odrazu, niejako „rasą", sztucznie w łonie każdego narodu wytwarzaną, a któréj cechą charakterystyczną jest to, że osobniki do niéj należące, w łonie najrozmaitszych narodów zrodzone, mają jednak między sobą więcéj podobieństw, aniżeli są poszczególnie zbliżonemi do swych najbliższych rodaków.

Warunki, w jakich narody dzisiejsze żyją, a które, sądząc z biegu rzeczy, w przyszłości jeszcze szerzéj się rozwiną, ów dobór intelektualny, metysacya, ujednostajnienie środowiska, wychowanie podobne, wszystko to składa się na to, że w łonie każdego europejskiego narodu, klasy rządzące, klasy najinteligentniejsze, stają się bez wiedzy swojéj coraz więcéj zbliżonemi do takichże klas inteligentnych sąsiedniego narodu.

---

[1]) Zaborowski. „L'avenir des races humaines." Revue Scientif. Tom L, N. 25, 17 Décembre 1892.

[2]) Tegoż zdania jest Perty. „Etnographie", 1859, str. 299.

Nie idzie tu bynajmniéj o kosmopolityzm polityczny, o wyganięcie przekonań patryotycznych.

Kosmopolityzm, o którym tu mowa, jest ujednostajnieniem ogólnych przekonań, pojęć, wierzeń, pragnień objawiających się, jak to późniéj bliżéj zobaczymy, w całym szeregu międzynarodowych upodobań i dążeń. Wytwarza się dzisiaj pewna rasa, mająca nawet wybitnie zaznaczone cechy antropologiczne, sztucznie wyrobione, rasa ludzi cywilizowanych, wytworzonych przez kulturę dzisiejszą, po za wszelkiemi granicami etnicznych i politycznych kategoryi.

Pomiędzy determinantami psychologicznemi Anglika i Francuza z klas inteligentnych jest więcéj podobieństw, aniżeli pomiędzy determinantami tego Anglika a jego rodaka z ludu.

Powiedziano jednak (starał się to uzasadnić Le Bon badaniami anatomo-fizyologicznemi), że w miarę postępu cywilizacyi następuje coraz większe zróżniczkowanie indywidualne.

Według Le Bon'a, czaszki narodów cywilizowanych przedstawiają przy pomiarach najwięcéj różnic indywidualnych; jednolitość spotyka się tylko u ras najniższych [1]); możnaby na to odrzec przedewszystkiém, że wpływa na to silnie metysacya, następnie zaś, że zjawisko to jest zupełnie jasne i z innego punktu widzenia.

Proces kultury, wywołujący pewne ujednostajnienie w życiu psychologiczném jednostek, dochodzącém do zjawiska niejakiego psychologicznego kosmopolityzmu, jest niczém inném, jak tylko pod wpływem coraz szerzéj sięgającéj nauki wspólnéj dla wszystkich, zrównoważeniem determinantów psychologicznych przeróżnych szczepów.

Ów determinant *C*, o którym mówiliśmy poprzednio, staje się coraz powszechniejszym; ale ewolucye indywidualne każdéj jednostki, niezmiernie wysoko rozwinięty rozdział pracy w dziedzinie każdéj specyalności wywołuje pomiędzy temi jednostkami niezmiernie wielkie różnice. Dzisiaj medycyna jedna potrafiła wyrobić w sobie tyle specyalności, że specyalista chorób narządów mowy i głosu może bardzo mało znać choroby serca lub skóry.

Ta specyalizacya wywołuje to, że pomiędzy Anglikiem i Francuzem wysoko cywilizowanym, specyalistami w dwóch różnych fachach więcéj jest różnic indywidualnych i tendencyi do ujawnienia tych różnic, aniżeli będzie różnic pomiędzy dwoma Anglikami lub dwoma Francuzami z ludu, a może nawet Anglikiem i Francuzem z ludu.

---

1) Dr. Gustave Le Bon. „Recherches anatomiques et mathématiques sur les variations de volume du cerveau et sur leurs relations avec l'intelligence.“ Paris, in 8-vo, 1879.

Zaznaczyliśmy więc pojawienie się wśród narodów dzisiejszych pewnéj warstwy, która niejako podaje sobie ręce ponad granicami etnicznemi i terytoryalnemi, wytwarzając coś jakby nową, sztucznie wyrobioną rasę, powstałą wskutek kardynalnych czynników dzisiejszéj kultury, a któréj zasadniczą cechą charakterystyczną jest pewien intelektualny kosmopolityzm.

6.

Jak już z poprzedniego wywnioskować mogliśmy, nie może być dzisiaj mowy o typach zupełnie czystych etnicznie wśród narodów Europy. „Rasa czysta" jest dla współczesnych narodów europejskich terminem, nie dającym się zastosować; narodowości zaś dzisiejsze są to tylko grupy, mające jako jedyną łączną nić, wspólną przeszłość historyczną; narodowości nawet wrogie sobie przez swój przebieg historyczny i kulturalny, mogą być ze sobą złączone setkami wspólnych skrzyżowań etnicznych i wspólnemi instytucyami politycznemi.

Cementem co skupia, skleja dane grupy narodowe, jest jedynie ów wspólny interes polityczny, albo wspólne zwyczaje, aspiracye i cele.

Może nieco ryzykownie powiada w tym względzie Gumplowicz [1]), że „to nie ze względu na etniczną jedność Francuzi walczyli przeciwko Niemcom w roku 1870-ym, Włosi zjednoczeni przeciw Austryakom w roku 1859... Nikt nie będzie patrzył na Francuzów, Włochów, jako takich, w rozpatrywaniu tych walk"... Walczyły tu raczéj nie tyle wspólne elementy etniczne, jak wspólne interesy życiowe, wspólne impulsy w walce o byt, dodajmy.

Postarajmy się z kolei naszkicować zachowanie się przypuszczalne determinantów psychologicznych przy skrzyżowaniu i jakie typy wytwarzają się przez swą metysacyę wśród dzisiejszych narodów europejskich, a właściwiéj, jeśli proces ten trwać będzie, jakie typy wytworzą się w przyszłości.

Widzieliśmy już, że metysacya coraz powszechniejsza wywołuje zubożenie fizycznych cech narodowych, daléj, że wpływ ujednostajniający środowiska w tymże działa kierunku, widzieliśmy nakoniec, że wśród narodów europejskich wytwarzają się warstwy, z jednéj strony jako metysy po większéj części osłabione w swych cechach fizycznych, z drugiéj zaś — w sferze psychologicznéj, intelektualnie kosmopolityczne.

Ponieważ zaś przymusowe wychowanie, nakoniec konieczność co-

---

[1]) Gumplowicz. „La lutte des races." Paris, 1893, str. 253—4.

raz większa korzystania z powszechnéj wiedzy, jako środka doboru intelektualnego, zapewniającego dzisiaj zwycięstwo w walce o byt, wywołują powstawanie coraz większéj liczby owych intelektualnych kosmopolitów, to przypuszczać należy, że, idąc tą drogą, ludzkość dojdzie do najmniejszych różnic w szczepowych determinantach psychologicznych ludzi przyszłości.

Skoro zaś staną w skojarzeniu rodzinném dwa metysy owych wyższych klas społecznych, to powstałe z nich potomstwo będzie miało w sobie prawdziwe zobojętnienie rasowe.

Owa przewaga w organizmie rodziców systemu nerwowego-a głównie mózgu, przy osłabieniu zobopólném cech swoistych fizycznych, daléj ów kosmopolityzm intelektualny obojga, złożą się w metysie z nich powstałym, na wytwór człowieka przyszłości, rasy sztucznéj, wytworzonéj przez kulturę jedynie.

Etnicznie bezrasowy, produkt setnych skrzyżowań, wątły fizycznie, z nadmiernie rozwiniętym mózgiem, o ciemném, ubogiém uwłosieniu, niski wzrostem, z pewną atrofią systemu mięśniowego ów człowiek przyszłości będzie przygotowany przez naturę na jedne tylko zwycięstwa,—pogromy rozumem.

Typ, taki będzie tak fizycznie, jak i psychologicznie, najłatwiéj przystosowalnym do wszelkich środowisk, będąc zaś „cały mózgiem”, przy stosunkach przyszłości, będzie istotą, mającą największą przyszłość przed sobą.

W czasach dzisiejszych zaczynamy już podobne typy spotykać; są one wytworami sztucznemi, produktami krzyżowania, z zanikiem coraz widoczniejszym wszelkich wybitnych cech rasowych, a wskutek złożenia się na nie typów wielomiejscowo kiedyś przystosowywanych, najłacniéj, mogą się one dostosowywać dzisiaj do tych sztucznych warunków życia, jakie wytwarza kultura, a wśród których typy takie, całe z ewolucyjnych, intelektualnych czynników złożone, największe mają widoki powodzenia w walce o byt.

Niektórzy autorowie, jak Fouillée [1]), utrzymują, że metysacya wywołuje powstanie bądź to cech regresyjnych, atawistycznych, bądź to powstanie typów niemal szkodliwych w życiu socyalném narodów.

„Walka przeciwnych elementów zamiast zachodzić pomiędzy dwoma osobnikami, odbywać się będzie w jednym organizmie” [2]).

„W metysie siły przeciwne neutralizują się i działać poczyna jedna — egoizm” [3]).

---

[1]) A. Fouillée. „L'avenir de la race blanche.“

[2]) loc. cit. — [3]) loc. cit.

I jeszcze:

„Gdy charakter narodowy ulega rozkładowi, traci swoją jedność i jednolitość, powstaje niepewność, chwiejność poglądów i czynów. Rozdzielony w samym sobie i przeciwko sobie, naród jest wówczas w naruszonéj równowadze socyalnéj" [1]).

Tak jednak nie jest. Metysy, pochodzące z dwóch ras odrębnych (np. Murzyn i Chińczyk), mogą w istocie wydać typ, którego determinant psychologiczny indywidualny, idąc po pośredniéj drodze obojętnéj, może dać regresyjne cechy obu ras składających.

W łonie jednak szczepów europejskich ciągłe historyczne skrzyżowania dały już odpowiedni grunt dla zrównoważenia etnicznych elementów składowych. W przyszłości zresztą napięcia determinantów coraz mniéj różnić się będą między sobą, tak, że zlanie się ich będzie raczéj ich wzmocnieniem, niźli rozszczepieniem.

Metys europejski ma przed sobą największe pole do zwycięstwa w walce o byt, które w dzisiejszéj kulturze jest walką o najwyższą intelektualność, a do téj najlepiéj przysposabia go urodzenie.

Powszechność zaś tych ogólnych prądów umysłowych o silném zabarwieniu kosmopolityczném coraz częściéj w dni dzisiejsze stwierdzać można.

Widzimy więc ogólne pragnienie powszechnego języka międzynarodowego (ziszczonego w języku volapück i esperanto), coraz liczniejsze instytucye społeczne, o charakterze międzynarodowym, ruch literacki, który, jakby ulegając tym słowom Goethego, że: „czas nastał na literaturę wszechświatową", tworzy setki międzynarodowych przeglądów.

I jeśli dzisiaj w masach wielkich spotykamy róznice pojęciowe, jeśli tłumy różnią się pomiędzy sobą formami zwyczajowemi i językowemi, z tradycyi historycznéj płynącemi, to w klasach wyższych, wykształconych, wśród tych warstw, które pracują mózgiem, aby wyzyskać resztki fizycznych zdolności tłumów, wśród tych warstw następuje coraz szersze zjednostajnienie fizyczne i intelektualne.

W gorączkowéj gonitwie, jaką jest życie nasze, wygrywają i dochodzą do szczytu ci, co są najzdolniejsi, co przeważają, mówiąc fizyologicznie, bogactwem swych zwojów mózgowych i ilością materyi szaréj.

---

[1]) Alfred Feuillée. „Dégenérescence. Le passé et le présent de notre race." Revue de Deux-Mondes, 15 Octobre 1895. W téjże pracy autor nader słusznie podnosi wyniszczający wpływ wojen i rewolucyi, osłabiających rasowość, przez usunięcie najsilniejszych warstw narodów.

Wśród téj konkurencyi, gdzie, walcząc o hegemonię, narody muszą wytwarzać coraz wyższe prądy kulturalne, aby ilością swéj produkcyi, doskonałością wyrobów, świetnością udoskonaleń i ulepszeń zwyciężyć i stanąć u steru, te setki tysięcy, co pracują mózgiem, co z mózgu wysączają pracą myśli, coraz nowsze wynalazki i zdobycze na polu wiedzy, przemysłu, handlu i sztuki, — ci wszyscy czerpią przedewszystkiém prawie jednakie wykształcenie ogólne, w mózgach tych wszystkich krążą prawie jednolite projekty, myśli, panhumanitarne aspiracye i cele.

A wygrywają ci, co zdołają wytworzyć jakieś udoskonalenie najnowsze tego, nad czém wszyscy myślą i pracują.

Klasy intelektualne cywilizacyi dzisiejszéj stanowią jakby jakiś nowy element etniczny, stojący wyżéj, ponad narodowościami, szczepowemi celami i partyjnemi walkami, ponad aspiracyami politycznemi pojedyńczych grup, — pracując dla ludzkości całéj.

Wiedza i jéj zdobycze nie mają narodowości, wiedza musi być kosmopolityczną i takiemi stają się powoli ci, co na jéj polu pracują i co z niéj korzystają.

I w zrównoważeniu wszystkich szczepów naszéj staréj Europy, w panhumanitarnym, psychologicznym i intelektualnym kosmopolityzmie, te narody mogą stawać do walki o hegemonię, te mogą miéć pretensyę do prowadzenia postępu i cywilizacyi, do przodowania ludzkości, w jéj świetnym pochodzie, zawsze naprzód kroczącym do światła i prawdy, te tylko, w których najbogatszą jest ilość osobników wysoce produkcyjnych, wysoce twórczych.

W istocie wielkie prądy umysłowe, kierunki wyobrażające najogólniejsze tendencye ludzkie w rozlicznych peryodach historyi, są jednakowe dla wszystkich.

Masy asymilują je równomiernie, w mózgi setek wchodzą one w mniéj więcéj jednolitéj sile, postęp zaś, zwycięstwo umysłowe, ewolucya, zależy od ilości takich osobników, co z tych pojęć ogólnych, co z tych pojęć wchodzących jednolicie w mózgi wszystkich, potrafią skorzystać i dzięki indywidualnéj sile, znaléść w nich to, co najodpowiedniejsze i najpraktyczniejsze dla wymagań chwili.

Postęp zależy więc od ilości osobników, co te ogólno-ludzkie prądy umysłowe asymilują w sposób twórczy.

Jeśli weźmiemy 1,000 pierwszych lepszych Europejczyków i 1,000 pierwszych lepszych Hindusów, mówi Le Bon, to 995 jednych i drugich stać będzie na prawie jednostajnym poziomie intelektualnym, tylko że wśród téj resztującéj piątki u Europejczyków widzimy kilka wybitnych jednostek, czego nie znajdziemy u Hindusów, gdzie wszyscy będą „przeciętni". Le Bon, mówiąc tu o pojemności czaszkowéj, twierdzi,

że może ona być jednakowa dla seryi czaszek różnorodnych plemion ludzkich; wśród wyższych okaże się tylko większa ilość czaszek o wybitnie dużej pojemności.

Postęp więc pchają naprzód jednostki wybitne [1]).

Indusi trzymani w karności przez Anglików w rozwoju intelektualnym mas stoją niemal na jednym poziomie ze swemi zaborcami. Tylko wybitne wartości jednostek wyżej intelektualnych angielskich potrafiły ujarzmić te tłumy (Le Bon).

Jeślibyśmy chcieli podzielić ludzkość na typy względnie do ich utylitarnego znaczenia socyalnego, względnie do ich wartości produkcyjnéj dla mas,—to podział ten mógłby być następującym:

ludzie normalni { 1. Szkodliwi
$^1/_2$ Indeferentywni
2. Pożyteczni

Ta ostatnia kategorya daje się podzielić na:

a) osobników instynktownych,

b) osobników instynktywno-intelektualnych,

c) osobników intelektualnych,

d) osobników intelektualno-twórczych.

Największa więc w narodzie ilość osobników téj kategoryi, a z nich—dwóch ostatnich grup, warunkuje intelektualną wyższość danéj grupy etnicznéj. *Maximum* ludzi twórczych—oto postulat ewolucyi intelektualnéj danéj grupy narodowościowéj.

A za przewagą umysłową idzie przewaga polityczna i ekonomiczna.

„Kraj który będzie miał największą żywotność umysłową, będzie też miał największą produkcyę ekonomiczą", powiada Nowikow [2]).

Ponieważ więc przy dzisiejszém ułożeniu się stosunków międzyludzkich największą wartość, siłę i znaczenie mogą mieć jedynie te grupy etniczne, w których łonie największa znajduje się ilość osobników twórczych, a więc wybitnie intelektualnych, cała zaś cywilizacya dzisiejsza jest niejako doborem intelektualnym, nakoniec pod wpływem kultury obojętnieje stopniowo typ fizyczny, następuje regres wszystkich narządów na rzecz wzmożonéj ewolucyi mózgu,—to rzecz prosta można

---

[1]) W kwestyi téj pisano bardzo wiele, Hegel „Philosophie der Geschichte;" Cousin „Oeuvres;" Carlyle „On heroes;" James „Les grands hommes." Joly „Psychologie des grands hommes;" Goltan „Hereditary genius;" Le Bon „Les lois psychologiques de l'evolution des peuples." Karejew „Suszcznost' istoriczicz. processa i rol licznosti w istoryi."

[2]) Nowikow. „Les gaspillages des societés modernes."

już *a priori* wnioskować, że ewolucya fizyczna tego organu dochodzi do szczytu w dni nasze.

Waga, kształt i rozmiary mózgu w miarę wzrastania czynności tego organu wzrastać muszą przez sam fakt tego prawa, że organ wzrasta w miarę wzmożenia się pracy, funkcyi jakie wykonywa; ponieważ, jak wiadomo, praca umysłowa wzbogaca rozwój zwojów mózgowych, ilość materyi szaréj, — należy zatém przypuszczać, że ten rozwój mózgu nie pozostaje bez wpływu na sklepienie czaszkowe, w którém się znajduje i rozwija.

Wewnętrzne ukształtowanie mózgu nie daje nam bardzo silnych i wybitnych różnic przy porównywaniu tego organu u ludzi cywilizowanych z mózgami ras niższych. Zaznaczyć tu można tylko nieco mniéj subtelne, więcéj szematyczne zarysy zwojów u tych ostatnich. Waga mózgu bardzo niewiele też nam może powiedziéć, gdyż jak dowiódł prof. Manouvrier [1]) waga mózgu idzie w parze z wagą ciała i wzrostem, wskutek czego najinteligentniejsze rasy o nizkim wzroście są zawsze przewyższone przez najniższe intelektualnie narody, byle tylko były z kategoryi wysokorosłych.

Pojemność czaszkowa wskazuje za to mniejszą zawartość u ras niższych, większą u ras wyższych.

Najważniejszym jest wszelako ten fakt, że, ponieważ w ewolucyi mózgu powinny jako cechy znamienne wzrastającéj inteligencyi rozwijać się przednie części mózgu, czołowe płaty mózgowe, to rzecz prosta że od ich rozszerzania się, rozszerza się i czaszka, z długogłowéj stając coraz więcéj krótkogłową, lub pozostając długogłową (z tendencyą do mesaticefalii) ale z powiększonemi wymiarami czoła.

A fakt ten staje się w dni nasze coraz powszechniejszym wśród narodów Europy.

Brachycefalia, która się dzisiaj rozwija, nie jest bynajmniéj dziedziczną, z rodziców na dzieci przechodzącą cechą antropologiczną, nie jest ona spowodowana ani napływem brachycefali emigrantów, ani też cechą atawistycznego powrotu do dawnych brachycefalików.

Jest ona przeciwnie cechą sztucznie wytworzoną, nabytą, jest wytworem kultury, rezultatem doboru intelektualnego.

Stwierdzają jéj wzrost powszechnie, a Lapouge [2]) powiada nawet w téj mierze: „wskaźnik główny wzrasta w Europie z wieku w wiek od początku czasów nowszych. Strony, w których na początku wie-

---

[1]) Prof. dr. Leon Manouvrier: „De l'interpretation du poids de l'encephale. Mém. de la societ. d'Anthrop. 2 ser. t. III, p. 137.

[2]) de Lapouge. La vie et la mort des nations. Rev. Internat. de Sociologie Nr 6 Janv. 1894.

ków średnich były zaledwie ślady krótkogłowości—są dziś zupełnie krótkogłowe, te zaś w których było więcéj niż ślady, są dziś krótkogłowemi w stopniu wyższym nad to, co się kiedykolwiek, gdziekolwiek bądź widziało.“ A daléj powiada: „Potęga intelektualna zdaje się, że jest związana z szerokością przednich części czaszki; nie znam narodowości wyższéj, któréj wskaźnik byłby niższy od 74.”

Jeśli zaś spojrzemy na wskaźniki główne narodów europejskich w porównaniu z narodami niższemi i na procentowe rozłożenie według trzech grup wskaźników: długogłowych, pośredniogłowych i krótkogłowych,— to uderzy nas ten fakt, że chociaż dwa pierwsze typy istnieją zawsze (i zawsze istniéć będą), niemniéj przeto przypada na nie najmniejszy procent u narodów bardziéj cywilizowanych; dołączona tu tabelka zaczerpnięta z dzieła Rankego [1]) najlepiéj rzecz tę uwidoczni.

Narodowość	Dolichocefale do 74.9	Mesaticephale 75-0—79.9	Brachycephale 80 i wyżéj
	procentowo:		
Współcześni Niemcy (Kolmann)	16	41	43
„ „ południowi	1	16	83
Tyrolczycy	0	10	90
Współcześni Słowianie (Kollmann)	3	25	72
Paryżanie (Topinard)	14	41	45
Owerniacy (Topinard)	5	7	88
Współcześni Grecy (Elon Stephanos)	15	31	54
„ Japończycy (Hallsten)	0	28	72
„ Finlandczycy „	6	30	64
Polacy współcz. (Kopernicki)	5	10	83
Eskimosi (Topinard)	86	10	4
Australczycy	89	11	0
Melanezyjczycy	81	18	1
Mikronezyjczycy	56	39	5
Polinezyjczycy	63	23	14
Murzyni (Topinard)	56	38	6

Wszędzie więc u ras wyższych przeważa jawnie krótkogłowość, u ras niższych długogłowość.

Brachycefalia dni naszych, wzrastająca z dniem każdym, stwierdzana w łonie każdéj niemal narodowości różni się jednak od brachycefalii przedhistorycznych emigrantów przybywających ze wschodu czy północnéj Europy, gdyż tamta była przyrodzoną cechą otrzymaną dziedzicznie od krótkogłowych protoplastów, nasza dzisiejsza brachycefalia jest cechą nabytą, wytworzoną z jednéj strony przez ewolucyę specyficzną mózgu, z drugiéj strony przez dobór najlepiéj rozwiniętych

[1]) Dr. Ranke. „Der Mensch.“ Leipzig und Wien 1894. Tom. II, str. 226.

mózgów, czyli przez dobór intelektualny, będący istotą procesu kultury. Brachycefalia dzisiejsza jest zresztą uwarunkowana rozwojem przednich części mózgu,ześrodkuwujących najszlachetniejsze, najwyższe funkcye psychiczne.

Nie zupełnie więc ściśle, choć w zasadzie słusznie powiada Fouillée [1]) „stajemy się coraz więcéj „celto-słowianami" i „turańczykami" (mówi tu on o Francuzach), jakiemi byliśmy przed przyjściem Gallów, gdy przeciwnie element aryjski zanika coraz bardziéj, słabnąc w swém znaczeniu i wpływie."

Do tego, cośmy poprzednio zaznaczyli, przybywa więc nam jeszcze jedna, najważniejsza bodaj cecha: człowiek przyszłości zdaje się będzie brachycefalem, która to cecha wytworzyła się po za wpływem cech antropologicznych osobników, składających się na wytwór tego typu.

Przyszłość Europy zarysowuje się więc jako: typy skosmopolityzowane psychologicznie, fizycznie rasowo obojętne, coraz więcéj brachycefaliczne.

7.

Kończąc niniejszą pracę, pozwolę sobie w kilku słowach streścić to, co wykazać usiłowałem.

Ustaliwszy ten fakt, że narody Europy są od najdawniejszych epok silnie skrzyżowane i zmieszane, tak że o rasach absolutnie czystych mowy być nie może, uwydatniwszy że kultura dzisiejsza jest niejako hodowlą sztuczną, wytwarzająęą nowe środowisko życia, starałem się pokazać te wpływy, jakie owo środowisko miéć może na mieszkańców Europy dzisiejszéj.

Owo ujednostajnienie sztuczne życia, działające w pewien ujednostajniający sposób na fizyczną konsystencyę ludów dzisiejszych, potęguje jeszcze metysacya.

Ich to wytworem będą więc te typy coraz mniéj rasowe, typy sztucznie wytworzone, metysy w przeróżnych stopniach o zatraconych wybitnych cechach elementów składowych.

Postarałem się daléj wykazać, że kultura dzisiejsza z dawnéj fizycznéj walki o byt, stała się doborem intelektualnym; pokazałem rezultaty tego doboru (pośrednie), ujawniające się w pewném skompolityzowaniu wyższych sfer intelektualnych wszystkich narodów.

---

[1]) A. Fouillée. „Degenerescence. Le passé et le present de notre race."

Starałem się nakoniec dowieść, że jednym z najznamienniejszych wyników kultury jest wytworzenie sztucznéj (bo nie rasowego pochodzenia) brachycefalii.

I stąd widzimy ludzkość przyszłości jako metysów, o osłabionych cechach rasy, psychologicznie i intelektualnie kosmopolitycznych, brachycefali sztucznych, tworzących jakby nową rasę, nowy etniczny element, podobny do siebie wśród najprzeróżniejszych narodów Europy, powstały i rozwijający się dzięki procesom kultury. I być może, że ci kosmopolici etniczni przyszłości potrafią zatrzéć waśnie dziejowe i zbratani myślą zarówno jak fizycznemi cechami, w jednym wielkim panhumanitarnym uścisku, zapomną dawne rozterki i niezgody, łącząc się w wspólnym celu: w dążeniu do światła i wiedzy!

Kazimierz Daniłowicz-Strzelbicki.



Ś. p. Antoni Okolski.

Żal szczery i ogólny, wywołany w społeczeństwie naszém, na wiadomość o zgonie jednego z niewielu już członków dawnego grona profesorów b. Szkoły Głównéj warszawskiéj — d-ra Antoniego Okolskiego, niemniéj, wyjątkowy uroczysty obrzęd pochowania zwłok zmarłego, w którém wzięły udział liczne rzesze wychowańców uniwersytetu i przedstawicieli wszystkich warstw ludności miejskiéj—były odgłosem uznania dla pamięci męża, który życie swoje poświęcił nauce.

Chcąc uczcić godnie pamięć i zasługi Okolskiego na kartach czasopisma naukowego, należałoby, zamiast nekrologu, podać pobieżny choćby rozbiór prac zmarłego, ciągnących się nieprzerwanym szeregiem przez lat blisko trzydzieści pięć; w tych bowiem pracach odbija się, jak w źwierciadle czystém, stopniowy rozwój umysłu niestrudzonego pracownika i działalność jego zwrócona przeważnie do cichéj pracy gabinetowéj nad gałęzią umiejętności, która, jak dotąd, w ś. p. Okolskim miała i ma w literaturze polskiéj jedynego swego przedstawiciela.

Zadanie takie wszelako wobec obfitego materyału drukowanego, rozproszonego przeważnie po czasopismach peryodycznych, nie łatwém byłoby do urzeczywistnienia. Wystarczy, jak na teraz, wyliczenie w swojém miejscu tytułów prac zmarłego, by ułatwić przyszłym jego

biografom-specyalistom możność rozejrzenia się w pokaźnym dorobku naukowym, pozostawionym nam przez zmarłego w spuściźnie.

Już poważny szereg owych prac specyalnych, z których każda była owocem badań źródłowych, opartych na metodzie porównawczéj i na gruntownéj znajomości prawodawstw obcych, dowodzi, że zmarły należycie i wszechstronnie zadanie katedry uniwersyteckiéj pojmował. Słusznie mniemał Okolski, że wykłady, prowadzone w murach uniwersytetu, wyłącznie dla słuchaczy-specyalistów, zadania takiego całkowicie nie wypełniają. Pozostaje jeszcze druga strona działalności profesorskiéj — nierównie ważniejsza — rozpowszechnienie wiedzy naukowéj w społeczeństwie, drogą publicystyki; utrzymywanie związku ciągłego między nauką a bieżącemi potrzebami chwili, słowem — oddziaływanie na samowiedzę społeczeństwa drogą popularyzacyi przedmiotów kursu uniwersyteckiego. W taki to sposób pojmują swoją misyę poważniejsze siły profesorskie za granicą, w krajach, gdzie katedra uniwersytecka nie stoi odosobniona, lecz nieustanny wywiera wpływ na urabianie się pojęć prawnych w społeczeństwie; w taki również sposób rozwija się i bogaci dorobek literacko-naukowy danéj gałęzi umiejętności. W myśl tego zadania, nazwisko Okolskiego ukazywało się stale w prasie peryodycznéj krajowéj pod artykułami, poświęconemi sprawom administracyi, policyi i ekonomii społecznéj; prócz tego, piśmiennictwo ojczyste zawdzięcza zmarłemu wyczerpujące dzieło trzytomowe, obejmujące niezależnie od wykładu teoryi prawa administracyjnego, traktat o prawie administracyjném obowiązującém, osnuty na źródłowym materyale prawodawczym.

Urodził się Okolski w r. 1838 w Małachowicach, w powiecie łęczyckim. Po przejściu nauk gimnazyalnych w Płocku, udał się do Petersburga, gdzie ukończył wydział prawny uniwersytetu tamecznego ze stopniem kandydata. Celem uzupełnienia studyów specyalnych w dziedzinie prawa karnego i administracyjnego wyjechał na czas dłuższy za granicę i przebywał w Paryżu, Londynie i Jenie. Ta ostatnia wszechnica przyznała mu godność doktora praw, po świetnéj obronie rozprawy „*Über die Staatsanwaltschaft im Strafverfahren*”. Z otwarciem trzeciego kursu na wydziale prawa i administracyi w b. Szkole Głównéj warszawskiéj w roku akademickim 1864 na 1865 objął Okolski w charakterze tymczasowo-wykładającego katedrę procedury kryminalnéj, zalecony dysertacyą naukową „O dzieciobójstwie”, wydrukowaną w tymże roku w „Czasopiśmie poświęconém prawu i umiejętnościom politycznym” (Kraków, 1864. Zeszyty VIII — X). Niezadługo wszakże otrzymał nominacyę na profesora nadzwyczajnego, a wkrótce

potém i godność profesora zwyczajnego na katedrze prawa państwowego.

Rozprawą „O sporach administracyjnych” zjednał sobie stopień doktora prawa i administracyi. Była to pierwsza w młodéj Szkole Głównéj warszawskiéj doktoryzacya.

Po przemianie téjże Szkoły w roku 1869 na Uniwersytet cesarski, Okolski utrzymał się na katedrze prawa policyjnego, lecz, stosując się do wydanego w téj mierze przepisu, ponownie przystąpił do doktoryzacyi w uniwersytecie petersburskim i odtąd stale, jako profesor zwyczajny, wykładał prawo policyjne w uniwersytecie warszawskim. Zaszczyconym wreszcie został najwyższą w hierarchii naukowéj godnością profesora „zasłużonego”. Niezależnie od profesury, poświęcał się Okolski za dawnéj organizacyi sądowéj i adwokaturze, którą pełnił przez lat kilka i po wprowadzeniu reformy sądowéj, aż do chwili wydania przed dziesięcioma laty ograniczającego w téj mierze profesorów uniwersytetu rozporządzenia; był wreszcie przez szereg lat aż do ostatnich chwil życia prezesem „Komitetu Kasy Mianowskiego”.

Żywot ten czynny wypełniły prace naukowe specyalne, idące w szeregu następującym:

1) Pierwszą pracę obszerniejszą „O Serbii” drukował Okolski w r. 1862 w „Gazecie lwowskiéj”, następnie zaś:

2) wzmiankowaną wyżéj rozprawę „O dzieciobójstwie” w „Czasopiśmie” krakowskiém, gdzie również w roku 1865 zamieścił:

3) dysertacyę „O urzędzie prokuratora w postępowaniu karném”.

4) „O znaczeniu miast i instytucyi miejskich”, dwa odczyty publiczne w kwietniu 1867 roku, drukowane następnie w „Ekonomiście” z tegoż roku.

5) „O sporach administracyjnych” („Ekonomista”, 1867 r.).

6) „O organizacyi sądów karnych” („Przegląd sądowy” warszawski, 1868 r.).

7) „O kasach oszczędności” („Niwa”, 1869 r.).

8) „O sprzedaży nieruchomości w drodze subhastacyi” („Przegląd sądowy”, 1869 r.).

9) „O urządzeniach miejskich w Cesarstwie podług ustawy z roku 1870” („Ateneum”, 1871 r.).

10) „O ziemskich instytucyach na Zachodzie Europy i w Cesarstwie” („Niwa”, 1871 r.).

11) „O fizyczném wykształceniu narodu” („Niwa”, 1873 r.).

12) „Ob otnoszenii gosudarstwa k narodnomu obrazowanju” Rozprawa doktoryzacyjna). Petersburg, 1872 r.).

13) „Rys historyczny rozwoju dobroczynności publicznéj w Polsce” („Niwa”, 1877 r.).

14) „Przewodnik dla sądów gminnych Królestwa Polskiego” (T. I. Postępowanie sądowo-cywilne 1876--7 r.).

15) „Przewodnik dla sądów gminnych” (T. III. Prawo cywilne).

16) „Forma kontradyktoryjna w ustawie postępowania sądowego cywilnego z roku 1864-go” („Biblioteka umiejętności prawnych”, 1877 roku).

17) „Wykład prawa administracyjnego, oraz prawa administracyjnego obowiązującego w Królestwie Polskiém”, 3 tomy, 1880 — 1884 roku.

18) „Zasady prawa cywilnego, obowiązującego w Królestwie Polskiém”, 1885 r.

19) „Ustrój państw europejskich, tudzież Stanów Zjednoczonych Ameryki północnéj” (1888 r.).

20) „Kwestya kobiéca według najnowszego prawodawstwa” („Biblioteka Warszawska”, 1888 r.).

21) „O domach podrzutków” („Bibl. Warsz.”, 1888 r.).

22) „Systemat propinacyjny szwedzki” („Przewodnik lwowski”, 1888 r., N. 48—53 i 1889 r., N. 3—13).

23) „Kwestya lichwy w obecném prawodawstwie” („Biblioteka Warsz.”, 1889 r.).

24) „Reforma wykształcenia klasycznego w Niemczech” („Bibl. Warsz.”, 1890 r.).

25) „Reforma wykształcenia klasycznego w Szwecyi” („Bibl. Warsz.”, 1890 r.).

26) „Reforma wykształcenia klasycznego na Zachodzie Europy” („Ateneum”, 1890 r.).

Trzy powyższe rozprawy wraz z dodatkiem o reformie wykształcenia klasycznego we Francyi wyszły następnie oddzielnie.

27) „Dwudziestopięciolecie reformy włościańskiéj w Królestwie Polskiém” („Gazeta Warsz.”, 1889 r.).

28) „Reforma uniwersytetów angielskich w XIX wieku” („Bibl. Warsz.”, 1892 r.).

29) „Rozwój uniwersytetów angielskich w XIX wieku” („Bibl. Wars.”, 1892 r.).

30) „Arnold Toynbee i jego prace ekonomiczne” („Bibl. Warsz.”, 1892 roku).

31) „Wpływ Tomasza Carlyle'a na rozwój społeczeństwa angielskiego pod względem socyalno-politycznym w XIX wieku” („Przegląd prawny i administr.” lwowski z r. 1894).

32) „John Ruskin, jako ekonomista” („Bibl. Warsz.”, 1894 r.).

33) „Pauperyzm w Anglii” („Bibl. Warsz.”, 1894 r.).

34) „Działalność prawodawcza i społeczna pod względem dobroczynności publicznéj” („Gazeta sądowa” warszawska, 1893—1894).

35) „O pojęciu prawa administracyjnego” (po rosyjsku w „Uniw. Izw.”, 1894 r.).

36) „Instytucye ziemskie w Rosyi” (szereg artykułów w „Słowie” za wrzesień i październik 1897 r.).

37) Szereg artykułów z dziedziny prawa cywilnego, karnego, policyjnego i ekonomii społecznéj, drukowanych w Wielkiéj „Encyklopedyi ilustr.” Sikorskiego.

Dodać tu należy i artykuly mniejszego rozmiaru, wyjaśniające wiele kwestyi prawno-ekonomicznych, jak np.:

1) „O dzieciach oddawanych na wykarmienie” („Gaz. Warsz.”, 1890 r., NN. 55—56).

2) „O przeprowadzeniu odosobnienia w zakładach więziennych” (rozbiór pracy Moldenhawera; „Bibl. Warsz.”, 1866 r.).

3) Rozbiór dzieła Pawińskiego: „Dzieje ziemi Kujawskiéj” („Gaz. Polska”, 1888 r., N. 109—112).

4) Rozbiór „Sejmików ziemskich” Pawińskiego („Słowo”, 1895 roku).

5) „System socyologii Gumplowicza” („Tyg. Ilustr.“).

6) „O reformie gimnazyów klasycznych w Niemczech“ („Gazeta Warszawska“).

Jako profesor na katedrze, celował Okolski jasnością wykładu, właściwą umysłom, wyrobionym na gruntownéj znajomości prawa rzymskiego i pokrewnego mu prawa francuskiego, które nieboszczyk, przez długi lat szereg, do potrzeb życia codziennego, jako adwokat, stosować miał sposobność. Nie zalecały się wykłady zmarłego kwiecistością stylu, nie towarzyszyły im krasomówcze zwroty, lecz wypełniała je treść pożywna, oparta na materyale faktycznym, mogącym mieć zastosowanie w praktyce życiowéj. Już w przytoczonych tytułach piśmienniczych prac Okolskiego ujawnia się kierunek jego myśli, zmierzający do urzeczywistnienia w życiu codzienném, praktyczném, ideałów nauki czystéj. Długoletni pobyt w Anglii wpłynął właśnie na urobienie się umysłu Okolskiego według modły utylitaryzmu. Upatrywano w sposobie wykładu zmarłego profesora pewien chłód i brak wrażliwości, — cechy właściwe uczonym, nie ubiegającym się o łatwą między słuchaczami popularność. Lecz obiektywizm Okolskiego był

tylko pozorny. Było to serce szczerze oddane społeczeństwu rodzinnemu, składające mu w ofierze wszystkie usiłowania do ulepszenia ekonomicznych warunków jego bytu, do rozpowszechnienia i ugruntowania w młodzieży uniwersyteckiéj pojęć o prawności działań obywatelskich, o konieczności stosowania do życia codziennego wszelkich ulepszeń, stwierdzonych przez doświadczenie.

Prace zmarłego nie przejdą bez śladu; będą one zawsze pomnikiem zasług uczonego profesora, dowodem żywotności jego umysłu i szlachetności zasad, któremi kierował się w życiu.

Al. K.



ROZBIORY I SPRAWOZDANIA.

Gabryela Zapolska: „Wodzirej“ (powieść w dwóch tomach.) Nakładem S. Lewentala. Warszawa, 1898 str. 331 i 344.

W niedługich odstępach czasu drukował „Kuryer Warszawski“ dwie powieści autorów znanych, acz krańcowo różnych, którzy zapewne przypadkiem obrali sobie za tło Galicyę: Kraków i Lwów. Były to Bałuckiego: „Wieś i Dziunia“ i wyżéj wymieniony „Wodziréj“ Zapolskiéj. Intryga w obu utworach cokolwiek podobna; komedyopisarz każe bohatérom swéj powieści wdzierać się do „świata nudów“, by potém zgnębionych i zmęczonych usunąć w zacisze wiejskie, tak samo p. Zapolska wprowadziwszy wodzireja w świat błyskotliwy „nakształt zawieszonego w powietrzu brylantowego naszyjnika“, spycha nagle Wielohradzkiego na bruk małéj mieściny. Jeżeli jednak u Bałuckiego zakończenie powieści nasuwa myśl, że lepiéj i pożyteczniéj pracować bodaj w zakątku wiejskim, niżeli, goniąc za pozorami wielkiéj działalności, trwonić pieniądze w mieście, to w bogatéj fabule „Wodzireja“ myślą przewodnią może być tylko kwestya wychowania, chociaż i ta warunkowo tylko. Bo ani Wielohradzka, zjeżdżająca do Lwowa po stracie męża i majątku, nawykła do życia wystawnego, zdobywająca teraz pracą ciężką chléb powszedni, na naganę nie zasługuje nawet wtedy, kiedy marzy o świetnéj przyszłości dla swego syna przez bogate małżeństwo; ani Tadeusz, dlatego właśnie, że od początku życia żył wśród świata „koron“ i innego znać nie chciał, a kiedy na chwilę

zetknął się z „demokracyą”, rezultat był gorszy, gdyż byłby się wodzirej w drugim świecie zmarnował tak, jak zginął w blasku pierwszego. A zginął przypadkowo: piękna hrabina, upodobawszy sobie Wielohradzkiego, ofiarowała mu siebie, swe rozigrane zmysły, swe pieszczoty, wszystko, czego by nie posiadł żaden hrabia, baron lub książę; gdyż ona kochanka z téj sfery miéć nie mogła, bojąc się utracić znaczenie i szacunek otoczenia, w którém była królową. Wielohradzki w towarzystwie tém nie liczył się, a rozkochany biegł na każde skinienie kapryśnéj pani, by koić jéj wzburzone nerwy, dopóki wypadek nie przerwał pasma jego życia, opartego na pozorach, pustego, jak przybory kotylionowe, trofea zwycięstw, któremi go obdarzano. Schwytany przez męża na schadzce z Maleniową, przez nią znieważony, zostaje przerzucony ze Lwowa do Przemyśla, by tam dumać o przeszłości i... nowych figurach kotyliona.

Tak się przedstawia szkic powieści, w któréj wyróżniłbym figurę Wielohradzkiego, jednę z tych, które p. Zapolska z taką łatwością i prawdą (na to nie wszyscy się godzą) malować umié. „Był to okaz schyłkowca, bardzo prosty, naturalny i nieskomplikowany—zwyczajny nerwowiec o duszy kobiécéj, z odcieniem silnego egoizmu ładnego mężczyzny, romantyk i fantasta, lubiący wojownicze legendy, świéże masło, frak ładnie skrojony i wytworne towarzystwo. Nie miał żadnych potwornych ani zwyrodniałych zachcianek, dalekim był od gorzkiego pesymizmu, pomimo, iż bynajmniéj nie był optymistą. Posuwał się po szachownicy życia jak zbyteczny pionek... Wiatr lotosu kołysał nim na prawo i lewo — dłoń matki usuwała mu z pod nóg przeszkody. Ze wspaniałych salonów wpadał nagle do nory czystéj lecz biédnéj, nazwanéj jego domem. Miał ciągle olśnienie krótkowidza, wtrąconego do piwnicy i wyrzuconego w snop słonecznych promieni... Był Twardowskim społecznym, zawieszonym między niebem a ziemią. *Ave Maria* ocaliła czarownika, *Ave Maria* pracy jego matki i próżności jéj utrzymywała go na tych pasach tanecznych, które kołysały nim w społecznéj przestrzeni.” (T. I, str. 90).

Nie zdolny do zastanawiania się nad położeniem swojem i matki, nie umiejący ocenić jéj pracy, ani powstrzymać swych kaprysów, za słaby, ażeby inne rozpocząć życie, jest Wielohradzki stworzeniem nędzném, egoistą, szykarnym poliszynelem, pajacem, a przedewszystkiém—hysterykiem.

Psychologicznie postać przeprowadzona prawdziwie.

Matka jego to natura „o mieszaninie duchowo-religijnych aspiracyi i szalonego przywiązania do materyalnych warunków życia.” Tak jak z kawałków jedwabiu składała podszewki swych sukien, tak

z drobnostek, jakie jéj syn otrzymywał od „tych ludzi", pragnęła dla niego zbudować gmach szczęścia, aż wreszcie ujrzała się biédną szwaczką, a syna swego biernym kochankiem téj, którą ona marzyła nazwać synową. Ale jéj za nic winić nie można: miała dobre zamiary i chęci, a że chorobliwa miłość macierzyńska obdarzyła ją wzrokiem krótkowidza—nie ona winna.

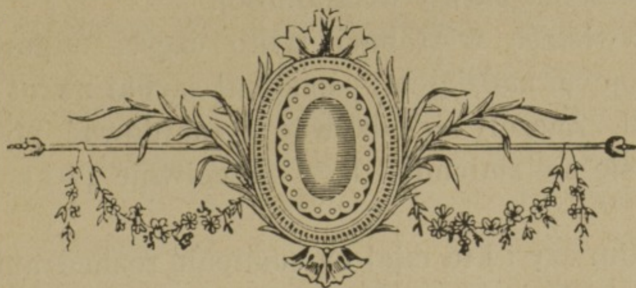
Co do formy i sposobu pisania (pomijając znaną odrębność stylu i języka p. Zapolskiéj) zarzuciłbym dziwaczne porównania niekiedy, jak naprz. „Maleni zniknął z progu, na którym tkwił jak potworny drogowskaz" (str. 117, t. I)... „W lekkiéj jedwabnéj sukni mieniącéj się złotem i zielenią, jak sukienka chrząszcza, czającego się i t. d. (str. 153) i in. Nadużywanie wyrazów, jak „obramowanie," „fałdy." Lecz to drobiazgi. *L. Rutkowski.*

NOWOŚCI NAUKOWE I LITERACKIE.

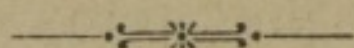
= **Herold polski**, czasopismo naukowe ilustrowane, poświęcone heraldyce i sfragistyce polskiéj. Zeszyt kwietniowy 1897. Str. XXIII i 96. — We wszystkich ziemiach dawnéj Polski, pośród tak licznych zastępów szlachty, pomimo niestrudzonych usiłowań redakcyi, znalazło się zaledwie 120 prenumeratorów, interesujących się historyą szlachty polskiéj i heraldyką polską. Zaledwie ta szczupła garstka zdecydowała się poświęcić rocznie 5 złr. na księgę ilustrowaną, obejmującą 25 arkuszy druku, a poświęconą heraldyce i sfragistyce ojczystéj. Obojętność taką tłómaczy sobie redakcya zamarciem w szlachcie uczucia czci dla jéj dzielnych przodków, w części zaś tém, że szlachcie téj nie przypada do gustu „Herold polski", który tylu tylko dostojników w każdym wymienia rodzie, ilu wskazuje prawda historyczna. Wszakże to poszukiwanie źródła obojętności naszego ogółu dla wydawnictwa nie wpłynie zapewne na powiększenie liczby prenumeratorów, których co najmniéj dwustu potrzeba dla pokrycia kosztów nakładu i to przy podniesionéj do 8 złr. rocznie prenumeracie. Jeżeli do 1 grudnia 1897 roku nie zbierze się ta niezbędna liczba prenumeratorów, dalsze wydawnictwo „Herolda polskiego" stanowczo zaniechane będzie i wyjdzie tylko zeszyt czwarty czyli ostatni za rok bieżący. A szkoda byłaby wielka, gdyby obojętność ogółu sparaliżowała szlachetne usiłowania prof. Franciszka Piekosińskiego, który nic za pracę swą nie żądając, poświęca mu wiedzę swą i doświadczenie. — Kwietniowy zeszyt roz-

poczyna „Słowo od Redakcyi,” skréślone przez „Herolda Polskiego.” Przedewszystkiém dowiadujemy się z niego o smutnych rezultatach ogłoszenia prenumeraty, następnie o powodach opóźnienia pierwszego styczniowego zeszytu, poczém znajdujemy plan wydawnictwa, z którego się okazuje, że „Herold“ zamierza ułatwić czytelnikowi oryentowanie się w heraldyce, zamieszczając rodzaj przewodnika heraldycznego, w którym by wszystkie znane dotychczas herby szlacheckie polskie były o ile możności w rysunku podane, lub przynajmniéj dokładnie opisane. Przedewszystkiém pomieszczony będzie herbarz szlachty litewskiéj Kojałowicza, potém herbarz szlachty prusko-polskiéj, potém herbarz szlachty galicyjskiéj, potém herbarz szlachty nobilitowanéj w XVI, XVII i XVIII wieku i t. d. — W rubryce „Rozmaitości” znajdujemy trzy ciekawe prace. W pierwszéj z nich zatytułowanéj „Scipio czy Nadobowicz“ prof. Piekosiński, na zasadzie szczęśliwym skutkiem uwieńczonych poszukiwań dowodzi, że herb rodu Scipionów Campo nie został z Włoch przyniesiony do Polski, lecz, że został drogą adoptacy w Polsce nabyty, czyli że ród Scipionów Campo został przez ród szlachecki litewski Nadobowiczów czy Golimuntowiczów do rodu i herbu ich adoptowany. — W drugiéj znajdujemy ciekawą wiadomość o zachowanym w jednéj z prywatnych bibliotek krakowskich rękopiśmiennym herbarzu Jana Karola Dachnowskiego, zresztą skąd inąd nieznanym. Jest to dorywczy zbiór materyałów, niedostatecznych nawet do zredagowania jakiegokolwiek herbarza, ułożonych w pewien porządek, lecz mających dopiéro być opracowanemi podczas druku. Że bowiem zamierzano herbarz ten wydrukować, dowodzi zachowany, już wydrukowany, bardzo ozdobny tytuł oraz kilka sztychów przygotowanych. Z tekstu jednak nic się nie dostało pod prasę drukarską. Zestawiając charakter pisma i rysunki prof. Piekosiński, dochodzi do przekonania, że Dachnowski jest również autorem znajdującego się w bibliotece hr. Zamojskich w Kórniku bezimiennego i niedatowanego rękopisu herbarza szlachty prusko-polskiéj pod tytułem: „Herby szlacheckie w ziemiach pruskich województw Chełmińskiego, Malborskiego, Pomorskiego.” Że zaś herbarz kórnicki jest dziełem zupełnie wykończonėm, przeto na jego zasadzie zalicza on Dachnowskiego w poczet autorów heraldycznych polskich. W trzecim artykule w „Rozmaitościach“ pomieszczonym sz. profesor stara się wyjaśnić pochodzenie kamienia, znalezionego we wsi Luszynie w pow. Gostyńskim, a pokrytego napisami zagadkowémi. Otóż wnosząc z łukowatego lub okrągłego kształtu liter, znamionującego charakter pism wschodnich, wyraża on przypuszczenie, że jest to zapewne kamień grobowy kupca georgijskiego t. j. ormiańskiego, którego w podróży na Mazowszu śmierć zaskoczyła.

Lwią część zeszytu zajmuje „ks. Wojciecha Wijuka Kojałowicza S. J. Herbarz Rycerstwa W. X. Litewskiego, tak zwany *Compendium.*" Jest to przedruk oparty na oryginale, znajdującym się w Muzeum ks. Czartoryskich w Krakowie. Wślad za *Compendium* wydrukowany będzie drugi herbarz Kojałowicza, zredagowany w języku łacińskim p. t. *Nomenclator*, a tamże znajdujący się. Na wstępie do przedruku *Compendium* znajdujemy piękną reprodukcyę pieczęci majestatowéj Wielkiego księstwa Litewskiego, w samym zaś tekście liczne rysunki herbów w cynkotypii. Już to wogóle w całem wydawnictwie „Herolda Polskiego" znać staranną, pieczołowitą rękę miłującego swój przedmiot redaktora. Nie mówiąc już o pięknym papierze i doskonałym druku, trudno nie zwrócić uwagi na tak przez miłośników pożądane, a nie objęte programem pisma dodatki, jak np. otwierająca zeszyt reprodukcya „Zbroi turniejowéj królewskiéj z r. 1471." W rozprawie „Scipio czy Nadobowicz" znajdujemy odtworzone dwie pieczęcie Golimunta Nadobowicza, starosty żmudzkiego, daléj zaś, w odnośném miejscu, dwie podobizny kamienia luszyńskiego. — Najgoręcéj polecamy uwadze i względom czytelników naszych to tak piękne, a niezbędne w historycznéj naszéj literaturze wydawnictwo. Wesprzyjmy w bezinteresownych usiłowaniach redakcyę, która, starając się zaradzić dotychczasowéj potrzebie, powinna znaléźć poparcie: brak onego paraliżuje najlepsze jéj chęci. *Ar. Les.*



KRONIKA MIESIĘCZNA.



Rok ubiegły odznaczał się żywém natężeniem rozmyślań i dyskusyi o sprawach publicznych. Miało to po części skutek dodatni, po części ujemny.

Zaczniemy od ujemnego.

Wśród wielu niesłusznych i przesadnych zarzutów, jakie nam obcy czynią, do słusznych w znacznéj mierze zaliczyć chyba można zarzut naszéj zbytniéj wrażliwości, zbyt łatwego przerzucania się z jednéj ostateczności w drugą: stąd brak miary w sądach, a równowagi w czynach, nieumiejętność trzymania się linii prostéj, lecz przeciwnie częste zygzaki, cofania i kołowania.

Ta nasza wada silnie w ubiegłym występowała roku. Bez dostatecznéj ku temu przyczyny, część pewna naszego społeczeństwa zaczęła snuć nadzieje jakichś wcale poważnych, a blizkich zmian, jakiegoś znacznego rozszerzenia naszéj działalności.

Gdy rzeczywistość w drobnéj tylko części odpowiedziała zbyt daleko wybiegającym nadziejom,—nastąpił szybki zwrot ku przesadnemu pesymizmowi. Zaczęły się odzywać i znajdować posłuch głosy, iż nietylko „nic" się nie zmieniło, lecz przeciwnie „wszystko" idzie ku gorszemu.

Bez względu, czy i kto miał na sumieniu rozbudzanie zbyt daleko idących nadziei, a również czy, kto i na ile jest winien siania zgubnéj apatyi pesymizmu i martwoty wśród naszego społeczeństwa, — faktem jest dodatnim, a na dobro dojrzewania naszego społeczeństwa do zapisania się kwalifikującym jest to, iż masa ani w jedną ani w drugą stronę zbyt daleko się porwać nie dała, lecz po dawnemu wcale spokojnie pracuje i kroczy powoli naprzód.

Drugi ujemny skutek dyskusyi z roku dobiegającego—to pewne oddalenie wzajemne od siebie, a nawet pewna podejrzliwość i nieufność między ludźmi różnych zapatrywań co do szczegółów, ale jedna-

kowo szczerze do kraju i dobra publicznego przywiązanych. Zaostrzenie polemik, mniéj przyzwoity czasem ich ton, brak bezstronności i sprawiedliwości w ocenie czynów i dążeń ludzi, z którymi się w gruncie rzeczy daleko mniéj różnimy, niż się to uprzedzonemu polemiście wydaje,—oto drugi fakt ujemny do zapisania na rachunku roku bieżącego.

Dodatnim faktem jest to, iż ożywienie w sferze myśli i słowa nie było zupełnie bezpłodne, lecz szczęśliwie przechodzi, a w części nawet już przeszło w sferę czynu. Zwłaszcza ostatnie miesiące są pod tym względem szczególniéj ożywione.

W chwili, gdy dzień pracy społecznéj ma się ku schyłkowi, robota wre dokoła, jakby żywiéj jeszcze niż w dnia tego zaraniu: ścierają się zdania, tryskają nowe źródła idei humanitarnych, myśl wzbija się ponad egoistyczne poglądy dobra jednostki lub stanu, nowe przedsięwzięcia wykończają się z pośpiechem. Społeczeństwo nasze podobne jest w danéj chwili do wieśniaka, który mimo znoje i trudy zdwaja energię o słońca zachodzie, byleby plon całodzienny powiększyć choć o jedno zżęte stajanie. Myliłby się jednak ten, ktoby w dziejach ostatnich tygodni dopatrywał czynów wielkich, zwrotów doniosłych lub chwil wiekopomnych. Praca jeno była mrówcza, lecz praca na niwie dobra publicznego, praca rozumna, cicha i wytrwała. Mamy tyle jeszcze nędzy do zwalczenia, przesądów i ciemnoty, tyle ust woła o chléb a tylu w oświacie zaniedbanych żebrze światła, iż każdy krok, zrobiony na drodze miłosierdzia, umoralnienia czy wykształcenia, każda dążność zbiorowa, każda samopomoc skrzętnie w kronice naszéj jako dorobek społeczny winna być zapisana. O ile czyn bierze u nas górę nad frazesem, najwymowniéj świadczą nasze wydawnictwa codzienne. Zrozumiały one już potrzeby ogółu i odczuwają znamienny zwrot jego usposobienia. Zanika stopniowo choć powoli na szpaltach kuryerów i gazet plotkarstwo, rubryki sensacyjnych wiadomości redukują się do szematycznego zaznaczania wypadków, bezpłodna zaś politykomania skurczyć się musiała wobec potrzeb realnych i spraw żywotnych. Nie takie to dawne czasy, kiedy przeciętny prenumerator pisma codziennego znał na pamięć nazwiska wszystkich przewódzców partyi i wybitniejszych agitatorów parlamentarnych Ameryki i Europy i nie takie dawne czasy, gdy karmiono go jeśli nie wyłącznie, to przeważnie anegdotami o sposobie ubierania się i odżywiania jakiegoś męża stanu, urządzeniu jego mieszkania, upodobaniach i jego psie. Upadek np. gabinetu hiszpańskiego śrubowano wówczas do wysokości ogromnie ważnego dla nas zdarzenia, a byle proces skandaliczny, wytoczony za-

granicznemu aferzyście, rugował najpoważniejsze artykuły ekonomiczne i społeczne. Dziś jest już nieco inaczéj. Więcéj w dziennikach spotykamy wiadomości obchodzących nas bezpośrednio i więcéj myśli o naszych potrzebach najbliższych. Praca bierze górę nad apatyą lub lekkomyślnością a poważna dyskusya nad frazesami.

Jakie praktyka życiowa stwarza nam nieraz niespodzianki, pouczyć może sprawa czytelni ludowych. Oświata warstw niższych niejednokrotnie była obierana za temat do artykułów wstępnych; podkréślano brak szkół początkowych, stwierdzano rozwój czytelni zagranicą i na tém koniec. Artykulik pozostawał bez echa a o powzięciu inicyatywy czynnéj mowy nie było. Rozwijane teorye wydawały się nam jakimiś pięknemi ideałami dalekiéj przyszłości, do których lud nasz jeszcze nie dorósł. Jednostki, ożywione myślą oświecania maluczkich, poczytywano niejednokrotnie za szlachetnych, lecz niepraktycznych działaczy, a pracę na polu piśmiennictwa ludowego za niewdzięczną i bezowocną.

Gdy w roku bieżącym władze zajęły się urządzaniem czytelń, myśl przyjęto z uznaniem, rozpisywano się nad doborem książek, sposobem administracyi czytelń, opieką, nie zdając sobie jednak sprawy, jak lud nasz przyjmie te czytelnie. Większość t. zw. inteligencyi miała przekonanie, iż chęć do czytelnictwa śród naszego ludu dopiéro budzić należy. Tymczasem, otworzenie kilku pierwszych czytelni wprawiło w podziw największych optymistów na punkcie upodobań chłopa polskiego. W dwóch czytelniach dzień otwarcia był dniem wyczerpania całego zapasu książek, w trzech innych zapas wyczerpano po tygodniu. Biorąc pod uwagę, iż czytelnik wiejski bierze jedną książkę conajmniéj dla jednéj chaty, przekonać się musimy o rzeczywistéj potrzebie drukowanego słowa i, co ważniejsza, o odczuwaniu téj potrzeby przez sam lud.

Środki na utrzymanie czytelni są niewielkie, tak, że narazie liczba ich sięgać ma ledwie dwudziestu. A więc ofiarność prywatna jest tu nieodzowną. Gdy mowa o ofiarności nie możemy przemilczeć daru p. H. Wawelberga, który na cel ten złożył sumę rs. 10,000 [1]). Obok pomocy materyalnéj czytelnie nasze potrzebują przedewszystkiém całego szeregu odpowiednich dzieł. Literatura polska jest dotąd bardzo uboga w wydawnictwa ludowe. Mamy wprawdzie poważną ilość z większym lub mniejszym talentem skréślonych powiastek i obrazków umoralniających,—nawet książek treści religijnéj znaleźliśmy więcéj niż

---

[1]) O szkole technicznéj przy ulicy Mokotowskiéj i o wielkiéj fundacyi na rzecz mieszkań robotniczych rozwodzić się nie potrzebujemy: któż o nich nie wié?

przypuszczaliśmy, ale brak nam dotkliwie prac z zakresu drobnego gospodarstwa rolnego, przemysłu, a głównie popularnego opracowania nauk. Chłop nasz nie tyle może szuka rozrywki w książce, ile wiedzy, i stąd właśnie ujawnione w nowopowstałych czytelniach zapotrzebowania książek treści popularno-naukowéj. Rozumié on, że w książce znajdzie przedewszystkiém radę poczciwą, sztukę rozumnego gospodarowania, jakąś wiadomość i naukę praktyczną, a o wszystkiém prawdę. Do drukowanego słowa ma wieśniak nasz zaufanie wielkie, książkę uważa za skarbnicę wiedzy i mądrości.

Naszym więc obowiązkiem jest pielęgnować to przekonanie i chronić go od rozczarowania. Sił nam nie zbraknie, byle dobra wola się znalazła.

Stwierdzona nieraz gotowość nasza przychodzenia z pomocą potrzebom społecznym, ujawnionym należycie, pozwala nam wierzyć w dalszy i szybki rozwój czytelni. Za to inna paląca sprawa budzi pewną troskę o jutro. Za dni kilka staniemy wobec monopolu wódczanego, czyli staniemy jednocześnie do walki z nałogiem pijaństwa i gangreną szynkowni. Rękawica już rzucona, a myśmy dotychczas nieprzygotowani. Monopol osłoni zapewne masy od wyzysku szynkarzy, wpłynie dodatnio na przeciwdziałanie pijaństwu, zmusi niejako całe warstwy do godziwszego spędzania czasu; chodzi jednak o to, żeby nie pozbawił tych warstw trzech dobrodziejstw: ciepła, światła i towarzystwa. Monopol, jako zarządzenie państwowe, w zupełności odpowiada swoim celom i zadaniom,—myśmy jednak, w pojęciu społeczeństwa, dbałego o dobro własne, nie spełnili dotąd naszego obowiązku—przygotowania się do warunków zmienionych.

Ostatni spis jednodniowy dał nam możność przyjrzenia się zbliska tajemnicom brudnych, ciasnych i wilgotnych izb, z jakich składają się, naprzykład, domy i domki Powiśla. Widząc nagromadzonych w nich biédaków, drżących z zimna, wycieńczonych brakiem powietrza i światła, a wynędzniałych z braku chleba, — zrozumieliśmy, dlaczego człowiek, w takiéj izbie żyjący, śpieszy przy lada okazyi choćby do najpodrzędniejszéj szynkowni, niosąc na ofiarę grosz krwawą zdobyty pracą. Szynkownia bowiem jest jego klubem, jest w porównaniu do jego izby salonem ogrzanym i oświetlonym, nie tamuje swobody jego ruchów, uwalnia go na chwilę od kaszlu współlokatora lub jęków choréj współlokatorki, — a wreszcie daje mu możność wymiany zdań. Człowiek, wchodzący po raz pierwszy do szynkowni, szuka w niéj nieraz tylko ciepła, odpoczynku, zaspokojenia głodu lub potrzeby duchowéj towarzystwa i rzeczywiście w części znajduje je; ale znajduje obok takiéj sumy zła, iż nietylko dobro nań spływające redukuje się do zera,

ale nawet często rezultat wypada ujemny. Jeżeli zatém monopol usuwa szynkownie z powodu złych stron, to jest poniekąd naszym obowiązkiem zastąpienia ich stron dobrych. Oto przyczyna, dla któréj zakładanie herbaciarni czy kawiarni ludowych znalazło się na porządku dziennym załatwiania naszych potrzeb. Lecz, niestety, załatwienie to nie idzie tak szybko, jakby sobie życzyć należało. A sprawa to pilna, nietylko z uwagi na powyższe ogólno-humanitarne względy, lecz i z przyczyny słusznych obaw, aby zamknięcie szynków nie skierowało mas w stronę równie może niepożądanego zła — piwiarni, podrzędnych restauracyi lub, co gorsza jeszcze, szynków potajemnych.

W Warszawie na 1,600 egzystujących „bawaryi" udzielono koncesyi nadal tylko 700. Na prowincyi stosunek ten jest niekiedy jeszcze mniejszy. Należy zatém przypuszczać, iż, w braku innych zbiorowisk, lud warszawski będzie się liczniéj schodził w owych pozostałych piwiarniach i restauracyjkach, a tém samém staną się one szynkowniami — droższemi, niby wykwintniéj urządzonemi, ale szynkowniami. Na prowincyi zaś mogą się rozmnożyć szynki potajemne. Oto dlaczego czas wołać głośno: mniéj klubów, mniéj zbiorowisk stanu wyższego i średniego, a więcéj gospód dla robotników, dla rzemieślników, dla włościan. Człowiek względnie inteligentny, czy zamożny, po za domem szuka tylko rozrywki, a biédak po za izbą szuka niekiedy najkardynalniejszych warunków życia.

Przyjechawszy do miasta upatruje dachu, pod któryby się schronił i izby, w któréjby się ogrzał i posilił, a rzucony na bruk życia miejskiego nie ma częstokroć ani kąta własnego, ani schroniska.

Jeżeli zaś dojdziemy do wniosku, iż zakładanie herbaciarni i wskrzeszanie dawnych gospód jest zadaniem skomplikowaném i w zadowoleniu wielostronnych potrzeb ludu, nie łatwém, — to może tworzenie tak zwanych resurs rzemieślniczych nie przedstawiłoby tylu trudności. A jednak i te wyjść nie zdołały z dziedziny projektów.

Rzemiosła nasze, pozostając pod opieką korporacyjną cechów, mają już organizacyę społeczną. Nie chodzi więc tutaj koniecznie o stwarzanie nowych instytucyi, lecz może wystarczyłoby rozszerzenie działalności obecnie istniejących. Nasz rzemieślnik stał się już osobnikiem, który odczuwa pewne potrzeby duchowe. Zazwyczaj dziecię miasta, a więc ogniska względnego ruchu umysłowego, mimowoli musi więc patrzéć jaśniéj i ogarniać szersze horyzonty. Dzisiaj, będąc pozbawiony właściwego kierunku w wolnych chwilach, albo schodzi do poziomu szynkowni, albo ulega wpływom szkodliwym niepowołanych doradców i niekiedy, zaledwie dzięki wyjątkowemu otoczeniu, unika pierwszéj i drugiego. Rzemiosła niektóre obok nakładu

pracy fizycznéj, wymagają niejednokrotnie i namysłu i daru kombinacyjnego. Pod wpływem odczytów, dyskusyi z kolegami, a nawet szlachetnéj rozrywki rzemieślnik kształci umysł, wyrabia w sobie pewien krytycyzm, który dotąd pozostawał bez opieki i pewną dozę szlachetności, o któréj rozwinięcie również nikt nie dbał.

„Łatwiéj poznasz człowieka po tém, jak się bawi, niż nad czém pracuje" — powiedział Szyller. Zdania tego jednak do rzemieślnika naszego, niestety, stosować nie możemy, bo wymagamy odeń tylko pracy, nie kłopocąc się dotychczas jego chęcią przepędzania w ten lub inny sposób wolnego czasu.

Bierzemy mu za złe, gdy święto spędza przy kieliszku, ale nie wskazujemy i nie ułatwiamy lepszego zużytkowaniu wolnéj chwili i zdrowszéj rozrywki.

Resursy rzemieślnicze, to nie stowarzyszenia partyjne, ani usankcyonowane miejsca zabijania czasu, próżniactwa, lecz zadośćuczynienie potrzebom towarzyskim ludzi, stojących na jednakowym szczeblu, więc byłyby tu pożądane np. widowiska pouczające, zabawy gimnastyczne, wykłady popularne, czytelnie i t d.

To też z prawdziwém zadowoleniem dowiadujemy się, iż grono obywateli tutejszych powzięło zamiar założenia w Warszawie trzech resurs robotniczych na przedmieściach, najbardziéj przez ludność robotniczą zamieszkałych, mianowicie w bliskości rogatek Wolskich, na Solcu i na Pradze. Ustawy tych resurs będą się wzorowały na ustawie takiéjże resursy, założonéj na przedmieściu Szlisselburskiém w Petersburgu. Podobnież dowiadujemy się o opracowywanym projekcie założenia przy rogatkach, głównie zaś w tych punktach, gdzie się zatrzymują włościanie na targi, tanich garkuchni i herbaciarni,—a może noclegów i zajazdów.

Że śród powodzi pięknych zamiarów i wielu projektów, na szczęście nie wszystkie rozbijają się na bruku dobrych chęci; że są takie, które już się skrystalizowały i lada godzina przejść mogą w stan urzeczywistnienia, dowodzą jeszcze fakty następujące. Opracowaną została ustawa Towarzystwa wzajemnych ubezpieczeń od gradobicia p. n. „Ceres". Grono ludzi dobréj woli, wnikając w potrzeby naszego ziemiaństwa, powzięło myśl pomienionego stowarzyszenia. Funduszu założycielskiego dostarczyły tak zwane grupy ubezpieczeń ogniowych, a kompetentni wypracowali ustawę i przedstawili ją do zatwierdzenia władzy.

Daléj wymienić należy zawiązujące się „Stowarzyszenie pracowników handlowych solidarnego poręczenia", mające na celu dostarczanie firmom handlowym i przemysłowym ludzi sumiennych i materyal-

nie odpowiedzialnych. Stowarzyszenie, wzorowane na prosperujących w Cesarstwie „artelach", może stać się u nas instytucyą bardzo pożyteczną nietylko dla chlebodawców, lecz i dla uczciwych pracowników.

Myśl zawiązania Towarzystwa hygienicznego również weszła na tory bliskiego urzeczywistnienia, -- wywołała żywe zainteresowanie się prowincyi i sympatyczném ozwała się echem w sercu każdego, kto uznaje doniosłe znaczenie hygieny w życiu narodów. Nie znamy w szczegółach programu działalności Towarzystwa, lecz jakiekolwiekby one były — tam, gdzie idzie o zdrowie, czystość, zwalczanie zarazków chorobotwórczych—dwóch zdań być nie może.

Jak hygiena jest niezbędnym warunkiem do rozwoju fizycznego narodów, tak, z drugiéj strony, kredyt tani i dostępny warunkiem do normalnego rozwoju stosunków ekonomicznych. Wszelka więc inicyatywa, mająca na celu dostarczenie potrzebującym kredytu dogodnego i taniego, nabiéra dla nas znaczenia pierwszorzędnego,—témbardziéj że porównywując stopę procentową u nas bieżącą z notowaniami państw ościennych, znajdujemy zastanawiające różnice. Dzisiaj, kiedy rzucono myśl rozszerzenia działalności istniejących Towarzystw kredytowych miejskich na miasta i miasteczka okoliczne, nie będące w możności utworzenia samodzielnych instytucyi, tylko starać się wypada, aby się te zamiary urzeczywistniły.

Przygarnięcie licznych choć drobnych klientów pod opiekuńcze skrzydła wielkich organizacyi kredytowych nietylko nie wyrządziłoby im zapewne uszczerbku, lecz przeciwnie powiększyłoby ich obroty, właścicieli zaś domów w miasteczkach prowincyonalnych wyrwałoby z rąk lichwy.

W takiém społeczeństwie, jak nasze, gdzie tyle jest jeszcze do zrobienia, trudno wyrwać się z krainy projektów, a przejść do dziedziny faktów dokonanych. Czynimy to tém chętniéj w danéj chwili, gdy nasuwają się nam jednak i godne zaznaczenia objawy.

Zatwierdzenie kasy oszczędnościowo-pożyczkowéj i Towarzystwa opieki nad nieuleczalnymi stało się ciałem. Kasa oszczędnościowa ukazała się już na widowni w postaci pierwszego zebrania członków założycieli, a zebranie samo dostarczyło tematu do dysputy nad wnioskiem, aby siedzibą kasy było przedmieście Praga. Decyzya ostateczna przyznała pierwszeństwo w Warszawie, co, o ile nam się zdaje, może tylko dodatnio wpłynąć na rozwój kasy. Lada dzień można więc oczekiwać otworzenia podwoi nowéj, a wysoce pożytecznéj instytucyi.

Towarzystwo opieki nad nieuleczalnymi jest częścią wielkiéj spuścizny po ś. p. hr. Augustowéj Potockiéj, — spuścizną tém droższą, że wykonawcy testamentu dotknęli tym razem naszéj bodaj czy nienajwiększéj bolączki i wniknęli w potrzeby istot najnieszczęśliwszych, bo na dozgonną niemoc skazanych. Chory nieuleczalny w biednéj rodzinie, to ciężar straszny,—i częstokroć instynkt samozachowawczy zniewala ludzi do wypierania się swoich najbliższych, do porzucania nieszczęśliwych obłąkanych, epileptyków i idyotów na łaskę losu. A życie takich biédaków jest zaiste okropne. Usuwani przemocą ze szpitali, odstawiani etapem do miejsc urodzenia, wycierający kąty rowów, dołów i rozwalanych domostw, wypełzają niekiedy pośród fali odświętnego ludu w całéj grozie nędzy i kalectwa, niby wyrzut sumienia społecznego.

Utworzone Towarzystwo, o ile wiemy, ma na początek egzystenstyę zapewnioną—można się tedy spodziéwać, iż opatrunek téj broczącéj krwią rany będzie szybkim.

I gotów nas kto posądzić o krańcowo optymistyczne poglądy na stan naszego społeczeństwa, o jakoweś dytyramby pochwalne na rzecz naszéj filantropii i pracy publicznéj, — z punktu jednak kronikarskiego obowiązku nie wolno pomijać tego, co wzniosłe, szlachetne i uznania godne.

Ze szczególną przyjemnością to czynimy, gdy chodzi o nasze kobiéty. Na cześć naszych kobiét wygłoszono pochwał wiele i wiele słusznych. Obok pochwał dawały się słyszéć i utyskiwania, że kobiéty nasze wbrew naturalnemu podziałowi pracy, rozwijającemu się w innych społeczeństwach cywilizowanych, zbyt wiele zajmują się u nas rozprawami politycznemi i że, żyjąc więcéj frazesem niż pracą rzeczywistą, wciągają na tę drogę część niewyrobionéj jeszcze młodzieży. Zarzut ten jest zapewne przesadzony, a w każdym razie do ogółu naszych kobiét stosować się nie może. Wobec jednak takich zarzutów, z tém większą zaznaczamy skwapliwością każdą zapowiedź pracy rzeczywistéj naszych kobiét, a ze szczególną radością zapiszemy fakty, wcielające te zapowiedzi w czyny dokonane.

Społeczeństwo, którego kobiéty, bez uciekania się do siły korporacyjnéj, zdołały przysporzyć, aż dwie instytucye dobroczynne w postaci ochronisk dla starców i dzieci, — społeczeństwo, którego kobiety własnemi środkami i staraniami organizują stowarzyszenie wzajemnéj pomocy kobiét pracujących i wprowadzają je w czyn w ciągu kilku zaledwie tygodni,—społeczeństwo takie żyje, rozwija się i przyszłość na trwałych buduje podstawach.

Całą litanię wyliczyliśmy naszych potrzeb i projektów;—wskazaliśmy i trochę rzeczy już dokonanych lub przynajmniéj rozpoczętych. Te potrzeby i te roboty, to nasze życie codzienne; ważniejszém to, a więc i ciekawszém jest w mniemaniu naszém od sensacyjnych wiadomości, rozpraw i frazesów. To też wyjątkowo tylko chcemy wybiedz w naszéj kronice po za sferę tych naszych bezpośrednich potrzeb i interesów.

Zdarzają się jednak wypadki chociaż za granicami kraju naszego zaszłe, ale pewien wpływ na nasze zapatrywania mieć mogące.

Do takich wypadków z roku bieżącego zaliczamy zaszłe w Austryi, a w szczególności w Galicyi, w tym roku dwa: 1) rozbudzony ruch ludowy i 2) zbliżenie się Polaków do Czechów i innych Słowian.

Co do ruchu ludowego, to zdaje się nie ulegać wątpliwości, iż partya konserwatywna w Galicyi, wiele zasług i zalet wogóle mająca, w téj sprawie t. j. w stosunku do ludu, zgrzeszyła niewiadomością, lekceważeniem i jednostronnością.

Jak niektórych ojców spotykają niespodzianki z powodu, iż się nie spostrzegli na czasie, że i c h d z i e c i przestały być d z i e ć m i w o g ó l e i że nadszedł czas traktowania ich jak ludzi dorosłych, a przynajmniéj dorastających, tak i szlachta i wogóle inteligencya galicyjska niemile została zawiedziona w swych zamiarach trzymania i dziś jeszcze ludu po dawnemu w powijakach.

Zbyt długo przeciągana i zbyt krępująca opieka robi się szkodliwą i nieznośną, — a pierwsze chwile z trudnością zdobytéj swobody, stają się naraz chwilami swawoli a nawet gwałtu.

W ostatecznym jednak rezultacie przybytek wyrobionych samodzielnością obywateli może tylko wzmocnić siły narodu, a więc wyjść mu na dobre; to też nie wątpimy, że i ruch ludowy ostatecznie na dobre Galicyi wyjdzie. Ale zanim to nastąpi, może ją czeka niejedna trudna chwila.

Dla nas to, co się obok dzieje, powinno być nauką i przestrogą.

Pamiętajmy, że próżnia zajętą być ma i że jeżeli my nie potrafimy zająć stanowisk kierowników ludu, to stanowiska te zająć zechcą pierwiastki wywrotowe.

Druga sprawa, dla któréj odrywamy się od tych serdecznych naszych spraw, aby wyjrzéć na szerszą widownię, to zaostrzona w ostatnich czasach walka uporczywa i zacięta germanizmu ze słowiańszczyzną.

Historya poucza, iż kraj nasz był niegdyś przedmurzem, osłaniającém przez całe stulecia zachód od nawały tatarsko-tureckiéj, — ale

zapomina niekiedy o tém, żeśmy jednocześnie osłaniali własną piersią wschód słowiański od potęgi Teutonów. Różnie już się układały stosunki słowiańsko-niemieckie a zawsze z jednym i tym samym skutkiem. Nienawiść plemienna, wypływająca z zaborczych zachcianek niemieckich, zakorzeniona przez wieki — nie da się chyba nigdy sprowadzić do kwestyi gabinetowéj. Niemiec bowiem w swéj niezmiernéj pysze „boi się tylko Boga", — (oby istotnie się bał Boga), Słowianin zaś, w swém gorącém przywiązaniu do kraju i języka, przestaje bać się Niemca. Gdzie tylko więc dwa takie pierwiastki się zejdą, tam musi nastąpić starcie prędzéj czy późniéj. A przyznać trzeba, iż Niemcy przy każdém zetknięciu się ze Słowianami nadużywają ich cierpliwości i nazbyt dają się unosić bucie germańskiéj.

Że księstwo Poznańskie jęczy pod ciężarem hakatyzmu, do tegośmy już dawno przywykli. Niemiec czuje się tam silny a do obowiązku braterstwa ludzkiego nie bardzo się poczuwa. Lecz żeby tenże rozważny Niemiec był do tyla nieoględnym, aby przypuszczał możliwość hegemonii pięciu milionów Niemców nad dziesiątkami milionów Słowian, to było trudno przypuścić.

Karczemne wybryki Teutonów w parlamencie austryackim, skierowane przeciwko rozporządzeniom językowym, nie mogły pozostać bez echa. I odezwało się ono w murach Pragi Czeskiéj i jeden serdeczniejszy jeszcze węzeł zadzierzgnęło pomiędzy ludami słowiańskiemi monarchii austryackiéj. Wiec krakowski Słowian to nie manifestacya antypaństwowa, nie krzykliwa demonstracya burszów niemieckich i nie owacya bandy Schoenerer'ów i Wolff'ów—lecz protest ludów słowiańskich przeciwko bezprawiu, zbratanie się wobec wspólnego wroga i początek siły, którą zaślepiony obstrukcyonizm wiedeński może na zgubę swoją wywołał. A protest ten był nacechowany godnością i spokojem. Tém większa rękojmia trwałości jego uchwał. Jak się ostatecznie ułożą stosunki narodowościowe w Austryi, przyszłość niedaleka pokaże. My podkreślamy tylko raz jeszcze godny uwagi zwrot, jaki od pewnego czasu społeczeństwo polskie robi w kierunku głębszego zastanawiania się i pracy na polu praktyczném, na polu użyteczności publicznéj. Oby nadchodzący rok nowy posunął nas daléj naprzód w tym kierunku.

Zanim jednak ten nowy rok nastąpi, możemy powiedzieć, iż rezultat obrachunku roku ubiegłego nie jest znowu tak szczególnie zły. Przed trzema miesiącami, z powodu umieszczonego w „Ateneum" artykułu p. t. „Optymiści i pesymiści" zagadnąłem jednego z moich znajomych: „a pan czy jesteś optymistą, czy pesymistą w ocenianiu praw naszych." Po pewnym namyśle odpowiedział mi: „Będę

bliskim ścisłości, odpowiadając panu, iż jestem pesymistą na krótki dystans, lecz bezwarunkowym optymistą na dystans długi.

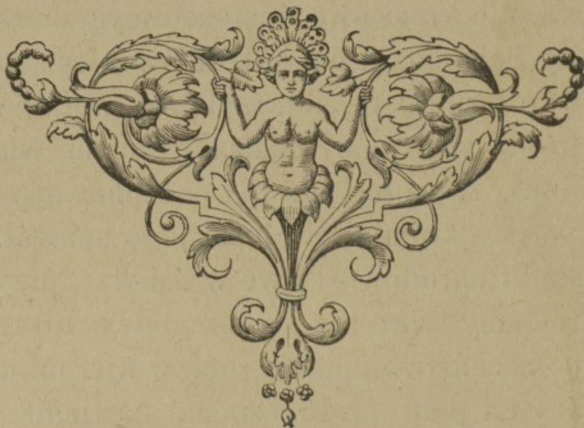
— Co to ma znaczyć?

— To znaczy, iż dziecinném byłoby urojeniem oczekiwać bez przyczyny jakichś zmian zasadniczych w warunkach zewnętrznych naszego życia społecznego. Ale ponieważ mamy jaką taką możność pracowania i pracujemy, ponieważ warunki wewnętrzne, a szczególniéj spokojna i cicha praca, muszą rozwijać, podnosić i umacniać, — więc mam nadzieję, iż nietylko istniéć, ale i rozwijać się będziemy z pewnością.

A rozwijać się będziemy tém szybciéj, a co jeszcze ważniejsza, tém pewniéj i staléj, im rychléj z pola dyskusyi generalnych przejdziemy do drobnych robót poszczególnych, od wielkich frazesów do drobnych prac."

Z punktu widzenia tego mojego znajomego, koniec roku bieżącego należy uważać za pomyślny, gdyż „od wielkich frazesów" zaczynamy przechodzić „do drobnych prac", które starałem się w kronice zaznaczyć.

W. G.



Wydawca: *W. Spasowicz.*
Za Redakt.: *W. Spasowicz* i *Stanisław Wydżga.*